

03.Psy Wojny

03.Psy Wojny

03.Psy Wojny

FREDERICK

FORSYTH

PSY

WOJNY

Przełożył ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

AMBER

Tytuł oryginału THE DOGS OF WAR

Opracowanie graficzne Studio Graficzne „Fototype”

Autor ilustracji RICHARD CLIFTON-DEY

Redaktor LIDIA KOWAL

Redaktor techniczny ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1974 by Danesbrook Productions, Ltd.

For the Polish edition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Published in cooperation with Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-85423-51-9

Giorgiowi, Christianowi i Schlee’emu,

Wielkiemu Markowi i Czarnemu Johnny’emu

oraz innym, spoczywającym w bezimiennych grobach.

Robiliśmy, co było w naszej mocy.

Część pierwsza

KRYSTAŁOWA GÓRA

1

Tej nocy nad położonym w dżungli lotniskiem nie świeciły ani gwiazdy, ani księżyc. Zachodnioafrykańska ciemność spowijała rozproszone grupki ludzi jak ciepły, wilgotny aksamit. Chmury wisiały tuż nad wierzchołkami drzew, a czekający na lotnisku mężczyźni modlili się, żeby zostały tam jak najdłużej i dały im ochronę przed bombowcami.

Na końcu pasa startowego stary, zdezelowany DC-4, który przed chwilą wylądował przy blasku świateł włączonych zaledwie na piętnaście sekund przed zetknięciem się kół maszyny z ziemią, zawrócił i potoczył się na oślep ku chatom o dachach pokrytych palmowymi liśćmi.

Pięciu białych mężczyzn siedziało w land roverze i spoglądało w kierunku zbliżającego się samolotu. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, ale wszyscy myśleli o tym samym: jeśli nie uda im się wydostać z kurczącej się szybko enklawy, zanim wojska rządowe zdobędą kilka ostatnich kilometrów kwadratowych, nie ujdą z życiem. Za głowę każdego z nich została wyznaczona nagroda, lecz żaden nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby ktoś ją zdobył. Tych pięciu mężczyzn to byli ostatni spośród najemników zaangażowanych do walki po stronie, która przegrała. Teraz przyszedł czas, żeby zniknąć. Dlatego właśnie z taką uwagą obserwowali kołujący w ich stronę transportowiec, który niespodziewanie zjawił się na lotnisku w sercu dżungli.

Po niebie, wysoko nad pokrywą chmur, przetoczył się huk silników MiGa-17 sił rządowych. Za jego sterami siedział prawdopodobnie jeden z ernerdowskich pilotów, przysłanych ostatnio w celu zastąpienia Egipcjan, którzy śmiertelnie bali się nocnych lotów.

Pilot korującego DC-4 nie mógł usłyszeć przelatującego odrzutowca, więc włączył światła pozycyjne, żeby oświetlić sobie drogę.

— Zgaś je! — krzyknął ktoś z ciemności.

Tego głosu pilot także nie usłyszał, ale i tak wyłączył światła, jak tylko zorientował się w położeniu, a myśliwiec był wtedy już wiele kilometrów dalej. Z południa dobiegał przytłumiony łoskot artylerii; front został ostatecznie przełamany, gdyż ludzie, którzy od dwóch miesięcy nie mieli ani amunicji, ani żywności, cisnęli broń na ziemię i schronili się w dżungli.

Pilot DC-4 zatrzymał maszynę dwadzieścia metrów od stojącej na płycie lotniska superconstellation, wyłączył silniki i zszedł na beton. Natychmiast podbiegł do niego ciemnoskóry żołnierz. Dwaj mężczyźni rozmawiali przez chwilę przyciszonymi głosami, po czym skierowali się w ciemności ku grupce ludzi widocznej na tle czarnej ściany dżungli jako plama jeszcze głębszej, nieprzeniknionej czerni. Oczekujący rozstąpili się przed nimi, a biały pilot stanął twarzą w twarz z człowiekiem w środku grupy. Widział go po raz pierwszy w życiu, choć wcześniej słyszał już o nim, dzięki czemu mógł go rozpoznać nawet w niemal zupełnej ciemności, rozjaśnionej jedynie żarzącymi się punkcikami papierosów.

Pilot nie miał czapki, więc nie zasalutował, tylko skłonił lekko głowę. Nigdy wcześniej nie chylił głowy przed nikim, a już na pewno nie przed Murzynem, i nie bardzo wiedział, dlaczego uczynił to właśnie teraz.

— Jestem kapitan van Cleef — powiedział po angielsku z wyraźnym afrykanerskim akcentem.

Murzyn także skinął głową, przy czym jego bujna czarna broda otarła się o materiał polowego munduru.

— To niezbyt dobra pora na nocne loty, kapitanie van Cleef — zauważył sucho. — I trochę za późno na dostawę wyposażenia.

Mówił powoli, niskim głosem, z akcentem właściwym człowiekowi, który ukończył szkołę publiczną w Anglii, nie mieszkańcowi Czarnej Afryki. Van Cleef poczuł się niezbyt pewnie i po raz kolejny zadał sobie pytanie, po co tu właściwie przyleciał.

— Nie przywiozłem żadnego wyposażenia, panie generale. Już nic nam nie zostało.

Kolejny precedens. Przysiągł sobie, że nie będzie mówił do tego człowieka „panie generale”. Nie do czarnucha. Wymknęło mu się. Najemnicy, których spotykał w hotelowym barze w Libreville, mieli rację: ten był zupełnie inny.

— W takim razie po co pan przyleciał? — zapytał łagodnie generał. — Może po dzieci? Jest ich tutaj sporo, i siostry chciałyby wywieźć je w bezpieczne miejsce, a nie spodziewamy się już żadnego samolotu Caritasu.

Van Cleef pokręcił głową, po czym natychmiast uświadomił sobie, że w ciemności nikt nie dostrzeże tego gestu. Był zakłopotany i cieszył się, że tego także nikt nie widzi. Otaczający go ochroniarze zacisnęli mocniej dłonie na pistoletach maszynowych i nadal wpatrywali się w niego uważnie.

— Nie. Przyleciałem po pana. Rzecz jasna, o ile zechce pan skorzystać z oferty.

Zapadło długie milczenie. Pilot czuł na sobie ciężkie spojrzenie Murzyna, a od czasu do czasu w blasku papierosa dostrzegał także błysk jego oczu.

— Rozumiem — powiedział wreszcie generał. — Czy działa pan na polecenie swojego rządu?

— Nie — odparł van Cleef. — To mój pomysł.

Ponownie zapadła cisza. Brodaty mężczyzna kilka razy skinął głową, co mogło oznaczać zarówno zrozumienie, jak i zdziwienie.

— Jestem panu bardzo wdzięczny — przemówił po dłuższym czasie. — Odbył pan niebezpieczną podróż. Tak się jednak składa, że mam własny środek transportu — tę superconstellation. Mam nadzieję, że zdoła mnie stąd wywieźć.

Van Cleef poczuł ogromną ulgę. Trudno było wyobrazić sobie polityczne reperkusje, które nastąpiłyby, gdyby wrócił do Libreville z generałem.

— Zaczekam, aż pan wystartuje — powiedział, skinąwszy ponownie głową. Przez chwilę miał ochotę uścisnąć dłoń Murzyna, ale nie był pewien, czy powinien to robić. Nie wiedział, że generał zastanawia się nad tym samym. Po krótkim wahaniu odwrócił się i poszedł z powrotem do samolotu.

W grupie czarnoskórych mężczyzn zapadła cisza.

— Dlaczego facet z Afryki Południowej, a w dodatku biały, miałby robić coś takiego? — zapytał wreszcie jeden z nich.

Generał uśmiechnął się, błyskając w ciemności zębami.

— Wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiemy — odparł. Zapłonęła zapalka, wydobywając na chwilę z mroku twarze

mężczyzn. Pośrodku stał generał, wyższy od prawie wszystkich ludzi ze swojej obstawy, mocno zbudowany, o szerokiej piersi i ramionach, łatwy do odróżnienia nawet z daleka dzięki gęstej czarnej brodzie, którą znał już niemal cały świat.

Pokonany, w obliczu wygnania, o którym wiedział, że będzie samotne i upokarzające, wciąż był wodzem. Otoczony przez doradców i ministrów i jak zwykle trochę zamknięty w sobie. Samotność jest ceną, jaką trzeba zapłacić za władzę, ale on nie miał nic przeciwko temu.

Przez dwa i pół roku, czasem wyłącznie dzięki sile własnej osobowości, udawało mu się utrzymać jedność milionów swoich zwolenników i walczyć z federalnym rządem. Wszyscy eksperci przewidywali, że utrzymają się tylko kilka tygodni, najwyżej dwa miesiące. Oni jednak, mimo niesprzyjających okoliczności, okrażeni i osaczeni, walczyli nadal, głodni, lecz niepokonani.

Wrogowie kwestionowali fakt, że naród pragnie jego przywództwa, ale naoczni świadkowie zdarzeń na miejscu nie mieli żadnych wątpliwości. Nawet teraz, po ostatecznej klęsce, kiedy jechał na lotnisko, mieszkańcy wiosek gromadzili się po obu stronach błotnistej drogi, by dać wyraz swojej wierności. Kilka godzin wcześniej, podczas ostatniego posiedzenia gabinetu, ministrowie przegłosowali wniosek, żeby opuścić kraj. Należy się spodziewać surowych represji, powiedział przedstawiciel większości, i jeśli generał pozostanie na miejscu, będą one stokroć okrutniejsze. Właśnie dlatego postanowił wyjechać — on, człowiek, który zgodnie z decyzją rządu federalnego miał być martwy jeszcze przed wschodem słońca. Obok stał jego najbardziej zaufany współpracownik, jeden z tych, których lojalność nie ulegała żadnej wątpliwości. Niewielkiego wzrostu uczony o siwiejących włosach, doktor Okoye. Zdecydował się pozostać tu, w kraju, i ukryć się w dżungli, aby przeczekać pierwszą falę prześladowań, a potem wrócić do domu. Obaj mężczyźni ustalili, że zaczekają pół roku i dopiero potem spróbują ponownie nawiązać kontakt.

Pięciu najemników w land roverze obserwowało majaczącą w ciemności sylwetkę pilota, który wracał do maszyny. Ich dowódca siedział obok czarnego kierowcy. Wszyscy palili papierosy.

— To na pewno południowoafrykański samolot — powiedział dowódca, po czym odwrócił się do jednego z czterech białych, którzy przycupnęli w tylnej części samochodu. — Janni, skocz do pilota i zapytaj go, czy znalazłoby się miejsce dla nas.

Z land rovera wysiadł wysoki kościsty mężczyzna o kanciastej sylwetce. Podobnie jak pozostali miał na sobie polowy mundur w kolorach ochronnych i takie same wysokie płócienne buty z cholewami. U jego pasa wisiała manierka z wodą, składany nóż oraz trzy puste ładownice na amunicję do przewieszzonego przez ramię pistoletu maszynowego.

— Zostaw broń. — Dowódca wyciągnął rękę po pistolet. — I postaraj się, dobra? Jeżeli nie odlecimy stąd tym wrakiem, za kilka dni możemy trafić do kotła.

Mężczyzna imieniem Janni skinął głową, poprawił beret i niespiesznie ruszył w kierunku

samolotu. Gumowe podeszwy nie czyniły na betonowej nawierzchni najmniejszego hałasu.

— Naand, meneer.

Na dźwięk ojczystego języka van Cleef odwrócił się raptownie i zmierzył spojrzeniem mężczyznę. Mimo głębokiej ciemności bez trudu dostrzegł umieszczony na jego ramieniu emblemat; czaszka i skrzyżowane piszczele.

— Naand. Jy Afrikaans'! Najemnik skinął głową.

— Jan Dupree — przedstawił się i wyciągnął rękę.

— Kobus van Cleef — odparł pilot. Wymienili uścisk dłoni.

— Waar gaan — jy noul — zapytał Dupree.

— Do Libreville, jak tylko skończą załadunek. A ty? Janni Dupree wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Znalazłem się w kropce, tak samo jak moi kumple. Jeśli tamci nas dorwą, zrobią z nas rąbankę. Mógłbyś nam pomóc?

— Ilu was jest?

— Pięciu.

Van Cleef, także najemnik, nie wahał się ani przez chwilę. Ludzie wyjęci spod prawa czasem pomagają sobie w potrzebie.

— Zgoda, wsiadajcie. Ale pośpieszcie się. Startujemy zaraz po tej constellation.

Dupree podziękował skinieniem głowy i wrócił truchtem do land rovera. Czterej biali stali przy masce samochodu.

— W porządku, ale musimy już wsiadać — poinformował ich.

— Dobra — odparł dowódca. — Rzućcie graty do wozu i w drogę. — Kiedy pistolety maszynowe i ładownice wylądowały z łoskotem z tyłu, nachylił się do siedzącego za kierownicą czarnego podporucznika. — Musimy się zwijać — powiedział. — Utop samochód w rzece, zakop broń i zaznacz miejsce, a potem zdejmij mundur i ukryj się w dżungli. Zrozumiałeś?

Podporucznik, który zgłosił się na ochotnika będąc w ostatniej klasie szkoły średniej i przez cały rok walczył w oddziale dowodzonym przez najemników, kiwnął ponuro głową.

— Do widzenia, Patrick — dodał najemnik. — Obawiam się, że już po wszystkim.

Ciemnoskóry chłopak spojrzał mu w oczy.

— Może — odparł. — Może ma pan rację.

— Dalsza walka nie ma sensu.

— Teraz rzeczywiście nie — zgodził się podporucznik i wskazał w stronę stopni superconstellation, gdzie generał i towarzyszące mu osoby zegnali się z tymi, którzy mieli pozostać na miejscu. — Najważniejsze, że jemu nic się nie stało. To dobrze. Nadal jest naszym przywódcą. Dopóki on żyje, nie zapomnimy. Nic nie powiemy ani nie zrobimy, ale będziemy pamiętać. — Uruchomił silnik land rovera. — Do widzenia! — zawołał.

Czterej najemnicy odpowiedzieli na pożegnanie i pierwsi ruszyli w kierunku transportowca.

Dowódca już ich doganiał, kiedy z gęstwiny drzew rosnących na skraju lotniska wyłoniły się dwie zakonnice.

— Majorze!

Najemnik odwrócił się i rozpoznał w jednej z nich siostrę, którą spotkał kilka miesięcy temu, kiedy walki dotarły w pobliże kierowanego przez nią szpitala, a on musiał zorganizować ewakuację pacjentów i personelu.

— Siostra Maria Józefa! Co siostra tutaj robi?

Niemłoda irlandzka zakonnica chwyciła go za rękaw munduru i przez dłuższą chwilę tłumaczyła coś poważnym tonem.

— Spróbuję — powiedział, kiedy skończyła. — Nic więcej nie mogę obiecać.

Poszedł przez płytę lotniska w stronę, gdzie pod skrzydłem swojego samolotu stał południowoafrykański pilot. Dwaj mężczyźni rozmawiali przez kilka minut, po czym najemnik wrócił do czekających na niego zakonnic.

— Zgodził się, ale musicie się pośpieszyć. Chce wystartować jak najszybciej.

— Niech Bóg pana błogosławi! — odparła siostra w białym habicie i wydała polecenia swojej towarzyszce, która natychmiast pobiegła do samolotu i wspięła się po krótkiej drabince prowadzącej do drzwi dla pasażerów. Irlandka zniknęła na chwilę wśród drzew, a po chwili z dżungli wyszło kilkunastu mężczyzn z jakimiś zawiniątkami w ramionach. Zawiniątka jedno po drugim trafiały do rąk siostry stojącej na drabince. Drugi pilot przyglądał się przez chwilę, jak zakonnica układa je na podłodze kabiny, a potem burknął coś pod nosem i zaczął odbierać ciężary z wyciągniętych rąk i podawać je kobiecie do wnętrza maszyny.

— Niech pana Bóg błogosławi — szepnęła zakonnica.

Jedno z zawiniątek zanieczyściło rękaw marynarki drugiego pilota płynnym, zielonym kałem.

— Cholera! — warknął, ale nie przerwał pracy. Osamotniony dowódca najemników spojrzął w kierunku superconstellation. Grupa uciekinierów, składająca się głównie z członków rodzin pokonanych przywódców, wchodziła właśnie po schodkach do samolotu. W przyćmionym blasku sączącym się z kabiny dostrzegł tego, kogo szukał.

— Pan, iść major Shannon — powiedział jeden z ludzi szykujących się do odciążenia schodków.

Generał odwrócił się. Nawet teraz zdołał zdobyć się na uśmiech.

— Więc jak, Shannon? Leci pan z nami?

Shannon zsalutował, a generał odpowiedział w ten sam sposób.

— Dziękuję panu, ale mamy transport do Libreville. Chciałem się tylko pożegnać.

— Tak... To była długa walka. Obawiam się, że już się skończyła. Przynajmniej na kilka lat. Trudno mi uwierzyć, żeby mój naród miał już na zawsze pozostać w niewoli. Aha, przy okazji: czy pan i pańscy koledzy otrzymaliście wynagrodzenie ustalone w kontrakcie?

— Tak. Dziękuję, panie generale. Wszystko zostało uregulowane. Murzyn skinął ponuro głową.

— W takim razie do widzenia. Jestem wam wdzięczny za wszystko, co zdołaliście zrobić.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

— Jeszcze jedno, panie generale — powiedział Shannon. — Rozmawiałem z chłopcami w samochodzie i gdyby... To znaczy, gdyby jeszcze kiedyś pan nas potrzebował, proszę dać znać. Wszyscy przylecimy. Wystarczy nas zawiadomić. Chłopcy chcieli, żeby pan o tym wiedział.

Przez kilka sekund generał wpatrywał się w niego bez słowa.

— Ta noc jest pełna niespodzianek — powiedział wreszcie powoli. — Może pan jeszcze o tym nie wie, ale połowa moich doradców i wszyscy co zamożniejsi sojusznicy mają zamiar jeszcze tej nocy przekraść się przez linię frontu i zaoferować swe usługi przeciwnikowi. A wielu jeszcze uczyni to samo najdalej w ciągu miesiąca. Dziękuję za pańską propozycję, panie Shannon. Nie zapomnę o niej. Ale co będzie z wami? Co teraz poczną najemnicy?

— Będziemy musieli rozejrzeć się za jakąś robotą.

— Kolejna wojna, majorze Shannon?

— Kolejna wojna, generale.

— Ale zawsze czyjaś.

— Takie już jest nasze życie — odparł Shannon.

— I myśli pan, że pan i pańscy ludzie będziecie znowu walczyć?

— Tak jest, będziemy walczyć. Generał roześmiał się cicho.

— Zakrzyknie: Groza! i spuści ze smyczy psy wojny... — mruknął.

— Proszę?

— To Szekspir, panie Shannon, tylko krótki cytat z Szekspira. Cóż, muszę już iść. Pilot czeka. Jeszcze raz do widzenia i życzę szczęścia.

Odwrócił się i wspiał po schodkach do słabo oświetlonego wnętrza samolotu. W tej samej chwili ożył pierwszy z czterech silników superconstellation. Shannon cofnął się o krok i po raz ostatni oddał honory człowiekowi, który przez minione półtora roku korzystał z jego usług.

— Nawzajem — mruknął do siebie. — Będzie go pan potrzebował.

Odwrócił się i ruszył do stojącego nie opodal DC-4. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, van Cleef uruchomił silniki, lecz zaczekał, aż ledwo widoczny w ciemności obły kształt superconstellation oderwie się od pasa startowego. Oba samoloty miały wyłączone światła, lecz mimo to Afrykaner dostrzegł trzy pionowe stateczniki większej maszyny, która wzbijała się nad wierzchołki drzew i skierowała na południe, by niemal natychmiast zniknąć w warstwie opiekuńczych chmur. Dopiero wtedy zwolnił hamulce i skierował transportowiec na początek pasa. Godzinę później poleciał drugiemu pilotowi, by włączył oświetlenie kabiny. Przez tę godzinę przeskakiwał od chmury do chmury, przemykał się przez niższe warstwy altostratusów, a przede wszystkim unikał blasku księżyca, który mógłby zdradzić ich obecność jakiemś grasującemu w górze MiGowi. Odprężył się dopiero wtedy, kiedy nabrał pewności, że znajduje się nad zatoką, a brzeg został daleko w tyle.

Zapalone w kabinie światło wydobyło z ciemności obraz, który mógłby namalować Dorel w przyptywie szczególnie ciężkiej melancholii. Podłoga była usłana brudnymi, cuchnącymi kocami, na nich zaś leżała w rzędach po obu stronach przestrzeni ładunkowej zawartość niedawnych zawiniątek: czterdzieścioro małych dzieci, wychudzonych, wyniszczonych i zniekształconych z niedożywienia. Przycupnięta w pobliżu drzwi siostra Maria Józefa podniosła się i zaczęła krążyć wśród wygłodzonych dzieci. Każde z nich miało przyklejony do czoła plaster z wypisanymi długopisem informacjami, które mogły się przydać w sierocińcu pod Libreville. Informacje składały się z imienia i kolejnego numeru. Na skutek anemii włosy wszystkich dzieci już dawno straciły naturalną czerń, miały barwę wyblakłej ochry.

Pięciu najemników uniosło brwi i spojrzało na współpasażerów. W ciągu minionych miesięcy wiele razy oglądali podobne widoki. Każdy z nich odczuwał lekką odrazę, lecz żaden nie dał tego po sobie poznać. Po pewnym czasie do wszystkiego można się przyzwyczaić, szczególnie po Kongu, Jemenie, Katandze i Sudanie. Zawsze ta sama historia: dzieci. I nigdy nic nie można na to poradzić. Tym razem było dokładnie tak samo, więc sięgnęli po papierosy. W świetle, które zabłyśło w kabinie, mogli zobaczyć się nawzajem po raz pierwszy od zachodu słońca poprzedniego dnia. Na ich mundurach widniały plamy potu i smugi czerwonej ziemi, twarze zaś były wykrzywione zmęczeniem. Dowódca siedział oparty plecami o drzwi toalety, z wyciągniętymi nogami, spoglądając przez cały samolot w kierunku kabiny pilotów. Carlo Alfred Thomas Shannon, lat trzydzieści trzy, jasne włosy obcięte trochę krzywo, ale po wojskowemu. W tropikalnym klimacie krótkie włosy są bardzo wygodne, pot może szybciej z nich spływać i łatwiej pozbyć się robactwa. Cat urodził się w hrabstwie Tyrone w Ulsterze, ale mówił bez północnoirlandzkiego akcentu, ponieważ ojciec posłał go do taniej angielskiej szkoły. Po pięciu latach spędzonych w szeregach królewskich marines pożegnał się z wojskiem, by zakosztować cywilnego życia, i sześć lat temu wylądował w Ugandzie jako pracownik firmy handlowej, która miała główną siedzibę w Londynie. Pewnego słonecznego poranka zamknął księgi rachunkowe, wsiadł do land rovera i pojechał na zachód w kierunku granicy

z Kongiem. Tydzień później w Stanleyville zaciągnął się jako najemnik do Piątego Komanda Mike'a Hoare'a.

Był świadkiem odejścia Hoare'a i przybycia John-Johna Petersa, z którym ściał się wkrótce potem, podążył więc na północ, by przyłączyć się w Paulis do Denarda. Dwa lata później brał udział w buncie w Stanleyville, a kiedy odwieziono do Rodezji rannego w głowę Francuza, dołączył do Czarnego Jacques'a Schramme'a, belgijskiego plantatora-najemnika, z którym odbył długi marsz do Bukavu, a stamtąd do Kigali. Ewakuowany przez Czerwony Krzyż, zaraz potem zgłosił się na kolejną afrykańską wojnę i wreszcie otrzymał własne komando — jednak za późno, żeby zwyciężyć. Zawsze za późno.

Teraz, gdy DC-4 głośno warcząc leciał w kierunku Libreville, siedział oparty plecami o drzwi toalety i rozmyślał o minionych osiemnastu miesiącach. Myślenie o przyszłości nastęrczało znacznie więcej kłopotów, gdyż zapewniając generała, że wraz ze swoimi ludźmi już wkrótce weźmie udział w jakiejś nowej afrykańskiej wojnie, kierował się bardziej optymizmem niż konkretną wiedzą. W gruncie rzeczy nie miał zielonego pojęcia, gdzie znajdzie następną robotę. Ale, choć tej nocy w samolocie nie mógł jeszcze nic o tym wiedzieć, on

i jego towarzysze mieli niebawem ponownie znaleźć się w samym środku wojennej rozgrywki i przed ostateczną klęską wstrząsnąć fundamentami wielu potężnych budowli.

Po lewej ręce Shannona siedział jeden z najlepszych specjalistów od mózdzierzy na północ od Zambezi. Wielki Jan Dupree miał dwadzieścia osiem lat i pochodził z Paarl w Kraju Przylądkowym, a był potomkiem zubożałych hugenotów, którzy przed ponad trzystu laty uciekli z Francji na Przylądek Dobrej Nadziei przed gniewem Mazarina. Jego pociągła twarz o wąskich ustach zdominowana przez łuk nosa, miała teraz rysy jeszcze ostrzejsze niż zazwyczaj, gdyż zmęczenie wyłobilo mu w policzkach głębokie bruzdy. Bładoniebieskie oczy były zamknięte, a na jasnych brwiach i włosach widniały brudne smugi. Uniósł na chwilę powieki, spojrzął na dzieci leżące po obu stronach kabiny, mruknął Bliksems (dranie), wyrażając tym samym swój stosunek do świata własności i przywilejów, który obarczał odpowiedzialnością za zło panoszące się na planecie, po czym spróbował zasnąć. Obok niego rozłożył się Marc Vlaminc, Mały Marc, zwany tak z powodu swojego słusznego wzrostu. Ten Flamand z Ostendy mierzył sobie w skarpetkach (o ile akurat miał je na nogach) równo sto dziewięćdziesiąt centymetrów i ważył sto dwadzieścia kilogramów. Niektórzy uważali go za otyłego, ale to była nieprawda. Policjantom z Ostendy, w zdecydowanej większości spokojnym ludziom, którzy woleli unikać kłopotów, drżały łydki na jego widok. Cieszył się też wielkim poważaniem wśród tamtejszych stolarzy i szklarzy, bo bezustannie zapewniał im zatrudnienie. Im lepiej Mały Marc bawił się w jakimś barze, tym więcej trzeba było rzemieślników, żeby doprowadzić lokal do stanu używalności.

Jako sierota wychowywał się w domu dziecka prowadzonym przez księży, którzy usiłowali wbić trochę rozsądku do głowy nadmiernie wyrośniętego chłopca. Czynili to tak często, że wreszcie Marc stracił cierpliwość i w wieku trzynastu lat celnym ciosem znokautował jednego z wymachujących kijem ojczulków.

Potem odwiedzał kolejno kilka poprawczaków, przez jakiś czas uczęszczał do szkoły specjalnej, przebywał w więzieniu dla nieletnich, aż wreszcie — ku ogromnej uldze całego miasta — wstąpił do komandosów. Był jednym z pięciuset ludzi, którzy wraz z pułkownikiem Laurentem dokonali desantu na Stanleyville i uratowali misjonarzy, których miejscowy wódz Christophe Gbenye miał zamiar upiec żywcem na centralnym placu miasteczka.

W czterdzieści minut po zrzucie desantu na teren lotniska Stanleyville Mały Marc przekonał się, że oto odnalazł swoje powołanie, tydzień później zaś zdezerterował, aby uniknąć powrotu do koszar

w Belgii. Został najemnikiem. Mały Marc nie tylko dysponował potężną siłą, ale także znakomicie radził sobie z bazooką; była to jego ulubiona broń, a obchodził się z nią z taką nonszalancją, z jaką nastolatek obchodzi się z rurką do strzelania plastelinowymi kulkami.

Tej nocy, kiedy wraz z kolegami wsiadł do samolotu lecącego do Libreville, ukończył trzydzieści lat.

Po drugiej stronie przejścia wiodącego przez całą długość kadłuba, dokładnie naprzeciwko Belga, siedział trzydziestojednoletni Jean-Baptiste Langarotti. Niski i szczupły, o oliwkowej cerze, był Korsykaninem urodzonym i wychowanym w miasteczku Calvi. W wieku, osiemnastu lat został wezwany przez Francję, by walczyć w Algierii jako jeden ze stu tysięcy powołanych. Po odsłużeniu połowy z przepisowych osiemnastu miesięcy podpisał zawodowy kontrakt, a wkrótce potem trafił do 10 Kolonialnego Pułku Spadochroniarzy, siejących grozę czerwonych беретów generała Massu, znanych powszechnie jako les paras. Miał dwadzieścia jeden lat w chwili przełomu, kiedy to część francuskiej zawodowej armii kolonialnej opowiedziała się za Algierią francuską na zawsze, czyli za sprawą, o którą walczyła OAS. Langarotti przeszedł na stronę OAS, zdezerterował, a po fiasku puczu, którego próbowano dokonać w kwietniu 1961 roku, zszedł do podziemia. Trzy lata później, mimo że przybrał fałszywe nazwisko, został schwytany we Francji, a następnie spędził cztery lata w więzieniu, gryząc pręty krat w mrocznych celach najpierw w Sante w Paryżu, potem w Tours, a wreszcie na Ile de Re. Był niesfornym więźniem, czego dowody dwaj strażnicy mieli nosić na ciele do końca życia.

Kilka razy pobity do nieprzytomności za ataki na strażników, odsiedział cały wyrok i wyszedł na wolność w roku 1968, bojąc się tylko jednej rzeczy na świecie: małych zamkniętych pomieszczeń. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie wróci za kratki, nawet gdyby miał przyplacić to życiem, a gdyby policjanci zjawili się, żeby go zamknąć, zabierze ze sobą co najmniej kilku z nich. W niecałe trzy miesiące potem sobie tylko znanym sposobem przedostał się do Afryki, załapał się na wojnę i dołączył do Shannona jako zawodowy najemnik. Od chwili odzyskania wolności doskonalił się bez przerwy w posługiwaniu bronią, której używał najpierw jako chłopiec na Korsyce, a która potem przysporzyła mu niemałej sławy w mrocznych uliczkach Algieru. Na przegubie lewej ręki nosił skórzany pas do ostrzenia brzytw. W wolnych chwilach odwracał go na drugą stronę i przesuwiał na pięść — tak właśnie uczynił teraz, w samolocie lecącym do Libreville. W prawej dłoni trzymał nóż o piętnastocentymetrowym ostrzu i kościanej rękojeści, którym potrafił posługiwać się tak szybko, że często udawało mu się schować go do ukrytej w rękawie pochwy, jeszcze zanim ofiara zorientowała się, że została ugodzona. Klinga, i tak już ostra jak brzytwa, przesuwiała się w jednostajnym rytmie po skórzanym pasie. Ta czynność kołała mu nerwy, irytując jednocześnie wszystkich dokoła. Mimo to nikt nigdy nie protestował; tych, którzy go znali, nie zwodził jego łagodny głos i smutny półśmiech. Lepiej było nie wchodzić mu w drogę.

Wciśnięty między Langarottiego i Shannona siedział najstarszy członek oddziału. Kurt Semmler był Niemcem, miał czterdzieści lat i to właśnie on wymyślił znak składający się z trupiej główki i skrzyżowanych piszczeli, który nosili na mundurach zarówno jego koledzy, jak i ich afrykańscy wychowankowie. On również oczyścił ponad siedmiokilometrowy odcinek z żołnierzy rządu federalnego, oznaczając linię frontu ich głowami nabitymi na tyki. Przez następny miesiąc aktywność nieprzyjaciela w tym rejonie spadła niemal do zera. Urodzony w 1930 roku w rodzinie monachijskiego inżyniera dorastał w hitlerowskich Niemczech. Jego ojciec, funkcjonariusz Organizacji Todta, zginął na froncie wschodnim.

W wieku piętnastu lat, jako pełen zapału członek Hitlerjugend — po dwunastu latach rządów Fuhrera nie różnił się ani trochę od całej niemieckiej młodzieży — został mianowany dowódcą

niewielkiego oddziału złożonego z młodszych od siebie dzieci i ponad siedemdziesięcioletnich mężczyzn. Dysponowali jednym panzerfaustem i trzema przestarzałymi karabinami, ich zadanie zaś miało polegać na powstrzymaniu czołgów generała Pattona. Rzecz jasna, zadanie nie zostało wykonane, a Kurt spędził lata młodości w Bawarii pod okupacją znienawidzonych Amerykanów. Nie poświęcał zbyt wiele czasu swojej matce, religijnej fanatyczce, która chciała, żeby został księdzem. W wieku siedemnastu lat uciekł z domu, przekroczył koło Strasburga francuską granicę i zgłosił się do punktu werbunkowego Legii Cudzoziemskiej. Jego zadanie miało polegać na wyłapywaniu zbiegłych Niemców i Belgów. Po roku spędzonym w Sidibel-Abbes został wysłany wraz z siłami ekspedycyjnymi do Indochin. W rok i jedno Dien Bien Phu później, już bez płuca, które usunęli mu chirurdzy w Danang, odesłano go z powrotem do Francji, oszczędzając w ten sposób konieczności oglądania ostatecznego upokorzenia w Hanoi. Po rekonwalescencji wysłano go w 1958 roku do Algierii jako sierżanta najbardziej elitarnego oddziału francuskiej armii kolonialnej, to znaczy 1. Regimentu Spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. Należał do nielicznych, którzy ocalili po dwukrotnym, niemal całkowitym rozbiciu Regimentu w Indochinach. Poważał tylko dwóch ludzi: pułkownika Rogera Faulques, dowodzącego Regimentem — wtedy jeszcze Kompanią — podczas pierwszej masakry, oraz komendanta le Bras, także weterana, stojącego obecnie na czele Gwardii Republikańskiej Gabonu i pilnującego, aby to zasobne w złoża uranu państwo nie znalazło się poza zasięgiem wpływów Francji. Nawet pułkownik Marc Rodin, dawny dowódca Semmlera, stracił jego szacunek, kiedy OAS poniosła ostateczną klęskę.

Semmler służył w 1. Regimentzie, kiedy jego oddział został wybity niemal do nogi podczas algierskiego puczu, a następnie rozwiązany przez Charles'a de Gaulle'a. Kurt podążył za swoimi francuskimi oficerami, ukrywał się, ale w 1962 roku został zdemaskowany w Marsylii i musiał odsiedzieć dwa lata w więzieniu. Przed wyższym wyrokiem uchroniły go cztery rzędy bojowych odznaczeń na mundurze. Kiedy w 1964 roku wyszedł na wolność — po raz pierwszy od dwudziestu lat jako cywil — był towarzysz niedoli z celi zaproponował mu wspólny udział w operacjach przemytniczych wokół Morza Śródziemnego. Przez kolejne trzy lata — nie licząc jednego roku, spędzonego we włoskim więzieniu — przewoził alkohol, złoto, a czasem broń z jednego końca Morza Śródziemnego na drugi. Właśnie zaczął się dorabiać sporej fortuny na nielegalnym handlu papierosami między Włochami a Jugosławią, kiedy jego partner oszukał zarówno sprzedających, jak i kupujących, zwałił całą winę na Semmlera, po czym zniknął z pieniędzmi.

Ścigany przez niezbyt pokojowo usposobionych dżentelmenów, Semmler uciekł drogą morską do Hiszpanii, przesiadając się z autobusu do autobusu dotarł do Lizbony, skontaktował się z przyjacielem trudniącym się handlem bronią i przedostał się do Afryki, by wziąć udział w wojnie, o której czytał w gazetach. Shannon przyjął go do oddziału z otwartymi ramionami, ponieważ Kurt ze swoim szesnastoletnim doświadczeniem wiedział o walce w dżungli więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci. Teraz, podczas lotu do Libreville on także zapadł w drzemkę.

Kiedy DC-4 rozpoczął pierwsze okrążenie nad lotniskiem, do świtu pozostały jeszcze dwie godziny. W kabinie ponad zawodzenie dzieci wybijał się inny odgłos, odgłos gwizdania. To gwizdał Shannon. Jego koledzy wiedzieli, że zawsze gwizdże przed i po akcji. Wiedzieli również — bo sam im to powiedział — że melodia nosi tytuł „Hiszpański Harlem”.

DC-4 dwukrotnie okrążył port lotniczy w Libreville. Kiedy wreszcie stary samolot wylądował i dotoczył się do końca pasa, przed jego dziób zajechał wojskowy jeep z dwoma francuskimi oficerami. Jeden z nich dał znak van Cleefowi, żeby kołował za nimi.

Dopiero gdy znalazł się z dala od głównego budynku portu lotniczego, pilot otrzymał sygnał, żeby zatrzymać maszynę, ale nie wyłączać silników. W ciągu kilku sekund przystawiono do drzwi

metalowe schodki, a kiedy drugi pilot je otworzył, ukazała się w nich głowa w kepi. Francuz zmarszczył z obrzydzeniem nos, dostrzegłszy pięciu najemników skinął na nich, by zeszli za nim na płytę lotniska, a kiedy się na niej znaleźli, pozwolił drugiemu pilotowi zamknąć drzwi. DC-4 natychmiast potoczył się po betonie w kierunku głównego budynku, gdzie grupa pielęgniarek i lekarzy z Francuskiego Czerwonego Krzyża czekała, by zająć się dziećmi. Najemnicy pomachali z wdzięcznością widocznej za szybą kabiny pilotów twarzy van Cleefa, a następnie ruszyli za francuskim oficerem.

W baraku na skraju lotniska musieli spędzić godzinę na beczynnym oczekiwaniu. Co pewien czas do wnętrza zaglądali młodzi żołnierze, pragnący zobaczyć na własne oczy les Affreux, Okrutników. Wreszcie zapiszczały hamulce jeepa i z korytarza dobiegło stukanie obcasów prężących się na baczność żołnierzy. Drzwi otworzyły się i do pomieszczenia wszedł wysoki rangą oficer o ogorzalej surowej twarzy, w tropikalnym mundurze i kepi ze złocistym otokiem. Shannon obrzucił szybkim spojrzeniem żywe, czujne oczy, krótko ostrzyżone stalowoszare włosy, odznakę spadochroniarza przypiętą nad pięcioma rzędami baretek, a kiedy ujrzał, że Semmler stanął w postawie zasadniczej, z brodą wysuniętą do przodu i dłońmi przyciśniętymi do szwów spodni polowego munduru, natychmiast domyślił się, kim jest przybyły: był to legendarny le Bras.

Weteran z Indochin i Algierii uściśnął wszystkim dłonie, zatrzymując się nieco dłużej przy Semmlerze.

— Alors, Semmler? — powiedział cicho, z lekkim uśmiechem. — Wciąż w walce. Ale już nie adiutant, jak widzę, tylko kapitan.

Semmler był wyraźnie zażenowany.

— Oui, mon commandant... pardon, mon colonel. Tylko chwilowo. Le Bras kilkakrotnie skinął w zadumie głową, po czym zwrócił się do wszystkich:

— Otrzymacie wygodne kwatery. Na pewno chcecie się wykapać, ogolić i coś zjeść. Przypuszczam, że nie macie innych ubrań, więc zostaną wam dostarczone. Obawiam się, że przez pewien czas nie będziecie mogli opuszczać kwater. To tylko środek ostrożności, bo w mieście roi się od dziennikarzy, a wy musicie unikać jakiegokolwiek kontaktu z nimi. Zostaniecie przewiezieni do Europy, kiedy tylko będzie to możliwe.

Było to wszystko, co miał do powiedzenia. Podniósł prawą rękę do daszka kepi i wyszedł.

Godzinę później, po krótkiej podróży zamkniętą ciężarówką, cała piątka znalazła się w swoich kwaterach, to znaczy pięciu sypialniach na najwyższym piętrze hotelu Gamba położonego zaledwie pięćset metrów od budynku dworca lotniczego, daleko od centrum miasta. Wślizgnęli się tylnym wejściem, a towarzyszący im młody oficer powiedział, że posiłki będą im dostarczane do pokoi i że muszą w nich pozostać, dopóki nie otrzymają nowych poleceń. Zaopatrzył ich także w ręczniki, brzytwy, pastę i szczoteczki do zębów, mydło oraz gąbki. Zjawiała się i kawa, a mężczyźni z westchnieniem ulgi zanurzyli się w wannach z gorącą wodą. Była to ich pierwsza prawdziwa kąpiel od ponad sześciu miesięcy.

W samo południe przyszedł wojskowy fryzjer i porucznik z naręczem spodni, koszul, bielizny, skarpet, piżam oraz butów. Każdy wybrał sobie to, co mu pasowało, po czym porucznik zniknął z resztą garderoby. Powrócił o pierwszej, prowadząc ze sobą czterech kelnerów z obiadem. Poradził najemnikom, żeby trzymali się z dala od balkonów. Jeżeli chcą trochę poćwiczyć, muszą robić to w pokojach. Zapowiedział też, że wieczorem przyniesie im coś do czytania, choć nie może obiecać, że będą to książki i czasopisma angielskie albo w języku afrykanerskim. Po posiłku, który przewyższał wszystko, co jedli przez minione pół roku, cała piątka zwała się do łóżek i zapadła w głęboki sen. Podczas gdy najemnicy chrapali na zdumiewająco miękkich materacach w niewiarygodnie czystej

pościeli, van Cleef poderwał w górę dziób swojego DC-4, przeleciał kilka mil od hotelu Gamba i w zapadającym zmierzchu skierował maszynę na południe, w stronę Caprivi i Johannesburga. Jego zadanie zostało wykonane.

Spędzili cztery tygodnie na ostatnim piętrze hotelu. W tym czasie zainteresowanie prasy ich osobami znacznie osłabło, a reporterzy wrócili do redakcji, odwołani przez szefów, którzy nie widzieli potrzeby utrzymywania ludzi w miejscu, gdzie nic się nie działo. Któregoś wieczoru, nie zapowiedziany, w hotelu Gamba zjawił się kapitan ze sztabu komendanta le Brasa.

— Panowie, mam dla was nowinę — oznajmił z szerokim uśmiechem. — Dziś w nocy lecicie do Paryża. Oto bilety na samolot Air Afrique odlatujący o dwudziestej trzeciej trzydzieści.

Pięciu mężczyzn, śmiertelnie znudzonych przymusową beczynnością, zareagowało głośnym wybuchem radości.

Podróż do Paryża trwała dziesięć godzin, z przerwami w Douala i Nicei. Nazajutrz tuż przed dziesiątą najemnicy wyszli w hałaśliwy, zimny poranek na lotnisku le Bourget. Pożegnanie odbyło się w kawiarence dworca lotniczego. Dupree postanowił pojechać autobusem na Orły i kupić bilet na najbliższy lot South African Airways do Johannesburga i Kapsztadu. Semmler także miał zamiar udać się w tamtą stronę, ale najpierw musiał złożyć wizytę w Monachium. Vlaminck powiedział, że na Gare du Nord wsiądzie do pierwszego ekspresu odjeżdżającego do Brukseli, gdzie złapie pociąg do Ostendy. Langarotti wybierał się na Gare de Lyon, a stamtąd do Marsylii.

Postanowili, że będą się ze sobą kontaktować, po czym spojrzeli na Shannona. Był ich dowódcą i na jego barkach spoczywał ciężar znalezienia im nowej pracy, nowej wojny. Z kolei, gdyby któryś z nich usłyszał o jakiejś interesującej propozycji, powinien jak najszybciej zawiadomić pozostałych, a najlepszą skrzynką kontaktową byłby właśnie Shannon.

— Przez jakiś czas zostanę w Paryżu — powiedział. — Tutaj łatwiej znaleźć jakąś tymczasową robotę niż w Londynie.

Wymienili adresy — poste restante albo nazwy lokali, gdzie zaprzyjaźniony barman przekaże wiadomość lub przechowa list do chwili, kiedy adresat wpadnie na drinka — po czym każdy poszedł w swoją stronę.

Na lotnisku le Bourget nie czekał żaden dziennikarz, gdyż ich powrót z Afryki był otoczony ścisłą tajemnicą. Mimo to komuś udało się o nim dowiedzieć. Jakiś człowiek zaczepił Shannona przed głównym budynkiem dworca.

— Shannon!

Nazwisko zostało wymówione z francuskim akcentem, zdecydowanie nieprzyjaznym tonem. Shannon odwrócił się i zmrużył oczy na widok postaci stojącej dziesięć metrów przed nim. Mężczyzna w grubym zielonym płaszczu był tęgi, miał długie, zwisające wąsy. Ruszył w kierunku Shannona i zatrzymał się o jakieś pół metra od niego. Sądząc po sposobie, w jaki obaj mężczyźni patrzyli na siebie, nie darzyli się chyba zbyt ciepłymi uczuciami.

— Roux — powiedział Shannon.

— A więc wróciłeś — syknął Francuz.

— Tak. Wszyscy wróciliśmy.

— Przegraliście! — parsknął pogardliwie człowiek nazwiskiem Roux.

— Nie mieliśmy wyboru — odparł Shannon.

— Dam ci radę, przyjacielu — powiedział Francuz lodowatym tonem. — Wracaj do swojego kraju. Nie zostawaj tutaj. Postąpisz bardzo głupio, jeśli zostaniesz. To moje miasto. Jeśli będzie można złapać jakiś kontrakt, ja pierwszy się o tym dowiem i to ja go zdobędę. Potem sam dobiore sobie ludzi.

Shannon nie odpowiedział, tylko podszedł do pierwszej taksówki czekającej przy krawężniku i wrzucił bagaż na tylne siedzenie. Roux ruszył za nim z twarzą czerwoną od gniewu.

— Posłuchaj mnie, Shannon. Ostrzegam cię... Irlandczyk odwrócił się do niego.

— To ty mnie posłuchaj, Roux. Zostanę w Paryżu tak długo, jak będę chciał. Nie bałem się ciebie w Kongu i nie boję się teraz, więc możesz się wypchać.

Kiedy taksówka odjeżdżała, Roux odprowadził ją wściekłym spojrzeniem, po czym, mamrocząc coś gniewnie pod nosem, poszedł w kierunku samochodu, który zostawił na parkingu. Wsiadłszy do wozu przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i znieruchomiał na dłuższą chwilę, gapiąc się przez przednią szybę.

— Kiedyś zabiję tego drania... — mruknął, ale nawet ta myśl nie poprawiła mu humoru.

2

Jack Mulrooney przekręcił swoje cielsko na płóciennym łóżku pod moskitierą i spojrzał na wschód, gdzie nieprzenikniona do tej pory ciemność zaczęła się powoli rozjaśniać. Na razie różnica była niewielka — tyle że zdołał dostrzec zarysy drzew rosnących po drugiej stronie polany. Zaciągnął się papierosem, przeklął głośno otaczającą go dżunglę, po czym, podobnie jak wszyscy afrykańscy weterani, po raz kolejny zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie zdecydował się wrócić na ten zakazany kontynent.

Gdyby dobrze się nad tym zastanowił, bez wątpienia musiałby dojść do wniosku, że nie byłby w stanie zamieszkać nigdzie indziej, a już na pewno nie w Londynie czy w ogóle w Wielkiej Brytanii. Nie znosił miast, zakazów i nakazów, podatków i zimna. Jak wszyscy weterani, raz kochał Afrykę, raz jej nienawidził, ale było jasne, że przez minione ćwierć wieku weszła mu na dobre w krew razem z malarią, whisky i milionami owadzych ukąszeń.

Przyjechał z Anglii w roku 1945, mając 25 lat, po pięciu latach pracy w charakterze mechanika w RAF-ie, częściowo spędzonych w Takoradi, gdzie montował przywożone w częściach spitfire'y i przygotowywał je do samodzielnych lotów okrężną drogą do Afryki Wschodniej i na Bliski Wschód. To było jego pierwsze spotkanie z Afryką. Po demobilizacji odebrał należne pieniądze, w grudniu 1945 roku pożegnał zmarznięty, żyjący racjami żywnościowymi Londyn i wsiadł na statek płynący do Afryki Zachodniej. Ktoś mu powiedział, że można tam zdobyć fortunę. Fortuny nie zdobył, ale przemierzył niemal cały kontynent i uzyskał niewielką koncesję na wydobywanie rudy cynku na Płaskowyżu Benue, sto trzydzieści kilometrów od Jos w Nigerii. Trwała wtedy wojna na Malajach, więc ceny rudy poszły wyraźnie w górę. Pracował ramię w ramię z robotnikami z plemienia Tiv, a w angielskim klubie, gdzie kolonialne damy spędzały na plotkach ostatnie dni istnienia imperium, mówiło się, że „stubyłczał” i że zachowuje się w sposób co najmniej naganny. I rzeczywiście Mulrooney zdecydowanie polubił afrykański styl życia. Polubił busz, polubił też tubylców, którym nie przeszkadzało, że przeklina, wrzeszczy na nich i żąda, żeby ciężiej pracowali. Może dlatego, że popijał z nimi palmowe wino i przestrzegał plemiennych obyczajów. Nie zadzierał nosa. Jego koncesja wygasła w roku 1960, mniej więcej wtedy, kiedy Nigeria odzyskała niepodległość, więc zatrudnił się jako najemny pracownik w firmie eksploatującej znacznie większe i bardziej wydajne złoża. Firma ta nazywała się Manson Consolidated, a kiedy w 1962 roku i ta koncesja wygasła, Mulrooney otrzymał stałą posadę.

W wieku pięćdziesięciu lat nadal był wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną o grubych kościach i sile wołu. Miał ogromne ręce, stwardniałe i pokryte licznymi bliznami — pamiątkami po wielu latach pracy w kopalni. Teraz przygładził jedną swoje zmierzwiłone siwe włosy, drugą natomiast zdusił niedopałek w wilgotnej czerwonej ziemi pod łóżkiem. Robiło się coraz jaśniej; wkrótce nadejdzie świt. Po drugiej stronie polany kucharz zaczął rozniecać ogień w palenisku.

Mulrooney przedstawiał się jako inżynier górnictwa, choć nie ukończył ani studiów górniczych, ani inżynierskich. Miał za sobą tylko krótkie przeszkolenie oraz to, czego nie mogła zapewnić żadna uczelnia — dwudziestopięcioletnie doświadczenie. Wydobywał złoto w Witwatersrandzie i miedź w okolicach Ndoli, w Somalii drążył studnie w poszukiwaniu bezcennej wody, a w Sierra Leone zajmował się złożami diamentów. Miał instynkt, który pozwalał mu wyczuć zarówno niebezpieczeństwo zaważenia szybu, jak i bliskość pokładów cennego kruszcu. Tak przynajmniej twierdził, a kiedy wieczorem zgodnie ze swoim zwyczajem wypił w barze dwadzieścia butelek piwa, nie było nikogo, kto odważyłby się zakwestionować jego słowa. Krótko mówiąc, był jednym z ostatnich autentycznych poszukiwaczy. Wiedział, że ManCon zleca mu drugorzędne zadania, w dodatku takie, które wymagały przebywania w dzikim buszu, z dala od cywilizacji, ale nie miał nic przeciwko temu. Lubił pracować samotnie, na odludziu — taki był jego styl.

Najnowsze zlecenie z pewnością spełniało te warunki. Od trzech miesięcy prowadził poszukiwania u podnóża pasma Gór Kryształowych, w niedostępnym rejonie republiki Zangaro, małego państewka położonego na wybrzeżu Afryki Zachodniej.

Powiedziano mu, że powinien skoncentrować się na terenie otaczającym Kryształową Górę. Pasma garbatych wzgórz wysokich na osiemset do tysiąca metrów przecinało w linii prostej cały kraj, biegnąc równoległe do wybrzeża w odległości sześćdziesięciu kilometrów od niego. Wzgórza oddzielały nadbrzeżną równinę od obszarów położonych w głębi lądu. W łańcuchu istniała tylko jedna przerwa, przez którą wiodła wąska droga stanowiąca jedyne połączenie z wnętrzem kraju; latem promienie tropikalnego słońca zamieniały jej nawierzchnię w twarde beton, zimą ulewne deszcze w trzęsawisko. Za górami mieszkało plemię Vindu, żyjące na poziomie epoki kamienia łupanego, z tą tylko różnicą, że posługiwało się wyłącznie drewnianymi narzędziami. Mulrooney bywał już w różnych dziwnych miejscach, ale nigdy w życiu nie widział tak zacofanego kraju jak Zangaro.

Góra, która użyczyła swego imienia całemu pasmu, wznosiła się nieco poza głównym łańcuchem i wcale nie była najwyższa. Przed czterdziestu laty samotny misjonarz, badający okolicę, przeszedł na drugą stronę przez jedyną dostępną przełęcz, po czym skręcił na południe i po przebyciu trzydziestu kilku kilometrów dostrzegł wzgórze wyraźnie oddzielone od pozostałych. Poprzedniej nocy padał deszcz, a raczej tropikalna ulewa, jedna z tych, dzięki którym w ciągu trzech zimowych miesięcy suma opadów w tym rejonie przekraczała sześćset centymetrów. Misjonarz odniósł wrażenie, że wzgórze skrzy się w promieniach porannego słońca i nazwał je Kryształową Górą, po czym odnotował ten fakt w swoim pamiętniku. Dwa dni później został zatłuczony maczugami i zjedzony. Po roku wojskowy patrol odnalazł jego pamiętnik przechowywany w pobliskiej wiosce jako coś w rodzaju fetysza. Żołnierze spełnili obowiązek i zrównali wioskę z ziemią, a potem wrócili na wybrzeże, gdzie przekazali pamiętnik towarzystwu misyjnemu. W ten sposób nazwa, którą misjonarz nadał samotnemu wzgórzowi, przetrwała, czego nie można powiedzieć o niczym, co człowiek ów dał z siebie niewdzięcznemu światu. Później ochrzczono tak całe pasmo górskie.

Tym, co misjonarz dostrzegł w promieniach wschodzącego słońca, były nie kryształy, lecz niezliczone strumyczki, spływające ze zbocza po nocnej ulewie. Woda spływała także z pozostałych wzgórz, ale były one porośnięte gęstą dżunglą, która z daleka przypominała puszysty zielony koc, a z bliska parujące piekło. Tylko to jedno wzgórze błyszczało tysiącem strumyczków, ponieważ porastająca je roślinność była znacznie uboższa. Ani misjonarz, ani inni biali, którzy widzieli je na własne oczy, nie zastanowili się, dlaczego tak jest.

Teraz, po trzech miesiącach spędzonych w parującej dżungli otaczającej Kryształową Górę, Mulrooney wiedział dlaczego.

Najpierw okrążył górę i stwierdził, że wznosi się ona nieco na uboczu, na wschód od głównego łańcucha, a ponieważ nie dorównuje wysokością jego najwyższym szczytom, jest praktycznie niewidoczna od strony wybrzeża. Nie wyróżniała się też niczym szczególnym, tyle że spływało z niej znacznie więcej strumieni niż ze wzgórz ciągnących się ku północy i południu.

Mulrooney policzył wszystkie strumienie, zarówno na Kryształowej Górze, jak i na jej sąsiadkach. Nie było najmniejszej wątpliwości: po deszczu woda spływała ze wszystkich wzgórz, ale spora jej część wsiąkała w ziemię. Inne góry były pokryte warstwą gleby mniej więcej sześciometrowej grubości, natomiast Kryształowa Góra nie miała jej prawie wcale. Zatrudnieni przez niego robotnicy z plemienia Vindu wykonali dwadzieścia odwiertów specjalnym świdrem, co pozwoliło ustalić zasadniczą różnicę w grubości warstwy gleby. Opierając się na tych danych Mulrooney mógł zacząć zastanawiać się nad przyczynami takiego stanu rzeczy.

Przez miliony lat glebę tworzyły kruszejące skały i niesiony wiatrem pył, i choć każdy deszcz spłukiwał znaczną jej część do strumieni, te zaś z kolei niosły ją do rzeki, a ściśle rzecz biorąc do jej płytkiego rozległego ujścia, to jednak pewna ilość zostawała na zboczu, wciśnięta w maleńkie szczeliny, nienaruszona przez płynącą wodę, która wyłobiła sobie w miękkiej skale własne ścieżki. Te ścieżki stały się później korytami sezonowych strumieni, żłobionymi coraz głębiej przez ulewne deszcze. Niektóre z nich znikły we wnętrzu góry, pozostawiając nietkniętą wierzchnią warstwę ziemi. Z każdym stuleciem i tysiącleciem warstwa ta stawała się coraz grubsza. Wiatr i ptaki przynosiły nasiona, z których wyrastały rośliny pomagające swymi korzeniami utrzymać się ziemi na stromych zboczach. Kiedy Mulrooney ujrzał wzgórze, było jej już tyle, że mogła wykarmić potężne drzewa i wijące się pnącza porastające wszystkie stoki i wierzchołki.

Wszystkie z wyjątkiem jednego.

W tym wzgórzu woda nie mogła wyłobić kanałów, które potem zamieniały się w strumienie, ani nie mogła wydrążyć tuneli w skałach. Dotyczyło to zwłaszcza stromego wschodniego zbocza, od strony lądu. Tutaj ziemia zebrała się tylko w niewielkich niszach, teraz zarośniętych kępami trawy, krzewów i paproci splątanych na powierzchni nagich skał, które były spłukiwane regularnie padającymi każdej zimy deszczami. Właśnie te skrawki błyszczącej wilgoci dostrzegł na krótko przed śmiercią nieszczęsny misjonarz. To wzgórze zostało zbudowane z innych, starszych, nieporównywalnie twardszych skał niż te, które tworzyły pobliski łańcuch wzniesień. Mulrooney okrążył górę i stwierdził to ponad wszelką wątpliwość. Zajęło mu to dwa tygodnie, a przy okazji ustalił także, że ze stoków Kryształowej Góry spływa nie mniej niż siedemdziesiąt strumieni. Większość z nich łączyła się w trzy duże potoki płynące na wschód doliną. Zauważył też coś jeszcze: gleba i flora na brzegach tych rzeczulek zdecydowanie różniły się od tego, co można było zobaczyć w okolicy. Niektóre odmiany drzew i krzewów w ogóle nie występowały lub były skarłate, mimo że gdzie indziej radziły sobie znakomicie.

Mulrooney sporządził dokładną mapę okolicy, zaznaczając bieg wszystkich siedemdziesięciu strumieni. Pobierał próbki piasku i żwiru z ich koryt, zaczynając od wierzchniej warstwy, a następnie docierając do skały.

Za każdym razem pobierał dwa pełne wiadra żwiru, wysypywał je na brezentową płachtę, po czym dzielił je na cztery równe części. Wyrzucał dwie z nich, dwie pozostałe zaś mieszał dokładnie, ponownie dzielił na cztery części, następnie zaś powtarzał kilkakrotnie cały proces, aż wreszcie zostawała mu reprezentatywna próbka o wadze około półtora kilograma. Po osuszeniu pakował ją do płóciennego woreczka, ten z kolei chował do plastikowej torby, zawiązywał ją i opatrywał dokładną informacją. W ciągu miesiąca zebrał w pięciuset woreczkach ponad osiemset kilogramów piasku i żwiru z dna siedemdziesięciu strumieni. Potem zajął się górą.

Przypuszczał, że badania laboratoryjne ujawnią w próbkach obecność minimalnych ilości cyny wyflukanej przez wodę w ciągu minionych tysiącleci. A jeśli tak, to w Kryształowej Górze znajdują się pokłady kasyterytów, czyli kamieni cynowych.

Podzielił górę na sektory, starając się odkryć źródła wszystkich strumieni oraz określić rodzaj skały, po których spływała woda w porze deszczowej. Nie minął tydzień, a był niemal pewny, że we wnętrzu góry nie ma jednolitego pokładu cyny, jest natomiast coś, co geolodzy nazywają złożem rozproszonym. Wszędzie były widoczne ślady krystalizacji. Pod cienką warstwą roślinności znalazł skały pokryte gęstą siatką szerokich na centymetr żył białego kwarcu, przypominających rysunkiem nabiegłe krwią żyłki na nosie pijaka.

Wszystko wokół świadczyło o obecności cyny. Okrążywszy górę trzy razy utwierdził się w przekonaniu o autentyczności odkrycia. Za pomocą młotka i dłuta w kilku miejscach wkuwał się głęboko w skałę i za każdym razem widział dokładnie to samo. Ciemne przebarwienia w żyłach kwarcu świadczyły o obecności cyny.

Mógł teraz przystąpić do końcowego etapu roboty: zbierał próbki białego kwarcu, a dla pewności także ciemnej skały, w której się znajdowały. Po trzech miesiącach od chwili, kiedy po raz pierwszy zagłębił się w dziewiczy las na wschód od łańcucha górskiego, zadanie było zakończone. Miał dodatkowe osiemset kilogramów skał, które musiał przetransportować na wybrzeże. Co trzy dni przenoszono część z półtorej tony próbek do głównego obozu, gdzie Mulrooney leżał teraz pod moskitierą, czekając na świt, i składano w stosy pod brezentowymi płachtami.

Po śniadaniu z wioski powinni przybyć tragarze, których zatrudnił poprzedniego dnia, aby przenieśli jego skarby do krętej ścieżki, nie wiadomo dlaczego zwanej drogą, która łączyła wnętrze kraju z wybrzeżem. Tam, w wiosce, czekała na niego dwutonowa ciężarówka. Miał nadzieję, że nie udało jej się uruchomić komuś niepowołanemu; zabrał ze sobą nie tylko kluczyki, ale także kopułkę rozdzielną. Powinna działać, jeśli oczywiście wieśniacy nie rozebrali jej na kawałki. Zapłacił wodzowi, żeby miał na nią oko. Jadąc załadowaną ciężarówką, poprzedzany przez dwudziestu ludzi, których zadanie będzie polegało na torowaniu drogi i pchaniu pojazdu pod górę, powinien dotrzeć do stolicy w ciągu trzech dni. Po wysłaniu telegraficznej wiadomości do Londynu będzie musiał zaczekać jeszcze kilka dni, zanim przyplynie po niego wycarterowany przez firmę statek. Najchętniej skręciłby na północ i pojechał nadbrzeżną szosą do sąsiedniej republiki, gdzie znajdował się port lotniczy, z którego mógłby wysłać próbki do kraju, ale umowa zawarta między ManCon a rządem Zangaro nakazywała mu powrót do stolicy.

Jack Mulrooney dźwignął się z polowego łóżka, rozsunął moskitierę i ryknął na kucharza:

— Hej, Dingaling! Co z moją kawą, do cholery?!

Kucharz z plemienia Vindu, którego znajomość angielskiego ograniczała się do słowa „kawa”, wyszczerzył zęby w uśmiechu i pomachał mu wesoło znad ogniska. Mulrooney ruszył przez polanę w kierunku płóciennego wiadra z wodą, drapiąc się po spoconym torsie.

— Cholerna Afryka... — mruknął, ochlapując sobie twarz i jednocześnie oganiając się od moskitów. Ale był z siebie bardzo zadowolony. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że znalazł zarówno złożo naniesione, jak i rudę cyny. Jedyne problem to sprawdzić, jaka będzie zawartość metalu w tonie skały. Tona czystej cyny kosztowała obecnie około 3300 dolarów, więc decyzja o tym, czy w sercu dżungli powstanie kopalnia wyposażona w nowoczesny sprzęt i zatrudniająca setki robotników, nie mówiąc już o wąskotorowej kolejce, która musiałaby połączyć kopalnię z wybrzeżem, należała do analityków i specjalistów od ekonomii górnictwa. A twardo było wyobrazić sobie bardziej odludne i niedostępne miejsce. Jak zwykle o wszystkim zadecydują funty, szylingi i pence. Taki już jest ten świat. Mulrooney rozgniół kolejnego moskita i wciągnął na siebie

bawełnianą koszulkę.

Sześć dni później Jack Mulrooney oparł się o reling małego przybrzeżnego statku wycarterowanego przez firmę i splunął za burtę, obserwując oddalający się brzeg Zangaro.

— Przekłęte dranie!... — warknął ponuro. Na piersi i grzbiecie miał kilka fioletowych sińców, jego policzek zaś zdobiła krwawa szrama, rezultat uderzenia kolbą karabinu, jakie otrzymał, kiedy hotel został zajęty przez żołnierzy.

Przeniesienie próbek z głębi dżungli do wioski zajęło dwa dni, a potem przez jeszcze jeden dzień i całą noc pokonywał ciężarówką nieprawdopodobnie wyboistą, wąską drogę prowadzącą z głębi kraju na wybrzeże. W porze deszczowej na pewno by mu się to nie udało, natomiast w porze suchej, do której zakończenia pozostał jeszcze miesiąc, na twardych jak beton garbach i koleinach ciężarowy mercedes o mało nie rozpadł się na kawałki. Po trzech dniach Mulrooney zapłacił ludziom z plemienia Vindu i wreszcie wjechał skrzypiącym samochodem na asfaltową szosę, zaczynającą się dokładnie dwadzieścia kilometrów przed stolicą, a godzinę później znalazł się w hotelu.

„Hotel” było określeniem nieco na wyrost, gdyż po uzyskaniu przez Zangaro niepodległości ten reprezentacyjny niegdyś budynek przeistoczył się w coś w rodzaju domu noclegowego, ale przynajmniej był tam parking, gdzie Mulrooney zostawił starannie zamkniętą ciężarówkę, po czym wysłał depeszę. Zdażył w ostatniej chwili. Sześć godzin później wybuchło prawdziwe piekło. Z rozkazu prezydenta zamknięto port i lotnisko oraz zerwano wszelką łączność ze światem. Jack dowiedział się o tym, kiedy do hotelu wpadła grupa żołnierzy w łachmanach i wymachując trzymanymi za lufy karabinami zaczęła plądrować pokoje. Dopytywanie się, czego chcą, miało się z celem, gdyż wrzeszczeli w jakimś niezrozumiałym języku — choć Mulrooneyowi wydawało się, że odróżnia kilka słów w dialekcie Vindu, którym posługiwali się jego robotnicy.

Otrzymał dwa uderzenia kolbą, po czym zamachnął się pięścią. Cios był tak silny, że najbliższy żołnierz wylądował w połowie korytarza i runął bez przytomności na podłogę, pozostałych natomiast ogarnęło prawdziwe szaleństwo. Na szczęście nie padły żadne strzały, głównie dlatego, że żołnierze woleli posługiwać się karabinami jak maczugami zamiast rozgryzać zasady działania tak skomplikowanych mechanizmów, jak spusty i bezpieczniki.

Zawleczono go do najbliższego posterunku policji i przez następne dwa dni przetrzymywano w podziemnej celi, na przemian wrzeszcząc coś lub całkowicie ignorując jego obecność. I tak miał sporo szczęścia, gdyż pewien szwajcarski biznesmen, jeden z nielicznych zagranicznych gości, jacy w ostatnim okresie odwiedzili republikę, był świadkiem aresztowania i poważnie zaniepokoił się jego losem. Biznesmen ów przejrzał rzeczy Mulrooneya, po czym zawiadomił ambasadę Szwajcarii — jedną z sześciu europejskich i północnoamerykańskich ambasad w mieście — a ta z kolei zawiadomiła ManCon.

Dwa dni później w porcie zjawił się wysłany przez zarząd spółki statek, a szwajcarski konsul wynegocjował zwolnienie Mulrooneya. Nie ulegało wątpliwości, że wiązało się to z jakąś łapówką, naturalnie zrefinansowaną przez firmę. Mimo to Jack Mulrooney nie posiadał się z wściekłości: kiedy natychmiast po wyjściu z aresztu udał się na parking, zastał tam zdewastowaną ciężarówkę i próbki rozsypane po całym placu. Wszystkie odłamki skał były oznakowane, ale piasek, żwir i odpryski kwarcu przepadły bezpowrotnie. Na szczęście okazało się, że około pięćdziesięciu woreczków pozostało nietkniętych, więc zabrał je ze sobą na statek. Tuż przed wyjściem w morze cała jednostka została przeszukana od dziobu do rufy przez rozwrzeszczanych celników, policjantów i żołnierzy, którzy jednak nie raczyli nikogo poinformować, czego właściwie szukają.

Prerażony urzędnik szwajcarskiej ambasady, który towarzyszył Mulrooneyowi w drodze z aresztu do hotelu, powiedział mu, że podobno dokonano próby zgładzenia prezydenta, a całe

zamieszanie jest związane z pościgiem za wysokim oficerem, prawdopodobnie odpowiedzialnym za organizację zamachu.

Cztery dni później Jack Mulrooney, strzegący ocalałych próbek jak oka w głowie, przybył na pokładzie wynajętego samolotu do Luton w Anglii. Furgonetka zabrała woreczki ze skałami do laboratorium w Watford, on zaś, zbadany dokładnie przez zatrudnionego w firmie lekarza, otrzymał zgodę na rozpoczęcie trzytygodniowego urlopu. Postanowił spędzić go u siostry w Dulwich, ale już po tygodniu zaczął się poważnie obawiać, że umrze z nudów.

Dokładnie trzy tygodnie później sir James Manson, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, prezes zarządu i dyrektor wykonawczy spółki Manson Consolidated, odchylił się do tyłu w skórzanym fotelu w swoim gabinecie na ostatnim, dziewiątym piętrze londyńskiej siedziby firmy, spojrzął jeszcze raz na leżący przed nim raport, po czym westchnął donośnie.

— Dobry Boże...

Zaraz potem wstał zza ogromnego biurka, podszedł do szerokiego okna w południowej ścianie pokoju i zapatrzył się w panoramę City, skrawek terenu położonego w samym środku wiekowej stolicy, wbrew twierdzeniom zawistnych nadal będący sercem ogólnoswiatowego imperium finansowego. Dla części maszerujących rażno ulicami żuczków w szarych eleganckich płaszczach i czarnych melonikach City było prawdopodobnie jedynie miejscem pracy — nudnej, męczącej, wysysającej z człowieka najpierw jego młodość, potem wiek dojrzały, a wypuszczającej go ze swoich szponów dopiero u progu starości. Dla innych, młodych i pełnych nadziei, był to rajski ogród możliwości, w którym zaangażowanie i ciężka praca dawały nadzieję na awans i poczucie bezpieczeństwa. Romantycy bez wątpienia widzieli w nim głównie siedzibę wielkich kupców podróżników, pragmatycy największy rynek na świecie, a lewicujący aktywiści związkowi oazę gnuśności, gdzie bogaci i bezwartościowi osobnicy, których jedyna zasługa polegała na tym, że urodzili się zamożni, pławili się w wyrafinowanych luksusach. James Manson był cynikiem i realistą. Wiedział, czym naprawdę jest City: najzwyczajszą dżunglą, w której on był jedną z panter.

Obdarzony naturą drapieżcy zdawał sobie jednak sprawę z istnienia pewnych reguł, których należało przestrzegać na użytek publiczny. Wiedział również, że tutaj, w City, podobnie jak w polityce, obowiązuje tylko jedno przykazanie, jedenaste: Nie daj się złapać. Ścisłe przestrzeganie owych reguł na użytek publiczny dało mu miesiąc temu tytuł szlachecki. Wniosek w tej sprawie złożyła Partia Konserwatywna (oficjalnie za wkład w rozwój przemysłu, naprawdę zaś za hojne wspomaganie funduszu wyborczego partii podczas ostatnich wyborów), a zatwierdził go gabinet Wilsona, mając na względzie poparcie Mansona dla działań rządu w Nigerii. Przestrzegając natomiast jedenastego przykazania, dorobił się ogromnej fortuny. Teraz, dysponując dwudziestoma pięcioma procentami udziałów w spółce i urzędując w luksusowo urządzonej gabinecie, był wielokrotnym milionerem.

Liczył sobie sześćdziesiąt jeden lat, był niski, agresywny i zbudowany jak czołg, a przy tym odznaczał się niesłychanym temperamentem i manierami pirata, co niezmiernie podobało się kobietom, budząc jednocześnie lęk u konkurentów. Miał dość sprytu, żeby okazywać szacunek ludziom stojącym na świeczniku w świecie finansów i polityki, choć zdawał sobie doskonale sprawę, że większość z nich jest pozbawiona jakichkolwiek zasad moralnych. Kilku takich właśnie ludzi wprowadził do zarządu spółki, w tym dwóch byłych ministrów z gabinetu konserwatystów. Żaden z nich nie miał nic przeciwko sporym dodatkom do dyrektorskich pensji, wypłacanym na Kajmanach lub Wyspach Bahama; Mansonowi obito się o uszy, że podczas pobytu w tych egzotycznych okolicach jeden z byłych ministrów urządzał wystawne przyjęcia, podczas których, ubrany jedynie w czepek i fartuszek służącej, obsługiwał panienki w obcisłych, niekoniecznie

kompletnych skórzanych strojach. Manson był bardzo zadowolony z obu polityków, gdyż mając ich w zarządzie spółki mógł korzystać z ich wpływów i znajomości, nie narażając jednocześnie na szwank swego nieskazitelnego wizerunku. Opinia publiczna знаła bowiem tych ludzi jako wybitnych mężów stanu. Tak więc James Manson był porządnym człowiekiem — naturalnie według standardów londyńskiego City, które nie miały nic wspólnego z obowiązującymi resztę świata.

Osoby zainteresowane jego przeszłością niczego nie mogły się w niej dogrzebać. Niewiele było wiadomo o początkach jego kariery, a on wcale nie chciał zmieniać tego stanu rzeczy. Ujawnił tylko tyle, że jest synem maszynisty i że urodził się w pobliżu wielkich kopalni rud miedzi w Ndoli, niegdyś w Rodezji Północnej, a obecnie Zambii. Zdradził także, że rozpoczął pracę w górnictwie jeszcze jako mały chłopiec i że dorobił się majątku na miedzi, ale nigdy nie zająknął się ani słowem o tym, w jaki sposób tego dokonał.

A zrezygnował z kopalni bardzo wcześnie, nie mając jeszcze dwudziestu lat, ponieważ zrozumiał, że ludzie, którzy ryzykują życie pracując pod ziemią wśród hałaśliwych maszyn, nigdy nie zrobią prawdziwych pieniędzy. Tych należało szukać na powierzchni, znacznie wyżej niż w gabinetach dyrektorów kopalń. Jako nastolatek studiował nocami ekonomię, szczególnie dużo uwagi poświęcając sposobom wykorzystywania i manipulowania pieniędzmi, i te jego nocne lektury nauczyły go, że obracając akcjami przedsiębiorstw zajmujących się wydobywaniem i przetwarzaniem rud miedzi można w ciągu tygodnia zarobić więcej, niż pracując przez całe życie pod ziemią.

Zaczął jako sprzedawca bezwartościowych akcji w Witwatersrandzie, upłynnił kilka podejrzanych brylantów, rozpuścił trochę plotek, które skłoniły graczy giełdowych do sięgnięcia do kieszeni, oraz wepchnął naiwnym klientom parę wyeksploatowanych działek. W ten sposób zdobył pierwsze większe pieniądze. Tuż po drugiej wojnie światowej, jako trzydziestopięcioletek, znalazł się w Londynie i wykorzystując swoje wcześniejsze znajomości pośredniczył w nabywaniu ogromnych ilości rudy miedzi przez odbudowującą się po wojennych zniszczeniach Wielką Brytanię, a w roku 1948 założył własną firmę górniczą. Jej akcje trafiły na giełdę w połowie lat pięćdziesiątych, inwestycje zaś po dalszych piętnastu latach objęły niemal cały świat. To on właśnie za premierostwa Harolda Macmillana wyczuł powiew zbliżających się zmian na Czarnym Lądzie i nawiązał kontakty ze spragnionymi władzy przywódcami nowych niepodległych państw, podczas gdy większość rekinów finansjery poświęciła się walce o powstrzymanie ruchów wywoleńczych w koloniach.

On i jego nowi przyjaciele — przywódcy dobrze się rozumieli. Tamci doskonale wiedzieli, co się kryje za jego dotychczasowymi sukcesami, Manson zaś zdawał sobie sprawę, że okazywana przez nich troska o los czarnych współbraci stanowi jedynie zasłonę dymną. Obie strony wiedziały, na czym zależy partnerowi, tak więc on pompował pieniądze na tajne szwajcarskie konta, oni zaś sprzedawali spółce Manson Consolidated koncesje po śmiesznie niskich cenach. ManCon rozkwitała w coraz szybszym tempie.

James Manson nie omieszkiwał także robić pieniędzy wyłącznie na własny rachunek. Jego najnowsze osiągnięcie nazywało się Posejdon i było australijską firmą zajmującą się eksploatacją złóż niklu. Latem roku 1969, kiedy jedna akcja spółki kosztowała cztery szylingi, do Mansona dotarły pogłoski o cennym odkryciu dokonany przez ekipę poszukiwawczą w środkowej Australii, na terenach objętych koncesją wydobywczą Posejdona. Manson postanowił zaryzykować i zapłacił pokaźną sumę, żeby uzyskać wgląd w pierwsze raporty, jakie nadeszły z głębi kontynentu. Z raportów tych wynikało, że odkryto ogromne złoża niklu. Co prawda nikiel wcale nie jest rzadkim surowcem i na giełdach nigdy go nie brakuje, ale takie okoliczności nie mają żadnego wpływu na reakcje graczy, a to przecież oni windują kurs akcji, nie zaś inwestorzy. Manson skontaktował się ze swoim

szwajcarskim bankiem, nie rzucającą się w oczy instytucją, o której istnieniu świadczyła jedynie złota tabliczka niewiele większa od karty wizytowej, umieszczona w ścianie obok solidnych dębowych drzwi przy jednej z bocznych uliczek w Zurychu. W Szwajcarii nie ma brokerów, więc wszystkich operacji giełdowych dokonuje się za pośrednictwem banków. Manson poprosił doktora Martina Steinhofera, szefa działu inwestycji banku Zwingli, aby ten zakupił w jego imieniu pięć tysięcy akcji Posejdona. Szwajcarski bankier natychmiast przekazał stosowne instrukcje szanowanej londyńskiej firmie brokerskiej Joseph Sebag & Co. W chwili dokonywania transakcji akcje Posejdona kosztowały pięć szylingów za sztukę.

Burza rozpułała się pod koniec września, kiedy podano do publicznej wiadomości szacunkową wielkość australijskich złóż niklu. Cena akcji natychmiast poszła w górę, a potem, za sprawą celowo rozsiewanych plotek, zaczęła rosnać w niesłychanym tempie. Sir James Manson miał zamiar rozpocząć sprzedaż w chwili, kiedy kurs wzrośnie do 50 funtów za sztukę, ale ruch w górę był tak szybki, że postanowił jeszcze poczekać. Wreszcie oszacował, że najwyższa cena wyniesie 115 funtów, i polecił doktorowi Steinhoferowi przystąpić do sprzedaży akcji po 100 funtów. Szwajcarski bankier pozbył się całego pakietu, uzyskując średnią cenę 103 funty za sztukę. W rzeczywistości najwyższe notowanie wyniosło 120 funtów, po czym przeważył zdrowy rozsądek i cena spadła do 10 funtów. Manson nie czekał na najwyższy kurs, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że najlepszym okresem na rozpoczęcie sprzedaży był końcowy etap ruchu w górę, kiedy jest jeszcze mnóstwo kupujących, a poza tym i tak zarobił na czysto równe pół miliona funtów, które spoczywały bezpiecznie w banku Zwingli.

Tak się składa, że każdy brytyjski obywatel posiadający zagraniczne konto ma obowiązek poinformować o tym Ministerstwo Skarbu, a zarobiwszy na czysto w ciągu sześćdziesięciu dni pół miliona funtów powinien zapłacić znaczny podatek dochodowy. Jednak doktor Steinhofer nie był obywatelem Wielkiej Brytanii, lecz Szwajcarii, i potrafił dochować tajemnicy. Po to właśnie istnieją szwajcarskie banki.

Tego lutowego popołudnia sir James Manson wrócił do biurka, usiadł w miękkim skórzanym fotelu i jeszcze raz spojrzął na leżący przed nim raport. Dostarczono mu go w dużej zapieczętowanej kopercie, z adnotacją informującą, że zawartość jest przeznaczona wyłącznie dla jego oczu. Pod raportem widniał podpis doktora Gordona Chalmersa, szefa Wydziału Map, Badań i Analiz Manson Consolidated. Raport zawierał wyniki analiz próbek dostarczonych trzy tygodnie temu przez człowieka nazwiskiem Mulrooney z jakiegoś afrykańskiego państewka o nazwie Zangaro.

Doktor Chalmers nie lubił zbędnych słów. Raport był krótki i treściwy. Mulrooney natrafił na górę czy raczej wzgórze o wysokości około sześciuset metrów i średnicy podstawy nie przekraczającej tysiąca metrów. Było ono położone nieco na uboczu, w pobliżu łańcucha podobnych wzgórz w głębi Zangaro. Tyle że w jego wnętrzu znajdowało się bogate, jednorodne złożo minerału miliony lat starszego od piaskowców i łupków, z których było zbudowane pobliskie pasmo.

Mulrooney znalazł liczne żyły kwarcu i na tej podstawie domyślił się obecności cyny. Przywiózł do Anglii próbki tegoż kwarcu, okolicznych skał oraz nieco żwiru z dna spływających ze wzgórza strumieni.

Istotnie, w żyłach kwarcu stwierdzono obecność niewielkich ilości cyny, ale najciekawszego odkrycia dokonano podczas badań pozornie całkiem zwyczajnych skał. Otóż wszystkie analizy wykazały, że zarówno w samej skale, jak i w żwirze wydobytym z koryt strumieni, znajdują się drobne cząsteczki niklu... oraz platyny. Do tej pory najbardziej wydajne złoża platyny na świecie odkryto w Rustenbergu w Afryce Południowej; z jednej tony skały uzyskiwano tam 0,25 uncji drogiego kruszcza. Szacunkowa wydajność złoża odkrytego przez Mulrooneya wynosiła 0,81

uncji z tony materiału skalnego. Z wyrazami najwyższego szacunku itd... Sir James Manson wiedział równie dobrze jak wszyscy zajmujący się górnictwem, że platyna jest trzecim co do wartości metalem na świecie, jej aktualna cena zaś wynosi 130 dolarów za uncję². Zdawał sobie również doskonale sprawę, iż w związku z rosnącym zapotrzebowaniem jej cena powinna w ciągu najbliższych trzech lat wzrosnąć do 150 dolarów za uncję, a w ciągu dwóch następnych do ponad 200 dolarów. Wątpliwe, czy osiągnie zawrotną cenę 300 dolarów za uncję, tak jak to się stało w roku 1968.

Dokonał szybko kilku obliczeń. Dwieście pięćdziesiąt milionów metrów sześciennych skały razy dwie tony równa się pięćuset milionom ton. Zakładając, że średnia wydajność wyniesie pół uncji z tony, dawało to dwieście pięćdziesiąt milionów uncji. Nawet gdyby wiadomość o odkryciu tak wielkiego złoża doprowadziła do spadku ceny do poziomu 90 dolarów za uncję, i nawet gdyby koszty wydobycia, transportu i przeróbki wyniosły pięćdziesiąt dolarów na uncję, to i tak oznaczało to... Sir James Manson ponownie odchylił się do tyłu w fotelu i gwizdnął cicho.

— Mój Boże... Góra wartości dziesięciu miliardów dolarów!

3

Platyna jest metalem i, jak wszystkie metale, ma swoją cenę. Zasadniczy wpływ na wysokość ceny metalu mają dwa czynniki: to, czy jest niezastąpiony w niektórych procesach produkcyjnych, oraz to, jak często występuje w przyrodzie. Platyna jest bardzo rzadkim metalem. Produkcja, jaka trafia rocznie na rynki — nie licząc zapasów, których wysokość stanowi najściślej strzeżoną tajemnicę — nieznacznie przekracza półtora miliona uncji.

Zdecydowana większość — kto wie, czy nawet nie 95 procent — pochodzi z trzech źródeł: Republiki Południowej Afryki, Kanady i Rosji. Rosja, jak zwykle, jest najmniej chętna do współpracy. Producenci starają się utrzymać cenę na ustabilizowanym poziomie, przede wszystkim po to, by móc czynić długofalowe plany w dziedzinach inwestycji w nowy sprzęt górniczy i budowy nowych kopalń, wiedząc, że ziemia nie usunie im się nagle spod nóg, co bez wątpienia nastąpiłoby w przypadku, gdyby na rynek trafiły nagle wielkie ilości metalu. Rosjanie, magazynujący nie znane ilości surowca, mogą sterować światowymi cenami według własnego uznania. Z półtora miliona uncji, jakie trafiają każdego roku na światowe giełdy, 350 000 pochodzi właśnie z Rosji. Oznacza to 23 do 24 procent udziału w ogólnym obrocie. Wystarczająco dużo, by mieć ogromny wpływ na ceny surowca. Kanada dostarcza około 200 000 uncji rocznie, przy czym cała jej produkcja pochodzi z kopalń koncernu International Nickel i jest na pniu wykupywana przez Engelhard Industries ze Stanów Zjednoczonych. Gdyby jednak Stany Zjednoczone zapragnęły nagle kupić więcej, Kanada miałaby poważne kłopoty z dostawą.

Trzecim źródłem jest Republika Południowej Afryki, produkująca 950000 uncji rocznie, co zapewnia jej dominację na rynku. Oprócz kopalń Impala, które w chwili, kiedy sir James Manson siedział przy biurku i rozmyślał nad pozycją platyny na światowym rynku, dopiero zaczynały wydobycie, potentatem było zagłębie Rustenberg, dostarczające sporo ponad połowę rocznej światowej produkcji. Kopalnie w Rustenbergu znajdowały się pod wyłączną kontrolą Johannesburg Consolidated, natomiast przeróbką surowca i jego dystrybucją zajmowała się i nadal zajmuje londyńska firma Johnson-Matthey.

O tym wszystkim James Manson doskonale wiedział. Choć do chwili, kiedy raport Chalmersa trafił na jego biurko, nie interesował się zbytnio platyną, wiedział o niej tyle, ile neurochirurg wie o pracy serca. Wiedział także, dlaczego szef Engelhard Industries, Charlie Engelhard, bardziej znany opinii publicznej jako właściciel legendarnego konia wyścigowego „Niżyński”, wykupywał akcje południowoafrykańskich przedsiębiorstw mających jakikolwiek związek z platyną. Otóż dlatego, że

wszystko wskazywało na to, iż w latach siedemdziesiątych Ameryka będzie potrzebowała znacznie więcej tego drogiego metalu, niż mogła go wyprodukować Kanada. Manson był tego całkowicie pewien.

A konkretnym powodem, dla którego zużycie platyny w Ameryce miało w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wzrosnąć dwu-, a nawet trzykrotnie, było tak proste urządzenie jak rura wydechowa samochodu i dwa groźne słowa: „zanieczyszczenie powietrza”.

Jeśli się wzięło pod uwagę uchwalone już w Stanach prawa, drastycznie zaostrzające przepisy o ochronie środowiska, oraz minimalne szansę na wynalezienie przed początkiem lat osiemdziesiątych nowych tłumików, które by nie zawierały ani odrobiny szlachetnego metalu, łatwo było dojść do wniosku, że już wkrótce do wyprodukowania każdego amerykańskiego samochodu będzie trzeba pół uncji czystej platyny. A to znaczy, że Amerykanie będą musieli kupić półtora miliona uncji rocznie, czyli tyle, ile wynosi aktualna światowa produkcja. Tylko nie bardzo wiedzą, od kogo tyle kupią.

James Manson chyba wiedział, od kogo. Od niego. Ponieważ już wkrótce w każdym samochodzie będzie musiał znaleźć się platynowy katalizator, którego nie można niczym zastąpić, a popyt na platynę znacznie przekroczy podaż, cena powinna osiągnąć bardzo przyzwoity poziom.

Istniał tylko jeden problem. Musi mieć całkowitą pewność, że tylko on, i nikt inny, uzyska prawo eksploatacji Kryształowej Góry. Ale jak to osiągnąć?

Tradycyjny sposób polegał na odwiedzeniu kraju, w którym znajdowała się góra, uzyskaniu audiencji u prezydenta, pokazaniu mu raportu, a następnie zaproponowaniu układu, który sprowadzałby się do tego, że ManCon otrzymuje wyłączne prawo eksploatacji złoża, rząd procent od zysków, który pozwoli zapełnić pusty skarbiec kraju, a prezydent regularną, tłustą pensyjną spływającą na konto w Szwajcarii.

Jednak w tym przypadku sprawa nie była taka prosta. Przede wszystkim, gdyby jakakolwiek inna kompania dowiedziała się o zawartości Kryształowej Góry, natychmiast przebiłaby ofertę Mansona. Oprócz tego zaś należało się liczyć z interwencją trzech stron zainteresowanych rozwinięciem własnej produkcji platyny albo uniemożliwieniem jej komuś na zawsze. Te strony to Południowoafrykańczycy, Kanadyjczycy, a przede wszystkim Rosjanie. Pojawienie się nowego, obfitego źródła platyny zmniejszyłoby ich udział do nieistotnych rozmiarów i pozbawiło ważnego instrumentu nacisku oraz znacznej części dochodów płynących z handlu drogie surowcem.

Mansonowi wydawało się, że słyszał już kiedyś o Zangaro, ale państwko to leżało w tak odległym zakątku ziemi, że prawie nic o nim nie wiedział. Należało jak najprędzej uzupełnić ten brak. Pochylił się nad biurkiem i wcisnął guzik interkomu.

— Panno Cooke, czy mogę panią prosić?

Zwracał się do niej w ten sposób od siedmiu lat, czyli od chwili, kiedy została jego osobistą sekretarką, a także przez całą wcześniejszą dekadę, podczas której awansowała stopniowo zajmując biurka na coraz wyższych piętrach. Przez ten czas nigdy nikomu nie przyszło do głowy, że panna Cooke może mieć jakieś imię, choć oczywiście miała je. Brzmiało ono Marjory, ale ona nie wyglądała na osobę, do której można mówić po imieniu. Mężczyźni pewnie mówili tak do niej jeszcze przed wojną, kiedy była młodą dziewczyną. Być może wtedy, przed trzydziestu pięciu laty, próbowali z nią nawet flirtować i szczypali ją w pośladki. Ale to było dawno. Pięć lat wojny, nocne podróże rozklekotanym ambulansiem przez zbombardowane, płonące ulice, walka ze wspomnieniami o pewnym żołnierzu, który nie wrócił z Dunkierki, a potem dwadzieścia lat opieki nad chorą matką, przykutą do łóżka tyranką posługującą się łzami jako najgroźniejszą bronią, pozbawiły pannę Marjory Cooke młodości oraz wszelkich cech, które by usprawiedliwiały próby podszczytywania jej w pośladki. W pięćdziesiątym czwartym roku życia była osobą skromnie ubraną, rzeczową i poważną.

Praca w ManCon stanowiła cel jej życia, biurko na dziewiątym piętrze było jego sensem, a terier dzielący z nią łóżko w schludnym mieszkanku w Chigwell zastępował i dziecko, i kochanka.

Dlatego właśnie nikt nie mówił do niej Marjory. Młodzi pracownicy nazywali ją zwiędłym jabłkiem, a młode sekretarki starym nietoperzem.

Pozostali, nie wyłączając jej pracodawcy, sir Jamesa Mansona, o którym wiedziała więcej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, zwracali się do niej „panno Cooke”.

Weszła przez drzwi z czerwonej buczyny, które po zamknięciu trudno było odróżnić od boazerii.

— Panno Cooke, właśnie przypomniałem sobie, że kilka miesięcy temu wystaliśmy kogoś na rekonesans do republiki Zangaro.

— Owszem, proszę pana. Zgadza się.

— Widzę, że wie pani o tej sprawie?

Oczywiście, że wiedziała. Panna Cooke nie zapomniała niczego, co choć raz pojawiło się na jej biurku.

— Tak, proszę pana.

— To dobrze. W takim razie proszę sprawdzić, kto załatwiał nam zgodę tamtejszego rządu na prowadzenie prac badawczych.

— Wszystko powinno być w aktach, proszę pana. Zaraz sprawdzę. Wróciła po dziesięciu minutach. Zajrzała najpierw do kalendarza,

w którym dokonywała wpisów nazwisk i tematów spotkań, a następnie sprawdziła uzyskaną informację w dziale personalnym.

— To był pan Bryant, panie Manson. — Zerknęła na trzymaną w ręku kartkę. — Richard Bryant z Wydziału Kontraktów Zagranicznych.

— Przypuszczam, że sporządził dokładny raport?

— Na pewno, proszę pana. Takie mamy przepisy.

— W takim razie czy zechciałaby pani odszukać ten dokument?

Panna Cooke ponownie wyszła z gabinetu, a szef Manson Consolidated zapatrzył się przez wielką szybę naprzeciwko biurka w panoramę City, nad którym zapadał z wolna zmierzch. Na środkowych piętrach biurowców zapalały się światła — na niższych paliły się przez cały dzień — ale wyżej docierało jeszcze trochę dziennego blasku, za mało jednak, by przy nim czytać. Sir James Manson włączył lampę stojącą na biurku, odebrał od panny Cooke raport i zaczął, aż za kobietą zamkną się drzwi gabinetu.

Raport Richarda Bryanta nosił datę sprzed pół roku i był napisany zwięzłym stylem. Zgodnie z poleceniem szefa Wydziału Kontraktów Zagranicznych Bryant poleciał do Clarence, stolicy Zangaro, i po tygodniu przymusowej bezczynności spędzonym w hotelu uzyskał wreszcie audiencję u ministra zasobów naturalnych. W ciągu sześciu dni przeprowadził z nim trzy ‘ozmowy, aż wreszcie otrzymał zgodę na to, by reprezentant ManCon w pojedynkę przeprowadził rekonesans na obszarach w głębi kraju, za pasmem Gór Kryształowych. Firma celowo nie określiła dokładnie terenu badań, aby dać swojemu wysłannikowi większą swobodę działania. Po długich targach minister zrozumiał, że nie ma co liczyć na zapłatę, jakiej początkowo zażądał, jako że na razie nie stwierdzono obecności żadnych cennych minerałów, i ustalono cenę za koncesję. Suma wymieniona w dokumencie nieznacznie przekraczała połowę wynegocjowanej kwoty; reszta została przekazana na prywatne konto ministra.

I to wszystko. Jediną wskazówką, na której podstawie można było się domyślić, w jakiej części świata gościł Bryant, była wzmianka o skorumpowanym ministrze. Chociaż, czy na pewno? — zastanowił się sir James Manson. Równie dobrze mógłby być w Waszyngtonie. Różnica sprowadzała się do wysokości łapówki.

Jeszcze raz pochylił się i włączył interkom.

— Panno Cooke, czy zechciałaby pani poprosić do mnie pana Bryanta z Wydziału Kontraktów Zagranicznych? — Zaraz potem przeniósł palec na sąsiedni przycisk. — Martin, wpadnij do mnie za minutkę, dobrze?

Martin Thorpe potrzebował dwóch minut na dotarcie do gabinetu Mansona ze swego biura na ósmym piętrze. Zupełnie nie wyglądał na finansowego geniusza ani na protegowanego bezwzględniego drapieżcy w bezwzględnym i drapieżnym świecie wielkiego przemysłu. Wyglądał raczej jak kapitan drużyny rugby z dobrej szkoły publicznej — promieniujący wdziękiem, chłopięcy, gładko ogolony, o falujących czarnych włosach i ciemnobłękitnych oczach. Sekretarki mówiły o nim „apetyczny”, natomiast dyrektorzy, którym sprzątał sprzed nosów niemal pewne zyski lub nasyłał kontrole udziałowców pragnących sprawdzić zasadność niektórych operacji giełdowych, używali nieco mniej pochlebnych określeń.

Pomimo swego wyglądu Thorpe nigdy nie uczęszczał do szkoły publicznej ani nie był sportowcem. Nie potrafiłby odróżnić czasu rekordzisty świata w biegu na dwieście metrów od średniej dobowej temperatury powietrza, ale za to był w stanie zapamiętać całodzienne wahania kursów akcji wszystkich firm mających jakikolwiek związek z Manson Consolidated. Miał dwadzieścia dziewięć lat, zapał i ambicję, jego lojalność zaś wobec firmy była zagwarantowana niezwykle wysokim wynagrodzeniem, nie licząc możliwości nawiązywania rozległych kontaktów w City, a także świadomości, że pracując dla Mansona trafi na coś, co nazywał swoją „wielką szansą”.

Sir James schował do szuflady raport z wynikami analiz próbek dostarczonych przez Mulrooneya, pozostawiając na wierzchu jedynie relację Bryanta. Kiedy jego pupil wszedł do gabinetu, obdarzył go przyjacielskim uśmiechem.

— Martin, mam dla ciebie zadanie, które należy wykonać z zachowaniem maksymalnej dyskrecji. To bardzo pilna sprawa i całkiem możliwe, że zajmie ci pół nocy.

Sir James nigdy nie pytał, czyjego podopieczny ma jakieś inne plany. Przy tak wysokiej pensji ta kwestia nie miała najmniejszego znaczenia.

— W porządku, proszę pana. Będę tylko musiał wykonać kilka telefonów.

— To dobrze. Otóż przeglądając stare raporty natrafiłem na jeden, który mnie szczególnie zainteresował. Pół roku temu nasz człowiek z Wydziału Kontraktów Zagranicznych został wysłany do Republiki Zangaro. Nie wiem dlaczego, a chciałbym się dowiedzieć. Człowiek ów uzyskał zgodę tamtejszego rządu na wysłanie jednoosobowej ekspedycji w celu zbadania zasobów naturalnych na dziewiczych terenach w pobliżu łańcucha Gór Kryształowych. Chcę też wiedzieć, czy zarząd spółki został poinformowany o tym fakcie.

— Zarząd?

— Tak jest. Czy zarząd wie, że prowadzimy tam badania? Wątpię, czy znajdziesz zapis o tym w porządku dziennym posiedzeń. Pewnie będziesz musiał przejrzeć stenogramy, a w razie jakichkolwiek niejasnych wzmianek na ten temat sprawdź dokumenty z całego roku. Dowiedz się także, kto i dlaczego zatwierdził przed pół rokiem wyjazd Bryanta, a potem wysłał tam inżyniera z misją badawczą. Ten inżynier nazywa się Mulrooney. Chcę wiedzieć, co to za człowiek, sprawdź to w dziale personalnym. Czy wszystko jasne?

Thorpe nie ukrywał zdziwienia. Zadanie, które otrzymał, nie miało nic wspólnego z jego zwykłymi obowiązkami.

— Naturalnie, ale przecież panna Cooke zrobiłaby to dwa razy szybciej ode mnie albo mogłaby zlecić to komuś z...

— Owszem, mogłaby, ale ja chcę, żebyś ty to zrobił. Jeśli będziesz przeglądał teczki w dziale

personalnym lub dokumenty z posiedzeń zarządu, każdy uzna, że chodzi o jakieś sprawy finansowe. Dzięki temu sprawa zostanie utrzymana w tajemnicy.

Martinowi zaczęło wreszcie coś świtać.

— Czy to znaczy... Myśli pan, że oni coś tam odkryli? Manson odwrócił się i spojrzał przez okno w niebo, które

tymczasem przybrało barwę atramentu, a potem na rzęsiście oświetlone budynki, pełne brokerów, pośredników, urzędników, kupców, prawników i ludzi łamiących prawo, tęsknie wyczekujących magicznej godziny siedemnastej trzydzieści.

— Nieważne — powiedział szorstko do młodego człowieka za swoimi plecami. — Po prostu zrób to.

Szeroko uśmiechnięty Martin Thorpe wyslizgnął się z gabinetu tylnym wyjściem i zszedł po schodach do swojego biura.

— Przebiegły drań... — mruknął pod nosem.

Manson włączył górne oświetlenie, po czym wrócił do biurka.

— Przyszedł pan Bryant, proszę pana.

— Proszę go wprowadzić.

Przeciętny urzędnik Manson Consolidated mógł być wezwany do gabinetu szefa z trzech powodów. Aby wysłuchać poleceń lub osobiście odpowiedzieć na pytania sir Jamesa, czyli w interesach. Aby zostać potraktowanym jak szmata, co oznaczało piekło. Wreszcie po to, by szef mógł odegrać rolę dobrodusznego wujka, co dawało nadzieję na przyszłość.

Stojący na progu gabinetu Richard Bryant, trzydziestodziewięcioletni mężczyzna, wykonujący kompetentnie swoją pracę i pragnący utrzymać ją możliwie najdłużej, doskonale zdawał sobie sprawę, że pierwszy powód raczej nie wchodzi w grę. Obawiał się, że chodzi o drugi, ale ku swej ogromnej uldze stwierdził, że ma do czynienia z trzecim.

Sir James wyszedł mu naprzeciw z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Witam, Bryant. Proszę wejść.

Bryant spełnił życzenie szefa, a panna Cooke zamknęła za nim drzwi i wróciła za swoje biurko.

Sir James Manson wskazał pracownikowi jeden z rozłożystych foteli ustawionych w głębi przestronnego gabinetu. Bryant, wciąż zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi, usiadł posłusznie i zapadł się w miękkie poduszki, Manson zaś podszedł do przeciwległej ściany i otworzył ukryte w boazerii drzwiczki znakomicie zaopatrzonego barku.

— Napijesz się, Bryant? Zdaje się, że słońce już dawno zaszło.

— Dziękuję panu. Eee... szkocką, jeśli można prosić.

— Dobry wybór. To moja ulubiona trucizna. Ja też się przyłączę. Bryant zerknął na zegarek. Była za kwadrans piąta, a przeniesiony

z tropików zwyczaj picia alkoholu dopiero po zachodzie słońca miał niewielką rację bytu w zimowe londyńskie popołudnia. Pamiętał jednak doskonale jakieś biurowe przyjęcie, podczas którego sir James wyraził się pogardliwie o mężczyznach pijących sherry i spędził wieczór przy kolejnych szklaneczkach szkockiej. Okazuje się, że warto zwracać uwagę na takie szczegóły — pomyślał Bryant, obserwując szefa nalewającego starą glenliet do dwóch kryształowych szklanek. Naturalnie nie było mowy o żadnym lodzie.

— Z wodą? — zapytał Manson.

Bryant przyjrzał się butelce.

— Nie, dziękuję. To grzech rozcieńczać tak znakomity trunek. Manson skinął z aprobatą głową i przyniósł napełnione szklanki.

Przez dłuższą chwilę rozkoszowali się smakiem starej whisky, aż wreszcie sir James dostrzegł niepokój Bryanta i obdarzył go uśmiechem rubasznego wujaszka.

— Nie ma się pan czego obawiać — powiedział. — Po prostu przeglądałem stare raporty, które zalegały mi w szufladach, i przypadkowo natrafiłem na pański. Widocznie zapomniałem zwrócić go do akt pannie Cooke.

— Mój raport? — zainteresował się Bryant.

— Tak, tak... Ten, który sporządził pan po powrocie z tego małego państewka... Jak ono się nazywa? Zangaro?

— Tak, proszę pana. Zangaro. To było pół roku temu.

— Właśnie. Dokładnie pół roku. Czytając go ponownie, zwróciłem uwagę, że miał pan trochę problemów z tym ministrem.

Bryant zaczął się powoli odprężyć. W pokoju było ciepło, siedział w wygodnym fotelu, a whisky to przecież najlepszy przyjaciek Uśmiechnął się na wspomnienie o minionych wydarzeniach.

— Ale mimo to uzyskałem zgodę na zorganizowanie misji badawczej.

— Zgadza się — potwierdził sir James. — Gratuluję panu. — On także uśmiechnął się do wspomnień. — Kiedyś robiłem to samo co pan: wyruszałem na ryzykowne wyprawy, żeby zdobyć jakiś apetyczny kęsek. Nigdy jednak nie byłem w Afryce Zachodniej — to znaczy, w tamtych czasach. Potem latałem tam wiele razy, ale dopiero wtedy, kiedy zaczęło się to wszystko. — Zatoczył ręką łuk, wskazując, co miał na myśli mówiąc „to wszystko”. — A teraz spędzam tu całe dnie, zagrzebany po uszy w papierach — ciągnął. — Zazdroszczę wam, młodym, że możecie uganiać się po świecie i załatwiać sprawy jak dawniej. Proszę opowiedzieć mi o swojej podróży do Zangaro.

— To rzeczywiście było jak za dawnych lat, proszę pana. Przez cały czas myślałem, że lada chwila zobaczę dzikusów z poprzekłuwanymi nosami.

— Doprawdy? Dobry Boże, cóż to za dziki kraj!

Sir James Manson odchylił nieco głowę do tyłu, dzięki czemu Bryant nie dostrzegł pełnego uwagi skupienia w spojrzeniu pracodawcy, całkowicie nie na miejscu wobec pozornie swobodnego tonu.

— Zgadza się, proszę pana. To zakazane miejsce, od uzyskania niepodległości z każdym rokiem cofające się głębiej w średniowiecze. — Przypomniał sobie, co szef powiedział kiedyś na zebraniu z pracownikami firmy. — Zangaro to klasyczny przykład na poparcie tezy, że w większości nowo powstałych afrykańskich państw rządzą ludzie, którzy nie mają kwalifikacji wystarczających do zarządzania miejskim wysypiskiem śmieci. W rezultacie, rzecz jasna, cierpi przede wszystkim przeciętny obywatel.

Sir James poznał własne słowa, więc tylko uśmiechnął się lekko, wstał z fotela i podszedł do okna, by spojrzeć w dół na zatłoczone ulice.

— Kto tam rządzi? — zapytał cicho.

— Prezydent, a właściwie dyktator — odparł Bryant. Jego szklanka była już pusta. — Nazywa się Jean Kimba. Pięć lat temu wygrał pierwsze i jedyne wybory — niektórzy twierdzą, że za pomocą terroru i czarów rzucanych na elektorat. To naprawdę zacofani ludzie, proszę pana. Większość z nich nie ma pojęcia, na czym polegają prawdziwe wybory. Teraz nie muszą już zaprzętać sobie tym głowy.

— Taki twardziel z tego Kimby?

— Nawet nie chodzi o to, proszę pana. On jest po prostu szalony. To obłąkany megaloman, a do tego prawdopodobnie paranoik. Rządzi państwem zupełnie sam, otoczony niewielką grupką potakujących zauszników. Gdy go zawiodą albo dadzą powód do podejrzeń, lądują w celach starych policyjnych koszar. Plotka głosi, że Kimba osobiście takich torturuje. Jeszcze nikt nie wyszedł

stamtąd żywy.

— W jakim świecie przyszło nam żyć, Bryant? I pomyśleć, że w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ oni mają takie samo prawo głosu jak Wielka Brytania albo Ameryka! Z czyich rad korzysta przy sprawowaniu rządów?

— Z niczych, naturalnie jeśli nie liczyć głosów. Tak przynajmniej twierdzą nieliczni biali, którzy tam jeszcze zostali.

— Głosów? — powtórzył ze zdziwieniem sir James.

— Tak, proszę pana. Twierdzi wszem i wobec, że kierują nim pozaziemskie głosy i że często rozmawia z samym Bogiem. Ostatnio poinformował nawet o tym cały korpus dyplomatyczny.

— Coś takiego! — mruknął Manson, w dalszym ciągu spoglądając na ruchliwe ulice. — Czasem wydaje mi się, że popełniliśmy błąd zaznajamiając Afrykańczyków z koncepcją Boga. Teraz co najmniej połowa ich przywódców uważa się za Jego osobistych przyjaciół.

— Poza tym rządząc opiera się na zabobonnym strachu. Ludzie widzą w nim wielkiego jujit, czarownika czy kogoś w tym rodzaju. Utrzymuje ich w ryzach dzięki niesłychanemu terrorowi.

— A co z zagranicznymi dyplomatami? — zapytał mężczyzna stojący przy oknie.

— Cóż, starają się za bardzo nie wychylać. Wygląda na to, że są tak jak tubylcy przerażeni wybrykami tego szaleńca. Jest czymś w rodzaju skrzyżowania szejka Abeida Karume z Zanzibaru, Papy Doca Duvaliera z Haiti i Sekou Toure z Gwinei. Sir James płynnym ruchem odwrócił się od okna.

— Dlaczego Sekou Toure? — zapytał łagodnie.

— Cóż... Kimba jest kimś w rodzaju komunisty, proszę pana. Zawsze darzył Lumumbę największym poważaniem. Właśnie dlatego Rosjanie mają w Zangaro tak wielkie wpływy. Wybudowali ogromną ambasadę, a ich trawlerzy wywożą większość eksportowej produkcji Zangaro. Naturalnie w rzeczywistości są to nafaszerowane elektroniką okręty szpiegowskie albo statki zaopatrujące okręty podwodne. Pieniądze za te towary nie wpływają na poprawę losu ludności, bo wszystkie trafiają na prywatne konto Kimby.

— Nie wygląda mi to na marksizm — zażartował Manson. Bryant uśmiechnął się szeroko.

— Marksizm kończy się tam, gdzie zaczynają pieniądze i łapówki — odparł. — Tak jak zwykle.

— A więc powiada pan, że Rosjanie mają tam duże wpływy? Może jeszcze jedną whisky?

Słuchając wyjaśnień Bryanta, szef ManCon ponownie rozlał do szklanek cenny trunk.

— Tak, proszę pana. Kimba nie ma pojęcia, co się dzieje na świecie poza jego krajem i kilkoma pobliskimi państewkami. Dlatego podczas negocjacji z zagranicznymi koncernami korzysta czasem z usług trzech doradców pochodzących z jego plemienia. Dwóch z nich studiowało w Moskwie, jeden w Pekinie. Zdarza się też, że kontaktuje się bezpośrednio z Rosjanami. Któregoś dnia rozmawiałem w hotelowym barze z pewnym francuskim handlowcem. Twierdził, że rosyjski ambasador lub któryś z jego asystentów są codziennymi gośćmi w pałacu prezydenckim.

Bryant został jeszcze dziesięć minut, ale Manson nie usłyszał od niego już nic, co by go interesowało. Dwadzieścia po piątej pozbył się urzędnika równie gładko, jak go przyjął, po czym poprosił do siebie pannę Cooke.

— Pracuje u nas inżynier nazwiskiem Jack Mulrooney — powiedział. — Trzy miesiące temu wrócił z wyczerpującej wyprawy do Afryki, więc możliwe, że przebywa jeszcze na urlopie. Proszę skontaktować się z nim w domu i poinformować, że oczekuję go jutro o dziesiątej rano. Odszuka pani także doktora Gordona Chalmersa, szefa naszych laboratoriów. Powinien jeszcze być w pracy, a jeśli już wyszedł, to proszę złapać go w domu. Chcę, żeby zjawił się u mnie jutro o dwunastej. Proszę odwołać wszystkie jutrzejsze spotkania, także te wczesnopołudniowe, bo chcę wyjść z

Chalmersem na lunch. Właściwie może pani już teraz zarezerwować nam stolik u Wiltona na Bury Street. To wszystko, dziękuję pani. Niedługo wychodzę, więc niech kierowca pojedzie za dziesięć minut przed główne wejście. — Kiedy panna Cooke wyszła z gabinetu, Manson wcisnął jeszcze jeden guzik interkomu.

— Simon, możesz wpaść do mnie na chwilę? — mruknął. Simon Endean, tak jak Martin Thorpe, nie wyglądał na tego, kim był. Endean miał znakomite pochodzenie, nienaganne maniery i mentalność mordercy z East Endu. Jego ogłada i brutalność poparte były sprytem. Potrzebował kogoś takiego jak James Manson, podobnie jak James Manson, pnący się na szczyty kariery i walczący o utrzymanie się na górnym pokładzie łodzi kapitalizmu, potrzebował usług kogoś takiego jak Simon Endean.

Endean przypominał eleganckich bywalców wytwornych kasyn londyńskiego West Endu, młodych mężczyzn nadskakujących wszystkim milionerom i maltretujących tancerki, które dały się zwieść ich elegancji. Różnica polegała na tym, że dzięki swojej inteligencji Endean osiągnął wysoką pozycję doradcy szefa naprawdę wielkiego, bardzo specyficznego kasyna.

W przeciwieństwie do Thorpe'a nie miał ambicji, aby zostać multimilionerem. Uważał, że jeden milion całkowicie zaspokoi jego potrzeby, tymczasem zaś wystarczało mu życie w cieniu Jamesa Mansona. Dzięki temu miał pieniądze na sześciopokojowy apartament, chevroleta corvette i dziewczynki.

On także przyszedł z ósmego piętra i wkroczył do gabinetu bocznymi drzwiami, usytuowanymi naprzeciwko drzwi, z których korzystała panna Cooke oraz oficjalni goście.

— Słucham pana?

— Simon, jutro idę na lunch z człowiekiem nazwiskiem Gordon Chalmers. To szef naszego laboratorium w Watford. Będzie tu o dwunastej, ale przedtem muszę dostać kompletną informację na jego temat. Przede wszystkim teczkę z działu personalnego, ale także wszystko, co uda ci się znaleźć. Jaki jest w życiu prywatnym, jak układa mu się życie rodzinne, jakie miał niepowodzenia, a przede wszystkim, czy ma pilne potrzeby finansowe znacznie przekraczające jego zarobki. Także przekonania polityczne, jeśli je ma. Większość uczonych to lewicowcy, ale nie wszyscy. Jeszcze dzisiaj pogadaj z Erringtonem z działu personalnego, a potem przejrzyj teczkę Chalmersa i zostaw mi ją na biurku. Jutro z samego rana zajmij się jego domem i znajomymi, i zadzwoń do mnie nie później niż za kwadrans dwunasta. Zrozumiałeś? Wiem, że to trudne zadanie, ale sprawa może być bardzo ważna.

Endean przyjął polecenie z kamienną twarzą. Doskonale wiedział, o co chodzi: sir James Manson często potrzebował informacji tego rodzaju, ponieważ nigdy nie stawał twarzą w twarz z innym człowiekiem — wszystko jedno, wrogiem czy przyjacielem — nie dysponując szczegółową wiedzą na jego temat. Wielokrotnie właśnie dzięki temu udało mu się pokonać przeciwnika. Endean skinął głową, wyszedł z gabinetu i skierował się prosto do działu personalnego.

Kiedy rolls-royce ruszył przed wejścia do siedziby Manson Consolidated, wioząc swego pasażera ku apartamentowi na drugim piętrze Arlington House zaraz za hotelem Ritz, gorącej kąpieli i obiadowi dostarczanemu z restauracji Caprice, sir James Manson rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu, po czym zapalił pierwsze tego wieczoru cygaro. Kierowca podał mu najświeższe wydanie Evening Standard. Na wysokości stacji Charing Cross uwagę Mansona zwróciła niewielka informacja wciśnięta między rezultaty dzisiejszych gonitw. Przeczytał ją kilka razy, po czym oderwał wzrok od gazety i popatrzył przez szybę na sunące jeden za drugim samochody i skulonych pieszych, drepczących w lutowej mżawce w kierunku stacji metra lub do autobusu po kolejnym ekscytującym dniu w City.

Kiedy tak wpatrywał się w nich nie widzącym spojrzeniem, w jego umyśle narodził się załączek

pomysłu. Ktoś inny może by się roześmiał i odrzucił pomysł bez zastanowienia, ale sir James Manson nie był „kimś innym”, tylko jednym z piratów dwudziestego wieku, w dodatku niezmiernie dumnym ze swojej profesji. Tytuł krótkiej informacji w wieczornej gazecie odnosił się do malej afrykańskiej republiki. Nie było to Zangaro, ale jakieś inne państwo, o którym Manson nigdy wcześniej nie słyszał, gdyż nie miało żadnych bogactw naturalnych. Tytuł brzmiał:

KOLEJNY ZAMACH STANU
W AFRYKAŃSKIM PAŃSTWIE

4

Kiedy sir James zjawił się pięć po dziewiątej w biurze, Martin Thorpe czekał już w sekretariacie i wszedł za nim do gabinetu.

— Czego pan się dowiedział? — zapytał Manson, zdejmując płaszcz z wielbłądziej wełny i wieszając go do szafy. Thorpe wyciągnął z kieszeni notes i zaczął odczytywać rezultaty swoich wieczornych badań.

— Rok temu wysłaliśmy ekipę badawczą do państwa położonego na północny wschód od Zangaro. Towarzyszył jej zespół zwiadu lotniczego wynajęty od pewnej francuskiej firmy. Teren objęty rekonesansem znajduje się w pobliżu granicy Zangaro. Niestety, istnieje bardzo niewiele map topograficznych tych obszarów, nie wspominając już o lotniczych, a wobec braku naziemnych urządzeń naprowadzających pilot tracił wiele czasu na ustalenie swojego położenia.

Pewnego dnia, przy wietrze znacznie silniejszym niż wynikało z prognoz, wykonał kilka przelotów wzdłuż całego obszaru wyznaczonego do badań, po czym, zadowolony z wykonania zadania, wrócił do bazy. Nie wiedział jednak o tym, że silny wiatr zepchnął go z kursu aż sześćdziesiąt kilometrów w głąb terytorium Zangaro. Wyszło to na jaw dopiero po wywołaniu filmu.

— Kto to ustalił? Ta francuska firma?

— Nie, proszę pana. Oni tylko wywołali film i oddali nam go do analizy bez żadnych komentarzy, tak jak było ustalone. Identyfikacją sfotografowanych terenów zajmowali się wyłącznie nasi ludzie. To oni zorientowali się, że dostarczone zdjęcia przedstawiają obszar nie objęty badaniami, ponieważ dostrzegli na nich wyraźnie widoczny łańcuch górski, a na obszarze, którym się interesowaliśmy, nie było żadnych wzniesień. Odłożyli więc fotografie na bok i przestali się nimi zajmować.

Trochę później jakiś bystrzak przyjrzał się uważniej zdjęciom i zauważył, że jedno ze wzgórz, trochę na wschód od głównego pasma, jest pokryte zupełnie inną szatą roślinną. Z ziemi bardzo trudno dostrzec różnicę, ale z wysokości czterech kilometrów widać ją jasno i wyraźnie jak kolorowe bile na stole.

— Wiem, na czym to polega — warknął sir James. — Proszę mówić dalej.

— Przepraszam pana. Ja dowiedziałem się o tym dopiero teraz... W każdym razie kilka zdjęć trafiło do chłopców z sekcji fotogeologicznej, a oni zrobili powiększenia i potwierdzili, że na niewielkim terenie obejmującym samotne stożkowe wzgórze o wysokości około sześciuset metrów, roślinność jest zupełnie inna niż w okolicy. Raport trafił do szefa sekcji topograficznej, a on zidentyfikował pasmo jako Góry Kryształowe, samotne wzniesienie zaś jako Kryształową Górę, po czym przekazał dokumentację do Wydziału Kontraktów Zagranicznych, a Willoughby, szef Wydziału, wysłał Bryanta, żeby załatwił zgodę na przeprowadzenie prac badawczych.

— Nic mi o tym nie powiedział — zauważył Manson, siadając za biurkiem.

— Wysłał notatkę służbową. Mam ją tutaj, proszę pana. Przebywał pan wtedy w Kanadzie i miał wrócić dopiero za miesiąc. Willoughby zaznacza w niej wyraźnie, że nie należy wiązać z tą sprawą zbyt wielkich nadziei, ale ponieważ przypadkiem uzyskaliśmy materiał zdjęciowy, a sekcja fotogeologiczna uważa, że musi istnieć jakiś powód odmienności szaty roślinnej w tym rejonie, warto

zaryzykować pewne wydatki. Sugeruje także, że będzie to dobra okazja, żeby Bryant przeprowadził pierwszą samodzielną misję i nabrał trochę doświadczenia. Do tej pory zawsze towarzyszył Willoughby'emu.

— Naprawdę?

— No, prawie zawsze. Pół roku temu Bryant odebrał wizę i wsiadł do samolotu. Załatwienie zezwolenia zajęło mu trzy tygodnie. Przed czterema miesiącami Wydział Badań Lądowych zgodził się odwołać z Ghany niewykwalifikowanego poszukiwacza nazwiskiem Jack Mulrooney i skierować go do Zangaro, pod warunkiem, że nie pociągnie to za sobą większych kosztów. Nie pociągnęło. Mulrooney wrócił trzy tygodnie temu przywożąc półtorej tony próbek, które od razu trafiły do laboratorium w Watford.

— Bardzo dobrze — powiedział sir James Manson po chwili milczenia. — Czy zarząd spółki wie o tym wszystkim?

— Nie, proszę pana — stwierdził stanowczo Thorpe. — To zbyt mało istotna sprawa. Przejrzałem stenogramy posiedzeń z całego minionego roku i sprawdziłem wszystkie dokumenty z tego okresu, łącznie z notatkami i listami skierowanymi do członków zarządu. Nigdzie nie znalazłem żadnej wzmianki na ten temat. Przedsięwzięcie miało tak niski budżet, że nie zwróciło niczyjej uwagi, tym bardziej że nie zostało zgłoszone przez Dział Projektów, bo przecież zdjęcia lotnicze dostaliśmy w prezencie od Francuzów i ich niedorozwiniętego pilota. Ta sprawa nigdy nie zaistniała na wyższym szczeblu. James Manson skinął głową z nie skrywaną satysfakcją.

— To dobrze. A teraz Mulrooney. Czy to bystry facet? Thorpe podał mu teczkę osobową Jacka Mulrooneya.

— Nie ma wykształcenia, ale za to ogromne praktyczne doświadczenie. To szczwany lis, zna Afrykę jak własną kieszeń.

Manson przejrzał teczkę, szczególnie dużo uwagi poświęcając opisowi kariery Mulrooneya w firmie.

— Rzeczywiście, nie brakuje mu doświadczenia... — mruknął. — Nie należy nie doceniać afrykańskich weteranów — dodał głośniejszym głosem. — Ja sam zaczynałem od obozu górniczego w Witwatersrandzie, ale wspiąłem się wyżej, a Mulrooney tam pozostał. Nigdy nie wolno traktować protekcjonalnie takich ludzi, bo mogą być bardzo użyteczni, a czasem są bardzo pojętni. — Podziękował Martinowi, po czym mruknął do siebie: — A teraz przekonajmy się, na ile pojętny jest pan Mulrooney. — Włączył interkom. — Panno Cooke, czy przyszedł pan Mulrooney?

— Tak, proszę pana. Już czeka.

— Proszę go wprowadzić.

Manson wyszedł naprzeciw swojemu pracownikowi, powitał go ciepło i wskazał fotel, w którym poprzedniego wieczoru siedział Richard Bryant, a następnie poprosił pannę Cooke o dwie kawy. O tym, że Mulrooney jest namiętnym kawoszem, dowiedział się z jego teczki personalnej.

W eleganckim londyńskim gabinecie Jack Mulrooney wydawał się równie nie na miejscu jak Martin Thorpe w sercu afrykańskiej dżungli. Nie bardzo wiedział, co począć z wielkimi rękami, wystającymi z nieco za krótkich rękawów marynarki. Przed wyjściem z domu przyczesał siwe włosy mokrym grzebieniem i zaciął się przy goleniu. Było to jego pierwsze spotkanie z szefem firmy. Sir James starał się jak mógł, żeby go trochę rozluźnić.

Kiedy panna Cooke weszła do gabinetu z tacą zastawioną porcelanowymi filiżankami, dzbankiem do kawy, dzbanuszką ze śmietaną, cukiernicą oraz talerzem z ciasteczkami, usłyszała, jak jej chlebobawca mówi do Irlandczyka:

— ...właśnie chodzi, człowieku. Masz za sobą to, czego ani ja, ani nikt inny nie zdoła nauczyć

tych chłoptasiów prosto z college'u: dwadzieścia pięć lat harówki przy wydobywaniu różnych kamieni i ładowaniu ich na wózki.

Każdy lubi być docenianym, a że Jack Mulrooney nie stanowił pod tym względem wyjątku, wyraźnie pokraśniał i skinął głową. Kiedy panna Cooke wyszła, sir James Manson wskazał na delikatne filiżanki.

— Popatrz na te skorupki. Kiedyś pijałem kawę z porządnych kubków, a teraz przynoszą mi takie byle co. Pamiętam, jak pod koniec lat trzydziestych, a więc chyba jeszcze zanim nadeszły twoje czasy...

Mulrooney został pełną godzinę i wyszedł z przeświadczeniem, że jego szef to całkiem równy gość, wbrew temu, co słyszał o nim do tej pory. Sir James Manson również uznał, że Mulrooney to porządny człowiek — przynajmniej jeśli chodzi o jego pracę, która polegała i zawsze miała polegać na łupaniu skał bez zadawania pytań.

Tuż przed wyjściem Jack utwierdził go w tej opinii.

— Powiadam panu, tam musi być cyna. Daję za to głowę. Problem polega tylko na tym, czy opłaci się ją wydobywać.

Sir James poklepał go po ramieniu.

— Niech cię o to głowa nie boli. Dowiemy się, jak tylko otrzymamy wyniki badań z Watford. I nie obawiaj się — jeśli okaże się, że jest tam choć jedna uncja, którą można dowieźć na wybrzeże po kosztach niższych od ceny rynkowej, wydostaniemy ją i dowieziemy. A co z tobą? Jaka czeka cię teraz przygoda?

— Nie wiem, proszę pana. Zostały mi jeszcze trzy dni urlopu.

— Chciałbyś znowu wyjechać za granicę? — zainteresował się sir James.

— Tak, proszę pana. Szczerze mówiąc, nie znoszę tego miasta, pogody i w ogóle wszystkiego.

— Z powrotem do ciepłego słońca, co? Słyszałem, że lubisz dziewicze rejony?

— Jasne. Tam można być panem samego siebie. Manson uśmiechnął się.

— Rzeczywiście... Masz rację. Niemal ci zazdroszczę. Co ja mówię, naprawdę ci zazdroszczę! Cóż, zobaczymy, co da się zrobić.

Dwie minuty po wyjściu Jacka Mulrooneya Manson polecił panie Cooke odesłać jego teczkę do działu personalnego, po czym zadzwonił do księgowości i kazał wypłacić mu jeszcze przed najbliższym poniedziałkiem premię w wysokości 1000 funtów. Następnie połączył się z kierownikiem Wydziału Badań Ładowych.

— Wymień mi wszystkie operacje, które dopiero rozpoczęłeś albo planujesz rozpocząć w ciągu najbliższych dni — zażądał bez żadnych wstępów.

Były trzy, w tym jedna na północy Kenii, w pobliżu granicy z Somalią, gdzie stojące w zenicie słońce smaży mózg jak jajko na patelni, nocny chłód ścina szpik w kamień, a bandyci grasują zarówno w dzień, jak i w nocy. Zanosilo się na to, że prace potrwają co najmniej około roku i Wydział Badań Ładowych otrzymał już dwie rezygnacje potencjalnych kandydatów na tę placówkę.

— Wyślij Mulrooneya — polecił sir James, po czym odłożył słuchawkę.

Zerknął na zegar: jedenasta. Otworzył teczkę osobową doktora Gordona Chalmersa, pozostawioną wczoraj na biurku przez Endeana.

Chalmers ukończył z wyróżnieniem londyńską Szkołę Górniczą, która przypuszczalnie jest najlepszą tego rodzaju uczelnią na świecie — cokolwiek by o tym sądzili absolwenci szkoły w Witwatersrandzie. Uzyskał stopień magistra geologii i chemii, a w wieku dwudziestu kilku lat obronił pracę doktorską. Po pięciu latach spędzonych na uczelni w charakterze wykładowcy podjął pracę w sekcji naukowej koncernu Rio Tinto Zinc, skąd sześć lat później został najzwyczajniej w świecie

wykradzony przez Manson Consolidated, która zaproponowała mu znacznie wyższe wynagrodzenie. Od czterech lat był szefem Wydziału Naukowego firmy, leżącego na przedmieściu Watford w Hertfordshire, jednym z hrabstw graniczących od północy z Londynem. Zdjęcie z akt przedstawiało niespełna czterdziestoletniego mężczyznę wpatrującego się w kamerę znad gęstej ryżej brody. Ubrany w tweedową marynarkę i fioletową koszulę, na szyi miał krzywo zawiązany wełniany krawat.

Za dwadzieścia pięć dwunasta rozległ się dzwonek prywatnego telefonu. Sir James Manson podniósł słuchawkę i usłyszał najpierw pikanie automatu, potem brzęknięcie wrzucanej monety, wreszcie zaś głos Endeana. Dzwonił ze stacji kolejowej w Watford i mówił szybko przez równo dwie minuty. Kiedy skończył, Manson chrząknął z uznaniem.

— Dobrze o tym wiedzieć — powiedział. — Wracaj już do Londynu. Mam dla ciebie nowe zadanie. Chcę dostać szczegółowy raport na temat Republiki Zangaro. Tak, Zangaro. — Przeliterował nazwę. — Zaczynaj od samego odkrycia. Muszę mieć wszystko: historię, geografię, położenie, ekonomię, uprawy, mineralogię, politykę i stopień rozwoju. Skoncentruj się na dziesięciu latach poprzedzających uzyskanie niepodległości i na współczesności. Chcę otrzymać dokładne informacje o prezydencie, rządzie, parlamencie, o ile mają tam coś takiego, administracji, urzędach, sądownictwie i partiach politycznych. Najważniejsze są trzy sprawy: pierwsza, to stopień zaangażowania Rosjan i Chińczyków oraz ich wpływ na prezydenta, a także pozycja miejscowych komunistów. Druga, to żeby nikt, kto ma choćby najmniejszy związek z tym krajem, nie dowiedział się, że się nim interesujemy, więc broń Boże nie leć tam osobiście. I trzecia: nie wygadaj się przed nikim, że jesteś z ManCon. Musisz występować pod przybranym nazwiskiem. Zrozumiałeś? To dobrze. Zgłoś się najwcześniej, jak będziesz mógł, ale nie później niż za dwadzieścia dni. Pobierz pieniądze z księgowości i zachowaj daleko idącą dyskrecję. Oficjalnie jesteś na urlopie. Później wszystko ci wynagrodzę.

Manson odłożył słuchawkę i połączył się z Thorpe'em, by wydać mu kolejne polecenia. Trzy minuty później Thorpe dotarł na dziewiąte piętro i położył na biurku szefa dokument, którego ten zażądał. Była to kopia listu.

Dziewięć pięter niżej doktor Gordon Chalmers wysiadł z taksówki na rogu Moorgate i zapłacił kierowcy. Czuł się trochę nieswojo w ciemnym garniturze i płaszczu, ale Peggy przekonała go, że jest to jedyny odpowiedni strój na rozmowę i lunch z prezesem zarządu firmy.

Zmierzając ku wejściu do siedziby Manson Consolidated zwrócił uwagę na tytuły wystawionych na stelażu Evening News i Evening Standard: RODZICE OFIAR THALIDOMIDU DOMAGAJĄ SIĘ ODSZKODOWAŃ. Wykrzywił usta w gorzkim grymasie, ale mimo to kupił obie gazety.

Artykuły rozwijały informację przekazaną w nagłówkach, choć nie były zbyt obszerne. Po kolejnej, ciągnącej się w nieskończoność rundzie rozmów między reprezentantami rodziców ponad czterystu dzieci urodzonych z ciężkimi wadami rozwojowymi spowodowanymi przez thalidomid, który pojawił się na rynku dziesięć lat wcześniej, a firmą produkującą ten specyfik, negocjacje ponownie utknęły w martwym punkcie. Postanowiono, że rozmowy zostaną wznowione „w późniejszym terminie”.

Myśli Gordona Chalmersa pobiegły ku domowi na przedmieściu Watford, ku trzydziestoletniej, a wyglądającej na ponad czterdzieści lat żonie, oraz ku Margaret, pozbawionej obu nóg i jednej ręki Margaret, która wkrótce miała skończyć dziewięć lat i potrzebowała pary sztucznych nóg, a także specjalnie zbudowanego domu. Takiego, w jakim wreszcie udało im się zamieszkać, a którego spleta pochłaniała prawdziwą fortunę.

— W późniejszym terminie... — parsknął nie bardzo wiadomo do kogo i cisnął gazety do kosza. Rzadko czytywał popołudniówki. Wolał Guardian, Private Eye oraz lewicującą Tribune. Po

dziesięcioletnich obserwacjach walki toczonej przez grupę ubogich rodziców z przemysłowym gigantem o należne im odszkodowania, Gordon Chalmers nie miał najlepszego zdania o wielkich kapitalistach. Dziesięć minut później znalazł się twarzą w twarz z jednym z największych.

Sir James Manson nie mógł osłabić jego czujności równie łatwo, jak uczynił to z Bryantem i Mulrooneyem. Uczony zacisnął palce na szklance z piwem i odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie. Manson natychmiast zorientował się w sytuacji, więc ledwo panna Cooke wręczyła mu jego whisky i wyszła z gabinetu, przystąpił do rzeczy.

— Przypuszczam, doktorze Chalmers, że domyśla się pan, w jakiej sprawie został tu zaproszony?

— Owszem, proszę pana. Chodzi o raport w sprawie Kryształowej Góry.

— Otóż to. Nawiasem mówiąc, miał pan całkowitą słuszność przesyłając mi go w zapieczętowanej kopercie.

Chalmers wzruszył ramionami. Postąpił tak, ponieważ zgodnie z panującymi w firmie zwyczajami wszystkie wyniki ważnych badań powinny trafiać bezpośrednio do prezesa zarządu. Gdy zorientował się w zawartości próbek, nie miał żadnych wątpliwości, jak powinien postąpić.

— Chcę zadać panu dwa pytania, na które muszę uzyskać całkowicie jednoznaczne odpowiedzi — powiedział sir James. — Czy jest pan całkowicie pewien wyniku? Czy nie może istnieć inne wytłumaczenie właśnie takich, a nie innych, rezultatów badań?

Chalmers nie był ani zaskoczony, ani oburzony. Doskonale zdawał sobie sprawę, że laicy nie mający nic wspólnego z magią nauki często kwestionowali ustalenia uczonych, najczęściej zarzucając im brak precyzji. Już dawno temu zaprzestał prób wyjaśniania podstaw swego rzemiosła.

— Absolutnie pewien. Po pierwsze, istnieje wiele testów pozwalających stwierdzić obecność platyny. Zastosowałem je wszystkie, za każdym razem uzyskując identyczne wyniki. Po drugie, nie poprzestałem na tym, ale powtórzyłem wszystkie testy jeszcze raz. Teoretycznie jest możliwe, żeby ktoś sztucznie wzbogacił skład próbek pobranych z koryt strumieni, ale z pewnością nie mógłby zmienić wewnętrznej struktury skał. Dane, które przedstawiłem w moim raporcie, są nie do podważenia.

Sir James Manson wysłuchał wykładu z pełnym szacunkiem, po czym skinął z podziwem głową.

— A ilu pracowników pańskiego laboratorium je zna?

— Nikt — stwierdził stanowczo Chalmers.

— Nikt? — powtórzył Manson. — Ależ, doktorze, z pewnością któryś z pańskich asystentów...

Chalmers pociągnął łyk piwa i potrząsnął głową.

— Kiedy próbki dotarły do laboratorium, zostały natychmiast wstawione do magazynu. Mulrooney dołączył do skrzyń notatkę, w której poinformował o swoich podejrzeniach dotyczących obecności cyny. Ponieważ sprawa nie wyglądała na skomplikowaną, zleciłem ją jednemu z młodszych asystentów, a ten, niezbyt jeszcze doświadczony, przeprowadził standardowe testy mające potwierdzić ustalenia Mulrooneya. Kiedy uzyskał negatywny wynik, zawiadomił mnie i pokazał rezultaty. Powtórzyłem badanie, ale otrzymałem ten sam wynik, więc wygłosiłem wykład o tym, że nigdy nie należy się sugerować niczymi przypuszczeniami i poleciłem mu wykonać kilka innych testów, które także nie dały żadnego rezultatu. Wkrótce potem wszyscy pracownicy laboratorium wyszli do domu, ja jednak zostałem dłużej, więc byłem zupełnie sam, kiedy kolejce analizy dały pozytywny wynik. Około północy nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że w próbce pobranej z dna strumienia znajdują się niewielkie ilości platyny. Zamknąłem laboratorium i poszedłem do domu.

Następnego dnia zleciłem asystentowi inne zadanie i zabrałem się do pracy. Miałem do dyspozycji sześćset woreczków ze żwirem i piaskiem oraz siedemset kilogramów próbek skał pobranych w różnych miejscach góry. Dzięki zdjęciom dostarczonym przez Mulrooneya mogłem ją

sobie dokładnie wyobrazić. Tak jak napisałem w raporcie, platyna jest obecna we wszystkich próbkach.

Buntowniczym gestem podniósł szklanę z piwem i opróżnił ją do dna.

Sir James Manson przez cały czas kiwał głową, wpatrując się w naukowca z dobrze udawanym podziwem.

— To niewiarygodne — powiedział wreszcie. — Wiem o tym, że wy, uczeni, lubicie pozostawać na uboczu i nie angażować się w to, co robicie, ale chyba nawet pan powinien odczuć dreszcz podniecenia. Przecież wszystko wskazuje na to, że odkryliśmy zupełnie nowe ogromne złożo niezwykle rzadko występującego surowca! Czy wie pan, jak często zdarza się coś takiego? Raz na dziesięć lat, a może i rzadziej!

W rzeczywistości Chalmers był niezwykle podniecony odkryciem i dlatego właśnie przez trzy tygodnie pracował dzień w dzień do późnej nocy, żeby zbadać wszystkie próbki pobrane z Kryszałowej Góry, ale nie miał zamiaru przyznać się do tego.

— Istotnie, ManCon może zrobić na tym wielkie pieniądze — odparł, wzruszając ramionami.

— Niekoniecznie — odparł cicho James Manson. Dopiero teraz udało mu się poruszyć Chalmersa.

— Jak to? — zdziwił się uczony. — Przecież to prawdziwa fortuna!

— Fortuna zagrzebana w ziemi — powiedział sir James, wstając z fotela i podchodząc do okna.

— Problem polega na tym, czy i kto uzyska do niej dostęp. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że złożo pozostanie nie wykorzystane przez wiele lat albo że jego zawartość po wydobyciu trafi do magazynów. Pozwoli pan, drogi doktorze, że wprowadzę go w problem...

Wprowadzenie doktora Chalmersa w problem zajęło prawie pół godziny, podczas której sir James mówił głównie o finansach i polityce, czyli o dziedzinach nie będących najmocniejszą stroną uczonego.

— Teraz wie pan już wszystko — zakończył. — Wszystko wskazuje na to, że jeśli podamy do publicznej wiadomości informację o odkryciu złoża, zostanie ono ofiarowane jak na tacy rosyjskiemu rządowi.

Doktor Chalmers, który osobiście nie miał żadnych pretensji do rosyjskiego rządu, wzruszył lekko ramionami.

— Nie jestem w stanie zmienić faktów, proszę pana. Manson uniósł brwi w udanym przerażeniu.

— Dobry Boże, oczywiście, że nie! — Zerknął na zegarek. — Już prawie pierwsza — stwierdził ze zdziwieniem. — Przypuszczam, że jest pan przynajmniej tak samo głodny jak ja. Proponuję, żebyśmy poszli na mały lunch.

Początkowo miał zamiar wziąć rollsa, ale po telefonie od Endeana z Watford i informacji od miejscowego agenta prasowego o prenumeracie Tribune zdecydował się na taksówkę.

„Mały lunch” składał się z pasztetu, omletu z truflami, zająca w czerwonym winie oraz biszkoptów. Zgodnie z przypuszczeniami Mansona Chalmers nie pochwalał podobnych zbytków, ale jednocześnie miał znakomity apetyt. Poza tym nie mógł nie ulec podstawowemu prawu natury polegającemu na tym, że smaczny i obfity posiłek wywołuje nastrój zadowolenia, sytości, euforii oraz zmniejsza opory moralne. Manson liczył również na to, że zaprzysiężony zwolennik piwa okaże się nie przyzwyczajony do ciężkich czerwonych win, i rzeczywiście: dwie butelki Côte du Rhone skłoniły Chalmersa do rozmowy o pracy, rodzinie i poglądach na świat.

Kiedy po raz pierwszy wspomniał o rodzinie i nowym domu, sir James Manson zauważył mimochodem, z odpowiednio współczującą miną, że rok temu widział w telewizji Chalmersa udzielającego wywiadu na ulicy.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Wcześniej nie miałem o niczym pojęcia... Myślę o pańskiej dziewczynce. Cóż za okropna tragedia...

Chalmers skinął głową i zapatrzył się w obrus. Po chwili, najpierw z wyraźnymi oporami, a potem coraz śmielej, zaczął opowiadać swojemu pracodawcy o Margaret.

— Ale pan i tak tego nie zrozumie — oświadczył nagle.

— Mogę spróbować — odparł łagodnie sir James. — Ja też mam córkę. Naturalnie, jest starsza od pańskiej.

Dziesięć minut później, kiedy nastąpiła przerwa w rozmowie, sir James Manson wyjął z kieszeni złożoną kilkakrotnie kartkę.

— Szczerze mówiąc nie bardzo wiem, jak powinienem to załatwić... — powiedział z lekkim zażenowaniem. — Wiem, podobnie jak wszyscy, ile czasu poświęca pan pracy dla firmy. Zdaję sobie sprawę, że często zostaje pan w laboratorium do późnej nocy i że obciążenia związane z problemami osobistymi muszą wywierać znaczny wpływ zarówno na pana, jak i na panią Chalmers. Dziś rano pozwoliłem więc sobie wydać mojemu bankowi następujące polecenie...

Podał kopię listu Chalmersowi. List skierowany do dyrektora Coutts Bank był krótki i treściwy. Manson prosił w nim, żeby pierwszego dnia każdego miesiąca przesyłano pod domowy adres doktora Gordona Chalmersa piętnaście dziesięciofuntowych banknotów. Bank miał się tym zajmować przez najbliższe dziesięć lat lub do chwili otrzymania innych poleceń. Chalmers podniósł wzrok na twarz swego pracodawcy. Ujrzał na niej niepewność i zażenowanie.

— Dziękuję panu — powiedział cicho.

Sir James położył mu rękę na ramieniu i potrząsnął nim lekko.

— Uważam sprawę za zamkniętą. Napije się pan brandy?

W taksówce Manson zaproponował, że podrzuci Chalmersa na stację, gdzie będzie mógł wsiąść do pociągu do Watford.

— Muszę jeszcze wrócić do biura i popracować nad pańskim raportem w sprawie Zangaro — wyjaśnił.

Chalmers spoglądał przez szybę na samochody wyjeżdżające w piątkowe popołudnie z Londynu.

— Co pan z tym zrobi? — zapytał.

— Jeszcze nie wiem. Rzecz jasna, wolałbym go nie wysyłać. Przykro byłoby patrzeć, jak takie bogactwo wpada w obce ręce, co z pewnością nastąpiłoby, gdyby pański raport dotarł do Zangaro. Jednak prędzej czy później będę musiał im coś przekazać.

Nastąpiła długa przerwa w rozmowie, podczas której taksówka zajechała przed dworzec.

— Czy mógłbym coś zrobić? — zapytał wreszcie uczony. Sir James Manson westchnął głęboko.

— Owszem — odparł spokojnym tonem. — Proszę wyrzucić próbki dostarczone przez Mulrooneya, jakby nie miały żadnej wartości. Proszę też zniszczyć wszystkie notatki z badań, a następnie sporządzić dokładną kopię swojego raportu, wprowadzając jedną zmianę: napisze pan, że testy ujawniły obecność śladowych ilości cyny i że szacunkowa wielkość złoża nie uzasadnia jego eksploatacji. Następnie spali pan oryginał raportu i nigdy nie wspomni o nim ani słowem.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do hali dworcowej. Żaden z jej pasażerów nie poruszył się, więc taksówkarz odsunął plastikową szybę dzielącą go od tylnych siedzeń i zapytał:

— Czy to tu, psze pana?

— Daję panu słowo honoru — dodał przyciszonym głosem sir James Manson — że jak tylko sytuacja polityczna w Zangaro ulegnie zmianie, ManCon wystąpi o koncesję i przystąpi do eksploatacji złoża według normalnych zasad.

Doktor Chalmers wysiadł z taksówki i spojrzął na swego pracodawcę wciśniętego w kąt.

— Nie jestem pewien, czy mogę to zrobić, proszę pana — powiedział. — Muszę się zastanowić. Manson skinął głową.

— Oczywiście. Wiem, że żądam od pana bardzo wiele. Może porozmawiałby pan o tym z żoną?

Ona na pewno zrozumie.

Następnie zatrzasnął drzwi i kazał taksówkarzowi zawieźć się do City.

Wieczorem tego samego dnia sir James spotkał się na obiedzie z urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, po czym zabrał go do swojego klubu. Nie był to żaden z ekskluzywnych klubów Londynu, gdyż Manson nie miał zamiaru szturmować bastionów starego establishmentu i narażać się na przeżycie goryczy porażki. Poza tym brakowało mu czasu na towarzyskie podchody i ogromnie irytowali go napuszeni idioci, jakich spotykał na szczycie każdy, komu udało się tam dotrzeć. Towarzyską stroną jego życia zajmowała się żona; tytuł szlachecki okazał się bardzo użyteczny, ale na tym koniec.

Gardził Adrianem Goole'em, uważając go za pedantycznego głupca. Właśnie dlatego zaprosił go na obiad. Drugim powodem był fakt, że Goole pracował w Sekcji Wywiadu Gospodarczego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Przed wieloma laty, kiedy jego firma zaangażowała się poważnie w Ghanie i Nigerii, Manson przyjął zaproponowane mu miejsce w Komitecie d/s Afryki Zachodniej. Instytucja ta była i jest czymś w rodzaju związku zawodowego dużych firm mających siedziby w Londynie i prowadzących interesy w zachodniej części Czarnego Lądu. Znacznie bardziej zainteresowany handlem i pieniędzmi niż jego odpowiednik d/s Afryki Wschodniej, Komitet zajmował się zarówno wydarzeniami natury ekonomicznej, jak i politycznej — zwłaszcza że najczęściej okazywały się ze sobą ściśle związane — chętnie służąc radą Ministerstwom Spraw Zagranicznych oraz d/s Wspólnoty Brytyjskiej.

Sir James Manson ująłby rzecz inaczej. Jego zdaniem Komitet d/s Afryki Zachodniej istniał po to, aby sugerować rządowi, co należy zrobić w tym rejonie świata, żeby zwiększyć zyski angielskich przedsiębiorstw. Miałyby całkowitą rację. Uczestniczył przecież w pracach Komitetu podczas wojny domowej w Nigerii i słyszał wypowiedzi przedstawicieli różnych banków, koncernów górniczych i naftowych oraz firm handlowych optujących za doprowadzeniem do szybkiego końca działań wojennych, co mogło nastąpić jedynie w przypadku zwycięstwa sił federalnych.

Zgodnie z przewidywaniami Komitet zasugerował rządowi, by udzielił wsparcia siłom federalnym, naturalnie pod warunkiem, że udowodnią one, iż potrafią osiągnąć szybki sukces, i niemal jednocześnie dostarczył poufne dane potwierdzające, że tak jest w istocie. Potem członkowie Komitetu rozsiedli się wygodnie w fotelach i obserwowali, jak rząd Wielkiej Brytanii, za radą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, grzęźnie po raz kolejny w afrykańskim bagnie. Zamiast sześciu, wojna trwała trzydzieści miesięcy. Zdegustowani biznesmeni byli gotowi nawet poprzeć rokowania zmierzające do zawarcia rozejmu, ale Harold Wilson prędzej zgodziłby się polecieć na Księżyc niż przyznać publicznie, że wraz ze swymi współpracownikami popełnił jakiś błąd.

Manson poniósł wówczas znaczne straty z powodu nieregularnej, zawieszanej co chwila komunikacji kolejowej między wybrzeżem a obszarami położonymi w głębi kraju, ale i tak była to błahostka w porównaniu z tym, co spotkało MacFazdeana z Shell-BP.

Niemal przez cały ten czas Adrian Goole pełnił rolę oficera łącznikowego oddelegowanego przez MSZ do pracy przy Komitecie. Teraz siedział naprzeciwko Jamesa Mansona przy stoliku w kącie, z mankietami koszuli wystającymi na przepisowe trzy centymetry i wyrazem twarzy mającym świadczyć o jak najlepszych intencjach.

Manson ujawnił mu część prawdy, nie wspominając jednak ani słowem o platynie. Poprzestał na historii o odkryciu cyny, ale wielokrotnie zwiększył zasobność złoza. Warto byłoby przystąpić do

jego eksploatacji, tylko co począć z powszechnie znanym uzależnieniem prezydenta od rosyjskich doradców? Udział rządu w zyskach zapewniłby republice niemałe dochody, a komu mogłoby zależeć na wzroście siły Zangaro, które właściwie było marionetką Rosjan? Goole słuchał go uważnie z zafrasowaną, skupioną miną.

— To cholernie trudna sytuacja — stwierdził ze współczuciem. — Po raz kolejny czuję się zmuszony podziwiać twoje polityczne wyczucie. W tej chwili Zangaro rzeczywiście jest biedne i nikomu nie znane, ale gdyby stało się bogatym państwem... Tak, masz rację. To prawdziwy problem. Kiedy musisz przesłać im raport z badań i wyniki analiz próbek?

— To nie ma znaczenia — mruknął Manson. — Wcześniej czy później i tak mnie to nie minie. W tej chwili pytanie brzmi, co powinienem zrobić? Jeśli pokażą wyniki Rosjanom, ich radca handlowy natychmiast zorientuje się w wielkości złoża. Ogłoszą przetarg, który wygra ten, kogo sobie wybiorą, dyktator wzbogaci się w krótkim czasie i kto wie, jakie nowe problemy wynikną dla Zachodu?

Goole zastanowił się głęboko.

— Pomyślałem sobie, że wy w ministerstwie powinniście o tym wiedzieć — dodał Manson.

— Tak, oczywiście. Bardzo ci dziękuję. — Goole był pochłonięty własnymi myślami. — Powiedz mi — odezwał się po dłuższej chwili — co by się stało, gdybyś wprowadził drobne korekty do wyników badań przedstawionych w raporcie?

— Korekty?

— Właśnie. Mógłbyś na przykład obniżyć o połowę szacunkową zawartość rudy cyny w tonie skały.

— Cóż, wtedy koszty wydobycia wzrosłyby tak bardzo, że eksploatacja okazałaby się nieopłacalna.

— A próbki mogłyby pochodzić z obszaru oddalonego na przykład o milę albo dwie? — ciągnął Goole.

— Przypuszczam, że tak. Ale nasz wysłannik przysłał próbki o najwyższej zawartości cyny.

— Załóżmy jednak, że tego nie zrobił — nie ustępował Goole. — Gdyby pobrał je milę dalej, zawartość cyny byłaby o połowę niższa?

— Może nawet więcej niż o połowę. Ale on prowadził badania akurat tam, gdzie prowadził, a nie gdzie indziej.

— Pod kontrolą? — zainteresował się Goole.

— Nie. Zupełnie sam.

— I nie pozostawił po sobie żadnych śladów?

— Nie. Tylko trochę połupanych skał, które dawno zarosły krzakami. Poza tym tam nie ma żywego ducha. To prawdziwy koniec świata. — Umilkł na chwilę, po czym zapalił cygaro. — Wiesz co, Goole? Jesteś cholernie łebskim facetem. Kelner! Poprosimy jeszcze dwie brandy.

Pożegnali się w doskonałych nastrojach na stopniach klubu. Odźwierny wezwał dla Goole'a taksówkę, która miała odwieźć go do oczekującej w Holland Park żony.

— Jeszcze jedno — powiedział urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych od drzwi samochodu. — Nikomu ani słowa o tej sprawie. Naturalnie będę musiał sporządzić tajną notatkę, ale wszystko zostaje między tobą a ministerstwem.

— Naturalnie — odparł Manson.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, że uznałeś za stosowne mnie poinformować. Nawet nie masz pojęcia, o ile łatwiej pracować nam, specjalistom od polityki, kiedy wiemy, co się dzieje w ekonomii. Będę miał na oku to Zangaro i jeśli coś zacznie się tam dziać, dowiesz się o tym pierwszy. Dobrej nocy.

Sir James Manson odprowadził wzrokiem taksówkę, po czym dał znak kierowcy swego roll-royce'a.

— „Dowiesz się o tym pierwszy...” — powtórzył, przedrzeźniając Goole'a. — Masz rację, chłopcze. Przede wszystkim dlatego, że ja to zacznę.

Zajrzał do samochodu przez okno po stronie pasażera i powiedział do Craddocka, swojego kierowcy:

— Gdyby nasze imperium budowały takie zaszczone chłoptasie jak on, prawdopodobnie właśnie kończylibyśmy kolonizację wyspy Wight³.

— Ma pan całkowitą rację, proszę pana — odparł Craddock. Kiedy jego pryncypał usadowił się na tylnym siedzeniu limuzyny, szofer odsunął dzielącą ich szybkę.

— Gloucestershire, proszę pana?

— Gloucestershire, Craddock.

Limuzyna zawróciła raptownie i w padającej mżawce pomknęła Park Lane w kierunku autostrady A40, wioząc sir Jamesa Mansona ku rezydencji o dziesięciu sypialniach, którą trzy lata wcześniej wdzięczny zarząd spółki kupił mu za okrągłą sumę 250 000 funtów. W rezydencji czekały na niego żona i dziewiętnastoletnia córka, ale te zdobył zupełnie samodzielnie.

Godzinę później Gordon Chalmers leżał u boku żony, zmęczony i wściekły po toczącej się od dwóch godzin sprzeczce. Peggy Chalmers ułożyła się na plecach i wpatrywała w sufit.

— Nie mogę tego zrobić — powtórzył Chalmers po raz nie wiadomo który. — Nie mogę tak po prostu sfalszować raportu tylko po to, żeby cholerny James Manson zarobił więcej pieniędzy!

Odpowiedziało mu milczenie. Od chwili, kiedy Peggy przeczytała kopię listu Mansona do banku i dowiedziała się o warunkach ich bezpieczeństwa finansowego, wałkowali tę sprawę niemal bez przerwy.

— A jakie to ma znaczenie? — usłyszał wreszcie obok siebie głos z ciemności. — Jeśli się nad tym zastanowić, to jakie to ma znaczenie? Sprawa sprowadza się tylko do tego, kto dostanie koncesję: on, Rosjanie czy jeszcze ktoś inny. I czy ceny wzrosną, czy spadną. Kto się tym przejmuje? Przecież to tylko skały i ruda metalu.

Peggy Chalmers odwróciła się na brzuch, położyła głowę na piersi męża i wpatrzyła się w majaczący w mroku zarys jego twarzy. Nocny wiatr szarpał gałęziami starego wiązu, w którego cieniu zbudowali nowy dom ze specjalnymi udogodnieniami dla ich kalekiej córeczki. Kiedy Peggy przemówiła ponownie, w jej głosie dało się słyszeć rozpaczliwe błaganie.

— Margaret nie jest kawałkiem skały, a ja nie jestem grudką metalu. Potrzebujemy tych pieniędzy, Gordon. Potrzebujemy ich teraz i będziemy potrzebować przez następne dziesięć lat. Kochanie, proszę cię, choć ten jeden jedyny raz zrezygnuj z napisania zgrabnego listu do Tribune albo Private Eye i zrób, czego on chce!

Gordon Chalmers przez dłuższą chwilę spoglądał w szczelinę uchylonego okna widoczną między zasłonami.

— W porządku — powiedział wreszcie.

— Zrobisz to?

— Zrobię, do cholery!

— Przysięgasz, kochanie? Dajesz mi słowo? Znowu długa cisza.

— Daję ci słowo... — rozległ się wreszcie ledwo słyszalny szept. Przycisnęła mocno głowę do jego owłosionej piersi.

— Dziękuję ci, najdroższy. I przestań się tym zajmować. Za miesiąc zapomnisz o wszystkim, przekonasz się.

Dziesięć minut później już spała, wycieńczona powtarzającą się co wieczór mordęgą związaną z kąpaniem Margaret i kładzeniem jej do łóżka oraz niezwykle rzadko zdarzającą się kłótnią z mężem.

Gordon Chalmers w dalszym ciągu wpatrywał się w ciemność.

— Oni zawsze wygrywają — szepnął z goryczą po dłuższej chwili. — Ci dranie zawsze postawią na swoim...

Następnego dnia, w sobotę, pojechał do odległego o siedem kilometrów laboratorium i napisał nowy raport na temat badań prowadzonych w Republice Zangaro, spalił swoje notatki i pierwszy raport, a następnie wyrzucił wszystkie próbki na specjalne wysypisko, skąd zabierał je miejscowy przedsiębiorca budowlany do utwardzania ścieżek i ozdabiania murków. Uporawszy się z tym zadaniem, wysłał nowy raport listem poleconym do sir Jamesa Mansona w siedzibie spółki w Londynie, po czym wrócił do domu i próbował o wszystkim zapomnieć.

Raport dotarł na biurko Mansona w poniedziałek. Zaraz potem został wysłany list, którego kopię wcześniej otrzymał Chalmers, raport zaś trafił do Wydziału Kontraktów Zagranicznych, gdzie zapoznali się z nim najpierw Willoughby, a potem Bryant. Bryantowi polecono wyjechać nazajutrz i jak najszybciej dostarczyć dokument ministrowi zasobów naturalnych republiki Zangaro. Do raportu dołączono list, w którym spółka wyrażała swój głęboki żal z powodu niepomyślnych rezultatów badań.

We wtorek wieczorem Richard Bryant czekał w terminalu 1 londyńskiego portu lotniczego Heathrow na samolot BEA do Paryża, gdzie miał uzyskać konieczną wizę i przesiąść się do maszyny linii Air Afrique odlatującej do Clarence. Pięćset metrów dalej, w terminalu 3, Jack Mulrooney właśnie przechodził przez odprawę paszportową przed nocnym lotem do Nairobi. Wcale nie był z tego powodu nieszczęśliwy. Miał już dosyć Londynu, a teraz czekała na niego Kenia, słońce, busz i szansa upolowania lwa.

Pod koniec tygodnia tylko dwaj ludzie znali tajemnicę Kryształowej Góry. Jeden z nich przysiągł żonie, że nie powie nikomu ani słowa, drugi zaś szykował się do kolejnego ruchu.

5

Simon Endean wszedł do gabinetu sir Jamesa Mansona z pękatą teczką zawierającą stustronicowy raport na temat Republiki Zangaro, plik dużych zdjęć i kilka map. Poinformował szefa o tym, co przyniósł.

Manson skinął z aprobatą głową.

— Czy nikt nie domyślił się, kim jesteś i dla kogo pracujesz?

— Nie, proszę pana. Posługiwałem się pseudonimem. Nie wzbudziłem żadnych podejrzeń.

— I nikt w Zangaro nie dowiedział się, że zbierasz o nich szczegółowe informacje?

— Nikt. Korzystałem z nielicznych dokumentów archiwalnych, bibliotek uniwersyteckich u nas w kraju i na kontynencie, ogólnie dostępnych źródeł książkowych oraz jedyne go przewodnika turystycznego wydanego w samym Zangaro, choć w gruncie rzeczy to popłuczyna po okresie kolonialnym, w dodatku przestarzała o pięć lat. Wszędzie mówiłem, że poszukuję materiałów do pracy naukowej na temat sytuacji w postkolonialnej Afryce. Z pewnością nie zwróciłem na siebie niczyjej uwagi.

— To dobrze — powiedział Manson. — Przeczytam raport później, a teraz podaj mi najważniejsze fakty.

Endean wydobyl z teczki mapę i rozłożył ją na biurku. Przedstawiała fragment wybrzeża Afryki z wyraźnie zaznaczoną Republiką Zangaro.

— Jak sam pan widzi, jest to mały kraj nad oceanem, graniczący od północy i wschodu z tym, a od południa na niewielkim odcinku z tym państwem. Zachodnią granicę stanowi linia brzegowa.

Kształtem przypomina pudełko zapalek oparte krótszą krawędzią o ocean. Granice zostały wyznaczone arbitralnie jeszcze w czasach kolonialnych, kiedy toczyła się walka o wpływy w Afryce, i są tylko liniami na mapie. W rzeczywistości nie można mówić o istnieniu jakichkolwiek granic, a z powodu niemal całkowitego braku dróg jest tam tylko jedno przejście graniczne — tutaj, na drodze prowadzącej na północ, do sąsiedniej Republiki Manandi. Cały transport lądowy odbywa się właśnie tą drogą.

Sir James Manson przyjrzał się uważnie mapie, po czym zapytał:

— A co z granicami na wschodzie i południu?

— Żadnych dróg, proszę pana. Nie ma jak wjechać i wyjechać, chyba że komuś przyjdzie ochota przedzierać się przez dżunglę, ale ta jest prawie nie do przebycia.

Powierzchnia kraju wynosi jedenaście tysięcy kilometrów kwadratowych — mniej więcej dziewięćdziesiąt kilometrów szerokości na sto dwadzieścia długości. Stolica, Clarence, nazwana tak dla upamiętnienia kapitana, który dwieście lat temu jako pierwszy przybił tu do brzegu w poszukiwaniu słodkiej wody, leży w środkowej części wybrzeża, czterdzieści pięć kilometrów od granicy południowej i tyle samo od północnej.

Za miastem rozciąga się wąska nadbrzeżna równina, jedyny obszar ziemi uprawnej w kraju, nie licząc małych poletek wyrwanych dżungli przez tubylców. Za równiną płynie rzeka Zangaro, potem jest przedgórze Gór Kryształowych, góry, a wreszcie dżungla ciągnąca się nieprzerwanie aż do wschodniej granicy.

— Co z komunikacją? — zapytał Manson.

— Jak już wspomniałem, drogi właściwie nie istnieją. Rzeka Zangaro płynie od północnej granicy dość blisko wybrzeża przez prawie całą szerokość państwa i wpada do morza w pobliżu granicy południowej. Przy jej ujściu wybudowano kilka falochronów i jeden lub dwa pomosty, które pełniły funkcję portu załadunkowego, ale nie ma żadnych solidnych nabrzeży, a po uzyskaniu niepodległości eksport drewna zmalał do zera. Rzeka na odcinku kilkudziesięciu kilometrów płynąca niemal równoległe do wybrzeża, praktycznie dzieli kraj na dwie części: pas nadbrzeżnych nizin, kończących się bagnami uniemożliwiającymi dostęp od strony oceanu, oraz tereny w głębi lądu. Na wschód od rzeki ciągną się góry, za nimi zaś zaczyna się dżungla. Rzeka mogłaby stać się ważną arterią komunikacyjną, ale nikt nie jest tym zainteresowany. Sąsiednia Republika Manandi ma nowoczesną stolicę z portem, do którego mogą zawijać pełnomorskie statki, a ujście rzeki Zangaro jest płytkie i zamulone.

— W jaki sposób radzili sobie z eksportem drewna?

Endean rozłożył na biurku bardziej szczegółową mapę i wskazał ołówkiem ujście rzeki Zangaro.

— Drzewa wycinano w głębi kraju, najczęściej wzdłuż rzeki lub na zachodnich stokach gór. Zostało tam jeszcze sporo cennych gatunków, ale po uzyskaniu niepodległości nikt się tym nie zainteresował. Pnie spławiano rzeką do ujścia i kotwiczono, po czym holowano do statków, które musiały stać z dala od brzegu. Załogi wciągały pnie na pokład za pomocą bomów załadunkowych. Jednak eksport drewna nie rozwinął się na większą skalę.

Manson przez dłuższą chwilę wpatrywał się uważnie w mapę obejmującą dziewięćdziesiąt kilometrów wybrzeża, rzekę płynącą prawie równoległe do niego w odległości trzydziestu kilometrów, pas porośniętych mangrowcami bagien i góry po drugiej stronie rzeki. Dostrzegł także Kryształową Górę, ale nie wspominał o niej ani słowem.

— A co z głównymi drogami? Jakież muszą przecież być. Endean wyraźnie się ożywił.

— Stolica leży na małym półwyspie niemal dokładnie w połowie wybrzeża. Jest tam niewielki port, jedyny z prawdziwego zdarzenia w całym kraju, a z miasta przez półwysep biegnie droga,

jeszcze dziesięć kilometrów w głąb lądu. W tym miejscu krzyżuje się z inną, biegnącą na południe. Dwanaście kilometrów asfaltu, trzydzieści utwardzonej ziemi, a potem zaczyna się już bagniste ujście rzeki.

Odnoga tego traktu wiedzie przez nizinę na zachodnim brzegu rzeki na północ, aż do przejścia granicznego, które jest obsadzone przez kilku wiecznie zaspanych, skorumpowanych żołnierzy. Dowiedziałem się od ludzi, którzy tamtędy przejeżdżali, że nie bardzo umieją czytać, nie są więc w stanie sprawdzić ważności wizy. Przepuszczają każdego, kto da im parę funtów.

— A droga prowadząca w głąb kraju? — zapytał sir James. Endean wskazał ją na mapie.

— Jest tak wąska, że nawet nie została zaznaczona. Trzeba ze stolicy przejechać piętnaście kilometrów na północ i skręcić w prawo. To droga gruntowa. Przecina pozostałą część równiny, przekracza rzekę po kruchym drewnianym moście...

— Czyżby ten most stanowił jedyne połączenie między obiema częściami kraju? — zapytał Manson ze zdumieniem.

Endean wzruszył ramionami.

— Owszem, dla pojazdów kołowych, ale tych prawie tam nie ma. Tubylcy przepływają przez rzekę w czólnach.

— Właśnie: co wiesz o tamtejszych plemionach? — Manson zmienił temat, ani na chwilę jednak nie przestał wpatrywać się w mapę.

— Są dwa — odparł Endean. — Na wschód od rzeki, w głębi lądu, rozciąga się kraina Vindu. To plemię mieszka też po drugiej stronie granicy — jak powiedziałem, są to tylko linie na mapie. Vindu żyją w epoce kamienia łupanego. Bardzo rzadko opuszczają dżunglę i przechodzą na drugą stronę rzeki. Równinę na zachód od rzeki, aż do morza, łącznie z półwyspem, na którym leży stolica, zamieszkuje plemię Caja. Nienawidzą Vindu, a ci odpłacają im tym samym.

— Liczba ludności?

— Właściwie niemożliwa do ustalenia. Oficjalne dane mówią o dwustu dwudziestu tysiącach, z tego trzydzieści tysięcy Cajów i około stu dziewięćdziesięciu tysięcy Vindu, ale to wyłącznie szacunki. Jaką taką pewność można mieć tylko co do liczebności Cajów.

— Więc w jaki sposób oni przeprowadzili wybory, do wszystkich diabłów? — zdumiał się Manson.

— Pozostaje to ich tajemnicą — odparł Endean. — Zresztą to i tak była czysta parodia. Połowa w ogóle nie wiedziała, co to są wybory ani w jakiej sprawie głosują.

— Co z gospodarką?

— Właściwie przestała istnieć. Vindu nie produkują niczego — zadowolają się tym, co wyrośnie na poletkach wydartych dżungli przez kobiety, które robią wszystko, co wcale nie oznacza, że robią wiele. No, chyba że dobrze im się zapłaci; wtedy pracują jako tragarze. Mężczyźni czasem polują, a dzieci to chodzące okazy malarii, jaglicy, wyniszczenia przez pasożyty i niedożywienie.

W czasach kolonialnych na nadbrzeżnych równinach uprawiano niewielkie ilości kakao, kawy, bawełny i bananów. Plantacje należały do białych, którzy korzystali z miejscowej siły roboczej. Nie były to produkty najwyższego gatunku, ale dzięki zapewnionemu rynkowi zbytu, to znaczy europejskiej metropolii, pozwalały zarobić trochę twardej waluty i sfinansować minimalny import. Zaraz po proklamowaniu niepodległości prezydent wygonił białych właścicieli, znacjonalizował plantacje i podarował je swoim partyjnym pupilom. Teraz wszystkie spokojnie zarastają chwastami.

— Masz jakieś liczby?

— Tak, proszę pana. W ostatnim roku przed zdobyciem niepodległości całkowita produkcja kakao wyniosła trzydzieści tysięcy ton. Rok temu zebrano tysiąc ton, ale nikt tego nie kupił. Ziarno do

dzisiaj gnije na gołej ziemi.

— A kawa, bawełna, banany?

— Banany i kawa skończyły się, bo nikt ich nie pielęgnował. Bawełnę zniszczyła śnieć, bo nie było środków ochrony roślin.

— Jak przedstawia się obecna sytuacja ekonomiczna?

— Całkowita katastrofa. Powszechne bankructwo, pieniądze bez żadnej wartości, eksport przestał istnieć, nie ma też prawie żadnego importu. Przez jakiś czas otrzymywali pomoc od ONZ, Rosjan i mocarstw kolonialnych, ale rząd sprzedawał wszystko za gotówkę innym krajom, więc teraz nie dostają niczego.

— Paskudna, oszukańcza dyktatura, co? — mruknął sir James.

— Właśnie, proszę pana. W dodatku skorumpowana, mściwa i brutalna. W przybrzeżnych wodach aż roi się od ryb, ale nie ma ich kto łowić. Kapitanami dwóch trawlerów, które stanowiły całą flotę rybacką Zangaro, byli biali, ale zrezygnowali z pracy, kiedy jednego z nich napadli bandyci w mundurach. Statki rdzewieją bezużytecznie w porcie, a tubylcy cierpią na poważny niedobór protein. Nie ma już nawet żadnych kóz ani kurczaków.

— A co z opieką medyczną?

— W Clarence znajduje się jedyny szpital w kraju, prowadzony przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

— Lekarze?

— Jeszcze niedawno było dwóch miejscowych, ale jeden został aresztowany i umarł w więzieniu, a drugi wyjechał za granicę. Prezydent wyrzucił misjonarzy pod zarzutem, że służą imperialistycznym interesom. Zakonnice szkoliły średni personel medyczny, ale one także zostały wyrzucone.

— Ilu Europejczyków przebywa w Zangaro?

— W głębi kraju prawdopodobnie w ogóle ich nie ma, na nadbrzeżnej równinie kilku techników rolnictwa przysłanych przez ONZ, a w stolicy około czterdziestu dyplomatów — dwudziestu w ambasadzie rosyjskiej, reszta we francuskiej, szwajcarskiej, amerykańskiej, wschodnioniemieckiej, zachodnioniemieckiej, czechosłowackiej i chińskiej, jeśli przyjąć, że Chińczycy to biali. Oprócz tego znajdzie się jeszcze jakichś pięciu oenzetowskich lekarzy, pięciu techników obsługujących elektrownię i wodociągi, paru kontrolerów ruchu z lotniska i tak dalej. No i około pięćdziesięciu handlowców, pośredników i biznesmenów, którzy zostali, bo mają nadzieję doczekać lepszych czasów.

Sześć tygodni temu wybuchła jakaś większa awantura i jeden z wysłanników ONZ został pobity niemal na śmierć. Pięciu techników poszukało schronienia w ambasadach swoich krajów i prawdopodobnie wyjechali już z Zangaro, co oznacza, że wkrótce zabraknie tam wody i elektryczności oraz że przestanie działać lotnisko.

— Gdzie ono jest?

— Tutaj, u podstawy półwyspu, nieco za miastem. Nie spełnia żadnych międzynarodowych standardów, więc żeby się tam dostać, trzeba najpierw dolecieć tutaj, do Manandi, i przesiąść się w mały dwusilnikowy samolot, który kursuje do Clarence trzy razy w tygodniu. Koncesję dostała pewna francuska firma, choć wątpię, czy teraz wychodzą na swoje.

— Czy Zangaro ma jakichś sojuszników? Endean pokręcił głową.

— Żadnych. Nikomu nie zależy na takiej ruinie. Nawet Organizacja Jedności Afrykańskiej najchętniej zapomniałaby, że takie państwo w ogóle istnieje. Nikt nigdy o nim nie wspomina, a ponieważ nie przyjeżdżają tam dziennikarze, mało kto wie o jego istnieniu. Rząd przesładuje białych

ludzi, więc nikt nie wysyła tam swoich specjalistów i nikt nie inwestuje, bo w każdej chwili majątek inwestora może zostać skonfiskowany przez jakiegoś palanta z partyjną legitymacją. Członkowie organizacji młodzieżowej mogą rozprawić się z każdym, kto im się nie spodoba, więc wszyscy żyją w ciągłym strachu.

— A co z Rosjanami?

— Mają największą ambasadę i decydują o polityce zagranicznej prezydenta, o której ten nie ma zielonego pojęcia. Jego doradcami są głównie tubylcy przeszkoleni w Moskwie, choć on sam nigdy tam nie był.

— Czy oni w ogóle mają jakieś perspektywy? Endean powoli skinął głową.

— Gdyby rozsądnie wykorzystać istniejący potencjał, chyba udałoby się osiągnąć i utrzymać całkiem przyzwoity stopień zamożności społeczeństwa. Ludność jest nieliczna, a jej potrzeby niewielkie. Zangaro na pewno mogłoby uzyskać samowystarczalność w produkcji żywności i odzieży, czyli w dziedzinach stanowiących podstawę każdej gospodarki, uzyskując z eksportu środki na konieczny import. Zresztą i tak pomoc zagraniczna wystarczałaby w zupełności do zaspokojenia najważniejszych potrzeb, gdyby nie to, że personel instytucji charytatywnych jest nękany napadami, wyposażenie niszczone lub grabione, towary kradzione, a pieniądze idą do rządowej kiesy.

— Powiedziałeś, że Vindu nie lubią ciężko pracować. A Cajowie?

— To samo — odparł Endean. — Przez cały dzień odpoczywają w cieniu, a w razie jakiegoś niebezpieczeństwa znikają w dżungli. Żyzna równina zawsze rodziła dość żywności, żeby ich nakarmić, więc są zadowoleni z tego, co mają.

— W takim razie kto pracował na plantacjach w czasach kolonialnych?

— Właściciele sprowadzili około dwudziestu tysięcy czarnych robotników z sąsiednich krajów. Osiedlili się na stałe w Zangaro i razem z rodzinami tworzą około pięćdziesiątysięczną populację, ale metropolia nie nadała im obywatelstwa, więc nie brali udziału w wyborach. Jeśli jest jeszcze coś do zrobienia, oni to wykonują.

— Gdzie mieszkają? — zapytał Manson.

— Około piętnastu tysięcy pozostało na plantacjach, choć nie ma tam dla nich już żadnego zajęcia. Reszta przeniosła się do Clarence i stara się jakoś utrzymać przy życiu. Zamieszkali w rozsypujących się osiedlach rozrzuconych wzdłuż drogi łączącej stolicę z portem lotniczym.

Przez pięć minut sir James Manson wpatrywał się bez słowa w rozłożoną mapę, myśląc o górze, szalonym prezydencie, hordzie wyszkolonych w Moskwie doradców i o rosyjskiej ambasadzie.

— Co za cholerne dziadostwo! — powiedział wreszcie z głębokim westchnieniem.

— Ujmując rzecz najłagodniej jak tylko można — dodał Endean. — Na głównym placu nadal odbywają się rytualne publiczne egzekucje. Skazanego siekają maczetami na kawałki. Niezłe przyjemniaczki.

— A kto konkretnie stworzył ten raj na ziemi?

Zamiast odpowiedzi Endean wydobyl z teczki dużą fotografię i położył ją na mapie.

Zdjęcie przedstawiało czarnoskórego mężczyznę w średnim wieku ubranego w błyszczący cylinder, czarny frak i kraciaste spodnie. Zostało wykonane prawdopodobnie podczas ceremonii zorganizowanej z okazji uzyskania niepodległości, gdyż w tle widać było kilku oficerów w mundurach kolonialnych, stojących u stóp schodów okazałej budowli. Twarz pod lśniącem rondem była szczupła i pociągła, przeorana dwiema bruzdami, a kąciki ust opuszczone, jakby ich właściciel wyrażał głęboką dezaprobatę.

Najbardziej jednak zwracały uwagę oczy. Były szkliste i wpatrzone w jakiś niewidzialny punkt, czyli takie, jakie są zwykle oczy fanatyków.

— To ten człowiek — powiedział Endean. — Kompletnie zwariowany i jadowity jak grzechotnik. Afrykański Papa Doc. Komunikujący się z duchami wizjoner, wyzwoliciel spod jarzma białego człowieka, wybawca swojego ludu, oszust, złodziej, szef policji i kat torturujący wszystkich podejrzanych, powiernik Opatrzności, jasnowidz, Wszystko Co Najlepsze, Jego Ekscelencja prezydent Jean Kimba.

Sir James Manson przyjrzał się uważnie twarzy człowieka, który nic o tym nie wiedząc, miał w swoich rękach skarb wartości dziesięciu miliardów dolarów. Ciekawe, czy ktokolwiek zauważy, że ktoś taki zniknął z powierzchni ziemi? — pomyślał.

Nie odezwał się ani słowem, ale wysłuchawszy Endeana postanowił zorganizować to zniknięcie.

Sześć lat wcześniej kolonialne mocarstwo, władające ziemią zwaną dziś Zangaro, postanowiło obdarzyć ją niepodległością. Do podjęcia tej decyzji w znacznej mierze przyczynił się nacisk wywierany przez światową opinię publiczną. Mimo że miejscowa społeczność nie miała żadnych samorządowych doświadczeń, pośpiesznie rozpoczęto przygotowania, wyznaczając na następny rok termin pierwszych wolnych wyborów.

W zamieszaniu, jakie zapanowało, powstało pięć partii politycznych, z tego dwie plemienne — jedna reprezentowała interesy Vindu, druga Cajów. Trzy pozostałe przygotowały własne programy wyborcze, udając, że pragną dotrzeć do narodu ponad plemiennymi podziałami. Jedna z nich miała charakter konserwatywny, na jej czele zaś stał człowiek służący od wielu lat kolonialistom i mocno przez nich popierany. Obiecywał, że utrzyma ściśle związki z metropolią, która między innymi gwarantowała stabilność miejscowego pieniądza i kupowała całą produkcję eksportową. Druga partia, o orientacji centrowej, była mała i słaba, a kierował nią intelektualista — profesor, który studiował kiedyś w Europie. Trzecia głosiła niezwykle radykalne hasła, a jej przywódcą był Jean Kimba, mający za sobą wiele lat spędzonych w więzieniu.

Na długo przed wyborami dwaj spośród jego obecnych doradców — podczas studiów w Europie obaj nawiązali kontakty z Rosjanami, a potem otrzymali stypendia na Uniwersytecie Lumumby w Moskwie — udali się potajemnie do Europy, gdzie od wysłanników Kremla otrzymali znaczną sumę oraz sporo rad bardzo szczególnej natury.

Dzięki tym pieniądzom Kimba i jego ludzie mogli utworzyć paramilitarne oddziały z członków plemienia Vindu, całkowicie ignorując Cajów. Wkrótce potem oddziały te przystąpiły do dzieła w głębi kraju, gdzie nikt nigdy nawet nie słyszał o policji, i zaczęły kolejno odwiedzać wszystkich klanowych przywódców Vindu.

Trzeba było stosów, na których żywcem kilku spalono, i kilkunastu wydlubanych oczu, żeby wodzowie zrozumieli, co właściwie starano się im przekazać. W dniu wyborów polecieli swoim ludziom głosować na Kimbę — kierując się prostą i sprawdzoną logiką, w myśl której zawsze należy popierać silniejszego, bo ten może się krwawo zemścić. Kimba zwyciężył dzięki przygniatającej przewadze liczebnej plemienia Vindu, a jego tryumf był tym większy, że niektórzy wodzowie celowo zawyżali liczbę mieszkańców swoich wiosek, kolonialni urzędnicy zaś opierali swoje wyliczenia na danych zgłaszanych przez klanowych przywódców.

Metropolia całkowicie pokpiła sprawę. Zamiast wziąć przykład z Francuzów i już w pierwszych wyborach zapewnić zwycięstwo swojemu protegowanemu, a zaraz potem błyskawicznie zawrzeć z byłą kolonią sojusz obronny i wysłać oddział spadochroniarzy, którego obecność pieczętowałaby władzę prozachodniego prezydenta, Europejczycy pozwolili wygrać swojemu największemu wrogowi. Miesiąc po wyborach Jean Kimba został zaprzysiężony jako pierwszy prezydent Zangaro.

Dalej wszystko potoczyło się według dobrze znanego schematu. Cztery pozostałe partie zostały zdelegalizowane za „wrogą działalność”, ich przywódcy aresztowani pod sfabrykowanymi zarzutami.

Wszyscy zginęli w więzieniu, przekazawszy uprzednio fundusze partyjne wyzwolicielowi Kimbie. Armię kolonialną i policję rozwiązano, jak tylko powstały załóżki nowego wojska, składającego się wyłącznie z ludzi Vindu. Zwolnionym do cywila żołnierzom wywodzącym się z plemienia Caja, którzy tworzyli trzon kolonialnej żandarmerii, nowe władze zapewniły transport do miejsca stałego zamieszkania. Sześć ciężarówek opuściło stolicę i zatrzymało się w ustronnym miejscu nad rzeką Zangaro, a w chwilę potem rozległ się terkot pistoletów maszynowych. W ten sposób pozbyto się wyszkolonych Cajów.

W stolicy niemal wszyscy policjanci i celnicy także pochodzili z plemienia Caja. Nie represjonowano ich, ale odebrano broń i amunicję. Cała władza znalazła się w rękach armii składającej się wyłącznie z ludzi Vindu i nastąpiła era terroru. Na to wszystko trzeba było zaledwie osiemnastu miesięcy. Jednocześnie rozpoczęto konfiskatę majątków, oszczędności i nieruchomości kolonistów, co doprowadziło do błyskawicznego upadku gospodarki. Tubylcy nie byli w stanie zapewnić choćby w miarę sprawnego działania nielicznych zakładów przemysłowych, a plantacje przeszły na własność partyjnych towarzyszy Kimby. Po ucieczce białych kolonistów do kraju przybyła garstka techników wysyłanych przez ONZ, ale i oni szybko wyjechali, przerażeni mnożącymi się aktami przemocy.

Wystarczyło kilka spektakularnych aktów terroru, by potulnych Cajów zmusić do całkowitego posłuszeństwa. Po drugiej stronie rzeki, w krainie Vindu, surowe represje spotkały tych nielicznych szefów wiosek, którzy mieli odwagę dopominać się o spełnienie przedwyborczych obietnic. Reszta Vindu po prostu zaszła się w dżungli. Mogli sobie na to pozwolić, gdyż wydarzenia w stolicy nigdy nie wpływały w żaden sposób na ich sytuację. Kimba wraz z grupą popleczników, popierany przez armię i niebezpiecznych nastolatków z młodzieżowej organizacji partyjnej, rządził bez przeszkód, kierując się wyłącznie chęcią zagarnięcia jak największego zysku. Niektóre ze stosowanych przez niego metod mogły przyprawić o zawrót głowy. W raporcie Simona Endeana znajdował się szczegółowy opis następującego wydarzenia: pewnego razu Kimba, rozwścieczony z powodu opóźnienia w dostarczeniu jakiejś większej łapówki, zaarrestował Europejczyka odpowiedzialnego za przeprowadzenie transakcji i wsadził go do więzienia, po czym poinformował jego żonę, że musi szybko dostarczyć pół miliona dolarów, bo w przeciwnym razie zacznie otrzymywać męża pocztą w niewielkich kawałkach. Przerażona kobieta zapożyczyła się u znajomych biznesmenów i zapłaciła okup. Mężczyzna wrócił do kraju, ale władze Zangaro, obawiając się reakcji Organizacji Narodów Zjednoczonych i innych państw afrykańskich, skłoniły go do zachowania milczenia. Do prasy nie przedostało się ani słowo o tym zdarzeniu. Innym razem dwaj obywatele byłej metropolii zostali aresztowani i poważnie pobici w byłych koszarach policji, obecnie zamienionych w wojskowe. Uwolniono ich dopiero, gdy minister sprawiedliwości otrzymał okrągłą sumkę, której znaczna część z pewnością trafiła do rąk Kimby.

W ciągu pięciu lat, które minęły od uzyskania niepodległości, cała opozycja została wymordowana lub zmuszona do emigracji; ci, którym udało się wyjechać, mogli uważać się za szczęściarzy. W rezultacie w państwie nie pozostał ani jeden lekarz, inżynier ani specjalista w jakiegokolwiek dziedzinie. I tak nigdy nie było ich zbyt wielu, a Kimba uważał wszystkich wykształconych ludzi za potencjalnych oponentów.

Dyktator panicznie lękał się zamachu, w związku z czym od dłuższego czasu w ogóle nie wyjeżdżał z kraju. Rzadko nawet opuszczał pałac, a jeśli już, to otoczony gigantyczną eskortą. Na jego rozkaz zarekwirowano wszelkiego rodzaju broń, łącznie z myśliwskimi sztucerami i dubeltówkami, co doprowadziło do dalszego zmniejszenia podaży żywności obfitującej w proteiny. Zakazano także importu prochu strzelniczego i amunicji, więc nawet ci, którym udało się zachować

archaiczne strzelby, nie mogli zrobić z nich użytku. W stolicy zabroniono pokazywać się z maczetą u boku, a za nieprzestrzeżenie tego zakazu groziła kara śmierci.

Kiedy sir James Manson zapoznał się z obszernym raportem, dokładnie obejrzał zdjęcia przedstawiające stolicę, pałac prezydencki i Kimbę, oraz przyjrzał się uważnie mapom, ponownie wezwał do siebie Simona Endeana. Młodego pracownika coraz bardziej dziwiło nagłe zainteresowanie szefa małym afrykańskim państwkiem, więc zapytał Martina Thorpe'a, urzędującego w sąsiednim biurze na ósmym piętrze, o co tu może chodzić. Thorpe tylko uśmiechnął się tajemniczo i poskrobał palcem po nosie. On także nie był niczego pewien, ale podejrzewał, że wie, co się święci. Obaj mężczyźni mieli dość oleju w głowie, żeby nie zadawać zbędnych pytań, kiedy ich chlebodawca pracował nad jakimś nowym pomysłem i żądał od nich konkretnych informacji.

Kiedy następnego dnia rano Endean zjawił się ponownie w gabinecie Mansona, ten stał w ulubionej pozie przed panoramicznym oknem i spoglądał w dół na ulicę zatłoczoną małymi ludzikami śpieszącymi gdzieś w swoich sprawach.

— Są dwie rzeczy, o których muszę wiedzieć więcej — odezwał się sir James Manson bez zbędnych wstępów i wrócił do biurka, na którym leżał raport Endeana. — Wspomniałeś tutaj o zamieszkach, które wybuchły w stolicy sześć czy siedem tygodni temu. Słyszałem o nich także od człowieka, który wtedy tam był. Twierdzi, że podobno ktoś usiłował zlikwidować Kimbę. Co to właściwie było?

Endean odetchnął z ulgą. Dowiedział się o tej historii z własnych źródeł, ale wydała mu się zbyt błaha, żeby rozwodzić się nad nią szczegółowo w raporcie.

— Za każdym razem, kiedy prezydent ma zły sen, przeprowadzane są aresztowania, a po mieście kursują pogłoski o zamachu na jego życie. Zwykle oznacza to tylko tyle, że potrzebuje choćby pozorów usprawiedliwienia dla kolejnych tortur i egzekucji. W tym przypadku chodziło o dowodzącego armią pułkownika Bobiego. Podobno kością niezgody stał się zbyt mały udział Kimby w zyskach ze szwindlu, który zorganizował i przeprowadził Bobi. Utrzymywany przez ONZ szpital otrzymał duży transport leków i środków opatrunkowych. Kiedy towar leżał na nabrzeżu, na polecenie generała armia zarekwirowała połowę i sprzedała na czarnym rynku. Dyrektor szpitala poskarżył się Kimbie i wymienił wartość skradzionych rzeczy, a ta znacznie przekraczała sumę, do jakiej przyznał się Bobi. Prezydent mało nie oszalał z wściekłości i natychmiast wysłał wierne sobie oddziały, żeby znalazły Bobiego. Gwardziści zdemolowali pół miasta, aresztując każdego, kto nawinął im się pod rękę.

— Co stało się z Bobim? — zainteresował się Manson.

— Uciekł. Wsiadł do jeepa, dojechał do granicy i przedostał się na drugą stronę pieszko, omijając posterunek.

— Z jakiego plemienia pochodzi?

— Dziwne, ale jest mieszańcem: pół Vindu, pół Caja, prawdopodobnie wspomnienie po jakimś napadzie Vindu na wioskę Cajów sprzed czterdziestu lat.

— Trafiał do wojska już za rządów Kimby czy służył w armii kolonialnej?

— Był porucznikiem kolonialnej żandarmerii, należy więc przypuszczać, że odbył podstawowe przeszkolenie. Tuż przed uzyskaniem przez Zangaro niepodległości został wyrzucony za pijaństwo i nieposłuszeństwo wobec przełożonych. Kiedy Kimba doszedł do władzy, natychmiast przyjął go z powrotem, bo na początek potrzebował przynajmniej jednego człowieka, który wiedziałby, z której strony pocisk wylatuje z karabinu. Dawniej Bobi uważał się za jednego z Cajów, ale potem zaklinał się, że jest czystej krwi Vindu.

— Dlaczego Kimba nie pozbył się go wcześniej? Czyżby Bobi był jednym z jego wiernych zwolenników?

— Gdy Bobi zorientował się, skąd wieje wiatr, przeszedł na stronę Kimby i przysiągł mu wieczne posłuszeństwo. Okazał się więc rozsądniejszy od gubernatora, który dopiero wtedy uwierzył w wyborcze zwycięstwo Kimby, kiedy zobaczył wyniki wydrukowane czarno na białym na papierze. Kimba awansował Bobiego na dowódcę armii, ponieważ było mu na rękę, żeby to półkrwi Caja kierował represjami wymierzonymi przede wszystkim w Cajów.

— Jaki on jest? — zapytał pogrążony w myślach Manson.

— Niezły bandzior — odparł Simon. — Skrzyżowanie człowieka z gorylem. Żadnego intelektu, za to sporo zwierzęcego sprytu. Jego konflikt z prezydentem był walką między dwoma złodziejami o to, kto kogo przechytrzy.

— Ale nie był szkolony przez komunistów?

— Nie, proszę pana. Ta sprawa nie ma żadnego związku z polityką.

— Przekupny? Skłonny do współpracy za pieniądze?

— Jak najbardziej. Przypuszczam, że teraz nie najlepiej mu się powodzi, bo uciekając musiał zostawić cały majątek. A poza tym naprawdę duże pieniądze zarabiał wyłącznie prezydent.

— Gdzie teraz jest ten Bobi? — zapytał Manson.

— Nie wiem, proszę pana. Gdzieś na wygnaniu.

— W takim razie znajdź go — polecił Manson. Endean skinął głową.

— Mam go odwiedzić?

— Na razie nie — odparł szef ManCon. — Jeszcze jedna sprawa: twój raport jest bardzo wyczerpujący i szczegółowy, z wyjątkiem jednej dziedziny — wojskowości. Muszę mieć dokładną analizę sytuacji wojskowej oraz plany instalacji militarnych w okolicach pałacu prezydenckiego i w całej stolicy. Liczba żołnierzy, policjantów, ochroniarzy, gdzie kwaterują, jak są wyszkoleni, jakie mają doświadczenie, jak długo mogą się utrzymać w razie zmasowanego ataku, uzbrojenie, rezerwy, lokalizacja arsenału, liczba strażników na zewnątrz, ile jest transporterów opancerzonych i artylerii, czy mają jakichś rosyjskich doradców, czy poza Clarence są jakieś odwody, jednym słowem — wszystko.

Endean wpatrywał się w szefa ze zdumieniem. Wyrażenie „w razie zmasowanego ataku” dźwięczało mu jeszcze w uszach. Co on zamierza, do stu diabłów? — zastanawiał się, ale na twarzy nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

— To będzie wymagało złożenia tam osobistej wizyty, proszę pana.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Masz drugi paszport, wystawiony na inne nazwisko?

— Nie, proszę pana. Zresztą obawiam się, że nie mógłbym dostarczyć panu tych informacji. Tutaj trzeba kogoś obeznanego ze sprawami wojskowymi, w dodatku dysponującego znajomością afrykańskich armii. Nigdy nie służyłem w wojsku i nie mam pojęcia o tych rzeczach.

Manson ponownie znalazł się przy oknie i spoglądał na krajobraz City.

— Wiem o tym — powiedział łagodnie. — Taki raport może sporządzić tylko żołnierz.

— Boję się, proszę pana, że żaden zawodowy wojskowy nie zgodzi się wziąć udziału w takiej misji. Za żadne pieniądze. Poza tym z wpisanym do paszportu zawodem zbytnio zwracałby na siebie uwagę. Skąd wezmę kogoś, kto zna się na militariach i zechciałby polecieć do Zangaro?

— Są tacy ludzie — odparł Manson. — Najemnicy. Walczą dla tego, kto im dobrze zapłaci. Jestem gotów to zrobić. Znajdź mi najemnika z inicjatywą i głową na karku. Najlepszego w Europie.

Cat Shannon leżał na łóżku w małym hoteliku na Montmartrze i obserwował dym papierosa ulatujący ku sufitowi. Nudziło mu się ostatnio. Kilka tygodni upłynęło mu na ciągłych podróżach po

Europie w poszukiwaniu nowej pracy.

W Rzymie odwiedził pewien katolicki zakon. Ojcowie chcieli wysłać go do południowego Sudanu, aby przygotował lądowisko dla samolotów, które będą przywozić leki i żywność. Shannon wiedział, że w Sudanie działają trzy grupy najemników, pomagających czarnym chrześcijanom w walce z zamieszkującymi północną część kraju Arabami. W Bahr-el-Gazar dwaj angielscy najemnicy, Ron Gregory i Rip Kirby, dowodzili niewielkim oddziałem ludzi ze szczepu Dinka, zaminowując trakty, z których korzystały wyprodukowane w Wielkiej Brytanii wozy opancerzone regularnej armii. Na południu, w Prowincji Równikowej, założył obóz Rolf Steiner. Podobno szkolił tam tubylców w posługiwaniu się nowoczesną bronią, ale od kilku miesięcy nie dawał znaku życia. Wreszcie nad górnym Nilem znajdował się znacznie większy obóz, w którym czterech Izraelczyków nie tylko szkoliło tubylców, ale także rozdawało im radziecką broń z zapasów, które Izrael odebrał Egiptowi podczas wojny w 1967 roku. Większa część sudańskiej armii oraz niemal całe lotnictwo miało tam bez przerwy mnóstwo roboty. Rząd Sudanu wezwał na pomoc eskadrę egipskich myśliwców, które stacjonowały w okolicach Chartumu, dzięki czemu nie mogły zostać wykorzystane przeciwko Izraelowi nad Kanałem Sueskim.

Shannon odwiedził ambasadę Izraela w Paryżu i przeprowadził tam czterdziestominutową rozmowę z attache wojskowym. Izraelczyk wysłuchał go uprzejmie, podziękował za ofertę i niemniej uprzejmie spławił. Powiedział tylko tyle, że jego państwo nie jest absolutnie zaangażowane w rebelię w południowym Sudanie, a tym samym on z przykrością musi stwierdzić, że absolutnie nie może pomóc panu Shannonowi. Pan Shannon nie miał najmniejszych wątpliwości, że rozmowa została nagrana i natychmiast przesłana do Tel Awiwu, ale wątpił, czy otrzyma jakąś wiadomość. W głębi serca był głęboko przeświadczony, że Izraelczycy są znakomitymi żołnierzami i dysponują bardzo dobrym wywiadem, ale nie mają najmniejszego pojęcia o Czarnej Afryce, w związku z czym ich działania w Ugandzie i na paru innych frontach muszą zakończyć się całkowitym fiaskiem.

Oprócz Sudanu praktycznie nie natrafił na żadne konkretne możliwości. Co prawda dotarły do niego pogłoski, że CIA rozpoczyna nabór najemników, aby przeszkolili antykomunistycznych partyzantów w Kambodży, oraz że szejkwowie z Zatoki Perskiej mają już dość swoich brytyjskich doradców wojskowych i szukają nowych ludzi, którzy byłiby od nich całkowicie uzależnieni, a także kandydatów do walki z rebeliantami oraz do ochrony ich wspaniałych pałaców, ale Shannon nie bardzo wierzył w te historie. Poza tym prędzej strzeliłby sobie w łeb, niż zaufał CIA, Arabowie zaś znani byli z tego, że często i zupełnie niespodziewanie zmieniają zdanie.

Poza Zatoką Perską, Kambodżą i Sudanem wybór był niewielki i brakowało dobrych wojen. Szczerze mówiąc, Cat obawiał się dość długiego, paskudnego okresu pokoju. Pozostałoby mu wtedy jedynie zatrudnić się w charakterze goryla u jakiegoś europejskiego handlarza bronią; otrzymał już w Paryżu taką ofertę od człowieka, który czuł się zagrożony i pragnął wynająć jakiegoś dobrego fachowca.

Dowiedziawszy się, że Shannon przebywa w mieście, i znając zarówno jego sprawność we władaniu bronią, jak i refleks, handlarz przysłał do niego wysłannika z ofertą pracy. Co prawda Cat nie odrzucił jej, ale też wcale nie śpieszyło mu się, żeby ją przyjąć. Handlarz narobił sobie kłopotów przez własną głupotę: wysłał niewielki transport broni Skrzydłu Tymczasowych IRA, po czym zawiadomił Brytyjczyków, gdzie i kiedy zostanie dostarczona przesyłka. Nastąpiło sporo aresztowań, Irlandczycy zaś okropnie się wściekli. Kiedy Shannon pojawiał się na scenie, prawdziwi zawodowcy spokojnie uznawali jego przewagę i wracali do domu, ale ludzie z IRA byli znani z tego, że zachowują się jak wściekłe psy i mogliby nie wykazać koniecznego zdrowego rozsądku. Z pewnością doszłoby do strzelaniny, w wyniku której francuska policja musiałaby uprzątnąć kilka

zakrwawionych ciał z ulicy. Na domiar złego Shannon urodził się w Ulsterze i był protestantem, więc nikt nie uwierzyłby, że robi tylko to, za co mu zapłacono. Mimo to oferta w dalszym ciągu pozostawała aktualna.

Minęło już dziesięć dni marca, ale pogoda w Paryżu nadal była kiepska — niska temperatura, mżawka i deszcz. Shannon gospodarował swoimi zasobami finansowymi najoszczędniej, jak potrafił. Podał swój numer telefonu kilku osobom, do których mogły dojść wieści o czymś, co by go zainteresowało, po czym zaszył się w hotelowym pokoju ze stertą broszurowych powieści.

Teraz leżał na łóżku, wpatrywał się w sufit i myślał o domu. Nie dlatego, żeby jeszcze miał coś takiego jak dom; po prostu w dalszym ciągu bezskutecznie poszukiwał lepszego określenia dla dzikich torfowisk porośniętych gdzieniegdzie skarłowaciałymi drzewami, rozciągających się na pograniczu Tyrone i Donegal, skąd pochodził.

Urodził się i wychowywał w pobliżu miasteczka Castlederg w hrabstwie Tyrone. Dom rodziców stał półtora kilometra od wioski na zboczu pagórka, z którego rozciągał się widok na tereny sąsiedniego hrabstwa Donegal.

Była to ziemia, o której Bóg zapomniał i gdzie nieliczne rachityczne drzewka przyginał silny wiatr wiejący niemal bez przerwy z połnocnego Atlantyku.

Ojciec Shannona miał małą fabryczkę produkującą znakomite irlandzkie lniane płótno i w pewnym sensie był najważniejszą osobą w okolicy. Ale był także protestantem, a zdecydowaną większość robotników i okolicznych farmerów stanowili katolicy. W Ulsterze kontakty między członkami obu społeczności są ograniczone do minimum. Chłopak więc z braku kolegów, z którymi mógłby się bawić, zaprzyjaźnił się z końmi, a tych było w okolicy pod dostatkiem. Jeździł konno, zanim po raz pierwszy w życiu wsiadł na rower, i do dziś pamiętał, jak klusował na kucyku do wioski, aby kupić za pół pensa nieco słodczy w sklepiku starego Sama Gaileya.

W wieku ośmiu lat posłano go do szkoły z internatem w Anglii. Stało się tak na żądanie matki, która była Angielką i pochodziła z dość zamożnej rodziny. Przez dziesięć lat uczył się, jak być Anglikiem, i szczerze się starał pozbyć zarówno irlandzkiego akcentu, jak i poglądów. Na wakacje przyjeżdżał zawsze do domu, ale ponieważ nie znał w okolicy żadnych rówieśników, odpoczywał zdrowo, ale samotnie, głównie galopując w zachodnim wietrze.

Miał dwadzieścia dwa lata i odbywał służbę w Królewskich Komandosach, kiedy jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym na szosie do Belfastu. Przyjechał na pogrzeb w eleganckim mundurze i zielonym berecie, sprzedał chylącą się ku upadkowi wyeksploatowaną fabryczkę, zamknął dom na cztery spusty, po czym wrócił do Portsmouth.

Było to jedenaście lat temu. Dosłużył w komandosach do końca pięcioletniego kontraktu, a wróciwszy do cywila przenosił się z pracy do pracy, aż wreszcie przyjął posadę urzędnika w londyńskiej firmie handlowej prowadzącej ożywione interesy w Afryce. W ciągu roku, który spędził w Londynie, poznał skomplikowaną strukturę przedsiębiorstwa, zawiłości operacji finansowych, sposoby wykorzystywania kruczków prawnych oraz zalety płynące z posiadania prywatnego konta w Szwajcarii. Po okresie próbnym otrzymał stanowisko zastępcy szefa filii w Ugandzie. Dotarłszy tam, bez słowa przeszedł przez granicę do Konga i od sześciu lat pędził żywot najemnika. W najlepszym razie uważano go za żołnierza do wynajęcia, w najgorszym za płatnego mordercę. Teraz nie było powrotu. Nie chodziło bynajmniej o to, że nie dostałby żadnej atrakcyjnej pracy, nie. Wystarczyłoby tylko zmienić nazwisko. W ostateczności mógł przecież pracować jako kierowca, ochroniarz albo nawet robotnik fizyczny. Nie, prawdziwy problem polegał na tym, że Shannon najzwyczajniej w świecie nie potrafiłby już usiąść za biurkiem w jakimś biurze, spojrzeć przez okno i zapomnieć o dżungli, rozkołysanych palmach, woni potu i kordytu, stęknięciach mężczyzn pchających jeepy przez

leśne rzeki, miedziowym smaku strachu tuż przed atakiem i dzikiej, okrutnej radości, że znowu udało się przeżyć. Nie mógłby o tym wszystkim zapomnieć, wsiadać po pracy do tramwaju i wracać do domu — nie, to było niemożliwe. Wiedział, że gdyby kiedykolwiek musiał to zrobić, zżarłaby go tęsknota. Afryka jest jak ukąszenie muchy tse-tse: kiedy trucizna raz dostanie się do krwiobiegu, już nigdy nie można jej się całkowicie pozbyć.

Leżał więc teraz na hotelowym łóżku, palił papierosa za papierosem i zastanawiał się, skąd nadejdzie następna propozycja.

6

Simon Endean zdawał sobie sprawę, że gdzieś w Londynie musi znajdować się miejsce, w którym można uzyskać dosłownie każdą informację, w tym także nazwisko i adres jakiegoś pierwszorzędного najemnika. Należało tylko wiedzieć, gdzie zacząć poszukiwania i kogo pytać. Po godzinie spędzonej w biurze na refleksyjnym popijaniu kawy wyszedł z budynku ManCon, wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć na Fleet Street. Tam, dzięki uprzejmości kolegi zatrudnionego w dziale miejskim jednej z największych gazet, uzyskał dostęp do archiwów tejże gazety oraz do kartoteki wycinków z wszystkich czasopism ukazujących się w Wielkiej Brytanii. Znalazł tam artykuły o działalności najemników w Katandze, Kongu, Jemenie, Wietnamie, Kambodży, Laosie, Sudanie, Nigerii i Rwandzie oraz krótkie wiadomości, komentarze, artykuły wstępne i fotografie. Przeczytał wszystko, szczególną uwagę zwracając na nazwiska autorów.

Na razie nie szukał jeszcze konkretnego najemnika. Większość nazwisk, pseudonimów i przezwisk na pewno była fałszywa. Musiał dotrzeć do eksperta w tej dziedzinie, pisarza lub dziennikarza, którego artykuły są solidnie udokumentowane, a ich autor dobrze zna temat, potrafi się poruszać w labiryncie sprzecznych doniesień i niejasności, i wyrobił sobie własny, niezależny pogląd. Po dwóch godzinach wiedział już, że znalazł takiego autora, choć ze zdziwieniem stwierdził, że nigdy wcześniej nie słyszał o tym człowieku.

W ciągu ostatnich trzech lat ukazały się trzy artykuły podpisane tym samym nazwiskiem. Autor, chyba Anglik lub Amerykanin, najwyraźniej wiedział, o czym pisze, i wymieniał wielu najemników różnych narodowości, nie wychwalając ich nadmiernie ani nie żerując na sensacyjnych szczegółach, które zmroziłyby krew w żyłach czytelników. Endean zanotował nazwisko i tytuły pism, w których ukazały się artykuły. Były to trzy różne pisma, należało się więc domyślać, że autor nie jest na stałe związany z żadną redakcją. Kolega z działu miejskiego dużej gazety bez trudu zdobył adres poszukiwanego człowieka. Mieszkał w północnym Londynie.

Zapadła już ciemność, kiedy Endean ponownie opuścił biuro, w podziemnym parkingu wsiadł do chevroleta corvette i pojechał szukać wskazanego adresu. Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że w oknach jest ciemno i nikt nie odpowiada na dzwonek. Kobieta z mieszkania na parterze zapewniła go, że jej sąsiad nie wyjechał nigdzie daleko. Simon z zadowoleniem stwierdził, że dom nie wygląda na zbyt zamożny, co oznaczało, że dziennikarz może skorzystać z szansy zarobienia paru dodatkowych funtów. Postanowił wrócić tu nazajutrz rano.

Kilka minut po ósmej rano Simon Endean nacisnął guzik domofonu. Trzydzieści sekund później rozległo się metaliczne szczęknięcie.

— Słucham? — zapytał głos zza metalowej siateczki.

— Dzień dobry — powiedział Endean do mikrofonu. — Nazywam się Harris, Walter Harris. Jestem biznesmenem. Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

Drzwi otworzyły się i Endean wszedł na trzecie piętro, gdzie czekał już na niego człowiek, z którym chciał się spotkać. Kiedy usiedli, Simon od razu przystąpił do rzeczy.

— Prowadzę firmę w City — skłamał gładko. — W tej chwili reprezentuję nie tylko siebie, ale

także grupę przyjaciół. Łączy nas między innymi to, że wszyscy prowadzimy interesy w pewnym państwie położonym w Afryce Zachodniej.

Pisarz skinął nieobowiązująco głową i pociągnął łyk kawy.

— Ostatnio zaczęły do nas docierać pogłoski, że szykuje się tam zamach stanu. Prezydent jest rozsądnym człowiekiem, cieszy się dużą popularnością w narodzie. Jeden z moich przyjaciół otrzymał poufną informację, że ewentualny zamach będzie popierany przez komunistów. Czy na razie wszystko jest jasne?

— Tak. Proszę mówić dalej.

— Wszystko wskazuje na to, że zamach poprze tylko mała część armii, chyba że tempo wydarzeń spowoduje ogromne zamieszanie i pozbawi wojsko dowództwa. Krótko mówiąc, armia nie wystąpi przeciwko organizatorom przewrotu, jeśli uda im się szybko przejąć władzę. Gdyby jednak napotkali jakieś trudności, jesteśmy niemal pewni, że wojsko opowie się po stronie prezydenta. Jak pan z pewnością wie, o powodzeniu lub niepowodzeniu takiej operacji decyduje zwykle pierwsze dwadzieścia godzin.

— Co to ma wspólnego ze mną? — zapytał pisarz.

— Za chwilę do tego przejdę — odparł Endean. — Panuje przekonanie, że przewrót się powiedzie, jeśli zamachowcom uda się szybko usunąć prezydenta. Jeśli zostanie przy życiu, zamachowcy prawdopodobnie w ogóle nie mają szans. Dlatego najważniejsze zadanie to ochrona pałacu prezydenckiego. Skontaktowaliśmy się już z przyjaciółmi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, lecz ich zdaniem nie ma mowy o wysłaniu w charakterze doradcy jakiegoś doświadczonego oficera armii brytyjskiej.

— A więc?

Pisarz znów łyknął kawy i zapalił papierosa. Nie ufał swojemu gościowi.

— A więc prezydent byłby gotów skorzystać z usług dobrego zawodowego żołnierza, który zadbałby o zapewnienie bezpieczeństwa jego osobie. Chodziłoby o człowieka, który w krótkim czasie dotarłby na miejsce, dokonał przeglądu systemu zabezpieczeń i wskazałby jego słabe punkty.

Pisarz kilka razy skinął głową. Był całkowicie pewny, że opowieść człowieka, który przedstawił się jako William Harris, cokolwiek mija się z prawdą. Przede wszystkim, jeśli istotnie chodziło jedynie o zabezpieczenie pałacu, rząd brytyjski nie miałby nic przeciwko wysłaniu oficjalnego doradcy. W dodatku przy Sloane Street 22 w Londynie mieściła się siedziba firmy o nazwie Międzynarodowa Ochrona specjalizującej się w takich właśnie zadaniach. Pisarz podzielił się z Harrisem swymi wątpliwościami.

Endean ani na chwilę nie stracił pewności siebie.

— Widzę, że chyba będę musiał być trochę bardziej szczery — powiedział.

— Myślę, że bardzo by nam to pomogło.

— Problem polega na tym, że rząd Jej Królewskiej Mości może nawet zgodziłby się wysłać doradcę, ale gdyby jedna z jego rad dotyczyła dodatkowego przeszkolenia ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo pałacu — i to przeszkolenia, które powinno odbyć się w najszybszym z możliwych tempie — nasz rząd miałby związane ręce. Musiałby także odmówić, gdyby prezydent zaproponował mu stałą posadę. Jeśli zaś chodzi o Międzynarodową Ochronę, to któryś z ich ludzi pewnie nadałby się do tej roboty, ale gdyby mimo jego obecności doszło do próby zamachu, znalazłby się w bardzo nieciekawej sytuacji. Wie pan przecież, co czarni myślą o pracownikach tej firmy; podejrzewają, że jest w jakiś sposób powiązana z naszym MSZ-etem.

Obecność nikomu nie znanego, choć budzącego respekt człowieka, działającego na własną odpowiedzialność, nie wystawiłaby prezydenta na zarzut, że jest marionetką sterowaną przez białych

imperialistów.

— Czego pan więc chce? — zapytał pisarz.

— Nazwiska dobrego najemnika — odparł Endean. — Kogoś z głową na karku i inicjatywą, kto wykona dobrą robotę za dobre pieniądze.

— Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

— Ponieważ zapamiętałem pański artykuł sprzed kilku miesięcy. Wydawało mi się, że napisał go człowiek dobrze znający zagadnienie.

— Zarabiam pisaniem na życie.

Endean wyjął z portfela dwadzieścia dziesięciofuntowych banknotów i położył je na stoliku.

— W takim razie proszę napisać coś dla mnie.

— Artykuł?

— Nie, krótką notatkę. Listę nazwisk i informację o dotychczasowej karierze. Może pan to po prostu powiedzieć.

— Wolę napisać — odparł gospodarz. Przeszedł w kąt pokoju, gdzie na biurku stała maszyna do pisania i leżał stos papierów, włożył do maszyny kartkę i pisał nieprzerwanie przez pięćdziesiąt minut, od czasu do czasu zaglądając do notatek. Wreszcie wstał, podszedł do Endeana i wręczył mu trzy kartki maszynopisu. — To najlepsi, jacy zostali na rynku. Są wśród nich weterani z Konga sprzed sześciu lat, a także młodszy, którzy dopiero niedawno pojawili się na scenie. Wymieniłem tylko tych, którzy potrafią dowodzić co najmniej plutonem. Zwykle osiłki chyba na nic by się panu nie przydały.

Endean wziął od niego kartki i uważnie przestudiował ich treść.

PULKOWNIK LAMOULINE. Belg, prawdopodobnie pracujący z rządem. Przybył do Konga w 1964 i służył pod rozkazami Czombego, przypuszczalnie za wiedzą i zgodą swojego rządu. Pierwszorzędny żołnierz, raczej nie najemnik w pełnym znaczeniu tego słowa. Utworzył słynne Szóste Komando złożone z francuskojęzycznych żołnierzy i dowodził nim do roku 1965, kiedy to przekazał dowództwo Denardowi i wyjechał z Konga.

ROBERT DENARD. Francuz wywodzący się nie z armii, lecz z policji. Brał udział w secesji Katangi w latach 1961-1962, przypuszczalnie jako doradca żandarmerii. Wyjechał stamtąd po upadku powstania i wygnaniu Czombego. Dowodził pod Fakmesem francuskimi najemnikami w Jemenie, wrócił do Konga w 1964 i dołączył do Lamouline'a. Dowodził Szóstym Komandem do roku 1967. Bez większego przekonania wziął udział w drugim powstaniu w Stanleyville (bunt najemników), przypadkiem ciężko ranny w głowę pociskiem wystrzelonym przez jego własnych ludzi. Przewieziono go do Rodezji na leczenie. Próbował wrócić do akcji w listopadzie 1967, aby przygotować atak najemników na Kongo, ale operacja była coraz bardziej odwlekana, podobno wskutek działań CIA. Kiedy wreszcie doszła do skutku, zakończyła się całkowitą klęską. Od tego czasu mieszka w Paryżu.

JACQUES SCHRAMME. Belg, były plantator, zwany Czarnym Jacquesem. Na początku 1961 roku utworzył w Katandze własny oddział i należał do postaci wyróżniających się podczas próby secesji. Jeden z ostatnich, którym po klęsce udało się zbiec do Angoli. Przeprowadził przez granicę cały oddział. Zaczekał w Angoli na powrót Czombego, po czym wmaszerował z nim do Katangi. W latach 1964—1965 walczył przeciwko buntownikom z plemienia Simba, utrzymując przez cały czas niezależność swojego Dziesiątego Komanda. Rozpoczął pierwsze powstanie w Stanleyville, z którego jego oddział wyszedł bez żadnych strat. Brał udział w drugim powstaniu, podczas którego dołączył do niego Denard. Przejął dowództwo nad ich połączonymi oddziałami i poprowadził je do marszu na Bukavu. Repatriowany w 1968 roku, od tego czasu nie brał udziału w żadnych akcjach.

ROGER FAUQUES. Francuski oficer, wielokrotnie dekorowany najwyższymi odznaczeniami.

Zjawił się w Afryce podczas secesji Katangi, prawdopodobnie przysłany przez rząd Francji. Później dowodził Denardem w Jemenie, ale nie miał nic wspólnego z działaniami najemników na terenie Konga. Przeprowadzał niewielkie akcje podczas wojny domowej w Nigerii. Niezwykle odważny, ale teraz prawie niedołączny z powodu licznych ran.

MIKE HOARE. Anglik naturalizowany w Republice Południowej Afryki. Działał jako doradca wojskowy w Katandze, osobiście zaprzyjaźnił się z Czombem. Został ponownie zaproszony do Konga w roku 1964, kiedy Czombe powrócił do władzy, i utworzył angielskojęzyczne Piąte Komando. Dowodził operacjami podczas wojny z plemieniem Simba, wycofał się w grudniu 1965 roku, przekazując dowództwo Petersowi. Bardzo zamożny, obecnie na emeryturze.

JOHN PETERS. Służył pod Hoare'em, został ostatecznie jego zastępcą. Nieustraszony i bezlitosny. Wielu oficerów Hoare'a odmówiło służby pod jego rozkazami i wystąpiło z Piątego Komanda. Wzbogaciwszy się, zrezygnował z dalszej działalności pod koniec roku 1966.

N.B.: Powyższa szóstka należy do „starszej generacji”. To ci, którzy odznaczyli się podczas wojen w Katandze i Kongu. Piątka, którą przedstawię teraz, to ludzie znacznie młodsi (z wyjątkiem Roux, który ma czterdzieści parę lat), ale może być uważana za młodą generację przede wszystkim dlatego, że zdobyła sławę dopiero po operacjach w Kongu.

ROLF STEINER. Niemiec. Zaliczył chrzest bojowy jako podwładny Falquesa w Nigerii, potem został tam i dowodził resztkami oddziału jeszcze przez dziewięć miesięcy. Zwolniony, przeniósł się do południowego Sudanu.

GEORGE SCHROEDER. Południowoafrykańczyk. Służył pod Hoare'em i Petersem w Piątym Komandzie w Kongu. Jeden z najlepszych w batalionie z RPA, którego żołnierze chcieli widzieć dowódcą po Petersie. Peters ugiął się pod presją i przekazał mu dowództwo, ale kilka miesięcy później Piąte Komando uległo rozwiązaniu. Od tej pory wiadomo o nim tylko tyle, że mieszka w południowej Afryce.

CHARLES ROUX. Francuz. Jako młody żołnierz brał udział w walkach w Katandze, ale dość wcześnie przeniósł się do RPA i stamtąd wrócił w 1964 roku pod dowództwem Hoare'a. Wkrótce poróżnił się z nim i przeszedł do Denarda. Awansowany na zastępcę dowódcy Czternastego Komanda, w 1966 roku brał udział w powstaniu w Stanleyville, podczas którego jego oddział został wybity niemal do nogi. Uratował go Peters, wywoząc go kryjomy z Konga. W maju 1967 roku wrócił drogą lotniczą z kilkunastoma Południowoafrykańczykami i dołączył do Schramme'a, w tym samym roku brał udział w drugim powstaniu w Stanleyville. Kiedy Denard został ranny, Roux chciał objąć dowództwo połączonych komand Dziesiątego i Szóstego, ale bez skutku. Ranny w strzelaninie w Bukavu wycofał się z aktywnej działalności i przez Kigali wrócił do domu. Od tej pory nie brał udziału w żadnych akcjach, mieszka w Paryżu.

CARLO SHANNON. Brytyjczyk. W 1964 roku służył w Piątym Komandzie pod rozkazami Hoare'a, odmówił podporządkowania się Petersowi. W 1966 roku przeniósł się do Denarda i wstąpił do Szóstego Komanda. Służył pod Schrammem podczas marszu na Bukavu i walczył do końca oblężenia. Repatriowany jako jeden z ostatnich w kwietniu 1968 roku. Zgłosił się na ochotnika na wojnę w Nigerii, trafił pod rozkazy Steinera, a później, w listopadzie 1968 roku, dowodził resztkami jego oddziału. Został na miejscu do samego końca, obecnie podobno przebywa w Paryżu.

LUCIEN BRUN. Alias Paul Leroy. Francuz mówiący płynnie po angielsku. Podczas wojny w Algierii oficer armii francuskiej, później w normalnym trybie zwolniony do cywila. W 1964 roku przebywał w RPA, zgłosił się na ochotnika do Konga. Przybył tam razem z całą południowoafrykańską jednostką i dołączył do Piątego Komanda Hoare'a.

Walczył bardzo dobrze, został ranny, wrócił w roku 1965. Na początku 1966 roku przeniósł się

do Denarda, ponieważ nie chciał służyć pod Petersem. Opuścił Kongo w maju 1966 roku, przeczuwając wybuch rewolucji. Podczas wojny w Nigerii walczył w oddziale Faulquesa, ranny i repatriowany. Wrócił, by objąć samodzielne dowództwo, ale bez powodzenia. Powtórnie repatriowany w 1968 roku, mieszka obecnie w Paryżu. Bardzo inteligentny, o sprecyzowanych poglądach politycznych.

Endean oderwał wzrok od ostatniej kartki.

— Czy ci ludzie podjęliby się zadania, o którym wspomniałem? — zapytał.

Pisarz pokręcił głową.

— Wątpię. Umieściłem tu wszystkich, którzy mogliby się go podjąć, ale czy zechcą — to już zupełnie inna sprawa. Będzie to zależeć przede wszystkim od wielkości operacji i liczby ludzi, jaką mieliby pod rozkazami. Dla starszych to także kwestia prestiżu. Wiele będzie uzależnione od tego, czy im bardzo zależy na pracy. Niektórzy przeszli już na emeryturę i są dość zamożni.

— Proszę mi powiedzieć, którzy — zażądał Endean. Pisarz pochylił się i przesunął palcem po liście.

— Najpierw starsza generacja. Lamouline na pewno się nie zgodzi. Zawsze wykonywał wyłącznie zadania aprobowane przez swój rząd, teraz jest krzepkim weteranem, wielbionym przez dawnych podwładnych. Wycofał się z czynnego życia. Drugi Belg, Czarny Jacques Schramme, też jest już na emeryturze. Ma w Portugalii fermę kurcząt. Jeśli chodzi o Francuzów, to Roger Falques jest chyba najczęściej odznaczanym byłym oficerem armii francuskiej. Jego ludzie z Legii Cudzoziemskiej i innych formacji ogromnie go szanują, wszyscy inni zaś uważają za stuprocentowego dżentelmena. Poza tym z powodu odniesionych ran porusza się z najwyższym trudem, a jego ostatnia akcja zakończyła się pełną klęską, ponieważ przekazał dowództwo młodemu zastępcy, który zawiódł na całej linii.

Denard był bardzo dobry w Kongu, ale w Stanleyville został paskudnie raniony w głowę. Jego czas już minął. Francuscy najemnicy w dalszym ciągu utrzymują z nim kontakty, licząc na jakiś tłusty kasek, ale od klęski pod Dilolo nikt nie zaproponował mu żadnego poważnego kontraktu. Szczerze mówiąc, wcale się temu nie dziwię.

Zostali nam anglojęzyczni. Mike Hoare żyje w dostatku na zasłużonej emeryturze. Wątpię, czy skusiłoby go nawet milion funtów. Ostatni raz działał w Nigerii, gdzie zgłosił swoje usługi obu stronom, wyceniwszy się na pięćset tysięcy funtów. Odmówiono mu. John Peters też już się wycofał i teraz dyrekturuje jakiejś fabryce w Singapurze. Cała szóstka zarobiła sporo pieniędzy w czasach prosperity, ale teraz, kiedy operacje są organizowane z mniejszym rozmachem, a za to przy większym udziale zaawansowanej techniki, nie umieją albo nie chcą się dostosować.

— Co z pozostałą piątką?

— Steiner był dobry, ale potem uderzył mu do głowy rozgłos, a to nigdy nie jest dobre dla najemnika. W pewnej chwili zaczynają wierzyć, że są tak groźni jak ich opisy w niedzielnych gazetach. Roux okropnie zgorzkniał po tym, jak nie udało mu się objąć dowództwa po rannym Denardzie. Teraz twierdzi, że jest przywódcą wszystkich francuskich najemników, ale od czasu Bukavu nie otrzymał żadnego zadania. Mimo to obaj są lepsi od poprzednich: trzydziestokilkuletni, inteligentni, wykształceni, umieją dowodzić w walce innymi najemnikami. Nawiasem mówiąc, najemnicy podporządkowują się jedynie rozkazom tego, kogo sami wybiorą na dowódcę. Dlatego wynajmowanie marnego fachowca po to, żeby zwerbował innych, mija się z celem. Nikt nie chce służyć pod rozkazami faceta, który miał jakąś poważną wpadkę. Dlatego wszyscy przywiązują tak wielką wagę do przeszłości.

Lucien Brun, alias Paul Leroy, mógłby podjąć się tego zadania. Niestety, w jego przypadku nigdy

nie miałyby pan pewności, czy nie przekazuje informacji francuskiemu wywiadowi. Czy to dla pana ważne?

— Bardzo — odparł krótko Endean. — Nie wymienił pan Schroedera z południowej Afryki. Co z nim? Podobno dowodził w Kongu Piątym Komandem?

— Owszem — potwierdził pisarz. — Pod sam koniec operacji. Właśnie pod jego dowództwem komando przestało istnieć. To bardzo dobry żołnierz, ale trzeba wziąć pod uwagę i jego ograniczenia. Na przykład byłby świetnym dowódcą batalionu złożonego z najemników, pod warunkiem jednak, że działałby w ramach większej jednostki, na przykład brygady. Ma dość konwencjonalne pomysły i małą wyobraźnię, więc raczej nie poradziłby sobie ze zorganizowaniem od podstaw dużej operacji. Musiałby mieć do pomocy oficerów sztabowych.

— A Shannon? Jest Brytyjczykiem.

— Pół Anglikiem i pół Irlandczykiem. To nowa twarz. Po raz pierwszy objął dowództwo zaledwie rok temu, ale dobrze się spisał. Potrafi myśleć, zaskakiwać przeciwnika i jest bardzo odważny. Omie też przygotować każdą operację z najdrobniejszymi detalami.

Endean podniósł się z kanapy.

— Chciałem pana zapytać o jeszcze jedno — powiedział już od drzwi. — Gdyby przygotowywał pan... To znaczy, gdyby potrzebował pan człowieka, który ma udać się w nieznaną teren z poufną misją i przeprowadzić dyskretny rekonesans, którego z nich by pan wybrał?

— Cata Shannona — odparł pisarz bez wahania. — On byłby najlepszy.

— Gdzie mogę go teraz znaleźć?

Gospodarz wymienił nazwę hotelu i baru w Paryżu.

— Radzę spróbować w obu miejscach — dodał.

— A gdyby Shannon okazał się nieosiągalny lub z jakichś powodów nie przyjął propozycji, kto zająłby drugie miejsce na pańskiej liście?

Pisarz namyślał się przez chwilę.

— Skoro nie Lucien Brun, to jedynym człowiekiem o odpowiednim doświadczeniu, do którego prawie na pewno uda się dotrzeć, jest Roux — powiedział wreszcie.

— Ma pan jego namiary? — zapytał Endean.

Gospodarz wyjął z szuflady biurka mały notes i przerzucił kilka stron.

— Roux ma mieszkanie w Paryżu — powiedział i podał Endeanowi adres.

Kilka sekund później, upewniwszy się, że Endean wyszedł już na ulicę, podniósł słuchawkę i wykręcił numer,

— Carrie? Cześć, to ja. Zapraszam cię dziś wieczorem na kolację do jakiejś drogiej restauracji. Właśnie dostałem honorarium za artykuł.

Shannon, zamyślony, szedł wolnym krokiem rue Blanche w kierunku placu Clichy. Bary po obu stronach ulicy były już otwarte i naganiacze starali się nakłonić go, by wszedł do środka i zobaczył najpiękniejsze dziewczęta w Paryżu. Wspomniane dziewczęta — można było o nich powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że są piękne — zerknęły przez szpary w zasłonach na pogrążoną w gęstniejącym szybko zmroku ulicę. Było kilka minut po piątej, marcowy wieczór, wiał lodowaty wiatr. Pogoda znakomicie pasowała do nastroju Shannona.

Przeszedł na ukos przez plac i skręcił w jedną z bocznych uliczek prowadzących do hotelu, który miał niewiele zalet, ale za to był położony niemal na szczycie Montmartre'u, dzięki czemu z jego wyższych pięter roztaczał się piękny widok na miasto. Shannon rozmyślał o doktorze Dunois, któremu złożył wizytę tydzień temu. Dunois, były spadochroniarz i lekarz wojskowy, uprawiał także wspinaczkę i brał udział w dwóch wyprawach w Himalaje i Andy.

Później jako ochotnik uczestniczył w afrykańskich misjach Francuskiego Czerwonego Krzyża. Na Czarnym Łądzie zetknął się z najemnikami i wielu z nich łątał po walce. Wkrótce nawet w Paryżu zaczęto go uważać za lekarza najemników — zaszywał dziury po kulach, wydłubywał odłamki mózdzierzowych pocisków, a kiedy chcieli zbadać stan zdrowia, przyjmował ich w swoim paryskim gabinecie. Gdy im się dobrze powodziło, płacili gotówką w dolarach. Jeżeli akurat byli w dołku, nie wysyłał im rachunków, co wśród francuskich lekarzy nieczęsto się zdarzało.

Shannon wszedł do hotelu i skierował się do recepcji po klucz.

— Ach, monsieur — powitał go stary mężczyzna za ladą. — Jeden człowiek dzwonił do pana z Londynu. Cały dzień. Zostawił wiadomość.

Wręczył Shannonowi kawałek papieru, na którym widniały tylko trzy słowa, skreślone starczą, trzęsącą się ręką: Uważaj na Harrisa. Pod wiadomością widniało nazwisko pewnego mieszkającego teraz w Londynie pisarza, którego Cat poznał kiedyś w Afryce.

— Jest też drugi człowiek, m'sieur. Czeka w saloniku.

Stary recepcjonista wskazał w kierunku małego pokoju oddzielonego od głównego holu łukowato sklepionym przejściem. Shannon zobaczył tam mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, ubranego w szary płaszcz angielskiego biznesmena. Mężczyzna ani na chwilę nie spuszczał z niego oka. Kiedy Shannon wszedł do saloniku, nieznajomy podniósł się z fotela ze sprawnością, która zupełnie nie pasowała do człowieka pochłoniętego wyłącznie robieniem interesów. Shannon wielokrotnie spotykał się z takimi ludźmi: zawsze reprezentowali kogoś starszego i zamożniejszego od nich.

— Pan Shannon?

— Owszem.

— Nazywam się Harris. Walter Harris.

— Chciał się pan ze mną widzieć?

— Czekam na pana od kilku godzin. Porozmawiamy tutaj czy w pańskim pokoju?

— Może być tutaj. Ten staruszek nie zna angielskiego. Mężczyźni usiedli naprzeciwko siebie. Harris założył swobodnie

nogę na nogę, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę Shannona, ale ten potrząsnął głową i sięgnął po własną paczkę.

— Z tego co wiem, jest pan najemnikiem, panie Shannon?

— Zgadza się.

— Polecono mi pana. Reprezentuję grupę londyńskich biznesmenów, którym zależy na wykonaniu pewnego zadania. Powiedzmy raczej: misji. Potrzebujemy człowieka orientującego się w sprawach wojskowości, który potrafi przedostać się do obcego kraju, nie wzbudzając podejrzeń. Człowieka, który potrafi sporządzić inteligentny raport, dokonać analizy sytuacji, a potem nie puścić pary z ust.

— Nie zabijam na zamówienie — wyjaśnił krótko Shannon.

— Nikt tego od pana nie wymaga — odparł Harris.

— W porządku. Co to za misja? I ile płacicie?

Shannon nie lubił na próżno tracić czasu. Siedzący przed nim człowiek nie wyglądał na takiego, który wpada w popłoch, gdy ktoś powie mu, że białe jest białe, a czarne — czarne.

Przez twarz Harrisa przemknął uśmiech.

— Po to, żeby usłyszeć szczegóły, musiałby pan do Londynu. Naturalnie pokryjemy koszty podróży, nawet jeśli nie przyjmie pan naszej propozycji.

— Do Londynu? A dlaczego nie tutaj? Harris wypuścił kłąb dymu.

— Chodzi o mapy i trochę innych dokumentów — wyjaśnił. — Nie chcę ich ze sobą wozic. Poza tym muszę skonsultować się z partnerami i poinformować ich o pańskiej zgodzie lub odmowie. —

Zapadła cisza. Harris ponownie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej plik stufrankowych banknotów. — Półtora tysiąca franków — powiedział. — Około stu dwudziestu funtów. To na bilet do Londynu, powrotny albo w jedną stronę, według pańskiego uznania. I na nocleg w tym mieście. Jeśli odrzuci pan propozycję, otrzyma pan jeszcze sto funtów jako zadośćuczynienie za fatygę. Jeśli ją pan przyjmie, porozmawiamy o wynagrodzeniu.

Shannon skinął głową.

— W porządku, spotkamy się w Londynie. Kiedy?

— Jutro — odparł Harris i wstał z fotela. — Proszę przylecieć za dnia i zameldować się w hotelu Post House na Haverstock Hill. Jeszcze dziś zarezerwuję panu pokój. Pojutrze o dziewiątej zadzwonię do pana i umówię się na spotkanie. Czy wszystko jasne?

Shannon ponownie skinął głową i wziął ze stolika plik banknotów.

— Proszę zrobić rezerwację na nazwisko Keith Brown — powiedział.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Harris, wyszedł z hotelu i zaczął rozglądać się za taksówką. Nie uznał za stosowne wspomnieć Shannonowi, że trzy godziny wcześniej rozmawiał z innym najemnikiem, niejakiem Roux. Nie wspomniał także, że mimo widocznego zapału Francuza nie uznał go za odpowiedniego kandydata i pozostawił go z mało konkretną obietnicą, że odezwie się w późniejszym terminie.

Dwadzieścia cztery godziny później Shannon stał przy oknie pokoju w hotelu Post House i patrzył na sznur autobusów skręcających w deszczu w kierunku Hampstead i przedmieść Londynu.

Przyleciał pierwszym porannym samolotem, posługując się paszportem na nazwisko Keith Brown. Już dawno temu zdobył ten fałszywy dokument dzięki fortelowi doskonale znanemu w kręgach najemników.

Pod koniec roku 1967 znalazł się, wraz z Czarnym Jacquesem Schrammem, w oblężonym od wielu miesięcy przez kongijską armię Bukavu. Ostatecznie najemnicy musieli opuścić położone nad jeziorem miasto nie dlatego, że zostali pokonani, ale dlatego, że zabrakło im amunicji. Przeszli przez most do sąsiedniej Rwandy, gdzie pozwolili się rozbroić, ufając kruchym gwarancjom Czerwonego Krzyża.

Następne pół roku spędzili w całkowitej bezczynności w obozie dla internowanych w Kigali, podczas gdy Czerwony Krzyż i rząd Rwandy nie mogli dojść do porozumienia w sprawie ich repatriowania do Europy. Prezydent Mobutu chciał ich rozstrzelać, więc domagał się deportacji wszystkich do Konga, ale najemnicy zagrozili, że w razie takiej decyzji gołymi rękami rozbroją całą rwandyjską armię i sami poszukają sobie drogi do domu. Rząd Rwandy uznał, zresztą całkiem słusznie, że naprawdę byłoby w stanie to zrobić.

Kiedy ostatecznie postanowiono odesłać ich do Europy, w obozie zjawił się konsul Wielkiej Brytanii i ze śmiertelną powagą poprosił sześciu brytyjskich najemników o okazanie paszportów, ci natomiast z równie śmiertelną powagą poinformowali go, że wszystkie dokumenty zostały po drugiej stronie jeziora, w Bukavu. W drodze do Londynu Shannon i jego koledzy dowiedzieli się od urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że każdy z nich jest winien rządowi Jej Królewskiej Mości 350 funtów za przelot oraz że już nigdy nie dostaną nowych paszportów.

Zanim opuścili obóz w Afryce, sfotografowano ich, pobrano odciski palców i spisano nazwiska. Musieli także podpisać dokumenty, w których oświadczyli uroczyście, że już nigdy nie przybędą na afrykański kontynent. Kopie tych oświadczeń zostały wysłane do wszystkich afrykańskich rządów.

Rzecz w tym, że po kilku miesiącach spędzonych w obozie wszyscy mieli bujne brody, wąsy i długie włosy, gdyż zabroniono im posiadania ostrych narzędzi, nawet nożyczek, w obawie, że mogliby wykorzystać je do rozwiązywania osobistych nieporozumień. Dzięki temu na zdjęciach

wszyscy wyglądali tak samo. Pozamieniali się odciskami palców i nazwiskami, dzięki czemu w każdym z tymczasowych dokumentów tożsamości znajdowało się zdjęcie jednego, odciski palców drugiego, a nazwisko trzeciego. Wreszcie podpisali zobowiązanie opuszczenia Afryki na zawsze, posługując się nazwiskami takimi jak Sebastian Weetabix czy Neddy Seagoon.

Shannon nie miał ochoty podporządkować się poleceniom MSZ. Rzecz jasna, przez cały czas miał swój „zaginiony” paszport i posługując się nim do końca okresu ważności, podróżował, gdzie tylko chciał, potem zaś poczynił kroki niezbędne dla uzyskania nowego, wydanego najzupełniej oficjalnie przez Biuro Paszportowe, tyle że na podstawie aktu urodzenia z Kartoteki Urodzeń w Somerset House, który to akt uzyskał po uiszczeniu urzędowej opłaty w wysokości pięciu szylingów. Wymienione w nim dziecko zmarło w Yarmouth na zapalenie opon mózgowych mniej więcej w tym samym czasie, kiedy urodził się Shannon.

Zaraz po przybyciu do Londynu skontaktował się z dziennikarzem, którego poznał kiedyś w Afryce, i dowiedział się, w jaki sposób odnalazł go Walter Harris. Podziękował mu za życzliwość i zapytał o adres jakiejś dobrej agencji detektywistycznej. Wkrótce potem odwiedził wskazaną agencję i wpłacił zaliczkę w wysokości 20 funtów, obiecując zadzwonić nazajutrz rano i przekazać szczegółowe polecenia.

Następnego ranka Harris zadzwonił, zgodnie z obietnicą, punktualnie o dziewiątej.

— Przy Sloane Avenue stoją bloki mieszkalne — powiedział bez żadnych wstępów. — Wynająłem tam lokal numer 317. Proszę przyjść o jedenastej i poczekać na mnie na dole. Klucze są u mnie.

Odłożył słuchawkę. Shannon sprawdził adres w książce telefonicznej, po czym zadzwonił do agencji.

— Wyślijcie człowieka na Sloane Avenue. Ma tam być piętnaście po dziesiątej i byłoby dobrze, gdyby dysponował jakimś środkiem transportu.

— Weźmie skuter — odparł szef agencji.

Godzinę później Shannon spotkał się z detektywem w holu bloku przy Sloane Avenue. Ku jego zdziwieniu człowiek przysłany przez agencję był bardzo młody i miał długie włosy. Shannon przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

— Znasz się na tej robocie? — zapytał.

Chłopak skinął głową. Był pełen entuzjazmu, a Shannonowi pozostało tylko żywić nadzieję, że jego dobre chęci zostaną poparte choć odrobiną umiejętności.

— W takim razie zostaw hełm przy skuterze. Ludzie, którzy tu przychodzą, nie mają hełmów pod pachą. Potem usiądź tam i udawaj, że czytasz gazetę. — Młodzieniec nie miał gazety, więc Shannon dał mu własną. — Ja usiądę po drugiej stronie holu. Około jedenastej pojawi się pewien człowiek, skinie na mnie, po czym razem wejdziemy do windy. Przyjrzyj mu się, żebyś go potem rozpoznał. Myślę, że wyjdzie jakąś godzinę później. Musisz być wtedy na ulicy, w hełmie na głowie, i udawać, że naprawiasz coś przy skuterze. Rozumiesz?

— Tak, rozumiem.

— Ten człowiek albo wsiądzie do samochodu, i wtedy zapiszesz numer rejestracyjny, albo weźmie taksówkę. W obu przypadkach pojedziesz za nim i zapamiętasz, gdzie wysiadł. Trzymaj się go tak długo, aż uznasz, że dotarł do celu.

Chłopak wysłuchał uważnie instrukcji, po czym usiadł w kącie i zasłonił się gazetą. Portier łypał na niego podejrzliwie spod oka, ale zostawił go w spokoju. Widział już niejedno spotkanie, które odbywało się przed jego oszklonym stanowiskiem.

Czterdzieści minut później pojawił się Simon Endean. Shannon zauważył, że wysiadł z taksówki,

i miał nadzieję, że chłopak także zwrócił na to uwagę. Wstał i skinął lekko głową, ale Edean jakby nigdy nic przeszedł obok niego, kierując się do wind. Shannon uczynił to samo, a obejrzawszy się dyskretnie za siebie dostrzegł wychyloną zza gazety głowę chłopaka.

Cholera! — jęknął w duchu, po czym szybko bąknął coś o paskudnej pogodzie, na wypadek, gdyby Harris chciał rozejrzeć się po holu.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu numer 317, Harris rozsiadł się wygodnie w fotelu, wyjął z teczki mapę, rozłożył ją na łóżku i poprosił Shannona, by zechciał się jej przyjrzeć. Najemnik potrzebował trzech minut, by zapamiętać wszystkie zaznaczone detale. Potem Harris przeszedł do szczegółów.

Była to starannie przygotowana mieszanka prawdy i kłamstw. Harris w dalszym ciągu utrzymywał, że reprezentuje grupę biznesmenów, którzy poczynili znaczne inwestycje w Zangaro, a po dojściu do władzy prezydenta Kimby ponieśli poważne straty. Informując Shannona o najnowszej historii republiki, trzymał się prawdy, opierając się głównie na własnym raporcie dla sir Jamesa Mansona. Sedno sprawy zostawił na koniec.

— Grupa oficerów nawiązała kontakty z kilkoma miejscowymi biznesmenami, którzy, nawiasem mówiąc, należą tam do wymierającego gatunku. Dali im do zrozumienia, że przygotowują zamach n.a Kimbę. Jednemu z nich udało się przedstawić nam gnębiące ich problemy. Przede wszystkim chodzi o to, że spiskowcy, mimo swoich oficerskich stopni, nie mają za sobą prawie żadnego wojskowego szkolenia i najzwyczajniej w świecie nie wiedzą, jak obalić dyktatora, który otoczony strażą przyboczną, prawie nie wychyla nosa poza grube mury pałacu.

Szczerze mówiąc, ani my, ani mieszkańcy Zangaro nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby Kimba zniknął ze sceny. Każdy nowy rząd będzie lepszy od obecnego. Potrzebujemy człowieka, który poleciałby tam, żeby dokonać dokładnej oceny stanu zabezpieczenia okolic pałacu i wszystkich ważniejszych instytucji. Musimy mieć dokładny raport o sile bojowej oddziałów Kimby.

— Żeby przekazać go waszym oficerom? — zapytał Shannon.

— To nie są nasi oficerowie, tylko zangaryjscy. Chodzi o to, że gdyby w ogóle mieli uderzyć, to niech przynajmniej wiedzą, co ich czeka.

Shannon uwierzył mniej więcej w połowę tego, co usłyszał. Jeśli oficerowie, którzy przecież byli na miejscu i znali tamtejsze warunki, nie mogli poradzić sobie nawet z przeprowadzeniem prostego rekonesansu, to tym bardziej nie daliby sobie rady ze zorganizowaniem zamachu stanu. Zachował jednak swoje wątpliwości dla siebie.

— Musiałbym polecieć tam jako turysta — powiedział. — Żaden inny kamuflaż nie zda egzaminu.

— Zgadza się.

— Z drugiej strony z pewnością nie mają tam zbyt wielu turystów. Może więc udawałbym gościa jednego z pańskich biznesmenów?

— Obawiam się, że to niemożliwe — odparł Harris. — W razie jakiejś wpadki drogo by za to zapłacił.

Chciałeś powiedzieć, gdyby mnie złapali, pomyślał Shannon, ale to także zachował dla siebie. Płacono mu właśnie za ryzyko, no i za umiejętności.

— Pozostaje kwestia wynagrodzenia — powiedział krótko.

— A więc zgadza się pan?

— Jeżeli usłyszę rozsądną propozycję. Harris skinął z aprobatą głową.

— Jutro rano odbierze pan w recepcji powrotny bilet z Londynu do stolicy sąsiadującej z Zangaro republiki. Będzie pan musiał wrócić do Paryża, żeby dostać wizę. Zangaro jest tak biednym krajem, że stać je na utrzymanie tylko jednej ambasady w Europie, właśnie w Paryżu. Niestety,

oczekiwanie na wizę do Zangaro trwa ponad miesiąc. W sąsiednim państwie znajduje się zangaryjski konsul, gdzie dostanie pan wizę za gotówkę nawet w ciągu godziny, jeśli da pan łapówkę konsulowi. Zresztą, pan z pewnością zna tę procedurę.

Rzeczywiście, Shannon znał ją aż za dobrze.

— Tak więc odbierze pan wizę do tego państwa w Paryżu, wsiądzie pan w samolot Air Afrique, kupi sobie wizę do Zangaro, po czym polecą miejscowymi liniami do Clarence, płacąc za bilet gotówką. Jutro razem z biletem dostanie pan równowartość trzystu funtów we frankach na bieżące wydatki.

— Wolałbym pięćset — przerwał mu Shannon. — To wszystko, łącznie z podróżami i oczekiwaniem na wizę, zajmie mi co najmniej dziesięć dni. Muszę dysponować rezerwą na wypadek jakiegoś opóźnienia albo nie planowanej łapówki.

— Zgoda, pięćset we frankach francuskich. Plus pięćset dla pana.

— Tysiąc.

— Dolarów? Słyszałem, że wy zawsze rozliczacie się w dolarach.

— Funtów — poprawił go Shannon. — To dwa i pół tysiąca dolarów, czyli dwumiesięczny żołąd, gdyby to był zwykły kontrakt.

— Ale panu zajmie to tylko dziesięć dni! — zaprotestował Harris.

— Dziesięć dni wysokiego ryzyka — zwrócił mu uwagę Shannon. — Jeśli sprawy wyglądają tam przynajmniej w połowie tak źle, jak wynika z pańskiego opisu, to każdy, kogo przyłapią na takiej robocie, zakończy życie w bardzo bolesny sposób. Jeżeli chcecie, żebym wziął na siebie to ryzyko, musicie mi zapłacić.

— W porządku, tysiąc funtów. Pięćset teraz, pięćset po powrocie.

— Skąd mam wiedzieć, że potem skontaktuje się pan ze mną?

— A skąd ja mam wiedzieć, że pan tam w ogóle polecą? Shannon zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

— Zgoda. Połowa teraz, połowa po powrocie.

Dziesięć minut później Harris wyszedł z budynku, poleciwszy uprzednio Shannonowi, żeby opuścił mieszkanie pięć minut po nim.

O trzeciej po południu szef agencji detektywistycznej wrócił do biura z lunchu. Shannon zadzwonił kwadrans po trzeciej.

— Ach, pan Brown — powiedział głos w słuchawce. — Tak, rozmawiałem z moim pracownikiem. Zgodnie z pańskim poleceniem czekał przed budynkiem, a kiedy wiadomy osobnik wyszedł po spotkaniu z panem, natychmiast rozpoznał go i ruszył jego śladem. Osobnik wsiadł do taksówki i pojechał do City, gdzie wszedł do jednego z biurowców.

— Do którego?

— ManCon House. To siedziba spółki górniczej Manson Consolidated.

— Nie wie pan, czy on tam pracuje?

— Prawdopodobnie tak — odparł szef agencji. — Mój pracownik nie mógł wejść za nim do budynku, ale zauważył, że portier uklonił mu się i otworzył przed nim drzwi. Sekretarkom i młodszym urzędnikom, którzy właśnie wychodzili na lunch, nie okazywał takiej grzeczności.

— Nie doceniłem pańskiego człowieka — przyznał Shannon. Chłopak wykonał dobrą robotę. Shannon wydał jeszcze kilka

poleceń, a po południu przesłał pod adresem agencji 50 funtów. Otworzył także własne konto i wpłacił na nie 10 funtów. Następnego dnia rano uzupełnił je o 500 funtów, wieczorem zaś poleciał do Paryża.

Doktor Gordon Chalmers nie nadużywał alkoholu. Rzadko kiedy brał do ust coś mocniejszego od piwa, a kiedy już to robił, natychmiast stawał się niezmiernie gadatliwy, o czym przekonał się na własnej skórze jego pracodawca, sir James Manson, podczas lunchu u Wiltona. Tego samego wieczoru, kiedy Cat Shannon wsiadał na le Bourget do DC-8 linii Air Afrique odlatującego do Afryki Zachodniej, doktor Chalmers jadł kolację ze starym przyjacielem ze studiów, naukowcem, także prowadzącym badania dla potrzeb przemysłu.

W ich spotkaniu nie było nic niezwykłego — kilka dni wcześniej przypadkowo wpadli na siebie na ulicy i umówili się na wspólny posiłek. Piętnaście lat wcześniej obaj kończyli studia, żyjąc samotnie ciężko pracowali, by zdobyć pierwsze stopnie naukowe, a jednocześnie byli pełni zapału i przejmowali się problemami całego świata, jak wielu ich rówieśników. W połowie lat pięćdziesiątych najważniejsza była bomba atomowa i kolonializm; obaj młodzi ludzie brali udział w demonstracjach na rzecz natychmiastowego rozbrojenia nuklearnego, działali w licznych organizacjach pragnących doprowadzić do jak najszybszego końca imperium i optowali za wolnością dla całego świata. Obaj mieli mnóstwo dobrych chęci, zapału i oddania, ale żadnemu nie udało się niczego zmienić. W swoim szlachetnym zaciętrzewieniu otarli się nawet o ruch młodych komunistów. Chalmers dość szybko wyrósł z tego, założył rodzinę, zdobył kredyt na budowę domu i powoli wtopił się w klasę średnią.

Nagromadzenie kłopotów, którym musiał stawić czoło w ciągu minionych dwu tygodni, sprawiło, że wypił do kolacji dużo więcej niż zwyczajową lampkę wina. Jego przyjaciel, miły człowiek o łagodnych brązowych oczach, dostrzegł niepokój kolegi i zapytał, czy mógłby w czymś pomóc.

Jednak dopiero przy brandy doktor Chalmers poczuł, że musi podzielić się swymi zmartwieniami z kimś, kto w przeciwieństwie do jego żony także jest uczonym i z pewnością zrozumie, na czym polega problem. Co prawda sprawa była ściśle poufna, ale przecież przyjaciel z pewnością dochowa tajemnicy...

Kiedy kolega ze studiów dowiedział się o córce i ogromnych kosztach związanych z jej kalectwem, spojrzął ze współczuciem na Chalmersa, wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.

— Nie przejmuj się, Gordon. Doskonale cię rozumiem. Na twoim miejscu każdy postąpiłby dokładnie tak samo.

Kiedy wyszli z restauracji i każdy ruszył w swoją stronę, Chalmers czuł się już znacznie lepiej; wreszcie podzielił się z kimś swoim ciężarem.

Mimo że zapytał przyjaciela, co porabiał od studenckich czasów, nie otrzymał jasnej odpowiedzi. Zajęty własnymi kłopotami i oszołomiony nadmiarem alkoholu, nie dopytywał się zbyt natrętnie. Zresztą, nawet gdyby to zrobił, należy wątpić, czy przyjaciel powiedziałby mu, że nie tylko nie dał się zwieść urokowi burżuazji, ale pozostał aktywnym członkiem partii komunistycznej.

7

Convair 440 utrzymujący stałe połączenie z Clarence przechylił się na lewe skrzydło i zaczął podchodzić do lądowania. Siedzący po lewej stronie kabiny Shannon miał wspaniały widok na całe miasto. Widziana z wysokości trzystu metrów stolica Zangaro leżała na cyplu, z trzech stron otoczona wodą. Półwysep miał zaledwie 12 kilometrów długości, od strony lądu był szeroki na pięć kilometrów, natomiast cypel, na którym rozciągało się miasto, na półtora kilometra. Brzegi półwyspu były porośnięte lasami namorzynowymi i tylko na cyplu dało się dostrzec pas kamienistej plaży. Ze stałym lądem miasto łączyła wąska nitka drogi biegnącej wśród szachownicy małych poletek.

Najbardziej okazałe budynki wznosiły się od strony otwartego morza, gdzie docierały poddmuchy ożywczego wiatru. Wszystkie stały na dużych, często ogrodzonych działkach. Bliżej zatoki rozciągały się dzielnice biedoty z chatami o dachach krytych arkuszami blachy. Shannon skoncentrował uwagę

na zamożniejszej części miasta, gdzie kiedyś mieszkali kolonialni władcy, gdyż wszystkie ważniejsze instytucje znajdowały się z pewnością właśnie w tej dzielnicy, a on miał tylko kilka sekund, żeby je objąć wzrokiem.

W miejscu, gdzie bez żadnego widocznego powodu natura usypała dwa długie kamieniste wały, sięgające w morze niczym rogi antylopy albo czułki owada, wybudowano niewielki port. Na otwartym morzu widać było fale, ale powierzchnia zatoki otoczonej z trzech stron lądem była gładka jak stół. Pewnie właśnie ta oaza spokoju, którą natura po namyśle stworzyła na niegościnnym wybrzeżu, zwabiła tutaj pierwszych marynarzy.

Środkową część portu zdominowało zupełnie puste betonowe nabrzeże oraz budynek, który mógł być magazynem. Na lewo od nabrzeża znajdował się obszar wykorzystywany przez tubylców jako przystań rybacka; na kamienistej plaży leżały wyciągnięte z wody czółna i suszyły się sieci. Na prawo widać było stary port z kilkoma wąskimi drewnianymi pomostami.

Za magazynem ciągnął się może dwustumetrowy pas trawy, a po drugiej stronie pierwsze budynki. Shannonowi mignął biały kościół w stylu kolonialnym oraz coś, co mogło być otoczonym przez mur pałacem gubernatora. Wewnątrz ogrodzonego obszaru widniał duży plac, wokół niego zaś rozpadające się baraki bez wątplenia z nowszych czasów.

Zaraz potem convair wyrównał lot i miasto znikło z pola widzenia Shannona.

Zdażył już otrzeć się o Zangaro poprzedniego dnia, gdy był w konsulacie po turystyczną wizę. Konsul nie ukrywał zdziwienia jego wizytą i kazał mu wypełnić pięciostronicowy, niezwykle drobiazgowy formularz. (Shannon musiał między innymi podać imiona obojga rodziców, a że nic nie wiedział o rodzicach Keitha Browna, zmyślił coś naprędce).

Podając paszport wsunął dyskretnie między kartki banknot o sporym nominale. Banknot natychmiast zniknął w kieszeni konsula, który obejrzał paszport ze wszystkich stron, przekartkował uważnie, podniósł go pod światło, wytrząsnął nad biurkiem, wreszcie sprawdził stemple potwierdzające dokonanie obowiązkowej wymiany dewiz. Po pięciu minutach Shannon zaczął się zastanawiać, czy aby wszystko jest w porządku. Może akurat w jego dokumencie znalazł się jakiś błąd?

Wreszcie konsul spojrzał na niego i oświadczył:

— Więc pan jest Amerykaninem.

Dopiero teraz Cat zrozumiał, że konsul jest analfabetą. Pięć minut później wyszedł z konsulatu z wizą. Niestety, na lotnisku w Clarence nie było już tak zabawnie.

Miał ze sobą tylko bagaż podręczny. We wnętrzu głównego (i zarazem jedyne) budynku dworca lotniczego panował niesamowity upał i roiło się od much. Shannon dostrzegł mniej więcej tuzin żołnierzy i dziesięciu policjantów, z całą pewnością należących do dwóch różnych plemion. Policjanci zachowywali się bardzo niepewnie i nie rozmawiali nawet między sobą, natomiast żołnierze poczynali sobie zgoła inaczej, Shannon co chwilę zerkał na nich spod oka, wypełniając przeraźliwie długi formularz, taki sam, jaki wepchnięto mu poprzedniego dnia w konsulacie. Następnie przeszedł przez kontrolę paszportową i medyczną, gdzie wszyscy urzędnicy należeli do plemienia Cajów, tak jak policjanci.

Kłopoty zaczęły się podczas kontroli celnej. Cywil, który czekał na niego przy stanowisku odpraw, nakazał szorstkim gestem, by wszedł za nim do pomieszczenia na uboczu. W chwilę potem do pokoju wkroczyło czterech żołnierzy. Dopiero wtedy Shannon uświadomił sobie, z czym mu się to kojarzy.

Dawno temu w Kongu był świadkiem niemal identycznego zachowania tubylców, żyjących do tej pory jak ludzie pierwotni. Kiedy dostali do rąk broń, stali się niezmiernie groźni, gdyż nikt nie był w

stanie przewidzieć ich całkowicie przypadkowych reakcji. W każdej chwili można się było spodziewać wybuchu dzikiego okrucieństwa. Przed wszystkimi masakrami, których był świadkiem, Shannon widział taką samą niebezpieczną bezmyślność, popartą siłą nie neutralizowaną choćby odrobiną rozsądku i logiki, jaką teraz demonstrowali żołnierze prezydenta Kimby wywodzący się z plemienia Vindu.

Celnik polecił Shannonowi postawić torbę na chwiejącym się stoliku i zaczął przeglądać jej zawartość. Wyglądało na to, że szuka ukrytej broni, dopóki nie natrafił na elektryczną maszynkę do golenia. Wyjął ją z pudełka, obejrzał dokładnie, a następnie włączył. Ponieważ Shannon tuż przed wyjazdem wymienił baterie, maszynka zabzyczała głośno. Celnik bez słowa schował ją do kieszeni.

Uporawszy się z torbą, polecił mu gestem opróżnić kieszenie. Na stolik powędrowały kolejno klucze, chusteczka do nosa, monety, portfel i paszport. Celnik zainteresował się paszportem. Wyjął z niego czeki podróżne, przyjrzał im się, chrząknął coś niezrozumiale i oddał je Shannonowi. Wszystkie monety powędrowały do kieszeni urzędnika, który następnie skoncentrował uwagę na banknotach — dwóch o nominale 5000 i kilku setkach franków francuskich. Żołnierze zbliżyli się do stolika. W coraz bardziej dusznym i gorącym pomieszczeniu słychać było jedynie ich przyspieszone oddechy. Shannon dostrzegł kątem oka, że trzymają karabiny za lufy, aby w razie potrzeby posłużyć się nimi jak maczugami. Celnik wziął sobie oba banknoty o najwyższym nominale, jeden z żołnierzy zgarnął resztę.

Shannon wpatrywał się w urzędnika, który odpowiedział mu pustym spojrzeniem. Po chwili Murzyn odsunął połą marynarki i pokazał rękojeść tkwiącego w kaburze browninga kalibru 9 mm lub może mniejszego, 8,75 mm.

— Policja — powiedział, nie spuszczać wzroku z białego. Shannona świerzbiała ręka, żeby palnąć go w twarz, ale wołał zachować spokój, choć przyszło mu to z trudem.

Powolnym, ostrożnym gestem wskazał przedmioty rozłożone na stoliku i uniósł pytająco brwi. Urzędnik skinął głową, więc Shannon zaczął się pakować. Żołnierze za nim cofnęli się nieco, choć był niemal pewien, że nadal trzymają karabiny za lufy, gotowi z lada powodu zrobić z nich użytek.

Wydawało mu się, że minęło kilka godzin, zanim wreszcie celnik ruchem głowy wskazał drzwi. Shannon wyszedł z pokoju, czując, jak pot ścieka mu po grzbiecie i wsiąka w materiał spodni.

W głównym holu na jedyne, poza Shannonem, białego pasażera samolotu, młodą Amerykankę, czekał katolicki ksiądz. Potrafił się trochę dogadać z tubylcami w ich narzeczu, dzięki czemu żołnierze nie robili mu żadnych trudności. Shannon nieznacznie uniósł brwi, kiedy ich spojrzenia spotkały się, duchowny zaś ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Rozpalony placyk przed budynkiem dworca był pusty. Shannon czekał cierpliwie. Pięć minut później usłyszał za plecami cichy głos z wyraźnym irlandzko-amerykańskim akcentem:

— Może podwieźć cię do miasta, synu?

Ksiądz zaprowadził ich do swego samochodu, garbusa, ukrytego w cieniu palm kilkadziesiąt metrów od bramy lotniska. Młoda Amerykanka nie posiadała się z oburzenia, gdyż zrewidowano jej walizkę. Shannon zachował milczenie. Zdawał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, żeby zostali poważnie pobici. Ksiądz pracował w szpitalu Organizacji Narodów Zjednoczonych, pełniąc połączone funkcje kapelana, posługacza i lekarza. Spojrzał ze zrozumieniem na Shannona.

— Okradli pana.

— Owszem.

Strata 15 funtów była niczym, ale obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę z nastroju żołnierzy.

— Tutaj trzeba być bardzo, ale to bardzo ostrożnym — powiedział cicho ksiądz. — Ma pan zarezerwowany pokój?

Kiedy dowiedział się, że nie, zawiózł Shannona do Independence, jedyne hotelu w mieście, gdzie wolno było zatrzymywać się Europejczykom.

— Kierownikiem jest Gomez — poinformował go duchowny. — To porządny człowiek.

Zazwyczaj, kiedy w afrykańskim mieście zjawia się ktoś nowy, mieszkający tam Europejczycy natychmiast zapraszają go do klubu, proponują drinka albo namawiają do wzięcia udziału w jakimś przyjęciu. Książd, mimo całej swojej życzliwości, nie zaproponował niczego. Była to kolejna rzecz, jakiej Shannon dowiedział się o Zangaro: nastroje tubylców udzielały się także białym. W ciągu następnych dni dowiedział się znacznie więcej, głównie od Julesa Gomeza.

Poznał go jeszcze tego samego wieczoru. Gomez, dawniej właściciel, a obecnie kierownik hotelu Independence, miał pięćdziesiąt lat i był pied noir, Francuzem z Algierii. Dziesięć lat temu, tuż przed upadkiem kolonii, sprzedał znakomicie prosperującą firmę zajmującą się handlem maszynami rolniczymi. Z zarobionymi pieniędzmi wrócił do Francji, ale po roku przekonał się, że nie potrafi dostosować się do europejskiego stylu życia, i zaczął rozglądać się za jakimś innym miejscem. Zdecydował się na Zangaro. Przybył tu pięć lat przed uzyskaniem przez to państwo niepodległości, kiedy nikomu jeszcze nawet się nie śniło, że coś takiego może się w ogóle zdarzyć. Za całe oszczędności kupił hotel, który znacznie unowocześnił.

Kiedy nadeszła niepodległość, sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Trzy lata temu Gomez otrzymał lakoniczną wiadomość, że hotel został znacjonalizowany, on zaś będzie od tej pory otrzymywał wynagrodzenie w miejscowej walucie. Naturalnie nie otrzymał ani jednego franka, a poza tym i tak byłyby to tylko bezwartościowe papierki. Mimo to pozostał na stanowisku kierownika, na przekór wszystkiemu mając nadzieję, że pewnego dnia znowu uśmiechnie się do niego szczęście i będzie mógł spokojnie dożyć swoich dni w tym jedynym miejscu na ziemi, gdzie miał coś własnego. Do obowiązków kierownika należało prowadzenie recepcji i baru. Shannon znalazł go w barze.

Łatwo mógłby zyskać przyjaźń Francuza, wspominając o przyjaciółach i znajomych z OAS, Legii Cudzoziemskiej i oddziałów spadochroniarzy, których spotkał w Kongu, ale wtedy nie mógłby już uchodzić za zwykłego angielskiego turystę, który, mając pięć dni urlopu, przyleciał z północy, bo pragnął ujrzeć na własne oczy tajemniczą Republikę Zangaro. Postanowił więc trzymać się roli turysty.

Później, po zamknięciu baru, zaprosił Gomeza na drinka do pokoju. Z niewiadomych powodów żołnierze zostawili mu butelkę whisky, którą miał w torbie. Na widok whisky Gomezowi zabłyśły oczy. Zangaro nie mogło pozwolić sobie na import tak kosztownych trunków. Shannon nalewał kierownikowi hotelu znacznie więcej niż sobie. Kiedy wspomniał, że przyleciał do Zangaro z ciekawości, Gomez parsknął głośno.

— Z ciekawości? Zgadza się, ciekawie tutaj. Cholernie ciekawie!

Mimo że rozmawiali po francusku i byli sami w pokoju, Gomez natychmiast zniżył głos. Shannon ponownie odniósł wrażenie, że wszyscy czegoś się boją — to znaczy wszyscy oprócz bandytów w żołnierskich mundurach i funkcjonariusza tajnej policji udającego celnika na lotnisku. W miarę jak w butelce ubywało whisky, Gomez stawał się coraz bardziej gadatliwy, więc Shannon zaczął go delikatnie sondować. Kierownik hotelu potwierdził większość informacji przekazanych Shannonowi przez mężczyznę podającego się za Waltera Harrisa i dodał od siebie wiele zabawnych, a czasem przerażających szczegółów.

Powiedział między innymi, że prezydent Kimba przebywa obecnie w stolicy, że ostatnio prawie wcale jej nie opuszcza, jeśli nie liczyć okazjonalnych podróży do rodzinnej wioski za rzeką, w krainie Vindu, oraz że mieszka w pałacu prezydenckim — rozległej, otoczonej murem budowli, którą Shannon dostrzegł z powietrza.

Zanim o drugiej nad ranem Gomez dźwignął się ciężko na nogi, życzył mu dobrej nocy i niezbyt pewnym krokiem udał się do swego pokoju, Shannon dowiedział się paru ważnych rzeczy. Kierownik hotelu zaklinał się na wszystkie świętości, że wprawdzie policjanci, żandarmi i celnicy noszą broń, ale nie mają do niej amunicji. Kimba nie ufał im, ponieważ byli Cajami, on zaś paranoicznie obawiał się zamachu stanu. Zdawał sobie sprawę, że Cajowie nigdy nie będą walczyć po jego stronie, zatroszczył się więc, by nie mieli możliwości walczyć przeciwko niemu. Broń, którą nosili, była tylko na pokaz.

Gomez potwierdził także fakt, że władzę w mieście sprawują wyłącznie Vindu, którzy popierają Kimbę. Członkowie budzącej postrach tajnej policji nosili cywilne ubrania i byli uzbrojeni w automatyczną broń krótką, żołnierze mieli stare karabiny, takie jak te, które Shannon widział w porcie lotniczym, natomiast prezydencka gwardia pretoriańska dysponowała pistoletami maszynowymi. Ci ostatni mieszkali na terenie pałacu i byli całkowicie oddani Kimbie, który nigdzie się bez nich nie ruszał.

Nazajutrz rano Shannon wybrał się na spacer. Niemal natychmiast zorientował się, że towarzyszy mu dziesięcio- lub jedenastoletni chłopiec, którego wysłał za nim Gomez. Początkowo przypuszczał, że chłopiec ma pełnić funkcję przewodnika, choć z powodu bariery językowej nie mógł okazać się zanadto przydatny. Dopiero później poznał prawdziwą przyczynę jego obecności. Gomez wyświadczał tę przysługę wszystkim swoim gościom, niezależnie od tego, czy o to prosili, czy nie. Gdyby turysta został z jakiegoś powodu aresztowany, mały chłopiec mógł łatwo przemknąć się z powrotem do hotelu i poinformować o tym Gomeza, który z kolei zawiadomiłby którąś z ambasad, żeby rozpoczęła negocjacje w celu uwolnienia nieszczęśnika, zanim ten dostanie w więzieniu tęgie baty. Chłopiec miał na imię Bonifacy.

Shannon przemierzał kilometr za kilometrem, chłopiec zaś towarzyszył mu jak cień. Nikt ich nie zatrzymywał. Najemnik doskonale wiedział, że w ogólnym bałaganie nikomu nie przyjdzie do głowy wypytywać, co skłoniło go do turystycznej wizyty w Zangaro. Państwka takie jak Zangaro reklamowały swe krajobrazowe walory w korytarzach swoich europejskich ambasad. Poza tym w Clarence mieszkało na stałe około stu białych ludzi, więc żaden z żołnierzy nie mógł się domyślić, że człowiek idący powoli ulicą nie jest jednym z nich, a nawet gdyby ktoś okazał zainteresowanie, to szybko zostałoby ono zaspokojone dolarem na piwo.

Po pustych ulicach nie jeździły niemal żadne pojazdy. Shannon otrzymał od Gomeza mały plan miasta, pozostałość z czasów kolonialnych, i z jego pomocą zlokalizował główne gmachy Clarence. Przy jedynym banku, jedynej poczcie, siedzibach ministerstw, porcie i szpitalu ONZ stały sześć- lub siedmioosobowe grupki żołnierzy. Kiedy wszedł do banku, aby zrealizować czeki podróżne, dostrzegł w holu zwinięte materace, a w porze lunchu dwukrotnie napotkał żołnierzy niosących posiłek kolegom. Domyślił się, że strażnicy stacjonują na terenie chronionych przez siebie budynków. Później Gomez potwierdził trafność jego domysłów.

Przed każdą z sześciu ambasad wartę pełnił samotny żołnierz, przy czym trzech z nich było pogrążonych w głębokim śnie. Według szacunków Shannona służbę w centrum miasta pełniło w sumie około stu żołnierzy podzielonych na dwanaście grup. Ich jedyne uzbrojenie stanowiły stare mauserki kalibru 7,92, tak przerdzewiałe, że pewnie nie nadawały się do użytku. Umundurowanie żołnierzy składało się z zielonych drelichowych spodni i koszul, płóciennych butów, parcianych pasów i czapek bardzo przypominających amerykańskie czapeczki baseballowe. Wszyscy bez wyjątku byli nie ogoleni, brudni i odpychający. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że stopień ich wyszkolenia, opanowanie z bronią oraz wartość bojowa równają się zeru. Stanowili niezdyscyplinowaną zbieraninę prymitywnych bandziorów, którzy mogli terroryzować potulnych

Cajów dzięki karabinom i brutalności, ale prawdopodobnie nigdy nie oddali ani jednego strzału w warunkach bojowych i na pewno nigdy nie musieli stawić czoła dobrze wyszkolonym zawodowcom. Ich obecność w mieście miała zapobiec ewentualnym rozruchom, ale gdyby doszło do prawdziwej walki, przypuszczalnie rzuciliby broń i uciekli gdzie pieprz rośnie.

Najbardziej interesujący był stan ich ładownic: były puste, bez amunicji. Naturalnie każdy mauser miał założony magazynek, ale magazynek mausera mieści tylko pięć pocisków.

Po południu Shannon zwiedził port. Wyglądał zupełnie inaczej niż z lotu ptaka. Dwie kamienne ostrogi tworzące naturalne falochrony miały około sześciu metrów wysokości u podstawy, daleko w morzu zaś wystawały z wody na niecałe dwa metry. Przeszedł się po obydwóch. Były rzadko porośnięte niewidocznymi z powietrza niskimi krzakami i miały około dwunastu metrów szerokości. Stojąc na cyplu jednego z naturalnych falochronów, Shannon mógł widzieć cały port.

Dokładnie pośrodku znajdowało się betonowe nadbrzeże i wielki magazyn. Na północ od nich ciągnęły się stare drewniane pomosty; część z nich już dawno spróchniała, tylko omszałe pale wystawały nad powierzchnię wody niczym połamane zęby. Na południu zaczynała się kamienista plaża, na której leżały rybackie czółna. Z cypla można było też dostrzec najwyższą kondygnację pałacu prezydenckiego. Shannon wrócił mierząc do portu i przyjrzał się dokładnie plaży z łodziami rybackimi. Dobre miejsce do lądowania — pomyślał mimochodem. Łagodny spadek do samej wody...

Zaraz za magazynem kończył się pas betonu, a zaczynało się niezbyt wysokie wzniesienie porośnięte sięgającymi do piersi krzakami i poprzecinane licznymi ścieżkami. W kierunku pałacu biegła wysypana tłuczniem droga dla ciężarówek. Shannon zdecydował się pójść właśnie nią, a kiedy dotarł do szczytu, w odległości dwustu metrów ujrzał fasadę starej siedziby gubernatora. Po przejściu kolejnych stu metrów znalazł się na innej drodze, wiodącej wzdłuż brzegu. Niedaleko skrzyżowania stało czterech żołnierzy w innych, znacznie porządniejszych mundurach niż te, które widział w mieście. Ubrojeni byli w pistolety maszynowe AK-47. Obserwowali go w milczeniu, kiedy skręcił w kierunku hotelu. Skinął im głową, lecz odpowiedziały mu tylko puste spojrzenia. Gwardia pałacowa.

Idąc przed siebie zerkał ukradkiem w lewo, na pałac. Szeroki na trzydzieści metrów, miał na parterze, pomalowane na biało tak jak cały budynek, zamurowane okna. Najbardziej rzucały się w oczy potężne, nabijane ćwiekami wrota — bez wątpienia także niedawno zmontowane. Przed zamurowanymi oknami ciągnął się taras, teraz całkowicie bezużyteczny, gdyż pozbawiony połączenia z wnętrzem pałacu. Na pierwszym piętrze Shannon doliczył się siedmiu okien: trzy były po lewej, trzy po prawej i jedno pośrodku fasady. Na najwyższym piętrze było ich dziesięć, ale wszystkie znacznie mniejsze niż te na pierwszym. Wyżej była już tylko rynna oraz pokryty czerwoną dachówką, spadzisty dach.

Przy drzwiach kręcili się strażnicy, okna zaś na pierwszym piętrze były zaopatrzone w okiennice — być może metalowe, ale z tej odległości Shannon nie potrafił tego stwierdzić. W każdym razie wszystkie były zamknięte. Wyglądało na to, że bez specjalnego zezwolenia lepiej będzie nie podchodzić do pałacu.

Tuż przed zachodem słońca Shannon zakończył wycieczkę obchodząc pałac od tyłu. Rezydencję okalał wysoki na dwa i pół metra mur biegnący w odległości około osiemdziesięciu metrów od głównego budynku. Nigdzie nie mógł dostrzec żadnych dodatkowych wejść ani bram wjazdowych. Mur miał wszędzie taką samą wysokość, a wieńczyły go potłuczone butelki. Shannon nie mógł więc zajrzeć do środka, na teren rezydencji, ale wszystko, co chciał, przecież zobaczył z powietrza. Niewiele brakowało, żeby parsknął donośnym śmiechem.

Zamiast tego uśmiechnął się do Bonifacego.

— Wyobraź sobie, chłopcze, że ten cholerny kretyn odgrodził się od świata murem, posypał go z wierzchu tłuczonym szkłem, zostawił tylko jedno wejście i myśli, że jest bezpieczny jak u Pana Boga za piecem. Tymczasem tak naprawdę to zamknął się w wielkiej ceglanej pułapce. Siedzi jak kukła na ogromnej, murowanej strzelnicy.

Chłopiec, który nie rozumiał ani słowa, obdarzył go szerokim uśmiechem, po czym dał na migi do zrozumienia, że chętnie wróciłby do domu, żeby coś zjeść. Shannon skinął głową i obaj z obolałymi nogami i poobcieranymi stopami ruszyli do hotelu.

Shannon nie robił żadnych notatek ani rysunków, ale zapamiętał wszystkie szczegóły. Zwrócił Gomezowi mapę, po kolacji zaś usiadł z Francuzem przy barze.

Ale że przy stoliku w głębi sali siedzieli dwaj Chińczycy z ambasady i popijali w milczeniu piwo, a okna były szeroko otwarte, zamienili ze sobą tylko kilka słów. Gomez jednak by! spragniony towarzystwa, więc później zabrał kilka butelek piwa i zaprosił Shannona do swojego pokoju na ostatnim piętrze. Siedząc na balkonie spoglądali na śpiące miasto, z powodu braku energii elektrycznej pogrążone częściowo w ciemności.

Shannon zastanawiał się, czy dopuścić Gomeza do tajemnicy, ale ostatecznie postanowił tego nie robić. Wspomniawszy tylko, że udało mu się znaleźć bank i że miał spore kłopoty ze zrealizowaniem czeku na 50 funtów.

— Nic dziwnego! — parsknął Gomez z pogardą. — Od dawna nie widzieli tutaj ani czeków podróży, ani zagranicznych pieniędzy.

— W banku z pewnością stykają się z nimi codziennie.

— Wcale nie. Państwowy skarbiec znajduje się w pałacu Kimby. Shannon nastawił uszu. Dwie godziny później udało mu się ułożyć

z okruczeństwa całą historię. Otóż Kimba umieścił w pałacu nie tylko główny arsenał — amunicję trzymał w piwnicy służącej niegdyś do przechowywania wina — ale także państwową rozgłośnię radiową, dzięki czemu mógł przemawiać do narodu bezpośrednio ze swoich apartamentów i nikt nie był w stanie mu w tym przeszkodzić. Państwowe rozgłośnie radiowe odgrywały ważną rolę w niemal każdym z dotychczasowych zamachów stanu. Shannon dowiedział się także, że prezydent nie dysponuje ani pojazdami opancerzonymi, ani artylerią, oraz że oprócz setki żołnierzy rozrzuconej po mieście jest jeszcze stu tuż za jego granicami, kilkunastu w osadzie przy drodze wiodącej na lotnisko, reszta zaś została rozmieszczona w wioskach Cajów w okolicy mostu na rzece Zangaro. W sumie stanowili oni połowę armii. Pozostali stacjonowali w koszarach około czterystu metrów od pałacu. Właściwie nie były to koszary, tylko rozpadające się blaszane budki otoczone trzciniowym płotem. Cała armia Zangaro liczyła niewiele ponad czterystu ludzi, gwardia pałacowa zaś — czterdziestu do sześćdziesięciu żołnierzy — mieszkała w barakach zbudowanych w bezpośrednim sąsiedztwie pałacu.

Trzeciego dnia pobytu w Clarence Shannon obejrzał koszary, w których mieszkało dwustu żołnierzy nie pełniących chwilowo służby. Zgodnie z tym, co powiedział Gomez, baraki otaczał płot z trzciny, ale Shannonowi udało się niepostrzeżenie wejść do pobliskiego kościoła i wbiec kręconymi schodami na szczyt wieży, skąd zerknął ostrożnie w dół. Koszary istotnie składały się z dwóch rzędów blaszanych bud stykających się bocznymi ścianami i ozdobionych schnącą na sznurach odzieżą. Z jednej strony ogrodzonego terenu na ceglanych paleniskach stały kotły z gotującą się zupą. Dwustu mężczyzn siedziało tu i tam lub włóczyło się bez celu. Shannon nigdzie nie mógł dostrzec choćby śladu broni; przypuszczalnie składowano ją w magazynie, małej chatynce o ścianach z kamienia, wzniesionej w pewnej odległości od baraków. Urządzenia sanitarne pod gołym niebem

były tak prymitywne, jak tylko można sobie wyobrazić.

Wieczorem tego dnia wyszedł z hotelu bez Bonifacego i spotkał żołnierza.

Krążył przez godzinę ulicami, które na jego szczęście nigdy nie widziały blasku latarni, starając się dotrzeć w pobliże pałacu. Udało mu się przyjrzeć budowli od tyłu i z boków. Obserwacje utwierdziły go w przekonaniu, że nie ma tam żadnych patroli. Kiedy spróbował podejść do rezydencji od frontu, przegonili go dwaj członkowie gwardii pałacowej. Dzięki temu zdołał jednak stwierdzić, że jest ich w sumie trzech i że zajmują stanowisko na skrzyżowaniu w połowie drogi między wzniesieniem za portem a frontem prezydenckiego pałacu, oraz że z tego miejsca nie widzą niczego, co się dzieje w porcie. Jedyne, co mogli zobaczyć, to powierzchnię morza tuż za końcami owych naturalnych falochronów. W bezksiężycową noc ciemna woda stapała się z czarnym niebem, ale gdyby pojawiło się tam jakieś światło, na pewno zwróciłoby ich uwagę.

Ze skrzyżowania Shannon nie widział odległej o sto metrów głównej bramy pałacu, ale zakładał, że jak zwykle pilnuje jej dwóch strażników. Obdarował każdego z żołnierzy paczką papierosów, po czym ruszył w drogę powrotną.

Idąc w stronę hotelu Independence, minął kilka oświetlonych lampami naftowymi barów, a potem skręcił w pogrążoną w ciemności uliczkę. Sto metrów dalej zatrzymał go żołnierz. Był bardzo pijany i sikał do rynsztoka. Kiedy ujrzał Shannona, ruszył chwiejnie w jego stronę, trzymając oburącz mausera za lufę. Shannon widział go dokładnie w świetle księżyca i słyszał jakieś niezrozumiałe pomruki; mógł się tylko domyślać, że żołnierz chce od niego pieniędzy.

Potem dosłyszał wypowiedziane kilka razy słowo „piwo”, ale zanim zdążył sięgnąć do kieszeni po dolara, żołnierz wykrzyknął coś i zamachnął się na niego kolbą karabinu. Od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie i w niemal całkowitej ciszy. Shannon złapał kolbę jedną ręką i pociągnął mocno, w wyniku czego żołnierz zachwiał się jeszcze bardziej. Najwyraźniej był zdumiony nieoczekiwaną reakcją ofiary, gdyż wybełkotał coś z wściekłością i próbował ponowić uderzenie, ale tym razem Shannon zablokował je, chwytając żołnierza za ramiona i mocno uderzając kolanem.

Nie mógł się już wycofać. Karabin upadł na ziemię, Shannon zaś wykonał gwałtowny ruch w górę zgiętym w łokciu ramieniem i z ogromną siłą rąbnął Murzyna w szczękę. Poczuł mocne ukłucie bólu, ale jednocześnie usłyszał wyraźny trzask łamanego karku. Później przekonał się, że nadwreżył sobie mięśnie prawego barku. Żołnierz runął jak worek piasku.

Shannon rozejrzał się, ale ulica była pusta. Wepchnął ciało do rynsztoka, po czym zajął się karabinem. Naciskając sprężynę wyłuskiwał po kolei pociski z magazynka. Były tylko trzy. Wyjawszy zamek spojrział przez lufę na księżyc; była tak zanieczyszczona, że pierwszy strzał rozszarpałby ją na strzępy. Zamontował z powrotem zamek, wsunął pociski do magazynka, cisnął karabin na zwłoki i ruszył w stronę hotelu.

— Coraz lepiej... — mruknął, wślizgując się do łóżka. Był pewien, że nie należy spodziewać się zbyt intensywnego śledztwa. Żołnierz mógł złamać kark, wpadając do rynsztoka, a o badaniach daktyloskopijnych z pewnością nikt tu nawet nie słyszał.

Mimo to następnego dnia nie wychodził z hotelu, udając, że nagle rozbolała go głowa, i długo rozmawiał z Gomezem, a nazajutrz rano pojechał na lotnisko i wsiadł do convaira 440 odlatującego na północ. Kiedy siedział w samolocie i spoglądał na niknące pod skrzydłem wybrzeże Zangaro, przypomniało mu się coś, o czym wspominał mimochodem Gomez.

Ani obecnie, ani w przeszłości w Zangaro nie było żadnych kopalń.

Czterdzieści godzin później znalazł się z powrotem w Londynie.

Za każdym razem, kiedy przybywał na cotygodniowe spotkanie z prezydentem Kimbą, ambasador Leonid Dobrowolski odczuwał lekki niepokój. Podobnie jak wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli

okazję osobiście poznać dyktatora, nie miał żadnych wątpliwości, że ten człowiek jest szalony. Jednak w przeciwieństwie do innych, Leonid Dobrowolski otrzymał od swych moskiewskich przełożonych jednoznaczne polecenie, aby dołożyć wszelkich starań w celu utrzymania jak najlepszych stosunków z nieobliczalnym władcą. Teraz stał przed wielkim mahoniowym biurkiem w gabinecie prezydenta na pierwszym piętrze pałacu i czekał na jakąś reakcję ze strony Kimby.

Oglądany z bliska prezydent Kimba nie był ani tak potężny, ani tak przystojny, jak można by wnioskować z jego oficjalnych wizerunków. Za ogromnym biurkiem wyglądał wręcz jak karzeł, tym bardziej że zgarbił się w fotelu i trwał w całkowitym bezruchu. Dobrowolski czekał, kiedy stan bezruchu się skończy. Wiedział już, że może oczekiwać jednego z dwojga: albo władca Zangaro przemówi ostrożnie i spokojnie, i będzie sprawiał wrażenie zupełnie normalnego, albo też niemal katatoniczny bezruch ustąpi miejsca atakowi szaleńczej wściekłości, i prezydent będzie zachowywał się jak człowiek opętany przez duchy; za ducha zresztą się uważał.

Kimba skinął powoli głową.

— Proszę mówić dalej — powiedział.

Dobrowolski odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że prezydent postanowił go wysłuchać. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeszcze nie przekazał najgorszej wiadomości. Kiedy to uczyni, sprawy mogą przybrać zupełnie inny obrót.

— Panie prezydencie, otrzymałem wiadomość od mojego rządu, że raport zawierający wyniki badań geologicznych, przesłany ostatnio do Zangaro przez pewną brytyjską firmę, może nieco różnić się z prawdą. Mam na myśli badania przeprowadzone kilkanaście tygodni temu przez Manson Consolidated z Londynu.

Lekko wylupiaсте oczy Kimby wpatrywały się tępo w rosyjskiego dyplomatę. Nie sposób było stwierdzić, czy prezydent orientuje się w sprawie, która sprowadziła Dobrowolskiego do pałacu.

Ambasador przedstawił w skrócie treść raportu dostarczonego przez niejakiego pana Bryanta na ręce ministra zasobów naturalnych.

— Otrzymałem polecenie poinformowania Waszej Ekszelencji, że zdaniem mojego rządu raport ów przemilcza prawdziwe wyniki badań przeprowadzonych w rejonie Gór Kryształowych.

Umilkł, zdając sobie sprawę, iż powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Kiedy Kimba wreszcie przemówił, nadal zachowywał się całkiem spokojnie. Dobrowolski znów odetchnął z ulgą.

— Na czym polegają braki raportu? — zapytał cicho prezydent.

— Nie znamy wszystkich szczegółów, Wasza Ekszelencjo, ale możemy przypuszczać, że skoro brytyjska firma nie zwróciła się do Zangaro z prośbą o przyznanie jej koncesji wydobywczych, z przedstawionego przez nią raportu wynika zapewne, że na terenach objętych poszukiwaniami nie natrafiono na żadne cenne złoża. Prawdopodobnie na tym właśnie polega jego nieprawdziwość. Krótko mówiąc, Brytyjczycy uznali, że nie powinni informować Waszej Ekszelencji o prawdziwych wynikach badań.

W gabinecie znów zapadło długie milczenie. Ambasador w każdej chwili spodziewał się wybuchu dzikiego gniewu, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Oszukali mnie... — szepnął Kimba.

— Rzecz jasna, Wasza Ekszelencjo — wtrącił pośpiesznie Dobrowolski — całkowitą pewnością uzyskamy dopiero wtedy, kiedy wyślemy w ten rejon naszą ekipę badawczą, która pobierze próbki skał i gleby. Dlatego właśnie zostałem upoważniony przez mój rząd, aby najpokorniej prosić Waszą Ekszelencję o wyrażenie zgody na przybycie do Zangaro grupy naukowców z Instytutu Górnictwa w Swierdłowsku, w celu przeprowadzenia rekonesansu na terenach badanych wcześniej przez

brytyjskiego inżyniera.

Przetrawienie propozycji zajęło Kimbie bardzo dużo czasu. Wreszcie skinął głową.

— Zgoda — powiedział.

Dobrowolski uklonił się nisko. Towarzyszący mu Wołków, oficjalnie drugi sekretarz ambasady, a w rzeczywistości rezydent KGB, rzucił mu znaczące spojrzenie.

— Druga sprawa dotyczy pańskiego osobistego bezpieczeństwa, panie prezydencie — powiedział Dobrowolski. Nareszcie udało mu się zyskać zainteresowanie dyktatora. Ten temat Kimba traktował bardzo poważnie. Podniósł raptownie głowę i rozejrzał się podejrzliwie po gabinecie. Trzej zangaryjscy doradcy, stojący za Rosjanami, zatrzęśli się jak podczas ataku febry.

— Moje bezpieczeństwo? — zapytał Kimba szeptem.

— Przede wszystkim chciałbym jeszcze raz podkreślić wielką troskę rządu radzieckiego, zainteresowanego żywo tym, aby Wasza Ekscelencja mogła w dalszym ciągu prowadzić Zangarską ścieżką pokoju i postępu, tak nieomyślnie wyznaczoną przez Waszą Ekscelencję. — Pochlebstwa nie wywołały najmniejszej reakcji. Kimba był do nich przyzwyczajony; stanowiły nieodłączny składnik ceremoniału. — Aby zagwarantować całkowite bezpieczeństwo cennej osobie Waszej Ekscelencji, mając na względzie niedawną zdradę jednego z wysokich oficerów, z całym należnym szacunkiem ponownie proponuję, aby jeden z pracowników naszej ambasady mógł zamieszkać w pałacu i służyć pomocą ludziom strzegącym spokoju Waszej Ekscelencji.

Wzmianka o „zdradzie” pułkownika Bobiego wytrąciła Kimbę z transu. Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz — nie wiadomo, strachu czy wściekłości — po czym zaczął mówić, najpierw cicho i powoli, potem coraz szybciej i głośniejsze, miotając wściekłe spojrzenia na obecnych w gabinecie Zangaryjczyków. Po kilku zdaniach przerzucił się na dialekt Vindu, który rozumieli jedynie tubylcy, ale Rosjanie i tak domyślali się, czego dotyczy przemowa: wszechobecnego zagrożenia zdradą i spiskiem, ostrzeżeń przesyłanych dyktatorowi z zaświatów, jego umiejętności zagładania w ludzkie dusze i odkrywania wszelkich podłych knowań, zduszenia ich w zarodku i krwawego rozprawienia się z tymi, którzy śmieli o nich myśleć. Prezydent przemawiał niemal pół godziny, po czym uspokoił się i przeszedł z powrotem na język zrozumiały dla gości z rosyjskiej ambasady.

Kiedy wreszcie dwaj Rosjanie wyszli z pałacu i wsiedli do czekającego na nich samochodu, byli mokrzy jak szczury — częściowo z powodu upału, ponieważ pałacowa klimatyzacja uległa znowu awarii, a częściowo z wrażenia, jakie zawsze wywierał na nich Kimba.

— Cieszę się, że już po wszystkim — mruknął Wołków do kolegi, kiedy ruszyli w drogę powrotną do ambasady. — Przynajmniej uzyskaliśmy jego zgodę. Jutro wyślę swojego człowieka.

— A ja zajmę się sprowadzeniem ekipy poszukiwawczej — odparł Dobrowolski. — Miejmy nadzieję, że raport Brytyjczyków naprawdę okaże się fałszywy. Jeśli nie, będę miał poważne kłopoty z wytłumaczeniem tego prezydentowi.

— Dobrze, że to nie mój problem — odparł Wołków.

Zgodnie z tym, co ustalili wcześniej z Harrisem, Shannon wynajął pokój w hotelu Lowndes niedaleko Knightsbridge. Miało go nie być około dziesięciu dni. Harris zapowiedział, że począwszy od dziesiątego dnia będzie dzwonił co rano do hotelu i pytał o pana Keitha Browna. Kiedy Shannon przyjechał w południe, dowiedział się, że trzy godziny wcześniej ktoś do niego telefonował. Oznaczało to, że do jutra ma czas dla siebie.

Najpierw wziął długą kąpiel, przebrał się, zjadł lunch, a potem zadzwonił do agencji detektywistycznej. Właściciel agencji po krótkim namyśle przypomniał sobie pana Keitha Browna; Shannon słyszał, jak przerzuca teczkę na biurku. Wreszcie znalazł właściwą.

— Tak, panie Brown, mam wszystko tutaj. Czy przesłać to panu pocztą?

— Wolałbym nie — odparł Shannon. — Dużo tego jest?

— Około jednej strony. Przeczytać panu przez telefon?

— Bardzo proszę.

Mężczyzna odchrząknął, po czym zaczął:

— Rankiem następnego dnia po przekazaniu zlecenia przez klienta mój pracownik czekał przy wjeździe do podziemnego parkingu w ManCon House. Miał szczęście, ponieważ śledzony osobnik, który poprzedniego dnia po spotkaniu z moim klientem przy Sloane Avenue przyjechał taksówką, tym razem przybył własnym samochodem. Mój pracownik przyjrzał mu się dokładnie przy wjeździe do parkingu i ponad wszelką wątpliwość potwierdził jego tożsamość. Mężczyzna prowadził chevroleta corvette. Pracownik zapisał numer rejestracyjny samochodu. Dzięki naszym kontaktom udało się ustalić, że samochód jest zarejestrowany na nazwisko niejakiego Simona Johna Endeana, mieszkającego w południowym Kensington... Podać panu jego adres, panie Brown?

— Nie trzeba — odparł Shannon. — Wie pan może, co ten Endean robi w ManCon House?

— Owszem — odrzekł właściciel agencji detektywistycznej. — Dowiedziałem się tego od przyjaciela, dziennikarza z City. Simon Endean jest osobistym doradcą sir Jamesa Mansona, prezesa zarządu i dyrektora generalnego spółki Manson Consolidated.

— Dziękuję panu — powiedział Shannon i odłożył słuchawkę. — Coraz dziwniej mi to pachnie... — mruknął nieco później, wychodząc z hotelu i skręcając w kierunku Jermyn Street, żeby podjąć trochę gotówki i kupić sobie parę nowych koszul. Był pierwszy kwietnia, prima aprilis. Słońce wychyliło się zza chmur, a na trawnikach wokół Hyde Park Corner kwitły żonkile.

Kiedy Shannon przebywał za granicą, Simon Endean bynajmniej nie próżnował. Po południu tego samego dnia przedstawił rezultaty swoich poszukiwań sir Jamesowi Mansonowi.

— Pułkownik Bobi — powiedział do swego chlebodawcy, wchodząc do gabinetu na ostatnim piętrze ManCon House.

Manson zmarszczył brwi.

— Kto taki?

— Pułkownik Bobi. Były głównodowodzący zangaryjskiej armii. Obecnie na wygnaniu, nienawidzony przez Jeana Kimbę, który, nawiasem mówiąc, prezydenckim dekretem skazał go na karę śmierci za zdradę stanu. Chciał pan wiedzieć, gdzie teraz przebywa.

Manson usiadł za biurkiem i skinął głową.

— Rzeczywiście. A więc, gdzie przebywa?

— W Dahomeju — odparł Endean. — Diabelnie trudno było to ustalić, nie zwracając jednocześnie na siebie uwagi, ale teraz wiemy na pewno, że mieszka w stolicy Dahomeju, Cotonou. Chyba ma trochę pieniędzy, ale nie za dużo, bo w przeciwnym razie kupiłby sobie wielką rezydencję pod Genewą, podobnie jak inni wygnańcy. Wynajmuje małą willę i żyje bardzo skromnie, prawdopodobnie dlatego, żeby rząd Dahomeju nie wpadł na pomysł wyrzucenia go z kraju. Podobno Kimba domagał się jego ekstradycji, ale chyba bez większego przekonania. Bobi jest tak daleko od Zangaro, że widocznie Kimba uznał, iż pułkownik nie jest już dla niego groźny.

— A Shannon, ten najemnik? — zapytał Manson.

— Powinien wrócić dziś albo jutro. Na wszelki wypadek zarezerwowałem mu od wczoraj pokój w Lowndes. O dziewiątej rano jeszcze go nie było. Sprawdzę jutro o tej samej porze.

— Sprawdź teraz — polecił sir James.

Recepcjonista poinformował Endeana, że pan Brown przyjechał dzisiaj w ciągu dnia, ale że chwilowo nie ma go w hotelu. Manson przysłuchiwał się rozmowie z drugiego aparatu.

— Zostaw wiadomość, że zadzwonisz jeszcze raz o siódmej — powiedział cicho do Simona.

Endean zostawił wiadomość dla pana Browna, po czym obaj mężczyźni odłożyli słuchawki.

— Chcę zapoznać się z jego raportem możliwie najszybciej — powiedział Manson. — Niech go skończy do jutra do południa. Spotkasz się z nim najpierw i upewnisz się, że przywiózł odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie ci zadałem. Potem dostarczysz mi raport. Daj Shannonowi dwa dni wolnego, żebym zdążył się nad wszystkim spokojnie zastanowić.

Shannon odebrał wiadomość od Endeana kilka minut po piątej i o siódmej czekał w pokoju na telefon. Resztę wieczoru spędził na porządkowaniu notatek i materiałów przywiezionych z Zangaro. Były wśród nich odręczne szkice sporządzone na lotnisku w Paryżu podczas oczekiwania na połączenie z Londynem, wyniki dokładnych pomiarów, które przeprowadził w Clarence, maszerując od jednego wyznaczonego punktu do drugiego i starannie licząc kroki, wydany w 1959 roku Przewodnik po mieście zawierający dokładny opis „rezydencji Jego Ekscelencji Gubernatora” oraz oficjalny, zdecydowanie wyidealizowany portret Kimby — jedna z niewielu rzeczy, jakich nie brakowało w republice.

Następnego dnia przespacerował się na Knightsbridge tuż po otwarciu sklepów i kupił maszynę do pisania oraz paczkę papieru, po czym poświęcił cały ranek na pisanie raportu. Raport składał się z trzech części: krótkiej relacji z przebiegu wizyty, zawierającej także wzmiankę o zabiciu żołnierza; szczegółowego opisu stolicy, uzupełnionego rysunkami i szkicami; szczegółowej analizy sytuacji wojskowej w Zangaro. Shannon wspomniał także o tym, że nigdzie nie dostrzegł ani śladu sił powietrznych lub morskich, i że według relacji Gomeza siły te w ogóle nie istnieją, nie napisał natomiast ani słowa o przechadzce do dzielnicy slumsów zamieszkanych przez najbiedniejszą ludność z plemienia Caja oraz robotników przybyłych wraz z rodzinami z innych krajów.

Zakończył raport następującym podsumowaniem:

Polityka Kimby znacznie ułatwia zadanie tym, którzy pragnęliby go obalić. Zdecydowana większość kraju, czyli zamieszkaną przez Vindu tereny po drugiej stronie rzeki, ma znikomą wartość polityczną i ekonomiczną. Gdyby Kimba utracił kontrolę nad nadbrzeżną równiną wytwarzającą niemal cały, bardzo zresztą skromny, dochód narodowy, utraciłby cały kraj. Po stracie półwyspu, na którym jest położona stolica, Kimbie nie udało by się przetrwać wobec gniewu i nienawiści Cajów, a z kolei sam półwysep nie utrzymałby się długo, gdyby utracił stolicę. W stolicy zaś niewrażliwym punktem jest pałac prezydencki, bo tam właśnie są zgrupowane zasadnicze siły Vindu. Krótko mówiąc, prowadzona przez Kimbę polityka maksymalnej centralizacji doprowadziła do drastycznego zmniejszenia liczby celów, których opanowanie jest nieodzowne dla przejęcia kontroli nad całym państwem. Obecnie istnieje tylko jeden taki cel, to znaczy pałac, gdzie mieszka prezydent wraz ze swoją ochroną oraz gdzie mieści się główny arsenał, skarbiec i rozgłośnia radiowa.

Jeśli chodzi o pałac, to w związku z tym, że został zamieniony w silnie ufortyfikowaną twierdzę, pozostaje tylko jeden sposób zdobycia go: frontalny atak.

Główna, a zarazem jedyna brama prawdopodobnie mogłaby zostać staranowana przez dużą ciężarówkę lub buldożer prowadzony przez człowieka przygotowanego na prawie pewną śmierć. Podczas mojego pobytu nie spotkałem nikogo, kto wykazywałby odpowiednie cechy charakteru, ani nie zauważyłem odpowiedniego pojazdu. Innym rozwiązaniem byłby szaleńczy szturm ludzi wyposażonych w drabiny, po których wspięliby się na mur otaczający rezydencję, ale nie da się tego przeprowadzić z powodu braku kandydatów. Wydaje mi się, że najłatwiej byłoby zdobyć pałac po intensywnym ostrzale z moździerzy. Mur nie stanowi żadnej ochrony przed tą bronią, a wręcz przeciwnie — zamienia się w śmiertelną pułapkę dla obrońców. Do zniszczenia bramy wystarczyłby jeden strzał z bazooki. Niestety, nie widziałem ani śladu takiej broni, przypuszczam też, że byłyby poważne kłopoty ze znalezieniem kogoś, kto potrafiłby się nią posługiwać. Oczywiście wniosek,

wyływający z przedstawionych powyżej faktów, brzmia, jak następuje:

Każda grupa, która by chciała obalić Kimbę i przejąć władzę w kraju, musi zlikwidować jego straż pałacową oraz zdobyć sam pałac. Aby to osiągnąć, niezbędna byłaby pomoc specjalistów wysokiej klasy; pomoc ta, łącznie z całym koniecznym wyposażeniem, musiałaby przybyć z zagranicy. Gdyby udało się to przeprowadzić, na obalenie Kimby wystarczy godzina.

— Czy Shannon wie o tym, że w rzeczywistości nie otrzymaliśmy sygnału od żadnej grupy działającej na terenie Zangaro, która szykowałaby się do przeprowadzenia zamachu stanu? — zapytał sir James Manson następnego dnia rano, kiedy zapoznał się z raportem.

— Nie — odparł Endean. — Powiedziałem mu tylko to, co pan kazał. Wie tylko tyle, że grupa biznesmenów, którą reprezentuję, pragnie dopomóc kilku rozczarowanym oficerom w pozbyciu się dyktatora. Ale on nie jest głupcem, proszę pana. Z pewnością przekonał się na własne oczy, że nie ma tam nikogo, kto mógłby dobrze wykonać taką robotę.

— Ten Shannon coraz bardziej mi się podoba — oświadczył Manson, odkładając raport na biurko. — Jest twardy, sądząc po sposobie, w jaki rozprawił się z tym żołnierzem, a w dodatku potrafi pisać zwięźle i na temat. Pytanie tylko, czy poradziłby sobie z tą robotą?

— Powiedział mi coś bardzo istotnego — przerwał szefowi Simon. — Wspomniał mianowicie, że zangaryjska armia jest tak źle wyposażona i słaba, że „doradcy” właściwie musieliby sami wykonać całą robotę, a potem przekazać władzę nowym ludziom.

— Naprawdę? — mruknął Manson. — Naprawdę tak powiedział? A więc wynika z tego, że domyślił się, po co go tam wysłaliśmy.

Zastanowił się nad czymś głęboko, lecz Endean szybko wyrwał go z zamyślenia.

— Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

— Jakie?

— Bardzo proste: po co go tam wysłaliśmy? Do czego jest panu potrzebny raport na temat możliwości obalenia i zamordowania Kimby?

Sir James Manson przez dłuższą chwilę patrzył w milczeniu w okno, po czym powiedział:

— Wezwij tu Martina Thorpe’a.

Czekając na przybycie Thorpe’a, Manson podszedł do okna i spojrzał w dół, na ruchliwe ulice, jak zawsze, kiedy musiał się nad czymś głęboko zastanowić.

Osobiście zatrudnił Endeana i Thorpe’a, zaoferował im stanowiska i pensje zaskakująco wysokie jak na ich młody wiek. Zrobił to nie tylko ze względu na ich wybitną inteligencję, choć obaj mieli jej pod dostatkiem, ale także dlatego, że w każdym z nich wyczuł cechy bliskie własnemu sercu: brak skrupułów oraz gotowość ignorowania tak zwanych zasad moralnych wtedy, kiedy ich przestrzeganie mogłoby przeszkodzić w osiągnięciu celu. Uczynił z nich swoich osobistych halabardników, opłacanych wprawdzie przez firmę, lecz służących wyłącznie jemu. Czy jednak teraz, w tej najważniejszej chwili, może im zaufać? Kiedy Thorpe wszedł do gabinetu, Manson uznał, że musi. Wydawało mu się, że wie, w jaki sposób zapewnić sobie ich lojalność.

Poprosił obu mężczyzn, by usiedli, a następnie powiedział, odwrócony plecami do okna:

— Chcę, żebyście się dobrze zastanowili, a potem odpowiedzieli mi na następujące pytanie: jak daleko jesteście gotowi się posunąć, wiedząc, że w szwajcarskim banku na każdego z was czeka pięć milionów funtów?

Dochodzące z ulicy odgłosy ulicznego ruchu przypominały bzyczenie muchy, podkreślając ciszę panującą w gabinecie. Pierwszy przerwał ją Endean, który spojrzał szefowi prosto w oczy i powoli skinął głową.

— Bardzo daleko — powiedział cicho.

Thorpe milczał. Zdawał sobie sprawę, że oto nadeszła chwila, dla której przybył do City, podjął pracę u Mansona i przyswoił sobie encyklopedyczną wiedzę na temat działalności firmy. Wielka, trafiająca się raz na dziesięć lat okazja. Dał znak głową, że zgadza się z Simonem.

— Co trzeba zrobić? — szepnął Endean.

Manson bez słowa podszedł do ściennego sejfu, otworzył go i wyjął z niego dwa raporty, po czym wrócił za biurko, na którym leżał trzeci raport Shannona. Potem zaciął mówić i mówił bez przerwy przez godzinę. Zaczął od samego początku, cytując kilkanaście końcowych zdań doktora Chalmersa o wynikach badań próbek dostarczonych z Krysztalowej Góry.

Thorpe gwizdnął cicho i tylko mruknął:

— O Jezu...

Endean potrzebował dziesięciominutowego wykładu na temat platyny, żeby w pełni zrozumieć, o co toczy się gra.

Następnie Manson opowiedział im dokładnie o wszystkim: zesłaniu Mulrooneya do północnej Kenii, przekupieniu Chalmersa, powtórnej wizycie Bryanta w Clarence i przekazaniu sfałszowanego raportu ministrowi zasobów naturalnych. Podkreślił uzależnienie Kimby od Rosjan, opowiedział też szczegółowo o wygnaniu pułkownika Bobiego, który w sprzyjających okolicznościach mógłby stać się możliwym do zaakceptowania kandydatem do objęcia sukcesji po Kimbie.

Ze względu na Thorpe'a przeczytał także obszernie fragmenty raportu Endeana o ogólnej sytuacji w Zangaro, na koniec zaś przytoczył podsumowanie relacji Shannona.

— Jeśli cała ta heca miałaby się udać, musielibyśmy zorganizować dwie równoległe, ściśle tajne operacje — dodał. — Pierwsza z nich polegałaby na tym, że Shannon, kierowany przez Simona, zdobywa pałac prezydencki, umożliwiając Bobiemu przejęcie władzy. Drugą przeprowadziłby Martin, wykupując kontrolny pakiet akcji jakiejś martwej firmy w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował, w czyim imieniu występuje.

Endean zmarszczył brwi.

— Rozumiem cel pierwszej operacji, ale po co ta druga?

— Powiedz mu, Martin — polecił Manson.

Thorpe uśmiechnął się, ponieważ bez trudu odgadł zamiary szefa.

— Martwa firma, Simon, to taka firma, która nie ma już właściwie żadnego majątku, jest bardzo stara, już prawie przestała działać i której akcje są bardzo tanie — około szylinga za sztukę.

— W takim razie po co ją kupować? — zapytał zdezorientowany Endean.

— Załóżmy, że pan Manson chce bez nadawania sprawie rozgłosu przejąć kontrolę nad taką, mającą na rynku milion akcji firmą. Kupuje anonimowo sześćset tysięcy akcji za pośrednictwem szwajcarskiego banku, pozostając nie znanym zarówno dla zarządu firmy, jak i dla ludzi z giełdy. Wkrótce potem pułkownik... przepraszam — prezydent Bobi odstępuje tejże firmie dziesięcioletnią koncesję na prowadzenie prac wydobywczych w Górach Krysztalowych. Natychmiast udaje się tam kolejna ekipa badawcza i odkrywa Krysztalową Górę. Jak myślisz, co się stanie z akcjami firmy, kiedy wiadomość o odkryciu dotrze na giełdę? Endean wreszcie zrozumiał.

— Pójdą w górę... — szepnął z uśmiechem.

— I to bardzo — potwierdził Thorpe. — Wystarczy im trochę pomóc, żeby cena podskoczyła nawet do stu funtów za sztukę. A teraz wystarczy kilka prostych działań arytmetycznych. Sześćset tysięcy akcji po szylingu za sztukę to trzydzieści tysięcy funtów. Te same sześćset tysięcy akcji po sto funtów za sztukę to równe sześćdziesiąt milionów funtów, w dodatku na tajnym koncie w szwajcarskim banku. Czy mam rację, proszę pana?

Manson skinął poważnie głową.

— Jak najbardziej. Przy czym, gdybyś sprzedał połowę akcji w małych pakietach, nie utraciłbyś koncesji, chyba że zgłosiłaby się jakaś wielka firma i zaproponowała kupno wszystkich akcji.

Thorpe skinął z namysłem głową.

— Tak, to byłby dobry interes. Ale czyją ofertę zgodziłby się pan przyjąć?

— Swoją własną — odparł Manson. Thorpe rozdziawił usta.

— Swoją?... — wykrztusił z trudem.

— Jediną propozycją możliwą do zaakceptowania byłaby propozycja ManCon. W ten sposób koncesja pozostałaby w brytyjskich rękach, a ManCon znacznie powiększyłaby swój majątek.

— Ale pan musiałby zapłacić sam sobie sześćdziesiąt milionów funtów! — zaprotestował Endean.

— Wcale nie — odparł cicho Thorpe. — Tę sumę zapłaciliby panu Mansonowi udziałowcy ManCon, w dodatku nic o tym nie wiedząc.

— Jak nazywa się taka operacja? — zapytał Endean. — Chodzi mi o terminologię ekonomiczną, ma się rozumieć — dodał pośpiesznie.

— Zdaje się, że na giełdzie mają na to jakieś określenie — odparł wymijająco Thorpe.

Sir James Manson podał mężczyznom whisky, po czym wziął do ręki swoją szklaneczkę.

— Wchodzicie w to, panowie? — zapytał cicho. Jego podwładni spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

— W takim razie, za Kryształową Górę.

Spełnili toast.

— Zameldujcie się jutro u mnie punktualnie o dziewiątej rano — polecił im Manson.

Przy drzwiach prowadzących na wewnętrzne schody Thorpe zatrzymał się i odwrócił.

— Proszę pana, chyba zdaje pan sobie sprawę, że to cholernie niebezpieczna historia. Gdyby ktoś się o tym dowiedział...

Sir James stał na tle chylącego się ku zachodowi słońca w lekkim rozkroku, z dłońmi opartymi na biodrach.

— Kradzież pieniędzy z banku albo uzbrojonego konwoju to nic nadzwyczajnego — powiedział.

— Wydaje mi się, że dopiero kradzież całego państwa to robota w wielkim stylu!

8

— Krótko mówiąc, chce mi pan powiedzieć, że w zangaryjskiej armii nie istnieje żadna grupa zainteresowana obaleniem prezydenta Kimby?

Shannon i Endean siedzieli przy kawie w hotelowym pokoju Shannona. Zgodnie z umową Simon zadzwonił o dziewiątej i powiedział, żeby Shannon czekał na jeszcze jeden telefon. Zadzwonił do niego powtórnie po krótkiej rozmowie z sir Jamesem Mansonem i umówili się na spotkanie o jedenastej.

Teraz skinął głową.

— Zgadza się. Ale, szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to miało dla pana większe znaczenie. Przecież sam pan powiedział, że siła bojowa tamtejszej armii jest tak niska, iż ciężar zadania spocząłby na barkach doradców.

— To ma cholerne znaczenie — odparł Shannon. — Zdobycie pałacu to jedno, natomiast utrzymanie go to zupełnie co innego. Zniszczenie pałacu i usunięcie Kimby utworzy pustkę na szczycie drabiny władzy. Musi znaleźć się ktoś, kto ją natychmiast wypełni. Najemnicy powinni zniknąć jeszcze przed nadejściem dnia. Znajdzie pan kogoś takiego?

Endean ponownie skinął głową. Nie spodziewał się, że najemnik okaże się człowiekiem obdarzonym instynktem politycznym.

— Mamy na widoku pewnego człowieka — powiedział ostrożnie.

— Jest na miejscu czy poza granicami kraju?

— Poza granicami.

— W takim razie musiałby zostać przetransportowany do pałacu i jeszcze przed południem następnego dnia ogłosić przez radio, że osobiście pokierował zamachem stanu i przejął całą władzę w państwie.

— Myślę, że dałoby się to zorganizować.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

— Jaka? — zapytał Endean.

— Muszą znaleźć się jakieś miejscowe oddziały lojalne wobec nowej władzy i już o świcie obsadzić teren pałacu. W przeciwnym razie znajdziemy się w kropce: garstka białych najemników, którzy ze względów politycznych nie mogą się nikomu pokazać na oczy, pozbawionych nawet możliwości odwrotu w razie kontrataku. Czy ten wasz człowiek ma jakichś zwolenników, których można by przywieźć na miejsce razem z nim? A może udałoby mu się zmontować oddział już na miejscu, w stolicy?

— Pozwoli pan, że tymi sprawami zajmiemy się sami — odparł sucho Endean. — Od pana wymagamy jedynie przygotowania planu ataku i przeprowadzenia całej operacji.

— To na pewno mogę zrobić — odparł Shannon bez wahania. — A co z przygotowaniem, rekrutacją ludzi, doborem uzbrojenia i amunicji?

— Wszystko to wchodzi w zakres pańskich obowiązków. Proszę zacząć od samego początku, a skończyć na zdobyciu pałacu i zlikwidowaniu Kimby.

— Kimba musi dostać w czapę?

— Oczywiście. Na szczęście już dawno pozbył się wszystkich ewentualnych rywali. Jest więc jedynym człowiekiem, który mógłby zorganizować kontratak. Wraz z nim takie niebezpieczeństwo przestanie istnieć.

— Rozumiem. Zginie razem ze swoim juju.

— Z czym?

— Nieważne. I tak by pan nie zrozumiał.

— Chciałbym spróbować — powiedział Endean lodowatym tonem.

— Ten człowiek ma swoje juju — wyjaśnił Shannon. — W każdym razie tak uważa tamtejsza ludność. Juju to coś w rodzaju zabezpieczenia chroniącego przed nieprzyjaciółmi i dającego nadludzkie możliwości. W Kongu członkowie plemienia Simba też wierzyli, że ich przywódca Pierre Mulele ma juju. Twierdził, że potrafi przekazać je swoim zwolennikom i uczynić ich nieśmiertelnymi. Uwierzyli mu. Byli pewni, że nie trafi ich żadna kula, więc szli na nas całymi hordami, nafaszerowani jakimiś prochami i pijani jak baki. Padali jeden za drugim, ale zaraz zjawiali się następni. Tak samo wygląda sprawa z Kimbą. Dopóki żyje, wszyscy wierzą w jego nieśmiertelność, ale kiedy zobaczą jego ciało, uznają za przywódcę tego, kto go zabił, bo widocznie miał silniejsze juju.

Endean spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Czy to możliwe, żeby byli aż tak zacofani?

— Wcale nie są zacofani. My też wierzymy w święte relikwie, błogosławieństwa i boską opiekę, tyle tylko, że nazywamy to religią.

— Wszystko jedno! — parsknął Endean. — Jeśli jest tak jak pan mówi, to tym bardziej nie możemy sobie pozwolić na pozostawienie Kimby przy życiu.

— To znaczy, że w chwili ataku musi przebywać w pałacu. Jeśli akurat gdzieś wyjedzie, sprawa

się rypnie. Dopóki Kimba żyje, nikt nie poprze naszego człowieka.

— Podobno prawie nie wychyla nosa z pałacu.

— Owszem, ale my musimy mieć całkowitą pewność. Jest jeden dzień, kiedy na pewno nigdzie nie wyjedzie: Święto Niepodległości. Mogę dać głowę, że noc przed świętem spędzi właśnie w pałacu.

— Kiedy to będzie?

— Za trzy i pół miesiąca.

— Czy zdążylibyśmy przygotować akcję na czas?

— Wolałbym mieć kilka tygodni więcej, ale przy odrobinie szczęścia powinno się udać.

— Pański projekt nie został jeszcze zaakceptowany — zwrócił uwagę Endean.

— Rzeczywiście, ale jeśli chcecie posadzić na prezydenckim fotelu innego człowieka, to jedynym sposobem osiągnięcia celu jest niespodziewany atak z zewnątrz. Czy chce pan, żebym przygotował szczegółowy plan, łącznie z kosztorysem i harmonogramem?

— Tak. Szczególnie ważne są koszty. Moi... współpracownicy chcą wiedzieć, jakie będą musieli ponieść wydatki.

— W porządku — odparł Shannon. — Będzie was to kosztowało pięćset funtów.

— Zdaje się, że już otrzymał pan zapłatę — zauważył chłodno Simon.

— Zapłaciliście mi za wyjazd do Zangaro i raport o sytuacji wojskowej w tym kraju. Teraz mam przygotować zupełnie nowy dokument.

— Pięćset funtów to spora cena za kilka kartek papieru.

— Bzdury. Przecież pan doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że każdy ekspert, którego prosi pan o radę, żąda wynagrodzenia za swoje usługi. Ja jestem ekspertem od spraw wojny. Płaci mi pan za moją wiedzę i doświadczenie. Wiem, gdzie znaleźć najlepszych ludzi, gdzie kupić najlepsze wyposażenie, w jaki sposób dostarczyć je na miejsce, i tak dalej. Stawka za opracowanie wynosi pięćset funtów, a zapewniam pana, że gdyby chciał pan zdobyć te informacje na własną rękę, zajęłoby to panu co najmniej dwanaście miesięcy i kosztowało sto razy drożej, a i tak niczego by się pan nie dowiedział, bo nie wie pan, do kogo się zwrócić.

Endean podniósł się z fotela.

— W porządku. Posłaniec dostarczy panu pieniądze dziś po południu. Jutro jest piątek. Moi współpracownicy chcieliby mieć cały weekend na zapoznanie się z pańskim planem. Proszę przygotować go na jutrzejsze popołudnie. Przyjadę o trzeciej.

Wyszedł z pokoju, a Shannon podniósł filiżankę w kpiącym toaście.

— Do zobaczenia, panie Walterze Harris, alias Simonie Endean — powiedział cicho.

Jeszcze raz podziękował niebiosom za to, że postawiły na jego drodze przyjaznego i zarazem gadatliwego Gomeza. Podczas jednej z nocnych rozmów Gomez wspomniał o przebywającym na wygnaniu pułkowniku Bobim. Powiedział, że bez poparcia Kimby Bobi jest niczym, gdyż Cajowie znienawidzili go za okrucieństwa, których dopuszczała się na ich terenach dowodzona przez niego armia, a Vindu też nie wykonałoby jego rozkazów. Shannon miał więc do rozstrzygnięcia poważny problem: skąd wziąć oddział czarnych żołnierzy, którzy następnego dnia po zamachu przejmą kontrolę nad pałacem i stolicą.

Tuż przed trzecią po południu do recepcji hotelu Lowndes dostarczono brązową kopertę dla pana Shannona zawierającą pięćdziesiąt dziesięciofuntowych banknotów. Shannon przeliczył pieniądze, wepchnął je do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym zabrał się do pracy. Spędził przy niej resztę popołudnia i większą część nocy.

Pracował za biurkiem zawalonym własnymi szkicami oraz planami miasta, portu i ekskluzywnej

dzielnicy mieszkalnej, w której znajdował się pałac prezydencki i były skoncentrowane główne siły przeciwnika. Klasyczne rozwiązanie polegałoby na wysadzeniu desantu u podstawy półwyspu i zajęciu jedynej drogi łączącej Clarence z resztą kraju. Metoda ta pozwalała na odcięcie stolicy od posiłków, ale jednocześnie sprawiała do minimum działanie elementu zaskoczenia. Shannon znał Afrykę oraz mentalność afrykańskich żołnierzy i potrafił myśleć w niekonwencjonalny sposób. Taktyka, jaką należało zastosować na Czarnym Łądzie, stanowiła niemal dokładne przeciwieństwo tej, która sprawdziłaby się w Europie.

Gdyby plany Shannona przedstawiono do oceny jakiemuś europejskiemu strategowi, z pewnością uznano by je za bezwartościowe, bez żadnych szans na sukces. Shannon jednak liczył na to, że sir James Manson nigdy nie służył w brytyjskiej armii — w Who is Who nie było żadnej wzmianki na ten temat — i że przyjmie proponowane przez niego rozwiązanie. On sam wiedział na pewno, iż nikt nie wymyśliłby nic lepszego.

Konstruując plan oparł się na trzech prawdach o wojnie w Afryce, a poznał je na własnej skórze. Po pierwsze, biały żołnierz nawet na obcym terenie będzie walczył w nocy równie dobrze jak w dzień, pod warunkiem, że otrzyma dokładne informacje na temat tego, co może tam napotkać, podczas gdy żołnierz afrykańskiego zaraz po zmroku ogarnia paniczny strach przed czyhającymi na niego w ciemności niebezpieczeństwami. Po drugie, w razie ataku czarnoskórym żołnierzom potrzeba znacznie więcej czasu na otrząśnięcie się z zaskoczenia, przegrupowanie sił i przystąpienie do kontrnatarcia. Po trzecie, ogromny hałas i duża siła ognia wywołują wśród czarnych żołnierzy panikę i zmuszają ich do ucieczki, bez względu na rzeczywistą liczebność nieprzyjaciela.

Plan Shannona polegał więc na nocnym ataku z zaskoczenia, któremu towarzyszyłby ogłuszający hałas i silny, skoncentrowany ostrzał.

Pracował powoli i metodycznie, pisząc na maszynie dwoma palcami. O drugiej w nocy człowiek zajmujący sąsiedni pokój stracił wreszcie cierpliwość i zaczął walić w ścianę. Pięć minut później Shannon ukończył dzieło, po czym zaczął szykować się do snu. Stukanie maszyny do pisania nie było jedynym dźwiękiem, jaki niepokoił jego niefortunnego sąsiada; najemnik przez cały czas pogwizdywał smutną melodię, a gdyby człowiek z pokoju obok trochę bardziej znał się na muzyce, bez trudu rozpoznałby „Hiszpański Harlem”.

Martin Thorpe również późno zasnął tej nocy. Wiedział, że czeka go bardzo długi weekend — dwa i pół dnia wypełnione ślęczeniem nad dokumentami zawierającymi podstawowe dane na temat każdej z czterech i pół tysiąca firm zarejestrowanych w Londynie.

W stolicy Wielkiej Brytanii znajdują się dwie agencje, które dostarczają na życzenie klientów wszelkich informacji o przedsiębiorstwach działających na terenie kraju. Jedna nazywa się Moodies, druga Exchange Telegraph, w skrócie Extel. W swoim biurze w Man-Con House Thorpe dysponował zestawem danych dostarczonych przez Extel, gdyż Manson Consolidated korzystała z usług tej właśnie agencji, ale ponieważ tym razem chodziło o bardzo specyficzne poszukiwania, zamówił także najświeższy serwis Moodies, trochę dlatego, że jego zdaniem Moodies mieli lepszy przegląd małych firm zarejestrowanych w Wielkiej Brytanii, a trochę dla zachowania większej dyskrecji.

Po czwartkowej rozmowie z sir Jamesem Mansonem Martin skierował się prosto do pewnej firmy prawniczej, która w jego imieniu złożyła stosowne zamówienie. Thorpe zapłacił 260 funtów za samą kartotekę z informacjami i 50 funtów za trzy szafki z szufladami, w których ją umieszczono. Zapłacił prawnikowi za dyskrecję i wynajął ludzi z małej firmy przewozowej, żeby zgłosili się po ten bagaż do Moodies w piątek po południu, kiedy informacje będą już gotowe.

Teraz, leżąc w łóżku w swoim eleganckim wolno stojącym domu w Hampstead Garden, planował własną kampanię — nie tak szczegółowo jak Shannon, gdyż na razie brakowało mu konkretnych

danych, ale ogólnie, myśląc o udziałowcach i akcjach w taki sam sposób, w jaki najemnik myślał o pistoletach maszynowych i moździerzach. Nigdy nie spotkał Shannona, ale gdyby ich drogi miały się kiedykolwiek skrzyżować, z pewnością doskonale by się rozumieli.

W piątek o trzeciej po południu Shannon wręczył Endeanowi plan operacji: czternaście stron, w tym cztery strony rysunków i dwie z listą wyposażenia. Najemnik wprowadził ostatnie korekty tuż po śniadaniu i włożył cienki plik kartek do plastikowej brązowej teczki. Miał wielką ochotę napisać u góry pierwszej strony „Wyłącznie do wiadomości sir Jamesa Mansona”, ale oparł się pokusie. Szkoda byłoby tracić coś, co zapowiadało się na bardzo korzystny kontrakt — naturalnie pod warunkiem, że górniczy potentat zaproponuje mu wykonanie zadania.

W związku z tym nadal zwracał się do Endeana „panie Harris” i zamiast „pański szef mówił „pańscy współpracownicy”. Endean wziął od niego teczkę, zasugerował, żeby Shannon spędził weekend w Londynie i od północy w niedzielę czekał na telefon.

Pozostałą część popołudnia Shannon spędził na zakupach, ale głowę miał zaprzątniętą wyczytanymi w Who is Who informacjami o sir Jamesie Mansonie, wielkim potentacie finansowym i milionerze, który zawdzięczał bogactwo wyłącznie sobie.

Bardzo chciał dowiedzieć się o nim czegoś więcej — trochę z czystej ciekawości, a trochę dlatego, że intuicja podpowiadała mu, iż kiedyś może mu to się przydać. Bądź co bądź nie co dzień spotyka się człowieka, który wynajmuje najemnika, by w jego imieniu wywołał i poprowadził małą wojnę.

Najbardziej utkwiała mu w pamięci wzmianka o córce Mansona; dziewczyna powinna mieć teraz około dwudziestu lat. Późnym popołudniem Shannon wszedł do budki telefonicznej przy Jermyn Street i zadzwonił do prywatnej agencji detektywistycznej, której pracownik śledził Endeana i później zidentyfikował go jako asystenta Mansona. Właściciel agencji rozmawiał z nim bardzo uprzejmie; pan Brown płacił szybko i gotówką, a takich klientów należy szanować. Co prawda nigdy nie pojawił się osobiście — ale cóż, to już jego sprawa.

— Czy ma pan dostęp do jakiejś biblioteki wycinków prasowych? — zapytał Shannon.

— Mógłbym mieć — odparł właściciel agencji.

— Potrzebuję kilku informacji o pewnej młodej damie, której nazwisko z pewnością pojawiło się nieraz w dziale wiadomości towarzyskich którejs z londyńskich gazet. Nie musi być tego wiele — wystarczy, że dowiem się, co robi i gdzie mieszka — ale bardzo zależy mi na czasie.

— Mogę sprawdzić przez telefon, czy takie wzmianki istnieją — odparł po krótkim namyśle detektyw. — Jak ona się nazywa?

— Julia Manson, córka sir Jamesa Mansona.

Właściciel agencji ponownie się zastanowił. Doskonale pamiętał, że poprzednie zlecenie tego klienta dotyczyło człowieka, który okazał się bliskim współpracownikiem sir Jamesa Mansona. Wiedział także, że zdobycie informacji, których żądał pan Brown, zajmie mu nie więcej niż godzinę.

Uzgodniono wysokość opłaty — nie była zbyt wygórowana — a Shannon zobowiązał się, że prześle ją gotówką w ciągu godziny. Właściciel agencji zgodził się na to i poprosił, by klient zechciał zadzwonić do niego ponownie tuż przed piątą.

Shannon zadzwonił punktualnie o piątej, jak tylko uporał się z zakupami. W ciągu kilku sekund uzyskał potrzebną informację. Pograżony w myślach wrócił do hotelu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer pisarza, który polecił go „panu Harrisowi”.

— Cześć — rzucił krótko. — Tu Shannon.

— Jak się masz, Cat? — odparł zaskoczony pisarz. — Gdzie się podziewałeś?

— Tu i ówdzie — odparł Shannon. — Chciałem ci tylko podziękować, że dałeś moje namiary

temu Harrisowi.

— Nie ma za co. Zaproponował ci jakąś robotę?

— Tak, na kilka dni — odparł ostrożnie najemnik. — Już to załatwiłem i mam trochę forsy. Może skoczylibyśmy gdzieś na kolację?

— Czemu nie?

— Słuchaj no — zagadnął Shannon jakby nigdy nic. — Czy ty jeszcze chodzisz z tą samą dziewczyną, co wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem?

— Tak, a czemu pytasz?

— Ona chyba jest modelką, prawda?

— Owszem.

— Pewnie pomyślisz, że zwariowałem, ale cholernie chciałbym spotkać się z pewną panią, która też jest modelką, tyle że nie mam jak do niej dotrzeć. Nazywa się Julia Manson. Mógłbyś zapytać swoją dziewczynę, czy przypadkiem jej nie zna?

Pisarz namyślał się przez chwilę.

— Jasne. Zaraz zadzwonię do Carrie. Gdzie jesteś?

— W budce telefonicznej. Odezwę się za pół godziny. Shannon miał szczęście. Okazało się, że dziewczyny chodziły razem do szkoły modelek, a teraz pracowały w tej samej agencji. Nie minęła godzina, a Shannon dowiedział się, tym razem bezpośrednio od dziewczyny pisarza, że Julia Manson przyjęła zaproszenie na kolację pod warunkiem, że oprócz ich dwojga wezmą w mej udział Carrie i jej przyjaciel. Cała czwórka miała spotkać się kilka minut po ósmej w mieszkaniu Carrie przy Maida Vale.

Shannon i pisarz zjawili się na miejscu niemal jednocześnie, po czym wszyscy pojechali na kolację do małej, mieszczącej się w piwnicy restauracji Baker & Oven w Marylebone. Posiłek był dokładnie taki, jaki zamówiłby Shannon: wielkie ilości pieczystego, mnóstwo jarzyn, a do tego dwie butelki Piat de Beaujolais. Shannonowi spodobało się nie tylko jedzenie, ale i Julia.

Była niska — niewiele ponad metr pięćdziesiąt — więc dla dodania sobie wzrostu nosiła wysokie obcasy i trzymała się prosto jak świeca. Twierdziła, że ma dziewiętnaście lat, a jej okrągła buzia potrafiła być na przemian anielsko niewinna, uwodzicielska i nadzwyczaj seksowna.

Dziewczyna była rozpieszczona i przyzwyczajona do tego, że dostaje wszystko, na co ma ochotę, ale jednocześnie ładna i zabawna, a Shannon nigdy nie miał wobec kobiet większych wymagań. Miała ciemnobrązowe, spływające swobodnie do pasa włosy i zgrabną figurę. Wydawała się bardzo zainteresowana poznanym w dość niezwykły sposób mężczyzną.

Shannon poprosił pisarza, żeby zachował w tajemnicy jego profesję, ale Carrie oczywiście wygadała, że jest najemnikiem. Mimo to rozmowa szczęśliwie zбочyła na inny temat. Shannon jak zwykle mówił najmniej ze wszystkich, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż obie dziewczyny przez cały czas gadały jak najęte.

Po kolacji, kiedy odetchnęli chłodnym nocnym powietrzem, pisarz oznajmił, że wraca samochodem z Carrie. Zatrzymał taksówkę i zapytał przyjaciela, czy odwiezie Julię do domu. Rzecz jasna, Shannon chętnie się zgodził. Kiedy wsiadał do taksówki, pisarz mrugnął porozumiewawczo.

— Zdaje się, że masz spore szansę. Shannon bąknął coś pod nosem.

Julia zaprosiła go do siebie na kawę, więc zapłacił taksówkarzowi i wszedł za nią do komfortowego mieszkania w Mayfair. Dopiero kiedy usiedli na kanapie, popijając kawę, dziewczyna nawiązała do tego, co Carrie powiedziała o jego zawodzie.

Shannon wcisnął się w kąt obszernej kanapy, Julia usiadła na jej krawędzi twarzą do niego.

— Zabijałeś ludzi? — zapytała.

— Tak.

— W bitwie?

— Czasem. Najczęściej.

— Ilu?

— Nie wiem. Nie liczyłem.

Zastanowiła się nad tą informacją, jakby się nią delectując.

— Pierwszy raz widzę kogoś, kto zabijał innych ludzi — powiedziała wreszcie.

— Skąd wiesz? Każdy, kto był na wojnie, prawdopodobnie musiał kogoś zabić.

— Masz jakieś blizny?

Było to kolejne standardowe pytanie. Shannon nosił na plecach i piersi sporo śladów po karabinowych kulach, odłamkach moździerzowych pocisków i odpryskach granatów.

— Trochę.

— Pokaż mi je — poprosiła.

— Nie. Podniosła się.

— Pokaż. Udowodnij mi, że mówisz prawdę. Uśmiechnął się do niej.

— Zgoda, jeśli ty pokażesz mi swoje — odparł żartobliwie, jak dziecko, które się przekomarza.

— Ja nie mam blizn — obruszyła się.

— Udowodnij, że mówisz prawdę.

Odwrócił się, żeby odstawić pustą filiżankę na stolik. Usłyszał za sobą szelest materiału, a kiedy ponownie spojrzął na dziewczynę, o mało nie zakrztusił się ostatnim łykiem kawy. W ciągu niespełna sekundy Julia rozpięła suwak sukienki i pozwoliła jej opaść na podłogę. Teraz miała na sobie jedynie cienki złoty łańcuszek opasujący ją w talii.

— Widzisz? — szepnęła. — Nigdzie ani śladu.

Miała rację. Jej drobne ciało nastolatki było nieskazitelnie białe — poczynając od stóp, a kończąc na grzywie ciemnych włosów sięgających aż do złotego łańcuszka.

Shannon z trudem przełknął ślinę.

— Myślałem, że jesteś słodką córeczką tatusia — powiedział. Zachichotała.

— Wszyscy tak myślą, a szczególnie tatuś... Teraz twoja kolej.

W tym samym czasie sir James Manson siedział w bibliotece swojej wiejskiej rezydencji, wśród wzgórz hrabstwa Gloucestershire niedaleko Notgrove. Raport Shannona miał na kolanach a szklaneczkę brandy w zasięgu ręki. Zbliżała się północ — lady Manson już dawno udała się na spoczynek. Sir James oparł się pokusie, by już w samochodzie zajrzeć do dostarczonych przez Endeana materiałów. Postanowił zająć się nimi dopiero późnym wieczorem. O tej porze znacznie łatwiej było mu się skoncentrować, a akurat w tym przypadku zależało mu na jak największej koncentracji.

Otworzył teczkę, odłożył na bok mapy i szkice, po czym przystąpił do lektury:

Informacje wstępne. Plan ten został przygotowany na podstawie raportu pana Waltera Harrisa, moich osobistych obserwacji z Zangaro i moich sprawozdań z tej wizyty, oraz informacji przekazanych mi przez pana Harrisa, a dotyczących celów, które pragnie osiągnąć on i jego wspólnicy. Nie mogłem uwzględnić znanych mu faktów, o których z takich czy innych powodów nie zechciał mnie powiadomić. Zaliczam do nich przede wszystkim przewidywany sposób zdyskontowania sukcesu militarnego i zakładaną metodę wprowadzenia nowych rządów. Znając te fakty mógłbym uwzględnić je w przygotowywanych przeze mnie planach, ale z oczywistych powodów nie mogłem tego zrobić.

Cel planowanych działań. Przygotowanie i przeprowadzenie ataku na pałac prezydencki w

Clarence, zdobycie pałacu, likwidacja prezydenta oraz jego ochrony osobistej, przejęcie kontroli nad arsenałem republiki, skarbcem narodowym i radiostacją, a także stworzenie warunków, w których pozostające poza stolicą niedobitki nie będą w stanie zorganizować żadnego kontrnatarcia.

Sposób przeprowadzenia ataku. Po zapoznaniu się z sytuacją panującą w Clarence nie mam najmniejszych wątpliwości, że atak musi zostać przeprowadzony od strony morza, bezpośrednio na pałac. Przeanalizowałem ewentualny plan powietrznego desantu na lotnisko, ale odrzuciłem go jako mało praktyczny. Sprzęt wojskowy ładowany na pokład samolotu wzbudziłby z pewnością zainteresowanie i uzasadnione podejrzenia personelu portu lotniczego, z którego miałyby nastąpić start, a to mogłoby doprowadzić do fiaska całej operacji lub ujawnienia jej prawdziwej natury.

Atak od strony lądu nie ma żadnych zalet, natomiast sporo wad. Gdybyśmy chcieli zjawić się silnie uzbrojoną kolumną na północnej granicy państwa, musielibyśmy najpierw przemycić cały sprzęt na teren sąsiedniej republiki, dysponującej sprawną policją i ogólnokrajowym systemem bezpieczeństwa. Ryzyko przedwczesnego odkrycia byłoby zdecydowanie zbyt wielkie. Nie wydaje mi się też, żeby dokonanie desantu w jakimś miejscu zangaryjskiego wybrzeża i przeprowadzenie marszu na stolicę było dużo bardziej realistyczne — przede wszystkim dlatego, że niemal całe wybrzeże jest porośnięte lasami namorzynowymi, uniemożliwiającymi dostęp do lądu od strony oceanu, a niewielkie splechotki odkrytej plaży byłyby bardzo trudne do odnalezienia w ciemności. Po drugie, nie mając środków transportu, siły ekspedycyjne musiałyby iść długo, co pozwoliłoby armii rządowej na przygotowanie obrony. Po trzecie, za dnia tubylcy przekonaliby się naocznie o małej liczbie przeciwnika, co mogłoby wzmocnić ich morale i zachęcić do stawienia bardziej zdecydowanego oporu.

Brałem także pod uwagę możliwość potajemnego przewiezienia ludzi i sprzętu na teren republiki, gdzie zaczękaliby w ukryciu na moment ataku. Jednak i ten pomysł nie ma szans, częściowo z powodu znacznej wagi niezbędnego sprzętu, a częściowo dlatego, że spora grupa nieznanymi białych ludzi, w dodatku obciążona rzucającym się w oczy wyposażeniem, na pewno zostałaby łatwo zauważona. Poza tym taka operacja wymagałaby współdziałania miejscowej partyzantki, której przecież tam nie ma.

W związku z tym stwierdzam z całą stanowczością, że jedyny plan mający szansę powodzenia to atak przeprowadzony z lekkich łodzi, które zostaną spuszczone na wodę z większej jednostki w pobliżu wybrzeża i wysadzą desant w porcie Clarence. Bezpośrednio po tym należy przeprowadzić szturm na pałac.

Wyposażenie i zalecane warunki. Oddział uderzeniowy musi składać się z co najmniej dwunastu ludzi uzbrojonych w moździerze, bazooki i granaty, jak również pistolety maszynowe do walki bezpośredniej. Powinni przypląć od strony otwartego morza między drugą a trzecią w nocy, kiedy wszyscy będą pogrążeni we śnie, ale długo przed świtem, żeby o wschodzie słońca nikt nie dostrzegł ani śladu białego najemnika.

Sześć kolejnych stron zajmował dokładny opis akcji oraz techniczne szczegóły dotyczące broni i amunicji, radiostacji, łodzi desantowych, przyczepnych silników, flar, mundurów, sposobów maskowania, żywności i zapasów, a także metod zdobycia pałacu i rozproszenia resztek armii.

W sprawie statku, którym najemnicy mieli dopłynąć do brzegów Zangaro, Shannon miał do powiedzenia co następuje:

Oprócz zakupu broni najtrudniejszym zadaniem może okazać się zdobycie statku. Po namyśle odradzam jego wynajęcie, bo pociągałoby to za sobą obecność niezbyt godnej zaufania załogi i kapitana, który w każdej chwili może zmienić zdanie. Poza tym istnieje niebezpieczeństwo, że jednostka, której dowódca podjąłby się takiego zadania, jest znana władzom wszystkich krajów

leżących nad basenem Morza Śródziemnego. Znacznie chyba rozsądniejsze byłoby poświęcenie większej sumy pieniędzy i zakupienie małego frachtowca, a następnie skompletowanie załogi z lojalnych ludzi, cieszących się dobrą opinią. Taki statek można by później łatwo sprzedać, co pozwoliłoby na częściowy zwrot kosztów.

Shannon podkreślił także konieczność zachowania absolutnej dyskrecji:

Ponieważ nie znam organizatorów przedsięwzięcia — z wyjątkiem pana Harrisa — wydaje mi się słuszne, żeby w wypadku, gdyby mój plan został zaakceptowany, pan Harris pozostał jedynym łącznikiem między mną a nimi. On właśnie powinien przekazywać mi potrzebne pieniądze, ja zaś będę rozliczał się za jego pośrednictwem. Będę miał czterech pomocników, ale żaden nie będzie znał celu ani miejsca akcji aż do chwili, kiedy znajdziemy się na pełnym morzu. Nawet mapy nawigacyjne powinny zostać dostarczone kapitanowi dopiero po wypłynięciu z portu, w drodze do celu. Ze względu na bezpieczeństwo wszystkie zakupy — z wyjątkiem broni — będą dokonane całkowicie legalnie. Poszczególne etapy przygotowań muszą dzielić bariery, na których zatrzyma się każde, nawet najbardziej drobiazgowe śledztwo, a żeby jeszcze bardziej poplątać ślady, sprzęt będziemy kupować w różnych krajach za pośrednictwem różnych osób. W całości przedsięwzięcia będą zorientowani jedynie pan Harris, jego wspólnicy i ja. Nawet ja w razie wpadki nie będę mógł zidentyfikować zleceniodawców, nie wyłączając pana Harrisa.

Podczas lektury sir James Manson od czasu do czasu kiwał z zadowoleniem głową i chrząkał aprobująco. O pierwszej w nocy dolał sobie brandy, po czym zajął się załączonymi na oddzielnych kartkach kosztorysem i harmonogramem. Oto, co zawierały:

Rekonesans w Angaro zapłacono

Dwa raporty 2500 ?

Wynagrodzenie dowódcy 10000 ?

Wynagrodzenie pozostałych uczestników operacji 10000 ?

Całkowite koszty podróży, zakwaterowania, wyżywienia, itp.,
dowódcy oraz pozostałych uczestników operacji 15000 ?

Zakup uzbrojenia 25000 ?

Zakup statku 30000 ?

Zakup wyposażenia pomocniczego 5000 ?

Rezerwa 2500 ?

Razem 100000 ?

Druga kartka zawierała przewidywany harmonogram.

Przygotowania: Rekrutacja uczestników operacji.

Otwarcie konta bankowego. Założenie fikcyjnej firmy z siedzibą poza granicami Wielkiej Brytanii w celu

dokonywania za jej pośrednictwem koniecznych zakupów. 20 dni

Wyposażanie: Skompletowanie ekwipunku. 40 dni

Zgrupowanie: Przetransportowanie sprzętu i uczestników operacji na statek. Wypłynięcie z portu. 20 dni

Podróż: Pokonanie drogą morską odległości między portem załadunku a miejscem w pobliżu portu Clarence. 20 dni

Atak powinien nastąpić przed świtem w Dniu Niepodległości. Gdyby przygotowania ruszyły w najbliższą środę, byłby to setny dzień od chwili ich rozpoczęcia.

Sir James Manson przeczytał powtórnie cały raport, po czym zapalił cygaro i długo wpatrywał się w bogato zdobiony drewniany sufit i skórzane grzbiety książek na ściennych regałach. Wreszcie

schował plastikową teczkę do sejfu i poszedł na górę do sypialni.

Leżąc na wznak w pogrążonej w ciemności sypialni Shannon przesunął dłonią po skórze dziewczyny. Miała drobne, ale bardzo sprawne erotycznie ciało, o czym zdążył się przekonać podczas minionej godziny. Nie wiedział, czego uczyła się w ciągu dwóch lat po skończeniu szkoły, lecz na pewno nie miało to nic wspólnego ze stenografią ani stenotypią. Apetytowi i różnorodności upodobań seksualnych dziewczyny dorównywały jedynie jej energia i niezmożona gadatliwość.

Kiedy ją pogłaskał, zadrżała i ponownie zaczęła go pieścić.

— Zabawne — mruknął. — To chyba świadczy o czasach, w których żyjemy. Pieprzymy się już pół nocy, a ja jeszcze nic o tobie nie wiem.

Przerwała na chwilę.

— A co chciałbyś wiedzieć? — zapytała, po czym znowu zabrała się do dzieła.

— Na przykład gdzie rzeczywiście mieszkasz. Przypuszczam, że nie tutaj.

— W Gloucestershire.

— Co robi twój stary?

Nie odpowiedziała. Zacisnął rękę na jej włosach i delikatnie przyciągnął do siebie.

— Ojej, to boli. Pracuje w City. Dlaczego pytasz?

— Jest brokerem?

— Nie. Prowadzi firmę, która ma coś wspólnego z górnictwem. On ma swoją specjalność, a ja swoją. Popatrz.

Pół godziny później zsunęła się z niego i zapytała:

— Podobało ci się, kochanie? Shannon roześmiał się.

— Jasne — odparł. — I to bardzo. A teraz opowiedz mi o starym.

— O tacie? Och, to nudny biznesmen. Całymi dniami przesiaduje w swoim dusznym gabinecie w City.

— Niektórzy biznesmeni bardzo mnie interesują. Jaki on jest?

W sobotę przed południem, kiedy sir James Manson popijał kawę na słonecznym tarasie swojej wiejskiej rezydencji, zadzwonił do niego Adrian Goole. Urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych telefonował ze swojego domu w hrabstwie Kent.

— Bardzo przepraszam, że niepokoję cię podczas weekendu — powiedział na wstępie.

— Nic nie szkodzi, drogi przyjacielu — odparł całkowicie niezgodnie z prawdą Manson. — Zawsze jestem do twojej dyspozycji.

— Zadzwoniłbym wczoraj do biura, gdyby nie to, że musiałem zostać dłużej na pewnym spotkaniu. Sprawa dotyczy naszej rozmowy o wynikach badań geologicznych przeprowadzonych przez twoją firmę w pewnym afrykańskim kraju. Przypominasz sobie?

Manson domyślił się, że Goole czuje się zobligowany mówić ogólnikami, ponieważ rozmowa odbywa się po linii publicznej.

— Tak, naturalnie — odparł. — Postąpiłem zgodnie z twoją sugestią. Najważniejsze liczby zostały lekko zmienione, w związku z czym eksploatacja zasobów stała się całkowicie nieopłacalna. Zmodyfikowany raport przekazano zainteresowanym osobom i od tej pory nic o nim nie słyszałem.

To, co sir James Manson usłyszał chwilę potem, zburzyło jego weekendowy spokój.

— My natomiast słyszeliśmy — powiedział Goole. — Nic alarmującego, ale sprawa zmusza do zastanowienia. Otóż nasz ambasador w tym rejonie, choć akredytowany w trzech małych republikach — jak zapewne wiesz, mieszka zupełnie gdzie indziej — przesyła regularne sprawozdania korzystając z wielu źródeł, w tym także relacji zaprzyjaźnionych dyplomatów. Wczoraj dostarczono mi kopię fragmentu jego najświeższego sprawozdania o sytuacji ekonomicznej na tamtych obszarach.

Otóż pojawiła się pogłoska, że Sowietci otrzymali od prezydenta zgodę na ponowne przeprowadzenie badań. Naturalnie, rejon poszukiwań wcale nie musi pokrywać się z rejonem, który odwiedził wasz człowiek, ale...

Goole mówił dalej, sir James Manson zaś wpatrywał się wybałuszonymi oczami w aparat. Na jego lewej skroni pojawiła się pulsująca żyłka.

— Pomyślałem sobie, że jeśli Rosjanie przypadkiem trafią w to samo miejsce, co wasz pracownik, wyniki ich badań mogą okazać się odmienne. Co prawda chodzi tylko o niewielkie złoża cyny, niemniej jednak uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć... Halo?... Halo, jesteś tam?

Manson ocknął się i odpowiedział, z najwyższym trudem nadając głosowi normalne brzmienie:

— Tak, oczywiście. Przepraszam, zamyśliłem się. Miło z twojej strony, że zechciałeś do mnie zadzwonić. Nie przypuszczam, żeby badali te same tereny, ale rzeczywiście, lepiej o wszystkim wiedzieć.

Wymieniwszy jeszcze kilka grzecznościowych frazesów, odłożył słuchawkę, po czym, pogrążony głęboko w myślach, wyszedł na skąpany w promieniach słońca taras. Przypadek? Całkiem możliwe. Jeśli sowiecka ekipa badawcza skieruje się na tereny oddalone od Gór Kryształowych, na pewno będzie można uznać całe zdarzenie za przypadek. Jeśli jednak ruszą prosto ku Kryształowej Górze i rozpoczną wiercenia, nie przeprowadziwszy wcześniej żadnego rekonesansu, który pozwoliłby im dostrzec różnice w szacie roślinnej położonych przecież tak blisko siebie wzgórz, nie będzie mogło być mowy o żadnym przypadku, tylko o cholernym sabotażu. Aby mieć całkowitą pewność, musiałby to sprawdzić, a tym samym ujawnić swoje nie słabnące zainteresowanie sprawą, co mogłoby mieć fatalne następstwa.

Pomyślał o Chalmersie i aż zazgrzytał zębami. Wydawało mu się, że kupił jego milczenie. Czyżby uczony zdradził komuś tajemnicę? A jeśli tak, to świadomie czy nieświadomie? Kusilo go, żeby wydać Chalmersa na pastwę Endeana albo któregoś z jego przyjaciół, ale to by niczego nie zmieniło. Poza tym nie miał żadnego dowodu, że nastąpił przeciek.

Mógł zawsze zrezygnować ze swoich planów, zapomnieć o nich. Lecz nie wobec stawki, o jaką toczyła się gra. James Manson nigdy nie osiągnąłby tego, co osiągnął, gdyby miał zwyczaj cofać się w obliczu ryzyka.

Usiadł na leżaku obok dzbanka z wystygłą kawą i pogrążył się w myślach. Trzeba kontynuować rozpoczęte przygotowania, zakładając jednak, że rosyjska ekipa dotrze na tereny badane przez Mulrooneya i zwróci uwagę na osobliwy wygląd szaty roślinnej Kryształowej Góry. Należało wziąć pod uwagę nowy element: czas. Przeprowadził w myślach kilka obliczeń, za każdym razem otrzymując ten sam wynik: trzy miesiące. Jeśli Rosjanie dowiedzą się o zawartości Kryształowej Góry, na pewno natychmiast wyślą do Zangaro liczny zespół „doradców technicznych”, składający się w połowie ze zbirów z KGB.

Przygotowany przez Shannona harmonogram mówił o stu dniach, przy czym najemnik wspominał kiedyś Endeanowi, że dodatkowe dwa tygodnie znacznie zwiększyłyby szansę sprawnego przeprowadzenia operacji. To jasne, że nie ma mowy o żadnych dodatkowych dwóch tygodniach. Jeśli Rosjanie będą działać szybciej niż zazwyczaj, całkiem możliwe, że nie ma mowy nawet o stu dniach.

Wrócił do telefonu i zadzwonił do Simona Endeana. Skoro jemu zakłócono weekend, to dlaczego i Endean nie miałby wziąć się od razu do pracy?

W poniedziałek rano Endean zatelefonował do Shannona i umówił się z nim na drugą po południu w domu w St John's Wood. Wcześniej, podając się za Williama Harrisa i zapłaciwszy z góry gotówką, wynajął tam na miesiąc mieszkanie — zgodnie z tym, co polecił mu sir James Manson

podczas długiego spotkania w niedzielne popołudnie. Główną zaletą mieszkania było to, że miało telefon łączący z miastem bez pośrednictwa jakiejkolwiek centrali.

Shannon zjawił się punktualnie, ale Harris już na niego czekał. Telefon miał urządzenia umożliwiające jednoczesną rozmowę kilku osobom.

— Szef naszego konsorcjum zapoznał się z pańskim raportem — oświadczył człowiek podający się za Harrisa. — Teraz chciałby z panem osobiście porozmawiać.

Telefon zadzwonił o wpół do trzeciej. Endean włączył urządzenie i w pokoju rozległ się głos sir Jamesa Mansona. Shannon doskonale wiedział, kim jest jego rozmówca, ale nie dał po sobie niczego poznać.

— Jest pan tam, panie Shannon? — zapytał głos.

— Tak, proszę pana.

— Przeczytałem pański raport i zgadzam się zarówno z pańską oceną sytuacji, jak przedstawionymi wnioskami. Czy podjąłby się pan realizacji tego zadania, gdybym to panu zaproponował?

— Tak — odparł Shannon.

— Jest jednak kilka spraw, które wymagają wyjaśnienia. Na przykład przewidział pan dla siebie honorarium w wysokości dziesięciu tysięcy funtów...

— Tak. I bardzo wątpię, czy ktokolwiek zgodziłby się na mniejsze, a wielu na pewno zażądałoby więcej. A nawet gdyby ktoś zaproponował mniejszą sumę, próbowałby zwiększyć swoje honorarium zawiązując koszty zakupów, co byłoby prawie niemożliwe do sprawdzenia.

— W porządku — odparł głos po krótkiej przerwie. — Zgadzam się. Co dostaję za tę sumę?

— Dostaje pan moją wiedzę, doświadczenie, kontakty z dostawcami broni, przemysłnikami i najemnikami. Dostaje pan także moje milczenie w wypadku, gdyby coś poszło nie po naszej myśli, trzy miesiące cholernej harówki, ryzyko aresztowania i uwięzienia. Dostaje pan też moje życie, bo mogę je stracić podczas ataku.

Z głośnika dobiegło chrząknięcie.

— W porządku. A teraz, co się tyczy finansów: pan Harris jeszcze w tym tygodniu otworzy w jednym ze szwajcarskich banków konto, na które sukcesywnie zostanie przekazane sto tysięcy funtów. Przez najbliższe dwa miesiące będzie wypłacał panu potrzebne sumy. W tym celu musicie obmyślić jakiś sposób porozumiewania się między sobą. Nalegam także, aby otrzymywał wszystkie rachunki lub był obecny przy zawieraniu transakcji.

— Obawiam się, że to nie zawsze będzie możliwe. W czarnorynkowym handlu bronią nie istnieje coś takiego jak rachunki, a ludzie, z którymi będę załatwiał interesy, na pewno nie zgodzą się na obecność przy transakcji pana Harrisa. On nie należy do ich świata. Proponuję wykorzystać na dużą skalę czek podróżny i przelewy bankowe. Poza tym gdyby pan Harris miał podpisywać każdy czek, nawet na najdrobniejszą kwotę, musiałby jeździć za mną po całym świecie, na co ja nigdy się nie zgodzę ze względu na moje bezpieczeństwo. Gdybyśmy poszli na to, cała operacja zajęłaby nam sto lat.

Odpowiedziało mu długie milczenie.

— Co miał pan na myśli mówiąc o pańskim bezpieczeństwie? — padło pytanie.

— To, że nie znam pana Harrisa. Nie zgadzam się, aby wiedział, gdzie przebywam, bo mogłyby spotkać mnie różne przykre niespodzianki. Wy przedsięwzięliście swoje środki ostrożności, a ja muszę przedsięwziąć swoje. Zawsze podróżuję i pracuję sam, bez żadnego nadzoru.

— Jest pan bardzo ostrożnym człowiekiem, panie Shannon.

— Dlatego jeszcze żyję. Odpowiedział mu ponury rehot.

— A skąd mam mieć pewność, że mogę bezpiecznie powierzyć panu znaczne sumy pieniędzy?

— Nie ma pan żadnej pewności. Do pewnego momentu te sumy wcale nie będą takie znaczne, ale kiedy dojdzie do zakupu broni, będę musiał dysponować rzeczywiście dużymi kwotami, i to w gotówce. Może pan zrezygnować z moich usług i powierzyć zadanie panu Harrisowi albo zatrudnić innego najemnika, ale o nim też nie będzie pan nic wiedział.

— Słusznie, panie Shannon. Panie Harris?

— Tak, proszę pana?

— Oczekuję pana u mnie zaraz po zakończeniu tej rozmowy. Panie Shannon, angażuję pana. Ma pan sto dni, żeby ukraść dla mnie całe państwo. Sto dni, panie Shannon.

Część druga

STO DNI

03.Psy Wojny

1

Simon Endean i Cat Shannon przez kilka minut siedzieli bez ruchu i spoglądali na siebie w milczeniu. Pierwszy otrząsnął się najemnik.

— Skoro mamy ze sobą pracować, to na początek ustalmy jedno — powiedział. — Jeśli ktokolwiek, powtarzam, ktokolwiek dowie się o tym przedsięwzięciu, to wiadomość prędzej czy później dotrze do tajnych służb jakiegoś mocarstwa. Przypuszczalnie do CIA, brytyjskiej SIS albo francuskiej SDECE. Wtedy dokręcą nam śrubę, i to porządnie. W żaden sposób nie zdołamy ich powstrzymać przed zneutralizowaniem operacji. Dlatego najważniejsze jest zachowanie ścisłej tajemnicy.

— Nie musi mi pan tego mówić! — parsknął Endean. — Jestem w to zaangażowany znacznie bardziej niż pan.

— W porządku. Musimy zacząć od pieniędzy. Jutro z samego rana polecę do Brukseli i otworzę tam konto. Wrócę wieczorem. Proszę skontaktować się wtedy ze mną, a ja podam panu numer, nazwę banku i nazwisko. Najszybciej jak to możliwe przekaże pan tam akredytywę na co najmniej dziesięć tysięcy funtów. Te pieniądze będą potrzebne przede wszystkim na zaliczki dla ludzi.

— Gdzie pana znajdzie? — zapytał Endean.

— To jest sprawa numer dwa — odparł Shannon. — Będę potrzebował jakiejś stałej bazy, skąd mógłbym bezpiecznie kontaktować się przez telefon, wysyłać i otrzymywać listy. Może to mieszkanie? Chyba że ktoś mógłby w ten sposób trafić do pana.

Endean zastanowił się przez chwilę.

— Mieszkanie jest wynajęte na moje nazwisko i zapłacone gotówką za miesiąc z góry.

— Czy fakt, że na umowie najmu figuruje nazwisko „Harris”, ma dla pana jakieś znaczenie?

— Nie.

— W takim razie biorę je. Naturalnie sam ureguluję należność za następny miesiąc. Ma pan klucz?

— Tak, oczywiście. Przecież musiałem tu jakoś wejść.

— Ile jest kompletów kluczy?

W odpowiedzi Endean sięgnął do kieszeni i wyjął metalowe kółko z czterema kluczami. Dwa były od drzwi wejściowych do budynku, dwa od mieszkania. Shannon wyjął mu je z ręki.

— Teraz zajmijmy się sprawą łączności. Może pan tu dzwonić, kiedy pan zechce, ale to nie znaczy, że zawsze mnie pan zastanie. Akurat mogę być za granicą. Przypuszczam, że nie ma pan ochoty zostawić mi swojego numeru telefonu, więc proszę tylko podać adres poste restante gdzieś w Londynie, i sprawdzać dwa razy dziennie, czy nie ma telegramu ode mnie. Jeśli będę pana pilnie potrzebował, podam w telegramie numer telefonu, pod którym aktualnie przebywam, i czas, kiedy będzie mógł mnie pan tam zastać. Czy to jasne?

— Tak. Załatwię wszystko do jutra wieczór. Czy coś jeszcze?

— Tylko tyle, że przez cały czas trwania operacji będę się nazywał Keith Brown. Jeśli dostanie pan przesyłkę podpisaną tym nazwiskiem, będzie to znaczyło, że nadeszła ode mnie. Dzwoniąc do hotelu proszę pytać o Keitha Browna. Jeśli odpowiem „Tu Brown, słucham?”, proszę natychmiast odłożyć słuchawkę, a gdy będzie trzeba, wyjaśnić recepcjoniście, że chodziło o jakiegoś innego

Browna. To na razie wszystko. Chyba powinien pan już wracać do biura. Proszę zadzwonić tu o ósmej wieczorem, to poinformuję pana, co udało mi się załatwić.

Kilka minut później Simon Endean stał przy krawężniku St John's Wood Road i rozglądał się za taksówką.

Shannon na szczęście nie wpłacił do banku pięciuset funtów, które otrzymał od Endeana za przygotowanie planu ataku, a wydał z tej sumy zaledwie 50 funtów. Zadzwonił do BEA, zarezerwował miejsce na poranny lot do Brukseli i powrót do Londynu o czwartej po południu. Zaraz potem nadał telefonicznie cztery telegramy: do Paarl w Kraju Przylądkowym w Republice Południowej Afryki, Ostendy, Marsylii i Monachium. Wszystkie cztery miały identyczne brzmienie: „Czekam na telefon w Londynie 507-0041 o północy przez najbliższe trzy dni. Pilne. Shannon”. Uporawszy się z tym, wezwał taksówkę, kazał zawieźć się do hotelu Lowndes, zwolnił pokój, zapłacił rachunek i zniknął tak, jak się pojawił, czyli anonimowo.

Zgodnie z umową Endean zadzwonił o ósmej. Shannon poinformował go o swoich dotychczasowych poczynaniach. Ustalili, że kolejny kontakt nawiążą nazajutrz o dziesiątej wieczorem.

Shannon poświęcił kilka godzin na zapoznanie się z budynkiem, w którym mieszkał, oraz najbliższą okolicą. Okazało się, że przy St John's Wood Street mieści się kilka niewielkich restauracji. Zjadł w jednej z nich kolację i około jedenastej wrócił do mieszkania.

Przeliczył pieniądze — zostało mu ponad 400 funtów — odłożył 300 na bilet i wydatki w czasie podróży, po czym dokonał dokładnego przeglądu wszystkich swoich rzeczy. Garderoba nie zwracała na siebie uwagi, a w dodatku prawie całą kupił w ciągu minionych dziesięciu dni w Londynie. Nie miał też broni, którą musiałby ukryć. Na koniec zniszczył taśmę maszynową, której używał pisząc raporty, i zastąpił ją nową.

Choć tego wieczoru zmierzch w Londynie zapadł bardzo wcześnie, w Kraju Przylądkowym mimo dość późnej pory nadal świeciło słońce. Janni Dupree minął Seapoint i skręcił w kierunku Kapsztadu. On także miał chevroleta, co prawda starszego niż Endean, ale za to większego i bardziej rzucającego się w oczy. Kupił go z drugiej ręki za część pieniędzy, z którymi cztery tygodnie temu wrócił z Paryża. Spędziwszy cały dzień na pływaniu i łowieniu ryb z łodzi przyjaciela w Simonstown, wracał teraz do swojego domu w Paarl. Lubił wracać do domu po kolejnej robocie, ale zawsze dość szybko zaczynało mu się w nim nudzić. Tak było od dziesięciu lat, kiedy to opuścił dom po raz pierwszy.

Dzieciństwo spędził w Dolinie Paarl, bawiąc się wśród nędznych krzewów winorośli uprawianych przez ludzi takich jak jego rodzice. Wraz z Pieterem — czarnoskórym towarzyszem zabaw — uczył się podkradać i strzelać do ptaków. Białym chłopcom pozwalano bawić się z czarnymi do chwili, kiedy stawali się na tyle dorośli, aby zdać sobie sprawę z dzielącej ich różnicy.

Pieter obdarzony wielkimi brązowymi oczami, gęstwiną czarnych kędziorów i skórą koloru mahoni był o dwa lata starszy od Janniego i teoretycznie miał się nim opiekować. Obaj chłopcy byli jednak tego samego wzrostu, a silniejszy fizycznie Janni szybko objął komendę nad ich małym zespołem. W letnie dni, takie jak ten, tyle że dwadzieścia lat temu, dwaj bosonodzy chłopcy wsiadali do autobusu jadącego tam, gdzie spotykają się dwa oceany, na Przylądek Igielny, by łowić ryby.

Po ukończeniu szkoły średniej w Paarl Janni zaczął przysparzać kłopotów: był zbyt wyrośnięty, agresywny, niespokojny i często puszczał w ruch ogromne pięści, w wyniku czego dwukrotnie stawał przed sądem. Mógł przejąć od rodziców farmę i wspólnie z ojcem pielęgnować marne winnice i wytwarzać cienkie wino, ale ta perspektywa wcale mu się nie uśmiechała. Nie miał zamiaru zestarzeć się i zgarbić, próbując utrzymać siebie i rodzinę z małego spłachetka ziemi, mając do

pomocy jedynie czterech czarnych chłopców. W wieku osiemnastu lat zgłosił się na ochotnika do wojska, odbył podstawowe szkolenie w Potchefstroom, a następnie został przeniesiony do dywizji spadochronowej stacjonującej w Bloemfontein. Tam właśnie, podczas wyczerpujących ćwiczeń w buszu, znalazł to, czego szukał w życiu. Dowództwo również uznało go za świetny materiał na zawodowego oficera, z jednym małym zastrzeżeniem: zbyt chętnie ruszał do walki nie zwracając najmniejszej uwagi na to, z kim ani przeciwko komu występuje. Podczas jednej z bójek porucznik Dupree stłukł do nieprzytomności jakiegoś sierżanta i został zdegradowany do stopnia szeregowca.

Przygnębiony, opuścił bez przepustki teren koszar; odnaleziono go w barze, gdzie znokoutował dwóch żandarmów, po czym odsiedział pół roku w ciupie. Zaraz po zwolnieniu znalazł w jakiejś popołudniówce ogłoszenie, które go zainteresowało, zgłosił się pod podany adres w Durbanie, a już dwa dni później poleciał do bazy Kamina w Katandze. Został najemnikiem w wieku dwudziestu dwóch lat. Było to sześć lat temu.

Teraz, jadąc krętą drogą w kierunku Doliny Paarl, zastanawiał się, czy przypadkiem Shannon albo któryś z chłopców nie przysłał listu z zawiadomieniem o nowym kontrakcie. Zajrzał na pocztę, ale nie było dla niego żadnej przesyłki. Od strony morza nadciągały chmury, a w powietrzu wisiała burza.

Wieczorem na pewno spadnie chłodny, przyjemny deszcz. Janni spojrzął na Paarl Rock, fenomen natury, od którego wzięła nazwę zarówno dolina, jak i samo miasto. Jako chłopiec przez długie godziny przyglądał się niezwyklej skale, która podczas bezdeszczowej pogody nie wyróżniała się niczym nadzwyczajnym, za to po najmniejszym deszczu błyszczała nad rozciągającym się u jej podnóża miastem jak ogromna perła w świetle księżyca. Chociaż to miasto nigdy nie mogło zapewnić mu takiego życia, jakiego pragnął, to przecież nadal było jego domem. Za każdym razem, kiedy widział lśniąca Paarl Rock, wiedział, że jest u siebie. Ale tego wieczoru wolałby być gdzie indziej i szykować się do udziału w nowej wojnie.

Mały Marc Vlaminck oparł się o bar i opróżnił kolejny kufel spienionego flamandzkiego piwa. Ulica w zakazanej części Ostendy, przy której stała knajpa prowadzona przez jego dziewczynę, była zupełnie pusta. Od strony morza wiał chłodny, przejmujący wiatr, więc dzielnica świeciła pustkami. Marc już zdążył zanudzić się na śmierć.

Przez pierwszy miesiąc po powrocie z tropików cieszył się z odmiany. Dobrze było znowu móc wziąć gorącą kąpiel i pogadać z przyjaciółmi. Zainteresowała się nim nawet lokalna prasa, ale kazał dziennikarzom spływać. Nie chciał zrażać do siebie władz, a wiedział, że zostawią go w spokoju pod warunkiem, że nie zrobi ani nie powie nic, co mogłoby wywołać protest afrykańskich ambasadorów akredytowanych w Brukseli. Po kilku tygodniach jednak miał dość bezczynności. Na szczęście parę dni temu pojawiło się drobne urozmaicenie w postaci podchmielonego marynarza, który próbował macać Annę po tyłku, czyli po rejonach, które Marc uznał za podlegające wyłącznie swojej jurysdykcji. Naturalnie marynarz dostał w dziób. Wspomnienie o tym wydarzeniu zwróciło uwagę Marca na dobiegające z góry odgłosy; Anna krzątała się po małym mieszkanku nad barem. W głowie najemnika zaświtała niejasna, ale bardzo atrakcyjna myśl. Marc osuszył do końca kufel, dźwignął się ze stołka i chwiejnym krokiem skierował ku schodom.

— Jeśli ktoś przyjdzie, to niech sam się obsłuży! — zawołał.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i przyniesiono telegram.

W trochę chłodny, ale pogodny wiosenny wieczór powierzchnia wody w Starym Porcie w Marsylii była gładka jak stół. Przez środek basenu przepłynął samotny trawler, zakłócając zwierciadlane odbicie portowych barów i kafejek. Wywołane przez niego fale chlupocząc gasły jedna za drugą pod kadłubami przycumowanych łodzi. Na brzegu stało mnóstwo samochodów, z

tysiąca okien wydobywał się zapach smażonych ryb, starzy mężczyźni popijali anyżówkę, a sprzedawcy heroiny kryli się w bocznych uliczkach ze swoim lukratywnym procederem. Wieczór jak wiele innych.

W tym wielojęzycznym, wrzącym kotle zwanym le Panier, gdzie nie odważy się zapuścić żaden policjant, Jean-Baptiste Langarotti siedział w kącie baru nad dużą szklanką zimnego rumu.

W przeciwieństwie do Janniego Dupree i Marca Vlaminka wcale mu się nie nudziło. Lata spędzone w więzieniu nauczyły go interesować się nawet najmniejszymi drobiazgami, toteż znacznie lepiej od innych najemników znosił drugie okresy przymusowej bezczynności. Teraz w dodatku udało mu się znaleźć pracę, dzięki czemu nie wydał ani centa ze swoich oszczędności — a oszczędzał od dawna, gromadząc pieniądze na koncie w znanym tylko sobie szwajcarskim banku. Pewnego dnia miał zamiar zrealizować marzenie swego życia i kupić mały bar w Cal vi.

Miesiąc wcześniej jego dobry przyjaciel z Algierii został aresztowany w związku z niewartą uwagi błahostką: za walizeczkę zawierającą dwanaście coltów kalibru 45 należących niegdyś do francuskiej armii, i przesłał z więzienia kartkę, w której prosił Jean-Baptiste'a o zaopiekowanie się „dziewczyną”, która go utrzymywała. Wiedział, że może zaufać Korsykaninowi. Marie-Claire miała obfite apetyczne kształty i pracowała nocami w barze w dzielnicy Tubano. Polubiła Langarottiego — być może ze względu na jego rozmiary — a jedyne zastrzeżenia dotyczyły tego, że nie bije jej tak często, jak zwykł to czynić przebywający teraz w odosobnieniu przyjaciel. Niewielki wzrost nie przeszkadzał mu w wypełnianiu funkcji „opiekuna”, bo cieszył się w półświatku odpowiednią reputacją.

Tak więc Lola miała powód do zadowolenia, gdyż była najlepiej pilnowaną dziewczyną w mieście, Jean-Baptiste zaś miał się czym zająć, czekając na kolejną okazję wyruszenia na wojnę. Skontaktował się już z kilkoma ludźmi z branży, najbardziej jednak liczył na to, że otrzyma jakąś wiadomość od Shannona. Irlandczyk był człowiekiem, który mógł przyciągnąć klientów.

Wkrótce po powrocie do Francji Langarotti otrzymał propozycję od Charles'a Roux z Paryża. Roux chciał, żeby Korsykanin uznał go za kogoś w rodzaju swojego jedyne agenta i zdał się na jego decyzję przy wyborze i negocjowaniu kontraktu. Paryżanin twierdził, że ma do wyboru kilka atrakcyjnych propozycji, ale Jean-Baptiste nie dał się na to nabrać, później zaś dowiedział się z innych źródeł, że były to czcze przechwałki, gdyż od chwili, kiedy w 1967 roku Roux wrócił z Bukavu z dziurą w ramieniu, nikt nie zaproponował mu żadnego kontraktu.

Langarotti westchnął, spojrział na zegarek, dokończył drinka i wstał z krzesła. Najwyższa pora, żeby odprowadzić Lolę do pracy, a potem wstąpić na czynną przez całą dobę pocztę i sprawdzić, czy nie przyszedł telegram od Shannona z propozycją wzięcia udziału w jakiejś wojnie.

W Monachium było jeszcze chłodniej niż w Ostendzie. Kurt Semmler, przyzwyczajony do wysokich temperatur Dalekiego Wschodu, Algierii i Afryki Środkowej, trząsł się z zimna w czarnym skórzanym płaszczu do kolan. Szedł ku czynnemu przez całą dobę urzędowi pocztowemu, by sprawdzić — jak to czynił dwa razy dziennie od chwili przyjazdu do Monachium — czy nie ma dla niego listu lub telegramu z propozycją spotkania w sprawie udziału w jakiejś nowej wojnie.

Od powrotu z Afryki nic nie robił i okropnie się nudził. Jak większość doświadczonych żołnierzy nienawidził życia w cywilu, nie umiał się dobrze ubrać, gardził politykami i tęsknił za aktywnym życiem, do którego przywykł. Powrót do rodzinnego miasta wcale nie poprawił jego nastroju. Wszędzie widział długowłosych, leniwych i niezdyscyplinowanych młodych ludzi, machających transparentami i wykrzykujących jakieś slogany. W ich działaniu nie było ani śladu celowości i oddania idei wielkości ojczyzny oraz jej przywódcy, które bez reszty wypełniały jego dzieciństwo i młodość. Nie było też poczucia porządku i obowiązku, tak charakterystycznego dla życia w wojsku.

Nawet przemysłowa działalność w basenie Morza Śródziemnego, choć swobodna i nie ujęta w ramy żadnego regulaminu, odpowiadała mu bardziej, bo dostarczała dreszczyku emocji oraz dawała poczucie uczestnictwa w czymś ważnym i konkretnym. Mknąc w kierunku włoskiego wybrzeża szybką łodzią z dwiema tonami amerykańskich papierosów na pokładzie, mógł sobie przynajmniej wyobrazić, że jest z powrotem na Mekongu i wyrusza do akcji przeciwko rzeczonym piratom z Xoa Binh.

Monachium nie miało mu nic do zaoferowania. Mieszkając tu za dużo pił, za dużo palił, trochę rznął i czuł coraz większy niesmak.

Również tego wieczoru na poczcie nie czekała żadna wiadomość.

O północy Marc Vlamincz zadzwonił z Ostendy. Belgijska poczta pracuje bez zarzutu i dostarcza telegramy do dziesiątej wieczorem. Shannon powiedział mu tylko tyle, żeby następnego dnia rano czekał na niego w samochodzie przed dworcem lotniczym w Brukseli.

Belgia, w porównaniu ze znacznie bardziej rozreklamowaną Szwajcarią, oferuje dużo lepsze możliwości każdemu, kto chce dyskretnie, lecz zarazem całkowicie legalnie otworzyć sobie konto w banku. Nie dorównująca zamożnością sąsiadom Niemcom i nie neutralna w przeciwieństwie do Szwajcarii, Belgia zezwala na to, by wielkie sumy pieniędzy przepływały przez jej system bankowy bez żadnych ograniczeń i kontroli ze strony instytucji rządowych. Tutejsze banki są równie dyskretne jak szwajcarskie, i dlatego właśnie — wraz z bankami z Luksemburga i Lichtensteinu — z każdym rokiem zwiększają obroty kosztem swoich szwajcarskich konkurentów.

Rankiem Marc Vlamincz zawiózł Shannona do Kredietbanku w Brugii, odległej o siedemdziesiąt minut jazdy od lotniska w Brukseli. Potężnego Belga zżerała ciekawość, ale starał się tego nie okazywać. W drodze do Brugii Shannon powiedział tylko tyle, że przyjął interesującą robotę i może zatrudnić czterech pomocników. Czy Vlamincz byłby zainteresowany?

Mały Marc dał do zrozumienia, że owszem, byłby. Shannon wyjaśnił, że nie może poinformować go o żadnych szczegółach, ale zadanie należy do tych, które nie tylko trzeba wykonać, lecz i przygotować od samych podstaw. Proponuje wynagrodzenie w wysokości 1250 dolarów miesięcznie plus wydatki, przez najbliższe trzy miesiące. Sama praca, choć w tym czasie nie wymaga dłuższych wyjazdów, wiąże się z kilkoma godzinami ryzyka na miejscu, w Europie. Nie jest to robota, jaką zwykle zajmują się najemnicy, niemniej jednak trzeba ją wykonać.

Marc chrząknął niepewnie.

— Nie napadam na banki — poinformował Shannona. — Nie za takie pieniądze.

— Nic takiego nie wchodzi w grę. Po prostu trzeba załadować na statek trochę broni i musimy zrobić to sami. Jak się z tym uporamy, popłyniemy do Afryki, żeby sobie postrzelać.

Marc uśmiechnął się.

— Długa kampania czy błyskawiczny atak?

— Atak — odparł Shannon. — Jeżeli się uda, w perspektywie jest znacznie dłuższy kontrakt. Niczego nie mogę obiecać, ale wszystko na to wskazuje. Do tego jeszcze spora premia.

— W porządku, wchodzę — powiedział Marc. Niedługo potem wjechali na centralny plac Brugii.

Główna siedziba Kredietbanku mieści się pod numerem 25 przy Vlamingstraat, wąskiej uliczce zabudowanej po obu stronach doskonale zachowanymi osiemnastowiecznymi domami w stylu flamandzkim. Większość pomieszczeń na parterach zamieniono na sklepy, ale od pierwszego piętra wzwyż stare fasady wyglądają tak, jakby przeniesiono je z płótna któregoś ze starych mistrzów.

Shannon przedstawił się panu Goossensowi, kierownikowi działu kont zagranicznych, i potwierdził swoją tożsamość okazując paszport na nazwisko Keith Brown. W ciągu czterdziestu

minut otworzył rachunek bieżący, wpłacił na niego sto funtów gotówką, poinformował pana Goossensa, że lada dzień należy oczekiwać przelewu 10000 funtów ze Szwajcarii, z czego 5000 należy natychmiast przekazać na konto w Londynie. Pozostawił także kilka wzorów podpisu Keitha Browna i ustalił hasło, które pozwoli mu dysponować wkładem telefonicznie: dwunastocyfrowy numer konta czytany na wspak plus data dnia poprzedniego. Dzięki temu nie będzie musiał bez przerwy kursować między Brukselą a Londynem. Podpisał również oświadczenie, w którym zwalnia bank od wszelkiej odpowiedzialności za ewentualne straty, jakie on, jako właściciel konta, może ponieść w ten sposób nim dysponując. Zobowiązał się także na każdym dokumencie przesyłanym do banku wpisywać numer konta czerwonym atramentem — również w celu potwierdzenia autentyczności dyspozycji.

O wpół do pierwszej uporał się z bankiem. Vlaminck czekał na niego w Cafe des Arts, tuż obok ratusza, zjedli solidny posiłek — naturalnie z frytkami — po czym Marc odwiózł go na lotnisko w Brukseli. Przed rozstaniem Shannon wręczył mu 50 funtów i polecił przylecieć następnego dnia promem kursującym między Ostendą a Dover i zameldować się o szóstej wieczorem w mieszkaniu przy St John's Wood Road.

Następnie, po godzinnym oczekiwaniu, wsiadł do samolotu i jeszcze przed wieczorem wrócił do Londynu.

Simon Endean także spędził dzień pracowicie. Wsiadł do pierwszego porannego samolotu do Zurychu i wylądował na lotnisku Kloten kilka minut po dziesiątej. Niecałą godzinę później stał już przed okienkiem Handelsbank of Zurich przy Talstrasse 58 i otwierał rachunek bieżący na swoje nazwisko. On także pozostawił kilka wzorów podpisu oraz uzgodnił z urzędnikiem banku, że we wszystkich przesyłanych listownie dyspozycjach u dołu strony znajdzie się zapisany zielonym atramentem numer konta, poniżej zaś, zawsze na czarno, data wysłania listu. Wpłacił na konto 500 funtów, a następnie poinformował urzędnika, że w ciągu najbliższego tygodnia powinno wpłynąć jeszcze 100000 funtów, z których 10000 ma zostać natychmiast przekazane na konto w Belgii, którego numer zostanie w najbliższym czasie przekazany drogą listowną. Podpisał również dokument zwalniający bank od wszelkiej odpowiedzialności i pozbawiający go prawa dochodzenia swych racji przed sądem. Nie miało to większego znaczenia, gdyż procesowanie się ze szwajcarskim bankiem przed szwajcarskim sądem było bez sensu.

Następnie wsiadł na Talstrasse do taksówki i pojechał z powrotem na lotnisko. Po drodze kazał kierowcy zatrzymać się na chwilę, wysiadł z samochodu i wsunął do skrzynki na drzwiach banku Zwingli zalakowaną kopertę.

List, który doktor Martin Steinhofler otrzymał pół godziny później, pochodził od sir Jamesa Mansona i został podpisany przez niego w sposób ustalony wcześniej z bankiem. W liście znajdowało się polecenie przekazania 100000 funtów na konto pana Simona Endeana w Handelsbanku oraz informacja, że sir James zjawi się u doktora Steinhoflera nazajutrz, czyli w środę.

Endean wrócił do Londynu kilka minut po szóstej.

Kiedy we wtorek w południe Martin Thorpe wszedł do swego biura, był straszliwie zmęczony. Minione trzy dni spędził na przeglądaniu dostarczonej przez Moodies kartoteki z informacjami na temat wszystkich 4500 przedsiębiorstw, których akcje notowano na londyńskiej giełdzie.

Interesowały go szczególnie małe firmy, założone wiele lat temu, teraz mocno podupadłe i bez większego majątku trwałego, które w ciągu ostatnich trzech lat przynosiły straty, wychodziły na zero albo dawały minimalne zyski. Całkowita wartość takiej firmy nie powinna przekraczać 200000 funtów.

Znalazł dwadzieścia cztery takie przedsiębiorstwa, ponumerował je od najbardziej do najmniej

interesującego i przedstawił wyniki poszukiwań sir Jamesowi Mansonowi. Teraz pozostała mu do wykonania ostatnia część zadania. Wczesnym popołudniem wyszedł z siedziby ManCon i skierował się do Companies House przy City Road.

Podał archiwistom nazwy pierwszych ośmiu firm ze swojej listy i uiścił obowiązkową opłatę, pozwalającą każdemu obywatelowi uzyskać wgląd w dokumenty przedsiębiorstw notowanych na giełdzie. Czekać na osiem opasłych teczek przeglądał najnowszy biuletyn giełdowy i stwierdził z zadowoleniem, że akcje żadnego z jego wybrańców nie stoją wyżej niż po trzy szylingi za sztukę.

Kiedy wreszcie dostarczono mu teczek, zaczął je uważnie studiować, koncentrując się na informacjach nie zanotowanych w katalogu Moodies. Najbardziej interesowała go struktura własności akcji; musiał się upewnić, czy cała pula nie została podzielona między członków zarządu oraz czy w ostatnim czasie jakaś firma lub osoba nie zaczęła wykupu na większą skalę, co oznaczałoby, że jakiś inny drapieżca podkrada się do ofiary.

Do piątej po południu udało mu się zapoznać z zawartością siedmiu spośród ośmiu teczek. Pozostałymi siedemnastoma będzie musiał zająć się jutro. Był już jednak lekko podekscytowany, gdyż trzecia pozycja na liście nadawała się do jego celów — aż za dobrze, sprawiała wrażenie tak apetycznego kąska, że aż go to trochę niepokoiło. Należało się dziwić, iż ktoś nie pożarł jej już dawno temu. Widocznie istniał jakiś głęboko ukryty haczyk, ale bystry umysł Martina Thorpe'a z pewnością znajdzie sposób, żeby go ominąć. O ile taki sposób w ogóle istnieje. Gra była warta świeczki.

O dziesiątej wieczorem Simon Endean zadzwonił do Shannona. Poinformowali się wzajemnie o swoich poczynaniach. Endean powiedział, że 100000 funtów przypuszczalnie już trafiło na nowo otwarte szwajcarskie konto. Shannon polecił, aby pierwsze 10000 funtów przekazać do Kredietbanku w Brugii na nazwisko Keith Brown.

Kilka minut po zakończeniu rozmowy Endean napisał do Handelsbanku list z odpowiednimi instrukcjami, podkreślając, że transfer pieniędzy musi zostać dokonany jak najszybciej, ale belgijscy urzędnicy bankowi pod żadnym pozorem nie mogą poznać nazwiska dysponenta. Wystarczy numer konta, sama dyspozycja zaś powinna być przekazana teleksem. Tuż przed północą wysłał list ekspresem z czynnego całą dobę urzędu pocztowego przy Trafalgar Square.

Za kwadrans dwunasta w mieszkaniu Shannona ponownie rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwonił Semmler z Monachium. Shannon powiedział mu, że ma dla nich wszystkich robotę, ale nie może przyjechać do Monachium, żeby pogadać o szczegółach. Semmler musi być w Londynie przed szóstą wieczorem następnego dnia. Podał Niemcowi swój adres, obiecał, że zwróci wszystkie koszty, a nawet opłaci powrotną podróż do Monachium, gdyby Semmler nie przyjął propozycji. Niemiecki najemnik odparł, że na pewno przyleci, i Shannon odłożył słuchawkę.

Jako następny zadzwonił z Marsylii Langarotti. Zajrzał do swojej skrytki na poczcie i znalazł tam telegram od Shannona. On także obiecał, że zjawi się w Londynie przed szóstą i zamelduje pod podanym adresem.

Najpóźniej, bo wpół do pierwszej, dodzwonił się Janni Dupree. Natychmiast zgodził się spakować manatki i przelecieć trzynaście tysięcy kilometrów dzielące go od Londynu, ale mógł dotrzeć na miejsce dopiero za półtorej doby. Umówił się z Shannonem na spotkanie w czwartek wieczorem.

Po ostatniej rozmowie Shannon jeszcze przez godzinę czytał najnowszy numer pisma poświęconego palnej broni krótkiej, po czym wyłączył światło. Tak zakończył się dzień pierwszy.

W środę rano podróżujący pierwszą klasą sir James Manson zjadł solidne śniadanie na pokładzie lecącego do Zurychu samolotu. Tuż przed dwunastą został wprowadzony z honorami do gabinetu

doktora Martina Steinhofera.

Dwaj mężczyźni znali się już od dziesięciu lat. W tym czasie bank Zwingli wielokrotnie reprezentował interesy Mansona, kiedy górniczy potentat chciał dyskretnie i tanio kupić akcje, które natychmiast poszłyby gwałtownie w górę, gdyby rozeszła się wiadomość, że ich nabyciem jest zainteresowany właśnie sir James Manson. Doktor Steinhofer bardzo sobie cenił starego klienta, dlatego też wstał zza biurka, uściśnął mu z szacunkiem rękę i wskazał wygodny fotel.

Potem szwajcarski bankier zaproponował gościowi cygaro, sekretarz zaś przyniósł kawę i dwa małe kieliszki napełnione wiśniówką. Kiedy młody mężczyzna wyszedł z gabinetu, sir James nie zwlekając przedstawił cel swej wizyty.

— W ciągu najbliższych tygodni będę chciał nabyć kontrolny pakiet akcji pewnej brytyjskiej firmy. W tej chwili nie mogę podać jej nazwy, gdyż mój pracownik prowadzi jeszcze poszukiwania spółki najlepiej odpowiadającej moim wymaganiom. Myślę, że już wkrótce ją poznam.

Doktor Steinhofer skinął w milczeniu głową i podniósł filiżankę do ust.

— Początkowo będzie to bardzo niewielka operacja, angażująca nieznaczne sumy. Mam jednak poważne powody, by przypuszczać, że potem, kiedy na giełdę trafią pewne informacje, akcje tej firmy gwałtownie zyskają na wartości.

Sir James nie musiał wyjaśniać Steinhoferowi zasad rządzących obrotem akcjami na londyńskiej giełdzie, gdyż Szwajcar znał je nie gorzej od niego, podobnie jak regulaminy i przepisy wszystkich ważniejszych giełd na świecie.

Zgodnie z brytyjskim prawem każdy, kto zakupił na giełdzie dziesięć lub więcej procent akcji jakiejś firmy, ma obowiązek w ciągu czternastu dni podać swoje nazwisko zarządowi spółki. Twórcy tego przepisu pragnęli zapewnić opinii publicznej możliwość sprawdzenia, do kogo należą największe pakiety akcji przedsiębiorstw biorących udział w obrocie giełdowym.

Dlatego każda szanująca się firma brokerska, kupując na polecenie klienta większą liczbę akcji, informuje zarząd zainteresowanej spółki, w czym imieniu występuje — chyba że transakcja dotyczy mniej niż dziesięciu procent akcji. Wtedy klient może pozostać anonimowy.

Można obejść ten przepis podstawiając fałszywych nabywców, ale porządna firma brokerska bardzo szybko zorientuje się, że to oszustwo i zastosuje się do obowiązującego prawa.

Jednak szwajcarski bank, nie zobowiązany do przestrzegania brytyjskiego prawa, lecz tylko własnych zasad dyskrecji, po prostu odmawia udzielania informacji dotyczących tożsamości swoich klientów, nawet jeśli ma poważne podstawy przypuszczać, że istnieją jedynie na papierze.

Obaj mężczyźni siedzący w gabinecie doktora Steinhofera doskonale zdawali sobie sprawę z tych wszystkich subtelności.

— W celu przeprowadzenia tej operacji nawiązałem kontakt z sześcioma partnerami, którzy kupią akcje w moim imieniu — mówił dalej sir James. — Wszyscy zgodzili się otworzyć konta w banku Zwingli i poproszą, aby zechciał pan zająć się całą sprawą.

Doktor Steinhofer odstawił filiżankę i skinął głową. Jako dobry Szwajcar także uważał, że nie ma sensu łamać prawa tam, gdzie można je odpowiednio nagiąć — naturalnie zakładając, że nie jest to szwajcarskie prawo — oraz doskonale rozumiał, iż windowanie ceny w górę jest zupełnie bezcelowe, nawet w przypadku niewielkiej operacji. Oszczędzania trzeba się uczyć na małych sumach, żeby po wielu latach dojść do prawdziwego bogactwa.

— Nie ma problemu — odparł. — Czy ci panowie zjawią się tutaj osobiście?

Sir James wypuścił z ust kłęb aromatycznego dymu.

— Obawiam się, że mogą nie znaleźć na to czasu. Ja sam postanowiłem powierzyć tę sprawę mojemu asystentowi, więc nie jest wykluczone, że oni postąpią tak samo. Sądzę, że nie ma pan nic

przeciwko temu?

— Skądże znowu — zapewnił go pośpiesznie Steinhofner. — Kto będzie pańskim reprezentantem?

— Pan Martin Thorpe. — Sir James Manson wyjął z kieszeni cienką kopertę i wręczył ją bankierowi. — Oto odpowiednie upoważnienie, sporządzone przez notariusza i opatrzone moim podpisem. Rzecz jasna, może pan sprawdzić jego autentyczność. Znajdzie pan tam pełne dane pana Thorpe'a oraz numer paszportu, którym będzie się legitymował. Przybędzie do Zurychu mniej więcej za tydzień, aby sfinalizować umowę. Od tej pory może podejmować w moim imieniu wszystkie decyzje, a jego podpis ma taką samą wagę jak mój. Czy może pan zaakceptować takie rozwiązanie?

Doktor Steinhofner wyjął z koperty kartkę, zapoznał się z treścią dokumentu, po czym ponownie skinął głową.

— Oczywiście, proszę pana. Nie widzę żadnych przeszkód. Manson wstał i zdusił cygaro w popielniczce.

— W takim razie pozwoli pan, doktorze, że się pożegnám. Zostawiam sprawę w rękach Thorpe'a, który, ma się, rozumieć, będzie ze mną w kontakcie.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni, a następnie sir James Manson został odprowadzony aż do wyjścia z banku. Kiedy zamknęły się za nim ciężkie dębowe drzwi, postawił kołnierz płaszcza, by osłonić się przed chłodnym, kąśliwym wiatrem, wsiadł do czekającej na niego wynajętej limuzyny i kazał zawieźć się na lunch do Baur au Lac. W Zurychu dają nieźle jeść, ale poza tym to okropne miasto — pomyślał. Nie ma nawet porządnego burdelu.

Siergiej Golon, zastępca podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, był tego ranka w nie najlepszym nastroju. Podczas śniadania otrzymał list z informacją, że jego syn nie zdał egzaminów wstępnych na Akademię Nauk Społecznych, co stało się przyczyną gorącej rodzinnej kłótni. W rezultacie znowu dała o sobie znać gnębiąca go od dłuższego czasu niestrawność. Zapowiadał się bardzo nieprzyjemny dzień, a w dodatku sekretarka miała zwolnienie lekarskie.

Za oknami jego małego biura w Sekcji Afryki Zachodniej Ministerstwa Spraw Zagranicznych smagane wiatrem moskiewskie bulwary, pokryte jeszcze resztkami zszarzałego śniegu, czekały z utęsknieniem na wiosenne ocieplenie.

— Paskudna pogoda — zauważył strażnik, kiedy rano Golon wysiadł ze swego moskwicza na parkingu przed budynkiem ministerstwa.

Zastępca podsekretarza stanu mruknął coś w odpowiedzi, wszedł do gmachu i pojechał windą na siódme piętro, gdzie mieścił się jego gabinet. Nie było sekretarki, więc przeniósł sam na biurko stertę dokumentów, które dostarczono z różnych części budynku, i zaczął je przeglądać, obracając w ustach pastylkę neutralizującą zbyt silne działanie kwasów żołądkowych.

Na okładce trzeciej teczki widniała uwaga napisana charakterystycznym urzędniczym pismem podsekretarza stanu: Zapoznać się i nadać tok postępowaniu. Golon westchnął ciężko i otworzył teczkę. Podstawę do jej założenia dała skierowana do kilku ministerstw dyrektywa wywiadu. Opierając się na niej Ambasador Dobrowolski dostał pewne polecenia i wykonał je, o czym informował w ostatniej depeszy. Prośba rządu ZSRR została spełniona, w związku z czym należy podjąć szybkie działania.

Golon prychnął pogardliwie. Pomijany przy obsadzaniu stanowisk w ambasadach, był gorącym zwolennikiem tezy, w myśl której dyplomaci przebywający za długo na placówkach tracą kontakt z rzeczywistością i zaczynają przywiązywać za dużą wagę do swych pomysłów.

— Zupełnie jakbyśmy nie mieli innych rzeczy na głowie — mruknął. Wiedział, że następna teczka dotyczy rozwoju sytuacji w Republice Gwinei, skąd radziecki ambasador coraz częściej donosił o wzrastających wpływach Chińczyków. To jest naprawdę poważny problem — pomyślał

podsekretarz. W porównaniu z tym zajmowanie się zangaryjskimi złożami cyny i zastanawianie się, jakiej są wielkości, naprawdę nie miało żadnego sensu. Tym bardziej że Związek Radziecki ma pod dostatkiem cyny.

Jednak jego zwierzchnicy nadali sprawie służbowy bieg, a on jako przykładowy funkcjonariusz nie miał zamiaru robić nic wbrew ich woli. W związku z tym podyktował wypożyczonej z sekcji stenotypii maszynistce list do dyrektora Instytutu Górnictwa w Swierdłowsku z poleceniem, by wyznaczył niewielką grupę geologów i inżynierów, którzy mogliby oszacować wielkość złóż cyny w jednym z państw Afryki Zachodniej, i poinformował jego, czyli zastępcę sekretarza stanu, kiedy ów zespół będzie gotowy do wyjazdu.

Naturalnie zdawał sobie sprawę z trudności, jakie go czekają przy organizowaniu naukowcom transportu na Czarny Łąd, ale na razie odepchnął od siebie te myśli. Nieprzyjemne pieczenie w przelyku ustąpiło, a on zauważył, że maszynistka ma całkiem ładne nogi.

Shannon spędził bardzo spokojny dzień. Wstał późno, po czym pojechał na West End do banku, gdzie podjął z konta niemal całą sumę, jaka się tam znajdowała, czyli prawie 1000 funtów. Wiedział, że jak tylko nadejdzie przekaz z Belgii, stan konta zdecydowanie się zwiększy.

Po lunchu zadzwonił do swego przyjaciela pisarza, który trochę zdziwił się, słysząc jego głos.

— Myślałem, że wyjechałeś z miasta?

— A dlaczego? — zapytał Shannon.

— Szukała cię mała Julia. Chyba wywarłeś na niej spore wrażenie. Carrie twierdzi, że biedactwo bez przerwy mówi tylko o tobie. Dzwoniła do hotelu Lowndes, ale powiedzieli jej, że wyjechałeś, nie pozostawiając nowego adresu.

Shannon obiecał, że zadzwoni do dziewczyny, i podał swój nowy numer telefonu, po czym wyłuszczył prośbę.

— Chyba mogę to zrobić... — odparł pisarz z wahaniem. — Choć szczerze mówiąc wydaje mi się, że powinienem najpierw zapytać go, czy nie ma nic przeciwko temu.

— W takim razie zrób to. Powiedz mu, że chodzi o mnie, że chcę się z nim spotkać i jestem gotów poświęcić kilka godzin, żeby go zobaczyć. Powiedz mu też, że na pewno nie zawracałbym mu głowy, gdybym nie był przekonany o ważności sprawy.

Pisarz zgodził się spełnić prośbę i oddzwonić, jak tylko zdobędzie numer telefonu i adres człowieka, z którym chciał się widzieć Shannon — naturalnie, jeśli tamten zgodzi się spotkać z najemnikiem.

Po południu Shannon napisał list do pana Goossensa z Kredietbanku i poinformował go, że w niedalekiej przyszłości poda adres banku swoim dwóm lub trzem partnerom w interesach i będzie co jakiś czas sprawdzał telefonicznie, czy nie nadeszły od nich jakieś wiadomości dla niego. Za pośrednictwem Kredietbanku będzie także prowadził korespondencję handlową, wysyłając panu Goossensowi zaadresowane listy, które ten niech następnie nadaje na poczcie w Brugii. Naturalnie, wszelkimi opłatami należy obciążyć jego konto.

O piątej po południu zadzwonił Endean. Shannon poinformował go o dotychczasowych poczynaniach, nie wspominając jednak ani słowem o rozmowie z pisarzem — Endean nie miał pojęcia, że pisarz i Shannon są dobrymi znajomymi. Zameldował natomiast zgodnie z prawdą, że trzech ewentualni współpracownicy zjawią się w Londynie jeszcze tego samego dnia wieczorem, czwarty zaś przybędzie najpóźniej we czwartek.

Martin Thorpe przepracował ciężko piąty dzień z rzędu, ale wreszcie jego poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Przejrzał na City Road dokumenty pozostałych siedemnastu firm i sporządził drugą, znacznie krótszą listę, zawierającą nazwy tylko pięciu spółek. Na pierwszym miejscu nadal

znajdowała się firma, która poprzedniego dnia zwróciła jego uwagę. Zakończył lekturę wczesnym popołudniem i postanowił odpocząć przez resztę dnia, ponieważ sir James Manson jeszcze nie wrócił z Zurychu. Nazajutrz rano poinformuje szefa o wynikach poszukiwań, a później rozpocznie prywatne śledztwo, aby ustalić, jak to się stało, że tak łakomy kąsek pozostał jeszcze nietknięty. Na razie wrócił do domu w Hampstead Garden i zajął się stryżeniem trawnika.

03.Psy Wojny

2

Jako pierwszy przyleciał na lotnisko Heathrow, na pokładzie samolotu Lufthansy z Monachium, Kurt Semmler. Ledwie przeszedł przez odprawę celną, zadzwonił do Shannona, ale go nie zastał. Ponieważ było jeszcze za wcześnie, żeby stawić się pod wskazanym adresem, wszedł do restauracji, usiadł przy oknie i paląc jednego papierosa za drugim obserwował startujące maszyny.

Marc Vlaminck zameldował się telefonicznie kilka minut po piątej. Shannon zerknął na przygotowaną zawnazu listę pobliskich hoteli i podyktował nazwę jednego z nich, Belg zapisał ją litera po literze, a zaraz potem wyszedł przed budynek dworca Victoria, wsiadł do taksówki i podsunął kierowcy kartkę.

Semmler odezwał się dziesięć minut po Vlamincku. On także otrzymał od Shannona nazwę hotelu, zapisał ją starannie, po czym pojechał taksówką pod wskazany adres.

Langarotti zgłosił się jako ostatni. Również i on zaraz po przylocie skontaktował się telefonicznie z Shannonem, dowiedział się od niego, gdzie ma zamieszkać, i pojechał taksówką do hotelu.

O siódmej Shannon zadzwonił kolejno do wszystkich trzech i polecił, żeby za pół godziny stawili się w jego mieszkaniu.

Dopiero w chwili spotkania dowiedzieli się, że zostali ściągnięci do Londynu w tym samym celu. Szerokie uśmiechy zagościły na ich twarzach, częściowo wywołane radością ze spotkania starych przyjaciół, a częściowo świadomością, że Shannon musi być przy niezłej forsie, skoro zdecydował się zagwarantować im zwrot kosztów podróży, niezależnie od tego, czy zgodzą się przyjąć proponowaną robotę. Rzecz jasna zastanawiali się, kim może być jego hojny sponsor, ale doskonale wiedzieli, że nie należy o to pytać.

Utwierdzili się jeszcze bardziej w tym przekonaniu, kiedy Shannon powiedział im, że na tych samych warunkach postanowił ściągnąć z Afryki Janniego Dupree. Bilet lotniczy wartości 500 funtów to nie pestka. Zaintrygowani czekali na wyjaśnienia.

— Propozycja, którą otrzymałem — powiedział Shannon — dotyczy zorganizowania od podstaw dość poważnej operacji. Nikt jej nie zaplanował, więc musimy zrobić to sami. Nasze zadanie polega na przeprowadzeniu błyskawicznego ataku na miasto położone na wybrzeżu Afryki. Trzeba będzie ostrzelać najważniejszy budynek, zdobyć go, załatwić wszystkich, którzy będą w środku, utrzymać go przez jakiś czas, a potem zniknąć bez śladu.

Reakcja mężczyzn była zgodna z jego oczekiwaniami: Vlaminck uśmiechnął się szeroko i podrapał po piersi, Semmler mruknął Klasse i zapalił następnego papierosa od poprzedniego, Langarotti zaś wpatrywał się bez mrugnięcia w Shannona, szybkimi, precyzyjnymi ruchami przesuwając ostrze noża po skórzanym pasie owiniętym dokoła lewej pięści.

Shannon rozłożył na podłodze narysowaną ręcznie mapę. Przedstawiała część wybrzeża i główne budynki portu. Nie była zbyt dokładna, bo nie znalazły się na niej dwie kamieniste ostrogi u wejścia do portu Clarence, ale w zupełności wystarczała, aby wstępnie omówić założenia operacji.

Dowódca najemników mówił przez dwadzieścia minut. Trzej podwładni zgodzili się, że jedynie zaproponowany przez niego plan ataku może zagwarantować pełne powodzenie. Nikt z nich nie zapytał o miejsce akcji, gdyż po pierwsze, Shannon na pewno by tego nie ujawnił, a po drugie, ta informacja nie była im do niczego potrzebna. Nie chodziło tu o brak zaufania, tylko o konieczność

zachowania ścisłej tajemnicy. W razie jakiegoś przecieku oni będą poza wszelkimi podejrzeniami.

Shannon mówił po francusku z wyraźnym angielskim akcentem. Nauczył się tego języka podczas służby w Szóstym Komandzie w Kongu. Wiedział, że Vlamincck daje sobie jako tako radę z angielskim oraz że Semmler zna około dwustu słów, ale Langarotti znał wyłącznie francuski, w związku z czym właśnie francuski stał się językiem oficjalnym małego oddziału — przynajmniej do czasu przybycia Dupree, kiedy pojawi się konieczność tłumaczenia wszystkiego na angielski.

— Tak to właśnie wygląda — zakończył Shannon. — Warunki są następujące: tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, licząc od jutra, plus pokrycie wszystkich kosztów utrzymania i podróży po Europie. Budżet przedsięwzięcia jest całkowicie wystarczający, a tylko dwie fazy przygotowań nielegalne, gdyż w miarę możliwości starałem się wszystko załatwić oficjalnymi kanałami. Pierwsza sprawa to przekroczenie granicy między Belgią a Francją, druga to załadunek kilkunastu skrzyń na statek gdzieś w Europie Południowej. Obie operacje musimy wykonać osobiście.

Gwarantuję wam trzymiesięczne zatrudnienie, a dodatkowo po pięć tysięcy dolarów na głowę jako premię po wykonaniu zadania. I co wy na to?

Trzej najemnicy spojrzeli po sobie. Pierwszy skinął głową Vlamincck.

— Wchodzę — powiedział. — Wygląda to całkiem nieźle.

— Czy będziemy występować przeciwko Francji? — zapytał Langarotti. — Nie chciałbym znaleźć się na wygnaniu.

— Daję ci słowo, że nie będziemy mieli nic do czynienia z Francuzami.

— D'accord — mruknął Korsykanin. Shannon spojrział na Niemca.

— A ty, Kurt?

— Co z ubezpieczeniem? — zapytał Semmler. — Nie chodzi o mnie, bo nie mam rodziny, ale o Marca.

Belg pokiwał głową.

— Słusznie. Nie chciałbym pozostawić Anny na lodzie. Wszyscy najemnicy są ubezpieczani przez pracodawcę. Zwyczajowa stawka wynosi 20 000 dolarów w przypadku śmierci i 6 000 za poważne rany, na przykład utratę kończyny.

— Musicie sami się tym zająć, ale za to nie macie żadnych ograniczeń co do wysokości sumy. Jeśli ktoś zginie, reszta przysięgnie, że wypadł na morzu za burtę. Jeśli zostanie ranny, pozostali stwierdzą, że doznał obrażeń podczas pracy na pokładzie. Ubezpieczenie ma dotyczyć podróży morskiej małym frachtowcem między Europą a Afryką Południową. Rozumiemy się?

Mężczyźni skinęli głowami.

— Jestem — powiedział Semmler.

Uścisnęli sobie dłonie, dopełniając w ten sposób formalności, po czym Shannon przystąpił do przydzielania im konkretnych zadań.

— Kurt, w piątek odbierzesz pierwszy czek z zapłatą i tysiąc dolarów na wydatki. Polecisz nad Morze Śródziemne i zaczniesz rozglądać się za odpowiednim statkiem. Potrzebuję niewielkiego frachtowca nie notowanego przez policję. Zapamiętaj, bo to bardzo ważne. Papiery mają być w porządku, statek na sprzedaż. Nośność sto do dwustu ton, może być przerobiony trawler albo jednostka marynarki wojennej, byle tylko nie przypominał jakiegoś kutra patrolowego. Nie zależy mi na szybkości, tylko na niezawodności. Statek musi być na tyle niepozorny, żeby dało się spokojnie załadować na niego broń. Cena nie powinna przekraczać dwudziestu pięciu tysięcy funtów, łącznie z kosztami robót, które ewentualnie trzeba będzie przeprowadzić. Ostateczny termin wypłynięcia do Kapsztadu z pełnym wyposażeniem i ładunkiem na pokładzie — sześćdziesiąt dni, licząc od dzisiaj.

Wszystko jasne?

Semmler skinął głową, zastanawiając się już intensywnie nad sposobem wykorzystania swoich znajomości w marynarskim świecie.

— Jean-Baptiste, jakie miasto leżące nad Morzem Śródziemnym znasz najlepiej?

— Marsylię — odparł Langarotti bez wahania.

— W porządku. W piątek odbierzesz pierwszą część wynagrodzenia i pięćset funtów, polecisz do Marsylii, zainstalujesz się w jakimś małym hotelu i zaczniesz się rozglądać. Znajdź mi trzy duże pneumatyczne łodzie ze sztywnym dnem, takie jakie produkuje Zodiac. Wiesz, najpierw używali ich komandosi, a potem trafiły na rynek jako sprzęt dla ludzi ze sportową żyłką. Kup je od różnych dostawców, a potem zawiadom jakąś szacowną firmę spedycyjną, że chcesz przewieźć je do miejscowości wczasowej w Maroku. Aha, muszą być czarne. Do tego dokup jeszcze trzy mocne przyczepne silniki z elektrycznymi rozrusznikami. Każda łódź powinna mieć nośność około jednej tony i osiągać prędkość co najmniej dziesięciu węzłów, a byłoby dobrze, żeby więcej. Co najmniej sześćdziesiąt koni mechanicznych. Bardzo ważna sprawa: upewnij się, czy silniki mają podwodne wydechy. Jeśli nie, znajdź mechanika, który zrobi trzy komplety podwodnych układów wydechowych z odpowiednimi zaworami. Silniki złoż w tym samym magazynie co łodzie i poinformuj firmę, że też mają być przewiezione do Maroka. Na pewno nie starczy ci pieniędzy, więc otwórz sobie konto w banku i prześlij mi jego numer pod ten adres, żebym mógł dokonać przelewu. Kupuj każdą rzecz oddzielnie. Byłoby dobrze, gdybyś na bieżąco informował mnie o wydatkach. Wszystko jasne?

Langarotti skinął głową i ponownie zajął się ostrzeniem noża.

— Teraz ty, Marc. Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałeś mi o jakimś Belgu, który w 1945 zwędził Niemcom tysiąc zupełnie nowych schmeisserów i wciąż jeszcze ma połowę w piwnicy? W piątek wrócisz do Ostendy z pierwszą wypłatą i pięciuset funtami, i spróbujesz odszukać tego człowieka. Dowiedz się, czy nie zechciałby upłynnić części zapasu. Potrzebuję stu sztuk w idealnym stanie. Zapłacę mu sto dolarów za sztukę, czyli znacznie więcej niż dostałby na rynku. Napisz do mnie na ten adres, czy go znalazłeś i czy zgodził się spotkać ze mną. Zrozumiałeś?

O wpół do dziesiątej odprawa dobiegła końca. Wszystkie instrukcje zostały zapamiętane albo zapisane.

— W porządku. Może teraz byśmy coś zjedli? — zaproponował Shannon kolegom.

Poszli do pobliskiej restauracji. Nadal rozmawiali po francusku, ale nikt nie zwracał na nich uwagi, chyba że wybuchali donośnym śmiechem. Nie ulegało wątpliwości, że czterej mężczyźni siedzący przy stoliku w kącie są czymś bardzo podekscytowani, choć żadnemu z gości nie przyszło do głowy, iż przyczyną tego radosnego nastroju jest perspektywa wzięcia udziału w kolejnej wojnie pod dowództwem Cata Shannona.

Po drugiej stronie Kanału jeszcze jeden człowiek myślał intensywnie o Carlu Alfredzie Thomasie Shannonie, ale nie były to przyjazne myśli. Człowiek ów przechadzał się po salonie w swoim mieszkaniu w eleganckiej kamienicy w pobliżu placu Bastylli, przetrawiając zebrane w ciągu minionego tygodnia informacje oraz plotki, które kilka godzin temu dotarły do niego z Marsylii.

Gdyby pisarz, który nie tak dawno polecił Simonowi Endeanowi Charles'a Roux jako drugiego najemnika, wiedział więcej o Francuzie, z pewnością nie wyrażałby się o nim aż tak pochlebnie. Ale znał jedynie przebieg jego kariery, nie mając żadnych informacji na temat charakteru. Nie wiedział także — a więc nie mógł powiedzieć tego Endeanowi — o wielkiej nienawiści, jaką Roux żywił do Shannona.

Po pierwszym spotkaniu z Endeanem Roux czekał cierpliwie przez dwa tygodnie na ponowne nawiązanie kontaktu. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, doszedł do wniosku, że albo sprawa stała się

nieaktualna, albo człowiek, który przedstawił mu się jako Walter Harris, znalazł innego wykonawcę.

Uznawszy drugą możliwość za bardziej prawdopodobną, zaczął sprawdzać ludzi, którym angielski biznesmen mógłby zaproponować kontrakt. Przy okazji dowiedział się, że Shannon mieszka pod własnym nazwiskiem w małym hoteliku na Montmartrze. Odkrycie wstrząsnęło nim, gdyż po spotkaniu na lotnisku le Bourget stracił Irlandczyka z oczu i był przekonany, że Shannon opuścił Francję.

Kiedy przekonał się, że jest inaczej — a było to tydzień temu — natychmiast polecił jednemu z ludzi, których lojalności był pewien, wziąć Shannona pod lupę. Człowiek ów nazywał się Henri Alain i także był kiedyś najemnikiem.

Dwadzieścia cztery godziny później Alain poinformował go, że Shannon opuścił hotel i udał się w nieznanym kierunku. Roux dowiedział się także dwóch innych rzeczy: że zniknięcie Shannona nastąpiło nazajutrz po jego spotkaniu z londyńskim biznesmenem oraz że tego samego dnia Irlandczyk także spotkał się z jakimś człowiekiem. Zachęcony drobną sumą recepcjonista opisał gościa Shannona; dla Roux stało się jasne, że jest to ten sam osobnik, który zjawił się u niego w mieszkaniu.

A więc pan Harris spotkał się w Paryżu z dwoma najemnikami, choć potrzebował tylko jednego. W rezultacie Shannon zniknął z horyzontu, natomiast on, Roux, został na lodzie. Wściekłość Francuza była tym większa, że tę zapowiadającą się bardzo atrakcyjnie robotę sprzątnął mu sprzed nosa właśnie Shannon — człowiek, którego właściciel eleganckiego mieszkania w pobliżu placu Bastylli nienawidził najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie.

Na jego polecenie Henri Alain przez cztery dni pilnował hotelu, ale Shannon nie wrócił. Potem Roux spróbował pójść innym tropem. Przypominał sobie artykuły w gazetach, w których Shannon często występował razem z Korsykaninem Langarottim. Jeżeli teraz Irlandczyk wrócił do gry, prawdopodobnie wciągnął w nią także starego kumpla. Henri Alain pojechał do Marsylii, aby odnaleźć Langarottiego i dowiedzieć się, gdzie przebywa Shannon. Wrócił zaledwie kilka godzin temu z informacją, że Langarotti poleciał do Londynu.

Roux zatrzymał się i spojrzał na swojego człowieka.

— Bon, Henri. To wszystko. Odezwę się, kiedy będę cię potrzebował. Czy recepcjonista z hotelu da ci znać, gdyby pojawił się Shannon?

— Jasne — odparł Alain i skierował się do drzwi.

— Natychmiast mnie zawiadom, gdybyś się czegoś dowiedział.

Kiedy Alain wyszedł, Roux zamyślił się głęboko. Fakt, że Langarotti wyjechał właśnie do Londynu, na pewno świadczył o tym, iż Korsykanin miał się tam spotkać z Shannonem. Czyli że Shannon zaczął rekrutację, a rekrutację prowadzi się tylko wtedy, jeśli ma się kontrakt. Roux nie miał żadnych wątpliwości, że chodzi o kontrakt Waltera Harrisa — o robotę, którą on powinien dostać. Zniewaga była tym większa, że Shannon zaangażował człowieka z Francji, a więc z obszaru, który Roux uznał za swój własny teren łowiecki.

Istniał jeszcze inny powód, dla którego zależało mu na kontrakcie Harrisa. Od powrotu z Bukavu nie zaproponowano mu żadnej roboty, w związku z czym jego dominacja nad światkiem francuskich najemników stawała się coraz bardziej problematyczna. Gdyby okazało się, że Shannon nie jest w stanie kontynuować rozpoczętego zadania albo gdyby zniknął bez śladu, Harris prawdopodobnie zwróciłby się do niego, Roux, i złożył mu konkretną propozycję, co powinien uczynić już za pierwszym razem.

Charles Roux nie zwlekając podszedł do telefonu i wykręcił pewien paryski numer.

W Londynie kolacja dobiegała końca. Mężczyźni pili wyłącznie wino rozlewane z karafek, gdyż jak wszyscy najemnicy, uważali je za najlepszy trunek na świecie. Mały Marc uniósł szklanekę i

powtórzył toast, który często wznosili podczas pobytu w Kongo:

Vive la mort, vive la guerre,

Vive le sacre mercenaire!

Rozparty wygodnie na krześle Shannon, jedyny trzeźwy w tym towarzystwie, zastanawiał się leniwie, jak wielkie spustoszenia poczynią jego psy, kiedy poszczuje je do ataku na pałac Kimby. W milczeniu podniósł szklankę do ust i wypił za psy wojny.

Charles Roux liczył sobie czterdzieści osiem lat i był trochę stuknięty, choć te dwa fakty nie miały ze sobą nic wspólnego. Nikt nie nazwałby go wariatem, ale większość psychiatrów z pewnością uznałaby go za rozchwieanego psychicznie. Podstawą takiej diagnozy byłaby przede wszystkim megalomania, na którą cierpi wielu sławnych i bogatych. Tyle że nazywa się ją wówczas nadmiernym egocentryzmem.

Psychiatrzy bez wątpienia stwierdziliby też u Roux obecność lekkiej paranoi, a bardziej surowi mogliby nawet doszukać się pewnych objawów psychopatii. Jednak ponieważ Roux nigdy nie poddał się specjalistycznym badaniom, a jego emocjonalne rozchwianie zazwyczaj kryła zasłona sporej inteligencji i dużego sprytu, nikt nie miał okazji postawić takiej diagnozy.

O niepokojącej prawdzie świadczyła jego skłonność do przypisywania sobie nadmiernego znaczenia, przekonanie o własnej nieomyślności i głupocie innych, oraz pełna gorczy nienawiść do wszystkich, którzy — jego zdaniem — zrobili mu jakąś krzywdę. Ofiary tej nienawiści najczęściej nie uczyniły mu nic złego, ale w przypadku Shannona sprawy miały się nieco inaczej.

Roux dosłużył się we francuskiej armii stopnia starszego sierżanta, ale mając prawie czterdzieści lat został zwolniony z wojska w związku z jakąś aferą finansową. W roku 1961 szukał pracy, zapłacił z własnej kieszeni za przelot do Katangi i zaproponował swoje usługi przywódcy secesjonistów, Czombemu. Walka o oderwanie zasobnej w surowce prowincji od pogrążonego w chaosie i dopiero od niedawna niepodległego Konga osiągnęła wtedy największe nasilenie. Wielu ludzi, którzy później zasłynęli jako najemnicy, wśród nich Hoare, Denard i Schramme, rozpoczęło karierę właśnie w Katandze. Chociaż Roux twierdził, że poradzi sobie z największymi zadaniami, skierowano go na jeden z mniej ważnych odcinków frontu, a kiedy wreszcie potężna Organizacja Narodów Zjednoczonych zdołała uporać się z małymi bandami rebeliantów nie uznających żadnego zwierzchnictwa — osiągnięto to drogą polityczną, gdyż o militarnym zwycięstwie nie mogło nawet być mowy — Roux znalazł się wśród tych, którym udało się uciec.

Było to w roku 1962. Dwa lata później, kiedy Kongo zaczęło rozsypywać się jak domek z kart pod ciosami popieranymi przez komunistów ludzi z plemienia Simba, Czombe został wezwany z wygnania, aby stanąć na czele już nie jednej prowincji, ale całego państwa. Czombe z kolei wezwał Hoare'a, Roux zaś skwapliwie skorzystał z okazji i także wrócił do Konga. Jako Francuz powinien służyć we francuskojęzycznym Szóstym Komandzie, trafił jednak do Piątego, ponieważ przyjechał z RPA. Postawiono go na czele kompanii, a pół roku później jednym z dowódców plutonów został młody Anglik pochodzenia irlandzkiego nazwiskiem Shannon.

Po trzech miesiącach Roux naraził się Hoare'owi. Otrzymał zadanie zlikwidowania przygotowanej przez Simbów blokady drogi. Przekonany o swoich niezwykłych uzdolnieniach dowódczych, stworzył własny plan ataku, który okazał się całkowitym nieporozumieniem: zginęło czterech białych najemników i ponad dwudziestu czarnych żołnierzy. Jedną z przyczyn klęski był beznadziejny plan, drugą zaś fakt, że Roux dowodził akcją pijany do nieprzytomności. Pił zaś dlatego, że pomimo wszystkich przechwałek bardzo niechętnie brał udział w bezpośredniej walce.

Pułkownik Hoare zażądał od niego szczegółowego raportu i otrzymał go, ale wiele fragmentów nie zgadzało się ze znanymi mu faktami. W związku z tym wezwał jedyne go pozostałego przy życiu

dowódcę batalionu, niejakiego Carla Shannona, i poprosił go o dokładną relację z przebiegu akcji. Po tym, co usłyszał, natychmiast wyrzucił Roux na zbity pysk.

Najemnik udał się na północ, gdzie dołączył do dowodzonego przez Denarda Szóstego Komanda. Jako powód odejścia z Piątego podał szykany, których jakoby nie szczenił mu małostkowy angielski dowódca, nie mający dość cywilnej odwagi, by uznać nieprzeciętne zdolności niższego rangą Francuza. Denard łatwo uwierzył w tę bajeczkę i uczynił go zastępcą dowódcy mniejszego komanda, nominalnie podległego Szóstemu, ale w rzeczywistości prawie całkowicie niezależnego. Było to stacjonujące w Watsa Czternaste Komando dowodzone przez Taverniera.

W roku 1966 i Hoare, i Ta vernier wycofali się z działalności bojowej i wrócili do domów. Czternaste Komando przeszło pod rozkazy Belga Wautiera. Roux pozostał na swoim stanowisku i natychmiast zniechędził nowego dowódcę, bynajmniej nie dlatego, że Belg naraził mu się w jakikolwiek sposób. Powodem nienawiści było to, że Roux miał nadzieję przejąć dowództwo po Tavernierze; tak się jednak nie stało.

Czternaste Komando, składające się głównie z Katangijczyków, stanowiło główną siłę uderzeniową podczas zorganizowanego w 1966 roku buntu przeciwko kongijskiemu rządowi. Całą operację zaplanował precyzyjnie Wautier, i przypuszczalnie odniósłby sukces. Czarny Jacques Schramme czekał w pogotowiu ze swoim Dziesiątym Komandem, śledząc rozwój wydarzeń. Gdyby to Wautier dowodził rewoltą, prawdopodobnie zakończyłaby się ona powodzeniem; Czarny Jacques w odpowiedniej chwili wprowadziłby do akcji swój oddział i rząd Konga znalazłby się na przegranej pozycji. Wautier przerzucił Czternaste Komando do Stanleyville, gdzie na lewym brzegu Rzeki Kongo znajdował się ogromny arsenał. Ten, kto by go opanował, miałby wystarczająco dużo broni i amunicji, by przez kilka lat sprawować kontrolę nad centralnymi i wschodnimi rejonami kraju. Jednak Wautier został zastrzelony na dwie godziny przed atakiem, i choć nigdy tego nie udowodniono, człowiekiem, który wpakował mu kulę w tył głowy, był Charles Roux. Należało odwołać akcję, Roux jednak uparł się, aby objąć dowództwo, i bunt zakończył się całkowitą klęską: jego ludziom nie udało się nawet przedostać na lewy brzeg rzeki, kongijska armia widząc, że arsenał pozostał w jej rękach, ruszyła natychmiast do ataku, a oddział został wybity do ostatniego człowieka. Schramme dziękował Opatrzności, że nie zdążył wziąć udziału w tym przedsięwzięciu. Przerażony Roux zwrócił się o pomoc do Petersa, nowego dowódcy anglojęzycznego Piątego Komanda, a ten owinął go bandażami i przeschmugłował za granicę.

Roux odleciał do RPA jedynym samolotem, jaki startował tego dnia, ale po dziesięciu miesiącach wrócił do Konga, tym razem w towarzystwie pięciu Afrykanerów. Dowiedział się o przygotowaniach do nowego buntu i dołączył do Schramme'a w kwaterze głównej Dziesiątego Komanda w pobliżu Kindu. Kiedy wybuchła rewolta — tym razem z udziałem Schramme'a i Denarda — Roux znowu przebywał w Stanleyville. Zaledwie po kilku godzinach Denard został przypadkiem trafiony w głowę rykoszetem pocisku wystrzelonego przez kogoś z jego ludzi. W kluczowym momencie połączone komanda Szóste i Dziesiąte straciły dowódcę. Roux stwierdził, że jako Francuz i jedyny człowiekiem o wystarczających umiejętnościach i doświadczeniu on, a nie Schramme, powinien zająć miejsce Denarda.

Jednak wybór padł na Schramme'a — bynajmniej nie dlatego, że był najlepszym dowódcą białych najemników, ale dlatego, że był jedynym białym najemnikiem, aprobowanym przez miejscowych żołnierzy, a bez nich garstka Europejczyków nie miała co liczyć na sukces.

Kandydatura Roux upadła z dwóch powodów. Po pierwsze, Katangijczycy gardzili nim i nie ufali mu, pamiętając o swoich rodakach, których rok wcześniej poprowadził na śmierć. Podczas zebrania najemników, zwołanego jeszcze tej samej nocy, kiedy ranny Denard został ewakuowany do Rodezji,

wystąpił przeciwko Roux Shannon, który półtora roku wcześniej przeniósł się do Szóstego Komanda, nie chcąc służyć w Piątym pod dowództwem Petersa.

Tym razem także nie udało się zdobyć arsenału, więc Schramme zarządził długi marsz ze Stanleyville do Bukavu, wypoczynkowej miejscowości położonej nad jeziorem Bukavu. Gdyby sprawy zaczęły wyglądać nieciekawie, wystarczyło przejść przez most na drugi brzeg jeziora, by znaleźć się w sąsiedniej Rwandzie.

Roux nienawidził Shannona, więc Schramme przydzielił im zadania na przeciwnych końcach konwoju, aby przypadkiem nie wpadli na siebie. Shannon został dowódcą oddziału torującego drogę w trudnym, rojącym się od nieprzyjaciół terenie, Roux natomiast osłaniał tyły długiej kolumny złożonej z najemników, miejscowych żołnierzy i ludności cywilnej.

Spotkali się dopiero w Bukavu, po tym, jak najemnicy zajęli miasto, a kongijscy żołnierze otoczyli ich ze wszystkich stron, pozostawiając wolną jedynie drogę przez most na jeziorze.

Stało się to we wrześniu roku 1967. Grali w karty, Roux był pijany. Ponieważ nie mógł się skoncentrować, przegrał sporo, po czym oskarżył Shannona o oszustwo. Shannon odparł, że Roux spieprzył partię z tego samego powodu, z którego nie potrafił poradzić sobie z blokującymi drogę Simbami: brakowało mu odwagi. Przy stoliku zapadła śmiertelna cisza, inni najemnicy zaczęli powoli wycofywać się pod ściany, ale Roux stchórzył — nie wykonał najmniejszego ruchu i pozwolił Irlandczykowi wstać od stołu. Dopiero kiedy Shannon znalazł się przy drzwiach, Francuz zerwał się z krzesła i wyszarpnął z kabury colta kalibru 45.

Jednak Shannon okazał się szybszy. Usłyszawszy skrzypnięcie krzesła odwrócił się błyskawicznie, wyciągnął rewolwer, po czym nie celując strzelił przez całą długość pomieszczenia. Miał szczęście, gdyż kula trafiła Roux tylko w prawe ramię, rozszarpała mu biceps i wyszła drugą stroną. Ramię Francuza zwisało bezwładnie, a krew spływała na leżącą na podłodze, bezużyteczną już broń.

— Pamiętam jeszcze jedno — powiedział głośno Shannon. — Pamiętam, jak zginął Wautier.

Roux był skończony. Przedostał się do Rwandy, pojechał do stolicy republiki, Kigali, a stamtąd poleciał do Francji. Dzięki temu ominęła go kapitulacja Bukavu oraz pięć miesięcy obozu dla internowanych w Kigali. Stracił jednak szansę na wyrównanie rachunków z Shannonem.

Ponieważ wrócił do Paryża jako jeden z pierwszych, udzielił kilku wywiadów, w których opowiadał głównie o swoich niezwykłych wyczynach, ranie odniesionej na polu bitwy, oraz pragnieniu powrotu i ponownego objęcia dowództwa. Klęska pod Dilolo, gdzie wyleczony Denard przegrał usiłując przeprowadzić źle zaplanowaną inwazję na Kongo z terytorium Angoli, by odciągnąć część sił nieprzyjaciela z Bukavu, oraz jego późniejsza decyzja o przejściu do cywila, dały Roux pretekst do twierdzenia, iż jest przywódcą wszystkich francuskich najemników.

Dzięki grabieżom, jakich dopuszczał się w Kongu, miał sporo pieniędzy. Płacił przeróżnym opojom i włóczęgom lubiącym podawać się za najemników, którzy w zamian za to gorliwie rozgłaszali opowieści o jego niesłychanym męstwie. Zyskał także coś w rodzaju ich lojalności, choć dotyczyła ona raczej jego pieniędzy niż osoby.

Henri Alain należał właśnie do tych ludzi, podobnie jak następny gość, który zjawił się na telefoniczne wezwanie. Był prawdziwym najemnikiem, tyle że bardzo szczególnego rodzaju.

Raymond Thomard był zabójcą z zawodu i zamiłowania. Ścigany przez policję, trafił kiedyś do Konga, gdzie Roux wykorzystywał go do najbrudniejszej roboty. Dzięki niewielkiej sumce i fałszywemu przekonaniu o wielkości Roux, Thomard stał się tak lojalny jak tylko lojalny może być płatny morderca.

— Mam dla ciebie robotę — powiedział Roux. — Kontrakt wartości pięciu tysięcy dolarów.

Jesteś zainteresowany?

Thomard uśmiechnął się.

— Jasne, patron. Kogo mam załatwić?

— Cata Shannona.

Uśmiech zniknął z twarzy Thomarda.

— Wiem, że jest dobry — ciągnął Roux, nie dopuszczając zabójcy do głosu. — Ale ty jesteś lepszy. Poza tym on o niczym nie wie. Kiedy znów przyjedzie do Paryża, dostaniesz jego adres, pójdziesz za nim i sprzątniesz go wtedy, kiedy uznasz za stosowne. Czy on cię kiedyś widział?

Thomard pokręcił głową.

— Nigdy się nie spotkaliśmy. Roux poklepał go po plecach.

— W takim razie nie masz się czym przejmować. Dzwon od czasu do czasu. Powiem ci, gdzie i kiedy go znajdziesz.

03.Psy Wojny

3

List, który Simon Endean wysłał we wtorek wieczorem z Londynu, dotarł do Handelsbanku w Zurychu w czwartek rano. Zgodnie z zawartymi w liście instrukcjami bank przekazał teleksem 10 000 funtów na konto pana Keitha Browna w Kredietbanku w Brugii.

W południe pan Goossens zapoznał się z treścią teleksu, po czym niezwłocznie dokonał przelewu 5000 funtów na konto pana Browna w Londynie. Tuż przed czwartą tego samego dnia Shannon zadzwonił do banku na West Endzie i dowiedział się, że pieniądze są już na koncie. Poprosił więc kierownika, aby umożliwił mu podjęcie trzech i pół tysiąca funtów gotówką. Obiecano mu, że pieniądze będą na niego czekały następnego dnia o wpół do dwunastej.

Tegoż ranka kilka minut po dziewiątej Martin Thorpe zjawił się w gabinecie sir Jamesa Mansona, by przedstawić mu wyniki swoich poszukiwań. Dwaj mężczyźni przejrżeli wspólnie krótką listę oraz kopie dokumentów uzyskane we wtorek i środę w rejestrze firm, po czym Manson rozparł się wygodnie w fotelu i spojrzał w sufit.

— Nie ulega wątpliwości, że masz rację co do Bormaca — powiedział — ale dlaczego, do wszystkich diabłów, jeszcze nikt nie wykupił akcji należących do głównego udziałowca?

To samo pytanie Martin Thorpe zadawał sobie przez całą minioną noc i dzień.

Bormac Trading Company, sp. z o. o., została utworzona w 1904 roku w celu eksploatacji licznych plantacji drzew kauczukowych, założonych pod koniec ubiegłego wieku na terenach, gdzie było łatwo o tanią chińską siłę roboczą.

Pomysłodawcą był obrotny i zarazem bezwzględny Szkot nazwiskiem Ian Macallister — od 1921 sir Ian Macallister — a plantacje znajdowały się na Borneo. Stąd właśnie nazwa firmy.

Bardziej człowiek czynu niż biznesmen, Macallister zgodził się w 1903 roku nawiązać współpracę z grupą londyńskich biznesmenów. Rok później powstała spółka Bormac, na rynek zaś trafiło pół miliona akcji. Macallister, który nieco wcześniej ożenił się z siedemnastoletnią dziewczyną, otrzymał 150 000 akcji, miejsce w zarządzie oraz dożywotnie stanowisko dyrektora wszystkich plantacji.

Dziesięć lat po założeniu spółki londyńscy biznesmeni zawarli kilka lukratywnych kontraktów z firmami zbrojeniowymi, co doprowadziło do wzrostu kursu akcji z czterech szylingów do ponad dwóch funtów za sztukę. Boom trwał do roku 1918, po czym nastąpiły nieco gorsze czasy, ale w latach dwudziestych w związku z motoryzacyjnym szaleństwem wzrosło zapotrzebowanie na ogumienie i akcje znowu poszły w górę. Zdecydowano się więc wypuścić ich dodatkowy pakiet, zwiększając całkowitą liczbę akcji do jednego miliona, z czego sir Ianowi przypadło 300000 sztuk. Było to ostatnie tego rodzaju przedsięwzięcie w historii firmy.

Wraz z nadejściem Wielkiego Kryzysu ceny akcji gwałtownie spadły, a około roku 1937 znowu zaczęły powoli piąć się w górę. Wtedy właśnie jeden z chińskich robotników wreszcie wpadł w szal i poszatkował wielkim ostrym parangiem śpiącego spokojnie sir Iana. Zwierzchnictwo nad plantacjami objął jego zastępca, ale brakowało mu zapału tragicznie zmarłego pryncypała, więc produkcja zaczęła spadać, a koszta zwyżkować. Wybuch drugiej wojny światowej mógł oznaczać kolejny boom dla firmy, gdyby nie to, że w 1941 roku Japończycy dokonali inwazji na Borneo, kładąc kres wszelkiej produkcji w tym rejonie.

Ostateczny wyrok śmierci na spółkę został podpisany przez indonezyjskich nacjonalistów, którym w 1948 roku udało się przejąć kontrolę nad holenderskimi Indiami Wschodnimi i Borneo. W wyniku podziału wyspy na Borneo indonezyjskie i brytyjskie wszystkie plantacje znalazły się po stronie indonezyjskiej i natychmiast zostały znacjonalizowane bez żadnego odszkodowania dla właścicieli.

Mimo to od ponad dwudziestu lat firma walczyła o przeżycie, topiąc pieniądze w beznadziejnych procesach z reżimem prezydenta Sukarno i bezskutecznie próbując odzyskać utracony majątek. Kiedy Martin Thorpe natrafił na pierwszą wzmiankę na jej temat, jedna akcja Bormac Trading Company była warta równo jednego szylinga, najwyższy zaś kurs zanotowany w minionym roku wyniósł jeden szyling i trzy pensy.

Zarząd składał się z pięciu osób, a zgodnie ze statutem do podjęcia decyzji wystarczała już obecność dwóch. Okazało się, że pod adresem spółki znajduje się siedziba starej firmy prawniczej; jeden z jej współwłaścicieli był także sekretarzem spółki oraz członkiem zarządu. Biura należące niegdyś do Bormac Trading Company zostały już dawno sprzedane ze względu na wysokie koszty utrzymania. Spotkania zarządu odbywały się bardzo rzadko, i z reguły uczestniczyli w nich jedynie przewodniczący — wiekowy dżentelmen z Sussex, młodszy brat byłego zastępcy sir lana, zabitego przez Japończyków podczas wojny — oraz współwłaściciel firmy prawniczej, a tylko czasem któryś z trzech pozostałych członków zarządu. Nie było o czym radzić, obecne zaś dochody spółki pochodziły z nieregularnie przesyłanych rat odszkodowania za zagarnięty majątek, które zgodził się wypłacać rząd generała Suharto.

Wszystkich pięciu członków zarządu dysponowało w sumie 18 procentami z miliona akcji, 52 procent zaś należało do sześciu i pół tysiąca akcjonariuszy rozproszonych po całym kraju. Spośród tych 52 procent prawie wszystkie leżały zapewne, zupełnie zapomniane, na dnie sejfów lub szuflad w prawniczych biurach.

Jednak nie te akcje interesowały Thorpe'a i Mansona. Gdyby chcieli przejąć kontrolę nad spółką, wykupując je stopniowo na wolnym rynku, zajęłoby im to wiele lat i nie zdołaliby utrzymać sprawy w tajemnicy. Zależało im wyłącznie na pakiecie 300 000 akcji, których właścicielką była owdowiała lady Macallister.

Dlaczego do tej pory nikt nie kupił od niej tych akcji i nie zapewnił sobie w ten sposób kontroli nad niegdyś znakomicie prosperującą firmą, która teraz mogła stanowić wspianą zasłonę dla równie dobrych, choć może niezupełnie legalnych interesów, było zagadką. Spółka znakomicie nadawała się do tego celu, gdyż zgodnie ze swoim statutem mogła zajmować się szeroko rozumianą eksploatacją zasobów naturalnych poza granicami Zjednoczonego Królestwa.

— Powinna teraz mieć około osiemdziesięciu pięciu lat — powiedział Thorpe. — Mieszka w wielkim ohydny bloku w Kensington pod strażą starej damy do towarzystwa, czy jak tam się na nie mówi.

— Na pewno otrzymywała wiele propozycji... — mruknął z namysłem sir James. — Dlaczego nie chce się ich pozbyć?

— Może po prostu nie ma ochoty niczego sprzedawać albo nie podobali jej się ci, którzy jej to proponowali. Starzy ludzie mają swoje dziwactwa.

Nie tylko starzy ludzie postępują czasem wbrew logice w dziedzinie operacji giełdowych. Wielu brokerów było świadkami sytuacji, kiedy klient nie przyjmował bardzo korzystnej oferty jedynie dlatego, że składający ją człowiek nie wzbudzał w nim zaufania.

Sir James Manson wyprostował się gwałtownie w fotelu i oparł łokcie na biurku.

— Martin, przeświatl tę kobietę. Dowiedz się, kim jest, co myśli, co jej się podoba, czego nienawidzi, jaki ma gust, a przede wszystkim znajdź jej słaby punkt. Musi coś takiego być, jakaś

drobnostka, której nie będzie umiała się oprzeć i dla której sprzeda swoje udziały. Przymuszczalnie nie chodzi o pieniądze, bo tych mogła mieć pod dostatkiem. Dowiedz się, co to jest.

Thorpe wstał i skierował się do drzwi, ale Manson przywołał go do biurka i wyjął z szuflady sześć egzemplarzy formularza, który należy złożyć w banku Zwingli, aby otworzyć konto. Wyjaśnił krótko, co trzeba z nimi zrobić, a Thorpe skinął głową.

— Jeśli polecisz jutro z samego rana, zdążysz wrócić jeszcze przed wieczorem — powiedział mu na pożegnanie Manson.

Simon Endean zadzwonił do Shannona kilka minut po drugiej i usłyszał szczegółową relację z poczynąń najemnika. Spodobała mu się zwięzła forma raportu; zanotował najważniejsze szczegóły, aby później przekazać je sir Jamesowi.

Potem Shannon przedstawił kolejne żądania.

— Do południa w najbliższy poniedziałek proszę przekazać teleksem pięć tysięcy funtów na konto Keitha Browna w Banque de Luxembourg w Luksemburgu, i taką samą sumę do środy rano na moje konto w głównej siedzibie Landesbanku w Hamburgu.

Wyjaśnił pokrótce, w jaki sposób sprowadził do Londynu pierwsze 5000 funtów, oraz przekazał do Brugii również 5000, które miały służyć jako ewentualna rezerwa. Przelewy do Luksemburga i Niemiec były konieczne. Przed przystąpieniem do konkretnych negocjacji trzeba będzie okazać dostawcom potwierdzony czek z miejscowego banku. Później większość pieniędzy zostanie przesłana do Brugii, a wydatki będą dokładnie rozliczone.

— W każdej chwili mogę okazać panu dokładne zestawienie już poniesionych i planowanych wydatków, ale potrzebuję do tego pańskiego adresu.

Endean podał mu adres biura zajmującego się pośrednictwem w przekazywaniu korespondencji, gdzie wynajął skrytkę na nazwisko Walter Harris, i obiecał w ciągu godziny wysłać instrukcje do Zurychu, aby oba przekazy dla Keitha Browna nadeszły terminowo do Luksemburga i Hamburga.

Janni Dupree zadzwonił z lotniska o piątej po południu. Była to najdłuższa podróż w jego życiu: najpierw z Kapsztadu do Johannesburga, potem długi przeskok liniami SAA do Luandy w portugalskiej Angoli i na Isla del Sol, żeby uniknąć przelotu nad terytorium któregoś z państw Czarnej Afryki, a wreszcie stamtąd do Londynu. Shannon polecił mu natychmiast wsiąść do taksówki i przyjechać.

O szóstej w mieszkaniu zjawili się pozostali trzej najemnicy, by przywitać kolegę z Afryki Południowej. Kiedy Janni usłyszał propozycję Shannona, jego twarz wykrzywiła się w szerokim uśmiechu.

— Będziemy się znowu bić? Jeśli tak, to jestem z wami.

— Równy gość z ciebie. W takim razie słuchaj uważnie: zostaniesz w Londynie i wynajmiesz sobie jakieś małe mieszkanie. Jutro pomogę ci się tym zająć. Przejrzemy Evening Standard i na pewno znajdziemy coś odpowiedniego.

Potem kupisz dla nas wszystkich ubrania. Potrzebujemy pięćdziesięciu bawełnianych koszulek, pięćdziesięciu par krótkich gaci i pięćdziesięciu par cienkich nylonowych skarpetek. Później dostaniesz szczegółową listę. Oprócz tego trzeba nam pięćdziesięciu par spodni i tyle samo zapinanych na suwak kurtek w kolorach ochronnych.

Wszystko to możesz dostać zupełnie legalnie w sklepach sportowych, ze sprzętem turystycznym i rzeczami z demobilu. Ostatnio nawet hipisi noszą mundurowe kurtki, nie mówiąc już o myśliwych i wędkarzach.

Koszulki, skarpetki i gacie kupisz w jednych sklepach, spodnie i bluzy gdzie indziej. Do tego jeszcze pięćdziesiąt szarych beretów i pięćdziesiąt par butów. Spodnie mogą być duże, później

najwyżej się je skróci. Jeśli chodzi o bluzy, to połowę weź w największym rozmiarze, a połowę w średnim. Buty najlepiej wybierz w jakimś sklepie ze sprzętem turystycznym — nie żadne wojskowe buciory, ale lekkie, z impregnowanego płótna, sznurowane z przodu.

Potrzebujemy też pięćdziesięciu pasów z ładownicami, tornistrów i plecaków na lekkich stelazach, które po małych przeróbkach znakomicie nadają się do transportu amunicji do bazook. Aha, jeszcze pięćdziesiąt lekkich śpiworów. Jasne? Szczegółową listę dostaniesz później.

Dupree skinął głową.

— Pewnie. Ile to wszystko będzie kosztować?

— Około tysiąca funtów. A teraz powiem ci, jak masz się tym zająć. Weźmiesz książkę telefoniczną, znajdziesz odpowiednie sklepy, a potem zamówisz w każdym co innego, zapłacisz gotówką i natychmiast zabierzesz towar. Nie podawaj prawdziwego nazwiska ani adresu — choć wątpię, czy ktoś będzie cię o to pytał.

Kiedy już wszystko kupisz, złożysz to w zwyczajnym magazynie, zapakujesz w skrzynie i zgłosisz do ośmiu różnych firm spedycyjnych zajmujących się przewozami zagranicznymi. Niech przesyłają ładunek partiami pod adres agenta w Marsylii, gdzie odbierze je pan Jean-Baptiste Langarotti.

— Jakiego agenta? — zapytał Dupree.

— Jeszcze nie wiemy — odparł Shannon, po czym zwrócił się do Korsykanina: — Jean, jak tylko znajdziesz człowieka, który zajmie się przewiezieniem łodzi i silników, prześlij jego dane do Londynu. Jeden egzemplarz dla mnie, pod ten adres, drugi dla Jana Dupree, poste restante, urząd pocztowy Trafalgar Square, Londyn. Masz to?

Langarotti zapisał adres, Shannon zaś w tym czasie przetłumaczył swoje instrukcje Janniemu.

— Janni, zjrzyj tam w najbliższym czasie i załatw sobie skrzynkę poste restante. Potem zaglądaj przynajmniej raz w tygodniu, czy nie przyszedł list od Jeana. Kiedy już dostaniesz namiary, każ swoim firmom wysyłać skrzynie drogą morską do Marsylii, zaznaczając, że nie jest to port docelowy. Odbiorcą będzie Langarotti. A co do pieniędzy: właśnie poinformowano mnie, że nadszedł przekaz z Brukseli.

Shannon zebrał od wszystkich odcinki biletów lotniczych, po czym wyjął z szuflady biurka cztery przygotowane wcześniej listy zaadresowane do pana Goossensa z Kredietbanku w Brugii. Treść wszystkich listów była mniej więcej taka sama: pan Goossens jest proszony o niezwłoczne przelanie z konta pana Keitha Browna na konto pana X takiej to a takiej sumy w dolarach USA.

W puste miejsca wpisał kwoty stanowiące równowartość biletów lotniczych z Ostendy, Marsylii, Monachium i Kapsztadu do Londynu. Oprócz tego każdy list zobowiązywał pana Goossensa do natychmiastowego wpłacenia na konto każdej z wymienionych osób 1250 dolarów. Operacja ta miała zostać powtórzona piątego maja, a potem piątego czerwca. Najemnicy podyktowali Shannonowi numery kont i nazwy banków — w większości szwajcarskich.

Kiedy skończył, każdy z jego ludzi zapoznał się ze swoim listem, po czym Shannon podpisał je w sposób ustalony z panem Goossensem, zakleił koperty i wręczył je zainteresowanym. Dał jeszcze każdemu 50 funtów na pokrycie kosztów 48-godzinnego pobytu w Londynie i umówił się z nimi na jedenastą rano następnego dnia przed wejściem do swojego banku.

Kiedy wyszli, usiadł znów przy biurku i napisał długi list do pewnego człowieka w Afryce. Następnie zadzwonił do znajomego pisarza, który, upewniwszy się wcześniej, że może to uczynić, podał mu potrzebny adres. Jeszcze tego wieczoru Shannon wysłał list pocztą ekspresową, po czym zjadł samotnie kolację.

Tuż przed lunchem Martin Thorpe został wprowadzony do gabinetu doktora Steinhofera w banku Zwingli. Jako osobisty wysłannik sir Jamesa Mansona Thorpe był przyjmowany z takimi samymi

honorami.

Wręczył bankierowi sześć prawidłowo wypełnionych i podpisanych wniosków o otwarcie kont. Na osobnych arkuszach znajdowały się po dwa wzorcowe podpisy każdego z wnioskodawców. Byli to panowie Adams, Ball, Carter, Davies, Edwards i Frost.

Do każdego wniosku dołączono dwie koperty. Pierwsza zawierała uwierzytelnione pełnomocnictwo, w którym każdy z nieobecnych dżentelmenów zezwalał panu Martinowi Thorpe'owi na swobodne i nieograniczone dysponowanie jego kontem, druga zaś list od sir Jamesa Mansona, w którym sir James prosił doktora Steinhofera o przekazanie ze swego konta na konto każdego współnika okrągłej sumy 50000 funtów.

Doktor Steinhofer nie był ani tak naiwny, ani tak niedoświadczony, aby uwierzyć, że fakt, iż nazwiska wszystkich sześciu „wspólników” zaczynają się od kolejnych liter alfabetu, stanowił jedynie godny uwagi przypadek, lecz jednocześnie nie miał najmniejszych wątpliwości, że nawet jeśli ludzie ci nie istnieją — a wszystko na to wskazywało — nie powinno go to nic obchodzić. Jeżeli zamożny angielski biznesmen zadaje sobie tyle trudu, żeby ominąć obowiązujące w Wielkiej Brytanii przepisy, to jest to wyłącznie jego sprawa. Poza tym doktor Steinhofer znał tyle tajemnic wielu innych londyńskich rekinów finansowych, że gdyby je ujawnił, brytyjskie Ministerstwo Handlu miałoby czym się zajmować co najmniej do końca stulecia.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego bez wahania wyciągnął rękę i przyjął od Thorpe'a wypełnione formularze. Jeśli wartość akcji firmy, którą sir James starał się dyskretnie wykupić, miała wkrótce raptownie pójść w górę, to doktor Steinhofer mógł przy okazji nabyć dla siebie ich skromny pakiecik.

— Spółka, którą mamy na uwadze, nazywa się Bormac Trading Company — poinformował go Thorpe przyciszonym głosem, a następnie opowiedział o sytuacji finansowej firmy oraz o tym, że lady Macallister kontroluje 300000 akcji, czyli 30 procent ich ogólnej liczby. — Mamy podstawy, aby przypuszczać, że próbowano już nakłonić starą damę do pozbycia się pakietu, ale wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem — ciągnął. — Może nam się uda. Gdyby się nie udało, jesteśmy i tak zdecydowani przejąć jakąś inną firmę.

Doktor Steinhofer słuchał w milczeniu, paląc cygaro.

— Jak pan wie, gdyby taka ilość akcji trafiła w ręce jednego nabywcy, musiałby on ujawnić swoją tożsamość. Dlatego oficjalnie kupującymi będą panowie Adams, Ball, Carter i Davies, z których każdy przejmie siedem i pół procent udziałów. Chcielibyśmy, aby występował pan w imieniu wszystkich czterech.

Doktor Steinhofer skinął głową. To była standardowa procedura.

— Naturalnie, panie Thorpe.

— Ja ze swej strony postaram się przekonać lady Macallister, że akcje naprawdę kupują osoby figurujące w dokumentach. Wolałbym, żeby nie dowiedziała się o pańskim pośrednictwie, gdyż wiele starszych osób w Wielkiej Brytanii, a szczególnie dam, uważa szwajcarskie banki za... hmm... dość mało wiarygodne instytucje.

— Chciał pan zapewne powiedzieć: podejrzane. Doskonale pana rozumiem. Umówmy się więc, że da mi pan znać, kiedy uda się panu dotrzeć do tej damy, a wtedy postaramy się zorganizować wszystko jak najlepiej. Proszę zapewnić sir Jamesa, że nie ma się czego obawiać: zakupu dokonają cztery różne osoby i nikt nie będzie niczego podejrzewał.

Zgodnie z przewidywaniami sir Jamesa Mansona, Thorpe wrócił do Londynu jeszcze przed wieczorem.

Kiedy Shannon kilka minut przed dwunastą wyszedł z banku, trzymając w ręku cztery brązowe

koperty, czterej najemnicy czekali już na niego.

— Marc, to dla ciebie. W środku jest pięćset funtów. Mieszkasz w domu, więc będziesz miał najmniejsze wydatki. Za te pieniądze kupisz ciężarówkę i wynajmiesz zamykany garaż. Kupisz też parę innych rzeczy. Pełną listę znajdziesz w kopercie. Znajdź człowieka, który sprzedaje schmeissery i umów mnie z nim. Za jakieś dziesięć dni zadzwonię do ciebie do baru.

Wielki Belg skinął głową. Nie zwlekając zatrzymał taksówkę i kazał kierowcy zawieźć się na Victoria Station, skąd odjeżdżał pociąg do Ostendy.

— Kurt, to twoja koperta. Dostałeś tysiąc funtów, bo będziesz musiał znacznie więcej podróżować. Masz czterdzieści dni na znalezienie odpowiedniego statku. Kontaktuj się ze mną telefonicznie i telegraficznie, ale zachowaj jak największą ostrożność. Tylko w listach możesz pisać o wszystkim. Jeśli ktoś przechwytuje moją pocztę, to i tak jesteśmy już skończeni.

Jean-Baptiste, w twojej kopercie jest pięćset funtów, które muszą wystarczyć ci na czterdzieści dni. Nie ładuj się w żadne kłopoty i staraj się unikać miejsc, które zwykle odwiedzasz. Zawiadom mnie listownie, jak tylko zdobędziesz łodzie i silniki. Podaj też numer konta, a ja prześlę ci pieniądze. Aha, nie zapomnij o firmie przewozowej. Postaraj się, żeby od początku do końca wszystko odbywało się zupełnie legalnie.

Francuz i Niemiec odebrali swoje koperty, po czym wsiedli do taksówki, która miała zawieźć ich na lotnisko. Stamtąd Semmler wybierał się do Neapolu, Langarotti zaś do Marsylii.

Shannon ujął Janniego pod ramię i razem ruszyli w kierunku Piccadilly Circus.

— Janni, masz tutaj półtora tysiąca funtów — powiedział, podając mu kopertę. — Tysiąc powinno wystarczyć na wszystkie zakupy i opłaty za składowanie i transport, a za pozostałe pięćset spokojnie utrzymasz się przez najbliższy miesiąc. Zabierz się do pracy już w poniedziałek rano. Przez weekend możesz przygotować sobie listę sklepów i dostawców. Zależy mi na tym, żebyś załatwił wszystko w ciągu miesiąca, bo najdalej za czterdzieści pięć dni chcę mieć wszystko w Marsylii.

Kupił Evening Standard, otworzył na stronie z ogłoszeniami o mieszkaniach do wynajęcia i podał gazetę Janniemu. Jak zwykle do wyboru było ponad trzysta mieszkań, opłaty zaś wahały się od sześciu do dwustu funtów tygodniowo.

— Wybierz sobie jeszcze dzisiaj coś niedużego i jutro rano podaj mi adres.

Rozstali się w pobliżu Hyde Park Corner.

Sporządzenie szczegółowej listy wydatków zajęło Shannonowi cały wieczór. Z zestawienia wynikało, że niewiele zostało z 5000 funtów przekazanych z Brugii; ostatnie kilkaset funtów Shannon postanowił zostawić na swoim londyńskim koncie w charakterze rezerwy.

Przypomniał także Endeanowi, iż nie otrzymał jeszcze ani szylinga z honorarium wynoszącego 10 000 funtów i zaproponował mu, by dokonał przelewu na jego szwajcarskie konto lub przekazał pieniądze do banku w Brugii na nazwisko Keitha Browna.

Jeszcze tego samego wieczoru wsadził listę do koperty i wysłał pod adres podany przez Simona Endeana.

Ponieważ miał wolny weekend, zadzwonił do Julii Manson i zaproponował jej kolację. Co prawda miała zamiar wyjechać na wieś do rodziców, ale natychmiast zawiadomiła ich, że odwołuje wizytę. Przygotowanie się do randki zajęło jej sporo czasu. Przyjechała po Shannona swoim czerwonym MGB. Za kierownicą samochodu sprawiała wrażenie impertynenckiej i zepsutej dziewczyny.

— Zamówiłeś już stół?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Moglibyśmy pojechać gdzieś, gdzie często bywam — zaproponowała. — Poznałbyś moich

przyjaciół...

Shannon potrząsnął głową.

— Nic z tego — odparł stanowczo. — Znam to na pamięć. Wszyscy będą mnie oglądali jak jakieś zwierzę w zoo i będę musiał odpowiadać na jakieś idiotyczne pytania. Mam tego dosyć.

— Kociaczkę, kochanie, proszę...

— Nie ma mowy.

— A gdybym nie pisnęła ani słowa o tym, kim jesteś i co robisz? Chodź, przecież nikt cię nie rozpozna.

Opór Shannona osłabł.

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem — zastrzegł. — Nazywam się Keith Brown, rozumiesz? Keith Brown, i to wszystko. Nie powiesz nikomu ani słowa więcej na mój temat.

Julia zachichotała.

— Wspaniały pomysł. Oto Najbardziej Tajemniczy Człowiek na Świecie we własnej osobie! W takim razie chodźmy, panie Brown.

Zabrała go do Trampsa, gdzie wszyscy ją znali. Kiedy weszli do lokalu, od stolika wstał Johnny Gold i ucałował ją serdecznie w oba policzki, po czym uścisnął Shannonowi rękę. Julia przedstawiła obu mężczyznom.

— Miło mi cię poznać, Keith. Życzę dobrej zabawy.

Usiedli przy jednym ze stolików ustawionych rzędem równoległe do baru i zaczęli posiłek od sałatki z homarów podawanej w wydrążonym ananasie. Shannon, siedzący przodem do sali, przyglądał się gościom. Sądząc po długich włosach i swobodnych ubiorach, większość z nich pracowała w show biznesie lub czymś w tym rodzaju. Inni wyglądali na młodych biznesmenów starających się nadać za modą albo polujących na jakąś atrakcyjną modelkę lub aktorkę. W pewnej chwili po przeciwnej stronie sali Shannon dostrzegł znajomą twarz. Julia nie mogła jej widzieć.

Po homarze Shannon zamówił pieczone kielbaski, a następnie przeprosił dziewczynę, podniósł się z miejsca i niespiesznym krokiem przeszedł do holu, jakby miał zamiar udać się do łazienki. Dwie sekundy później poczuł na ramieniu czyjąś dłoń; odwróciwszy się ujrzał przed sobą Simona Endeana.

— Czy pan oszalał? — syknął twardy chłopak z City. Shannon otworzył szeroko oczy i spojrzał na niego z udawanym zdumieniem.

— Nie wydaje mi się — odparł. — Dlaczego pan tak sądzi? Endean otwierał już usta, ale w porę się pohamował. Znał wystarczająco dobrze swojego szefa, by wiedzieć, jak bardzo Manson kocha swą „małą i niewinną” córeczkę, oraz jak by zareagował na wiadomość o tym, że Julia spotyka się z Shannonem albo, co gorsza, z nim sypia.

Znalazł się w kropce. Był pewien, że Shannon nadal nie zna jego prawdziwego nazwiska ani nie wie o istnieniu sir Jamesa Mansona. Gdyby teraz obsztorcował najemnika za to, że spotyka się z córką właściciela ManCon, zniszczyłby przygotowany z takim trudem kamuflaż. Nie mógł mu także nakazać, żeby zostawił dziewczynę w spokoju, gdyż Shannon z pewnością powiedziałby o tym Julii i w ten sposób dowiedział się, kim naprawdę jest Endean.

— Co pan tu robi? — zapytał, stłumiwszy z trudem gniew.

— Jem kolację — odparł Shannon, nadal udając zdumienie. — Posłuchaj, Harris: jeśli mam ochotę pójść gdzieś na kolację, to jest to wyłącznie moja sprawa. I tak czeka mnie nudny weekend, bo do Luksemburga mogę polecieć dopiero w poniedziałek.

Endean zdenerwował się jeszcze bardziej. Nie mógł wyjaśnić Shannonowi, że tym razem nie obchodzi go, jak najemnik radzi sobie ze swoim zadaniem.

— Kim jest ta dziewczyna? Irlandczyk wzruszył ramionami.

— Na imię ma Julia. Dwa dni temu poznałem ją w kawiarni.

— Poderwał ją pan? — zapytał z przerażeniem Endean.

— Chyba można tak to nazwać. A bo co?

— Nic takiego. Po prostu lepiej uważać z dziewczynami. Byłoby lepiej, gdyby na jakiś czas w ogóle pan z nich zrezygnował.

— Harris, naprawdę nie musisz się o to martwić. Nie puszczę pary

183

z ust ani w łóżku, ani poza nim. Przedstawiłem się jej jako Keith Brown. Zajmuję się poszukiwaniami ropy naftowej i spędzam w Londynie urlop.

Endean bez słowa odwrócił się na pięcie, kazał kelnerowi powiedzieć kolegom, z którymi przyszedł na kolację, że wezwano go do biura w pilnej sprawie, po czym opuścił pośpiesznie lokal, żeby Julia Manson go nie rozpoznała.

Shannon odprowadził go spojrzeniem do drzwi.

— Obyś nadział się na najgrubszy świder sir Jamesa Mansona — mruknął.

Znalazłszy się na chodniku przed restauracją, Endean zaklął pod nosem. Mógł się tylko modlić, aby to, co powiedział mu Shannon, było prawdą i żeby Julia Manson nie zechciała pochwalić się przed ojcem swoim nowym przyjacielem.

Shannon tańczył z dziewczyną prawie do trzeciej nad ranem, a w drodze do jego mieszkania po raz pierwszy doszło między nimi do kłótni. Zaczęło się od tego, że poradził jej, by nie mówiła nic ojcu o swoich spotkaniach z najemnikiem i nawet nie wymieniała jego nazwiska.

— Z tego, co mi o nim powiedziałaś, wynika, że jest przeczulony na twoim punkcie. Mógłby wysłać cię za granicę albo oddać pod nadzór sądu.

Natychmiast zaczęła sobie z niego żartować, mówiąc z poważną miną, że na pewno poradzi sobie z ojcem, tak jak czyniła to zawsze do tej pory, a nadzór sądowy uczyniłby ją sławną, gdyż rozpisywałyby się o tym wszystkie gazety. Poza tym Shannon mógłby odbić ją siłą i razem uciekliby gdzieś daleko.

Irlandczyk nie bardzo wiedział, czy to żarty, czy Julia mówi poważnie. W dodatku zaczął się obawiać, że posunął się trochę za daleko prowokując Endeana, choć przecież spotkali się zupełnie przypadkowo. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, kłócili się już na dobre.

— Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić, a czego nie! — oświadczyła dziewczyna, rzucając płaszcz na poręcz fotela.

— Owszem, ja będę ci to mówił! — warknął najemnik. — Nie wolno ci pisać ojcu ani słowa na mój temat, rozumiesz?

W odpowiedzi Julia pokazała mu język.

— Zrobię, co będę chciała! — oznajmiła i aby podkreślić wagę swoich słów, tupnęła mocno. Shannon rozzłościł się na dobre; chwycił ją wpół, zaniósł na fotel, usiadł i przełożył dziewczynę przez kolano. Przez następne pięć minut w pokoju rozlegały się tylko dwa odgłosy: piski dziewczyny i donośne klaśnięcia. Kiedy wreszcie ją puścił, szlochając głośno wybiegła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Shannon wzruszył ramionami. Tak czy inaczej, stało się, i już nic nie mógł na to poradzić. Poszedł do kuchni, zaparzył sobie kawę, po czym wypił ją powoli, stojąc przy oknie i spoglądając na tylne ściany otoczonych ogródkami, pograżonych w ciemności domów. Niemal wszyscy mieszkańcy szacownej dzielnicy byli pograżeni we śnie.

Kiedy wszedł do sypialni, przekonał się, że tam także jest ciemno. W kącie szerokiego łóżka

leżała skulona postać, ale panowała całkowita cisza, jakby dziewczyna wstrzymała oddech. Pośrodku pokoju Shannon zaplątał się w rzuconą byle jak na podłogę sukienkę, a nieco dalej kopnął jeden z pantofli. Usiadł na krawędzi łóżka, a kiedy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegł jej głowę na poduszce i wpatrzone w niego oczy.

— Jesteś okropny... — szepnęła.

Wyciągnął rękę i powoli, ale mocno, pogłaskał ją po karku.

— Nikt nigdy mnie nie uderzył.

— I dlatego wyrosłaś na to, czym jesteś — odparł cicho.

— To znaczy na co?

— Na małą, rozpieszczoną dziewczynkę.

— To nieprawda! — A po chwili: — Tak, to prawda... Nadal ją głaskał.

— Cat...

— Słucham?

— Naprawdę myślisz, że tata mógłby mnie dokądś wysłać, gdybym powiedziała mu o tobie?

— Tak, naprawdę tak myślę.

— I myślisz, że mu powiem?

— Wydawało mi się, że możesz to zrobić.

— Dlatego właśnie się rozżłościłeś?

— Tak.

— A więc zabiłeś mnie tylko dlatego, że mnie kochasz?

— Tak mi się wydaje.

Odwróciła głowę i Shannon poczuł na dłoni dotknięcie jej języka.

— Wskakuj do łóżka, kochanie. Nie mogę się doczekać...

Był jeszcze w połowie ubrany, kiedy odrzuciła koc, uklękła na materacu i zaczęła przesuwać ręce po jego piersi, jednocześnie obsypując go pocałunkami.

— Szybciej, szybciej... — szeptała.

Jesteś cholernym kłamcą, Shannon — przemknęło mu przez myśl, po czym położył się na wznak i oddał we władanie młodej, roznamiętnionej dziewczynie.

Dwie godziny później, kiedy leżeli bez ruchu przytuleni mocno do siebie, niebo nad wschodnim Londynem zaczęło powoli szarzeć. Julia wtuliła głowę w zagięcie jego ramienia, zaspokoiwszy na razie apetyt.

— Powiedz mi coś.

— Co takiego?

— Dlaczego prowadzisz takie życie? Dlaczego jesteś najemnikiem i wywołujesz wojny?

— To nie ja je wywołuję, lecz świat, w którym żyjemy, a właściwie ludzie udający, że służą moralności i publicznemu dobru, choć naprawdę są draniami i troszczą się wyłącznie o własny interes. Dzięki wojnom bogacą się i zdobywają władzę. Ja walczę dlatego, że podoba mi się takie życie.

— Ale dlaczego za pieniądze? Przecież najemnicy walczą za pieniądze, prawda?

— Nie tylko. Pieniądze interesują zwykłych rzezimieszków, którzy podają się za najemników, ale kiedy dochodzi do walki, rzezimieszki uciekają gdzie pieprz rośnie. Większość najlepszych najemników bierze w tym udział z tego samego powodu co ja: po prostu lubią twarde życie i walkę.

— Ale dlaczego muszą być wojny? Czemu ludzie nie mogą żyć w pokoju?

Shannon poruszył się i skrzywił, w dalszym ciągu wpatrując się w sufit.

— Ponieważ na tym świecie żyją tylko dwa rodzaje ludzi: drapieżcy i przeżuwacze. Drapieżcy

zawsze są górą, bo potrafią pożerać wszystkich i wszystko, cokolwiek stanie im na drodze. Innym brakuje zimnej krwi, odwagi, uporczywości lub bezwzględności. Dlatego właśnie światem rządzą drapieżcy, którzy nigdy nie są w pełni usatysfakcjonowani i wciąż pragną zdobywać więcej i więcej.

W świecie komunistycznym — broń Boże nie wierz w to, że tamtejsi przywódcy są wielkimi orędownikami pokoju — najważniejszą walutą jest władza. Władza, władza i jeszcze raz władza, bez względu na to, ilu ludzi będzie musiało umrzeć. W świecie kapitalistycznym chodzi przede wszystkim o pieniądze, o coraz więcej pieniędzy. Ropa naftowa, akcje — ci, którzy pragną je posiadać, są gotowi kraść, przekupywać i oszukiwać. Mając je, mają więcej pieniędzy, a za pieniądze mogą sobie kupić większą władzę. Wszystko więc prędzej czy później sprowadza się do żądzy władzy. Jeśli dojdą do wniosku, że po to, by ją zdobyć, konieczna jest wojna, nie wahają się ani chwili. Cała reszta, wszystkie wzniosłe idee, nie są warte funta kłaków.

— Niektórzy ludzie walczą za idee. Na przykład żołnierze Vietcongu. Czytałam o tym w gazetach.

— Rzeczywiście, niektórzy walczą za idee, i dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich jest nabijana w butelkę, podobnie jak ci, którzy zostają w domu i głosują za wojną. My zawsze mamy rację, a oni zawsze się mylą. Wszędzie — w Waszyngtonie, Pekinie, Londynie i Moskwie. Wiesz co? Oni też są nabijani w butelkę. Czy myślisz, że amerykańscy żołnierze giną w Wietnamie za wolność i szczęście? Nie, oni ginęli i nadal giną za wysokość Dow Jonesa na Wall Street! Albo Brytyjczycy, którzy ginęli w Kenii, na Cyprze i w Adenie — naprawdę przypuszczasz, że szli do ataku myśląc o Bogu, królu i ojczyźnie? Znaleźli się w tych obcych krajach, ponieważ tak im kazał ich dowódca, który otrzymał rozkazy z Ministerstwa Wojny, a to z kolei realizowało dyrektywy rządu, który postanowił zachować kontrolę nad czyjąś gospodarką. Czy ktoś przejmował się ciałami poległych na polu bitwy? Powiadam ci, Julio, to jedno wielkie oszustwo. Różnica między nimi a mną polega na tym, że mnie nikt nie mówi, gdzie, kiedy i po czyjej stronie mam walczyć. Właśnie dlatego wszyscy politycy, cały establishment, tak bardzo nienawidzą najemników. Wcale nie dlatego, że jesteśmy groźniejsi od nich. To nieprawda. Nienawidzą nas, ponieważ nie mogą nas kontrolować i ponieważ nie słuchamy ich rozkazów. Nie strzelamy do tych, których nam wskażą, nie ruszamy wtedy, kiedy wydadzą rozkaz ataku, i nie zatrzymujemy się wtedy, kiedy uznają to za stosowne. Właśnie dlatego jesteśmy wyjęci spod prawa. Walczymy na zlecenie, ale sami wybieramy sobie zleceniodawców.

Julia usiadła na łóżku i przesunęła dłonie po twardych mięśniach na piersi i ramionach Shannona. Była dziewczyną wychowaną według starych zasad i podobnie jak wielu jej rówieśników, prawie nie rozumiała otaczającego ją świata.

— A co z wojnami, podczas których ludzie walczą za naprawdę słuszną sprawę? — zapytała. — Na przykład wtedy, kiedy walczyli z Hitlerem. Wtedy chyba mieli rację, prawda?

Shannon westchnął i skinął głową.

— Tak, mieli rację. To rzeczywiście był drań. Tyle tylko, że najpierw, prawie do samego wybuchu wojny, zachodni potentaci przemysłowi sprzedawali mu najlepszą stal, a potem zwielowali fortunę produkując jeszcze lepszą, która pozwoliła go pokonać. Komuniści wcale nie byli świętsi. Stalin podpisał z Hitlerem układ o nieagresji i czekał, aż kapitalizm i nazizm zniszczą się nawzajem, żeby zagarnąć wszystko dla siebie. Kochający ideały komuniści uznali nazizm za zło dopiero wtedy, kiedy Hitler napadł na Rosję. Poza tym pokonanie Hitlera kosztowało życie trzydziestu milionów ludzi. Najemnik dokonałby tego samego jedną kulą wartą mniej niż szylinga.

— Ale przecież zwyciężyliśmy, prawda? Walczyliśmy w słusznej sprawie i zwyciężyliśmy.

— Zwyciężyliśmy, moja maleńka, ponieważ Rosjanie, Brytyjczycy i Amerykanie mieli więcej armat, czołgów, samolotów i okrętów niż Adolf. To jedyna przyczyna naszego zwycięstwa. Gdyby Hitler miał ich więcej, on by zwyciężył. I wiesz co? W podręcznikach historii napisano by, że miał

rację, a my nie. Zwycięzcy zawsze mają rację. Usłyszałem kiedyś bardzo zgrabną sentencję: „Bóg sprzyja silniejszej armii”. To naczelna zasada życiowa wszystkich bogatych, silnych, cynicznych, a także naiwnych. Wierzą w nią politycy, a rozgłaszają tak zwane opiniotwórcze gazety. Prawda wygląda tak, że silniejszej armii sprzyja zawsze establishment, przede wszystkim dlatego, że to on ją stworzył i uzbroił. Milionom czytelników nigdy nie przyjdzie do głowy, że Bóg — naturalnie zakładając, iż w ogóle istnieje — zajmuje się raczej takimi sprawami, jak prawda, sprawiedliwość i współczucie, a nie brutalną siłą, i że prawda oraz sprawiedliwość mogą być po stronie słabszej armii. Rzecz jasna, nie ma to żadnego znaczenia. Zawsze zwycięża silniejsza armia, „poważna” prasa zawsze ochoczo temu przyklaskuje, a przeżuwacze zawsze w to wierzą.

— Jesteś buntownikiem — mruknęła Julia.

— Jasne. Zawsze nim byłem. Nie, nie zawsze. Dopiero po tym, jak na Cyprze pochowałem sześciu kolegów. Dopiero wtedy zacząłem kwestionować mądrość i nieomyłność naszych przywódców.

— Zabijasz ludzi, ale przecież sam też możesz zginąć na jednej z tych bezsensownych wojen.

— Owszem, albo mogę żyć jak kurczak w jednym z tych bezsensownych miast, wypełniając bezsensowne formularze i płacąc bezsensowne podatki, dzięki którym bezsensowni politycy będą wciskać ciemnotę ludziom podczas kolejnych wyborów. Mógłbym też dostawać bezsensowną pensję za bezsensowną pracę w bezsensownym biurze, do którego codziennie rano dojeżdżałbym bezsensownym podmiejskim pociągiem, i tak aż do bezsensownej emerytury. Nie, pięknie dziękuję.

Wolę żyć i umrzeć na swój sposób.

— Czy zdarza ci się myśleć o śmierci?

— Oczywiście, i to dość często. A tobie nie?

— Tak. Ale ja nie chcę umierać. Nie chcę.

— Śmierć nie jest taka zła. Przyzwyczajasz się do tej myśli, jeśli kilka razy prawie się o nią otarłeś. Pozwól, że ci coś powiem: któregoś dnia sprzątałem tu szuflady i na dnie jednej znalazłem gazetę sprzed roku. Zwróciłem uwagę na pewien artykuł i przeczytałem go w całości. Działo się to jeszcze przed minioną zimą: w piwnicy jakiegoś domu mieszkał stary człowiek. Pewnego dnia umarł, ale odnaleziono go dopiero po tygodniu, bo był samotny i nikt go nie odwiedzał. Podczas sekcji zwłok stwierdzono, że co najmniej od roku był poważnie niedożywiony. Czy wiesz, co znaleziono w jego przelyku? Kawałeczki kartonu. Żeby oszukać głód żuł kawałki starego pudełka po płatkach owsianych. To nie dla mnie, kochanie. Kiedy będę umierał, chcę, żeby stało się to tak, jak sobie tego życzę. Wolę zginąć z bronią w ręku, krzycząc „Pieprzę was wszystkich!”, niż zdechnąć w wilgotnej piwnicy żując stare pudełko po płatkach owsianych. A teraz śpij, maleńka. Już świta.

03.Psy Wojny

4

W poniedziałek Shannon wylądował w Luksemburgu kilka minut po pierwszej i prosto z lotniska pojechał taksówką do Banque de Credit. Przedstawił się jako Keith Brown, okazał paszport i poprosił o wypłacenie 5000 funtów, które powinny być już nadejść z Zurychu.

Jego życzenie zostało spełnione po krótkiej zwłoce, spowodowanej koniecznością przejrzenia teleksów. Shannon podjął gotówką tylko równowartość tysiąca funtów, na pozostałe zaś cztery tysiące wystawiono mu potwierdzony czek.

Następnie zjadł szybki lunch i udał się na Hougstraat, gdzie był umówiony z przedstawicielem firmy prawniczej Lang & Stein.

Luksemburg, podobnie jak Belgia i Lichtenstein, oferuje zagranicznym inwestorom możliwość korzystania z nadzwyczaj dyskretnych, a nawet potajemnych usług bankowych. Ich natura jest bardzo, ale to bardzo niechętnie i z wielkimi oporami ujawniana władzom innych krajów. Krótko mówiąc, jeśli policja innego kraju nie przedstawi wiarygodnych dowodów świadczących o pogwałceniu przez daną firmę prawa obowiązującego na terenie Wielkiego Księstwa, albo o jej uczestnictwie w nielegalnych działaniach na skalę międzynarodową, nie ma co marzyć o ustaleniu danych osobowych jej właściciela lub właścicieli. Dlatego właśnie Shannon zjawił się w Luksemburgu.

Trzy dni wcześniej umówił się telefonicznie na spotkanie z Emilem Steinem, jednym z dwóch głównych wspólników prowadzących pewną szacowną firmę prawniczą. Specjalnie na tę okazję Shannon włożył nowy ciemnoszary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat. W rękę trzymał teczkę, pod pachą egzemplarz Timesa. Z jakiegoś powodu mieszkańcy kontynentu uważali, że tylko Anglik paradujący z tą gazetą pod pachą jest naprawdę godny szacunku.

— W ciągu kilku najbliższych miesięcy grupa brytyjskich przemysłowców, którą mam zaszczyt reprezentować, zamierza zaangażować się w działalność handlową w basenie Morza Śródziemnego — oznajmił siwowłosemu prawnikowi. — W grę wchodzi Hiszpania, Francja i Włochy. W tym celu chcielibyśmy utworzyć na terenie Luksemburga firmę holdingową. Jak pan zapewne doskonale rozumie, będąc obywatelami brytyjskimi i prowadząc działalność na terenie wielu europejskich państw, możemy mieć poważne kłopoty z przestrzeganiem wszystkich przepisów finansowych, jakie w nich obowiązują. Zresztą, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę jedynie kwestie podatkowe, utworzenie takiej firmy właśnie na terenie Luksemburga wydaje się dość rozsądnym rozwiązaniem.

Stein kiwnął głową, gdyż prośba klienta wcale go nie zaskoczyła. W jego niewielkiej ojczyźnie było już zarejestrowanych mnóstwo takich firm, a on osobiście wiele razy załatwiał wszystkie niezbędne formalności.

— Nie widzę żadnych przeszkód, panie Brown — odparł. — Mam jednak nadzieję, iż zdaje pan sobie sprawę, że będziemy musieli postępować zgodnie z prawem obowiązującym w Wielkim Księstwie Luksemburga. Oznacza to jednocześnie, że żaden zagraniczny urząd podatkowy nie uzyska dostępu do dokumentów firmy.

— Bardzo się cieszę. Czy byłby pan łaskaw przedstawić mi w ogólnym zarysie tutejsze przepisy? Prawnikiem zajęło to zaledwie kilkadziesiąt sekund.

— Inaczej niż w Wielkiej Brytanii, w Luksemburgu wszystkie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością muszą mieć co najmniej siedmiu akcjonariuszy oraz zarząd składający się z

minimum trzech osób. Jednak w praktyce wygląda to często tak, że prawnik, któremu zlecono załatwienie formalności związanych z założeniem spółki, zostaje prezesem zarządu, jego dwaj młodszy wspólnicy członkami tegoż zarządu, a sześćcioro pracowników udziałowcami, przy czym każdy dysponuje niewielką liczbą akcji. Prawdziwym właścicielem spółki jest jej siódmy udziałowiec, gdyż w jego ręku pozostaje lwią część akcji.

Zwykle akcje są rejestrowane, podobnie jak nazwiska ich właścicieli, ale istnieje możliwość — wtedy nie obowiązuje żadna rejestracja — wypuszczenia akcji na okaziciela. Spółkę kontroluje ten, kto ma ich najwięcej. Nie musi tłumaczyć się nikomu, w jaki sposób wszedł w ich posiadanie. Rozumie mnie pan, panie Brown?

Shannon skinął głową. Właśnie na takim rozwiązaniu najbardziej mu zależało. Dzięki temu Semmler będzie mógł kupić statek w imieniu spółki, o której nikt nigdy niczego się nie dowie.

— Firma holdingowa, jak sama nazwa wskazuje, nie prowadzi żadnej działalności handlowej, tylko jest właścicielem akcji innych firm. Czy pańscy wspólnicy weszli już w posiadanie akcji przedsiębiorstw, nad którymi pragną przejąć kontrolę i zarejestrować je w Luksemburgu?

— Jeszcze nie — odparł Shannon. — Mamy nadzieję zdobyć te akcje poprzez normalne operacje giełdowe, a następnie dokonać transferu kapitału do Luksemburga.

W ciągu godziny osiągnięto całkowite porozumienie. Aby dodać wagi swoim słowom, Shannon pokazał Steinowi potwierdzony czek na 4000 funtów i wpłacił na jego ręce 500 funtów, pan Stein z kolei obiecał bezzwłocznie zarejestrować firmę holdingową o nazwie Tyrone Holdings SA, naturalnie po upewnieniu się, że taka nazwa nie figuruje już w rejestrze firm. Uzgodniono także, że kapitał zakładowy wyniesie 40000 funtów, z czego na razie trafi na rynek tylko tysiąc akcji na okaziciela o nominale jednego funta każda. Pan Stein otrzyma jedną akcję i tytuł prezesa zarządu, po jednej akcji otrzymają też pan Lang i jeden z młodszych wspólników. Z tych trzech ludzi będzie się składał zarząd spółki. Troje szeregowych pracowników firmy także otrzyma po jednej akcji, pozostałe 994 akcje trafią zaś do pana Browna, który w ten sposób zachowa całkowitą kontrolę nad spółką.

Pierwsze walne zebranie udziałowców zostało wyznaczone za dwanaście dni. Mogło też odbyć się później, pod warunkiem, że pan Brown wyśle list z zawiadomieniem, że nie może zjawić się w Luksemburgu w ustalonym terminie.

Shannon pożegnał się z panem Steinem i udał z powrotem do banku, gdzie zwrócił czek i polecił przekazać pieniądze na swoje konto w Brugii. Następnie zameldował się w hotelu Excelsior, zadzwonił na lotnisko, aby potwierdzić rezerwację, po czym położył się spać. Nazajutrz z samego rana odleciał do Hamburga. Teraz musiał znaleźć broń.

Handel śmiercionośną bronią przynosi największe zyski — zaraz po handlu narkotykami — nic więc dziwnego, że rządy wielu państw świata angażują się w ten proceder. Po roku 1945 posiadanie własnego przemysłu zbrojeniowego stało się niemal punktem honoru każdego, nawet najmniejszego kraju. Istniejące fabryki kwitły, budowano wciąż nowe, aż wreszcie na początku lat siedemdziesiątych doszło do tego, że na każdego mieszkańca Ziemi, łącznie z kobietami, starcami i dziećmi, przypadała co najmniej jedna sztuka broni palnej. Żadne państwo nie jest w stanie zużyć produktów tego przemysłu — chyba że w przypadku wojny — nic więc dziwnego, że naturalne jest dążenie do rozwoju eksportu, wywoływanie wojen, lub i jedno, i drugie na raz. Jednak ponieważ niewiele rządów pragnie angażować się bezpośrednio w wojnę, a jednocześnie wszyscy pragną na wszelki wypadek utrzymać swój przemysł zbrojeniowy w pełnej gotowości, od wielu lat największy nacisk kładzie się na eksport. Liczący się producenci rozsyłają na cały świat doskonale opłacanych emisariuszy, których zadanie polega na przekonywaniu każdego władcy, przed którego oblicze

zdolają się dostać, że ma za mało broni, a ta, którą ma, jest już przestarzała i powinna zostać zastąpiona przez nową.

Sprzedawców w najmniejszym stopniu nie interesuje fakt, że na przykład w Afryce 95 procent uzbrojenia wykorzystuje się nie do obrony przed obcą agresją, ale aby utrzymać posłuch w krajach rządzonych przez bezwzględnych dyktatorów. Handel bronią stał się elementem rywalizacji między zamożnymi krajami Zachodu; w chwili kiedy na rynku pojawiły się Rosja i Chiny, także elementem wyścigu między mocarstwami.

Ponieważ chęć zysku i polityka są wzajemnie uwarunkowane, powstała skomplikowana sieć decyzyjna, codziennie rozsypywana pracownicy w stolicach największych światowych mocarstw. Jeżeli jedno z nich sprzedaje broń państwu A, ignorując państwo B, rywalizujące mocarstwo natychmiast dostarczy uzbrojenie państwu B, pomijając państwo A. Nazywa się to tworzeniem równowagi sił i właśnie w ten sposób udaje się zachować pokój na świecie. Chęć zysku jest obecna zawsze, gdyż zarobek zawsze jest wysoki. Jedyne ograniczenia wynikają z politycznego image'u ewentualnego odbiorcy, decyzje zaś są podejmowane po błyskawicznym zbilansowaniu obu tych czynników. W większości krajów świata doprowadziło to do nawiązania bliskich, choć poufnych kontaktów między ministerstwami obrony i spraw zagranicznych.

Uruchomienie własnej produkcji zbrojeniowej nie nastęcza większych problemów pod warunkiem, że nie ma się zbyt wygórowanych ambicji. Wytwarzania karabinów, pistoletów maszynowych, amunicji oraz granatów można nauczyć się stosunkowo łatwo, gdyż wymagany poziom technologii nie jest wysoki, a surowce są powszechnie dostępne. Mimo to niewielkie kraje zazwyczaj kupują broń od większych, bo nie opłaca im się inwestować. Niski poziom technologii wyklucza możliwość rywalizowania z potentatami na obcych rynkach.

Mimo to w ciągu dwóch minionych dziesięcioleci wiele niedużych krajów otworzyło na swoim terenie fabryki zbrojeniowe. Jednak im bardziej skomplikowana broń, tym większe trudności technologiczne, i tym mniejsza liczba producentów. Stosunkowo łatwo jest wytwarzać broń ręczną, trudniej armaty, transportery opancerzone i czołgi, jeszcze trudniej okręty wojenne, a najtrudniej nowoczesne myśliwce i bombowce. Poziom przemysłu obronnego danego kraju można łatwo ocenić po jego najbardziej skomplikowanym produkcie; wszystko, co bardziej nowoczesne i skomplikowane, musi pochodzić z importu.

Głównymi producentami i eksporterami broni w zachodnim świecie są Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania, Francja, Włochy, Niemcy Zachodnie (z pewnymi ograniczeniami narzuconymi przez układ podpisany w Paryżu w 1945 roku), Szwecja, Szwajcaria, Hiszpania, Belgia, Izrael i Republika Południowej Afryki. Szwecja i Szwajcaria są państwami neutralnymi, co nie przeszkadza im wytwarzać i eksportować znakomite uzbrojenie, natomiast Izrael i RPA rozbudowują swoje przemysły obronne głównie z myślą o tym, by w razie jakiegoś kryzysu nie pozostać na lodzie, bez możliwości uzupełniania zapasów. Eksportują niewielkie ilości broni. Wszystkie pozostałe państwa należą do NATO i łączy je wspólna polityka obronna oraz niezbyt precyzyjnie zdefiniowana współpraca w dziedzinie polityki zagranicznej. W praktyce oznacza to tyle, że każdy kontrakt na dostawę broni jest dokładnie badany i analizowany, zanim producent otrzyma zgodę na dostarczenie zamówionego sprzętu. Z tego samego powodu odbiorca podpisuje klauzulę, w której zobowiązuje się nie przekazywać nikomu otrzymanego towaru bez pisemnej zgody dostawcy. Innymi słowy, przed sfinalizowaniem kontraktu pada mnóstwo pytań zadawanych głównie przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, transakcje zaś są przeprowadzane niemal wyłącznie na szczeblu rządowym.

W świecie komunistycznym broń jest w znacznej mierze ujednolicona i pochodzi głównie z Rosji oraz Czechosłowacji. Chiny, które stosunkowo niedawno pojawiły się na rynku, także rozwinęły

produkcję na całkiem przyzwoitym poziomie. Dominującą rolę przy podejmowaniu decyzji handlowych odgrywają tu czynniki polityczne, a wiele dostaw ma wręcz charakter darów. Komunistyczni przywódcy, hołdujący zasadzie, że władzę zdobywa się z bronią w ręku, oraz opanowani obsesją siły militarnej, sprzedają broń nie tylko zaprzyjaźnionym krajom, ale także najróżniejszym „ruchom niepodległościowym”, których linię polityczną popierają. Często nie są to transakcje handlowe, lecz darmowe zapomogi. Dzięki temu wszelkie komunistyczne, marksistowskie, lewackie i rewolucyjne ruchy niemal na całym świecie mogą mieć pewność, że nie zabraknie im narzędzi do prowadzenia wywrotowej działalności.

Jedynie neutralni Szwedzi i Szwajcarzy narzucili sobie coś w rodzaju moralnego kodeksu rozstrzygającego o tym, kto może, a kto nie może zostać odbiorcą produkowanej w ich krajach broni.

Ponieważ Rosjanie sprzedają lub rozdają produkty kontrolowanego przez państwo przemysłu zbrojeniowego nie tylko obcym rządów, lecz także organizacjom pozarządowym, Zachód zaś wzdraga się przed taką działalnością, powstała w ten sposób lukę wypełniają prywatni dostawcy. Są to biznesmeni, do których może zwrócić się każdy, kto pragnie dokonać zakupów z tej branży, pozostający w ścisłych kontaktach z ministerstwami obrony swoich krajów. Gdyby tego nie robili, ministerstwa obrony szybko zatroszczyłyby się o to, żeby stracili licencje. W dobrze pojętym interesie dostawcy leży ściśle stosowanie się do życzeń rządu — także i z tego powodu, że ten właśnie rząd może składać u niego poważne zamówienia. Ewentualne popadnięcie w niełaskę oznacza nie tylko koniec zamówień, ale także niebezpieczeństwo pożegnania się z interesami z innych, jeszcze mniej przyjemnych powodów.

Dlatego właśnie licencjonowany dostawca, obywatel i mieszkaniec kraju, na którego terenie działa, dokonuje transakcji dopiero po zasięgnięciu opinii władz. Tacy dostawcy zazwyczaj prowadzą wielkie firmy i wysyłają towar z własnych magazynów.

To jest najwyższy poziom prywatnego handlu bronią. Głębiej w stawie pływają nieco bardziej podejrzane ryby. Następny w hierarchii jest licencjonowany dostawca, który nie ma własnego składu i pełni jedynie funkcję pośrednika między klientem a którąś z wielkich, często państwowych fabryk. Otrzymuje on prowizję od każdego kontraktu, swoją licencję zaś może zachować tylko wtedy, jeśli będzie bez zastrzeżeń podporządkowywał się woli rządu sprawującego kontrolę nad reprezentowaną przez niego firmą. Oczywiście zawsze znajdują się śmiałkowie, którzy próbują ubijać na boku własne, niezbyt legalne interesy, ale zazwyczaj sprawa wychodzi na jaw i taki zachłanny osobnik nagle ląduje na bruku.

Tuż przy mulistym dnie stawu żyją nielegalni handlarze bronią. Nie mają licencji, więc oficjalnie nie mogą zajmować się tym procederem. Z ich usług korzystają ludzie lub organizacje, które, nie reprezentując żadnego rządu, nie mogą zawrzeć oficjalnej umowy na wyższym szczeblu, nie są w stanie przekonać Zachodu o tym, że należy im się dozbrojenie, nie potrafią namówić Wschodu, by ten ze względów ideologicznych wspomógł ich darmowymi dostawami — a mimo wszystko potrzebują broni.

Najważniejszym dokumentem w handlu bronią jest świadectwo końcowego użytkownika. Dokument ten stwierdza, że zakupu broni dokonuje rząd konkretnego państwa lub jego pełnomocnik; w przypadku transakcji zawieranych z krajami zachodnimi końcowym użytkownikiem może być wyłącznie rząd suwerennego państwa. Certyfikatu nie wymaga się jedynie wtedy, kiedy chodzi o dostawy finansowane przez służby specjalne lub ściśle czarnorynkowe operacje — za takie można bez wątplenia uznać dozbrajanie przez CIA Kubańczyków przed inwazją w Zatoce Świń i najemników w Kongu oraz przerzucanie z Europy i USA do Irlandii broni dla Skrzydła Tymczasowych IRA.

Choć świadectwo końcowego użytkownika jest międzynarodowym dokumentem, nie ma on ściśle określonego wyglądu, koloru ani nawet brzmienia. Jest to jedynie pisemne oświadczenie wiarygodnego przedstawiciela jakiegoś rządu, stwierdzające, że albo on, albo pan X, czyli dostawca, dysponują zgodą kraju, na którego terytorium dokonuje się transakcji, na zakup i wywóz uzbrojenia.

Istnieją państwa, gdzie skrupulatnie bada się autentyczność świadectwa, w innych niektórzy producenci cieszą się tak dużymi przywilejami, że nikt nie zadaje żadnych pytań. Rzecz jasna, świadectwo końcowego użytkownika, podobnie jak każdy inny dokument, może zostać sfałszowane. Właśnie w ten świat miał wkroczyć ostrożnie Shannon.

Lecąc do Hamburga, zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma szans na uzyskanie oficjalnej zgody żadnego europejskiego rządu. Nie miał co liczyć także na to, że któreś z państw bloku wschodniego zrobi mu prezent z broni — wręcz przeciwnie, komuniści będą zdecydowanie przeciwni obaleniu Kimby. Jakiegokolwiek oficjalne wystąpienie w tej sprawie byłoby równoznaczne z fiaskiem całego przedsięwzięcia.

Z tego samego powodu nie mógł zwrócić się do żadnego z państwowych producentów, takich jak na przykład Fabrique Nationale z Belgii, gdyż jego prośba zostałaaby natychmiast przekazana rządowi. Musiał także pozostawić w spokoju wielkich prywatnych dostawców, takich jak Cogswell i Harrison z Londynu czy Parker Hale z Birmingham. Do tej samej kategorii należeli szwedzki Bofors, szwajcarski Oerlikon, hiszpański CETME, niemiecki Werner, czeskosłowacki Omnipol i włoski Fiat.

Należało także wziąć pod uwagę to, że zamówienie było zbyt małe, aby zainteresował się nim któryś z licencjonowanych potentatów, obracających milionami dolarów, takich jak niegdysiejszy król prywatnych dostawców broni, Sam Cummings z Interamco, który przez dwa powojenne dziesięciolecia kierował swoim imperium z eleganckiego gabinetu w Monako, po czym przeszedł na emeryturę, by korzystać ze zdobytego majątku. Shannon nie mógł więc zwrócić się do doktora Strakatego z Wiednia, licencjonowanego przedstawiciela czeskosłowackiego Omnipolu, doktora Langensteina z Monachium, doktora Perettiego z Rzymu, Cammermundta z Brukseli i Herr Ottona Schluetera z Hamburga.

Shannon musiał zanurzyć się głębiej, dotrzeć do ludzi zajmujących się handlem bronią na mniejszą skalę, obracających mniejszymi sumami. Należeli do nich Guenther Leinhauser, Niemiec, były współpracownik Cummingsa, oraz trzech Francuzi: Pierre Lorez, Maurice Herscu i Paul Favier z Paryża. Po namyśle postanowił jednak skontaktować się z dwoma innymi fachowcami, mieszkańcami Hamburga.

Problem polegał na tym, że to, co chciał zamówić, było, czym było: małą, jednorazową dostawą potrzebną do przeprowadzenia jednej konkretnej „roboty” na zamówienie. Każdy fachowiec zorientuje się, że żaden rząd małego kraju nie potrzebuje akurat takiego kompletu uzbrojenia.

Dlatego Shannon postanowił podzielić zamówienie na kilka jeszcze mniejszych i kupować u różnych dostawców tak, żeby się nie orientowali, o jaki zestaw uzbrojenia chodzi. Zapobiegnie w ten sposób groźbie szybkiego zdemaskowania celu transakcji.

Od jednego z ludzi, z którymi chciał się spotkać, miał zamiar kupić 400000 sztuk standardowej amunicji kalibru 9 mm, pasującej zarówno do broni krótkiej, jak i do pistoletów maszynowych. Było tego za dużo, żeby udało się dokonać zakupu na czarnym rynku bez żadnego rozgłosu, przemycić do portu i załadować na statek, ale jednocześnie łatwo można było uznać taki transport za uzupełnienie zapasów amunicji sił policyjnych jakiegoś niewielkiego państewka. Tym bardziej że w dostawie nie będzie żadnych pistoletów ani karabinów.

Potrzebował więc jakiegoś licencjonowanego handlarza, który mógłby wcisnąć to zamówienie

między inne, znacznie większe. Każdy licencjonowany dostawca od czasu do czasu miał do czynienia ze sfalszowanymi świadectwami końcowego użytkownika; właśnie dlatego przydawała się znajomość krajów, w których nie zadaje się zbędnych pytań.

Jeszcze przed dziesięciu laty w Europie znajdowało się w prywatnych rękach mnóstwo broni, nielegalnych pozostałości po kolonialnych wojnach prowadzonych przez Francuzów w Algierii i Belgów w Kongu. W latach sześćdziesiątych została ona jednak wykorzystana w różnych regionalnych konfliktach i awanturach, między innymi w Jemenie i Nigerii. W związku z tym Shannon musiał znaleźć człowieka, który zdobędzie fałszywe świadectwo końcowego użytkownika, po czym przedstawi je stosownym władzom zadającym mało pytań lub nie zadającym ich wcale. Cztery lata temu wybór padłby bez wątpienia na rząd Czechosłowacji, który, choć komunistyczny, kontynuował starą tradycję sprzedawania broni każdemu, kto przyszedł i o to poprosił. Cztery lata temu wystarczyło zjawić się w Pradze z walizką pełną dolarów, pójść do siedziby Omnipolu, wybrać towar, a kilka godzin później można było odlecieć wynajętym samolotem z zamówioną bronią na pokładzie. Niestety, po 1968 roku KGB wzięło pod lupę wszystkie takie transakcje. Zaczęto zadawać zbyt wiele pytań.

Oprócz Czechosłowacji jeszcze tylko dwa kraje nie wnikały zbyt dokładnie w pochodzenie świadectw końcowego użytkownika. Jednym z nich była tradycyjnie zainteresowana pozyskiwaniem obcej waluty Hiszpania, której fabryki, zgrupowane w koncernie CETME, sprzedawały broń wszystkim zainteresowanym, drugim zaś Jugosławia.

Jugosławia zaczęła samodzielnie wytwarzać broń zaledwie kilka lat temu. Teraz, kiedy jej armia była już wyposażona niemal wyłącznie w sprzęt krajowego pochodzenia, pojawił się problem nadprodukcji. Przecież nie można zatrzymać fabryki zaledwie kilka lat po uruchomieniu jej wielkim kosztem. Trzeba było rozpocząć działalność eksportową. Jako nowicjusz na międzynarodowym rynku, oferujący broń nieznannej jakości, a w dodatku spragniony dopływu dewiz, Jugosławia stosowała maksymę „Nie zadawaj mi pytań, a nie usłyszysz żadnych kłamstw”. W tamtejszych fabrykach produkowano bardzo dobre lekkie moździerze oraz całkiem niezłe bazooki, które były prawie kopiami czeskich granatników przeciwpancernych RPG-7.

Ten towar trafił do sprzedaży stosunkowo niedawno. Shannon miał nadzieję, że pośrednikowi uda się namówić Belgrad do sprzedaży dwóch moździerzy kalibru 60 mm z zapasem stu granatów oraz dwóch bazook z czterdziestoma pociskami. Powodem tak małego zamówienia mogła być chęć przetestowania nowej broni przed większą transakcją.

W sprawie pierwszej dostawy (400000 sztuk amunicji kalibru 9 mm) Shannon miał zamiar udać się do licencjonowanego pośrednika CETME, który był znany z tego, że przymyka oko na fałszywe świadectwa końcowego użytkownika. Jeśli chodzi o drugą, to słyszał o pewnym człowieku z Hamburga, który choć nie miał ich licencji, pomagał wejść na rynek raczkującym jugosłowiańskim producentom i utrzymywał z nimi dobre stosunki.

Zazwyczaj wizyta u nie licencjonowanego pośrednika mija się z celem, jeśli nie może natychmiast dostarczyć broni z własnego, nielegalnego magazynu (co oznacza brak zezwolenia eksportowego). Jediną sensowną usługą, jakiej można wtedy od niego oczekiwać, jest sfabrykowanie fałszywego, ale w miarę wiarygodnego świadectwa końcowego użytkownika i namówienie jakiegoś licencjonowanego dostawcy, żeby zajął się dalej sprawą. Ów licencjonowany dostawca może wówczas — za wiedzą i zgodą rządu — wydać towar z własnego magazynu lub złożyć zamówienie w jednej z państwowych fabryk. Czasem jednak nielegalni pośrednicy bardzo się przydają. Znają dogłębnie rynek i mają znakomite wyczucie, gdzie i kiedy należy się udać, aby mieć największe szansę na sukces. Właśnie z myślą o tym Shannon postanowił odwiedzić w Hamburgu człowieka

zajmującego drugie miejsce na jego liście.

Natychmiast po wylądowaniu w starym hanzeatyckim mieście udał się do Landesbanku, gdzie czekało już na niego 5000 funtów. Podjął całą sumę w postaci potwierdzonego czeku wystawionego na swoje nazwisko, po czym pojechał do hotelu Atlantic, gdzie miał zarezerwowany pokój. Zjadł wczesny obiad, a ponieważ był porządnie zmęczony, zrezygnował z atrakcji, które oferowało miasto, i położył się do łóżka.

Johann Schlinker, który nazajutrz rano przyjął Shannona w swoim niewielkim, skromnym biurze, był niski, pulchny i jowialny. Jego oczy błyszczały dobrym humorem i życzliwością, tak że Shannon dopiero po dziesięciu sekundach zorientował się, że lepiej mieć zaufanie do jadowej zmił niż do tego Niemca. Obaj mężczyźni rozmawiali po angielsku, wyłącznie o dolarach — handlarzy bronią nie interesuje nic innego.

Shannon podziękował pośrednikowi za to, że zechciał go przyjąć, po czym przedstawił się i wręczył mu paszport wystawiony na nazwisko Keith Brown.

Niemiec przekartkował pobieżnie dokument.

— Co pana do mnie sprowadza? — zapytał.

— Polecono mi pana jako człowieka o znakomitej reputacji i wielkiej wiedzy o broni wojskowej i policyjnej.

Schlinker uśmiechnął się i skinął głową, ale pochlebstwo nie wywarło na nim większego wrażenia.

— Kto mnie panu polecił, jeśli wolno spytać?

Shannon wymienił nazwisko pewnego paryżanina, zajmującego się sprawami Afryki w imieniu tajnych francuskich służb. Poznali się podczas jakiejś afrykańskiej wojny, a miesiąc temu spotkali w Paryżu, by wspólnie powspominać dawne czasy. Przed tygodniem Shannon zadzwonił do niego i człowiek ów rzeczywiście polecił Schlinkera jako najlepszego specjalistę od tego rodzaju zadań. Znajomy z Afryki wiedział, że Shannon będzie się posługiwał nazwiskiem Brown.

Schlinker uniósł brwi.

— Wybacz pan na chwilę? — zapytał, po czym wyszedł z gabinetu. Po chwili w sąsiednim pokoju rozległ się stukot teleksu.

Niemiec wrócił dopiero po półgodzinie.

— Musiałem skontaktować się w interesach z przyjacielem z Paryża — powiedział, uśmiechając się szeroko. — Proszę mówić dalej.

Shannon doskonale wiedział, że Schlinker wysłał teleks do jakiegoś francuskiego handlarza bronią, z prośbą, by skontaktował się z francuskim agentem i uzyskał potwierdzenie wiarygodności Keitha Browna. Wyglądało na to, że takie potwierdzenie właśnie nadeszło.

— Chcę kupić pewną ilość amunicji kalibru 9 mm — powiedział bez ogródek. — Wiem, że to niewielkie zamówienie, ale niedawno byłem w Afryce i poprosili mnie o to ludzie, którzy potrzebują tej amunicji w związku z załatwianiem pewnych prywatnych interesów. Jestem pewien, że jeśli te interesy pójdą dobrze, w przyszłości należy spodziewać się znacznie większych zamówień.

— O ile sztuk konkretnie chodzi? — zapytał Niemiec.

— O czterysta tysięcy. Schlinker wydał wargi.

— To rzeczywiście niewiele — zauważył.

— Na razie budżet przedsięwzięcia nie jest zbyt wysoki, ale należy mieć nadzieję, że niewielkie inwestycje bardzo szybko przyniosą znaczne zyski.

Niemiec skinął głową. Z doświadczenia wiedział, że pierwsze zamówienie z reguły nie było duże.

— Dlaczego ci ludzie zgłosili się właśnie do pana? Przecież nie zajmuje się pan handlem bronią ani amunicją.

— Zatrudnili mnie jako doradcę od spraw technicznych i wojskowych — wyjaśnił Shannon. — Kiedy pojawił się problem znalezienia dostawcy, poprosili mnie, żebym poleciał do Europy i zajął się tym w ich imieniu.

— Zapewne nie ma pan świadectwa końcowego użytkownika?

— Niestety nie. Miałem nadzieję, że można to jakoś załatwić.

— Jasne, że można — odparł Schlinker. — Tutaj to żaden problem. Tyle tylko, że rzecz trwa dłużej i więcej kosztuje. Mógłbym dostarczyć towar z magazynu w Austrii, i wtedy nie musielibyśmy zawracać sobie głowy żadnym certyfikatem, albo zorganizować panu ten dokument i przeprowadzić wszystko oficjalną drogą.

— Wolałbym to drugie — odparł Shannon. — Będę wiozł amunicję drogą morską, a nielegalny transport przez Austrię i Włochy wiązałby się ze zbyt dużym ryzykiem. Nie mam za wielkiego doświadczenia w takich sprawach. W razie wpadki wszystkim, którzy będą w to zamieszani, groziłoby długoletnie więzienie, a w dodatku władze mogłyby ustalić, że towar pochodzi z pańskich magazynów.

Schlinker uśmiechnął się lekko. Wprawdzie ta ostatnia ewentualność była bardzo mało prawdopodobna, ale człowiek podający się za Browna miał sporo racji, gdyż po ostatnich atakach terrorystów z organizacji Czarny Wrzesień służby celne Austrii, Niemiec i Włoch uważnie kontrolowały wszystkie podejrzane ładunki.

Z kolei Shannon nie miał żadnej gwarancji, że Niemiec nie zdradzi go nazajutrz po przeprowadzeniu transakcji. Co innego, jeśli Schlinker będzie musiał zdobyć fałszywe świadectwo końcowego użytkownika i przedstawić je odnośnym władzom.

— Chyba ma pan rację — powiedział wreszcie Niemiec. — W porządku. Mogę zaproponować panu standardową amunicję kalibru 9 mm po sześćdziesiąt pięć dolarów za tysiąc sztuk, plus dziesięć procent za certyfikat i jeszcze dziesięć za całkowitą organizację dostawy.

Shannon błyskawicznie dokonał w pamięci kilku obliczeń. „Całkowita organizacja dostawy”, to znaczy że towar będzie miał zezwolenie na wywóz i zostanie dostarczony bezpośrednio na statek, który bez kłopotów otrzyma zgodę na wyjście z portu. Amunicja miałaby więc kosztować 26 000 dolarów, plus 5200 dolarów dopłaty.

— W jaki sposób miałbym uiścić należność? — zapytał.

— 5200 muszę dostać, zanim zabiorę się do pracy — odparł Schlinker. — Potrzebuję ich na świadectwo, podróże i różne inne wydatki. Za towar zapłaci pan tu, w tym gabinecie, kiedy pokażę panu świadectwo. Jako licencjonowany pośrednik dokonam zakupu w imieniu klienta, czyli rządu państwa wymienionego na świadectwie. Jest bardzo mało prawdopodobne, żeby sprzedający zdecydował się zażądać zwrotu towaru i oddał pieniądze, kiedy transakcja zostanie dokonana. Dlatego trzeba wszystko zapłacić z góry. Będzie mi potrzebna nazwa statku, który wywiezie towar za granicę — to na zezwolenie eksportowe. Statek powinien należeć do jakiegoś oficjalnie zarejestrowanego armatora.

Shannon skinął głową. Warunki były ostre, ale nie miał wyboru. Gdyby naprawdę reprezentował rząd jakiegoś kraju, załatwiałby sprawę oficjalnymi kanałami.

— Ile czasu upłynie od zapłaty do dostarczenia towaru?

— Tym w Madrycie nigdy się nie śpieszy. Myślę jednak, że wystarczy im czterdzieści dni — odparł Niemiec.

Shannon pokazał mu potwierdzony czek, po czym wstał z fotela i obiecał wrócić za godzinę z

5200 dolarami lub ich równowartością w markach. Schlinker nie ukrywał, że woli marki.

Godzinę później, kiedy Schlinker, otrzymawszy pieniądze, zajął się wypisywaniem stosownego pokwitowania, Shannon zainteresował się leżącymi na stoliku katalogami. Były w nich zdjęcia i opisy towarów sprzedawanych przez inną firmę, która najwyraźniej specjalizowała się w przeróżnych materiałach pirotechnicznych nie mających nic wspólnego z bronią, oraz w artykułach używanych przez policję i firmy ochroniarskie, takich jak pałki, krótkofalówki, miotacze granatów z gazem łzawiącym, flary, raketnice i tym podobne.

— Ma pan coś wspólnego z tą firmą, Herr Schlinker? — zapytał Shannon, kiedy gospodarz wręczył mu pokwitowanie.

Niemiec uśmiechnął się szeroko.

— Jestem jej właścicielem — odparł. — Oficjalnie to moje główne zajęcie.

I cholernie dobry pretekst, żeby mieć magazyn pełen skrzyń z napisami UWAGA, MATERIAŁY WYBUCHOWE — pomyślał Shannon. Szybko sporządził krótką listę i podał ją Schlinkerowi.

— Mógłby pan dostarczyć mi te rzeczy razem z zezwoleniem na wywóz? — zapytał.

Niemiec zerknął na kartkę. Lista obejmowała dwie wyrzutnie raket używane przez jednostki straży przybrzeżnej do wystrzeliwania oślepiających flar, dziesięć takich flar o maksymalnej jasności, zaopatrzonych w spadochrony, dwie syreny mgłowe podłączone do butli ze sprężonym powietrzem, cztery noktowizory, trzy krótkofalówki o zasięgu co najmniej siedmiu kilometrów oraz pięć kompasów.

— Naturalnie. Mam to wszystko w magazynie.

— W takim razie zamawiam je dodatkowo. Żaden z tych przedmiotów nie jest uważany za broń, więc przypuszczam, że nie będzie problemów z ich wywozem?

— Na pewno nie. Mogę je wysłać, dokąd zechcę, także na statek.

— To dobrze. Ile to wszystko będzie kosztowało? Proszę doliczyć koszt wysyłki do firmy spedycyjnej w Marsylii.

Schlinker spisał ceny z katalogu, dodając do każdej 10 procent za transport.

— Cztery tysiące osiemset dolarów — oznajmił wreszcie.

— Skontaktuję się z panem za dwanaście dni — powiedział Shannon. — Proszę do tego czasu przygotować towar do transportu. Podam panu nazwę firmy w Marsylii i prześlę potwierdzony czek na 4800 dolarów. W ciągu trzydziestu dni dostarczę panu 26 000 dolarów za amunicję oraz zawiadomię, na jaki statek ma zostać dostarczona.

Drugie spotkanie odbyło się wieczorem tego samego dnia w restauracji hotelu Atlantic. Alan Baker był Kanadyjczykiem, który podczas wojny służył w Korpusie Inżynierskim. Po wojnie osiadł i założył rodzinę w Niemczech. Trudnił się zrazu przemycaniem do i z radzieckiej strefy okupacyjnej ludzi, zegarków i nylonowych pończoch. Nieco później zajął się dostarczaniem broni niewielkim grupkom nacjonalistów i antykomunistów, nadal walczących w środkowej i wschodniej Europie, z tą różnicą, że teraz bili się nie z Niemcami, lecz z komunistami.

Za dostawy płacili zazwyczaj Amerykanie, ale Baker chętnie wykorzystywał swoją znajomość niemieckiego i frontowe umiejętności, aby organizować przerzuty na własną rękę, za co później otrzymywał sowite wynagrodzenie. Kiedy na początku lat pięćdziesiątych niedobitki partyzantów zniknęły, Baker przeniósł się do Tangeru, gdzie dzięki nabytym podczas wojny i po niej umiejętnościom mógł zająć się szmuglowaniem perfum i papierosów do Włoch i Hiszpanii. Zmuszony do wycofania się z biznesu, gdy konkurenci zatopili jego statek, wrócił do Niemiec, by poświęcić się pośredniczeniu we wszystkich transakcjach, w których występują kupujący i sprzedający. Jego najnowszym osiągnięciem była duża dostawa jugosłowiańskiej broni dla Basków z

północnej Hiszpanii.

Zetknęli się ze sobą, kiedy Baker zajmował się handlem bronią w Etiopii, Shannon zaś nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić po powrocie z Bukavu w kwietniu 1968. Baker znał prawdziwe nazwisko Shannona.

Niski, żyłasty mężczyzna wysłuchał w milczeniu najemnika, przenosząc szybko spojrzenie z jego twarzy na swój talerz i z powrotem.

— Tak, to się da zrobić — powiedział, kiedy Shannon wyłuszczył sprawę. — Jugosłowianie powinni uwierzyć, że nabywca przed złożeniem większego zamówienia chce najpierw przetestować ich nowe moździerze i bazooki. To dość prawdopodobne. Jeśli chodzi o mnie, to bez problemu dostanę od nich wszystko, czego będę chciał. Mam z Belgradem świetne układy, a oni błyskawicznie dostarczają towar. Jest jednak inny problem...

— Jaki?

— Świadcstwo końcowego użytkownika — odparł Baker. — Jeszcze niedawno miałem w Bonn swojego człowieka, dyplomatę z pewnego wschodnioafrykańskiego państwa, który w zamian za okrągłą sumkę i kilka tłustych niemieckich dziewczyn podpisywał wszystko, cokolwiek mu podsunął. Niestety, dwa tygodnie temu odwołano go, i chwilowo nie mam się do kogo zwracać w takich sprawach.

— Czy Jugosłowianie przywiązują dużą wagę do certyfikatu? Baker potrząsnął głową.

— Nie. Jeśli ma się dokument, nie sprawdzają zbyt dokładnie. Ale musi być prawdziwy, z autentyczną rządową pieczęcią.

Shannon zastanowił się przez chwilę. Znał w Paryżu pewnego człowieka, który kiedyś przechwalał się, że ma w jakiejś ambasadzie znajomego, który może dostarczyć każdy dokument.

— A gdybym ja załatwił taki świstek z jakiegoś afrykańskiego kraju? — zapytał.

Baker zaciągnął się dymem cygara.

— W takim razie nie ma sprawy. Jeśli chodzi o cenę, to 60-milimetrowy moździerz będzie kosztował tysiąc sto dolarów, a granaty są po dwadzieścia cztery dolary za sztukę. Jedyny kłopot polega na tym, że jest tego tak mało. Nie mógłbyś zamówić trzystu pocisków zamiast stu? Wtedy poszłoby mi znacznie łatwiej. Nikt nie kupuje tylko stu sztuk, nawet do przetestowania.

— Dobra — odparł Shannon. — Wezmę trzysta, ale nie więcej. Nicmogę przekroczyć budżetu, bo musiałbym sam dołożyć do interesu.

Nie była to prawda, gdyż planując budżet akcji przewidział rezerwę, ale wiedział, że rozmówca uzna ten argument za ostateczny.

— W porządku — powiedział Baker. — Czyli za granaty wychodzi nam siedem tysięcy dwieście dolarów. Bazooki są po tysiącu za sztukę, a więc dwa tysiące za parę, do tego pociski po czterdzieści dwa dolary i pięćdziesiąt centów, razy czterdzieści...

— Tysiąc siedemset dolarów — pomógł mu Shannon. — W sumie mamy trzysta tysięcy sto dolarów.

— Plus dziesięć procent za dostarczenie towaru na pokład statku. Bez świadectwa. Gdybym miał ci je zorganizować, musiałbym doliczyć nie dziesięć, lecz dwadzieścia procent. Zamówienie rzeczywiście jest niewielkie, ale koszty podróży i załatwiania formalności takie same. Właściwie powinienem wziąć od ciebie piętnaście procent. Wszystko razem daje czternaście tysięcy czterysta dolarów. Powiedzmy czternaście i pół, he?

— Powiedzmy czternaście czterysta. Załatwię świadectwo i prześlę ci je pocztą, razem z pięćdziesięcioprocentową zaliczką. Następne dwadzieścia pięć procent zapłacę w Jugosławii, kiedy zobaczę towar, a ostatnie dwadzieścia pięć zaraz po tym, jak statek odbije od nabrzeża. Wszystko w

czekach podróży, rozliczenia w dolarach. Zgoda?

Baker wolałby dostać wszystko z góry. Nie był jednak licencjonowanym pośrednikiem, nie miał biura, magazynu ani oficjalnie działającej firmy i musiał korzystać z pomocy legalnego dostawcy, który w jego imieniu złoży zamówienie. Działając na czarnym rynku musiał pogodzić się z mniejszą prowizją i mniej korzystnymi warunkami płatności.

Jedną z najstarszych znanych sztuczek polega na tym, by przyjąć zamówienie na dostawę broni, bez mrugnięcia okiem obiecać klientowi spełnienie wszystkich jego życzeń, a następnie wziąć możliwie największą zaliczkę i rozpląnąć się we mgle. Wielu pechowców pragnących nielegalnie zaopatrzyć się w broń zapoznało się osobiście z tą metodą. Jednak Baker wiedział, że Shannon nie da się na to nabrać, a poza tym dla połowy z 14400 dolarów nie warto było się narażać.

— W porządku. Biorę się do roboty natychmiast, jak tylko przyślesz mi świadectwo.

Wstali od stolika.

— Ile czasu upłynie od chwili, kiedy nadasz sprawie bieg, do momentu załadunku na statek? — zapytał najemnik.

— Od trzydziestu do trzydziestu pięciu dni — odparł Baker. — Aha, przy okazji: masz jakiś statek?

— Jeszcze nie. Jak tylko go znajdę, podam ci nazwę.

— Gdybyś miał jakieś kłopoty, mógłbym ci pomóc. Wiem o bardzo dobrej łajbie do wynajęcia za dwa tysiące marek dziennie. Zawiezie ciebie i ładunek dokądkolwiek zechcesz, naturalnie z zachowaniem całkowitej dyskrecji.

Shannon zastanowił się nad propozycją. Dwadzieścia dni na Morzu Śródziemnym, dwadzieścia tam i dwadzieścia z powrotem — w sumie sto dwadzieścia tysięcy marek, czyli piętnaście tysięcy funtów. Mniej niż kupno statku. Kusząca oferta. Nie podobało mu się tylko to, że przyjąć ją, to ujawnić przed Bakerem naturę przedsięwzięcia i cel podróży, czyli właściwie uczynić go pełnoprawnym partnerem.

— Brzmi interesująco — odparł ostrożnie. — Jak się nazywa ten statek?

— San Andrea — odparł Baker.

Shannon natychmiast zeszywniał. Semmler kiedyś wspomniał o tym samym statku.

— Zarejestrowany na Cyprze?

— Tak.

— Odpada — rzekł krótko.

Wychodząc z restauracji, dostrzegł przy stoliku w kącie sali Johanna Schlinkera. Przez chwilę przypuszczał, że niemiecki handlarz bronią postanowił go śledzić, ale zorientował się, że Schlinker je z kimś kolację — pewnie z jakimś cennym klientem. Shannon odwrócił głowę i szybkim krokiem opuścił salę.

Przed hotelem uściśnął rękę Bakerowi.

— Odezwę się — powiedział. — Nie spraw mi zawodu.

— Nie obawiaj się. Możesz mi zaufać.

Baker odwrócił się i pomaszerował przed siebie ulicą.

— Jeszcze nie oszalałem... — mruknął Shannon, po czym wrócił do hotelu.

Jadąc windą wciąż miał przed oczami twarz człowieka, który siedział przy stoliku ze Schlinkerem. Na pewno gdzieś już go widział, ale nie mógł sobie uświadomić gdzie. Dopiero tuż przed zaśnięciem przypomniał sobie: był to jeden z przywódców Skrzydła Tymczasowych IRA.

Następnego dnia, w środę, z samego rana poleciał do Londynu. Zaczął się dzień dziewiąty.

03.Psy Wojny

5

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy samolot Shannona startował z lotniska w Hamburgu, Martin Thorpe wszedł do gabinetu sir Jamesa Mansona.

— Lady Macallister — powiedział, zamykając za sobą drzwi. Sir James bez słowa wskazał mu fotel. — Zająłem się nią najdokładniej jak było możliwe — ciągnął Thorpe. — Tak jak podejrzewałem, dwa razy proponowano jej, by sprzedała swoje trzydzieści procent udziałów w Bormac Trading, ale chyba podchodzono do sprawy w niewłaściwy sposób, bo za każdym razem odmawiała. Ma osiemdziesiąt sześć lat, jest częściowo zdziecinniała i bardzo złośliwa. W każdym razie taką ma reputację. Jest także wielką szkocką patriotką, a jej interesami zajmuje się prawnik z Dundee. Oto dokładny raport na jej temat.

Wręczył sir Jamesowi plik kartek. Lektura raportu zajęła szefowi Manson Consolidated kilka minut; czytając parę razy odchrząknął, a raz nawet zaklął pod nosem.

— Nadal zależy mi na tych trzystu tysiącach akcji — powiedział wreszcie, odkładając raport na biurko. — Dlaczego uważasz, że tamci zabrali się do sprawy w niewłaściwy sposób?

— Lady Macallister ma w życiu jedną obsesję, ale bynajmniej nie są to pieniądze. Jest córką szkockiego lorda, który może nie miał gotówki, ale za to był właścicielem wielkich dóbr ziemskich. Kiedy wychodziła za mąż, dostała w posagu tylko dziesiątki hektarów bagien i wrzosowisk. Jednak w ciągu ostatnich dwudziestu lat sprzedaż praw do polowania i wędkowania przyniosła jej małą fortunę, którą powiększyła jeszcze bardziej, sprzedając część terenów pod budowę zakładów przemysłowych. Jej broker, czy ktoś taki, mądrze zainwestował pieniądze, dzięki temu stara dama ma teraz niezły roczny dochód. Przypuszczam, że za akcje oferowano jej może i duże pieniądze, ale nie to ją interesuje.

— A co ją w takim razie interesuje, do diabła?

— Proszę zajrzeć na drugą stronę raportu. Widzi pan? Co roku w Timesie pojawiają się notatki o kolejnej prośbie o zezwolenie na budowę pewnego pomnika, i co roku Rada Miejska Londynu ją odrzuca. Na razie udało jej się postawić taki pomnik tylko w swoim rodzinnym miasteczku. Myślę, że to właśnie jest jej obsesja: chodzi o uczczenie pomnikiem w Londynie pamięci starego nadzorca niewolników, który był jej mężem.

— Rzeczywiście, możesz mieć rację. W takim razie co proponujesz? Thorpe przedstawił swój pomysł. Manson wysłuchał go uważnie, wreszcie powiedział:

— To się może udać. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Problem polega na tym, że jeśli potem też odmówi, nie bardzo będzie można zwrócić się do niej ponownie... Zwykła oferta kupna na pewno wywoła wtedy taką samą reakcję, jak dwie poprzednie. W porządku, rób to po swojemu. Zależy mi tylko na tym, żeby sprzedała swoje akcje.

Thorpe nie zwlekając zabrał się do pracy.

Shannon zjawił się w Londynie niemal dokładnie w południe i zastał na podłodze pod drzwiami telegram z Marsylii od Langarottiego, zaadresowany do Keitha Browna i podpisany krótko „Jean”. Był w nim tylko adres hotelu położonego z dala od centrum miasta, w którym Korsykanin zameldował się pod nazwiskiem Lavallon. Shannon pochwalił go w duchu za ostrożność. We francuskich hotelach

wypełnia się formularz, który następnie jest przekazywany na policję. Jakiś dociekliwy funkcjonariusz mógłby zacząć się zastanawiać, dlaczego dobrze znany wymiarowi sprawiedliwości Langarotti pojawił się tak daleko od swoich tradycyjnych terenów łowieckich.

Zdobycie numeru hotelu zajęło Shannonowi dziesięć minut. Kiedy wreszcie dodzwonił się do recepcji i zapytał o pana Lavallona, powiedziano mu, że monsieur wyszedł i nie wiadomo kiedy wróci. Przekazał więc prośbę, aby pan Lavallon jak najszybciej skontaktował się z panem Brownem z Londynu. Przed rozstaniem z czterema kompanami upewnił się, że każdy z nich zna na pamięć numer jego telefonu.

Następnie nadał przez telefon telegram na poste restante do Waltera Harrisa. Informował w nim o swoim powrocie do Londynu i prosił o spotkanie. Kolejny telegram powędrował do Janniego Dupree z poleceniem, aby natychmiast stawił się w mieszkaniu Shannona.

Potem zadzwonił do Szwajcarii, do swego banku. Okazało się, że z 10000 funtów jego wynagrodzenia nadeszło do tej pory tylko 5000, przelewem z konta nieznanego osoby. Musiał to być Endean. Shannon wzruszył ramionami. Wiedział, że to normalne — zazwyczaj wypłacano z góry jedynie połowę wynagrodzenia. Znając wielkość ManCon i wiedząc, jak gorąco jej właściciel pragnie obalić szybko Kimbę, nie miał najmniejszych wątpliwości, że reszta także znajdzie się na jego koncie.

Całe popołudnie poświęcił sporządzaniu dokładnej relacji z podróży do Luksemburga i Niemiec. Pomiął jedynie nazwę kancelarii w Luksemburgu i nazwiska obu handlarzy bronią z Hamburga. Do raportu dołączył szczegółowe zestawienie dotychczasowych wydatków.

Skończył o wpół do piątej, a ponieważ tego dnia zjadł tylko lekką przekąskę na pokładzie samolotu Lufthansy, wyjął z lodówki pół tuzina jaj, wrzucił na patelnię, przez pewien czas walczył ambitnie, usiłując przyrządzić omlet, a wreszcie zrezygnował, cisnął wszystko do kosza i uciął sobie drzemkę.

Tuż po szóstej obudził go Janni Dupree. Pięć minut później zadzwonił telefon. Był to Endean, który właśnie odebrał telegram na poczcie. Szybko zorientował się, że Shannon nie może swobodnie rozmawiać.

— Jest ktoś z panem? — zapytał.

— Tak.

— Czy ma to związek ze sprawą?

— Tak.

— Chce pan się spotkać?

— Wydaje mi się, że powinniśmy — odparł Shannon. — Może jutro rano?

— W porządku. Odpowiada panu jedenasta?

— Niech będzie.

— U pana?

— Tak jest.

— W takim razie będę o jedenastej — powiedział Endean i odłożył słuchawkę.

Shannon odwrócił się do Afrykanera.

— Jak sobie radzisz, Janni? — zapytał.

W ciągu minionych trzech dni Dupree nie zrobił zbyt wiele. Zamówił pięćdziesiąt par skarpet, bawełnianych koszulek i gacek, które miały być gotowe do odbioru w piątek. Znalazł też dostawcę pięćdziesięciu kurtek i złożył zamówienie. Ta sama firma oferowała także spodnie, ale Dupree, zgodnie z poleceniem Shannona, szukał innej, aby nikt nie zorientował się, że chodzi o skompletowanie całego umundurowania. Co prawda na razie nic nie wskazywało na to, żeby

ktokolwiek coś podejrzewał, niemniej jednak Shannon postanowił nie zmieniać tej zasady.

Janni odwiedził wiele sklepów z butami, lecz nie udało mu się znaleźć potrzebnego typu obuwia. Miał zamiar szukać dalej przez następny tydzień i rozglądać się jednocześnie za beretami, plecakami, tornistrami i śpiworami. Shannon poradził mu, aby najszybciej jak to będzie możliwe wysłał do Marsylii pierwszą partię bielizny i kurtek. Obiecał, że najdalej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin poda mu adres firmy przewozowej w Marsylii, do której należy kierować wszystkie przesyłki. Lada chwila miał go przysłać Langarotti.

Zanim Afrykaner wyszedł, Shannon napisał list do Langarottiego, zaadresował jego prawdziwym nazwiskiem na poste restante w głównym urzędzie pocztowym Marsylii. W liście przypomniał Korsykaninowi pogawędkę, jaką pół roku wcześniej odbyli w cieniu palm. Rozmowa zesła wtedy na handel bronią i Langarotti wspomniał o jakimś swoim znajomym z Paryża, który mógł uzyskać świadectwo końcowego użytkownika od pewnego afrykańskiego dyplomaty akredytowanego w stolicy Francji. Shannon chciał poznać nazwisko tego człowieka oraz adres, pod którym można go zastać.

Skończywszy pisać włożył list do koperty, zakleił ją i wręczył Janniemu z prośbą, aby natychmiast wysłał go ekspresem z poczty na Trafalgar Square. Wyjaśnił, że sam by to zrobił, ale czeka na telefon od Langarottiego z Marsylii.

O ósmej, kiedy Korsykanin wreszcie zadzwonił, Shannon był już bardzo głodny. Głos Langarottiego był ledwo słyszalny poprzez potężne trzaski i szumy — prawdopodobnie linia pochodziła jeszcze z czasów, kiedy we Francji instalowano pierwsze telefony.

Shannon zapytał go ostrożnie, jak sobie radzi. Podczas ostatniego spotkania ostrzegł wszystkich najemników, żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie rozmawiali otwarcie przez telefon o swoim zadaniu.

— Zatrzymałem się w hotelu i wysłałem ci telegram z adresem — zaszemrał Langarotti.

— Wiem, dostałem go! — wrzasnął Shannon.

— Potem wynająłem skuter i objechałem wszystkie sklepy z rzeczami, które nas interesują — dobiegł ledwo słyszalny głos. — W każdej kategorii znalazłem trzech producentów. Zdobyłem adresy trzech firm wytwarzających łodzie i napisałem do nich, żeby przysłali mi katalogi. Potem zamówię u miejscowych dostawców najlepszy model, podając nazwę producenta i konkretny typ.

— Dobry pomysł! — ryknął Shannon. — A co z pozostałymi rzeczami?

— Wszystko zależy od tego, co wybiorę z tych katalogów, ale o nic się nie martw. Jeśli chodzi o drugą kategorię, to jest tu tego tysiące w każdym sklepie i warsztacie na wybrzeżu. Teraz, przed sezonem, wszyscy sprowadzają najnowsze modele.

— W porządku! A teraz słuchaj: potrzebuję dobrej firmy spedycyjnej. Muszę to mieć szybciej, niż przypuszczałem. Już niedługo będę musiał wysłać parę skrzyń stąd i z Hamburga.

— To żaden problem — dobiegł przytłumiony głos Langarottiego. — Ale wydaje mi się, że lepiej będzie zorganizować to w Tulonie. Domyślasz się dlaczego.

Rzeczywiście, Shannon domyślał się dlaczego. Langarotti mógł wprawdzie zameldować się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem, ale aby wysłać ładunek za granicę, musiał przedstawić jakieś dokumenty. Ostatnio marsylska policja wzięła port pod znacznie dokładniejszą obserwację, a w dodatku pojawił się nowy szef urzędu celnego. Już samo jego nazwisko budziło postrach. Chodziło o przerwanie narkotykowej nici łączącej Marsylię z Nowym Jorkiem, ale poszukiwania heroiny mogły łatwo doprowadzić do odkrycia ładunku broni. Byłoby cholernie głupio wpaść z powodu czegoś, z czym nie miało się nic wspólnego.

— W porządku — odparł Shannon. — Ty najlepiej znasz teren. Zawiadom mnie, jak tylko

wszystko załatwisz. Aha, jeszcze jedno: dziś wieczorem wysłałem ekspresem list do ciebie na pocztę główną w Marsylii. Dowiesz się, o co chodzi, kiedy go dostaniesz. Najpóźniej w piątek rano przekaż mi nazwisko tego człowieka.

— Dobra. To wszystko?

— Tak, przynajmniej na razie. Prześlij mi też te katalogi razem z twoimi uwagami i cenami. Nie możemy przekroczyć budżetu.

— Dobrze. Trzymaj się.

Shannon odłożył słuchawkę. Zjadł kolację w Bois de St Jean i położył się wcześniej spać.

Nazajutrz o jedenastej przed południem zjawił się Endean. Zaczął od zapoznania się z raportem i zestawieniem wydatków.

— Dobra — powiedział wreszcie. — A co pan o tym sądzi?

— To dopiero początek — odparł Shannon. — Zajmuję się sprawą od dziesięciu dni, ale załatwiłem już sporo. Chcę złożyć wszystkie zamówienia w ciągu najbliższych dziesięciu dni, więc dostawcy będą mieli czterdzieści dni na ich zrealizowanie. Transport i załadunek na statek zajmie następne dwadzieścia dni. Jeśli mamy uderzyć zgodnie z planem, statek powinien wypłynąć z portu osiemdziesiątego dnia przygotowań. W związku z tym wkrótce znowu będę potrzebował pieniędzy.

— Przecież ma pan już trzy i pół tysiąca w Londynie i siedem tysięcy w Belgii — zaprotestował Endean.

— Owszem, ale w najbliższym czasie czekają mnie poważne wydatki.

Wyjaśnił, że w ciągu najbliższych dwunastu dni musi zapłacić 26 000 dolarów Johannowi, handlarzowi bronią z Hamburga, aby ten zdążył załatwić wszystkie formalności w Madrycie i przygotować towar do wysyłki. Oprócz tego 4800 dolarów za dodatkowe wyposażenie i 7200 dolarów za jugosłowiańską broń będzie musiał wysłać Alanowi razem ze świadectwem końcowego użytkownika przygotowanym w Paryżu.

— No i jeszcze należność za statek, razem ponad połowę całego budżetu — zakończył.

— W porządku — odparł Endean. — Skonsultuję się ze współnikami i przekażę na pańskie konto w Belgii następne dwadzieścia tysięcy funtów. Wszystko zostanie załatwione telefonicznie, więc będzie mógł pan uruchomić te pieniądze w ciągu kilku godzin. — Podniósł się z miejsca. — Coś jeszcze?

— Nic. Będę musiał znowu wyjechać w ciągu weekendu i chyba nie wrócę przez cały przyszły tydzień. Chcę sprawdzić, jak wygląda sprawa statku, obejrzeć łodzie i silniki w Marsylii, a także pistolety maszynowe w Belgii.

— Przed wyjazdem i zaraz po powrocie proszę przekazać wiadomość pod ten sam adres co zwykle — powiedział Endean.

W salonie dużego mieszkania przy Cottesmore Gardens, bardzo blisko Kensington High Street, panował półmrok. Przez wąską szczelinę między grubymi zasłonami wpadała do wnętrza smuga słonecznego światła. Umeblowanie pokoju składało się z czterech wielkich wiktoriańskich foteli i mnóstwa stołów i stolików z przeróżnymi bibelotami. Były wśród nich guziki od dawno podartych mundurów i szkockie medale z zapomnianych wojen klanowych, szklane przyciski do papieru tłoczyły się obok figurek z miśnieńskiej porcelany, kamei z wizerunkami dawnych szkockich piękności oraz wachlarzy z balów, o których nikt już nie pamięta.

Na ścianach pokrytych splewiałym brokatem wisiały portrety przodków: Montrose'ów, Monteagle'ów, Farquharów, Frazerów, Murrayów i Mintoeów. Wydawało się nieprawdopodobne, aby wszyscy oni byli antenatami jednej starej kobiety, choć po Szkotach można się wszystkiego spodziewać.

Nad kominkiem, w którym chyba nigdy nie płonął ogień, wisiał największy obraz, nie tak stary jak pozostałe, ale też stary. Przedstawiał mężczyznę w narodowym szkockim stroju. Jego twarz zdobiły nastroszone obfite wąsy, oczy zaś spoglądały na pokój z takim wyrazem, jakby ich właściciel właśnie dostrzegł w odległym zakątku plantacji jakiegoś leniuchującego kulisa. „Sir Ian Macallister, Kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego” — głosił podpis na mosiężnej tabliczce pod portretem.

Martin Thorpe oderwał wzrok od obrazu i spojrzał ponownie na lady Macallister. Kobieta siedziała zgarbiona w fotelu, bawiąc się bez przerwy aparatem słuchowym. Thorpe miał poważne trudności ze zrozumieniem jej słów, ponieważ mówiła szybko, bardzo niewyraźnie i z silnym akcentem, często odbiegając od tematu.

— Różni ludzie przychodzili do mnie w tej sprawie, panie Martin, ale ja nadal nie wiem, dlaczego miałabym sprzedać te akcje. — Uparcie zwracała się do niego „panie Martin”, mimo że przedstawił się dwa razy. — Sam pan przecież rozumie, to była firma mojego męża. On sam założył wszystkie plantacje, z których teraz inni czerpią zyski, tylko on, nikt inny. Teraz przychodzą do mnie różni ludzie i mówią, że chcą przejąć firmę i zacząć robić coś innego, na przykład budować domy albo nie wiadomo co... Nic z tego nie rozumiem i na pewno nie sprzedam ani jednej mojej...

— Ależ, lady Macallister...

Ona jednak mówiła dalej, jakby go w ogóle nie słyszała, co zresztą było możliwe, gdyż aparat słuchowy, którym bez przerwy się bawiła, musiał płatać najróżniejsze figle. Thorpe zaczynał powoli rozumieć, dlaczego do tej pory nikomu nie udało się ubić interesu ze starą damą.

— Widzi pan, panie Martin, mój biedny mąż, niech spoczywa w spokoju, nie pozostawił mi zbyt wiele. Byłam w Szkocji na wakacjach, kiedy zabili go ci okropni Chińczycy, i już nigdy tam nie wróciłam. Tak mi doradzono. Dowiedziałam się jednak, że plantacje należą do firmy, a ja jestem jej główną właścicielką, więc wyszło na to, że to jedyny spadek, jaki po nim dostałam, a przecież nie mogę sprzedać czegoś, co stanowi pamiątkę po nim...

Thorpe otwierał już usta, by powiedzieć, że w tej chwili firma nie ma praktycznie żadnej wartości, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie tego nie robić.

— Lady Macallister... — zaczął ponownie.

— Musi pan mówić bezpośrednio do aparatu — poradziła mu jej opiekunka. — Ona jest głucha jak pień.

Thorpe podziękował skinieniem głowy, dopiero teraz zdając sobie sprawę z obecności drugiej kobiety. Miała sześćdziesiąt kilka lat i wyglądała na osobę kiedyś może niezależną, ale którą kaprys losu skazał na związki ze światem ludzi trudnych we współżyciu i samolubnych, ale za to zamożnych, mogących sobie pozwolić na zatrudnianie innych, których zadaniem było im służyć.

Thorpe wstał i podszedł do starej kobiety w fotelu, po czym przemówił prosto do aparatu:

— Lady Macallister, ludzie, których reprezentuję, nie chcą niszczyć firmy. Wręcz przeciwnie, mają zamiar zainwestować w nią mnóstwo pieniędzy i ponownie dać jej szansę rozkwitu. Chcemy doprowadzić plantacje Macallistera do takiego stanu, w jakim były pod zarządem pani męża...

Po raz pierwszy od początku rozmowy, która trwała już niemal godzinę, w oczach staruszki pojawiło się coś w rodzaju błysku zrozumienia.

— Jak wtedy, kiedy zarządzał nimi mój mąż?

— Tak jest, lady Macallister! — odparł Thorpe podniesionym głosem i wskazał na portret wiszący nad kominkiem. — Chcemy ukończyć dzieło jego życia, dokładnie tak, jak on by tego pragnął, i sprawić, aby plantacje Macallistera stały się jego pomnikiem.

Jednak stara kobieta znowu wróciła do swego świata.

— Nie postawili mu pomnika! — głos jej drżał. — Staralam się jak mogłam, nawet napisałam do

władz, że pokryję wszystkie koszty, ale odpowiedzieli mi, że nie mają miejsca. Nie mają miejsca, wyobraża pan sobie? Wszędzie dokoła stawiają mnóstwo pomników, a dla mojego łana nie mają miejsca!

— Postawią mu pomnik, jeśli plantacje znowu zaczną przynosić zyski! — krzyknął Thorpe. — Będą musieli to zrobić. Kiedy firma odzyska dawną pozycję finansową, będzie mogła ufundować stypendium albo powołać fundację imienia łana Macallistera. Dzięki temu ludzie nigdy o nim nie zapomną.

Spróbował już raz tego podejścia, ale albo go wtedy nie usłyszała, albo nie zrozumiała. Tym razem jego słowa chyba do niej dotarły.

— Na to trzeba mnóstwo pieniędzy, a ja nie jestem zamożną kobietą — zajęczała. W rzeczywistości była bardzo bogata, lecz najprawdopodobniej nie miała o tym pojęcia.

— Nie będzie to panią kosztowało ani szylinga — odparł Thorpe. — Za wszystko zapłaci firma, ale żeby tak się stało, najpierw trzeba w nią zainwestować. Powróci do dawnej świetności, a to mogą zrobić tylko moi przyjaciele.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem... — zakwiliła, pociągając nosem, i sięgnęła po batystową chusteczkę ukrytą w rękawie. — Ja się w ogóle nie znam na tych sprawach. Gdyby tu był mój najdroższy łan albo pan Dalgleish... Zawsze zasięgam jego rady, a on podpisuje w moim imieniu wszystkie dokumenty. Pani Barton, chcę wrócić do mojego pokoju.

— Najwyższa pora — burknęła opiekunka. — Czas na drzemkę. I na lekarstwo.

Pomogła starej kobiecie wstać z fotela i wyprowadziła ją z salonu do holu. Przez uchylone drzwi Thorpe słyszał, jak surowym tonem nakazuje podopiecznej położyć się do łóżka, potem rozległy się słabe protesty staruszki, wzbraniającej się przed przyjęciem lekarstwa. Niebawem pani Barton wróciła do salonu.

— Musi trochę odpocząć — powiedziała. Thorpe obdarzył ją ponurym uśmiechem.

— Wygląda na to, że nic nie załatwiłem — powiedział ze smutkiem. — Najzabawniejsze jest to, że akcje, które ona ma, mogą nabrać wartości dopiero wtedy, gdy ktoś wpompuje w firmę mnóstwo gotówki i przywróci ją do życia, a to właśnie chcieli zrobić moi wspólnicy. — Podniósł się i skierował do drzwi. — Przepraszam, jeśli sprawiłem kłopot.

— Jestem przyzwyczajona do kłopotów — odparła pani Barton z nieco łagodniejszym niż do tej pory wyrazem twarzy. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna ktoś zadał sobie trud, żeby przeprosić ją za coś. — Może napije się pan herbaty?

Jakiś wewnętrzny głos kazał Thorpe'owi przyjąć zaproszenie. Kiedy usiedli we dwójkę przy stole w kuchni, która była królestwem pani Barton, poczuł się niemal jak u siebie w domu. Kuchnia jego matki w Battersea wyglądała bardzo podobnie. Pani Barton opowiedziała mu o lady Macallister, o jej ciągłych narzekaniach i napadach złego humoru, o jej uporze i uciekaniu w głuchotę przed wszystkim, co było dla niej niewygodne.

— Ona nie zrozumie pańskich argumentów, panie Thorpe, nawet gdyby zaproponował pan, że postawi w salonie pomnik tego jej starego ludożercy.

Martin był zaskoczony. Wyglądało na to, że zgryźliwa pani Barton nie ma najlepszego zdania o swojej chlebobawczynie.

— Zdaje się, że ona robi to, co jej pani powie — zauważył.

— Jeszcze filiżankę? — zapytała, a nalewając herbatę powiedziała ci« ho: — Rzeczywiście, robi to, co jej powiem. Jest ode mnie uzależniona i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Gdybym odeszła, nie znalazłaby nikogo na moje miejsce. W dzisiejszych czasach nikt nie zgodziłby się na takie warunki.

— Chyba nie jest tu pani najszczęśliwsza, pani Barton?

— Nie jestem — odparła krótko. — Ale przynajmniej mam się w co ubrać, dach nad głową i pełen talerz. Jakoś sobie radzę. To cena, którą trzeba płacić.

— Gdy się jest wdową? — zapytał łagodnie Thorpe.

— Tak.

Na kominku, tuż obok zegara, stała fotografia młodego mężczyzny w mundurze Królewskich Sił Powietrznych. Miał na sobie kurtkę z kożuszką, szalik w duże kropki, a na twarzy szeroki uśmiech. Był nawet dość podobny do Thorpe'a.

— Pani syn? — zapytał Martin, wskazując zdjęcie ruchem głowy. Pani Barton utkwiała spojrzenie w fotografii.

— Tak. Zestrzelony nad Francją w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim.

— Bardzo mi przykro.

— To było dawno temu. Człowiek do wszystkiego może się przyzwycząić.

— Więc nie będzie mógł zaopiekować się panią po śmierci lady Macallister...

— Nie.

— Jest ktoś, kto to zrobi?

— Poradzę sobie. Na pewno zapisze mi coś w testamencie. Zajmuję się nią od szesnastu lat.

— Tak, z pewnością ma pani rację. Nie wątpię, że lady Macallister uwzględni panią w swojej ostatniej woli.

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, a kiedy Thorpe wreszcie wyszedł, był w znacznie lepszym nastroju niż bezpośrednio po spotkaniu ze starą damą. Zbliżała się godzina, o której zamykano urzędy, ale zadzwonił do biura ManCon i zastał tam jeszcze Endeana, który natychmiast spełnił prośbę kolegi i znalazł na West Endzie pewnego pośrednika ubezpieczeniowego. Pośrednik ów zgodził się pozostać nieco dłużej w pracy, a nazajutrz o dziesiątej rano spotkać się w swoim biurze z panem Thorpe'em.

Tego samego czwartkowego wieczoru z Hamburga przyleciał do Londynu Johann Schlinker. Wcześniej zadzwonił pod domowy numer człowieka, z którym chciał porozmawiać, i umówił się z nim na spotkanie.

Człowiekiem tym był iracki dyplomata, spotkanie zaś odbyło się o dziewiątej wieczorem, w restauracji. Wykwintna i bardzo kosztowna kolacja była jeszcze droższa, niż mogło się wydawać, gdyż w pewnej chwili handlarz bronią wręczył swojemu gościowi kopertę z równowartością 1000 funtów w niemieckich markach. Sam otrzymał od Araba inną kopertę i zaraz do niej zajrzał. Zawierała list napisany na firmowym papierze ambasady. List nie miał adresata, ale za to stwierdzał wyraźnie, że podpisany pod nim iracki dyplomata akredytowany w Londynie został upoważniony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych swojego kraju, by zlecić Herr Johannowi Schlinkerowi przeprowadzenie operacji polegającej na zakupieniu i wysłaniu do Iraku 400000 sztuk amunicji kalibru 9 mm, która uzupełni zapasy irackiej policji. Obok podpisu dyplomaty widniała pieczęć ambasadora. W liście znajdowało się także oświadczenie, że amunicja będzie wykorzystana wyłącznie na terytorium Iraku, i że nigdy nie przedostanie się poza jego granice. Było to świadectwo końcowego użytkownika.

Spotkanie zakończyło się bardzo późno, w związku z czym Niemiec nie mógł już wrócić do domu. Spędził noc w hotelu, a następnego dnia wsiadł do pierwszego porannego samolotu odlatującego do Hamburga.

W piątek o jedenastej rano Shannon zadzwonił do Marca Vlaminka w Ostendzie.

— Znalazłeś tego człowieka? — zapytał. Wcześniej ostrzegł Belga, żeby podczas rozmów

telefonicznych zachować daleko idącą ostrożność.

— Tak, znalazłem — odparł Mały Marc. Siedział w łóżku obok pochrapującej cichutko Anny. Bar zazwyczaj kończył działalność między trzecią a czwartą nad ranem, więc oboje wstawali nie wcześniej niż w południe.

— Czy będzie chciał porozmawiać ze mną o interesach?

— Myślę, że tak. Nie wspominałem mu jeszcze o sprawie, ale jeden z moich kumpli twierdzi, że da się go przekonać pod warunkiem, że przedstawi cię ktoś, kogo zna.

— Ma towar, o którym rozmawialiśmy?

— Tak — odparł głos z Belgii.

— To dobrze — powiedział Shannon. — Najpierw spotkaj się z nim sam i powiedz mu, że masz klienta, który chciałby ubić interes. Umów mnie z nim na następny weekend. Powiedz, że klient nazywa się Brown i jest godnym zaufania Anglikiem. Zresztą, sam wiesz najlepiej, co masz robić. Załatw to tak, żeby był zainteresowany transakcją, i wspomnij też mimochodem, że podczas spotkania klient chciałby wypróbować jeden egzemplarz, a jeśli próba wypadnie pomyślnie, od razu omówić warunki oraz termin dostawy. W przyszłym tygodniu zadzwonię do ciebie i powiem, gdzie jestem i kiedy będę mógł przyjechać na spotkanie. Wszystko jasne?

— Tak — odparł Mara — Załatwię to w ciągu najbliższych dni. Umówię was wstępnie na przyszły weekend, ale zaznaczę, że dokładny czas i miejsce ustalimy trochę później.

Dwaj najemnicy życzyli sobie nawzajem powodzenia, po czym zakończyli rozmowę.

Wpół do trzeciej do londyńskiego mieszkania Shannona dotarł telegram z Marsylii zawierający nazwisko i adres pewnego Francuza. Langarotti informował także, że zadzwoni do tego człowieka i osobiście poleci mu Shannona oraz że w dalszym ciągu prowadzi poszukiwania odpowiedniej firmy spedycyjnej i ma nadzieję zakończyć je w ciągu najbliższych pięciu dni.

Shannon natychmiast wykręcił numer londyńskiego przedstawicielstwa linii lotniczych UTA i zarezerwował miejsce w samolocie do Afryki startującym w niedzielę o północy z lotniska le Bourget, po czym w BEA zamówił bilet na pierwszy poranny lot do Paryża na jutro. Następnie włożył do koperty przywiezione z Niemiec 2000 funtów i wsunął ją pod podszewkę podręcznej torby — uczynił to ze względu na brytyjskich celników, którzy obywatele Zjednoczonego Królestwa wywożących za granicę więcej niż dozwolone 25 funtów w gotówce i 300 w czekach podróży darzą niezbyt przyjaznymi uczuciami.

Zaraz po lunchu sir James Manson wezwał do gabinetu Simona Endeana. Wcześniej zapoznał się z raportem Shannona i był mile zaskoczony tempem, w jakim najemnik realizował swój zaproponowany przed zaledwie dwunastoma dniami plan. W pełni akceptował także wszystkie poniesione do tej pory wydatki. Jednak największą przyjemność sprawiła mu długa rozmowa telefoniczna z Martinem Thorpe'em, który spędził pół nocy i niemal cały ranek w biurze agenta ubezpieczeniowego.

— A więc powiadasz, że Shannona nie będzie przez prawie cały następny tydzień? — zwrócił się do Endeana, kiedy ten zamknął drzwi do gabinetu.

— Tak, proszę pana.

— To dobrze. Mamy do załatwienia pewną sprawę, więc możemy zająć się nią już teraz. Weź jeden z naszych standardowych kontraktów, których używamy zatrudniając przedstawicieli w Afryce, wymaż nazwę ManCon i wpisz w jej miejsce Bormac, a potem wypełnij formularz na nazwisko Antoine'a Bobiego, który od tej pory będzie naszym przedstawicielem w Afryce Zachodniej z pensją pięciuset funtów miesięcznie. Kiedy to zrobisz, zgłoś się do mnie.

— Bobi? — powtórzył Endean. — Chodzi o pułkownika Bobiego?

— Tak jest. Nie chcę, żeby przyszedł prezydent Zangaro gdzieś mi się zawieruszył. W poniedziałek polecisz do Cotonou, znajdziesz pułkownika i przekonasz go, że właściciele Bormac Trading Company, których reprezentujesz, zostali do tego stopnia olśnieni jego nadzwyczajnymi zdolnościami, że postanowili uczynić go konsultantem firmy w Afryce Zachodniej. Nie obawiaj się, na pewno nie będzie zwracał sobie głowy sprawdzaniem, co to jest Bormac i czy ty tam pracujesz. O ile znam takich jak on, to zainteresuje go jedynie wysokość pensji. Jeśli rzeczywiście jest w finansowym dołku, te pieniądze spadną mu jak manna z nieba.

Powiesz mu, że o pełnym zakresie obowiązków poinformujemy go nieco później, i że na razie jedynym warunkiem utrzymania się na tej posadzie jest to, by co najmniej przez najbliższe trzy miesiące nigdzie się nie ruszał ani na krok. Możesz dodać, że jeśli zastosuje się do tego warunku, otrzyma nadzwyczajną premię. Wynagrodzenie będzie dostawał w dahomejskich frankach, w formie przelewów na konto. Pod żadnym pozorem nie wolno dać mu do ręki twardej waluty, bo mógłby gdzieś bryknąć. Aha, jeszcze jedno: kiedy spreparujesz kontrakt, zrób jego fotokopię, żeby ukryć ślady fałszerstwa, i właśnie ją zabierz ze sobą. Wpisując datę zamaż rok, żeby nie można było nic odczytać.

Endean wyszedł z gabinetu i nie zwlekając przystąpił do realizacji powierzonego mu zadania.

W ten sam piątek, kilka minut po czwartej po południu, Thorpe wyszedł z ponurego mieszkania przy Kensington Road z czterema aktami sprzedaży akcji, posłusznie podpisanymi przez lady Macallister — autentyczność jej podpisu potwierdziła występująca w roli świadka pani Barton. W kieszeni miał także list, w którym stara dama prosiła pana Dalgleisha, swojego adwokata z Dundee, aby przekazał akcje panu Thorpe'owi, kiedy ten dostarczy list, dokument potwierdzający tożsamość oraz czek na ustaloną sumę.

W umowach sprzedaży pozostawiono wolne miejsca na nazwiska kupującego, ale lady Macallister nie zwróciła na to uwagi. Była zbyt przerażona wizją pani Barton pakującej walizki i opuszczającej ją na zawsze. Jeszcze przed północą w wolnych miejscach pojawią się nazwiska pełnomocników z banku Zwingli, działających z upoważnienia panów Adamsa, Balia, Cartera i Daviesa. W najbliższy poniedziałek Thorpe planował złożyć wizytę w Zurychu. Na dokumentach pojawią się wtedy także stempel banku i podpis doktora Steinhofera. Martin Thorpe wróci do Londynu z czterema potwierdzonymi czekami wystawionymi w imieniu czterech nie istniejących osób, z których każda stała się posiadaczem 7.5 procenta akcji Bormac Trading Company.

Sir James Manson kupił 300000 akcji po 2 szylingi za sztukę w chwili, gdy ich wartość na londyńskiej giełdzie wynosiła jednego szylinga i jednego pensa za sztukę, czyli za 30 000 funtów. Za następne 30000 funtów, pobrane w piątek rano z trzech różnych kont bankowych, została wykupiona polisa ubezpieczeniowa zapewniająca spokojne i dostatnie życie starszej pani pełniącej funkcję opiekunki i towarzyszkii pewnej nieznośnej, upartej damy.

W sumie należało uznać, że cena nie była wysoka. Co ważniejsze, nikomu nie udało się ustalić, że w ogóle doszło do transakcji. Nazwisko Thorpe'a nie pojawiło się w żadnym dokumencie, wszystkie stosowne opłaty uścili adwokaci, którzy z kolei otrzymali sowite wynagrodzenie za to, żeby nie puścić pary z ust. Martin Thorpe był pewien, że pani Barton także będzie miała dość oleju w głowie, by zachować całą sprawę w tajemnicy.

Co najzabawniejsze, wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

03.Psy Wojny

6

Benoit Lambert, znany przyjaciółom i policji jako Benny, był drobną płotką w przestępczym świecie i lubił uchodzić za najemnika. Prawda przedstawiała się w ten sposób, że istotnie pewnego razu, poszukiwany przez paryską policję, wszedł do samolotu odlatującego do Afryki i w Kongu wstąpił do Szóstego Komanda dowodzonego przez Denarda.

Z jakiegoś nieznanego powodu dowódca polubił bojaźliwego, małego człowieczka i dał mu posadę zaopatrzeniowca w kwaterze głównej, daleko od pola walki. Lambert dobrze wywiązywał się z powierzonego zadania, ponieważ wykonując je, mógł korzystać w pełni z jedyne go talentu, w jaki wyposażyla go natura: umiejętności zdobywania wszystkiego co potrzebne. Potrafił znaleźć jajka tam, gdzie nikt nigdy nie widział kury, i whisky tam, gdzie nawet nie słyszano o alkoholu. Taki człowiek jest bardzo przydatny w dowództwie każdego oddziału i dlatego większość oddziałów ma takich ludzi. Lambert pozostał w Szóstym Komandzie niemal przez rok, aż do maja 1967, kiedy to wyczuł kłopoty: Dziesiąte Komando dowodzone przez Schramme'a mogło lada moment wystąpić przeciwko kongijskiemu rządowi. Przypuszczał — słusznie, jak się później okazało — że oddział Denarda może zostać wciągnięty w tę awanturę, i że wszyscy, łącznie z nim, będą musieli zaznać smaku prawdziwej walki. Benny Lambert uznał, iż jest to najlepsza chwila, aby pośpiesznie zrejterować.

Ku jego zdumieniu pozwolono mu odejść.

Znalazłszy się znów we Francji rozpuścił pogłoski, że jest nadal najemnikiem, a nieco później zaczął podawać się za handlarza bronią. Najemnikiem na pewno nie był, ale dzięki rozmaitym znajomościom i kontaktom od czasu do czasu rzeczywiście udawało mu się zdobyć kilka rewolwerów albo skrzynię karabinów dla kolegów ze świata przestępczego. Poznał także jakiegoś afrykańskiego dyplomatę, mogącego dostarczyć za odpowiednią opłatą świadectwo końcowego użytkownika w postaci listu z podpisem ambasadora i z jego osobistą pieczęcią. Półtora roku temu Lambert wspominał o tym w barze Korsykaninowi nazwiskiem Langarotti.

Mimo to nieco się zdziwił, kiedy w piątek wieczorem usłyszał jego głos przez telefon. Langarotti dzwonił spoza Paryża, aby go zawiadomić, że w sobotę lub niedzielę ma się spodziewać niejakiego Cata Shannona. Benny słyszał już o Shannonie, ale słyszał również o chorobliwej nienawiści, jaką Charles Roux darzył irlandzkiego najemnika. Dotarły także do niego krążące po Paryżu pogłoski o tym, że Roux jest gotów sporo zapłacić każdemu, kto powiadomi go o miejscu pobytu Shannona, gdyby Irlandczyk zjawił się kiedyś nad Sekwaną. Po krótkim namyśle Lambert zgodził się spędzić weekend w domu, czekając na Shannona.

— Tak, myślę, że dam radę załatwić taki świstek — powiedział, kiedy Cat wyjaśnił, czego od niego oczekuje. — Mój znajomy jest nadal w Paryżu. Często załatwiam z nim interesy.

Było to kłamstwo, ale Benny nie wątpił, że zdoła dotrzeć do afrykańskiego dyplomaty.

— Ile? — zapytał krótko Shannon.

— Piętnaście tysięcy franków.

— Merde! — warknął Shannon. — Dostaniesz tysiąc funtów, a to i tak za dużo.

Lambert policzył szybko w pamięci. Po aktualnym kursie tysiąc funtów równało się około jedenastu tysiącom franków.

— Zgoda — powiedział.

— Jeśli piśniesz choć słówko, poderżnę ci gardło jak kurczakowi — ostrzegł go Shannon. — Albo każę to zrobić Korsykaninowi. On najpierw poprzecina ci ścięgna pod kolanami.

— Będę milczał jak grób! — zapewnił go Benny. — Za tysiąc funtów dostarczę ci list w ciągu czterech dni.

Shannon położył na stole pięćset funtów.

— Rozliczymy się na raty — powiedział. — Połowa teraz, połowa przy odbiorze.

Lambert już chciał zaprotestować, ale zrozumiał, że to nie ma sensu. Irlandczyk najwyraźniej mu nie ufał.

— Zadzwoń do ciebie w środę — dodał Shannon. — Ty dasz mi list, a ja tobie pięćset funtów.

Kiedy wyszedł, Benny Lambert zaczął się głęboko zastanawiać nad tym, co powinien zrobić. Wreszcie postanowił zdobyć list, odebrać drugą część zapłaty i dopiero wtedy zawiadomić Roux.

Nazajutrz o północy Shannon wsiadł do samolotu odlatującego do Afryki, gdzie znalazł się w poniedziałek o świcie.

Podróż w głąb lądu gorącą, rozklekotaną taksówką ciągnęła się w nieskończoność. Był akurat środek pory suchej, więc po błękitnym niebie nad plantacjami palm oleistych nie sunęła ani jedna chmurka. Shannonowi wcale to nie przeszkadzało. Dobrze było znowu znaleźć się na półtora dnia w Afryce, nawet po bezsennej nocy spędzonej w samolocie.

Czuł się tu bardziej u siebie niż w miastach zachodniej Europy. Słyszał znajome dźwięki, czuł znajome zapachy, widział znajome obrazki — na przykład sznur kobiet z tobołkami na głowach na skraju drogi, zmierzających na targ w pobliskiej wiosce, albo już rozkładających towar na skleconych byle jak, przykrytych palmowymi liśćmi straganach. Wieśniacy kłócili się, targowali, sprzeczali i przekonywali, kobiety zachęcały do kupowania, podczas gdy ich mężczyźni siedzieli w cieniu i rozmawiali o ważnych sprawach, które tylko oni mogli zrozumieć. Nagie dzieci ganiały w kurzu, przemykając pod nogami rodziców i między straganami.

Shannon otworzył okna po obu stronach, po czym rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu, wdychając zapach palm, dymu i brunatnych, leniwych rzek. Zaraz po wyjściu z samolotu zadzwonił pod numer, który otrzymał od dziennikarza, i zapowiedział swoje przybycie. Tuż przed południem dotarł wreszcie do willi stojącej w położonym z dala od drogi niewielkim prywatnym parku.

Strażnicy przy bramie najpierw sprawdzili dokładnie, czy nie ma przy sobie broni, i dopiero później pozwolili mu zapłacić taksówkarzowi i wejść na teren posiadłości. Shannon niemal natychmiast ujrzał znajomą twarz: uśmiechał się do niego jeden z osobistych służących człowieka, z którym miał się za chwilę spotkać. Służący skinął głową, zaprowadził go do budyneczku w parku i pozostawił samego w saloniku. Shannon czekał tam przez prawie pół godziny.

Właśnie patrzył przez okno, stojąc w podmuchach chłodnego powietrza z klimatyzatora, które owiewały jego przepocone ubranie, kiedy usłyszał za plecami skrzypnięcie otwieranych drzwi i odgłos stąpień na kamiennych płytkach podłogi. Odwrócił się.

Generał wyglądał niemal tak samo jak wtedy, kiedy widzieli się po raz ostatni na pogrążonym w ciemności lotnisku w sercu dżungli: ta sama bujna broda, ten sam głęboki głos.

— Szybko się spotykamy, majorze Shannon. Nie mógł pan wytrzymać z dala ode mnie? — zapytał żartobliwie.

Shannon uśmiechnął się i uściśnął wyciągniętą dłoń.

— Przyleciałem tutaj, ponieważ chciałem pana o coś prosić — powiedział. — A także dlatego, że mam pewien pomysł, o którym chyba powinniśmy porozmawiać.

— Wątpię, czy taki ubogi wygnaniec jak ja może się panu na coś przydać, ale chętnie dowiem

się, co to za pomysł. O ile mnie pamięć nie myli, miewał pan całkiem niezłe.

— Nawet jako ubogi wygnaniec ma pan coś, na czym mi bardzo zależy — odparł Shannon. — Lojalność swoich ludzi. A ja tego właśnie potrzebuję.

Rozmowa przeciągnęła się. Mrok już dawno zapadł, a dwaj mężczyźni wciąż siedzieli przy stole zasłanym szkicami, które na bieżąco robił Shannon — licząc się z możliwością kontroli na lotnisku przywiózł ze sobą tylko papier i różnokolorowe flamastry. O zachodzie słońca generał i major uzgodnili najważniejsze sprawy, po czym przystąpili „do omawiania szczegółów. Dopiero o trzeciej nad ranem wezwano samochód z kierowcą, który miał odwieźć Shannona na poranny samolot do Paryża.

Mężczyźni pożegnali się na tarasie.

— Skontaktuję się z panem, panie generale. — Shannon uściskał dłoń gospodarza

— A ja natychmiast wyślę emisariuszy — odparł generał. — Za sześćdziesiąt dni ludzie będą na miejscu.

Shannon był śmiertelnie znużony. Nie spał od dwóch dni. Bezustanne przenoszenie się z miejsca na miejsce, ciągłe przejazdy z lotniska do hotelu i z powrotem, długie i wyczerpujące negocjacje ostatniej nocy — wszystko to dało mu się porządnie we znaki. Jadąc samochodem do stolicy przespał się trochę, a potem zapadł w drzemkę, ledwo zajął miejsce w samolocie. O prawdziwym śnie nie było jednak mowy, bo maszyna miała zbyt wiele międzylądowań: najpierw w Ouagadougou, potem na jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi lotnisku w Mauretanii, wreszcie w Marsylii. Dopiero o szóstej wieczorem koła samolotu zetknęły się z nawierzchnią lotniska le Bourget pod Paryżem. W ten sposób dobiegł końca dzień piętnasty.

W chwili kiedy Shannon lądował w Paryżu, Martin Thorpe wsiadał do wagonu sypialnego pierwszej klasy pociągu do Glasgow, Stirling i Perth. Stamtąd miał pojechać dalej do Dundee, gdzie mieściła się siedziba starej kancelarii adwokackiej Dalgleish & Dalgleish. W jego teczce tkwił dokument podpisany przez lady Macallister w obecności pani Barton, oraz cztery czeki wystawione przez bank Zwingli w Zurychu. Każdy z nich opiewał na sumę 7500 funtów, wystarczającą do zakupu 75 000 akcji Bormac Trading Company, należących do lady Macallister.

Dwadzieścia cztery godziny — pomyślał, zaciągając zasłony w oknie i odgradzając się w ten sposób od tłumu kłębiącego się na peronie dworca King's Cross. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny i wreszcie będzie po wszystkim. A za trzy tygodnie na czele zarządu Bormac stanie nowy prezes, posłusznie wykonujący polecenia jego i sir Jamesa Mansona. Martin Thorpe wsunął teczkę pod poduszkę, położył się na łóżku i zapatrzył w sufit, rozkoszując się tą myślą.

W ten sam wtorkowy wieczór, tyle że nieco później, Shannon wynajął pokój w hotelu niedaleko Madeleine, w samym sercu ósmej dzielnicy. Tym razem musiał zrezygnować z tradycyjnej kryjówki na Montmartrze, gdzie był znany jako Carlo Shannon, bo obecnie występował pod nazwiskiem Keith Brown. Zresztą hotel Plaza-Surene też był dobry. Shannon wykapał się, ogolił, po czym zadzwonił do swojej ulubionej restauracji Mazagran, by zarezerwować stolik na kolację. Madame Michele obiecała przygotować mu jego ulubiony filet mignon, sałatę i butelkę Pot de Chirouble.

Wkrótce potem zadzwonił telefon. Shannon zamówił dwie rozmowy, ledwie wszedł do pokoju. Pierwszy zgłosił się niejaki pan Lavallon z Marsylii.

— Znalazłeś odpowiednią firmę? — zapytał Shannon, kiedy już wymienili wstępne uprzejmości.

— Tak — odparł Korsykanin. — W Tulonie. Bardzo duża, bardzo znana i bardzo sprawna. Mają w porcie własny magazyn.

— Podaj mi jej namiary — poprosił Shannon, biorąc do ręki ołówek.

— Agence Maritime Duphot — powiedział Langarotti i podyktował adres. — Zaznacz na

opakowaniach, że towar należy do monsieur Langarottiego.

Ledwie Shannon zdążył odłożyć słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie i panienska z hotelowej centrali poinformowała go, że na linii czeka pan Dupree z Londynu.

Shannon przeliterował mu nazwę i adres tulońskiej firmy.

— W porządku — powiedział Janni. — Przygotowałem już do wysyłki pierwszą z czterech skrzyń. Pchnę ją możliwie najszybciej. Aha, znalazłem też odpowiednie buty.

— Dobra robota — pochwalił go Shannon.

Następnie zamówił jeszcze jedną rozmowę, tym razem z barem w Ostendzie. Otrzymał połączenie dopiero po piętnastu minutach.

— Jestem w Paryżu — powiedział. — Czy ten człowiek, który ma interesujący mnie towar...

— Tak, skontaktowałem się z nim — wpadł mu w słowo Marc. — Zgodził się spotkać z tobą i omówić warunki transakcji.

— To dobrze. Przylecę do Belgii w czwartek wieczorem albo w piątek rano. Powiedz mu, że proponuję spotkanie w piątek rano w Holiday Inn niedaleko lotniska.

— Wiem, gdzie to jest — odparł Marc. — Dobra, przekażę mu to i zadzwonię do ciebie.

— Będę czekał przy telefonie jutro między dziesiątą a jedenastą — powiedział Shannon i odłożył słuchawkę.

Dopiero wtedy włożył marynarkę i udał się na posiłek, po którym czekał go długo oczekiwany całonocny sen.

Podczas gdy Shannon spał w paryskim hotelu, Simon Endean leciał do Afryki na pokładzie nocnego samolotu. Przybył do Paryża we wtorek z samego rana i niezwłocznie pojechał taksówką do ambasady Dahomeju przy alei Wiktora Hugo, gdzie wypełnił obszerny różowy formularz, prosząc o wydanie sześciodniowej wizy turystycznej. Odebrał ją po południu tuż przed końcem urzędowania, dzięki czemu zdążył na nocny lot do Cotonou. Shannona nie zdziwiłaby specjalnie wiadomość, że Endean leci do Afryki, gdyż domyślał się, że przebywający na wygnaniu pułkownik Bobi na pewno ma swoje miejsce w planie przygotowanym przez sir Jamesa Mansona. Gdyby jednak Simon Endean dowiedział się, iż Shannon dopiero co odwiedził pewnego generała ukrywającego się w tej samej części Czarnego Lądu, z pewnością nie spałby spokojnie na pokładzie DC-8 linii UTA, nawet po pastylce nasennej, którą przezornie zażył przed startem.

Marc Vlamincck zadzwonił do Shannona piętnaście po dziesiątej następnego dnia.

— Zgodził się na spotkanie i weźmie ze sobą próbkę towaru — powiedział Belg. — Chcesz, żebym też tam był?

— Jasne — odparł Shannon. — Jak przyjedziesz do hotelu, zapytaj w recepcji o pokój pana Browna. I jeszcze jedno: kupiłeś już tę ciężarówkę?

— Tak, a bo co?

— Czy nasz kontrahent widział ją przy jakiejś okazji? Vlamincck zastanawiał się przez chwilę.

— Nie — powiedział wreszcie.

— W takim razie nie przyjeżdżaj nią do Brukseli. Najlepiej wynajmij jakiś samochód i zabierz tego człowieka po drodze.

— W porządku — odparł lekko zdziwiony Marc. — Będzie, jak chcesz.

Shannon, który wciąż jeszcze leżał w łóżku, ale czuł się już nieco lepiej, zamówił telefonicznie śniadanie i zgodnie ze swoim zwyczajem wszedł na pięć minut pod prysznic — cztery minuty pod strumieniem gorącej, jedna zaś lodowato zimnej wody.

Kiedy wrócił do pokoju, na stoliku przy łóżku czekała już kawa i świeże bułeczki. Zjadł śniadanie, po czym przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne: pierwszą z Bennym Lambertem w

Paryżu, drugą z panem Steinem z firmy prawniczej Lang & Stein w Luksemburgu.

— Masz dla mnie ten list? — zapytał Lamberta.

— Tak — odparł drobny kanciarz niezbyt pewnym głosem. — Dostałem go wczoraj. Na szczęście mój człowiek pracował w poniedziałek, więc mogłem go od razu zawiadomić, czego mi potrzeba. Kiedy chcesz to odebrać?

— Dziś po południu.

— W porządku. Przywiozłeś pieniądze?

— Nie obawiaj się, mam je przy sobie.

— W takim razie wpadnij do mnie około trzeciej — zaproponował Lambert.

Shannon zastanowił się przez chwilę.

— Będzie lepiej, jeśli ty przyjdiesz tutaj — powiedział wreszcie i podał Lambertowi nazwę hotelu. Wolał spotkać się z małym oszustem w jakimś publicznym miejscu. Ku jego zdziwieniu Francuz skwapliwie przystał na takie rozwiązanie. Coś tu było nie w porządku, ale Shannon nie miał pojęcia, co to takiego. Nie wiedział, że przed chwilą przekazał Lambertowi wiadomość, którą ten mógł sprzedać Roux.

Pan Stein rozmawiał z drugiego aparatu, więc Shannon powiedział, że zadzwoni jeszcze raz później. Zrobił to za godzinę.

— Chciałem ustalić z panem termin spotkania założycielskiego firmy holdingowej Tyrone Holdings.

— Ach, pan Brown — usłyszał głos Steina. — Oczywiście, wszystko jest już przygotowane. Jaki termin najbardziej by panu odpowiadał?

— Jutro po południu — odparł Shannon. Ostatecznie spotkanie zostało wyznaczone na trzecią w biurze Steina. Zakończywszy rozmowę Shannon zadzwonił do recepcji i polecił zarezerwować na swoje nazwisko jeden bilet w ekspresie Paryż—Luksemburg odjeżdżającym nazajutrz o dziewiątej rano.

— Muszę przyznać, że ta sprawa wygląda co najmniej dziwnie. Duncan Dalgleish senior idealnie pasował do swego gabinetu, który

wyglądał tak, jakby tu właśnie niegdyś odczytano ostatnią wolę sir Waltera Scotta. Uważnie zapoznał się z treścią czterech umów podpisanych przez lady Macallister i potwierdzonych przez panią Barton, kilka razy mruknął ponuro „Tak, tak...” i obrzucił przybyłego z Londynu młodego człowieka paroma niezbyt przychylnymi spojrzeniami. Najwyraźniej nie miał zbyt często do czynienia z czekami wystawionymi przez bank z Zurychu, gdyż przyglądał im się długo i podejrzliwie. Następnie jeszcze raz przeczytał wszystkie cztery umowy i powiedział:

— Widzi pan, lady Macallister otrzymywała już propozycje dotyczące tych akcji, ale zawsze zasięgała w tej sprawie opinii naszej firmy, ja zaś nieodmiennie odradzałem jej podjęcie pochopnej decyzji o sprzedaży.

Thorpe pomyślał, że przypuszczalnie jeszcze wielu innych klientów firmy pana Duncana Dalgleisha, którzy kierowali się jego radami, trzyma pakiety bezwartościowych akcji, ale zachował tę refleksję dla siebie.

— Panie Dalgleish — odparł uprzejmie. — Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że panowie, których reprezentuję, zapłacili lady Macallister dwa razy więcej, niż dostałyby za swoje akcje na giełdzie, ona zaś podpisała umowy z własnej i nieprzymuszonej woli i upoważniła mnie do odebrania tych akcji po przekazaniu panu czeku lub czeków opiewających na sumę trzydziestu tysięcy funtów. Te czeki trzyma pan teraz w ręku.

Stary prawnik westchnął głęboko.

— Po prostu dziwię się, że nie zapytała mnie o zdanie — powiedział ze smutkiem. — Zwykle służę jej radą we wszystkich sprawach finansowych. Po to właśnie uczyniła mnie swoim głównym pełnomocnikiem.

— Ale przecież jej podpis ma pełną moc prawną — zauważył Thorpe.

— Tak, naturalnie. Fakt posiadania przeze mnie pełnomocnictwa w niczym nie ogranicza prawa lady Macallister do podejmowania decyzji.

— W takim razie może zechce pan przekazać mi te akcje, bo muszę wrócić do Londynu?

Stary mężczyzna dźwignął się zza biurka.

— Przepraszam pana na chwilę, panie Thorpe — powiedział z godnością, po czym zniknął w sąsiednim pokoju. Martin domyślił się, że prawnik postanowił zadzwonić do Londynu, i w duchu modlił się gorąco, aby aparat słuchowy lady Macallister był niesprawny i rozmowa musiała odbywać się przy udziale pani Barton. Dalgleish wrócił dopiero po półgodzinie, za to z plikiem starych, wypłowiałych druków.

— Lady Macallister potwierdziła pańskie słowa, panie Endean. Naturalnie ani przez chwilę nie miałem żadnych wątpliwości, ale czułem się w obowiązku skontaktować z klientem przed tak poważną transakcją.

— Oczywiście — odparł Thorpe, wstając z fotela i wyciągając rękę. Dalgleish rozstał się z akcjami z taką miną, jakby stanowiły jego własność.

Godzinę później Thorpe siedział już w pociągu zmierzającym przez skąpane w blasku wiosennego słońca tereny hrabstwa Angus w kierunku Londynu.

Dziesięć tysięcy kilometrów od porośniętych wrzosem wzgórz Szkocji Simon Endean siedział w małej wynajętej willi w eleganckiej dzielnicy Cotonou naprzeciwko potężnie zbudowanego pułkownika Bobiego. Przyleciał porannym samolotem i zatrzymał się w hotelu du Port. Pochodzący z Izraela kierownik hotelu pomógł mu znaleźć dom, w którym mieszkał skazany na wygnanie oficer zangaryjskiej armii.

Bobi był niezgrabnym olbrzymem o ponurej, dzikiej twarzy i wielkich rękach. To połączenie wywarło na Endeanie jak najlepsze wrażenie. Niewiele go obchodziło, ile nieszczęść mogą sprowadzić na Zangaro rządy Bobiego, gdy zastąpi on równie niebezpiecznego Jeana Kimbę. Przybył tu tylko po to, by znaleźć człowieka, który odstąpi Bormac Trading Company prawa do eksploatacji Kryszałowej Góry w zamian za kilka nędznych ochłapów i solidną sumkę przelaną na prywatne konto, i znalazł to, czego szukał.

Pułkownik z radością zgodził się przyjąć posadę konsultanta do spraw Afryki Zachodniej oraz pensję w wysokości 500 funtów miesięcznie. Udawał, że studiuje uważnie dokument, ale Simon zauważył z zadowoleniem, że kiedy czarnoskóry olbrzym spojrział na drugą stronę, podsunętą mu do góry nogami, na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Albo był całkowitym, albo półanalfabetą.

Endean wyjaśnił powoli warunki kontraktu posługując się mieszanką prymitywnej francuszczyzny i opartego głównie na angielskim pidginu. Bobi poważnie kiwał głową, wpatrując się w dokument małymi, nabiegłymi krwią oczkami. Endean szczególnie nacisk położył na to, by przez najbliższe dwa lub trzy miesiące Bobi przebywał w swojej willi lub w jej pobliżu, i obiecał, że przed upływem tego okresu skontaktuje się jeszcze raz z pułkownikiem.

Upewnił się także, że Bobi nadal ma ważny zangaryjski paszport dyplomatyczny — pamiątkę po jedynej zagranicznej podróży, jaką odbył w charakterze doradcy ministra obrony, naturalnie kuzyna Kimby.

Na krótko przed zachodem słońca Bobi nasmarował u dołu dokumentu coś, co z trudem można było uznać za podpis. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia. Później i tak się dowie, że

Bormac chce oddać mu władzę nad Zangaro w zamian za prawo eksploatacji jednej małej góry. Należało przypuszczać, że Bobi nie będzie się targował.

Nazajutrz rano Endean wsiadł do samolotu lecącego do Paryża.

Zgodnie z umową spotkanie z Bennym Lambertem odbyło się w hotelu. Było krótkie i konkretne. Lambert wręczył Shannonowi kopertę. Shannon ją otworzył i wyjął dwie kartki z identycznymi nadrukami ambasady Republiki Togo w Paryżu.

Jedna kartka była pusta, naturalnie nie licząc nadruku i pieczęci, na drugiej natomiast napisano list, którego autor stwierdzał, że został

upoważniony przez swój rząd do zlecenia panu zadania polegającego na nabyciu od rządu uzbrojenia zgodnie z załączoną specyfikacją.

List kończyło tradycyjne stwierdzenie, że wymieniona broń zostanie wykorzystana wyłącznie przez armię Republiki Togo i nie będzie przekazana ani sprzedana osobom trzecim. List był podpisany i także przyozdobiony wielką pieczęcią.

Shannon skinął głową. Nie ulegało wątpliwości, że Alan Baker zdoła bez trudu wstawić w puste miejsca swoje nazwisko jako upoważnionego agenta i Federacyjną Republikę Jugosławii jako dostawcy broni w taki sposób, aby uniknąć podejrzenia o fałszerstwo. Wręczył Lambertowi obiecane 500 funtów, a Francuz nie zwlekając wyszedł z hotelu.

Jak większość słabych ludzi Lambert miał kłopoty z podejmowaniem decyzji. Od trzech dni zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Charles'a Roux i zawiadomić go, że Shannon zjawił się w mieście i poszukuje świadectwa końcowego użytkownika. Wiedział, że francuski najemnik będzie bardzo zainteresowany tą informacją, ale nie miał pojęcia dlaczego. Wiedział, że Roux uważa Paryż za swoje królestwo, a mieszkających tu najemników za poddanych i spogląda niechętnym okiem na cudzoziemców próbujących organizować tu jakieś operacje na własną rękę, bez jego zgody. Nawet mu nie przeszło przez myśl, że nikt nie proponuje mu żadnej roboty wyłącznie dlatego, iż zbyt często zawodził, przyjmował za dużo łapówek i zbyt wielu ludzi ograbił z należnych im pieniędzy.

Jednak Lambert bał się Charles'a Roux i dlatego uważał, że powinien go zawiadomić. Chciał nawet zrobić to natychmiast, i na pewno by to uczynił, ale Shannon nie miał przy sobie obiecanych 500 funtów. Zaalarmowanie Roux oznaczałoby pewną utratę tych pieniędzy. Nie ulegało wątpliwości, że Francuz nie zapłaci mu tak dużo za informację. Lambert nie miał pojęcia, że Roux wydał już na Irlandczyka wyrok śmierci, i w swojej ignorancji wpadł na inny pomysł.

Odbierze całe 1000 funtów od Shannona, a dopiero wtedy powie Charlesowi Roux, że Irlandczyk zaproponował mu zdobycie świadectwa końcowego użytkownika, która to propozycja, rzecz jasna, spotkała się z jego zdecydowaną odmową. Istniał tylko jeden problem: Benny słyszał o Shannonie wystarczająco dużo, żeby jego także się bać. Gdyby Roux dopadł Irlandczyka zaraz po jego spotkaniu z Lambertem, Shannon domyśliłby się, kto go zdradził. W związku z tym Lambert postanowił zaczekać do następnego ranka.

Kiedy wreszcie zawiadomił Roux, było już za późno. Francuz natychmiast zadzwonił do hotelu, podał fałszywe nazwisko i zapytał o pana Shannona. Recepcjonista odpowiedział zgodnie z prawdą, że nikt taki nie figuruje w spisie gości.

Wzięty w krzyżowy ogień pytań, śmiertelnie przerażony, Lambert twierdził uparcie, że nie był osobiście w hotelu, tylko Shannon dzwonił do niego i powiedział, że tam właśnie się zatrzymał.

Kilka minut po dziewiątej wysłany przez Roux Henri Alain zjawił się w recepcji hotelu Plaza-Surene i ustalił, że wygląd jedyne Anglika czy Irlandczyka, który spędził tu minioną noc, odpowiadał dokładnie rysopisowi Shannona, że zameldował się on jako Keith Brown i że zarezerwował bilet na odjeżdżający o dziewiątej ekspres do Luksemburga. Henri Alain dowiedział

się, że wczoraj po południu monsieur Brown spotkał się z jakimś Francuzem w barze przy głównym holu. Opisano mu także tego Francuza. W południe Alain stawił się ze zdobytymi informacjami w mieszkaniu Roux, gdzie odbyła się narada bojowa, w której brał także udział Raymond Thomard. Roux szybko podjął decyzję.

— Henri, tym razem nam się wymknął, ale wszystko wskazuje na to, że o niczym nie wie. Całkiem możliwe, że przy następnej okazji znowu zatrzyma się w tym hotelu. Zaprzyjajnij się z kimś z personelu. Kiedy zjawi się tam, chcę o tym natychmiast wiedzieć, rozumiesz?

Alain skinął głową.

— Jasne, patron. Będziemy wiedzieli już wtedy, kiedy zadzwoni, żeby zarezerwować pokój.

Roux odwrócił się do Thomarda.

— Kiedy ten drań znowu się pojawi, ty się nim zajmiesz. Tymczasem mam dla ciebie małą robótkę. Ten gówniarz Lambert łże jak najęty. Gdyby dał mi znać wczoraj wieczorem, już byłoby po wszystkim. Przypuszczam, że dostał od Shannona forszę, a potem postanowił wyciągnąć ile się da ode mnie za informację nie wartą funta kłaków. Zrób coś, żeby Benny Lambert przez najbliższe sześć miesięcy nie mógł zrobić ani kroku o własnych siłach.

Wodowanie firmy ochrzczonej nazwą Tyrone Holdings trwało krócej niż Shannon się spodziewał. Właściwie ceremonia była tak krótka, że skończyła się jeszcze, zanim na dobre się zaczęła. Shannon został zaproszony do prywatnego gabinetu pana Steina, gdzie czekali już na niego pan Lang i jeden z młodszych wspólników. Przy ścianie czekały trzy panie — jak się okazało sekretarki trzech obecnych mężczyzn. Zgromadziwszy w ten sposób siedmiu udziałowców, pan Stein w ciągu pięciu minut powołał firmę do życia. Shannon przekazał na jego ręce depozyt w wysokości 500 funtów, Stein zaś podpisał dokument stwierdzający wyemitowanie 1000 akcji firmy. Następnie każda z obecnych osób pokwitowała fakt otrzymania jednej akcji, Shannon zaś odebrał pozostałe 994 akcje i schował stosowny dokument do kieszeni. Statut spółki został podpisany przez prezesa zarządu i sekretarza — kopia miała być wkrótce przesłana do Centralnego Rejestru Firm Wielkiego Księstwa Luksemburga. Trzy sekretarki wróciły do swoich obowiązków, po czym odbyło się zebranie zarządu, podczas którego ustalono główne zadania spółki. Sekretarz sporządził półstronicowy protokół, odczytał go na głos i podsunął przewodniczącemu do podpisu. I to było wszystko. Tyrone Holdings SA uzyskała prawną egzystencję.

Dwaj członkowie zarządu wymienili z Shannonem uściski dłoni, pożegnali go, zwracając się do niego „panie Brown”, po czym wyszli z gabinetu. Wkrótce potem pan Stein osobiście odprowadził go do drzwi.

— Jeśli pan lub pańscy wspólnicy zapragniecie nabyć jakąś firmę, która ma działać w ramach Tyrone Holdings, będziecie musieli przyjechać tutaj, przedstawić nam czek na odpowiednią sumę, a następnie kupić nowe akcje po funcie za sztukę — powiedział. — My załatwimy wszystkie formalności.

Shannon wiedział, co to oznacza: każdy, kto chciałby później wniknąć w kulisy operacji, dotrze do przewodniczącego zarządu, czyli do Steina, i na nim się zatrzyma.

Dwie godziny później wsiadł do samolotu lecącego do Brukseli i tuż przed ósmą zameldował się w Holiday Inn.

Człowiek, który nazajutrz rano zjawił się wraz z Markiem Vlaminciem w pokoju Shannona, został przedstawiony jako monsieur Boucher. Gdy stali we dwóch w hotelowym korytarzu, wyglądali jak para komików: Marc potężny, wysoki i umięśniony, jego towarzysz zaś nieprawdopodobnie, groteskowo otyły, niemal idealnie okrągły, jak ludzik do zabawy zwany wańką wstańką. Trzeba było dobrze mu się przyjrzeć, aby dostrzec pod opasłym cielskiem dwie krótkie nogi o małych stopach w

wypolerowanych półbutach. Na pierwszy rzut oka Boucher wydawał się jednym kawałkiem tłuszczu.

Jedynym anatomicznym szczegółem nie pasującym do tego kulistego ciała była głowa, wąska u szczytu i rozszerzająca się u dołu. Potężne podgardle zakrywało kołnierzyk koszuli, opadając fałdami na gors. Dopiero po dłuższej chwili Shannon zauważył, że mężczyzna ma także ręce, po jednej z każdego boku. W prawej trzymał wąską, ale długą teczkę.

— Zapraszam do środka — powiedział Shannon i cofnął się o krok.

Boucher, wielka kula szarego materiału na rolkach, wtoczył się pierwszy, bokiem, aby zmieścić się w drzwiach. Marc wsunął się za nim. Posłał Shannonowi porozumiewawcze spojrzenie, po czym mężczyźni wymienili uściski dłoni. Gospodarz wskazał fotel, ale Boucher wybrał krawędź łóżka, wiedział, że mógłby mieć poważne kłopoty ze wstaniem z fotela.

Shannon nalał wszystkim kawy i przeszedł od razu do rzeczy. Mały Marc słuchał go w milczeniu.

— Monsieur Boucher, mój wspólnik i przyjaciel prawdopodobnie powiedział już panu, że nazywani się Brown. Jestem Anglikiem i reprezentuję grupę osób zainteresowanych kupnem pewnej ilości pistoletów maszynowych. Monsieur Vlaminck był tak uprzejmy i powiadomił mnie, że zna kogoś, kto może nam je sprzedać. Z tego co wiem, są to schmeissery kalibru 9 mm, wyprodukowane podczas wojny, ale nigdy nie używane. Wiem także, że nie jest możliwe uzyskanie zezwolenia na ich wywóz za granicę, ale moi przyjaciele są gotowi wziąć na siebie odpowiedzialność za to. Czy jasno stawiam sprawę?

Boucher skinął powoli głową. Nawet gdyby chciał, nie mógłby uczynić tego szybko.

— Rzeczywiście, mogę dostarczyć panu pewną ilość tego towaru — odparł ostrożnie. — Ma pan rację, jeśli chodzi o zezwolenie. Dlatego jestem zmuszony podjąć daleko idące środki ostrożności, żeby uchronić moich dostawców przed jakimikolwiek podejrzeniami. Zapłata musi być dokonana w gotówce, a moi wspólnicy muszą otrzymać gwarancje bezpieczeństwa.

Łże jak pies — pomyślał Shannon. Nie ma żadnych wspólników. Jest właścicielem broni i działa w pojedynkę.

Prawda była taka, że za młodych — i szczuplejszych — lat monsieur Boucher był belgijskim esesmanem i pracował jako kucharz w koszarach SS w Namur. Umiłowanie jedzenia sprawiło, że poświęcił się gotowaniu, a przed wojną kilkakrotnie musiał zmieniać pracę, ponieważ kosztując potraw zjadał znacznie więcej niż podawał. Kiedy nadeszła wojna, a wraz z nią powszechny głód i ubóstwo, zgłosił się na ochotnika jako kucharz do belgijskiego oddziału SS. Młody Boucher przypuszczał, zresztą całkiem słusznie, że tam przynajmniej będzie mógł najeść się do syta. W roku 1944, kiedy Niemcy zaczęli wycofywać się z Namur w kierunku granicy, zepsuła się ciężarówka załadowana nowiutkimi schmeisserami. Ponieważ nie było czasu na naprawę samochodu, schmeissery ukryto w pobliskim bunkrze, a wejście wysadzono w powietrze. Boucher był świadkiem tego wydarzenia. Kilka lat później wrócił, odkopał wejście do bunkra i przywłaszczył sobie tysiąc lśniących pistoletów maszynowych.

Od tego czasu spoczywały one w kryjówce pod podłogą garażu w jego wiejskim domku, który odziedziczył po rodzicach w połowie lat pięćdziesiątych. Przez kilkanaście lat udało mu się upłynnić mniej więcej połowę zapasu.

— Jeśli broń jest zdatna do użytku, chciałbym zakupić sto sztuk — powiedział Shannon. — Naturalnie zapłacę gotówką w dowolnej walucie. Jestem też gotów uwzględnić wszelkie rozsądne sugestie dotyczące dostarczenia ładunku. Nam także zależy na całkowitej dyskrecji.

— Wszystkie pistolety są w znakomitym stanie, monsieur. Zakonserwowane smarem, w fabrycznych opakowaniach, z nie naruszonymi plombami. Choć mają już trzydzieści lat, nadal są chyba najlepsze w swojej klasie.

Shannon nie potrzebował żadnych wykładów na temat schmeissera kalibru 9 mm. Osobiście wyżej cenił izraelskie uzi, ale były one znacznie cięższe. Schmeisser na pewno przewyższał stena i prawie dorównywał znacznie przecież nowszemu brytyjskiemu sterlingowi, a był dużo lepszy od amerykańskich, radzieckich i chińskich odpowiedników. Uzi i sterlingi zresztą bardzo trudno było zdobyć, a jeśli już, to niemal wyłącznie używane.

— Mogę zobaczyć?

Sapiąc ciężko Boucher położył teczkę na kolanach, ustawił kombinację w zamku szyfrowym, zwolnił zatrzaski, po czym otworzył wieko i ustawił teczkę frontem do pokoju, nie czyniąc jednak najmniejszego wysiłku, aby podnieść się z miejsca.

Shannon wstał, przeszedł przez pokój, wziął od Bouchera teczkę, położył ją na łóżku i wyjął schmeissera.

Była to piękna broń. Irlandczyk przesunął dłoń po idealnie gładkim, granatowoczarnym metalu, musnął uchwyt i zważył pistolet w rękę, zachwycony jego lekkością. Sprawdził także zamek, kilkakrotnie nacisnął spust i spojrzał pod światło w lufę. Wnętrze było bez jednej rysy.

— To egzemplarz okazowy — wy sapął Boucher. — Bez konserwującego smaru, tylko pokryty cienką warstwą oleju, ale pozostałe są identyczne. Nie używane.

Shannon odłożył broń na miejsce.

— Potrzeba do niego standardowej amunicji 9 mm, którą można wszędzie łatwo dostać — powiedział tłuścioch.

— Dziękuję, wiem o tym — odparł Shannon. — A co z magazynkami? O ile się orientuję, z ich zdobyciem mogą być trochę większe problemy.

— Dam po pięć do każdej sztuki.

— Po pięć? — powtórzył Shannon z udawanym zdziwieniem. — Potrzebuję znacznie więcej. Co najmniej po dziesięć.

Rozpoczęły się negocjacje. Shannon wciąż powtarzał, że musi mieć więcej magazynków, Belg protestował rozpaczliwie, twierdząc, że jeśli dołoży choć jeden, niechybnie pójdzie z torbami. Shannon zaproponował 75 dolarów za jednego schmeissera, Boucher zaklinał się, że za taką cenę mógłby sprzedać nie mniej niż 250 sztuk, a za 100 egzemplarzy musi wziąć po 125 dolarów za sztukę. Dwie godziny później osiągnięto porozumienie: sto dolarów za sztukę. Mężczyźni ustalili także, że transakcja zostanie sfinalizowana w najbliższą środę po zmroku i uzgodnili środki ostrożności. Shannon zaproponował, że Vlaminc odwiezie Bouchera do miasta swoim samochodem, ale Belg odparł, że pojedzie taksówką, gdyż ma jeszcze do załatwienia kilka spraw w centrum Brukseli. Bał się, że Irlandczyk — jego zdaniem Shannon niewątpliwie należał do IRA — każe go wywieźć w jakieś ustronne miejsce, by wydusić z niego informację o miejscu przechowywania broni. Obawy Bouchera nie były pozbawione podstaw; w czarnorynkowym handlu bronią zaufanie jest głupią i niepotrzebną słabością. Vlaminc odprowadził grubasa do taksówki. Kiedy wrócił do pokoju, ujrzał, że Shannon pakuje manatki.

— Czy teraz wiesz, dlaczego kazałem ci nie przyjeżdżać ciężarówką? — zapytał Shannon.

— Nie — odparł Mały Marc.

— Pojedziemy nią w środę po broń. Uważam też, że Boucher nie powinien widzieć jej numeru rejestracyjnego. Przygotuj na środę fałszywe tablice, dobrze? Będą potrzebne tylko na godzinę, ale jeśli Boucher zechce dać komuś cynk, zaczną szukać nie tego wozu co trzeba.

— W porządku. Wszystko będzie gotowe. Przedwczoraj wynająłem zamykany garaż. Podrzucić cię gdzieś? Wziąłem samochód na cały dzień.

Shannon kazał zawieźć się do Brugii, gdzie poszedł do banku, a Marc czekał w kawiarni.

Okazało się jednak, że pan Goossens wyszedł akurat na lunch, więc Cat wrócił do kolegi, razem zjedli posiłek w małej restauracji na rynku, po czym o wpół do trzeciej Shannon powtórnie zjawił się w banku.

Na koncie Keitha Browna znajdowało się 7000 funtów, ale w ciągu najbliższych dziewięciu dni miało wpłynąć jeszcze 2000 na wypłatę dla czterech najemników. Shannon wystawił czek na nazwisko Johann Schlinker i włożył go do koperty, gdzie znajdował się już list. Napisał do Niemca jeszcze poprzedniego wieczoru w hotelu. W liście informował Schlinkera, że załączony czek na 4800 dolarów stanowi pełną zapłatę za zamówiony przed tygodniem sprzęt oraz podał mu nazwę i adres firmy spedycyjnej z Tulonu, dokąd powinien zostać wysłany towar na nazwisko monsieur Jean-Baptiste Langarottiego. Zapowiedział także, że w nadchodzącym tygodniu skontaktuje się telefonicznie ze Schlinkerem, aby się upewnić, czy nie ma żadnych kłopotów ze świadectwem końcowego użytkownika dla 400000 sztuk amunicji kalibru 9 mm.

Drugi list także został wysłany do Hamburga do Alana Bakera. Załączony czek opiewał na 7200 dolarów, w liście zaś Shannon informował Bakera, że suma ta stanowi 50-procentową zaliczkę na poczet transakcji, o której przed tygodniem rozmawiali podczas kolacji w hotelu Atlantic. Oprócz listu i czeku w kopercie znalazły się także świadectwo końcowego użytkownika i druga, pusta kartka, opatrzona jedynie podpisem i pieczęcią ambasadora Republiki Togo. Shannon polecił Bakerowi, aby niezwłocznie przystąpił do załatwiania niezbędnych formalności, oraz zapowiedział, że będzie regularnie dowiadywał się telefonicznie o postępach sprawy. Oba listy nadał jako poleczone z poczty w Brugii.

Następnie Cat i Marc pojechali do Ostendy, gdzie wypili kilka piw, a Cat kupił bilet na wieczorny prom do Dover.

Dokładnie o północy wysiadł z pociągu na Victoria Station, a godzinę później był już w łóżku. Ostatnią sprawą, jaką załatwił, zanim zasnął, było nadanie przez telefon telegramu do Endeana na poste restante. Informował w nim, że wrócił do Londynu oraz że oczekuje wyznaczenia terminu spotkania.

W sobotę rano Shannon otrzymał ekspresowy list z Malagi na południu Hiszpanii. Był zaadresowany do Keitha Browna, ale zaczynał się od słów „Drogi Cat”. Kurt Semmler donosił krótko, że znalazł odpowiedni statek, mianowicie przerobiony kuter rybacki zwodowany przed dwudziestu laty w jednej z brytyjskich stoczni, własność obywatela Wielkiej Brytanii. Zarejestrowany w Londynie, pływał pod brytyjską banderą, miał 27 metrów długości i 80 ton wyporności, dużą ładownię na śródokręciu i drugą, nieco mniejszą, na rufie. Obecnie figurował w rejestrze jako jacht turystyczny, ale bez trudu można było go przekwalifikować na handlowy statek przybrzeżny.

Semmler donosił także, że statek został wyceniony na 20 000 funtów oraz że warto by zaangażować dwóch spośród członków obecnej załogi. Jej uzupełnienie nie powinno nastęrczać żadnych trudności.

List kończyła informacja, że Semmler zatrzymał się w hotelu Palacio i czeka tam na wiadomość, kiedy Shannon przybędzie obejrzyć statek. Shannon natychmiast wysłał telegram, że przyleci w poniedziałek.

Statek nazywał się Albatros.

Endean zadzwonił do Shannona w sobotę po południu, natychmiast po odebraniu telegramu. Spotkali się tego samego dnia wieczorem w mieszkaniu Shannona, który przedstawił Endeanowi trzeci już, obszerny raport oraz szczegółowe sprawozdanie finansowe.

— Jeśli w ciągu najbliższych tygodni mamy posunąć się naprzód, musicie mi dostarczyć więcej

pieniędzy — powiedział. — Czekają nas najważniejsze zakupy: statek i uzbrojenie.

— Ile panu potrzeba? — zapytał Endean.

— Dwa tysiące na wypłaty, cztery tysiące na łodzie i silniki, cztery tysiące na pistolety maszynowe i ponad dziesięć tysięcy na amunicję. W sumie ponad dwadzieścia tysięcy. Lepiej zaokrąglić to do trzydziestu, bo i tak w następnym tygodniu zgłoszę się po więcej.

Endean pokręcił głową.

— Pozostaniemy przy dwudziestu. Jeśli panu braknie pieniędzy, w każdej chwili może pan skontaktować się ze mną. A w ogóle to chciałbym zobaczyć choć część tych zakupów. Pańskie wydatki przekroczą w sumie pięćdziesiąt tysięcy funtów, a jeszcze nie minął nawet miesiąc.

— To niemożliwe — odparł Shannon. — Jeszcze niczego nie mam — ani amunicji, ani łodzi, ani silników, ani pistoletów maszynowych, moździerzy i bazook. Wszystkie transakcje zostaną sfinalizowane dopiero wtedy, kiedy wyłożę gotówkę na stół. Wyjaśniłem to w pierwszym raporcie dla pańskich wspólników.

Endean zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

— Mimo wszystko byłoby lepiej, żebyśmy mogli przekonać się na własne oczy, co pan zrobił z tymi pieniędzmi — wycedził.

Shannon przeszył go wzrokiem.

— Nie próbuj mnie straszyć, Harris. Wielu próbowało, ale osiągnęli tylko tyle, że ich rodziny musiały wydać fortunę na kwiaty. No więc, jak będzie z tym statkiem?

Endean podniósł się z miejsca.

— Proszę przekazać mi wiadomość, jak się nazywa i do kogo należy. Dokonam przelewu bezpośrednio z mojego konta w Szwajcarii.

— Jak pan sobie życzy — odparł Shannon.

Zjadł samotnie obfitą kolację, po czym położył się wcześniej do łóżka. Nie miał żadnych planów na niedzielę, a przypadkiem dowiedział się, że Julia Manson przebywa z rodzicami w posiadłości w Gloucestershire. Pogrążony w myślach spędził dość dużo czasu przy kawie i kieliszku brandy, rozmyślając o najbliższych tygodniach i planując atak na pałac prezydencki w Zangaro.

Późnym rankiem w niedzielę Julia Manson postanowiła zadzwonić do swego nowego kochanka i sprawdzić, czy jest w domu. Po szybach wiejskiej rezydencji w Gloucestershire spływały krople wiosennego deszczu. Julia chciała pojeździć na pięknym wałachu, którego dostała przed miesiącem od ojca, co pomogłoby jej może oderwać niespokojne myśli od mężczyzny, w którym się zakochała, ale deszcz obrócił wniwecz jej plany. Mogła tylko włóczyć się bez celu po starym domu, wysłuchiwać paplaniny matki o balach dobroczynnych i komitetach pomocy biednym dzieciom lub gapić się na skąpą w deszczu ogród.

Ojciec od rana pracował w gabinecie, ale kilka minut temu zauważyła, że wyszedł do garażu, aby porozmawiać z kierowcą. Ponieważ matka mogłaby usłyszeć rozmowę prowadzoną z holu, Julia postanowiła skorzystać z aparatu w gabinecie ojca.

Podniosła już słuchawkę, kiedy jej spojrzenie padło przypadkiem na papiery zalegające biurko. Na samym wierzchu leżała plastikowa teczka. Zaintrygował ją tytuł, więc od niechcienia odchyliła okładkę, by zerknąć na pierwszą stronę. Na widok tego, co ujrziała, zamarła w bezruchu ze słuchawką w ręku.

Na pierwszej stronie widniało nazwisko Shannona.

Jak większość dziewcząt Julia Manson w dzieciństwie oddawała się przeróżnym fantazjom. Najczęściej, leżąc w pogrążonej w ciemności sypialni internatu, wyobrażała sobie, że pokonawszy liczne niebezpieczeństwa ocala życie ukochanemu mężczyźnie i zdobywa sobie jego dozwolone

uwielbienie. Jednak w przeciwieństwie do większości dziewcząt, Julia nigdy do końca nie wydorosłała. Częste pytania Shannona dotyczące jej ojca sprawiły, że zaczęła myśleć o sobie jako o agencie w spódnicy wysłanym do wrogiego obozu z misją zleconą przez kochanka. Cóż z tego, kiedy wiadomości, jakie mogła przekazać na temat ojca, albo były bardzo osobistej natury i dotyczyły jego nieudolnych prób wywiązania się z rodzicielskich obowiązków, albo mało istotne. O jego pracy zawodowej nie miała najmniejszego pojęcia. I oto teraz, w ten deszczowy niedzielny poranek, pojawiła się przed nią wielka szansa.

Przebiegła wzrokiem treść pierwszej strony, ale nic nie rozumiała. Było tam mnóstwo liczb, jakieś ceny, znowu nazwisko Shannona, wzmianki o kilku bankach i o człowieku nazwiskiem Clarence. Nie zdołała zajrzeć dalej, ponieważ ktoś nacisnął kławkę. Szybko rzuciła teczkę na biurko, cofnęła się o krok i zaczęła klepać coś bez ładu i składu do milczącego aparatu.

Do gabinetu wszedł ojciec.

— Świetnie, Christine, bardzo się cieszę. W takim razie do zobaczenia w poniedziałek. Buźka! — zakończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę.

Kiedy sir James Manson przekonał się, że osobą, która ośmieliła się wtargnąć do gabinetu, jest jego własna córka, natychmiast rozpogodził się. Usiadł za biurkiem.

— Czego tutaj szukasz, brzdącu? — zapytał z udawaną surowością. Dziewczyna podbiegła do fotela, zarzuciła ojcu ręce na szyję i pocałowała go w policzek.

— Dzwoniłam do koleżanki z Londynu, tatusiu — odparła głosem małej dziewczynki. — Mama krzątała się w holu, więc przyszłam tutaj.

— Hmm. Masz aparat w swoim pokoju. Byłoby dobrze, gdybyś swoje prywatne rozmowy przeprowadzała właśnie stamtąd, a nie z mojego gabinetu.

— W porządku, tatuśku. — Pocałowała go ponownie, rzucając jednocześnie ukradkowe spojrzenie na papiery leżące na biurku pod plastikową teczką. Były zapisane małymi cyferkami, których nie mogła odczytać z tej odległości. Dostrzegła tylko nagłówki; wynikało z nich, że są to zestawienia cen jakichś kopalni. — Dlaczego nie odłożysz tej nudnej pracy i nie pomożesz mi osiodłać Tamerlana? — zapytała. — Deszcz wkrótce przestanie padać, a ja chciałabym trochę pojeździć.

Sir James uśmiechnął się do ukochanej jedynaczki.

— Dlatego, że dzięki tej nudnej pracy mamy co jeść i w co się ubrać — odparł. — Ale chyba masz rację. Zaczekaj na mnie w stajni, przyjdę za kilka minut.

Julia Manson zamknęła za sobą drzwi gabinetu, oparła się o ścianę i odetchnęła głęboko. Była pewna, że nawet Mata Hari nie poradziłaby sobie lepiej w tej sytuacji.

03.Psy Wojny

7

Hiszpańskie władze są znacznie bardziej pobłażliwe dla turystów niż się o tym sądzi. Zgodnie z prawami statystyki wśród milionów Skandynawów, Francuzów i Brytyjczyków, którzy każdej wiosny i lata przybywają do tego kraju, musi znaleźć się pewien odsetek ludzi sprawiających kłopoty. Takie jednak drobne wykroczenia przeciw obowiązującemu prawu jak próba przeszmuglowania dodatkowego kartonu papierosów, które na lotnisku w Londynie wywołałyby natychmiastową reakcję celników, w Hiszpanii są zbywane machnięciem ręki.

Hiszpanie wychodzą z założenia, że zagraniczny turysta musi naprawdę bardzo się starać, żeby wpłacić się w ich kraju w jakieś kłopoty, ale jeśli uzna za stosowne zadać sobie ten trud, to oni ze swojej strony uczynią wszystko, aby go odpowiednio wynagrodzić. Istnieją tylko cztery kategorie przedmiotów, których hiszpańscy celnicy nie tolerują w bagażach pasażerów: broń i ładunki wybuchowe, narkotyki, pornografia oraz komunistyczne materiały propagandowe⁴. W niektórych krajach nie zezwala się na wwóz dwóch butelek wolnocłowej brandy, a przemyka oko na najnowszy numer Penthouse'a. Ale nie w Hiszpanii. Hiszpania — co gorliwie potwierdzi każdy obywatel tego państwa — jest zupełnie inna.

Tego pięknego poniedziałkowego popołudnia celnik na lotnisku w Maladze obrzucił obojętnym spojrzeniem 1000 funtów w używanych banknotach dwudziestofuntowych, które znalazł w torbie Shannona, i wzruszył ramionami. Nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że po to, by przywieźć je do Hiszpanii, Shannon musiał poważnie naruszyć brytyjskie przepisy celne, to nie dał niczego po sobie poznać. Niech się tym martwią Anglicy. W torbie nie było żadnych „świerszczyków” ani radzieckich materiałów propagandowych, więc celnik nie zwracał sobie dłużej głowy zamożnym turystą.

Po trzech tygodniach pobytu nad Morzem Śródziemnym, spędzonych na poszukiwaniu odpowiedniego statku, Kurt Semmler był opalony i wypoczęty. Co prawda nie przytył ani grama i nadal palił nerwowo jednego papierosa za drugim — nikt nie domyśliłby się, że podczas akcji ma naprawdę stalowe nerwy — ale dzięki opaleniznie wyglądał zdrowiej, a jego jasne krótko obcięte włosy i błękit oczu wydawały się jeszcze jaśniejsze.

W drodze z lotniska Semmler powiedział Shanonowi, że odwiedził Neapol, Genuę, La Valette, Mars} lię, Barcelonę i Gibraltar, odnawiając kontakty z ludźmi morza, przeglądając listy małych jednostek wystawianych na sprzedaż przez uczciwe firmy i agentów oraz oglądając te, które były zacumowane przy nabrzeżu. W sumie zwiedził kilkanaście statków, lecz żaden nie odpowiadał jego wymaganiom. Słyszał także o kilkunastu innych, ale skreślił je natychmiast, gdyż sądząc po nazwiskach kapitanów, na pewno brały udział w jakichś podejrzanym przedsięwzięciach. W rezultacie miał listę siedmiu statków; Albatros był trzeci na tej liście. Na razie mógł powiedzieć o nim tylko tyle, że wygląda całkiem nieźle.

Semmler zarezerwował Shannonowi pokój w hotelu Palacio na nazwisko Brown i Cat tam właśnie najpierw się udał. Dopiero kilka minut po czwartej przeszli razem przez szeroką bramę na Acera de la Marina i skierowali się ku dokom.

Albatros stał przy nabrzeżu w odległej części portu. Wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Semmler. Chyba został niedawno pomalowany, gdyż biała farba błyszczała oślepiająco w promieniach słońca. Weszli na pokład, gdzie Semmler przedstawił Shannona George'owi Allenowi,

właścicielowi i zarazem kapitanowi, który oprowadził ich po statku. Shannon bardzo szybko doszedł do wniosku, że Albatros jest za mały dla jego potrzeb. W nadbudówce znajdowała się główna kabina z dwoma kojami, dwie pojedyncze kabiny oraz salonik, w którym mogło się pomieścić kilka materaców. Ładownię na rufie także można było od biedy wykorzystać jako pomieszczenie mieszkalne, ale czterem członkom załogi i pięciu ludziom Shannona byłoby tu bardzo ciasno. Cat kłął w duchu na siebie, że nie uprzedził Semmlera, iż dojdzie jeszcze sześciu ludzi, których też trzeba będzie gdzieś pomieścić.

Wyglądało na to, że dokumenty statku są w porządku. Był zarejestrowany w Wielkiej Brytanii, co potwierdzało stosowne zaświadczenie. Shannon spędził godzinę z kapitanem Allenem, omawiając sposób płatności, przeglądając rachunki świadczące o wykonanych w ostatnim czasie pracach remontowych oraz zaznajamiając się z dziennikiem okrętowym. Nieco przed szóstą zszedł wraz z Semmlerem z pokładu i pogrążony głęboko w myślach skierował się z powrotem do hotelu.

— W czym problem? — zapytał Niemiec. — Łajba jest czysta.

— Nie o to chodzi — odparł Shannon. — Ten statek jest za mały. Nie należy do żadnej firmy, bo został zarejestrowany jako prywatny jacht. Boję się, że może nie dostać zgody na transport broni.

Było już za późno, żeby dokądkolwiek dzwonić, więc musieli poczekać do następnego ranka. Kilka minut po dziewiątej Shannon zadzwonił do Lloyda w Londynie i poprosił o sprawdzenie, czy w rejestrze jachtów figuruje jednostka o nazwie Albatros. Owszem, figurowała. Miała wyporność 74 ton, jako port macierzysty podano Milford, a jako miejsce stałego cumowania Hooe, też w Wielkiej Brytanii.

W takim razie, co on tu robi, do diabła? — pomyślał Shannon, a zaraz potem przypomniał sobie, przy jakiej formie płatności upierał się właściciel. Nie zwlekając połączył się z Hamburgiem.

— Nein, tylko nie prywatny jacht, bardzo proszę! — jęknął Johann Schlinker. — Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że nie dadzą panu zezwolenia na wykorzystywanie go w celach handlowych.

— W porządku. Kiedy musi pan dostać nazwę statku? — zapytał Shannon.

— Jak najszybciej. Aha, otrzymałem pański czek z należnością za towary, które zamówił pan w moim biurze. Natychmiast wyślę je pod ten adres we Francji. Mam też wszystkie dokumenty potrzebne do realizacji drugiej części zamówienia. Jak dostanę resztę pieniędzy, bezzwłocznie przystąpię do załatwiania formalności.

— Kiedy najpóźniej musi pan mieć nazwę statku? — powtórzył ze zniecierpliwieniem Shannon.

Schlinker zastanawiał się przez chwilę.

— Jeśli w ciągu pięciu dni otrzymam od pana czek, będę mógł od razu wystąpić o zgodę na dokonanie zakupu. Nazwa statku musi figurować w zezwoleniu na wywóz... Powiedzmy, jakieś piętnaście dni po zakupie.

— Będzie pan ją miał — powiedział Shannon. Odłożył słuchawkę i wyjaśnił Semmlerowi, w czym rzecz. — Przykro mi, Kurt. Statek musi należeć do zarejestrowanej firmy handlowej, nie ma mowy o żadnym prywatnym jachcie. Musisz znowu zacząć szukać, ale masz na to maksimum dwanaście dni. Człowiek z Hamburga musi znać nazwę statku najdalej za dwadzieścia dni albo i wcześniej.

Rozstali się wieczorem na lotnisku. Shannon leciał do Londynu, natomiast Semmler do Madrytu, stamtąd zaś do Rzymu i Genui.

Było już bardzo późno, kiedy Shannon zjawił się w swoim mieszkaniu. Zanim położył się spać, zadzwonił do BEA, by zarezerwować bilet na samolot odlatujący w południe do Brukseli. Zadzwonił też do Marca Vlaminka. Poprosił Belga, żeby wyjechał po niego na lotnisko, skąd pojedą najpierw

do banku w Brugii, potem zaś na spotkanie z Boucherem, który miał czekać na nich z zamówionymi schmeisserami.

W ten sposób zakończył się dzień dwudziesty drugi.

Harold Roberts był bardzo użytecznym człowiekiem. Urodzony przed sześćdziesięciu dwoma laty w mieszanym angielsko-szwajcarskim małżeństwie, po przedwczesnej śmierci ojca wychowywał się w Szwajcarii, ale zachował podwójne obywatelstwo. Z bankowością był związany od młodości, spędził dwadzieścia lat w Zurychu, w centrali jednego z największych szwajcarskich banków. Tuż przed wojną został wysłany do Londynu do tamtejszej filii banku. Następne dwadzieścia lat życia był szefem działu inwestycji, a potem dyrektorem londyńskiej filii, po czym w wieku sześćdziesięciu lat przeszedł na emeryturę. Pozostał w Wielkiej Brytanii, a pobierał należne mu świadczenia w szwajcarskich frankach.

Teraz wykonywał różne delikatne zadania nie tylko dla swoich dawnych pracodawców, ale także dla innych banków. W środę wieczorem otrzymał kolejne takie zadanie.

Zarząd banku Zwingli wysłał do prezesa zarządu i sekretarza Bormac Trading Company oficjalne pismo, w którym poinformował obu dżentelmenów, że oficjalnym przedstawicielem banku w Londynie jest niejaki pan Roberts. Podczas spotkania, które nastąpiło wkrótce potem, człowiek ów przedstawił dokumenty potwierdzające ten fakt.

Pan Roberts spotkał się jeszcze dwa razy z sekretarzem rady nadzorczej firmy; w drugiej rozmowie uczestniczył także przewodniczący, major Luton, młodszy brat zmarłego na Dalekim Wschodzie zastępcy sir Iana Macallistera.

Postanowiono zwołać w Londynie nadzwyczajne zebranie zarządu, na które zgodził się przybyć jeszcze jeden jego członek, choć zgodnie ze statutem do podjęcia decyzji w zupełności wystarczyłaby obecność dwóch. Zgromadzeni zapoznali się z dokumentami przedłożonymi przez pana Roberta. Z dokumentów tych wynikało jednoznacznie, że czterej nowi udziałowcy, reprezentowani przez przedstawiciela banku Zwingli, czyli właśnie pana Roberta, dysponują w sumie trzydziestu procentami akcji firmy.

Podczas obrad postawiono wniosek, że skoro grupa biznesmenów postanowiła zainwestować dość znaczną kwotę w podupadłą firmę, chcąc ją przywrócić do dawnej świetności, należałoby przyznać im prawo współdecydowania o jej losach. Wniosek przyjęto bez sprzeciwu i w ten oto sposób pan Roberts został członkiem rady nadzorczej, reprezentującym interesy banku Zwingli, a tym samym czterech nowych udziałowców. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, aby zmienić zapis w statucie, według którego wszystkie decyzje mogło podejmować już dwóch członków zarządu, mimo że teraz składał się on już nie z pięciu, lecz sześciu osób.

Keith Brown stał się częstym gościem w Brugii i bardzo cenionym klientem Kredietbanku. Pan Goossens powitał go jak zwykle przyjaźnie, a następnie poinformował o przeprowadzonym rano transferze 20 000 funtów ze Szwajcarii. Shannon podjął 10000 dolarów gotówką i potwierdzony czek na sumę 26 000 dolarów na nazwisko Johann Schlinker.

Czek został natychmiast wysłany do Hamburga z najbliższej poczty wraz z listem, w którym Shannon prosił handlarza bronią o jak najszybsze dokonanie w Hiszpanii koniecznych zakupów.

Do spotkania z Boucherem pozostały jeszcze cztery godziny. Shannon i Vlaminck spędzili je popijając herbatę w malej kafejce. Tuż przed zmrokiem wyruszyli w drogę.

Z Brugii do leżącej 44 kilometry Gandawy prowadzi mało uczęszczana szosa. Kierowcy wolą korzystać z nowej autostrady E5, która także wiedzie na wschód i łączy te dwa flamandzkie miasta, biegnąc z Ostendy aż do Brukseli. W połowie starej drogi dwaj najemnicy znaleźli opisaną przez Bouchera, opuszczoną farmę, a raczej kierującą do niej spłowiałą tabliczkę, umieszczoną na poboczu.

Sama farma była ukryta za kępą drzew.

Shannon zatrzymał samochód kilkanaście metrów dalej, a Marc wysiadł i poszedł ją obejrzeć. Wrócił po dwudziestu minutach z informacją, że budynki rzeczywiście są puste i że z pewnością już od dawna nikt tam nie zaglądał. Nic też nie wskazywało na to, aby czekały ich jakieś niemiłe niespodzianki.

— Widziałeś kogoś? — zapytał Shannon.

— Dom jest zamknięty na cztery spusty. Sprawdziłem też stajnię i stodołę. Nigdzie ani żywej duszy.

Shannon zerknął na zegarek. Było już ciemno, ale do spotkania została jeszcze godzina.

— Wróć tam i obserwuj teren z ukrycia — polecił. — Ja zostanę tutaj. Kiedy Marc odszedł, Shannon jeszcze raz obejrzał uważnie ciężarówkę. Była stara i rozklekotana, ale w pełni sprawna, a silnik został niedawno sprawdzony przez doświadczonego mechanika. Cat wyjął z ukrycia fałszywe tablice rejestracyjne i za pomocą taśmy izolacyjnej przytwierdził je do prawdziwych. Kiedy oddał się od farmy, będzie można usunąć je dwoma mocnymi szarpnięciami. Wielkich, zwracających uwagę napisów reklamowych na skrzyni także będzie się pozbyć bez żadnych problemów. W środku leżało sześć dużych worków ziemniaków oraz szeroka deska, która w razie potrzeby mogła pełnić funkcję dodatkowej tylnej klapy. Zadowolony z oględzin Shannon zaczął przechadzać się niespiesznie skrajem szosy.

Ciężarówka, na którą czekał, pojawiła się za pięć ósma. Kiedy zwolniła i skręciła ostrożnie na drogę prowadzącą do farmy, Shannon dostrzegł sylwetkę kierowcy, a obok jakąś kolosalną wypukłość zwieńczoną gruszkowatą głową; mógł to być tylko monsieur Boucher. Tylne światła pojazdu wkrótce zniknęły za drzewami. Wyglądało na to, że Boucher nie planował żadnego podstępu.

Shannon odczekał trzy minuty, po czym uruchomił silnik i także wjechał na boczną drogę. Kiedy dotarł do farmy, ujrzał ciężarówkę Bouchera stojącą na środku podwórza z włączonymi światłami pozycyjnymi. Najemnik zatrzymał samochód trzy metry za pojazdem Belga, przekręcił kluczyk w stacyjce i wysiadł z kabiny, również pozostawiwszy włączone światła pozycyjne.

— Monsieur Boucher — powiedział niezbyt głośno, ukryty w głębokim cieniu samochodu.

— Monsieur Brown — wysapał Boucher i kołysząc się z boku na bok wyłonił się z ciemności. Towarzyszył mu pomocnik — ogromny mężczyzna, na pewno bardzo silny, ale wyglądający na powolnego. Shannon wiedział, że Marc potrafi poruszać się ze zwinnością zawodowego tancerza. Był pewien, że w razie kłopotów poradzą sobie bez najmniejszego trudu.

— Ma pan pieniądze? — zapytał Boucher, podchodząc bliżej. Shannon wskazał na kabinę ciężarówki.

— Tam. Ma pan schmeissery?

Boucher machnął pulchną ręką w kierunku skrzyni ładunkowej swojego samochodu.

— Są w środku.

— Proponuję, żebyśmy złożyli towar na ziemi między ciężarówkami — powiedział Shannon. Boucher odwrócił się i powiedział coś szybko po flamandzku do swego towarzysza, który bezzwłocznie otworzył tylne drzwi samochodu. Shannon zeszywniał. Jeśli Belg mimo wszystko przygotował jakąś niespodziankę, wyłoni się ona właśnie zza tych drzwi. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Słaby poblask światła ciężarówki Shannona wydobył z ciemności zarysy dziesięciu płaskich skrzyń i otwartego kartonowego pudła.

— Przyjechał pan bez przyjaciela? — zapytał Boucher. Shannon gwizdnął donośnie. Mały Marc wyłonił się zza pobliskiej stodoły.

Zapadło milczenie. Przerwał je Shannon. Odchrząknąwszy powiedział:

— Cóż, chyba możemy dokonać wymiany. — Otworzył drzwi od strony kierowcy, sięgnął do wnętrza kabiny i wyjął grubą brązową kopertę. — Gotówka, tak jak pan sobie życzył. Banknoty dwudziestodolarowe, dziesięć paczek po pięćdziesiąt sztuk.

Stojąc obok Bouchera przyglądał się, jak grubas błyskawicznie przelicza pieniądze, upychając paczki po kieszeniach. Kiedy Belg sprawdził ostatnią paczkę, wyjął z każdej po jednym banknocie i w świetle latarki sprawdził je uważnie, poszukując śladów ewentualnego fałszerstwa. Nie znalazłszy niczego, skinął głową.

— Wszystko w porządku — powiedział, a Marc na znak Shannona wysunął jedną ze skrzyń, postawił ją na ziemi i podważył wieko płaskim kluczem. Zapalił latarkę i skierował snop światła na dziesięć schmeisserów leżących w skrzyni. Wyjął jeden, sprawdził działanie zamka, odłożył broń z powrotem do skrzyni i starannie przybił wieko.

Skontrolowanie wszystkich skrzyń zajęło mu dwadzieścia minut. Przez cały czas potężnie zbudowany towarzysz monsieur Bouchera nie odstępował go ani na krok. Shannon z Boucherem stali w odległości około czterech metrów. Na końcu Marc zajrzał do pudła. Było w nim pięćset magazynków. Sprawdził jeden z nich, aby upewnić się, że pasuje do typu pistoletu, po czym spojrzał na Shannona i skinął głową.

— Wszystko w porządku — powiedział.

— Czy pański przyjaciel mógłby pomóc mojemu załadować sprzęt na ciężarówkę? — zapytał Shannon.

Boucher wydał polecenie siłaczowi. Obaj mężczyźni wystawili wory z ziemniakami z samochodu, po czym zaczęli do niego wnosić płaskie skrzynie, rozmawiając między sobą po flamandzku. W pewnej chwili towarzysz Bouchera wybuchnął donośnym śmiechem. Po pięciu minutach dziesięć płaskich skrzyń i kartonowe pudło znalazły się w ciężarówce Marca.

Vlaminck umocował z tyłu szeroką deskę, a następnie rozciął jeden z worków, podniósł go i wysypał zawartość do środka. Ziemniaki potoczyły się z łoskotem, błyskawicznie wypełniając szczeliny między skrzyniami. Drugi Belg roześmiał się i zaczął mu pomagać. Po opróżnieniu sześciu worków skrzyń w ogóle nie było widać; każdy, kto zajrzałby do wnętrza ciężarówki, zobaczyłby tylko kupę ziemniaków. Puste worki wylądowały w krzakach.

— W porządku, możemy jechać — powiedział Marc.

— Ruszemy pierwsi, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — zwrócił się Shannon do Bouchera. — Bądź co bądź teraz my mamy trefny towar.

Zaczekał, aż Marc uruchomi silnik i ustawi samochód przodem do polnej drogi, po czym zwinnie wskoczył na miejsce pasażera. Mniej więcej w połowie tej drogi znajdowała się wielka wyrwa, którą należało pokonać bardzo powoli i ostrożnie. Kiedy tam dotarli, Shannon mruknął coś do Marca, wziął jego nóż, wyskoczył z kabiny i ukrył się w przydrożnych zaroślach.

Dwie minuty później nadjechała ciężarówka Bouchera. Ona także wyraźnie zwolniła, a wtedy Shannon wychynął z krzaków, pochylony podbiegł do samochodu, wbił nóż w prawą tylną oponę i błyskawicznie zniknął znów w zaroślach. Rozległ się donośny syk uciekającego powietrza. Cat dołączył do Marca dopiero na szosie, gdzie Belg zatrzymał się, aby zdjąć fałszywe tablice rejestracyjne i pozbyć się napisów reklamowych. Nie miał nic przeciwko Boucherowi, ale lepiej było nie mieć go za sobą przez pół godziny.

O wpół do jedenastej dotarli do Ostendy, zostawili ciężarówkę wyładowaną „ziemniakami” w wynajętym garażu, po czym udali się do baru Marca przy Kleinstraat. Raczyli się piwem wznosząc toasty, podczas gdy Anna przygotowywała posiłek. Shannon nigdy do tej pory nie widział kochanki

przyjaciela; zgodnie ze zwyczajem panującym wśród najemników odnosił się do niej z wielką galanterią.

Vlaminck zarezerwował mu pokój w hotelu w centrum miasta, ale suto zakrapiana kolacja przeciągnęła się do późnej nocy. Wspominali potyczki i bitwy, ludzi i wydarzenia z przeszłości, na przemian śmiejąc się ze spraw, które budziły wesołość, i kiwając ponuro głowami nad smutnymi. Bar był przez cały czas otwarty, a dokoła siedzieli zwykli śmiertelnicy i słuchali ich w nabożnym podziwie.

Położyli się spać dopiero o świcie.

Późnym rankiem Mały Marc obudził Shannona i razem zeszli na śniadanie. Irlandczyk wyjaśnił koledze, jak trzeba zapakować schmeissery, aby można je było przeszmugłować przez granicę do Francji i załadować na statek w jakimś porcie na południu.

— Może zostawić je w skrzyniach przykryte ziemniakami? — zaproponował Marc.

Shannon pokręcił głową.

— Ziemniaki wozi się w workach, nie w skrzyniach. Poza tym, w czasie załadunku któraś mogłaby się rozbić, i wtedy wszystko by się wydało. Mam lepszy pomysł.

Przez następne pół godziny wyjaśniał wszystko Belgowi. Wreszcie Belg skinął głową na znak, że zrozumiał, o co chodzi.

— W porządku — powiedział. — Mogę pracować w garażu rano, przed otwarciem baru. Kiedy ruszamy?

— Około piętnastego maja — odparł Shannon. — Pojedziemy tą samą trasą, z której korzystają przemytnicy szampana. Sprowadzę do pomocy Jean-Baptiste'a, a w Paryżu przeładujemy towar do samochodu na francuskich numerach. Do piętnastego maja wszystko musi być gotowe do transportu.

Marc odwiózł go na prom kursujący z Ostendy do Dover. Ciężarówka została w garażu, skąd miała wyjechać dopiero, kiedy nadejdzie chwila odpowiednia, by przerzucić broń na południe Francji. Wczesnym wieczorem Shannon znalazł się z powrotem w Londynie.

Natychmiast po powrocie przystąpił do sporządzania szczegółowego raportu dla Endeana; nie wspominał jedynie o tym, od kogo została zakupiona broń ani gdzie jest przechowywana. Do raportu dołączył zestawienie wydatków oraz wyciąg ze swojego belgijskiego konta.

W porannej poczcie przyszła okazała koperta od Jean-Baptiste'a Langarottiego z katalogami trzech firm produkujących pneumatyczne łodzie o twardych dnach — dokładnie takie, jakich Shannon potrzebował, aby dokonać desantu w Clarence. Reklamowano je jako idealne wyposażenie dla miłośników morskiego wędkowania, jazdy na nartach wodnych i nurkowania, a także zachwalano ich przydatność dla właścicieli dużych jachtów lub innych jednostek pływających. Nigdzie nie znalazła się choćby wzmianka o tym, że łodzie tego typu ze względu na niewielkie zanurzenie, dobrą zwrotność i możliwość osiągnięcia nawet bardzo dużych prędkości służyły oddziałom komandosów niemal na całym świecie.

Shannon przeczytał z zainteresowaniem wszystkie broszury. Spośród trzech firm jedna była włoska, jedna brytyjska, a jedna francuska. Włoska firma, dysponująca sześcioma przedstawicielstwami na Lazurowym Wybrzeżu oraz znaczną liczbą pomniejszych dostawców, wydawała się najbardziej odpowiednia. Z informacji zamieszczonych w broszurze wynikało, że od ręki można było kupić u nich dwie największe, pięciometrowe łodzie; jedna znajdowała się w Marsylii, druga w Cannes. Francuski producent zamieścił w swoim katalogu zdjęcie produkowanej przez siebie, pięciometrowej łodzi, pędzącej z zadartym dziobem po błękitnym morzu.

Langarotti donosił w liście, że taka właśnie łódź jest do kupienia w sklepie ze sprzętem pływającym w Nicei. W magazynie było jeszcze kilka sztuk, ale wszystkie jaskrawopomarańczowe.

Nadaje się do nich każdy przyczepny silnik o mocy ponad 50 KM, a takich właśnie silników naliczył w sklepach i warsztatach co najmniej siedem typów. Co zaś do firmy z Anglii, to produkuje ona wyłącznie na zamówienie.

Shannon napisał w odpowiedzi długi list, w którym polecił Langarottiemu, żeby kupił od włoskiej firmy oba egzemplarze oferowane do natychmiastowej sprzedaży, trzeci zaś od francuskiego producenta. Położył szczególny nacisk na to, by Korsykanin natychmiast skontaktował się ze wszystkimi sprzedawcami i przesłał każdemu z nich dziesięcioprocentową zaliczkę. Ma także kupić trzy najlepsze silniki, każdy w innym sklepie.

Następnie Shannon zajął się zamieszczonymi w katalogach cenami i sumowaniem liczb. Okazało się, że wartość sprzętu nieznacznie przekroczy 4000 funtów, a więc nie uda im się zmieścić w 5000 funtów przewidzianych na wyposażenie dodatkowe. Nie przejął się tym zbytnio. Wiedział, że zaoszczędzi na zakupie broni, a także — tak przynajmniej sądził — statku. Napisał do Langarottiego, że przesyła na jego konto równowartość 4500 funtów, i że za resztę Korsykanin ma kupić używaną, lecz sprawną furgonetkę o ładowności około jednej tony. Samochód powinien być zarejestrowany i ubezpieczony.

Tą właśnie furgonetką ma wyruszyć w podróż wzdłuż wybrzeża i odebrać po drodze trzy łodzie i trzy przyczepne silniki, które następnie dostarczy firmie spedycyjnej z Tulonu. Wszystko powinno znaleźć się w magazynie najpóźniej do 15 maja. Rano tego dnia spotkają się w Paryżu w hotelu, w którym zwykle Cat się zatrzymuje. Langarotti ma tam przyjechać furgonetką.

Shannon wysłał tego tygodnia jeszcze jeden list, zaadresowany do Kredietbanku w Brugii. Prosił w nim o przekazanie 4500 funtów we francuskich frankach na konto monsieur Jean-Baptiste'a Langarottiego w banku Societe General w Marsylii.

Kiedy Cat Shannon wrócił z poczty, położył się na wznak na łóżku i wpatrzył w sufit. Był bardzo zmęczony; zaczęło dawać znać o sobie ciągle napięcie, w którym żył nieprzerwanie przez ostatnie dni. Na razie wszystko toczyło się zgodnie z planem. Na początku czerwca Alan Baker powinien sfinalizować w Jugosławii zakup moździerzy i bazook, Schlinker zaś dostarczyć z Madrytu amunicję do schmeisserów. Nie zdołają wystrzelać jej nawet przez rok. Zamówił tak dużo, by uprawdopodobnić transakcję w oczach hiszpańskich władz. Zezwolenie na wywóz amunicji za granicę powinno zostać wydane w połowie, a najpóźniej pod koniec czerwca — naturalnie pod warunkiem, że Shannon poda wcześniej Niemcowi nazwę statku oraz że urzędnicy z Madrytu nie będą mieli żadnych zastrzeżeń ani do jednostki, ani do jej właściciela.

Vlaminck najprawdopodobniej zdążył już przygotować pistolety maszynowe do transportu przez Belgię i Francję do Marsylii, gdzie najpóźniej 1 czerwca zostaną załadowane na statek. W tym samym czasie firma spedycyjna z Tulonu wyśle pneumatyczne łodzie, silniki i resztę sprzętu zamówionego u Schlinkera.

Z wyjątkiem zakupu schmeisserów wszystko było załatwione całkowicie legalnie, co oczywiście wcale nie musiało oznaczać, że nie pojawią się żadne kłopoty. Najbardziej realne było niebezpieczeństwo, że któryś z rządów będzie zwlekał z podjęciem decyzji albo odmówi zgody, doszukawszy się nieścisłości w przedłożonych dokumentach.

Pozostała jeszcze do załatwienia sprawa mundurów, na które Dupree w dalszym ciągu polował w Londynie. One także powinny najpóźniej pod koniec maja znaleźć się w magazynie w Tulonie.

Jednak największy problem wiązał się z zakupem statku. Semmler szukał odpowiedniej jednostki już prawie od miesiąca, niestety bez powodzenia.

Shannon sturlał się z łóżka, podniósł słuchawkę i nadał telegram do Semmlera z poleceniem, aby jak najszybciej zameldował się u niego. Ledwie odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił.

— Cześć, to ja.

— Jak się masz, Julio?

— Gdzie byłeś, kochanie?

— Daleko. Za granicą.

— Zostaniesz na weekend w. mieście?

— Chyba tak. Mam nadzieję.

W rzeczywistości nie miał wyboru, gdyż musiał siedzieć i czekać na wiadomość od Semmlera.

— To dobrze — powiedziała dziewczyna. — W takim razie spotkajmy się i zabawmy.

Mimo wszystko był chyba jeszcze bardzo zmęczony, gdyż nie od razu zrozumiał, co ma na myśli.

— W jaki sposób? — zapytał.

Zacząła mu to wyjaśniać z najdrobniejszymi szczegółami, aż wreszcie przerwał jej i zażądał, by przyjechała jak najszybciej i udowodniła mu, że potrafi to wszystko zrobić.

Już od tygodnia nie posiadała się z niecierpliwości, aby jak najszybciej powiedzieć kochankowi o swoim odkryciu, jednak radość z ponownego spotkania sprawiła, że przypomniała sobie o tym dopiero o północy.

— Wiesz, parę dni temu widziałam gdzieś twoje nazwisko — szepnęła mu do ucha.

Shannon już prawie zasypiał, więc tylko mruknął coś niewyraźnie.

— Na papierze — dodała Julia, ale on nadal nie wykazywał żadnego zainteresowania. — Mam ci powiedzieć, gdzie był ten papier?

Zareagował kolejnym mruknięciem.

— W teczce na biurku taty.

Jeśli chciała go zaskoczyć, to w pełni jej się to udało. Shannon gwałtownym ruchem odrzucił koc, poderwał się na łóżku i chwycił ją mocno za ramiona. W jego spojrzeniu było coś, co ją przeraziło.

— Boli! — poskarżyła się, ale nie wywarło to na nim wrażenia.

— Co to była za teczka?

— Po prostu teczka. — Pociągnęła nosem, walcząc z napływającymi do oczu łzami. — Chciałam ci tylko pomóc...

Shannon uspokoił się trochę.

— Czego tam szukałaś?

— Wciąż o niego pytałeś, więc kiedy zobaczyłam tę teczkę, zajrzałam do środka. Było tam twoje nazwisko.

— Opowiedz mi o tym od początku — poprosił łagodnie. Kiedy skończyła, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła do niego mocno.

— Kocham pana, panie Cat — szepnęła. — Zrobiłam to tylko dla pana. Czy to coś złego?

Zastanowił się przez chwilę. Dziewczyna wiedziała już stanowczo za dużo, a istniały tylko dwa sposoby, aby zagwarantować jej milczenie.

— Naprawdę mnie kochasz? — zapytał.

— Naprawdę.

— I nie chciałabyś, żeby z twojego powodu spotkało mnie coś złego?

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, a potem podniosła ku niemu twarz i spojrzała mu prosto w oczy. Wydawało się jej, że przeżywa na jawie jedną ze scen ze swoich dziewczęcych marzeń.

— Nigdy — odparła z przekonaniem. — Nikomu nic nie powiem. Bez względu na to, co mi zrobią.

Shannon uniósł brwi ze zdziwieniem.

— Nikt nie ma zamiaru ci niczego robić — powiedział. — Po prostu nie mów ojcu, że mnie znasz ani że przeglądałaś dokumenty na jego biurku. Dostarczam mu informacji o złożach i cenach minerałów w różnych afrykańskich państwach. Gdyby się dowiedział, że jesteśmy razem, na pewno by mnie wyrzucił i musiałbym szukać nowej pracy. Co prawda niedawno proponowano mi posadę, ale wiele tysięcy kilometrów stąd, w Afryce. Jeśli twój ojciec dowie się o nas, będę musiał wyjechać.

Trafił w dziesiątkę. Julia nie chciała, żeby wyjeżdżał. Oczywiście Shannon doskonale zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia będzie musiał odejść, ale po co mówić jej o tym już teraz.

— Nie pisnę ani słówka — obiecała.

— Jeszcze parę drobnostek — powiedział. — Pamiętasz może nagłówek na tej stronie z cenami?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wyęzając pamięć.

— Zdaje się, że chodziło o to, co jest w wiecznych piórach, przede wszystkim w tych najdroższych.

— Atrament? — zapytał z niedowierzaniem Shannon.

— Nie, pla... pla...

— Platyna — dokończył za nią. — A jak była zatytułowana teczka?

— O, to doskonale pamiętam — poinformowała go radośnie. — W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi o jakąś bajkę. „Kryształowa Góra”.

Shannon odetchnął głęboko.

— Bądź taka dobra i przynieś mi filiżankę kawy — poprosił. Kiedy dziewczyna wyszła do kuchni, oparł się plecami o wezglowie

łóżka i zapatrzył na nocny krajobraz Londynu.

— Ty przebiegły sukinsynu... — mruknął cicho. — Nie pójdzie ci tak łatwo, jak myślałeś.

I roześmiał się głośno.

Tej samej sobotniej nocy Benny Lambert podążył niezbyt pewnym krokiem do domu po obficie zakrapianej kolacji. Spędził wieczór na libacji w gronie przyjaciół w jednym z ulubionych barów. Stawiał tylko on, a płacił pieniędzmi, które dostał od Shannona. Był w siódmym niebie mogąc opowiadać o „grubej robocie”, którą właśnie wykonał, i poić szampanem wpatrujące się w niego z podziwem dziewczyny. Sam także wypił sporo, a nawet więcej niż sporo, toteż nie zauważył samochodu, który sunął powoli dwieście metrów za nim. Nie zauważył także, że kiedy był już na pustej parceli, o pół kilometra od domu, samochód przyśpieszył nagle i zatrzymał się przy nim z piskiem opon.

Kiedy wreszcie zorientował się, co się dzieje, i zaczął protestować, leżał już na stercie śmieci na terenie parceli mniej więcej dziesięć metrów od ulicy, wepchnięty tam przez potężnie zbudowanego mężczyznę, który wyskoczył z samochodu.

Protesty ucichły, kiedy olbrzym chwycił go jedną ręką za ubranie na piersi, drugą zaś zadał silny cios w splot słoneczny. Benny Lambert zawisł bezwładnie, podtrzymywany przez napastnika, po czym osunął się na ziemię jak worek ziemniaków. Jego pogromca, z twarzą ukrytą w cieniu, stanął nad nim w rozkroku, wyjął zza paska półmetrowy żelazny pręt, a następnie chwycił jego nogę w kostce i z całej siły rąbnął grubym prętem w kolano. Rozległ się głośny trzask, Lambert wrzasnął przeraźliwie i zemdłał. Nie czuł już nic, kiedy napastnik miażdżył mu rzepekę w drugim kolanie.

Dwadzieścia minut później Thomard zadzwonił z automatu w odległej o półtora kilometra kawiarni do swego pracodawcy.

Roux wysłuchał go, po czym skinął głową.

— W porządku — powiedział. — A teraz mam dla ciebie nowinę: wiem już, gdzie zatrzymuje się

zwykle Shannon. Henri Alain zawiadomił mnie przed chwilą, że do hotelu przyszedł list od niejakiego Keitha Browna. Zarezerwował sobie pokój na piętnastego.

— Piętnasty maja — powtórzył Thomard. — A więc zostanie na noc...

— I ty też — poinformował go głos w słuchawce. — Henri będzie w kontakcie ze swoim informatorem, a ty od południa masz kręcić się gdzieś w pobliżu.

— Jak długo? — zapytał opryszek.

— Aż wyjdzie z hotelu sam. Wtedy go załatwisz. Za pięć tysięcy dolarów.

Thomard uśmiechnął się lekko, odwiesił słuchawkę i poszedł do baru. Popijając piwo czuł ciężar pistoletu w kaburze pod pachą. Uśmiechnął się szerzej. Za kilka dni zagarnie okrągłą sumkę. Był tego pewien. Zlikwidowanie kogoś, kto nie ma pojęcia o zamachu przygotowywanym na jego życie — nawet jeśli tym kimś jest Cat Shannon — nie powinno nastęrczać żadnych trudności.

Kurt Semmler zadzwonił w niedzielę późnym rankiem. Shannon leżał nagi w łóżku, a Julia krzątała się w kuchni przygotowując śniadanie.

— Pan Keith Brown? — zapytała telefonistka.

— Tak, przy aparacie.

— Dzwoni pan Semolina z Genui.

Shannon usiadł na krawędzi łóżka i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

— Proszę łączyć.

Głos Niemca był cichy, ale stosunkowo wyraźny.

— Carlo?

— Tak, to ja.

— Jestem w Genui.

— Wiem. Co słychać?

— Znalazłem. Tym razem jestem pewien. Jest dokładnie taki, jak chciałeś. Kłopot polega na tym, że znalazł się drugi chętny. Będziemy musieli podbić stawkę, ale warto, bo towar idealnie nadaje się dla naszych potrzeb. Mógłbyś przylecieć, żeby go zobaczyć?

— Czy to pewne, Kurt?

— Całkowicie. Zarejestrowany frachtowiec, własność firmy z Genui. Jak na zamówienie.

Shannon zastanowił się.

— Przylecę jutro. W jakim hotelu mieszkasz? Semmler podał mu nazwę.

— Wsiądę do pierwszego samolotu, ale nie mam pojęcia, o której godzinie. Siedz w hotelu przez całe popołudnie, skontaktuję się z tobą zaraz po przylocie. Aha, i zarezerwuj dla mnie pokój.

Kilka minut później miał już zarezerwowany bilet na samolot Alitalii odlatujący o 9.05 do Mediolanu, gdzie czekała go przesiadka. W Genui powinien zjawić się około pierwszej po południu.

Uśmiechał się do siebie, kiedy Julia przyniosła kawę. Jeżeli statek rzeczywiście okaże się w sam raz, na pewno zdąży załatwić wszystkie formalności w ciągu najbliższych dwunastu dni i stawić się piętnastego w Paryżu ze świadomością, że 1 czerwca Semmler będzie czekał na pokładzie w pełni wyekwipowanej jednostki.

— Kto to był? — zapytała dziewczyna.

— Przyjaciel.

— Jaki przyjaciel?

— Od interesów.

— Czego chciał?

— Muszę się z nim spotkać.

— Kiedy?

— Jutro rano. We Włoszech.

— Długo cię nie będzie?

— Nie wiem. Dwa tygodnie, może dłużej. Nadąsała się.

— A co ja mam robić przez ten czas? — zapytała. Shannon uśmiechnął się.

— Na pewno coś sobie znajdziesz. Tyle jest ciekawych rzeczy dokoła...

— Jesteś drań — stwierdziła lekkim tonem. — Ale skoro mówisz, że musisz jechać, to widocznie naprawdę musisz. Wynika z tego, że mamy czas tylko do jutra rana. Postaram się go wykorzystać, drogi kocurku.

Nagle kawa z filiżanki Shannona znalazła się na poduszce, a on zdążył tylko pomyśleć, że w porównaniu z zaspokajaniem niepohamowanego apetytu słodkiej córeczki sir Jamesa Mansona atak na pałac Kimby to doprawdy igraszka.

03.Psy Wojny

8

Cat Shannon i Kurt Semmler wysiedli z taksówki i ruszyli niespiesznym krokiem ku skapanemu w promieniach popołudniowego słońca nabrzeżu portu w Genui, gdzie był przycumowany motorowiec Toskania. Stary statek wyglądał jak karzełek w porównaniu z dwoma stojącymi tuż obok frachtowcami o wyporności 3000 ton, ale Shannonowi wcale to nie przeszkadzało. Już na pierwszy rzut oka ocenił, że Toskania będzie wręcz idealna dla jego celów.

Różnica poziomów między forpikiem a głównym pokładem, gdzie znajdował się duży kwadratowy luk jedynej ładowni, wynosiła nieco ponad metr. Na rufie był niewielki mostek, pod nim zaś prawdopodobnie kabina kapitana i pomieszczenia załogi. Statek miał krótki, dość gruby maszt, na którym zainstalowano pojedynczy bom załadunkowy, a samotna szalupa ratunkowa wisiała nad pokładem na rufie.

Mocno zardzewiały kadłub pokryty był starą, łuszczącą się farbą. Statek był niewielki, stary i wysłużony. W sumie odznaczał się tym, na czym najbardziej zależało Shannonowi: nie rzucał się w oczy. Między Hajfą i Gibraltarem, Tangerangem i Dakarem, Monrowią i Simonstown kursują tysiące takich właśnie niepozornych stateczków. Wszystkie wyglądają niemal dokładnie tak samo, nie przyciągają niczyjej uwagi i nikt nie podejrzewa ich załóg o to, że trudnią się jakimś nielegalnym procederem.

Semmler wprowadził Shannona na pokład. Zeszli po wąskich, pogrążonych w półnroku schodkach prowadzących do kabin załogi i spotkali na dole umięśnionego, czterdziestokilkuletniego mężczyznę o surowych rysach twarzy, który skinął głową Semmlerowi i spojrzał pytająco na Shannona.

Niemiec wymienił z mężczyzną uścisk dłoni i przedstawił go Shannonowi.

— Carl Waldenberg, pierwszy oficer. Waldenberg skinął głową i wyciągnął rękę.

— Przyszedł pan obejrzeć naszą starą Toskanię! — zapytał. Shannon z zadowoleniem stwierdził, że pierwszy oficer mówi po

angielsku poprawnie, choć z silnym akcentem, oraz że wygląda na człowieka, który za odpowiednią zapłatę zgodzi się przewieźć każdy ładunek, w dodatku nie zadając zbyt wielu pytań. Doskonale rozumiał, skąd brało się zainteresowanie Niemca jego osobą; Semmler poinformował wcześniej Waldenberga i załogę, że jego przyjaciel Shannon zjawi się obejrzeć statek, a być może go kupi. Było całkiem naturalne, że pierwszy oficer chciał wiedzieć jak najwięcej o nowym właścicielu; bądź co bądź chodziło tutaj także o jego własną przyszłość.

Jugosłowiański mechanik zszedł na ląd, ale w kabinie zastali jednego z marynarzy, włoskiego nastolatka, który leżał na swojej koi i przeglądał pismo ze zdjęciami roznegliżowanych dziewcząt. Nie czekając na powrót kapitana, także Włocha, Waldenberg oprowadził gości po statku. Shannona interesowały trzy sprawy: możliwość zaokrętowania dodatkowych dwunastu ludzi, wielkość ładowni i szansę na ukrycie kilku skrzyń w jej dolnej części oraz stan techniczny silnika, który powinien wytrzymać długą podróż — kto wie, czy nawet nie na południe Afryki.

Pierwszy oficer wysłuchał pytań ze zmarszczonym czołem, ale na wszystkie udzielił grzecznych i wyczerpujących odpowiedzi. Bez trudu domyślił się, że dodatkowi pasażerowie nie będą turystami gotowymi zapłacić spore pieniądze za wątpliwą przyjemność spania w śpiworach na twardych

deskach pokładu oraz że Toskania tym razem nie weźmie zbyt dużego ładunku. Do transportu na tak duże odległości używa się znacznie większych jednostek. Małe statki przybrzeżne są górą tam, gdzie chodzi o szybki załadunek i dostarczenie towaru parę dni później do portu oddalonego, powiedzmy, o kilkaset mil. Duże statki spędzają w portach o wiele więcej czasu, ale nadrabiają to podczas długich podróży dzięki swojej prędkości. Przy odległościach przekraczających 500 mil morskich frachtowce wielkości Toskanii nie mają szans w porównaniu z potężniejszymi konkurentami.

Zwiedziwszy statek wyszli na pokład, gdzie Waldenberg wręczył każdemu po butelce piwa. Opróżniali je w cieniu płóciennego daszku rozpiętego nad mostkiem. Teraz też rozpoczęły się właściwe negocjacje. Dwaj Niemcy szwargotali między sobą, przy czym nie ulegało wątpliwości, że oficer zadaje pytania, Semmler zaś odpowiada na nie.

Wreszcie Waldenberg obrzucił Shannona przenikliwym spojrzeniem, a potem skinął powoli głową.

— Możliwe — powiedział po angielsku.

— Zapytał mnie, dlaczego facet taki jak ty, najwyraźniej nie wyglądający na człowieka morza, chce kupić sobie statek — wyjaśnił Semmler. — Powiedziałem, że nie jesteś marynarzem, tylko biznesmenem. Według niego przewozy morskie to zbyt ryzykowne zajęcie nawet dla zamożnych ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na stratę sporych pieniędzy. Chyba że robią to, aby realizować jakiś inny cel.

— W porządku, Kurt. Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

Przeszli na rufę i oparli się o reling, pozostawiając Waldenberga z jego butelką piwa.

— Co o nim myślisz? — zapytał Shannon przyciszonym głosem.

— Jest dobry — odparł Semmler bez wahania. — Statek należy do kapitana, starego człowieka, który wybiera się już na emeryturę. Właśnie dlatego chce sprzedać łajbę. A więc statek zostanie bez dowódcy. Waldenberg na pewno chętnie objąłby to stanowisko, a ja nie widzę przeszkód. Ma odpowiednie papiery, duże doświadczenie, zna statek na wylot. Pytanie tylko, czy zgodziłby się na ryzyko przewozu niebezpiecznego ładunku. Myślę, że tak, pod warunkiem, że mu się to opłaci.

— Czyżby już coś podejrzewał?

— Jasne. Jego zdaniem zajmujesz się przerzutem nielegalnych imigrantów do Wielkiej Brytanii. Na pewno nie ma ochoty trafić do więzienia, ale za odpowiednią sumę zrobi wszystko, czego będziemy chcieli.

— Najpierw musimy kupić statek. Dopiero później zapytamy go, czy chce zostać. Jeśli zrezygnuje, poszukamy innego kapitana.

Semmler pokręcił głową.

— Trzeba by mu powiedzieć, na czym mniej więcej będzie polegało zadanie. Jeśli wycofa się potem, gdy się dowie, może wszystko wygadać.

— Tam i tak nikt nie zechce go słuchać — odparł Shannon, wskazując pokrytą warstwą oleju i smarów powierzchnię wody.

— Jeszcze jedno, Cat. Przydałoby się mieć go po swojej stronie, bo zna statek i mógłby przekonać kapitana, żeby sprzedał go właśnie nam, a nie miejscowemu armatorowi, który też ma na niego ochotę. Kapitan liczy się ze zdaniem Waldenberga i na pewno będzie chciał zostawić Toskanię w dobrych rękach.

Ten argument trafił Shannonowi do przekonania. Czas upływał nieubłaganie i sprawę należało załatwić jak najszybciej. Waldenberg mógłby im pomóc kupić Toskanię, a potem z pewnością potrafiłby ją sprawnie poprowadzić. Mógłby także sam dobrać sobie pierwszego oficera, z którym dobrze by mu się pracowało. Poza tym należało pamiętać o bardzo starej zasadzie przekupywania

ludzi: nigdy nie przekupuj wszystkich, tylko najważniejszego, który umie kierować swoimi podwładnymi. Po namyśle Shannon postanowił uczynić z Waldenberga sprzymierzeńca.

— Będę z panem szczerzy — powiedział do Niemca, kiedy wrócili pod płócienny daszek. — Jeśli kupię Toskanię, na pewno nie będę jej używał do przewożenia orzeszków ziemnych. Na pewno też ładunek będzie trochę ryzykowny, ale rozładunek za to całkowicie bezpieczny, bo poza wodami terytorialnymi. Potrzebuję dobrego kapitana, a Kurt twierdzi, że pan nim jest. Skoro tak, to przejdźmy od razu do rzeczy. Jeżeli zostanę właścicielem Toskanii, zaproponuję panu stanowisko kapitana. Gwarantuję panu półroczne zatrudnienie z pensją dwukrotnie wyższą od tej, którą dostaje pan w tej chwili, plus premię w wysokości pięciu tysięcy dolarów za dostarczenie na miejsce pierwszego ładunku, co powinno nastąpić za mniej więcej dziesięć tygodni.

Waldenberg wysłuchał go w milczeniu, po czym uśmiechnął się, wyprostował i wyciągnął rękę.

— Ma pan swojego kapitana.

— W porządku — odparł Shannon. — Teraz trzeba jeszcze tylko kupić statek.

— Z tym nie będzie żadnego problemu — powiedział Waldenberg. — Ile może pan za niego zapłacić?

— A ile kosztuje?

— Tyle, ile jest wart na rynku. Pańscy konkurenci zaproponowali dwadzieścia pięć tysięcy funtów i ani pensa więcej.

— Dam dwadzieścia sześć — odparł Shannon. — Myśli pan, że kapitan się zgodzi?

— Na pewno. Mówi pan po włosku?

— Nie.

— Kapitan Spinetti nie zna ani słowa po angielsku. Będę pańskim tłumaczem i wszystko z nim załatwię. Za taką cenę, i ze mną jako kapitanem, na pewno sprzeda go panu. Kiedy chce się pan z nim spotkać?

— Może jutro rano? — zaproponował Shannon.

— Zgoda. Jutro o dziesiątej na pokładzie.

Mężczyźni ponownie wymienili uścisk dłoni, po czym dwaj najemnicy zeszli na ląd.

Mały Marc Vlaminc pracował w wynajętym przez siebie garażu. Wcześniej wyprowadził na zewnątrz ciężarówkę, zamknął ją i zostawił na podjeździe. Starannie zamknął drzwi garażu, aby nikt mu nie przeszkadzał. Spędzał w ten sposób już drugie popołudnie i prawie uporał się z pierwszą częścią zadania.

Na zbitym własnoręcznie z grubych desek stole rozłożył narzędzia kupione — jak wszystko inne — za pieniądze Shannona. Pod ścianą stało pięć dużych jaskrawozielonych beczek z rzucającymi się w oczy napisami „Castrol”. Kiedyś zawierały olej przekładniowy, ale teraz były puste. Marc kupił je za psie pieniądze od jakiejś firmy zajmującej się remontami statków.

Wziął pierwszą z brzegu beczkę, postawił ją do góry dnem i wyciął w nim okrągły otwór, pozostawiając wokół ścianek krawędź szerokości około trzech centymetrów. Następnie otworzył dwie skrzynki i wyjął z nich dwadzieścia pistoletów maszynowych. Już wcześniej przygotował je do transportu: każdy pistolet został owinięty samoprzylepną taśmą izolacyjną, wsadzony wraz z pięcioma magazynkami do foliowej torby, którą Marc starannie zawiązał i zabezpieczył, a potem wsadził do jeszcze jednej, równie dokładnie zabezpieczonej torby. Dzięki tym środkom ostrożności broń z pewnością dotrze do miejsca przeznaczenia w nienaruszonym stanie.

Związał razem wszystkie dwadzieścia pistoletów i za pomocą mocnej taśmy klejącej połączył w jedną pękatą wiązkę, którą wsunął ostrożnie do beczki przez wycięty otwór. Beczki miały pojemność 44 galonów, czyli 200 litrów; dwadzieścia schmeisserów wraz z dołączonymi magazynkami

znieściło się bez trudu, zostało nawet trochę miejsca przy ściankach.

Teraz trzeba było zamknąć beczkę. Marc zawczasu wyciął z cienkiej blachy krążki o odpowiedniej średnicy i teraz zaczął dopasowywać jeden z nich do otworu wyciętego w dnie beczki. Po półgodzinie przycinania i wyklepywania osiągnął zamierzony cel: krążek pasował jak ulał, zachodząc na 3-centymetrową krawędź pozostawioną po usunięciu prawdziwego dna. Marc wziął ze stołu dużą lutownicę i pasek cyny, po czym przystąpił do lutowania fałszywego dna.

Naturalnie najlepszym sposobem trwałego i mocnego łączenia metalu z metalem jest spawanie, ale we wnętrzu pojemnika zawierającego kiedyś smar lub paliwo zawsze pozostaje cienki osad łatwopalnych substancji, które po podgrzaniu wydzielają niebezpieczne gazy, co może spowodować eksplozję. Lutowanie nie łączy tak silnie, ale za to nie wymaga wysokiej temperatury. Jeśli beczki nie będą poddawane silnym poprzecznym przeciążeniom, powinny bez trudu wytrzymać czekającą je podróż.

Uporawszy się z zadaniem, Marc pomalował fałszywe dna na jaskrawozielony kolor, który na całym świecie kojarzy się z beczkami oleju „Castrol”, poczekał, aż lakier wyschnie, a następnie ostrożnie ustawił beczkę w normalnej pozycji. Odkręcił korek, sięgnął po jedną z przygotowanych dużych baniek i zaczął wlewać do środka olej przekładniowy.

Gęsta, zielona, lepka ciecz bulgocząc spłynęła na dno beczki, bezgłośnie zalewając wszelkie szpary i szczeliny, błyskawicznie impregnując sznurki użyte do zawiązania foliowych toreb. Dzięki odrobinię powietrza, które zostało pod warstwą plastiku, ciężka wiązka przez chwilę unosiła się w gęstym oleju jak boja, by dopiero po dłuższej chwili zniknąć pod jego warstwą.

Belg wlał do dwustulitrowej beczki zawartość dwóch baniek, czyli około 60 litrów. Wynikało z tego, że siedem dziesiątych jej objętości zajmowała broń, a trzy dziesiąte olej. Wyjął z kieszeni miniaturową latarkę i oświetlił wnętrze beczki. W otworze zobaczył tylko nieruchomą warstwę gęstej, ciemnozielonej, skrzęcej się złościście cieczy. Nikt nie zgadnie, co kryje się w beczce. Marc zaczął jeszcze prawie godzinę, aby upewnić się, czy dno jest szczelne, po czym otworzył drzwi i wprowadził z powrotem ciężarówkę do garażu. Teraz musiał jeszcze tylko pozbyć się dwóch drewnianych skrzyń z niemieckimi napisami i bezużytecznego fragmentu blaszanego dna — skrzynie trafią do kominka, blacha zaś na dno kanału portowego. Marc miał teraz pewność, że sposób jest dobry i że spreparowanie jednej beczki zajmie mu najwyżej dwa dni. Na pewno zdąży ze wszystkim do 15 maja, tak jak obiecał Shannonowi. Dobrze było znowu mieć coś do roboty.

Dr Iwanów cały trząsł się z wściekłości; nie po raz pierwszy zresztą i na pewno nie ostatni.

— Ta biurokracja! — parsknął podczas śniadania do żony siedzącej naprzeciwko przy stole. — Doprawdy, to przechodzi ludzkie pojęcie!

— Na pewno masz rację, Michaile Michajłowiczu — odparła żona uspokajającym tonem, nalewając mu kolejną filiżankę mocnej, gorzkiej herbaty — właśnie takiej, jaką najbardziej lubił. Ta spokojna i pogodna kobieta wołałaby, żeby impulsywny uczonek bardziej panował nad swoim gniewem albo przynajmniej dawał mu upust tylko w domowym zaciszu.

— Gdyby ci z Zachodu wiedzieli, ile czasu trwa w tym kraju zdobycie kilku śrubek i nakrętek, chybaby skonali ze śmiechu!

— Ciii, kochanie — odparła, wsypując cukier do swojej filiżanki. — Musisz być cierpliwy.

Minęło już kilka tygodni od chwili, kiedy dyrektor instytutu wezwał go do gabinetu stanowiącego serce kompleksu laboratoriów i osiedla mieszkaniowego położonego w głębi syberyjskich Nowych Ziemi, by poinformować, że Michaił Michajłowicz Iwanów otrzymał zadanie zorganizowania ekspedycji do Afryki Zachodniej i że od tej chwili winien zająć się osobiście wszystkimi szczegółami.

Musiał więc porzucić bardzo interesujące prace badawcze. Musiał poprosić dwóch młodszych kolegów, aby uczynili to samo. Musiał sporządzić dokładną listę potrzebnego ekwipunku i rozesłać zamówienia do właściwych ministerstw. Musiał odpowiadać najgrzeczniej jak potrafił na bezsensowne pytania. Czas upływał mu na nie kończącym się oczekiwaniu na kolejne dostawy, ale Iwanów nauczył się podczas pobytu w Ghanie, że do pracy w buszu trzeba być dobrze przygotowanym.

— Szczerze mówiąc, wolałbym brnąć po szyję w śniegu — powiedział wtedy szefowi ekspedycji. — Bardziej odpowiada mi chłodny klimat.

Udało mu się jednak wszystko przygotować zgodnie z poleceniami i na czas. Zespół był skompletowany, a ekwipunek przygotowany do transportu. Przy odrobinie szczęścia — myślał Iwanów — uda mi się pojechać, przeprowadzić badania i wrócić z próbkami skał, jeszcze zanim krótkie, ale wspaniałe syberyjskie lato ustąpi miejsca paskudnej jesieni. Niestety, z listu, który trzymał w ręku, wynikało, że nic z tego. List był od dyrektora, ale Iwanów nie miał do niego pretensji, gdyż wiedział, że szef przekazuje mu tylko polecenia z Moskwy. Otóż Ministerstwo Transportu doszło do wniosku, że wyprawa, która ma przeprowadzić badania tak poufnej natury, nie może korzystać z publicznych środków transportu, a jednocześnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie jest w stanie przekazać do dyspozycji kierownictwa ekspedycji żadnego z samolotów Aeroflotu. Z powodu niepokojącej sytuacji na Bliskim Wschodzie nie można także skorzystać z wojskowego transportowca.

W związku z tym — biorąc pod uwagę obfitość zgromadzonego ekwipunku, a także przewidywaną ilość próbek, które należy przywieźć z powrotem — najlepiej będzie skorzystać z transportu drogą morską. Ekspedycja odbędzie podróż na pokładzie radzieckiego frachtowca płynącego na Daleki Wschód wzdłuż wybrzeży Afryki. Tuż przed zakończeniem badań kierownik ekspedycji zawiadomi ambasadora Dobrowolskiego o planowanym terminie powrotu, ten zaś poinformuje o nim kapitana frachtowca, który ponownie weźmie na pokład członków wyprawy oraz zebrane przez nich próbki.

— Całe lato! — wykrzykiwał Iwanów, zakładając palto z futrzanym kołnierzem i futrzaną czapkę. — Stracę całe lato! A w dodatku tam będzie akurat pora deszczowa!

Następnego ranka Cat Shannon i Kurt Semmler zjawili się na pokładzie statku u kapitana Alessandra Spinettiego. Był to sękaty stary mężczyzna o twarzy przypominającej łupinę włoskiego orzecha. Ubrany był w bawełnianą koszulkę opiętą na wciąż jeszcze potężnej piersi i białą czapkę na bakier.

Negocjacje zaczęły się od razu, jeszcze zanim dotarli do biura prawnika, niejakiego Giulia Pontiego, którego kancelaria adwokacka mieściła się przy jednej z wąskich, pnących się w górę przecznic ruchliwej i cieszącej się złą sławą Via Gramschi. Należy jednak oddać signor Pontiemu, że kancelaria znajdowała się bliżej eleganckiego końca ulicy i że w tej okolicy prostytutki przesiadujące całe dnie i noce w barach były znacznie bardziej zadbane i droższe niż gdzie indziej.

We Włoszech wszystko, co jest w jakikolwiek sposób związane z prawem, porusza się z prędkością ślimaka, i to w dodatku dotkniętego ciężkim artretyzmem.

Najszybciej dogadano się co do ceny. Posługując się Waldenbergiem jako tłumaczem, kapitan Spinetti zgodził się na warunki zaproponowane przez Shannona: 26 000 funtów w gotówce, w dowolnej walucie, płatne w kraju wskazanym przez kapitana; co najmniej półroczny kontrakt dla pierwszego oficera, który miał zostać nowym dowódcą statku, za podwójną pensję; możliwość półrocznego zatrudnienia mechanika pokładowego i marynarza na dotychczasowych warunkach lub odprawa w wysokości 500 funtów dla marynarza i 1000 dla mechanika.

W głębi duszy Shannon postanowił nakłonić marynarza do odejścia, a jednocześnie zrobić co można, aby zatrzymać mechanika, gburowatego Serba, który — według słów Waldenberga — był niezastąpiony w utrzymywaniu na chodzie starego silnika, który mało mówił i nie zadawał żadnych pytań, który miał chyba coś nie w porządku w dokumentach i dlatego najprawdopodobniej przystanie na proponowane warunki.

Ze względu na podatki kapitan Spinetti już dawno temu poświęcił 100 funtów i założył małą prywatną firmę Spinetti Maritimo. Spółka ta wypuściła sto zwykłych akcji, z których dziewięćdziesiąt dziewięć posiadał Spinetti, jedną zaś signor Ponti, pełniący jednocześnie obowiązki sekretarza. Sprzedaż Toskanii, jedyne aktywu spółki, oznaczała jednocześnie sprzedaż Spinetti Maritimo, co bardzo odpowiadało Shannonowi.

Zdecydowanie mniej odpowiadało mu to, że wszystkie szczegóły zostały ustalone dopiero po pięciu dniach dyskusji z prawnikiem i dopiero pod koniec pierwszego tygodnia maja, a trzydziestego pierwszego dnia na studniowym kalendarzu Shannona, signor Ponti przystąpił do spisywania ostatecznej umowy. Ponieważ transakcji dokonywano we Włoszech, Toskania zaś była włoskim statkiem, umowa musiała zostać sporządzona zgodnie z tutejszym prawem, które należy do najbardziej skomplikowanych na świecie. Właściwie składała się z trzech oddzielnych umów: jedna dotyczyła sprzedaży Spinetti Maritimo wraz ze wszystkimi aktywami firmie Tyrone Holdings z Luksemburga, druga była raczej kontraktem, na mocy którego Carl Waldenberg został na pół roku kapitanem statku Toskania, trzecia wreszcie gwarantowała dwóm pozostałym członkom załogi możliwość zachowania pracy lub otrzymanie wysokich odpraw. Ostateczne przygotowanie dokumentów pochłonęło jeszcze cztery dni. Z zachowania Pontiego można było wysnuć wniosek, że prawnik bije wszelkie rekordy prędkości, choć strony zawierające umowę nie mogły już się doczekać końca formalności.

Janni Dupree był w pełni zadowolony z życia, kiedy pięknego majowego ranka wyszedł ze sklepu z artykułami turystycznymi. Złożył ostatecznie zamówienie, zostawił zaliczkę za chlebaki i śpiwory. Obiecano mu, że towar zostanie dostarczony następnego dnia, a jeszcze tego popołudnia zamierzał odebrać z magazynu we wschodnim Londynie dwa wielkie pudła wojskowych plecaków i beretów.

Do Tulonu wysłał już trzy transporty. Pierwszy z nich powinien już dotrzeć na miejsce, dwa następne przypuszczalnie były jeszcze w drodze. Czwarty zostanie przygotowany i przekazany firmie przewozowej jutro po południu. A więc wykonał zadanie tydzień przed terminem. Wczoraj dostał list od Shannona, w którym Cat polecił mu zwolnić londyńskie mieszkanko, 15 maja polecieć do Marsylii, zameldować się we wskazanym hotelu i czekać, aż ktoś nawiąże z nim kontakt. Janni lubił precyzyjne instrukcje; prawie wykluczały możliwość popełnienia pomyłki, dzięki czemu nikt go nie obwini za ewentualne niepowodzenie. Kupił już bilet i z niecierpliwością czekał na koniec tygodnia, żeby wyruszyć w drogę. Dobrze było wrócić do akcji.

Kiedy signor Ponti wreszcie przygotował potrzebne dokumenty, Cat Shannon wysłał z hotelu kilka listów. W pierwszym informował Johanna Schlinkera, że amunicja zostanie wywieziona z Hiszpanii na pokładzie statku Toskania należącego do Spinetti Maritimo z Genui oraz że oczekuje wiadomości o oficjalnym porcie przeznaczenia amunicji, by kapitan mógł wpisać je do odpowiednich dokumentów.

Shannon przekazał w liście wszystkie dane Toskanii, które uzyskał z rejestru Lloyda, gdzie statek figurował, oraz informował Schlinkera, że skontaktuje się z nim w ciągu najbliższych piętnastu dni.

Drugi list został wysłany do Alana Bakera, który także musiał jugosłowiańskim władzom podać nazwę statku, aby uzyskać zezwolenie na wywóz broni za granicę. Shannon wiedział już, że na zezwoleniu jako port przeznaczenia będzie figurowało Lome, stolica Togo.

Najdłuższy list napisał do pana Steina, prezesa rady nadzorczej Tyrone Holdings. Prosił go o zwołanie za cztery dni posiedzenia zarządu, z porządkiem obrad składającym się z dwóch punktów. Pierwszym był zakup za 26000 funtów Spinetti Maritimo wraz ze wszystkimi jej aktywami, drugim zaś emisja 26000 imiennych akcji w cenie 1 funta za sztukę, wystawionych na nazwisko Keith Brown.

Wysłał także dwa telegramy: do Marca Vlaminka z wiadomością, że przejęcie ładunku w Ostendzie musi zostać przesunięte na 20 maja, oraz do Langarottiego z informacją o zmianie terminu spotkania w Paryżu. Wyzначył je na 19 maja.

Ostatni list był skierowany do Simona Endeana w Londynie. Shannon prosił w nim o spotkanie za cztery dni w Luksemburgu oraz o przygotowanie na tę właśnie okazję sumy 26000 funtów, niezbędnej, aby sfinalizować zakup statku, który dowiezie oddział uderzeniowy na miejsce akcji.

Wieczorem 13 maja na wybrzeżu tego samego morza, tyle że kilkaset kilometrów na zachód od Genui, Jean-Baptiste Langarotti jechał furgonetką do Tulu. Opuścił szybę, by móc wdychać zapach iglastych krzewów porastających wzgórze po prawej stronie drogi. Podobnie jak w Londynie Dupree, szykujący się właśnie do podróży do Marsylii, i jak Vlamink w Ostendzie, kończący pracę przy piątą i zarazem ostatnią beczce po oleju, Langarotti był z siebie bardzo zadowolony.

W furgonetce leżały dwa przyczepne silniki, kupione za gotówkę i wyposażone w podwodne układy wydechowe zapewniające bezgłośną pracę. Langarotti wiozł je do firmy spedycyjnej w Tulonie. W jej magazynie przy nabrzeżu Duphot znajdowały się już trzy czarne pneumatyczne łodzie, jeden silnik oraz cztery wielkie skrzynie z odzieżą, które nadeszły z Londynu w ciągu minionych dwóch tygodni. Tak jak Janni Dupree, on także zdążył ze wszystkim na czas.

Wielka szkoda, że musiał zrezygnować z bardzo wygodnego hotelu, ale trzy dni temu przypadkowo spotkał tam jednego ze starych przyjaciół ze świata przestępczego. Nazajutrz z samego rana zwolnił pokój. Mieszkał teraz gdzie indziej, ale nie mógł podać Shannonowi nowego adresu, ponieważ nie wiedział, gdzie szukać szefa. Nic nie szkodzi. Przecież już za czterdzieści osiem godzin, 15 maja, spotka się z nim w paryskim hotelu Plaza-Surene.

Zebrań, które odbyło się w Luksemburgu 14 maja, trwało zadziwiająco krótko. Shannon nie brał w nim udziału. Rano tego dnia odebrał od Endeana 26 000 funtów, a tuż przed rozpoczęciem zebrania przyszedł do gabinetu Steina i wręczył prawnikowi dokumenty dotyczące sprzedaży Spinetti Maritimo wraz z należącą do niej Toskanią, oraz potwierdzony czek na 26000 funtów, wystawiony na Tyrone Holdings SA.

Pół godziny później Stein opuścił zebranie, by przekazać Shannonowi kolejne 26000 akcji Tyrone Holdings. Pokazał mu także kopertę zawierającą potwierdzenie dokonania transakcji zakupu przez Tyrone włoskiej spółki oraz statku, a także czek wystawiony na Alessandra Spinettiego. Następnie zakleił kopertę, zaadresował do Giulia Pontiego w Genui i wręczył list Shannonowi. Ostatnim dokumentem, jaki Shannon otrzymał od prawnika, była decyzja zarządu spółki o mianowaniu Hen Kurta Semmlera dyrektorem Spinetti Maritimo.

Dwa dni później w gabinecie włoskiego prawnika doszło do sfinalizowania transakcji. Tyrone Holdings stała się legalnym właścicielem 100 procent akcji Spinetti Maritimo, a signor Ponti przesłał listem poleconym do Luksemburga oryginał umowy potwierdzającej ten fakt. Przyjął także od Shannona na przechowanie mały pakunek, który umieścił w swoim sejfie. Irlandczyk pozostawił wzór podpisu — naturalnie jako Keith Brown — na wypadek, gdyby miał przekazać drogą listowną jakieś instrukcje dotyczące dalszych losów pakunku. Ponti nie miał pojęcia o tym, że paczuszka zawiera 26994 akcje Tyrone Holdings.

Carl Wandenberg otrzymał stanowisko kapitana oraz sześciomiesięczny kontrakt; kontrakt zaproponowano także serbskiemu mechanikowi. Każdemu z nich wypłacono z góry miesięczne

wynagrodzenie, pozostałe pieniądze zaś zostały zdeponowane u signor Pontiego.

Włoski marynarz chętnie zrezygnował z pracy w zamian za odprawę w wysokości 500 funtów i dodatkowe 100 funtów premii. Semmler został dyrektorem firmy.

Shannon otrzymał przekazem z Brugii kolejne 5000 funtów, które w znacznej części przeznaczył na pensje tych członków załogi, którzy pozostali na pokładzie Toskanii. 18 maja, przed wyjazdem z Genui, wręczył to, co zostało, Semmlerowi.

— Co z uzupełnieniem składu załogi?

— Waldenberg już się tym zajął — odparł Semmler. — W tym porcie roi się od odpowiednich kandydatów, a on zna środowisko i wie, czego potrzebujemy: doświadczonych marynarzy, którzy nie zadają zbędnych pytań i robią to, co im się każe, gdy wiedzą, że mogą liczyć na sporą forszę. Nie obawiaj się, najdalej do końca tygodnia na pewno znajdzie odpowiednich ludzi.

— To dobrze. A teraz powiem ci, co masz zrobić: przygotuj Toskanię do wyjścia w morze. Silnik ma być sprawny, opłaty uiszczono, papiery w porządku, wystawione na nowego kapitana. Płyniecie do Tulonu po towar przeznaczony dla Maroka. Napełnij zbiorniki paliwem i skompletuj zapasy. Weź prowiant dla załogi i dla dodatkowych dwunastu ludzi. Więcej słodkiej wody, piwa, wina i papierosów. Kiedy wszystko będzie gotowe, popłyniecie do Tulonu. Powinniście dotrzeć tam najpóźniej 1 czerwca. Będę na was czekał z Markiem, Jean-Baptiste'em i Jannim. Skontaktujesz się ze mną za pośrednictwem firmy spedycyjnej Agence Maritime Duphot. Mają siedzibę na terenie portu. Powodzenia.

03.Psy Wojny

9

To, że Jean-Baptiste Langarotti jeszcze cieszył się życiem, zawdzięczał w dużej mierze dodatkowemu zmysłowi, który zawczasu ostrzegał go o czyhającym niebezpieczeństwie. 15 maja przyszedł o umówionej porze do Plaza-Surene, usiadł w barze dla gości hotelowych i czekając na Shannona pograżył się w lekturze jakiegoś czasopisma. Czekał dwie godziny, ale Shannon nie przyszedł.

Korsykanin zapytał w recepcji o monsieur Browna z Londynu, ale okazało się, że nie ma go wśród gości hotelowych. Doszedł więc do wniosku, że Shannona musiało coś zatrzymać i że zjawi się w umówionym miejscu nazajutrz o tej samej godzinie.

16 maja Jean-Baptiste znowu usiadł w hotelowym barze. Nigdzie nie dostrzegł Shannona, ale za to zauważył kogoś innego: do baru dwukrotnie zaglądał jeden z pracowników hotelu i za każdym razem wycofywał się pośpiesznie, napotkawszy spojrzenie Langarottiego. Kiedy minęły dwie godziny, a Shannon wciąż się nie pojawiał, Korsykanin wyszedł z hotelu. Na ulicy jego uwagę zwrócił nieznajomy mężczyzna, wpatrujący się z nadzwyczajną uwagą w wystawę sklepu z damską bielizną. Człowiek ów sterczał nieruchomo przed sklepem i zupełnie nie pasował do krajobrazu spokojnej bocznej uliczki skąpanej w promieniach wiosennego słońca.

Następne 24 godziny Korsykanin spędził na dyskretnym zbieraniu informacji kręcąc się po barach, w których bywali francuscy najemnicy, i wykorzystując stare znajomości ze Związku Korsykańskiego, silnej organizacji działającej w paryskim świecie przestępczym. Codziennie rano zaglądał wszakże do hotelu Plaza-Surene; 19 maja zastał tam Shannona.

Irlandczyk przyleciał poprzedniego dnia samolotem z Genui i spędził noc w hotelu. Był w bardzo dobrym nastroju. Zaczekał, aż kelner przyniesie kawę, po czym poinformował kolegę, że udało mu się kupić odpowiedni statek.

— Żadnych problemów? — zapytał Langarotti. Shannon potrząsnął głową.

— Żadnych.

— A tutaj, w Paryżu, mamy pewien problem.

Mały Korsykanin nie mógł w publicznym miejscu zabawiać się ostrzeniem noża, więc trzymał ręce nieruchomo na kolanach. Shannon odstawił filiżankę. Wiedział, że jeśli Langarotti mówi o problemach, to oznacza to poważne kłopoty.

— No? — zapytał cicho.

— Ktoś polecił cię sprzątnąć.

Przy stoliku zapadła cisza. Shannon zastanawiał się nad otrzymaną wiadomością. Langarotti nie przeszkadzał mu; zwykle mówił tylko wtedy, gdy go o coś zapytano.

— Kto taki? — zapytał wreszcie Shannon.

— Nie wiem. Nie wiem też, kto się tego podjął, ale cena jest wysoka. Około pięciu tysięcy dolarów.

— Od kiedy?

— Mniej więcej od sześciu tygodni. Nie wiadomo, czy usługę zamówił ktoś podstawiony, czy ten, komu rzeczywiście zależy na twojej śmierci. Wszyscy uważają, że takiej roboty mógłby się podjąć tylko naprawdę dobry fachowiec albo zupełny dureń, ale ktoś jednak się jej podjął. Pytano o

ciebie.

Shannon zaklął cicho. Nie wątpił w informacje Langarottiego. Korsykanin był człowiekiem zbyt ostrożnym, żeby opierać się na mało wiarygodnych źródłach. Shannon myślał intensywnie, grzebał w pamięci usiłując zgadnąć, co mogło skłonić kogoś do wydania na niego wyroku śmierci. Kłopot polegał na tym, że powodów można by było znaleźć całe mnóstwo, a on o większości i tak nie miałby zielonego pojęcia. Zaczął więc po kolei analizować kolejne ewentualności. Wyrok mógł mieć coś wspólnego z bieżącą operacją albo z jakimś wydarzeniem z przeszłości. Najpierw zajął się pierwszą możliwością.

Czyżby nastąpił przeciek? Czyżby jakaś rządowa agencja otrzymała od wywiadu informację o zamachu stanu przygotowywanym w jednym z afrykańskich państw i postanowiła nie dopuścić do niego, likwidując dowódcę operacji? A może sir James Manson dowiedział się o erotycznych szaleństwach swego ukochanego jagniątko, oczywiście o ile można tak nazwać tę doświadczoną w tych sprawach Lolitę? Żadna z tych możliwości nie wydawała się Shannonowi prawdopodobna. Raczej należało przypuszczać, że naraził się komuś z mrocznego światka handlarzy bronią — komuś, kto postanowił, pozostając samemu w cieniu, załatwić sprawę raz na zawsze. Jednak nie przypominał sobie żadnego nieporozumienia, kłótni o pieniądze, oskarżeń i gróźb; nic takiego nie miało miejsca.

Shannon cofnął się pamięcią jeszcze dalej w przeszłość, do operacji, w których brał udział dawniej. Nigdy nie było wiadomo, czy uczestnicząc w którejs z nich, człowiek nieświadomie nie naraża się jakiejś wielkiej wpływowej organizacji. Kto wie, czy któryś z zabitych przez niego ludzi nie był tajnym agentem CIA albo KGB? Obie agencje były bardzo pamiętliwe, a ponieważ należeli do nich ludzie bez żadnych zasad moralnych, często wyrównywano tu rachunki z czystej zemsty, bez żadnego racjonalnego motywu. Shannon doskonale wiedział o wyroku śmierci wydanym przez CIA na Bruce'a Rossitera, który w barze w Leopoldville zastrzelił kiedyś pewnego Amerykanina tylko za to, że tamten zbyt natarczywie mu się przyglądał. Okazało się, że człowiek ów był jednym z miejscowych współpracowników CIA, choć Rossiter w chwili zabójstwa nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Ignorancji nie uznano jednak za okoliczność łagodzącą. Wyrok nie został odwołany i Rossiter wciąż musiał się ukrywać.

KGB wcale nie był lepszy. Rozsyłał po całym świecie zabójców mających za zadanie likwidować obcych agentów, którzy przenikali do jego szeregów, a następnie wracali na Zachód i ujawniali zdobyte wiadomości. Rosjan w najmniejszym stopniu nie interesowało, czy ludzie ci dysponują jeszcze jakimiś informacjami, czy nie. Zależało im wyłącznie na zemście.

Były jeszcze francuska SDECE i brytyjska SIS. W ciągu minionych dwóch lat Francuzi mogli go zgładzić co najmniej sto razy, i to w afrykańskiej dżungli. Poza tym z pewnością nie posługiwaliby się człowiekiem z zewnątrz, w dodatku zamieszkałym w Paryżu, gdyż groziło to przeciekiem. Mieli własnych znakomitych fachowców. Udział Brytyjczyków wydawał się jeszcze mniej prawdopodobny. Ściśle przestrzegali litery prawa i za każdym razem, kiedy planowali przedsięwzięcie wyjątkowo drastycznych środków, musieli uzyskać zgodę rządu, a poza tym uciekali się do takich środków jedynie w sytuacji największego zagrożenia — aby nie dopuścić do brzemiennej w skutki zdrady — czasem, żeby zademonstrować komu trzeba, jak wiele może stracić rezygnując ze współpracy z nimi, lub żeby wyrównać rachunki za zabójstwo jednego ze swoich ludzi. Shannon był całkowicie pewien, że nigdy nie zastrzelił żadnego funkcjonariusza SIS, więc może chodziło o uniknięcie kompromitacji? Owszem, Rosjanie i Francuzi mogli zabić z tego powodu, ale nie Anglicy. Przecież pozostawili przy życiu Stephena Warda, którego proces o mało nie doprowadził do upadku rządu Macmillana, nie tknęli także palcem Philby'ego i Blake'a. We Francji lub Rosji obaj zdrajcy z pewnością powiększyliby już liczbę ofiar tragicznych wypadków

drogowych.

Pozostały prywatne organizacje. Związek Korsykański? Na pewno nie, bo wtedy nie byłoby z nim Langarottiego. O ile wiedział, nigdy nie wszedł w drogę mafii. Skoro więc nie była to ani rządowa agencja, ani prywatna organizacja, musiała to być jakaś prywata, człowiek żywiący do niego urazę. Ale kto to mógł być, na litość boską?

Langarotti obserwował go w milczeniu, czekając na jego reakcję.

— Wiedzą, że jestem w Paryżu? — zapytał Shannon, starając się nadać głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie.

— Chyba tak. Zdaje się, że znają nawet nazwę hotelu. Zawsze się tu zatrzymujesz. To błąd. Byłem tu cztery dni temu, tak jak się umówiliśmy...

— Nie dostałeś listu? Napisałem ci, że spotkamy się cztery dni później.

— Nie. Tydzień temu musiałem zmienić hotel w Marsylii.

— Aha. Dobra, mów dalej.

— Za drugim razem zauważyłem, że ktoś obserwuje główne wejście. Wcześniej zapytałem w recepcji o pana Browna, więc przypuszczam, że mają kogoś wśród personelu. Ten sam człowiek kręcił się tu wczoraj i dzisiaj.

— W takim razie przeniosę się do innego hotelu.

— Może uda ci się go zgubić, a może nie. Oni już wiedzą, że nazywasz się Keith Brown, więc prędzej czy później na pewno cię znajdą. Jak długo musisz teraz siedzieć w Paryżu?

— Dość długo — odparł Shannon. — Będę tu tylko wpadał. Za dwa dni będziemy wieźć z Belgii towar Marca.

Langarotti wzruszył ramionami.

— Na razie im się wymkniesz. Nie wiemy jednak, co potrafią, ilu ich jest ani co to za jedni. Mogą na ciebie trafić, a wtedy zaczną się kłopoty. Kto wie, czy nawet nie z policją.

— Nie mogę sobie na to pozwolić. Przynajmniej teraz, kiedy Marc będzie tu się kręcił z ciężarówką pełną schmeisserów.

Shannon był zwolennikiem rozsądnych rozwiązań. Najchętniej dogadałby się z tym, kto z niewiadomych przyczyn postanowił go zgładzić, ale ów człowiek, kimkolwiek był, wybrał inną drogę. Cat i tak wolałby z nim porozmawiać, ale przecież musiał wiedzieć, z kim ma do czynienia. Istniał tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć: ująć zabójcę, który podjął się wykonania zadania. Powiedział to Langarottiemu.

Korsykanin skinął głową.

— Tak, mon ami. Myślę, że masz rację. Musimy złapać mordercę. Trzeba go wykiwać.

— Pomożesz mi, Jean-Baptiste?

— Jasne — odparł Langarotti. — Ktokolwiek to jest, na pewno nie należy do Związku. Pomogę ci.

Rozłożyli na stoliku plan Paryża i spędzili nad nim prawie godzinę. Potem Langarotti wyszedł z hotelu, by zaparkować w ustalonym miejscu swoją furgonetkę z marsylskimi tablicami rejestracyjnymi. Późnym popołudniem Shannon zapytał w recepcji o drogę do odległej mniej więcej o półtora kilometra, bardzo znanej restauracji. Postarał się, aby rozmowę usłyszał pracownik, którego opisał Langarotti. Recepcjonista wyjaśnił mu, jak najłatwiej trafić do restauracji.

— Czy dojdę tam na piechotę? — zapytał Shannon.

— Naturalnie, monsieur. To kwadrans, a najwyżej dwadzieścia minut stąd.

Shannon podziękował, po czym zadzwonił do lokalu z aparatu stojącego na kontuarze hotelowym i zamówił stolik na dziesiątą wieczorem.

Dokładnie za dwadzieścia dziesiąta pojawił się w holu z niewielką torbą i przewieszonym przez ramię płaszczem, wyszedł i skierował się ku restauracji. Skręcił jednak w uliczkę jeszcze węższą niż ta, przy której stał hotel, i zagłębił się w gąszcz słabo oświetlonych, wyludnionych zaułków pierwszej dzielnicy. Tam zwolnił kroku, pokręcił się trochę, dopóki nie minęła dziesiąta, godzina, na którą miał zarezerwowany stolik. Ani razu nie obejrzał się za siebie. Kilkakrotnie wydawało mu się, że słyszy czyjeś ostrożne kroki; na pewno nie był to Langarotti, gdyż Korsykanin potrafił poruszać się bezszelestnie jak kot.

Kilka minut po jedenastej dotarł do pogrążonej w ciemności ślepej uliczki. Po obu jej stronach wznosiły się wysokie ściany bez okien. Nie było tu ani jednej latarni, a blask tych, które świeciły na sąsiedniej ulicy, zasłaniała duża furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami zaparkowana u wylotu zaułka. Shannon ruszył szybkim krokiem w kierunku samochodu, a dotarwszy do niego odwrócił się gwałtownie.

Jak większość ludzi przywykłych do walki wolał stanąć z niebezpieczeństwem twarzą w twarz. Przekonał się już wielokrotnie na własnej skórze, że nawet wycofując się, lepiej jest mieć na oku źródło zagrożenia. O ile, oczywiście, ma się na to czas. Kiedy szedł uliczką w kierunku furgonetki, włos mu się jeżył na głowie. Jeśli jego psychologiczne teorie były błędne, już mógł się uważać za nieboszczyka. Miał jednak rację. Na zupełnie pustych uliczkach śledzący go człowiek pozostał daleko z tyłu, czekając na dogodną okazję — taką, jaka nadarzyła się właśnie teraz, gdy Shannon dotarł do furgonetki.

Rzucił na ziemię płaszcz i torbę, po czym spojrzał na przygarbiony cień skradający się ciemną alejką. Cekał cierpliwie. Miał nadzieję, że wszystko rozegra się bez hałasu. Cień się zatrzymał, prawdopodobnie morderca chciał się zorientować w sytuacji i upewnić, czy Shannon nie ma broni, ale widok furgonetki dodał mu pewności siebie. Uznał, że jego ofiara zaparkowała samochód z dala od hotelu, by nie rzucił się za bardzo w oczy.

Napastnik ruszył powoli naprzód. W wyciągniętej ręce trzymał jakiś ciemny przedmiot. Jego twarz okrywał głęboki cień, był tylko czarną sylwetką poruszającą się w mroku, ale nie ulegało wątpliwości, że to kawał chłopa. Nagle zatrzymał się na środku brukowanej alejki, uniósł broń, wycelował, ale powoli opuścił wyprostowane ramię, jakby nagle zmienił zamiar.

Z twarzą wciąż zwróconą do Shannona, mężczyzna pochylił się i opadł na kolana. Niektórzy strzelcy czynią to, aby osiągnąć lepszą celność strzału. Zaraz potem odchrząknął, pochylił się jeszcze bardziej i oparł ręce na bruku. Rozległ się metaliczny odgłos, kiedy colt kalibru 45 upadł na kamienie. Powoli, niczym muzułmanin bijący pokłony w kierunku Mekki, rewolwerowiec pochylił głowę, po raz pierwszy od co najmniej dwudziestu sekund odwracając spojrzenie od Shannona. W nocnej ciszy rozległ się chlupoczący odgłos, jakby na bruk popłynęła strużka jakiejś cieczy, po czym niedoszły zabójca runął twarzą naprzód w kałużę własnej krwi i znieruchomiał w niej jak dziecko ułożone do snu.

Shannon nadal stał nieruchomo, oparty o drzwi furgonetki.

.Przyćmiony blask z drugiego końca alejki padł na lśniąca rękojeść noża sterczącą z pleców mężczyzny nieco na lewo od kręgosłupa, między czwartym a piątym żebrzem.

Cat podniósł wzrok. Miejsce potężnej sylwetki rewolwerowca zajęła inna, drobna i nieruchoma. Langarotti stał jeszcze przez chwilę piętnaście metrów od trupa, w miejscu, z którego wykonał śmiertelny rzut. Dopiero kiedy Shannon gwizdnął cicho, Korsykanin bezszelestnie ruszył ku niemu.

— Bałem się, że będzie za późno — powiedział Shannon.

— Non. Przez cały czas, kiedy cię śledził, nie miał okazji, żeby nacisnąć spust.

W furgonetce leżała już wielka płachta grubej folii, a pod nią kawał płótna i sznury. W głębi było

ich więcej, a także worek wypełniony cegłami i kamieniami. Mężczyźni chwycili ciało za ręce i nogi, po czym rozbujali je i wrzucili do środka. Langarotti wskoczył za zwłokami, aby odzyskać nóż, Shannon zaś zatrzasnął drzwi. Korsykanin natychmiast zablokował je od wewnątrz.

W chwilę potem Langarotti przedostał się na fotel kierowcy, uruchomił silnik i cofnął samochód w alejkę. Zanim odjechał, Shannon podszedł do drzwiczek.

— Przyjrzałeś mu się?

— Jasne.

— Znasz go?

— Tak. Nazywał się Raymond Thomard. Był kiedyś w Kongu, ale bardzo krótko. Raczej mieszczuch. Zawodowy morderca, ale marnej klasy. Na pewno żaden z tych, których wynajmują wielkie szchy. Przypuszczam, że pracował dla swojego szefa.

— To znaczy?

— Dla Charles'a Roux. Shannon zaklął pod nosem.

— Ten cholerny, przeklęty, zarozumiały dureń! Spieprzyłby nam całą robotę tylko dlatego, że go do niej nie zaprosiliśmy!

Umilkł i zamyślił się głęboko. Należało dać Roux nauczkę, która raz na zawsze oduczy go interesować się cudzymi sprawami.

— Pośpiesz się — ponaglił go Langarotti. Silnik furgonetki przez cały czas pracował na wolnych obrotach. — Chcę go położyć spać, zanim ktoś się napatoczy.

Shannon wreszcie podjął decyzję. Wyjaśnienie szczegółów zajęło mu kilka sekund.

Korsykanin skinął głową.

— Dobra. To mi się podoba. Popamięta po wsze czasy, drań. Ale to będzie kosztowało pięć tysięcy franków ekstra.

— W porządku — odparł Cat. — Jedź już. Za trzy godziny spotkamy się przy zejściu do stacji Porte de la Chapelle.

Spotkali się z Markiem Vlaminciem na lunchu w małym miasteczku Dinant położonym w południowej Belgii. Shannon zadzwonił do Vlaminka dzień wcześniej i podał mu miejsce oraz przewidywany czas spotkania. Rano Marc pocałował Annę na do widzenia, ona zaś wręczyła mu zgrabnie spakowaną walizkę i pudełko z połówką chleba, z masłem i sporym kawałkiem sera. Jak zwykle przykazała mu, żeby uważał na siebie.

Jadąc przez Belgię ciężarówką z pięcioma beczkami po oleju, wypełnionymi pistoletami maszynowymi i magazynkami, nie miał najmniejszych kłopotów z policją. Bo i dlaczego miałby je mieć? Jego prawo jazdy, dowód rejestracyjny ciężarówki oraz ubezpieczenie były w całkowitym porządku.

— Kiedy przekroczymy granicę? — zapytał Shannon, kiedy we trzech zasiedli do posiłku w barze przy głównej ulicy miasteczka.

— Jutro rano, tuż przed wschodem słońca. Wtedy jest najspokojniej. Spaliście ostatniej nocy?

— Nie.

— Więc lepiej trochę odpocznijcie — poradził im Vlaminck. — Będę miał oko na obie ciężarówki. Obudzę was około północy.

Charles Roux także był bardzo zmęczony. Przez cały miniony wieczór, a dokładniej od chwili, kiedy otrzymał od Henriego Alaina wiadomość o tym, że Shannon wyszedł na kolację do restauracji, czekał na nowe wieści. Żadne jednak nie nadeszły — ani o północy, kiedy Raymond Thomard powinien zadzwonić z meldunkiem, że już po wszystkim, ani o trzeciej nad ranem, ani o wschodzie słońca.

Roux był nie ogolony i zdezorientowany. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w równej walce Thomard nie miałby z Shannonem żadnych szans, ale wiedział także, że Irlandczyk miał otrzymać strzał w plecy w jakiejś spokojnej uliczce, w drodze do restauracji.

Późnym rankiem, kiedy Langarotti i Shannon bez żadnych kłopotów wyjeżdżali furgonetką z Belgii na północ od Valenciennes, Roux wreszcie włożył spodnie i koszulę, by zjechać na parter i zajrzeć do skrzynki na listy.

Z pozoru zamek skrzynki — przyśrubowanego do ściany metalowego sześcianu o mniej więcej trzydziestocentymetrowej wysokości, dwudziestocentymetrowej szerokości i takiej samej głębokości — był nienaruszony. Nic nie wskazywało na to, że ktoś przy nim majstrował, choć dla dobrego fachowca z pewnością byłby to drobiazg.

Roux włożył klucz, przekręcił go i otworzył drzwiczki.

Przez jakieś dziesięć sekund stał jak sparaliżowany. O tym, że coś jest nie w porządku, świadczył jedynie kolor jego twarzy, który z mocno różowego przeszedł w popielatoszary. Potem Roux, nadal nie wykonując najmniejszego ruchu, zaczął mamrotać pod nosem *Mon Dieu, o mon Dieu...* zupełnie, jakby było to jakieś zaklęcie. Zrobiło mu się niedobrze. Czuł się tak, jak kiedyś w Afryce, kiedy kongijscy żołnierze sprawdzali jego tożsamość, podczas gdy on leżał na noszach spowity bandażami. John Peters przemycił go wtedy za granicę i uratował przed pewną śmiercią. Chciał oddać mocz i rzucić się do ucieczki, ale mógł tylko pocić się ze strachu.

W skrzynce na listy leżała głowa Raymonda Thomarda. Oczy wpatrywały się w niego smutnym spojrzeniem spod na wpół przymkniętych powiek.

Roux nie był nadmiernie wrażliwy, z całą pewnością nie należał też do zanadto odważnych. Zamknął skrzynkę, wrócił do mieszkania i otworzył butelkę brandy, oczywiście wyłącznie w celach leczniczych.

Potrzebował bardzo długiego leczenia.

W Belgradzie Alan Baker wyszedł na zalaną słonecznym blaskiem ulicę z biura firmy zajmującej się sprzedażą uzbrojenia. Otrzymałszy od Shannona czek na 7200 dolarów oraz świadectwo końcowego użytkownika, udał się natychmiast do prywatnego handlarza bronią, z którym już kiedyś robił interesy. Podobnie jak Schlinker, także i ten człowiek twierdził zrazu, że transakcja jest za mała, aby warto było zawracać sobie nią głowę, ale w końcu uległ argumentom Bakera: jeśli nabywcy będą zadowoleni z pierwszej dostawy, z pewnością złożą potem znacznie większe zamówienie. Dał więc Bakerowi pełnomocnictwo upoważniające go do podpisania umowy z państwowym dostawcą broni. Baker natychmiast poleciał do Belgradu. Miał przy sobie także togijskie świadectwo końcowego użytkownika ze wstawionymi odpowiednimi nazwiskami. Ponieważ działał teraz jako przedstawiciel jugosłowiańskiego handlarza, będzie musiał podzielić się z nim swoim zyskiem. Ale był to jedyny sposób, żeby załatwić sprawę, a w dodatku mógł sobie pozwolić na pewne straty, bo gdy w grę wchodziły niewielkie sumy, doliczał sobie 100 procent prowizji.

Prowadzone przez pięć dni rozmowy z panem Pavlovicem okazały się nad wyraz owocne i doprowadziły do wizyty w państwowym magazynie broni, gdzie Baker wybrał dwa moździerze i dwie bazooki. Standardową amunicję dostarczano w skrzyniach zawierających po dwadzieścia pocisków do bazook lub dziesięć granatów moździerzowych.

Jugosłowianie bez zastrzeżeń przyjęli togijskie zaświadczenie, i choć i Baker, i licencjonowany handlarz bronią, i Pavlovic zdawali sobie sprawę, że jest to tylko świstek papieru, wszyscy udawali, iż wierzą, że rząd Togo jest zainteresowany zakupem nowych rodzajów broni w celu jej przetestowania. Pavlovic także zażądał zapłaty z góry, w związku z czym Baker musiał dać mu

wszystko, co zostało z 7200 dolarów Shannona, a nawet dopłacić tysiąc z własnych pieniędzy. Uczynił to bez wahania, ponieważ był pewien, że Shannon przekaże mu następne 7200 dolarów, to znaczy, że jemu, Bakerowi, zostanie na czysto 4000 dolarów, i to po podzieleniu się zyskiem z licencjonowanym handlarzem.

Podczas dzisiejszych porannych rozmów uzyskał zapewnienie, że broń otrzyma zezwolenie na wywóz za granicę i że zostanie dostarczona wojskowym transportem do magazynu w porcie Ploce, w pobliżu wypoczynkowych miejscowości Dubrownik i Split.

Tam właśnie po 10 czerwca powinna zawinąć Toskania, aby zabrać ładunek na pokład. Zadowolony z siebie Baker pojechał na lotnisko, gdzie wsiadł do pierwszego samolotu odlatującego do Monachium i Hamburga.

Tego samego ranka, 20 maja, Johann Schlinker przebywał w Madrycie. Miesiąc wcześniej przekazał teleksem swemu hiszpańskiemu partnerowi wszystkie szczegóły planowanej transakcji, a później, gdy otrzymał od Shannona 26000 dolarów, natychmiast poleciał do Madrytu z irackim świadectwem końcowego użytkownika.

Formalności okazały się znacznie bardziej skomplikowane od tych, które Alan Baker napotkał w Belgradzie. Okazało się, że są potrzebne dwa podania: jedno o zezwolenie na zakup broni, a drugie na jej wywóz. Podanie w sprawie zakupu zostało złożone przed trzema tygodniami i było rozpatrywane kolejno przez trzy ministerstwa zajmujące się tymi sprawami. Najpierw trafiło do Ministerstwa Finansów, które potwierdziło, że cała należność w wysokości 18 000 dolarów została wpłacona w twardej walucie na wskazane konto bankowe. Jeszcze kilka lat temu za „twardą walutę” uznawano w Hiszpanii wyłącznie dolary, ale ostatnio władze w Madrycie coraz przychylniej spoglądały na niemiecką markę.

Następnie podanie przekazano do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zadanie tego resortu polegało na upewnieniu się, czy państwo nabywające broń nie pozostaje w konflikcie z Hiszpanią. W przypadku Iraku o niczym takim nie było mowy, Hiszpanie sprzedawali Arabom znaczne ilości uzbrojenia i utrzymywali z nimi bardzo bliskie i przyjazne kontakty. Ministerstwo Spraw Zagranicznych bez wahania zaaprobowało Irak jako odbiorcę hiszpańskiej amunicji kalibru 9 mm.

Ostatnie zabrało głos Ministerstwo Obrony, które poproszono o ustalenie, czy broń stanowiąca przedmiot transakcji nie znajduje się na liście artykułów objętych zakazem eksportu. Rzecz jasna, w przypadku zwykłej amunicji do broni ręcznej nic takiego nie wchodziło w grę.

Mimo że wszystko było w całkowitym porządku, przez osiemnaście dni podanie przechodziło przez biurka w trzech ministerstwach, obrastając po drodze mnóstwem zaświadczeń i załączników, aż wreszcie czyjaś dłoń odcisnęła na nich ostatnią, aprobującą pieczęć. Zaraz potem skrzynie z amunicją zostały przewiezione z fabryki CETME do wojskowego magazynu położonego na przedmieściach Madrytu. Od tej chwili kontrolę nad nimi przejęło Ministerstwo Spraw Wojskowych, a ściśle rzecz biorąc szef działu eksportu broni, pułkownik Antonio Salazar.

Schlinker przyleciał do Madrytu, aby osobiście złożyć podanie o zgodę na wywóz broni za granicę. Dysponował już szczegółowymi informacjami na temat Toskanii, dzięki czemu mógł bez trudu wypełnić siedmiostronicowy kwestionariusz. Teraz, po powrocie do pokoju w hotelu Mindanao, Niemiec był przekonany, że sprawa zostanie załatwiona szybko i bezboleśnie. Toskania była zupełnie czysta i należała do oficjalnie zarejestrowanego armatora, Spinetti Maritimo, co potwierdzały rejestry Lloyd'a. Zgodnie z danymi, które wpisał do kwestionariusza, statek zawinie do portu w Walencji między 16 a 20 czerwca, weźmie ładunek na pokład i uda się prosto do Latakii na wybrzeżu Syrii, gdzie amunicja zostanie przeładowana na irackie ciężarówki.

Uzyskanie zezwolenia na wywóz nie powinno trwać dłużej niż dwa tygodnie, potem zaś trzeba

będzie jeszcze dostać zgodę na przewóz ładunku z wojskowych magazynów w Madrycie do Walencji. Transport musi eskortować co najmniej dziesięciu żołnierzy z oficerem — ten środek ostrożności, wprowadzony przed trzema laty, miał na celu odstraszenie baskijskich terrorystów.

Przygotowując się do powrotu do Hamburga Schlinker pomyślał, iż jego tutejszy wspólnik ma na tyle dobre kontakty w Ministerstwie Spraw Wojskowych, że jest zupełnie nieprawdopodobne, by skrzynie z amunicją nie znalazły się w wyznaczonym terminie na nabrzeżu portu w Walencji.

W Londynie także odbyło się spotkanie, pozornie nie mające związku ze sprawą. W ciągu minionych trzech tygodni Harold Roberts, nowo mianowany członek rady nadzorczej Bormac Trading Company, urabiał prezesa zarządu, majora Lutona. Kilkakrotnie zaprosił go na lunch, a raz nawet złożył mu wizytę w domu w Guildford. Dwaj mężczyźni bardzo się zaprzyjaźnili.

Roberts dał majorowi jasno do zrozumienia, że po to, by firma znowu zaczęła prosperować — wszystko jedno, czy w produkcji i handlu gumą, czy w jakiejś innej dziedzinie — będzie potrzebny spory zastrzyk kapitału. Major Luton przyznał mu rację. Kiedy Roberts uznał, że nadeszła odpowiednia pora, zaproponował prezesowi zarządu, aby spółka wypuściła dodatkowy pakiet akcji, a konkretnie pół miliona sztuk.

Początkowo major wzdragał się przed podjęciem tak ryzykownej decyzji, ale Roberts zapewnił go, że bank, w którego imieniu występuje, z pewnością znajdzie potrzebną gotówkę. Dodał także, że gdyby część nowo wyemitowanych akcji nie znalazła nabywców wśród starych lub nowych udziałowców, bank Zwingli zakupi je po pełnej cenie rynkowej.

Prezes ustąpił jednak dopiero przed argumentem, że kiedy wiadomość o dodatkowej emisji dotrze na giełdę, akcje przedsiębiorstwa natychmiast pójdą w górę — kto wie, czy nawet nie dwukrotnie. Obecnie ich wartość wynosiła szylinga i trzy pency za sztukę. Major Luton pomyślał o swoich stu tysiącach akcji, po czym wyraził zgodę. Jak często bywa w przypadku osób nie od razu przekonanych do jakiegoś pomysłu, od tej pory bez zastrzeżeń popierał propozycję Roberts'a.

Nowo mianowany członek zarządu zauważył mimochodem, że zgodnie ze statutem spółki do podjęcia wiążącej decyzji wystarczy obecność dwóch członków rady nadzorczej. Jednak życzeniem majora było, aby czterem pozostałym członkom zarządu wysłać listy informujące o konieczności zwołania posiedzenia, na którym będą rozważane bieżące sprawy firmy oraz, być może, kwestia dodatkowej emisji akcji.

W wyznaczonym terminie stawił się jednak tylko jeden, prawnik z Londynu. Uchwała została podjęta większością głosów i natychmiast weszła w życie, ponieważ nie istniała potrzeba organizowania walnego zebrania udziałowców. Aktualni udziałowcy otrzymali prawo pierwszeństwa przy zakupie akcji; wszystkim wysłano stosowne zawiadomienia oraz poproszono ich, by zadeklarowali wielkość pakietów, które zechcą nabyć. W ciągu tygodnia do rąk sekretarza zarządu dotarły zamówienia oraz czeki wystawione na bank Zwingli, podpisane zaś przez panów Adamsa, Balia, Cartera i Daviesa. Każdy z nich postanowił nabyć pięćdziesiąt tysięcy akcji.

Akcje były sprzedawane w pakietach po dwie sztuki, co oznaczało, że za parę trzeba było zapłacić cztery szylingi, czyli trzy razy więcej, niż wynosiła dotychczasowa cena jednej akcji Bormac Trading Company. Była to bardzo mało atrakcyjna oferta, ale dwaj gracze giełdowi z City wyłowili ją wśród powodzi podobnych, ogłaszanych każdego dnia, i zgłosili chęć zakupu, przeczuwając, że może z tego wyniknąć coś interesującego. Nic jednak nie wskórali, gdyż Roberts wcześniej zastrzegł dla banku Zwingli prawo nabycia w imieniu klientów tej instytucji wszystkich akcji, na które nie znajdują się chętni wśród dotychczasowych akcjonariuszy.

Tysiąc akcji kupił jakiś dureń z Walii, trzy tysiące osiemnastu innych, rozproszonych po całym kraju, którzy albo nie potrafili wykonać najprostszego działania arytmetycznego, albo byli

jasnowidzami. Roberts, jako mianowany członek zarządu, nie mógł dokonywać zakupów we własnym imieniu, ponieważ nie był akcjonariuszem, ale 20 maja, kiedy upływał termin składania ofert, udało mu się zdobyć wszystkie 296 000 nie sprzedanych akcji dla banku Zwingli, który z kolei działał w imieniu swoich dwóch klientów, dżentelmenów o nazwiskach Edwards i Frost.

Cała operacja została przeprowadzona bez naruszania obowiązującego prawa. Panowie Adams, Ball, Carter i Davies mieli teraz po 75000 akcji z pierwszego zakupu oraz po 50000 z drugiego, ale ponieważ jednocześnie ogólna liczba akcji wzrosła z jednego do półtora miliona, każdy z nich był właścicielem mniej niż 10 procent całkowitej emisji i mógł zachować anonimowość. Tak samo wyglądała sprawa z panami Edwardsem i Frostem: każdy z nich dysponował 148000 akcji, również mieszcząc się w dziesięcioprocentowym limicie.

Jednak ani opinia publiczna, ani członkowie rady nadzorczej nie mieli pojęcia, że w rzeczywistości właścicielem 796000 akcji Bormac Trading Company jest sir James Manson. Poprzez Martina Thorpe'a Manson kontrolował poczynania banku Zwingli, a bank z kolei, działając w imieniu sześciu poważnych udziałowców i mając w zarządzie spółki swojego człowieka, czyli Harolda Roberta, mógł zrobić z firmą wszystko, na co miał ochotę.

Sir James Manson wydał 60000 funtów na zakup pierwszego pakietu akcji, a potem 100000 na wykupienie drugiej emisji. Gdyby jednak cena akcji wzrosła do przewidywanych 100 funtów za sztukę, co ponad wszelką wątpliwość powinno nastąpić po „przypadkowym” odkryciu Kryształowej Góry w samym środku terenów objętych koncesją przyznaną firmie przez nowe władze Zangaro, czysty zysk wyniósłby około 80 milionów funtów.

Harold Roberts był bardzo zadowolony, kiedy opuścił siedzibę Bormac Trading dowiedziawszy się, ile akcji przypadło w udziale sześciu nabywcom reprezentowanym przez bank Zwingli w Zurychu. Wiedział, że kiedy dostarczy dokumenty doktorowi Martinowi Steinhofowi, będzie na niego czekała spora premia. Nie był ubogim człowiekiem, jednak czerpał sporą satysfakcję ze świadomości, że właśnie zapewnił sobie bardzo przyzwoitą emeryturę.

Marc obudził Shannona i Langarottiego niedługo po zachodzie słońca, potrząsając nimi mocno. Obaj mężczyźni leżeli w tylnej części furgonetki.

— Pora ruszać — powiedział Belg. Shannon spojrział na zegarek.

— Mówiłeś, że wyjedziemy dopiero przed świtem... — mruknął.

— Wtedy będziemy już na granicy — odparł Marc. — Musimy wyjechać z miasteczka tak, żeby samochody nie rzuciły się w oczy. Na resztę nocy zatrzymamy się gdzieś przy drodze.

Zrobili tak, ale żaden z nich już nie zasnął. Przez kilka godzin palili papierosy i grali w karty siedząc pod drzewami na poboczu szosy i czekając na nadejście świtu. Na twarzach czuli powiewy ciepłego nocnego wiatru. Gdyby nie przemykające szosą samochody, mogłoby się wydawać, że znaleźli się znowu w afrykańskim buszu i czekają na sygnał do ataku.

Kiedy w końcu mieli już dość gry, a sen nadal nie chciał nadejść, każdy zaczął robić to, co zwykle robił przed akcją: Marc rozpakował przygotowane przez Annę pudełko z chlebem i serem, Langarotti zabrał się do ostrzenia swego i tak już ostrego jak brzytwa noża, a Shannon wpatrywał się w gwiazdy i pogwizdywał jakąś melodię.

03.Psy Wojny

10

Przemyt czegokolwiek przez granicę z Belgii do Francji czy z powrotem — w tym także nielegalnie nabytej broni — nie nastęrcza żadnych technicznych trudności.

Między brzegiem morskim w La Panne a miejscem w pobliżu Longwy, gdzie zaczyna się Luksemburg, granica ciągnie się kilometrami przez mocno zalesione tereny myśliwskie. Przecina ją tam mnóstwo leśnych dróg i duktów, w zdecydowanej większości w ogóle nie strzeżonych.

Oba rządy starają się kontrolować granicę przy pomocy douanes volantes, czyli lotnych patroli celnych. Są to oddziały celników, którzy wybierają sobie jedną z bocznych drózek i ustawiają przy niej tymczasowy posterunek. Na dużych przejściach granicznych sprawdzeniu podlega średnio jeden na dziesięć pojazdów, na tymczasowych zaś wszystkie, które pojawią się na nie uczęszczanej drodze. Można wybrać, co kto woli.

Istnieje jeszcze trzeci sposób pokonania granicy: należy wybrać drogę, przy której na pewno nie ma żadnego posterunku i wcisnąć pedał gazu do oporu. Ta metoda ma szczególnie wielu zwolenników wśród przemytników francuskiego szampana, którzy nie widzą żadnego powodu, żeby ten trunek, kojarzący się przecież z zabawą i wesołością, miał interesować pozbawionych zupełnie poczucia humoru belgijskich funkcjonariuszy służb celnych. Jako właściciel baru Marc Vlamincck znał trasę wykorzystywaną przez swoich dostawców. Nazywano ją „trasą szampańską”.

Jadąc wzdłuż rzeki Moza na południe od Namur, starego miasta wzniesionego wokół potężnej twierdzy, dociera się do Dinant, skąd droga prowadzi prosto do położonego po drugiej stronie granicy francuskiego miasteczka Givet. W tym właśnie miejscu w podbrzusze Belgii wrzyna się długi, wąski pas francuskiego terytorium, porośnięty lasem i poprzecinany gęstą siecią bocznych dróg. Na głównej szosie znajduje się posterunek celny — a właściwie dwa, francuski i belgijski, około czterystu metrów od siebie.

Krótko przed świtem Marc rozłożył mapę i zapoznał kolegów ze swoim planem. Kiedy obaj dokładnie zrozumieli, co muszą robić, mały konwój wyruszył w drogę. Z przodu jechała belgijska ciężarówka z Vlamincckiem za kierownicą, dwieście metrów za nim zaś furgonetka francuska.

Na południe od Dinant wzdłuż szosy tłoczą się wioski i osiedla, ale o tej porze wszystkie były pogrążone w ciemności. Na szóstym kilometrze Marc skręcił w prawo w boczną drogę. Wkrótce Moza zniknęła im z oczu. Przejechawszy cztery i pół kilometra, dotarli do niewielkich wzgórz, gęsto porośniętych drzewami liściastymi. Droga prowadziła tu równoległe do granicy, w głąb terenów łowieckich. Vlamincck nagle skręcił w lewo, w kierunku granicy, a po trzystu lub czterystu metrach zahamował gwałtownie. Wskoczył z szoferki i podszedł do francuskiej furgonetki.

Pośpieszcie się — powiedział. — Nie chcę tu sterczeć zbyt długo. Każdy się domyśli, dokąd jadę, jak tylko zobaczy numery rejestracyjne. Granica jest dokładnie półtora kilometra stąd. Będę udawał, że zmieniam koło. Daję wam dwadzieścia minut. Jeśli się nie pokażecie, wracam do Dinant i czekam na was w barze.

Korsykanin skinął głową, po czym wrzucił bieg i zwolnił sprzęgło. Mieli zamiar postępować tak, jak zazwyczaj robili przemytnicy: jeśli Belgowie lub Francuzi wystawili na drodze posterunek, „czysty” samochód jadący jako pierwszy pozwalał się skontrolować, po czym dojeżdżał do Givet, tam skręcał na główną szosę i wracał przez stałe przejście graniczne do Dinant. Jeśli natomiast droga

była wolna, wracał po pojazd przewożący zakazany ładunek.

Po tysiącu pięciuset metrach Shannon i Langarotti ujrzeli belgijski posterunek graniczny. Na obu poboczach stały metalowe barierki, po prawej stronie drogi zaś mała oszklona budka, w której celnicy mogli schronić się przed deszczem i zimnem, i odbierać dokumenty od kierowców przez otwór w szybie. Gdyby posterunek był obsadzony, drogę zamykałby czerwono-biały szlaban.

Szlabana nie było.

Langarotti zwolnił mijając posterunek, a Shannon przyjrzał się uważnie budce. Ani żywej duszy. Po francuskiej stronie obserwacja była trudniejsza, gdyż droga na dość długim odcinku wiała się między wzgórzami ograniczającymi widoczność. Wreszcie furgonetka dotarła do miejsca, gdzie należało się spodziewać obecności francuskich celników, ale oczom najemników ukazał się tylko pusty betonowy parking po lewej stronie, gdzie czasem stał samochód straży celnej.

Od rozstania z Vlaminciem minęło pięć minut. Shannon polecił Korsykaninowi, aby minął jeszcze dwa zakręty, ale nie zobaczyli nic podejrzanego. Na wschodzie, nad wierzchołkami drzew, niebo zaczęło się powoli rozjaśniać.

— Zawracaj — syknął Shannon. — Allez!

Langarotti zakręcił kierownicą, ustawiając furgonetkę w poprzek drogi, cofnął, ponownie wrzucił pierwszy bieg, po czym wystrzelił w kierunku Belgii jak korek z butelki najlepszego szampana. Teraz najważniejszy był czas. Wciąż nabierając prędkości minęli mały parking i belgijską budkę, a półtora kilometra dalej dostrzegli sylwetkę stojącej na poboczu ciężarówki. Langarotti zahamował gwałtownie i mrugnął światłami: dwa sygnały krótkie, jeden długi. Marc natychmiast uruchomił silnik, a sekundę później minął ich, pędząc w kierunku Francji.

Jean-Baptiste ponownie zawrócił, tym razem znacznie spokojniej, i podążył w ślad za nim. Jeśli Marc utrzyma dobre tempo, pokonanie niebezpiecznego odcinka zajmie mu nie więcej niż cztery minuty, nawet z toną ładunku za plecami. Musiałby mieć nieprawdopodobnego pecha, żeby akurat wtedy na granicy zjawił się jakiś celnik. Nawet wówczas nie wszystko byłoby stracone: Marc mógłby udawać, że zgubił się w ciemności, modląc się, by spreparowane beczki nie wzbudziły podejrzeń.

Wszystko jednak poszło jak po maśle. Na południe od małego parkingu po francuskiej stronie znajduje się pięciokilometrowy odcinek zupełnie prostej szosy. Czasem można tam natknąć się na patrol żandarmerii, ale tego ranka droga była zupełnie pusta. Langarotti wkrótce dogonił ciężarówkę i jechał w odległości dwustu metrów za nią. Po pięciu kilometrach Marc skręcił w prawo, by po kolejnych trzech dotrzeć wreszcie do normalnej szosy. Na poboczu stała tablica; Vlaminc pomachał ręką, chcąc zwrócić na nią uwagę kolegów. Z napisów na tablicy wynikało, że minęli Givet i że przed nimi znajduje się Reims. Z jadącej na przódzie ciężarówki dobiegły przytłumione wiwaty.

Wymiany dokonali na parkingu przy całodobowej restauracji dla kierowców ciężarówek w pobliżu Sissons. Dwa samochody zetknęły się tyłami, a Marc przeładował beczki z bronią ze swojej ciężarówki do furgonetki. Shannon miał poważne wątpliwości, czy poradziłiby sobie we dwóch z Langarottim, tym bardziej że podłoga pustej furgonetki znajdowała się o dobre dwadzieścia centymetrów wyżej niż podłoga ciężarówki, Marc jednak uporał się z zadaniem w pojedynkę, obejmując każdą beczkę potężnymi ramionami i przesuwając ją ostrożnie krok za krokiem.

Potem Jean-Baptiste przyniósł z restauracji śniadanie: długie chrupiące bagietki, ser, owoce i kawę. Shannon nie miał noża, więc wszyscy korzystali z noża Marca. Langarotti nigdy nie użyłby swojego do tak prozaicznych celów. To byłoby niehonorowe.

Kilka minut po dziesiątej znowu ruszyli w drogę. Po kilku kilometrach stara i powolna ciężarówka, pozbawiona tablic rejestracyjnych i nalepki ubezpieczalni, które znalazły się w potoku,

została porzucona w pustym wyrobisku, Marc zaś przesiadł się do furgonetki prowadzonej przez Langarottiego. Samochód należał do niego i miał rejestrację francuską, więc w razie jakiejś kontroli Langarotti mógł powiedzieć, że wiezie pięć beczek oleju przyjacielowi, który ma wielką farmę w pobliżu Tulonu i trzy traktory, a dwaj pasażerowie są autostopowiczami, których zabrał z parkingu.

Przed Paryżem zjechali z autostrady A1 i skręcili w boczną drogę, by wkrótce potem wjechać na A6 prowadzącą na południe, do Lyonu, Avignonu, Aix i Tulonu. Przy tablicy informującej o zjeździe w kierunku lotniska Orly furgonetka zatrzymała się. Shannon wysiadł i uściśnął dłonie kolegom.

— Wiecie, co macie robić? — zapytał. Obaj skinęli głowami.

— Dobrze pilnujcie ładunku.

— Nic się nie bój. Tam, gdzie go schowamy, na pewno nikt go nie znajdzie — zapewnił go Langarotti.

— Toskania przyplynie najpóźniej pierwszego czerwca, a może trochę wcześniej. Na pewno zdążę do was dołączyć. Pamiętacie, gdzie mamy się spotkać? No to, powodzenia.

Zarzucił torbę na ramię i ruszył w kierunku pobliskiego warsztatu, skąd zadzwonił po taksówkę. Godzinę później dotarł na lotnisko, zapłacił gotówką za bilet do Londynu i o zachodzie słońca znalazł się w mieszkaniu przy St John's Wood Street. Ze stu dni, które miał na przygotowanie operacji, minęło już czterdzieści sześć.

Natychmiast po powrocie wysłał telegram do Endeana, ale ponieważ nazajutrz była niedziela, minęły dwadzieścia cztery godziny, zanim współpracownik sir Jamesa Mansona skontaktował się z nim telefonicznie. Umówili się na wtorek rano.

Blisko godzinę opowiadał Endeanowi o wszystkim, co wydarzyło się od ich ostatniego spotkania. Wyjaśnił również, dlaczego wykorzystał nie tylko całą gotówkę, ale także oczyścił prawie do zera konta w Londynie i Brugii.

— Co teraz? — zapytał Endean.

— Najpóźniej za pięć dni muszę wrócić do Francji, żeby dopilnować załadunku pierwszej partii sprzętu na pokład Toskanii — odparł Shannon. — Wszystko, z wyjątkiem zawartości beczek po oleju, jest całkowicie legalne. Skrzynie z ubraniami powinny przejść przez kontrolę celną bez żadnych problemów, podobnie jak dodatkowe wyposażenie zakupione w Hamburgu. Nie ma nic dziwnego w tym, że statek zabiera w podróż flary i nożyki.

Jeśli chodzi o pneumatyczne łodzie i silniki, to w listach przewozowych jest napisane, że płyną do Maroka. To też jest całkowicie zgodne z prawem. Beczki z olejem zostaną zgłoszone jako zapasy dla statku. Może trochę tego za dużo, ale nie powinniśmy mieć żadnych trudności.

— A jeśli jednak się pojawią? Co będzie, jeżeli celnicy zbadają ich zawartość?

— Wtedy jesteśmy załatwieni — odparł najemnik. — Statek zostanie zatrzymany w porcie, chyba że kapitanowi uda się udowodnić, że nie miał o niczym pojęcia. Człowiek, który zlecił wywóz, trafi do aresztu, a całą operację diabli wezmą.

— I to operację za grube pieniądze — zauważył Endean.

— A czego pan oczekiwał? Przecież broń musi w jakiś sposób dostać się na pokład. Pomysł z beczkami był bardzo dobry, ale zawsze istnieje pewne ryzyko.

— Mógł pan przecież zupełnie legalnie zamówić te pistolety w Hiszpanii — zauważył Endean.

— Owszem, mógłbym — przyznał mu rację Shannon. — Ale wtedy najprawdopodobniej odmówiono by mi. Broń i amunicja tworzą ze sobą parę, więc takie zamówienie natychmiast wzbudziłoby podejrzenia. Madryt mógłby uznać, że chcę uzbroić jakiś oddział przeznaczony do wykonania specjalnego zadania, albo zbadałby dokładniej autentyczność świadectwa końcowego użytkownika. Miałem jeszcze inną możliwość: kupić oficjalnie pistolety, natomiast amunicję zdobyć

na czarnym rynku, ale wtedy musiałbym potajemnie przemyścić na statek znacznie większy ładunek, co oznaczałoby także zwiększone ryzyko. Tak czy inaczej, jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, wpadnę ja i moi ludzie, nie wy. Jesteście dobrze zakamuflowani.

— Mimo to nadal mam poważne wątpliwości — warknął Endean.

— Co się stało? — zapytał najemnik kpiącym tonem. — Strach pana obleciał?

— Nie.

— W takim razie radzę zachować spokój. W najgorszym razie straci pan trochę pieniędzy.

Endean otwierał już usta, aby powiedzieć Shannonowi, że jego pracodawca straciłby znacznie więcej niż „trochę pieniędzy”, ale w ostatniej chwili pohamował się. W razie wpadki najemnikowi groziło długoletnie więzienie; to logiczne, że będzie starał się zachować jak największą ostrożność.

Przez następną godzinę rozmawiali o sprawach finansowych. Shannon wyjaśnił, że wyczyścił niemal do zera swoje konto w Brugii, ponieważ musiał zapłacić z góry Schlinkerowi, dać pięćdziesięcioprocentową zaliczkę Alanowi Bakerowi, wypłacić pozostałym najemnikom drugą pensję, pokryć koszty swoich podróży oraz przekazać 5000 funtów do Genui na wyekwipowanie statku.

— W związku z tym muszę dostać drugą połowę mojego wynagrodzenia — zakończył.

— Dlaczego już teraz?

— Ponieważ od najbliższego poniedziałku będę codziennie narażony na aresztowanie, a na pewno nie uda mi się przylecieć specjalnie po pieniądze do Londynu. Jeśli przy załadunku nie będzie żadnych problemów, Toskania wypłynie do Brindisi, ja zaś zajmę się najpierw organizacją dostawy z Jugosławii, a potem polecę do Walencji po hiszpańską amunicję. Jak tylko uporamy się ze wszystkim, natychmiast ruszymy w kierunku celu. Jeżeli okaże się, że wyprzedziliśmy harmonogram, będę wolał spędzić kilka dodatkowych dni na pełnym morzu, niż czekać w porcie z trefnym ładunkiem na pokładzie.

Endean zastanowił się przez chwilę.

— Przekażę pańską prośbę moim współnikom — powiedział wreszcie.

— Przed końcem tygodnia moje pieniądze muszą znaleźć się w Szwajcarii, a reszta forsy na koncie w Brugii — oświadczył stanowczo Irlandczyk.

Ostatecznie ustalono, że po otrzymaniu całego honorarium Shannon będzie miał do dyspozycji jeszcze 20000 funtów w banku w Szwajcarii. Najemnik wyjaśnił, dlaczego potrzebuje aż tak dużej sumy.

— Od tej pory muszę przez cały czas mieć przy sobie plik czeków podróżnych, żeby w każdej chwili móc podjąć spore kwoty w dolarach. Gdyby teraz pojawiły się jakieś kłopoty, będzie można je rozwiązać tylko przez natychmiastowe wręczenie solidnej łapówki. Chcę też zatrzeć wszystkie ślady, żeby nikt nie ruszył naszym tropem, a to też będzie trochę kosztować. Muszę także mieć jakieś pieniądze na wypadek, gdyby załoga zorientowała się, dokąd naprawdę płyniemy, i odmówiła współpracy. Została mi jeszcze do zapłacenia druga rata za moździerze i bazooki, więc całkiem możliwe, że wydam całe dwadzieścia tysięcy.

Endean obiecał, że przekaze wszystko „współnikom” i poinformuje go o podjętych decyzjach.

Nazajutrz zadzwonił z informacją, że szwajcarski bank otrzymał już instrukcje dotyczące rozdysponowania pieniędzy.

Shannon zarezerwował na piątek bilet lotniczy z Londynu do Brukseli, a na sobotę rano z Brukseli do Paryża i Marsylii.

Tę noc, podobnie jak noc ze środy na czwartek i z czwartku na piątek, spędził z Julią, po czym spakował się, wysłał agencji wynajmu nieruchomości klucz do mieszkania wraz z krótkim listem i

pojechał na lotnisko. Julia odwiozła go swoim czerwonym MGB.

— Kiedy wrócisz? — zapytała, kiedy zatrzymali się przed wejściem dla odlatujących pasażerów.

— Nigdy — odparł i pocałował ją w usta.

— W takim razie zabierz mnie ze sobą.

— Nie mogę.

— Wrócisz do mnie. Nie pytam, dokąd lecisz, ale wiem, że czeka cię niebezpieczeństwo. To nie jest zwykła podróż w interesach. Wiem jednak, że wrócisz. Musisz.

— Nie wróćę — powtórzył cicho. — Znajdź sobie kogoś innego, Julio.

Pociągnęła nosem.

— Nie chcę nikogo innego. Kocham cię. Ty mnie nie kochasz i dlatego mówisz, że już nie wrócisz. Na pewno masz inną kobietę. Lecisz właśnie do niej, i dlatego...

— Nie ma żadnej innej kobiety — przerwał gładząc ją po włosach. Stojący w pobliżu policjant dyskretnie odwrócił wzrok. Widok łez przy pożegnaniu nie należał tutaj do rzadkości.

Shannon doskonale wiedział, że nie ciepłe kobiece ciało będzie czuł przy piersi, lecz chłodny metal pistoletu maszynowego. Pocałował Julię w czoło. Kiedy podszedł do stanowiska odprawy paszportowej, wciąż płakała.

Pół godziny później samolot Sabeny zatoczył łuk nad południowym Londynem i skierował się w stronę macierzystego lotniska w Brukseli. Pod skrzydłem przesuwiał się skąpany w słonecznym blasku krajobraz hrabstwa Kent. Ten maj był bardzo piękny. Przez okrągłe okna widać było różnokolorowe plamy kwitnących sadów.

Kwitły także rosące wzdłuż polnych dróg kępy głogu i wysokie kasztanowce, a gołębie gruchały na gałęziach dostojnych dębów.

Shannon znał dobrze te tereny jeszcze z dawnych czasów, kiedy stacjonował w Chatham i odwiedzał na swym starym motocyklu wszystkie zabytkowe puby położone między Lamberhurst i Smarden. Piękna okolica, w sam raz dla kogoś, kto chciałby gdzieś osiąść na stałe.

Po dziesięciu minutach lotu jeden z pasażerów siedzących z tyłu kabiny poskarżył się stewardesie, że ktoś przeszkadza mu się zdrzemnąć, gwizdząc bez przerwy tę samą smutną melodię.

W piątek po południu Shannon poświęcił dwie godziny na podjęcie pieniędzy przesłanych ze Szwajcarii i zlikwidowanie konta w Kredietbanku w Brugii. Wziął dwa potwierdzone czeki, każdy opiewający na 5000 funtów, dzięki którym mógł założyć nowe konto w dowolnym miejscu na świecie, oraz pięćdziesiąt zwykłych czeków po 500 dolarów każdy, gotowe do natychmiastowej realizacji zaraz po złożeniu drugiego podpisu.

Tę noc spędził w Brukseli, a następnego ranka wsiadł do samolotu odlatującego do Paryża i dalej, do Marsylii.

W Marsylii pojechał taksówką do małego hotelu na przedmieściu, gdzie jakiś czas temu zatrzymał się Langarotti, a teraz mieszkał tu Janni Dupree. Afrykaner akurat gdzieś wyszedł, więc Shannon zaczekał na jego powrót, po czym razem pojechali wynajętym samochodem do Tulonu. Kiedy tam dotarli, kończył się dzień pięćdziesiąty drugi, a największy francuski port wojenny był skąpany w ciepłych promieniach zachodzącego słońca.

W niedzielę firma spedycyjna była nieczynna, ale nie miało to żadnego znaczenia, gdyż mieli się spotkać przed wejściem do budynku. Shannon, Dupree, Vlaminck i Langarotti zjawili się punktualnie o dziewiątej. Po raz pierwszy od kilku tygodni byli prawie w komplecie; brakowało jedynie Semmlera. Powinien znajdować się teraz na pokładzie Toskanii, płynącej pełną parą w kierunku Tulonu.

Na polecenie Shannona Langarotti zadzwonił z pobliskiej kawiarni do kapitanatu portu, aby

upewnić się, że statek zapowiedział swoje przybycie na poniedziałek rano i ma zarezerwowane miejsce przy nabrzeżu.

Tego dnia nie mieli już nic więcej do roboty, więc pojechali samochodem Shannona nadmorską drogą w stronę Marsylii i spędzili kilka godzin w małym rybackim porcie Sanary. Pomimo upału i wakacyjnej atmosfery panującej w malowniczym miasteczku, Shannon nie potrafił się odprężyć. Tylko Dupree kupił sobie kąpielówki i skakał do wody z falochronu u wejścia do basenu jachtowego. Później powiedział, że woda była cholernie zimna. Jej temperatura podniesie się dopiero w czerwcu i lipcu, kiedy nad morze zaczną ścigać tłumy turystów z Paryża. Wtedy jednak pięciu najemników będzie szykować się do zdobycia szturmem innego portowego miasteczka, niewiele większego i położonego tysiące kilometrów stąd.

Shannon przesiedział prawie cały dzień z Belgiem i Korsykaninem na słonecznym tarasie baru, Pot d'Etain, rozmyślając o następnym ranku. Nawet jeżeli w Jugosławii lub Hiszpanii wydarzy się coś nieprzewidzianego, to i tak nie będzie im groziło żadne poważne niebezpieczeństwo. Najwyżej zatrzymają ich na kilka dni, a statek zostanie poddany dokładnej kontroli, nic więcej. Natomiast jutro... Gdyby komuś przyszło do głowy sprawdzić zawartość beczek z olejem, czekałyby ich długie miesiące, a może nawet lata w Les Baumettes, wielkiej twierdzy zamienionej na więzienie, którą mijał w drodze z Marsylii do Tulonu.

Najgorsze jest zawsze oczekiwanie — pomyślał, płacąc rachunek, i zawołał kolegów do samochodu.

Wszystko jednak przebiegło niespodziewanie łatwo. Tulon jest przede wszystkim wielką bazą marynarki wojennej, w związku z czym w krajobrazie portu dominują potężne sylwetki francuskich okrętów cumujących w wojskowej części portu. Tego poniedziałkowego poranka w centrum uwagi turystów i spacerowiczów był krążownik Jean Bart, który właśnie wrócił z podróży na Wyspy Karaibskie. Przywiózł na pokładzie mnóstwo marynarzy z kieszeniami wypchanymi forszą i spragnionych kobiecego towarzystwa.

Kawiarniane ogródki przy szerokim deptaku prowadzącym do portu były pełne ludzi zajętych ulubioną czynnością mieszkańców każdego śródziemnomorskiego kraju: obserwowaniem mijającego życia. Siedzieli w kolorowych grupkach, spoglądając spod markiz i parasoli na tłoczące się na wodzie jachty — od małych, napędzanych przyczepnymi silnikami zabawek, po smukłe jak charty olbrzymy, należące do prawdziwych bogaczy.

Przy wschodniej kei stało kilka rybackich łodzi, których właściciele postanowili dziś nie wypływać w morze, dalej zaś ciągnęły się długie, niskie magazyny, wiaty i budynki biurowe. Dopiero za nimi znajdował się niewielki i nie cieszący się niczym zainteresowaniem port handlowy, do którego tuż przed południem wpłynęła Toskania.

Shannon siedział na pachołku cumowniczym i obserwował, jak statek przybija do nabrzeża. Dostrzegł już na pokładzie Semmlera i Waldenberga oraz dwóch innych, uwijających się jak w ukropie ludzi. Z pewnością byli to nowi członkowie załogi zwerbowani przez Waldenberga. Brakowało tylko serbskiego mechanika, który pewnie siedział w swojej ukochanej maszynowni.

Małe renault przemknęło obok Shannona i zatrzymało się przy trapie przerzuconym przez burtę statku. Z samochodu wysiadł korpulentny Francuz w ciemnym garniturze, obciągnął marynarkę i wszedł na pokład Toskanii. Przedstawiciel Agence Maritime Duphot. Wkrótce pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie Waldenberga. Obaj mężczyźni udali się do budynku odpraw celnych. Wyszli z niego dopiero po godzinie; człowiek w garniturze wsiadł do samochodu i odjechał do miasta, niemiecki kapitan wrócił na statek.

Shannon odczekał jeszcze pół godziny, po czym niespiesznym krokiem ruszył wzdłuż nabrzeża.

Dotarłszy do trapu, wspiął się na pokład. Semmler dał mu znak, żeby zszedł za nim schodkami prowadzącymi do pomieszczeń załogi.

— Jak poszło? — zapytał Irlandczyk, kiedy usiedli w mesie. Semmler wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jak po maśle — odparł. — Dokumenty są wystawione na nowego kapitana, silnik wyremontowany, w ładowni mamy od cholery koców i materaców z gąbki. Nikt nie zadawał żadnych pytań, a Waldenberg nadal uważa, że będziemy przemycać imigrantów do Wielkiej Brytanii. W listach przewozowych stoi jak wół, że wieziemy wyposażenie dla ośrodka sportów wodnych w Maroku.

— A co z olejem przekładniowym? Semmler uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Najpierw zamówiłem pięć beczek, a potem zadzwoniłem i nic nie mówiąc Waldenbergowi odwołałem zamówienie. Chciał czekać na nie jeszcze dzień, ale powiedziałem, że uzupełnimy zapas w Tulonie.

— Świetnie. Tylko nie pozwól, żeby on się tym zajął. Uprzedź go, że już wszystko zamówiłeś. Kiedy przywieziemy beczki, niczego nie będzie podejrzał. Co to za człowiek był na pokładzie?

— Właściciel firmy spedycyjnej. Ma towar w magazynie i przygotowane dokumenty. Dziś po południu przyśle nam wszystko paroma samochodami. Skrzynie są tak małe, że przeniesiemy je sami za pomocą bomu ładunkowego.

— W porządku. Niech Waldenberg zajmie się papierkową robotą. Godzinę po załadunku przyjedzie ciężarówka z olejem. Za kierownicą będzie siedział Langarotti. Wystarczy ci pieniędzy?

— Tak.

— W takim razie płać gotówką i bierz rachunek. Tylko uważaj, żeby ostrożnie obchodzili się z beczkami. Gdyby z którejś wypadło dno, brodzilibyśmy po pas w schmeisserach.

— Kiedy zjawi się reszta?

— Dzisiaj, po zapadnięciu zmroku. Na początek tylko Marc i Janni. Jean-Baptiste zostanie jeszcze ze mną. Ma samochód i będzie potrzebny do wykonania dodatkowej roboty. Kiedy możecie wypłynąć?

— Nawet dziś w nocy, jeśli uda mi się wszystko załatwić. Wiesz, to nawet całkiem przyjemne być dyrektorem firmy.

— Nie przyzwyczajaj się za bardzo. To tylko tymczasowy kamuflaż.

— W porządku. A tak w ogóle, to dokąd mamy płynąć?

— Do Brindisi. Znasz ten port?

— Jasne. Przemyciłem stamtąd do Włoch i Jugosławii więcej transportów papierosów, niż ty zjadłeś w życiu obiadów. Co tam bierzemy?

— Nic. Zaczekacie na wiadomość ode mnie. Jadę do Niemiec. Przekażę wam telegraficznie następny port przeznaczenia i datę, kiedy macie tam przybyć. Będziecie musieli wcześniej zarezerwować sobie miejsce przy nabrzeżu. Możesz pokazać się w Jugosławii?

— Chyba tak. Zresztą, przecież nie będę schodził ze statku. Bierzemy tam broń?

— Owszem. W każdym razie taki jest plan. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że mój dostawca i jugosłowiańscy urzędnicy nie postawili go na głowie. Masz wszystkie potrzebne mapy?

— Tak. Kupiłem je w Genui, jak mi kazałeś. Wiesz, co sobie pomyślałem? W Jugosławii Waldenberg na pewno zorientuje się, co bierzemy na pokład, i natychmiast domyśli się, że nie będziemy wozić nielegalnych imigrantów. Jakoś tam przełknął te wszystkie lodzie, silniki, krótkofalówki i ubrania, ale broń to całkiem co innego.

— Wiem — odparł Shannon. — Będzie nas to trochę kosztować, ale myślę, że facet okaże się

rozsądny. Tym bardziej że wtedy będzie nas już czterech na pokładzie. Powiemy mu też, co jest w beczkach po oleju. Kiedy zrozumie, jak głęboko w to wlaź, nie będzie miał wyboru. A jak sprawują się nowi marynarze?

Semmler skinął głową i zdusił piątego z rzędu papierosa. Powietrze w niewielkim pomieszczeniu było sine od dymu.

— Całkiem nieźle. To Włosi. Twarde chłopaki, ale posłuszne. Myślę, że obaj byli poszukiwani przez policję, bo nie mogli się doczekać, kiedy wyjdziemy w morze.

— To dobrze. W takim razie na pewno nie będą chcieli zostać wysadzeni na ląd w obcym kraju, bo natychmiast zostaliby deportowani i wpadliby prosto w ręce władz.

Waldenberg dokonał dobrego wyboru. Semmler przedstawił Shannona jako pracownika zarządu firmy, a Waldenberg pełnił funkcję tłumacza. Marynarze, Norbiatto i Cipriani, skinęli mu głowami i szybko przestali się nim interesować. Shannon wydał jeszcze kilka poleceń kapitanowi, po czym opuścił statek.

Po południu przy burcie Toskanii zatrzymały się dwie furgonetki z Agence Maritime Duphot. Towarzyszył im ten sam korpulentny mężczyzna, który zjawił się na pokładzie przed południem. Francuski celnik z notesem w dłoni wyszedł z budynku i przyglądał się, jak skrzynie są przenoszone na pokład za pomocą bomu ładunkowego. Cztery z nich zawierały spodnie, buty, koszule, kurtki i berety dla Marokańczyków zatrudnionych w nadmorskim ośrodku wypoczynkowym, dwie — pneumatyczne łodzie turystyczne, trzy — silniki do tychże łodzi, dwie ostatnie, przeznaczone dla statku — flary, lornetki, zasilaną sprężonym powietrzem syrenę mgłową i kompasy.

Celnik odhaczał je kolejno w notesie, zapisując przy każdej pozycji, czy skrzynia przejeżdżała jedynie tranzytem przez terytorium Francji, czy też zawiera towary kupione w tym kraju. Nie wyraził jednak chęci osobistego sprawdzenia zawartości, gdyż dobrze znał właściciela firmy spedycyjnej i widywał się z nim co najmniej kilka razy dziennie.

Kiedy cały ładunek znalazł się już na pokładzie, a celnik podstemplował list przewozowy, Waldenberg powiedział coś do Semmlera, który przetłumaczył to na francuski. Waldenberg potrzebował oleju przekładniowego do silnika. Olej został zamówiony już w Genui, ale nie zdążono dostarczyć go na czas.

Właściciel firmy zapisał coś w notesie.

— Ile potrzebujecie?

— Pięć beczek — odparł Semmler. Waldenberg nie rozumiał ani słowa po francusku.

— Sporo — zauważył człowiek w garniturze. Semmler roześmiał się.

— Ten stary grat zużywa tyle samo oleju co ropy. Poza tym nawet jeśli coś nam zostanie, będziemy mieli na zapas.

— Kiedy wam go przywieźć?

— Może być o piątej po południu? — zapytał Semmler.

— Powiedzmy o szóstej — odparł właściciel firmy. Zanotował liczbę beczek i rodzaj oleju, po czym spojrzał na celnika, który obojętnie skinął głową i odszedł w kierunku budynku. Wkrótce potem szef Agence Maritime Duphot wsiadł do samochodu i odjechał do miasta, a za nim obie furgonetki.

O piątej Semmler zszedł na ląd, udał się do jednego z portowych barów, zadzwonił z automatu do firmy spedycyjnej i odwołał zamówienie. Powiedział właścicielowi, że kapitan znalazł ukrytą w najdalszym kącie ładowni beczkę z olejem, która wystarczy na najbliższe kilka tygodni. Właściciel nie był zachwycony, ale przyjął informację do wiadomości.

O szóstej na nabrzeże wjechała powoli furgonetka prowadzona przez Jean-Baptiste'a Langarottiego w jaskrawozielonym kombinezonie z wielkim napisem Castrol na plecach i zatrzymała

się przy Toskanii. Korsykanin otworzył tylne drzwi samochodu, po czym ostrożnie przetoczył beczki na ziemię po grubej desce, którą specjalnie w tym celu wrzucił wcześniej do furgonetki. Z okna budynku wychylił się celnik.

Waldenberg dostrzegł celnika i pomachał mu ręką, a następnie wskazał najpierw na beczki, potem zaś na swój statek.

— Okay? — zawołał, po czym dodał ze straszliwym akcentem: — Ca va?

Francuz skinął głową i postawił jeszcze jeden znaczek w notesie.

Na polecenie Waldenberga dwaj włoscy marynarze wciągnęli jedną po drugiej beczki na pokład. Semmler pomagał im z wielkim zapalem, wykrzykując głośno polecenia, pilnując, żeby żadna beczka nie została potraktowana zbyt obcesowo, i co rusz nakazując marynarzom ostrożność. Jak tylko zniknęły w mrocznym wnętrzu ładowni, osobiście zatrzasnął klapę i zabezpieczył ją przed przypadkowym otwarciem.

Tymczasem Langarotti dawno już odjechał swoją furgonetką. Zielony kombinezon znalazł się w jednym ze śmietników w centrum miasta.

Shannon w napięciu obserwował załadunek z pachołka na drugim końcu nabrzeża. Najchętniej sam włączyłby się do pomocy, gdyż nie ma nic gorszego niż bezsilne oczekiwanie.

Wkrótce na Toskanii zapanował spokój. Kapitan i jego trzech ludzie siedzieli pod pokładem; mechanik wyszedł na zewnątrz tylko na chwilę, parę razy odetchnął świeżym powietrzem i znowu zniknął w maszynowni. Semmler odczekał jeszcze pół godziny, a następnie zszedł na ląd i udał się na spotkanie z Shannonem.

— Mówiłem ci, że nie będzie żadnych problemów — powiedział z szerokim uśmiechem.

Shannon skinął głową i także pozwolił sobie na pełen ulgi uśmiech. Tylko on wiedział, o jak wysoką stawkę toczyła się gra, a w przeciwieństwie do Niemca nie znał zwyczajów panujących w portach.

— Kiedy możesz wziąć ludzi na pokład?

— Posterunek celny zamykają o dziewiątej... Myślę, że powinni przyjść między dwunastą a pierwszą w nocy. Odpływamy o piątej.

— W porządku — odparł Shannon. — W takim razie chodźmy do nich. Napijemy się czegoś, a potem wrócisz na statek, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

— Nie będzie żadnych kłopotów.

— Wszystko jedno. Lepiej dmuchać na zimne. Masz pilnować ładunku jak kura piskląt. Bez mojego pozwolenia nikt nie może nawet dotknąć żadnej z beczek. Dopiero w Jugosławii powiemy Waldenbergowi, co naprawdę ma na pokładzie.

W umówionym miejscu spotkali się z trzema pozostałymi najemnikami i wszyscy poszli na piwo, żeby trochę ochłonąć z emocji. Słońce właśnie kryło się za horyzontem, a zatoka była prawie zupełnie gładka. W dali krążyło kilka jachtów, które próbowały wykorzystać rzadkie poddmuchy słabego wiatru.

O ósmej Semmler opuścił kolegów i wrócił na Toskanię.

Zgodnie z planem Janni Dupree i Marc Vlaminck wślizgnęli się na pokład między dwunastą a pierwszą w nocy, o piątej rano zaś Toskania wypłynęła z portu, odprowadzana spojrzeniami Shannona i Langarottiego.

Nieco później Langarotti odwiózł Shannona na lotnisko. Przy śniadaniu Shannon przekazał Korsykaninowi ostatnie polecenia oraz pieniądze.

— Prawdę mówiąc, wolałbym polecieć z tobą — powiedział Jean-Baptiste. — Albo popłynąć statkiem.

— Wiem, ale potrzebuję kogoś, kto na pewno mnie nie zawiedzie — odparł Irlandczyk. — To bardzo ważna sprawa. Bez tego nie zrobimy ani kroku naprzód. Zależy mi na kimś naprawdę solidnym, a ty masz jeszcze tę zaletę, że jesteś Francuzem i znasz obu tych ludzi. Janniego nie mógłbym posłać, bo ma południowoafrykański paszport, a Marca potrzebuję na pokładzie na wypadek, gdybyśmy mieli jakieś kłopoty z załogą. Wiem, że świetnie władasz nożem, ale nie chodzi mi o to, żeby wszystkich pozabijać, tylko o to, żeby skłonić ich do posłuszeństwa. A Kurt musi być na statku, żeby zająć się nawigacją, gdyby Waldenberg zaczął bruździć. Jeśli dojdzie do najgorszego, i Waldenberg wyleci za burtę, Kurt będzie musiał przejąć dowództwo. Tak więc sam widzisz, że pozostajesz mi tylko ty.

Langarotti ustąpił przed tymi argumentami.

— To dobre chłopaki — powiedział z odrobiną weselszą miną. — Fajnie będzie znowu ich zobaczyć.

Tuż przed rozstaniem Shannon napomniał go jeszcze raz:

— Pamiętaj, że cała sprawa może wziąć w łeb, jeżeli na miejscu okaże się, że nie mamy żadnego wsparcia. Wszystko zależy od tego, jak się spiszesz. Rób, co ci mówiłem, a małe problemy rozwiąż na bieżąco. Zobaczymy się za miesiąc.

Uścisnął dłoń Korsykanina, przeszedł przez odprawę, po czym wsiadł do samolotu odlatującego do Paryża i dalej, do Hamburga.

03.Psy Wojny

11

— Możesz odebrać moździerze i bazooki w dowolnym terminie po dziesiątym czerwca — powiedział Alan Baker nazajutrz po przylocie Shannona do Hamburga. — Wczoraj dostałem teleks z potwierdzeniem tej wiadomości.

— Gdzie? — zapytał Shannon.

— W Ploce.

— Słucham?

— Ploce. Pisze się P L O C E. To mały port w połowie drogi między Splitem a Dubrownikiem.

Shannon zastanawiał się przez chwilę. Co prawda polecił wcześniej Semmlerowi, żeby zaopatrzył się w Genui w mapy całego wybrzeża Jugosławii, ale był przekonany, że załadunek towaru nastąpi w którymś z większych portów. Miał nadzieję, że Niemiec znalazł dość szczegółową mapę albo że uda mu się teraz zdobyć taką w Brindisi.

— Jak mały?

— Bardzo mały i bardzo niepozorny. Nabrzeże, dwa magazyny. Jugosłowianie używają go głównie do wywozu broni, i chociaż ja ostatnio korzystałem z transportu samolotem, powiedziano mi, że gdybym wysłał po broń statek, musiałyby przypląć właśnie do Ploce. To dobrze, że to taki mały port; nie ma dużego ruchu, więc załadunek odbędzie się bardzo szybko, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby urzędował tam tylko jeden celnik. Za drobny prezent na pewno odprawi towar w ciągu kilku godzin.

— W porządku, niech będzie Ploce. Jedenastego czerwca. Baker zanotował datę.

— Jak się sprawuje Toskania! — zapytał. Przypuszczał, że po zakończeniu operacji — na czymkolwiek miała ona polegać — Shannon nie będzie już potrzebował statku, a jemu przydałaby się taka mała zwinna jednostka, która mogła dostarczyć towar nawet do bardzo płytkiej przystani.

— Znakomicie — odparł Shannon. — Płynie teraz do pewnego włoskiego portu, gdzie będzie czekała na wiadomość ode mnie. A co u ciebie? Są jakieś problemy?

Baker skrzywił się.

— Jeden — powiedział. — Cena.

— O co chodzi?

— Wiem, że umówiliśmy się na 14400 dolarów, ale zaszły pewne zmiany. Teraz muszę załatwić wszystkie potrzebne dokumenty przez miejscowego współnika. Tak to się przynajmniej nazywa, choć w rzeczywistości chodzi o jeszcze jednego pośrednika.

— A więc?

— A więc muszę mu zapłacić, żeby przepchnął papiery przez biura w Belgradzie. Myślę jednak, że to ci się opłaci, bo dzięki temu dostaniesz towar w umówionym terminie, bez żadnych opóźnień. Znalazłem odpowiedniego człowieka, szwagra jednej szyszki w Ministerstwie Handlu. Wiem, że to po prostu nowy sposób wyciągania łapówek, ale co mogę poradzić?

— Jakie będą te dodatkowe koszty?

— Tysiąc funtów.

— W dinarach czy dolarach?

— W dolarach.

Albo to była prawda, albo Baker próbował wycisnąć dla siebie trochę więcej. Jeśli tak, to gdy Shannon odmówi, będzie musiał zapłacić Jugosłowianinowi ze swojej części i niewykluczone, że przestanie być zainteresowany sprawnym sfinalizowaniem transakcji. Shannon jednak nadal potrzebował Bakera i to aż do chwili, kiedy Toskania wyruszy z Ploce w drogę do Hiszpanii.

— W porządku — powiedział. — Jak się nazywa ten wspólnik?

— Ziljak. Jest teraz na miejscu i pilnuje, żeby transport dotarł do Ploce i został złożony w jednym z magazynów. Kiedy statek wejdzie do portu, on właśnie zajmie się odprawą celną i załadunkiem.

— Wydawało mi się, że to twoje zadanie?

— Owszem, ale wszystko się zmieniło i teraz musiałem zaangażować dodatkowego człowieka.

Słowo daję, Shannon: nie miałem wyboru.

— W takim razie zapłacę mu osobiście czekami podróżnymi.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

— Czemu nie?

— Teoretycznie odbiorcą ładunku jest rząd Togo, zgadza się? Czyli czarni. Jeśli okaże się, że za towar płaci jakiś biały, władze mogą zacząć coś podejrzewać. Oczywiście możemy pojechać do Ploce we dwóch, ale wtedy będziesz występował jedynie jako mój asystent. Poza tym чеки podróżne mogą zostać zrealizowane tylko w banku, a w Jugosławii oznacza to spisanie personaliów z dowodu osobistego i mnóstwo pytań. Najlepiej, żeby Ziljak dostał gotówkę, tak jak o to prosił.

— Dobra — zdecydował Shannon. — Zrealizuję чеки tutaj, w Hamburgu, i zapłacę mu dolarami. Ale ty dostaniesz swoją należność w czekach. Nie będę jeździł wszędzie z walizką gotówki, a już na pewno nie do Jugosławii. Oni są bardzo wrażliwi na tym punkcie. Natychmiast zaczynają podejrzewać, że próbuje się zorganizować na ich terenie jakaś działalność szpiegowską. Pojedziemy jako turyści, z czekami.

— Nie mam żadnych zastrzeżeń — odparł Baker. — Kiedy chcesz wyruszyć?

Shannon spojrział na zegarek. Jutro pierwszy czerwca.

— Pojutrze — powiedział. — Polecimy do Dubrownika i przez tydzień będziemy się opalać. Przyda mi się trochę odpoczynku. Jeśli chcesz, jedź ze mną albo dołączysz do mnie ósmego lub dziewiątego, ale ani dnia później. Wynajmę samochód i dziesiątego czerwca pojedziemy do Ploce. Zawiadomię kapitana Toskanii, że ma wejść do portu dziesiątego w nocy albo jedenastego z samego rana.

— Leć sam — zdecydował Baker. — Mam tu jeszcze sporo zajęć. Zamelduję się w Dubrowniku ósmego czerwca.

— Tylko bez kawałów! Jeśli się nie pojawisz, zacznę cię szukać, a na pewno nie będę w najlepszym humorze.

— Będę na pewno. Może o tym nie pamiętasz, ale nie dostałem jeszcze całej należności. Na razie sporo dołożyłem do tego interesu. Tak samo jak tobie zależy mi, żeby go dokończyć.

Shannon też nie miał nic przeciwko temu.

— Chyba nie zabraknie ci pieniędzy? — zapytał handlarz bronią. Najemnik machnął mu przed nosem plikiem wypełnionych czeków.

Baker uśmiechnął się.

Wstali od stolika i wyszli z restauracji. Shannon skorzystał z automatu w holu i zadzwonił do dużej hamburskiej firmy turystycznej specjalizującej się w organizowaniu wypoczynku na wybrzeżu Adriatyku. Podano mu tam nazwy trzech najlepszych hoteli w Dubrowniku. Ósmego czerwca Baker miał znaleźć w jednym z nich Shannona, zameldowanego jako Keith Brown.

Johann Schlinker także, jak Baker, był całkowicie pewien, że zdoła wywiązać się z umowy, choć

nie miał najmniejszego pojęcia, iż Shannon prowadzi interesy również z Bakerem. Obaj handlarze na pewno się znali, a być może nawet często widywali się ze sobą, ale z pewnością nie po to, by roztrząsać szczegóły własnych interesów.

— Towar powinien zostać odebrany w Walencji — oznajmił Shannonowi. — Tak przynajmniej postanowili Hiszpanie, ale wymaga to jeszcze potwierdzenia. Najlepiej, żeby załadunek odbył się między szesnastym a dwudziestym czerwca.

— Wolałbym dwudziestego — odparł Shannon. — Toskania wpłynie do portu dziewiętnastego wieczorem, więc z samego rana będzie można przystąpić do pracy.

Schlinker skinął głową.

— W porządku. Zawiadomię mojego wspólnika w Madrycie. On zajmie się transportem i załadunkiem; wynajmie firmę spedycyjną z Walencji, której właściciel ma dobre układy z celnikami. Nie powinno być żadnych problemów.

— Nie może być żadnych problemów! — warknął najemnik. — Po ostatnich opóźnieniach zostało mi akurat tyle czasu, żeby dotrzeć w terminie do celu. — Była to nieprawda, ale przecież Schlinker nie musiał o tym wiedzieć. — Osobiście dopilnuję załadunku.

Niemiec skrzywił się.

— Oczywiście, że może pan przyglądać się z pewnej odległości — odparł. — Nie mam prawa panu tego zabronić. Proszę tylko pamiętać, że nie wolno panu wystąpić w roli odbiorcy przesyłki, którym ma być rząd arabskiego państwa.

— Chcę też wejść w Walencji na pokład statku — dodał Shannon.

— Z tym będzie jeszcze większy kłopot. Teren portu jest ściśle strzeżony i można się tam dostać tylko za specjalnym zezwoleniem. Musiałby pan przejść przez kontrolę paszportową, a w dodatku statek będzie pilnowany przez funkcjonariuszy Guardia Civil.

— A gdyby kapitan chciał zaangażować jeszcze jednego członka załogi?

Schlinker zmarszczył z namysłem brwi.

— To by się chyba dało załatwić. Jest pan w jakiś sposób związany z firmą, do której należy statek?

— Nie na papierze.

— Jeśli zaraz po wpłynięciu do portu kapitan poinformuje władze, że podczas ostatniego postoju pozwolił zejść na ląd jednemu z członków załogi, który poleciał do domu na pogrzeb matki, i teraz musi wrócić na Toskanię, to chyba nie będzie miał problemów. Ale będzie pan musiał mieć ważną książeczkę marynarza wystawioną na pańskie nazwisko, panie Brown...

Shannon zastanawiał się przez chwilę.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Załatwię to. Schlinker zerknął do kalendarza.

— Tak się składa, że dziewiętnastego i dwudziestego czerwca będę w Madrycie — oznajmił. — Mam tam spotkanie w innej sprawie. Zatrzymam się w hotelu Mindanao. Będzie pan mógł mnie tam znaleźć. Załadunek ma się odbyć dwudziestego, więc konwój wraz z eskortą wyruszy najprawdopodobniej wieczorem poprzedniego dnia, żeby dotrzeć na wybrzeże o świcie. Jeżeli chce pan dostać się na pokład, powinien pan zrobić to przed przybyciem wojska.

— Przylecę do Madrytu dziewiętnastego. Skontaktuję się z panem, aby mieć pewność, że konwój wyruszył w drogę, a potem pojedę szybko do Walencji samochodem i zaokrętuję się na Toskanię. Na pewno zjawię się tam wcześniej niż ciężarówki.

— To już pana sprawa — odparł Schlinker. — Do mnie należy przygotować wszystko na rano dwudziestego czerwca. Jeżeli z pańskim wejściem na statek będzie wiązało się jakieś ryzyko, to trudno — nie mogę brać za to odpowiedzialności. Ostrzegłem już pana, że statki wypływające z

Hiszpanii z ładunkiem broni znajdują się pod szczególnie troskliwą opieką wojska i celników. Jeśli statek zostanie zatrzymany w porcie albo wystąpią inne komplikacje, ja umyjam od wszystkiego ręce. Aha, jeszcze jedno: po załadunku statek musi wyjść w morze w ciągu sześciu godzin i nie wolno mu ponownie wpłynąć na hiszpańskie wody terytorialne, dopóki nie dostarczy broni do portu przeznaczenia. Także listy przewozowe muszą być w całkowitym porządku.

— Będą — zapewnił go Shannon. — Rano dziewiętnastego czerwca skontaktuję się z panem w Madrycie.

Zanim opuścił Tulon, Kurt Semmler wręczył Shannonowi list do zarządu Spinetti Maritimo w Genui. Informował w nim o niewielkiej zmianie planów: Toskania mianowicie nie uda się z Tulonu bezpośrednio do Maroka, jak to było zaplanowane, lecz najpierw zawinie do Brindisi po dodatkową partię towaru. Trafiło się bowiem w ostatniej chwili bardzo opłacalne zamówienie, w związku z czym Semmler podjął decyzję o jego przyjęciu, i odłożył na później nie wymagający takiego pośpiechu rejs do Maroka. Ponieważ był teraz dyrektorem wykonawczym spółki, nie musiał z nikim konsultować swoich decyzji.

W liście polecił także, aby na siódmego i ósmego czerwca zarezerwowano dla Toskanii miejsce przy nabrzeżu w Brindisi oraz by przechowano wszelką korespondencję, jaka nadejdzie pod adresem statku.

„Korespondencją” tą okazał się list, który Shannon wysłał z Hamburga. Adresatem był signor Kurt Semmler, Toskania, Brindisi, Włochy.

Irlandczyk zawiadamiał w nim Semmlera, że z Brindisi ma się udać do Ploce na adriatyckim wybrzeżu Jugosławii; jeśli nie ma map zdradliwych wód na północ od wyspy Korculi, musi zaopatrzyć się w nie na miejscu. Toskania powinna dotrzeć do Ploce wieczorem dziesiątego czerwca i przycumować w zarezerwowanym dla niej miejscu. Armator nie powinien nic wiedzieć o dodatkowym przedłużeniu rejsu.

Najważniejsza była końcowa część listu. Shannon polecił niemieckiemu eks-przemysłowcowi, aby zdobył książeczkę marynarską na nazwisko Keith Brown, wystawioną przez włoskie władze i ważną jeszcze co najmniej przez kilka miesięcy oraz drugi niezbędny dokument: listy przewozowe wykazujące jednoznacznie, że Toskania przepłynęła z Brindisi prosto do Walencji, skąd po zabraniu ładunku uda się do Latakii na wybrzeżu Syrii. W celu zdobycia tych dokumentów Semmler powinien wykorzystać wszystkie swoje dawne kontakty.

Tuż przed odlotem z Hamburga do Jugosławii Shannon wysłał jeszcze jeden list, do Simona Endeana w Londynie. Prosił w nim, by Endean stawił się szesnastego czerwca w Rzymie, i przywiózł ze sobą kilka morskich map.

Mniej więcej w tym samym czasie Toskania płynęła przez Cieśninę Bonifacio, wąski pas kryształowo czystej, błękitnej wody, oddzielający południowy koniuszek Korsyki od północnego krańca Sardynii. Na niebie wisiało rozżarzone słońce, ale dzięki lekkiemu wiatrowi upał nie dawał się tak bardzo we znaki. Rozebrany do pasa Marc Vlaminc, rozciągnięty na mokrym ręczniku na pokrywie ładowni, przypominał różowego hipopotama wysmarowanego olejkami do opalania. Janni Dupree, którego skóra w kontakcie ze słonecznymi promieniami zawsze nabierała barwy czerwonej cegły, krył się w cieniu nadbudówki na rufie, od czasu do czasu pociągając łyk piwa z dziesiątej już tego ranka butelki. Jeden z marynarzy, Cipriani, malował na biało reling dokoła forpiku, podczas gdy drugi, Norbiatto, chrapał w swojej koi, odsypiając nocną wachtę.

Również pod pokładem, tyle że w piekielnie gorącej i cuchnącej maszynowni, przebywał mechanik Grubic, zajęty oliwieniem jakiejś części silnika, której funkcji nie znał nikt oprócz niego, ale bez której niewątpliwie Toskania nie mogłaby dalej wlec się po Morzu Śródziemnym z

prędkością ośmiu węzłów. Kurt Semmler i Carl Wandenberg siedzieli w sterówce, racząc się wspomnieniami oraz zimnym piwem.

Jean-Baptiste Langarotti chciałby pewnie być w tej chwili na statku; z nadbudówki miałby piękny widok na szarobiałe wybrzeże rodzinnej wyspy przesuające się powoli w odległości zaledwie czterech mil. Jednak Korsykanin znajdował się daleko stąd, w Afryce Zachodniej, gdzie zaczęła się już pora deszczowa i gdzie pomimo ogromnego upału na niebie wisiały ołowiane chmury.

Kiedy wieczorem ósmego czerwca Shannon wrócił z plaży do swojego hotelu w Dubrowniku, czekał tam na niego Alan Baker. Pośrednik wyglądał na bardzo zmęczonego.

Cat Shannon za to czuł się i wyglądał znacznie lepiej. Miniony tydzień spędził jak zwykły turysta, opalając się i pływając w morzu. Zeszczupłał, ale nabrał sił i zdrowej opalenizny. A także optymizmu.

Zaraz po zameldowaniu się w hotelu wysłał do Brindisi telegram, w którym prosił Semmlera o potwierdzenie odbioru listu nadanego w Hamburgu. Właśnie dziś rano otrzymał odpowiedź od Niemca. Toskania dotarła bezpiecznie do włoskiego portu, list został odebrany, statek zaś wyruszy w morze rankiem dziewiątego czerwca, aby dotrzeć do portu przeznaczenia około północy dnia następnego.

Kiedy usiedli z drinkami na tarasie hotelu, w którym zatrzymał się Baker, Shannon podzielił się z nim tą wiadomością.

Pośrednik uśmiechnął się i skinął głową.

— Znakomicie. Ja z kolei czterdzieści osiem godzin temu dostałem informację od Ziljaka. Skrzynie dotarły do Ploce i są teraz pod strażą w państwowym magazynie w pobliżu nabrzeża.

Spędzili noc w Dubrowniku, a nazajutrz rano wynajęli taksówkę, która miała ich zawieźć do oddalonego o sto kilometrów Ploce. Taksówka okazała się okropnym rozklekotanym wrakiem, trzęsło nimi niemiłosiernie, ale mimo to jazda malowniczą drogą wzdłuż wybrzeża była całkiem przyjemna. Zatrzymali się tylko raz, w małym miasteczku Siano, by wypić filiżankę kawy i nieco rozprostować kości.

Dotarli do Ploce akurat w porze lunchu, więc zaczekali na zacienionym tarasie hotelu, aż portowi urzędnicy wrócą do pracy.

Port był położony nad dość szeroką i głęboką zatoką, oddzieloną od otwartego morza długim półwyspem Peliesac. Wejścia do zatoki broniła skalista wyspa Hvar; statki mogły wpływać i wypływać jedynie wąskim przesmykiem między wyspą a stałym lądem. Cała ponad pięćdziesięciokilometrowej długości zatoka stanowiła prawdziwy raj dla wędkarzy, pływaków i żeglarzy.

Kiedy Baker i Shannon zbliżali się do zabudowań portu, wyprzedził ich zdezelowany volkswagen, zahamował raptownie i głośno zatrąbił. Shannon stanął jak wryty. Kłopoty! — przemknęło mu przez głowę. Obawiał się ich od początku, a teraz przyjdzie mu stanąć z nimi twarzą w twarz. Może ktoś pomylił się przy wystawianiu dokumentów... Może władze domyśliły się prawdziwej natury przedsięwzięcia... Tak czy owak oznaczało to aresztowanie i długie przesłuchania na miejscowym posterunku policji.

Mężczyzna, który wygramolił się z samochodu i pomachał im ręką, może i mógłby być policjantem, gdyby nie to, że w większości totalitarnych państw na Wschodzie i Zachodzie policjanci mają — chyba ustawowy — zakaz uśmiechania się. A on się uśmiechał. Shannon zerknął na Bakera i ku swojej ogromnej uldze zobaczył, że jego towarzysz jest całkowicie spokojny.

— To Ziljak — mruknął Baker, po czym ruszył na spotkanie Jugosłowianina. Ziljak — ogromny, niezbyt porządnie ubrany mężczyzna, nieco przypominający przyjaznego niedźwiedzia z wielką

strzechą czarnych włosów — objął go potężnymi ramionami. Na imię miał Kemal, co wskazywało na jego tureckie pochodzenie. Shannon nie miał nic przeciwko temu; nieraz miewał do czynienia z Turkami, którzy zawsze byli dobrymi żołnierzami, świetnymi kompanami i serdecznie nienawidzili wszelkiej biurokracji.

— Mój asystent — przedstawił go Baker. Ziljak uściśnął Shannonowi rękę i wymamrotał coś po serbsko-chorwacku. Z Bakerem rozmawiał po niemiecku, natomiast po angielsku nie znał ani słowa.

Przy jego pomocy wyciągnęli z biura naczelnika urzędu celnego i we czwórkę poszli do magazynu. Naczelnik zamienił kilka słów ze strażnikiem, po czym weszli do środka. Skrzynie leżały w kącie hali. W sumie było ich trzynaście; jedna zawierała obie bazooki, dwie po jednym moździerzem, łącznie z podstawą i mechanizmem celowniczym, cztery — pociski do bazook, sześć ostatnich — trzysta granatów moździerzowych. Skrzynie były wykonane ze świeżych desek bez jakichkolwiek napisów, informujących o zawartości, ale na każdej znajdował się numer kolejny oraz nazwa Toskania.

Ziljak i naczelnik porozmawiali jeszcze przez chwilę — na szczęście okazało się, że obaj posługują się tym samym językiem, co w wielonarodowej Jugosławii wcale nie jest takie oczywiste — po czym pośrednik odwrócił się do Bakera i powiedział kilka słów w kulawej niemczyźnie. Baker odpowiedział, Ziljak przetłumaczył, a następnie trzej mężczyźni uśmiechnęli się, uściśnęli sobie dłonie i wyszli z magazynu. Na zewnątrz upał uderzył w nich z siłą kowalskiego młota.

— O co chodziło, do diabła? — zapytał Shannon.

— Celnik zapytał Kemala, czy ma dla niego jakiś prezent — wyjaśnił Baker. — Kemal powiedział mu, że na pewno coś znajdzie, jeśli do jutra rana wszystkie papiery będą gotowe, a ładunek bez przeszkód trafi na statek.

Połowę tysiącfunтового wynagrodzenia Ziljaka Shannon przekazał Bakerowi wcześniej, teraz więc handlarz odciągnął Jugosłowianina na bok, aby dyskretnie dać mu pieniądze. Na widok banknotów Ziljak stał się jeszcze bardziej serdeczny i zaprosił ich do hotelu, aby oblać interes odrobiną śliwownicy. Słowo „odrobina” padło z ust Bakera, który był tłumaczem, natomiast jeśli Ziljak rzeczywiście go użył, to chyba tylko w przenośni. Zadowolony Jugosłowianin nigdy nie poprzestaje na odrobinie śliwownicy. Pośrednik zamówił butlę ognistego trunku oraz wielką salaterkę z migdałami i oliwkami, po czym, w promieniach słońca zniżającego się powoli ku wodom Adriatyku, zaczął snuć wspomnienia o latach młodości, spędzonych w bośniackich górach w partyzanckich oddziałach Tity.

Translatorskie umiejętności Bakera zostały wystawione na ciężką próbę, kiedy Ziljak opowiadał o swoich wyczynach w Czarnogórze, na wybrzeżu Hercegowiny, a także w chłodniejszej, zalesionej okolicy na północ od Splitu, w Bośni. Najwięcej radości sprawiała mu świadomość, że teraz jeździ po całym kraju załatwiając różne sprawy w imieniu swego wysoko postawionego brata, a kiedyś mógłby zginać, gdyby tylko postawił nogę w którymś z miasteczek zajętych przez Niemców. Shannon zapytał go, czy będąc partyzantem był także aktywnym komunistą; Baker przetłumaczył pytanie, zastępując słowo „aktywny” słowem „dobry”.

Ziljak uderzył się pięścią w pierś.

— Guter Kommunist! — wykrzyknął z zapalem, ale natychmiast zrujnował cały efekt, gdyż mrugnął, ryknął donośnym śmiechem, po czym odchylił do tyłu głowę i wlał w siebie kolejny kieliszek śliwownicy. Gruby zwitek banknotów tworzył wypukłość wyraźnie widoczną pod ciasno opiętym materiałem spodni. Shannon także się roześmiał. Szkoda, że jugosłowiański olbrzym nie popłynie z nim do Zangaro. Na pewno by się tam przydał.

Nie jedli kolacji, a o północy podążyli niezbyt pewnym krokiem do portu, by obserwować

przybycie Toskanii. Statek wpłynął do basenu portowego godzinę później i przycumował przy nabrzeżu z ciosanego kamienia. Semmler stał na dziobie, Waldenberg zaś rozmawiał na rufie z jednym z marynarzy. Wcześniej uzgodniono, że wszelkie formalności ma załatwiać Semmler.

Wkrótce potem Baker i Ziljak wrócili do hotelu, Shannon zaś, nie zauważony przez nikogo, wszedł po trapie na pokład i zniknął w kabinie kapitana. Semmler i Waldenberg zjawili się tam kilka minut później.

Shannon wyjaśnił Waldenbergowi, co naprawdę Toskania miała wziąć na pokład w Ploce. Niemiec wysłuchał go z niewzruszoną twarzą, po czym powiedział:

— Nigdy nie przewoziłem broni. Mówi pan, że to jest legalne. Całkiem legalne?

— Całkowicie — odparł Shannon. — Broń została zakupiona w Belgradzie za wiedzą i zgodą władz jugosłowiańskich. Gdyby było inaczej, nie dostalibyśmy zezwolenia na wywóz. Zezwolenie jest autentyczne, nikogo też nie przekupywaliśmy. Wszystko odbywa się w zgodzie z tutejszym prawem.

— A co z prawem kraju, do którego płyniemy?

— Toskania nawet nie zbliży się do wód terytorialnych państwa, na którego terenie ma być wykorzystana ta broń. Po drodze zawiniemy jeszcze do dwóch portów, żeby zabrać dodatkowy ładunek. Jak pan wie, statki, które niczego nie wyładowują, nigdy nie są kontrolowane, chyba że policja lub celnicy otrzymają jakiś donos.

— Mimo to takie rzeczy jednak się zdarzają — odparł Waldenberg. — Jeśli znajdą w ładowni broń, która nie była wyszczególniona w liście przewozowym, statek zostanie zatrzymany, a ja trafię za kratki. Nie wiedziałem, że chodzi o coś takiego. Teraz, kiedy działają IRA i Czarny Wrzesień, wszyscy szukają broni.

— Ale nie w porcie, w którym dokonujemy tylko załadunku towaru.

— Nie wiedziałem, że chodzi o coś takiego — powtórzył kapitan.

— Ale był pan prawie pewien, że będziemy przewozić nielegalnych imigrantów do Wielkiej Brytanii.

— Są całkowicie legalni, dopóki nie postawią stopy na Wyspach — zwrócił mu uwagę Waldenberg — a Toskania pozostaje poza wodami terytorialnymi. Broń to zupełnie inna sprawa. Jest nielegalna już teraz, bo w liście przewozowym nie ma o niej ani słowa. Dlaczego by jej tam nie wpisać? Możemy powiedzieć, że wieziemy broń z Ploce do Togo. Nikt się nie dowie, że później zboczyliśmy z kursu.

— Nie możemy tego zrobić, bo wtedy Hiszpanie nie pozwolą nam wpłynąć ani do Walencji, ani do żadnego innego portu, i nie będzie mogło być mowy o zabraniu ładunku, który tam na nas czeka. W liście przewozowym nie może być ani słowa na temat broni.

— W takim razie oficjalnie skąd płyniemy?

— Z Brindisi — odparł Shannon. — Mielicie zabrać ładunek, ale okazało się, że nie został dostarczony na czas, więc armator skierował was do Walencji, a stamtąd do Latakii.

— Co będzie, jeśli hiszpańska policja przeszuka statek?

— Nie mają żadnego powodu, żeby to robić. Na wszelki wypadek jednak trzeba ukryć skrzynie w najgłębszych zakamarkach statku.

— Jeżeli je tam znajdą, przepadliśmy z kretelem — zauważył kapitan. — Pomyślą, że przywieźliśmy broń dla Basków. Zapuszczają nas do końca życia.

Rozmowa przeciągnęła się do trzeciej nad ranem. Ostatecznie Waldenberg zgodził się na dodatkową premię w wysokości 5000 funtów, płatną w połowie przed załadunkiem, a w połowie po wypłynięciu z Walencji. Z postojem w Latakii nie wiązały się żadne problemy, więc kapitan nie

domagał się za to zapłaty.

— Załatwi pan sprawę z załogą? — zapytał Shannon.

— Załatwię — odparł Waldenberg. Shannon nie miał najmniejszych wątpliwości, że kapitan dotrzyma słowa.

Po powrocie do hotelu Shannon wręczył Bakerowi 3600 dolarów, czyli trzy czwarte należności za broń, po czym próbował się trochę przespać. Jednak co chwila budził się, zlany potem, wyobrażając sobie Toskanię przeszukiwaną przez celników od stępki po szczyt nadbudówki. A przecież już tak niewiele dzieliło go od celu: tylko trzy niebezpieczne chwile, a potem nic już nie zdoła mu przeszkodzić.

Załadunek rozpoczął się o siódmej, kiedy słońce stało już wysoko na niebie. Skrzynie, eskortowane przez uzbrojonego celnika, były jedna za drugą przewożone wózkami na nabrzeże, skąd załoga Toskanii przenosiła je do ładowni za pomocą bomu załadunkowego. Ponieważ nie były bardzo wielkie, Vlaminck i Cipriani nie mieli żadnych kłopotów z ustawieniem ich w ładowni i przymocowaniem linami do podłogi. O dziewiątej ostatnia skrzynia trafiła pod pokład.

Waldenberg niezwłocznie polecił uruchomić silnik mechanikowi, który błyskawicznie wykonał polecenie. Shannon dowiedział się później, że kiedy Serb zorientował się po wypłynięciu z Brindisi, iż statek kieruje się ku brzegom Jugosławii, z jego ust popłynął strumień najwymyślniejszych przekleństw. Nie ulegało wątpliwości, że miał na sumieniu jakieś grzeszki, za które był poszukiwany w ojczyźnie. Przez cały czas pobytu Toskanii w porcie siedział pod pokładem. Nikt go jednak nie szukał.

Kiedy statek głośno posapując wypłynął z portu, Shannon dał Bakerowi pozostałe 3600 dolarów oraz 500 funtów dla Ziljaka. Przedtem w tajemnicy przed oboma mężczyznami kazał Vlaminckowi dyskretnie sprawdzić zawartość pięciu spośród wniesionych na pokład skrzyń. Belg pomachał z ładowni Semmlerowi, ten zaś przekazał Shannonowi umówiony sygnał. Wszystko w porządku.

Wkrótce potem Baker przekazał Ziljakowi 500 funtów, tak jakby pochodziły od niego. Jugosłowianin, zgodnie z obietnicą, odwiedził naczelnika urzędu celnego, natomiast Alan Baker ze swoim brytyjskim „asystentem” opuścił miasto.

W kalendarzu Shannona był to dzień sześćdziesiąty siódmy.

Zaraz po tym, jak Toskania wyszła w morze, kapitan Waldenberg zaczął organizować życie na statku. Trzej członkowie załogi zostali jeden po drugim wezwani do kabiny na rozmowę. Żaden z nich o tym nie wiedział, ale gdyby teraz odmówili dalszej współpracy, wszyscy staliby się ofiarami tragicznych wypadków. Niewiele miejsc nadaje się lepiej do szybkiego załatwiania porachunków niż statek na pełnym morzu, a Vlaminck i Dupree wyglądali na takich, którzy mają dość krzepy, aby wyekspediować obciążone zwłoki daleko za burtę. Nie wiadomo, czy przyczyniła się do tego ich obecność, ale nikt nie zgłosił żadnych zastrzeżeń.

Waldenberg rozdysponował wśród załogi 1000 spośród 2500 funtów w czekach podróżnych, które otrzymał od Shannona. Jugosłowiański mechanik, zachwycony tym, że cały i zdrowy oddala się od brzegów ojczystego kraju, schował do kieszeni swoje 250 funtów i bez słowa komentarza skrył się w maszynowni. Pierwszy oficer, Norbiatto, zaniepokoił się perspektywą wizyty w hiszpańskim więzieniu, ale 600 funtów od kapitana stanowiły kapitał, który pozwalał realnie myśleć o tym, że pewnego dnia wyruszy w rejs na własnym statku. Marynarz Cipriani z entuzjazmem przyjął wiadomość o tym, że płynie statkiem pełnym kontrabandy, wziął swoje 150 funtów, podziękował i odszedł, mrużąc pod nosem: „To jest życie!” Nie miał dużej wyobraźni, a poza tym nigdy nie siedział w hiszpańskim więzieniu.

Następnie otwarto wszystkie skrzynie, ich zawartość zaś zawinięto w plastikowe torby i

upchnięto pod podłogą ładowni, na samym dnie statku. Na przybitych z powrotem na miejscu deskach zostały ustawione skrzynie z niewinnym ładunkiem ubrań, łodzi pneumatycznych i silników.

Dopiero kiedy uporano się z tym wszystkim, Semmler wziął Waldenberga na bok i poradził mu, żeby umieścić pięć beczek z olejem w najdalszym kącie składu z częściami zamiennymi. Kiedy powiedział mu dlaczego, kapitan dostał szału i jednym tchem wyrzucił z siebie wszystkie przekleństwa, jakich nauczył się podczas marynarskiego żywota.

Semmlerowi udało się jednak go uspokoić i kilkanaście minut później siedzieli, pogodzeni, przy piwie. Toskania płynęła powoli na południe, w stronę Morza Jońskiego.

Nagle Waldenberg parsknął.

— Schmeissery! — wykrzyknął, pękając ze śmiechu. — Cholerne schmeissery! Do diabła, świat już dawno nie słyszał ich terkotu!

— Wkrótce usłyszysz — odparł Semmler. Waldenberg zamyślił się głęboko.

— Wiesz co? — powiedział wreszcie, spoglądając z zazdrością na najemnika. — Żałuję, że nie mogę pójść z wami.

03.Psy Wojny

12

Kiedy Shannon zjawił się w umówionym miejscu, Simon Endean czytał Timesa, którego kupił rano w Londynie. Bar w hotelu Excelsior w Rzymie był prawie pusty, gdyż większość gości siedziała na tarasie przy przedpołudniowej kawie, obserwując zakorkowane ulice i starając się przekrzyczeć dobiegający z nich hałas.

Shannon wybrał Rzym wyłącznie dlatego, że łatwo mógł dostać się tu z Dubrownika, a w dodatku było mu tu po drodze do Madrytu. Nigdy wcześniej nie był w tym mieście i nie mógł zrozumieć, czym właściwie zachwycali się autorzy przewodników. Trwało właśnie co najmniej siedem strajków, w tym także śmieciarzy, w związku z czym nad stolicą Włoch unosił się odór gnijących w upale odpadków, które zalegały chodniki i boczne uliczki.

Zagłębił się w fotelu obok londyńczyka, rozkoszując się spokojem i chłodem panującymi we wnętrzu. Minioną godzinę spędził w rozgrzanej taksówce, która torowała sobie z trudem drogę przez zatłoczone ulice.

Endean zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

— Dość długo nie dawał pan znaku życia — stwierdził cierpko. — Moi współnicy zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie wystawił pan nas do wiatru. To nie było rozsądne.

— Nie odzywałem się, bo nie miałem nic ciekawego do powiedzenia. To nie jest najszybszy statek na świecie. Ściągnięcie go z Tulonu do Jugosławii musiało trochę potrwać, a w tym czasie właściwie nic się nie działo. Przywiózł pan mapy?

— Oczywiście. — Endean wskazał wypchaną teczkę stojącą obok fotela. Otrzymawszy list od Shannona spędził kilka dni w najlepszych firmach kartograficznych przy Leadenhall Street w Londynie, gdzie nabył w małych partiach mapy wód przybrzeżnych Afryki od Casablanki po Kapsztad. — Po co panu aż tyle? — zapytał z rozdrażnieniem. — Jedna albo dwie na pewno by wystarczyły!

— Względny bezpieczeństwa — odparł lakonicznie Shannon. — Gdyby celnicy przeszukali bagaż któregoś z nas albo gdyby sprawdzili statek, jedna mapa natychmiast zdradziłaby prawdziwy cel podróży. W obecnej sytuacji nikt, nie wyłączając kapitana i załogi, nie będzie w stanie ustalić, która część wybrzeża naprawdę mnie interesuje. Powiem im to dopiero w ostatniej chwili, kiedy i tak nie będą mogli nic począć z tą informacją. Ma pan też slajdy?

— Tak, naturalnie.

Drugie zadanie Endeana polegało na wykonaniu slajdów ze wszystkich fotografii, które Shannon przywiózł z Zangaro, oraz z map i szkiców portu w Clarence, i linii brzegowej w pobliżu miasta. Shannon wcześniej wysłał już na Toskanię rzutnik kupiony w strefie wolnocłowej na londyńskim lotnisku.

Teraz złożył Endeanowi szczegółowe sprawozdanie z tego, co zrobił. Obejmowało pobyt w Brukseli, załadunek schmeisserów i resztę wyposażenia w Tulonie, rozmowy ze Schlinkerem i Bakerem w Hamburgu, a wreszcie odbiór jugosłowiańskiej broni w Ploce.

Endean słuchał w milczeniu, notując ważniejsze fakty, aby później przekazać je sir Jamesowi Mansonowi.

— Gdzie jest teraz Toskania! — zapytał w pewnej chwili.

— Powinna być gdzieś na południowy zachód od Sardynii, w drodze do Walencji.

Następnie Shannon powiedział Anglikowi o planach na najbliższe trzy dni: dotyczyły one załadunku 400 000 sztuk amunicji w Walencji i wyruszenia w kierunku celu. Nie wspomniał jednak ani słowem, że jeden z jego ludzi jest już w Afryce.

— Muszę pana o coś zapytać — zwrócił się do Endeana. — Co stanie się po ataku, o świcie? Nie zdołamy utrzymać się zbyt długo, więc byłoby dobrze, żeby nowy rząd sformował się jak najszybciej i ogłosił, że dokonano zamachu stanu.

— Wszystko zostało już przygotowane — zapewnił go Endean. — Tak się składa, że najważniejszy w całej tej sprawie jest właśnie nowy rząd. — Otworzył teczkę i wyjął z niej trzy kartki pokryte gęstym maszynowym pismem. — Oto pańskie instrukcje dotyczące postępowania od chwili, kiedy opanujecie pałac i zlikwidujecie opór. Proszę je przeczytać, zapamiętać i zniszczyć jeszcze tu, w Rzymie, przed naszym rozstaniem. Plan musi pozostać wyłącznie w pańskiej głowie.

Shannon przebiegł wzrokiem pierwszą stroną. Właściwie nie było tam nic, czego by się wcześniej nie spodziewał. Już od dawna podejrzewał, iż Manson chce osadzić na fotelu prezydenckim pułkownika Bobiego. Choć nowy prezydent nie był wymieniony z nazwiska, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że chodzi właśnie o przebywającego na wygnaniu oficera. Sam plan, przynajmniej z punktu widzenia najemnika, był bardzo prosty.

Cat podniósł wzrok znad kartki i spojrzał na Endeana.

— A gdzie pan wtedy będzie? — zapytał.

— Sto sześćdziesiąt kilometrów na północ.

A więc Anglik będzie czekał w stolicy graniczącego od północy z Zangaro państwa, skąd można było drogą dojechać do Clarence.

— Jest pan pewien, że mój sygnał do pana dotrze?

— Będę miał przenośne radio Brauna, najlepsze, jakie można kupić. Odbierze każdą, nawet najdalejszą stację, pod warunkiem, że transmisja odbędzie się na odpowiedniej częstotliwości. Radiostacja statku ma zasięg co najmniej dwa razy większy niż będzie nam potrzebny.

Shannon skinął głową, po czym wrócił do lektury. Kiedy skończył, położył maszynopis na stoliku.

— Wygląda na to, że wszystko w porządku, ale chciałbym uniknąć wszelkich niejasności — powiedział. — O ustalonej godzinie zacznę nadawać sygnał z Toskanii, która wtedy będzie się znajdowała w odległości pięciu lub sześciu mil od brzegu, ale to, czy pan go odbierze, czy nie, będzie już wyłącznie pańską sprawą.

— Proszę go tylko nadać — odparł Endean. — Ta częstotliwość została już wielokrotnie sprawdzona. Sygnał wysłany z nadajnika Toskanii powinien być słyszalny co najmniej w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Może nie przechwycę go za pierwszym razem, ale jeśli będzie pan go powtarzał przez pół godziny, na pewno mi się uda.

— Dobra. Jeszcze jedna sprawa: wiadomości o wydarzeniach w Clarence raczej nie dotrą do posterunku granicznego. Będzie pan musiał jakoś sobie poradzić ze strażą. Możliwe, że w drodze do stolicy napotka pan jeszcze więcej Vindu, uciekających do dżungli, ale nadal niebezpiecznych. Co będzie, jeśli nie uda się panu przedrzeć?

— Na pewno się uda — odparł Endean. — Otrzymamy pomoc. Shannon przypuszczał — zresztą całkiem słusznie — że pomoc tę

zapewni działająca na terenie sąsiedniego państwa mała filia spółki Mansona. Ciężarówka, jeep, a może nawet kilka samopowtarzalnych karabinów mogą okazać się bardzo przydatne. Po raz pierwszy najemnikowi nasunęło się podejrzenie, że arogancki Anglik wcale nie musi być takim mięczakiem, na jakiego wygląda.

Shannon szybko zakonotował w pamięci hasło oraz częstotliwość, po czym w męskiej toalecie spalił otrzymane kartki. Godzinę później mężczyźni rozstali się. Nie mieli sobie już nic więcej do powiedzenia.

Pułkownik Antonio Altnela, szef Biura Kontroli Eksportu w hiszpańskim Ministerstwie Spraw Wojskowych, siedział za biurkiem w swoim gabinecie na czwartym piętrze gmachu ministerstwa i uważnie studiował rozłożone przed nim dokumenty. Był siwowłosym prostym człowiekiem, który w swoim postępowaniu kierował się nieskomplikowanymi zasadami lojalności i nie uznawał żadnych kompromisów. Lojalność dotyczyła Hiszpanii, jego ukochanej ojczyzny; zdaniem pułkownika wszystko, co w niej najlepsze, uosabiał jeden człowiek — niski, starzejący się generalissimo, rezydujący w El Padro. Antonio Almela był zdeklarowanym falangistą.

Teraz liczył sobie pięćdziesiąt osiem lat, a więc już tylko dwa lata dzieliły go od emerytury. Należał do tych, którzy dawno temu zeszli wraz z Franco na piasek Fuengirolí. Obecny El Caudillo był wtedy buntownikiem i banitą, powracającym wbrew zakazowi do kraju, aby rozpocząć wojnę z republikańskim rządem w Madrycie. Było ich bardzo niewiele. Rząd skazał wszystkich na śmierć i niewiele brakowało, żeby taki właśnie los stał się i ich udziałem.

Sierżant Almela był dobrym żołnierzem. Posłusznie wykonywał wszystkie rozkazy, między kolejnymi bitwami i egzekucjami uczęszczał na msze, i święcie wierzył w Boga, Niepokalaną Dziewicę, Hiszpanię oraz Franco.

W innej armii i w innym czasie nigdy nie dosłużyłby się wysokiego stopnia. Tu koniec wojny zastał go już w randze kapitana. Należał do wąskiego kręgu najbardziej radykalnych, najwierniejszych oficerów. Pochodził z prostej chłopskiej rodziny, nie miał żadnego wykształcenia, a mimo to doczekał się awansu na pułkownika i był za to bardzo wdzięczny. Powierzano mu najbardziej poufne zadania. Żaden Hiszpan nigdy, pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć, że jego kraj eksportuje wielkie ilości broni do prawie wszystkich zakątków świata. Oficjalnie hiszpańskie władze potępiają handel bronią jako nieetyczny, gdyż przyczynia się do powstawania nowych konfliktów w świecie i tak targanym mnóstwem wojen, po cichu natomiast czerpią z niego ogromne zyski. Antonio Almela okazał się człowiekiem tak godnym zaufania, że powierzono mu kontrolę wszystkich dokumentów związanych z tym procederem; w jego też gestii były decyzje o przyznawaniu lub odmawianiu zgody na wywóz broni za granicę.

Dossier, które teraz leżało przed nim na biurku, trafiło do jego rąk już cztery tygodnie temu. Poszczególne dokumenty wchodzące w jego skład zostały sprawdzone przez Ministerstwo Obrony, które stwierdziło, że amunicja kalibru 9 mm nie znajduje się na liście artykułów objętych zakazem eksportu, oraz przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które potwierdziło, że na tajne konto w Banco Popular wpłynęła stosowna suma pieniędzy.

W tej chwili pułkownik przyglądał się podaniu o zgodę na przetransportowanie skrzyń z amunicją z Madrytu do Walencji i załadowanie ich na statek Toskania. Do podania dołączono udzieloną przez niego osobiście zgodę na wywóz przesyłki za granicę.

— Dlaczego ta zmiana? — zapytał pułkownik stojącego przed nim cywilnego urzędnika.

— W ciągu najbliższych dwóch tygodni w Walencji nie będzie żadnego wolnego miejsca przy nabrzeżu. Port jest zatłoczony do ostateczności.

Pułkownik Almela mruknął coś pod nosem. Powód wydawał się dość prawdopodobny. Latem do Walencji przyływa mnóstwo statków po pomarańcze z okolicznych plantacji. Mimo to Almela był niezadowolony, gdyż nie lubił zmian. Zawsze starał się załatwiać wszystko zgodnie z przepisami. Poza tym coś mu się nie podobało w tym zamówieniu. Było małe, stanowczo za małe jak na siły policyjne całego kraju. Tyle amunicji nie wystarczy nawet na godzinne ćwiczenia na strzelnicy dla

tysiąca policjantów. Poza tym pułkownik nie ufał Schlinkerowi, którego dobrze znał i który przesłał to zamówienie wraz z kilkoma innymi. Wśród nich było także zamówienie na tysiąc pocisków armatnich dla Syrii.

Almela ponownie przejrzał dokumenty. Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił pierwszą; pora lunchu. Papiery były w porządku, łącznie ze świadectwem końcowego użytkownika, miały też wszystkie wymagane pieczęcie. Gdyby tylko udało mu się znaleźć jedną, choćby najmniejszą nieścisłość... O niczym takim nie mogło jednak być mowy.

Wreszcie pułkownik podjął decyzję: nabazgrał swoje nazwisko u dołu strony i wręczył dossier urzędnikowi.

— W porządku — warknął. — Niech będzie Castellón.

— Musieliśmy zmienić port załadunku z Walencji na Castellón — powiedział dwa dni później Johann Schlinker. — Nie było innego wyjścia, jeśli mieliśmy dotrzymać ustalonego terminu. Walencja była obłożona na kilka tygodni naprzód.

Cat Shannon siedział na łóżku w pokoju handlarza w hotelu Mindanao.

— Gdzie leży Castellón? — zapytał.

— Sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ. To mniejszy port i znacznie spokojniejszy. Dla waszych potrzeb chyba nawet lepszy od Walencji, bo obsługa jest tam szybsza. Zawiadomiłem już przedstawiciela firmy przewozowej z Walencji. Pojedzie do Castellón, żeby osobiście dopilnować załadunku. Toskania otrzyma wiadomość o zmianie natychmiast, gdy nawiąże łączność radiową z kapitanatem portu w Walencji. Jeśli od razu zmieni kurs, opóźnienie nie powinno przekroczyć kilku godzin.

— A co z moim wejściem na pokład?

— To już pańska sprawa — odparł Schlinker. — Ja ze swej strony zawiadomiłem miejscowego agenta, że jeden z członków załogi zszedł na ląd w Brindisi i ma ponownie zaokrętować się w Hiszpanii. Podałem mu nazwisko Keith Brown. Jak tam dokumenty?

— W porządku. Mam paszport i książeczkę marynarza.

— Dwudziestego czerwca z samego rana znajdzie pan agenta na posterunku celnym w Castellón — poinformował go Schlinker. — Nazywa się senor Moscar.

— Jak mają się sprawy w Madrycie?

— Ciężarówka będzie załadowana pod wojskowym nadzorem dziewiętnastego, czyli jutro, między ósmą wieczorem a północą. Wyruszy pod eskortą o północy i dotrze do Castellón około szóstej rano, kiedy otwierają bramę portu. Jeśli Toskania przybędzie o czasie, powinna wtedy już stać przy nabrzeżu. Ciężarówka jest cywilna, z firmy przewozowej, z której usług zawsze korzystam. To dobrzy fachowcy. Wydałem polecenie, żeby zawiadomiono mnie natychmiast, gdy konwój wyruszy w drogę.

Shannon skinął głową. Wyglądało na to, że wszystko pójdzie jak po maśle.

— Będę tam — powiedział i wyszedł.

Tego samego popołudnia wynajął w jednej ze znanych firm szybkiego mercedesa. Nazajutrz o wpół do jedenastej wieczorem siedział znowu w pokoju Schlinkera. Obaj mężczyźni byli zdenerwowani, tak jak wszyscy, którzy włożywszy wiele wysiłku w staranne przygotowanie skomplikowanego planu, muszą beczynn timer czekać, wiedząc, że klucz do sukcesu lub porażki przedsięwzięcia spoczywa w cudzych rękach. Schlinker miał dodatkowo jeszcze inne powody do obaw. Zdawał sobie sprawę, że w razie poważniejszej wpadki władze z pewnością zechcą uważnie przyjrzeć się dostarczonemu przez niego świadectwu końcowego użytkownika. Jeśli fałszerstwo wyjdzie na jaw, będzie zmuszony zrezygnować z przynoszących znaczne dochody kontraktów z

Madrytem. Nie po raz pierwszy żałował, że w ogóle przyjął to zamówienie, ale jak większość handlarzy bronią nie potrafił oprzeć się pokusie zarobienia nawet niewielkich pieniędzy.

Minęła północ, wpół do pierwszej, a telefon nadal milczał jak zaklęty. Shannon przechadzał się po pokoju jak zwierzę zamknięte w klatce, od czasu do czasu piorunując otyłego Niemca oskarżycielskimi spojrzeniami.

Telefon zadzwonił za dwadzieścia pierwsza. Schlinker gwałtownym ruchem poderwał słuchawkę, powiedział po hiszpańsku kilka słów i zamilkł, czekając na odpowiedź.

— Co jest? — syknął Shannon.

Schlinker machnął ręką, nakazując mu milczenie. Nastąpiła kolejna niezrozumiała dla Shannona wymiana zdań po hiszpańsku, aż wreszcie Niemiec uśmiechnął się, kilka razy powiedział gracias, i wreszcie odłożył słuchawkę.

— Są w drodze — oznajmił. — Konwój wyruszył kwadrans temu. Ale Shannona nie było już w pokoju.

Konwój nie miał żadnych szans w wyścigu z mercedesem, mimo że na autostradzie łączącej Madryt z Walencją ciężarówka mogła utrzymywać stałą prędkość 90 kilometrów na godzinę. Shannon potrzebował czterdziestu minut na wydostanie się z Madrytu na autostradę, stracił więc sporo do konwoju, gdyż miejscowi kierowcy na pewno lepiej znali drogę, ale gdy dotarł na autostradę, pomknął z szybkością 160 kilometrów na godzinę, bacząc na wszystkie mijane ciężarówki. Dostrzegł to, czego szukał, w okolicach miasteczka Requena, sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Walencji.

W światłach samochodu ujrzął najpierw wojskowego jeepa, potem zaś ośmiotonową krytą ciężarówkę. Mijając ją, zdołał odczytać napis na plandecie; ciężarówka należała do firmy przewozowej współpracującej ze Schlinkerem. Na czele konwoju jechała limuzyna z oficerem na tylnym siedzeniu. Shannon jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu i mercedes pomknął w kierunku wybrzeża.

Tuż przed Walencją skręcił w obwodnicę okalającą pogrążone we śnie miasto i skierował się ku autostradzie E26, do Barcelony. Kilka kilometrów na północ od Walencji autostrada zmieniła się w zwyczajną szosę. Musiał wlec się za ciężarówkami i furgonetkami pełnymi pomarańczy. Minął rzymską fortecę Sagunto, wykutą przez legionistów w litej skale, a potem zamienioną przez Maurów w islamską twierdzę, i o czwartej nad ranem dotarł do Castellón, rozglądając się za drogowskazami z napisem PUERTO.

Port w Castellón leży w odległości pięciu kilometrów od centrum miasteczka i jest z nim połączony wąską, prostą jak strzała drogą. Nie sposób go ominąć, bo droga kończy się niemal na nabrzeżu.

Jak większość śródziemnomorskich portów, także i ten składa się z trzech basenów: dla frachtowców, jachtów i motorówek, wreszcie dla łodzi rybackich. W Castellón basen handlowy znajduje się po lewej stronie, jeśli patrzeć z otwartego morza, i jak wszystkie hiszpańskie porty jest ogrodzony wysokim płotem, bram zaś strzegą przez całą dobę uzbrojeni ludzie z Guardia Civil. W środku stoi budynek kapitanatu portu, obok zaś wspaniały jachtklub z oknami restauracji wychodzącymi z jednej strony na basen jachtowy, z drugiej na nabrzeża cumownicze dla statków handlowych. Nieco w głębi lądu wznosi się kilka magazynów.

Shannon zatrzymał samochód na poboczu, wysiadł i ruszył dalej na piechotę. Mniej więcej w połowie ogrodzenia znalazł główną bramę; była zamknięta, a w małej budce obok drzemał uzbrojony wartownik. Shannon wspiał się na palce i pomiędzy prętami ogrodzenia dostrzegł z ulgą Toskanie stojącą przy nabrzeżu po przeciwnej stronie basenu. Uspokojony, wrócił do samochodu.

Za kwadrans szósta był już znów przed bramą, skinął głową wartownikowi, który odpowiedział

mu lodowatym spojrzeniem, i cierpliwie czekał. W promieniach wschodzącego słońca ujrzał w odległości około stu metrów konwój złożony z limuzyny, ciężarówki i wojskowego jeepa. Dziesięć po szóstej przed bramę zajechał samochód; kierowca — niewielki, elegancko ubrany Hiszpan — zatrąbił głośno i wysiadł z wozu. Shannon natychmiast podszedł do niego.

— Senor Moscar?

— Si.

— Nazywam się Brown. To ja jestem tym marynarzem, który miał tu wejść na pokład.

Hiszpan zmarszczył brwi.

— Por favor? Que?

— Brown — powtórzył Shannon. — Toskania. Twarz Hiszpana rozjaśniła się.

— Ah, si. El marinero. Tutaj, proszę.

Otwarto bramę. Moscar pokazał przepustkę i zaczął coś terkotać do wartownika, wskazując od czasu do czasu na Shannona. Cat zdołał wychwycić jedynie powtórzone kilkakrotnie słowo marinero. Wartownik z celnikiem obejrżeli jego paszport i książeczkę marynarza, po czym pozwolili mu wejść wraz z Moscarem do budynku urzędu celnego. Godzinę później był już na pokładzie Toskanii.

Rewizja zaczęła się o dziewiątej, bez żadnego ostrzeżenia. Listy przewozowe były w całkowitym porządku. Konwój wjechał na nabrzeże i zatrzymał się w pobliżu statku. Celnicy zamienili kilka słów z dowodzącym eskortą kapitanem, szczupłym mężczyzną o śniadej twarzy i wąskich ustach, po czym w towarzystwie Moscara weszli na pokład. Sprawdzili ładownię, upewniając się, że jest w niej tylko to, co wyszczególniono w listach przewozowych, zaglądali w najdalsze zakamarki i kąty, ale nie zainteresowali się pustą przestrzenią pod podłogą ładowni. Weszli również do magazynu, obrzucili spojrzeniem łańcuchy, beczki z olejem przekładniowym oraz puszki z farbą, po czym wyszli, zamykając za sobą drzwi. Kontrola trwała ponad godzinę. Największe zdziwienie celników wzbudził fakt, że kapitan Waldenberg potrzebuje aż siedmiu ludzi na tak małej jednostce. Wyjaśniono im, że Dupree i Vlaminck są pracownikami spółki, którzy spóźnili się w Brindisi na swój statek i skorzystali z uprzejmości kapitana Toskanii, aby dostać się na Maltę. Nie mieli przy sobie marynarskich dokumentów, ponieważ zostawili je na pokładzie swojego statku. Zapytany o to, jak się ten statek nazywa, Waldenberg podał nazwę jednostki, która cumowała w Brindisi w pobliżu Toskanii. Hiszpanie umilkli, czekając na decyzję swego zwierzchnika, który spojrzał na śniadoskórego kapitana, wzruszył ramionami i zszedł na nabrzeże. Dwadzieścia minut później rozpoczął się załadunek.

O wpół do pierwszej po południu Toskania wyszła z portu Castellón i skierowała się na południe, ku przylądkowi San Antonio. Cat oparł się o reling na rufie, odprowadzając spojrzeniem porośnięte pomarańczowymi gajami brzegi. Z emocji aż zakreśliło mu się w głowie; wiedział, że jest już po wszystkim i że już nikt ani nic nie zdoła go powstrzymać.

Podszedł do niego Carl Waldenberg.

— Czy to był ostatni postój? — zapytał.

— Ostatni, podczas którego otwieramy ładownię — odparł Shannon. — W Afryce weźmiemy na pokład paru ludzi, ale już nie będziemy przybijać do brzegu. Przyplyną łodzią. To miejscowi robotnicy — w każdym razie, taka jest oficjalna wersja.

— Moje mapy obejmują obszar tylko do Cieśniny Gibraltarskiej! — zaprotestował Waldenberg.

W odpowiedzi Shannon sięgnął pod połę zapinanej na suwak kurtki i wyjął stamtąd plik map — połowę tego, co Endeian dostarczył mu w Rzymie.

— Te mapy pozwolą panu dopłynąć do Freetown w Sierra Leone — powiedział, wręczając je kapitanowi. — Tam właśnie rzucimy kotwicę i weźmiemy ludzi na pokład. Toskania powinna

dopłynąć na miejsce w południe drugiego lipca.

Waldenberg natychmiast udał się do kabiny, by ustalić kurs i obliczyć prędkość statku. Shannon został sam na pokładzie. Za rufą polując na odpadki, które przygotowujący lunch Cipriani wyrzucał przez otwarty bulaj, uwijały się mewy. Na widok smakowitych kasków z przeraźliwym wrzaskiem pikowały ku spienionym falom.

Oprócz ich krzyku słyhać było jeszcze jedno: ktoś pogwizdywał cicho „Hiszpański Harlem”.

W tym samym czasie daleko na północy inny statek odbił od nabrzeża i posłuszny wskazówkom pilota skierował się ku wyjściu z portu w Archangielsku. Motorowiec Komarów został zwodowany zaledwie przed dziesięcioma laty i miał około pięciu tysięcy ton wyporności.

Na mostku było ciepło i przytulnie. Kapitan i pilot stali ramię w ramię, spoglądając na przesuwane się powoli do tyłu zabudowania portu i obserwując szlak wodny prowadzący na pełne morze. Obaj mieli w dłoniach kubki z gorącą kawą. Sternik utrzymywał statek na kursie podawanym przez pilota; po jego lewej stronie ekran radaru niestrudzenie ożywał i przygasał, ożywał i przygasał, za każdym obrotem zielonego promienia pokazując pokropkowany ocean oraz skraj pola lodowego, które nigdy się nie topiło — nawet w środku najcieplejszego lata.

Na rufie, pod czerwoną banderą z sierpem i młotem, stali dwaj mężczyźni, odprowadzający spojrzeniem arktyczny port. Dr Iwanów ścisnął mocniej zębami filtr papierosa i głęboko wciągnął orzeźwiający, przesycony zapachem soli powietrze. Obaj mężczyźni byli ciepło ubrani, gdyż nawet w czerwcu wiatr wiejący znad Morza Białego nie jest sprzymierzeńcem zwolenników koszul z krótkimi rękawami.

— Towarzyszu doktorze... — zaczął stojący obok naukowca technik, młody chłopak, bardzo podekscytowany pierwszą w życiu zagraniczną podróżą.

— Przyjacielu — przerwał mu Iwanów. Wyjął z ust niedopałek papierosa i rzucił go do morza. — Jesteśmy już za granicą, więc chyba możesz do mnie mówić „Michaile Michajłowiczu”.

— Ale w instytucie...

— Nie jesteśmy w instytucie, tylko na pokładzie statku, i w ciągu najbliższych miesięcy na pewno zdążymy się blisko zaznajomić.

— Rozumiem — powiedział technik, mimo wszystko bez większego przekonania. — Czy byliście już kiedyś w Zangaro?

— Nie — odparł jego zwierzchnik.

— A w ogóle w Afryce?

— Owszem, w Ghanie.

— Jak tam jest?

— Mnóstwo dżungli, bagien, moskitów, węży i ludzi, którzy nie rozumieją ani słowa z tego, co się do nich mówi.

— Ale przecież znają angielski, tak jak my?

— Na pewno nie w Zangaro.

— Och... — Wszystkie swoje wiadomości na temat Zangaro młody technik zaczerpnął z wielkiej encyklopedii, do której zajrzał w instytucie. — Kapitan powiedział mi, że jeśli pogoda będzie nam * sprzyjać, powinniśmy dopłynąć do Clarence za dwadzieścia dwa dni, dokładnie w ich Święto Niepodległości.

— I bardzo dobrze — mruknął Iwanów, po czym poszedł do swojej kabiny.

Ledwie Toskania minęła przylądek Espartel, definitywnie opuszczając Morze Śródziemne, i wpłynęła na Atlantyk, kapitan nadał do Gibraltaru wiadomość, która następnie, już jako telegram,

miała zostać przekazana pod londyński adres pana Waltera Harrisa. Wiadomość była bardzo krótka: „Z radością informuję, że pański brat całkowicie wyzdrowiał”. Oznaczało to, że Toskania jest już w drodze (i nie ma żadnych opóźnień. Mniej korzystne wiadomości o staniej zdrowia brata pana Harrisa sygnalizowałyby jakieś kłopoty lub opóźnienia, natomiast brak depeszy byłby znakiem, że statek w ogóle nie opuścił hiszpańskich wód terytorialnych.

Tego samego dnia po południu w gabinecie sir Jamesa Mansona odbyło się zebranie.

— Bardzo dobrze — powiedział przemysłowiec, kiedy Endean przekazał mu wiadomość. — Ile czasu potrzebują na dotarcie do celu?

— Dwadzieścia dwa dni, proszę pana. Dzisiaj mamy dzień siedemdziesiąty ósmy. Shannon planował, że opuści Europę osiemdziesiątego dnia przygotowań. Przewidywał szesnaście do osiemnastu dni na rejs, dwa na zapas, na wypadek wyjątkowo złej pogody. W tej chwili ma aż cztery dni zapasu.

— Czy wobec tego przyspieszy atak?

— Nie. Uderzenie nastąpi zgodnie z planem, setnego dnia.

Sir James Manson wstał z fotela i zaczął przechadzać się po gabinecie.

— Co z wynajęciem willi? — zapytał.

— Wszystko jest już przygotowane, proszę pana.

— W takim razie nie widzę powodu, żebyś jeszcze siedział w Londynie. Poleć do Paryża, weź wizę do Cotonou, poleć tam i razem z naszym nowym pracownikiem, pułkownikiem Bobim, przenieście się w pobliże granicy Zangaro. Jeśli będzie się niecierpliwił, daj mu trochę pieniędzy. Kiedy już tam dotrzecie, przygotuj ciężarówkę i sztucery. Jak tylko dostaniesz od Shannona sygnał o rozpoczęciu ataku, każ Bobiemu złożyć podpis na naszej koncesji, wstaw datę późniejszą o miesiąc, po czym wyślij mi oryginał i dwie kopie, każdą w oddzielnej kopercie. Musisz trzymać Bobiego pod kluczem aż do chwili, kiedy Shannon zawiadomi cię o powodzeniu operacji. Wtedy natychmiast wyruszycie w drogę. Aha, przy okazji: co z tym gorylem, którego bierzesz ze sobą?

— Za te pieniądze, proszę pana, zrobi wszystko, co mu każe.

— Jaki on właściwie jest?

— Najbardziej wredny typ, jakiego można sobie wyobrazić. Właśnie takiego szukałem.

— Mimo to możesz mieć kłopoty. Shannon będzie otoczony swoimi ludźmi — przynajmniej tymi, którzy przeżyją bitwę. Sprawa może się skomplikować.

— Ludzie Shannona zrobią to, co on im każe — odparł Endean z uśmiechem. — A z nim na pewno dam sobie radę. Jak wszyscy najemnicy, on też ma swoją cenę. Dostanie niezłą sumkę, ale dopiero w Szwajcarii, gdy opuści Zangaro.

Kiedy niedługo potem Simon Endean wyszedł z gabinetu, sir James Manson zapatrzył się na City, zastanawiając się, czy rzeczywiście każdy człowiek ma swoją cenę. „Każdego można kupić, a jeśli nie kupić, to przynajmniej złamać” — powiedział mu kiedyś jeden z jego mentorów. Po latach spędzonych w wielkim biznesie, obracając się wśród polityków, generałów, dziennikarzy, wydawców, biznesmenów, ministrów, przedsiębiorców, arystokratów, robotników i przywódców związkowych — czarnych i białych, w pracy i poza nią — Manson podzielał tę opinię.

Dawno temu pewien hiszpański żeglarz ujrzał z morza ostro zarysowaną na tle wschodzącego słońca sylwetkę góry, która skojarzyła mu się z kształtem głowy lwa. Nadał szczytowi nazwę Lwiej Góry — Sierra Leone — i ruszył w dalszą drogę. Nazwa przyjęła się, a wkrótce potem rozszerzyła na cały kraj. Jakiś czas później inny człowiek ujrzał tę samą górę w innym oświetleniu albo może spojrzął na nią innymi oczami, i ochrzcił ją Górą Aureoli. Ta nazwa także się przyjęła. Jeszcze później zupełnie inny człowiek, dając upust niczym nie uzasadnionej fantazji, nadał miastu

położonemu u jej podnóża nazwę Freetown5. Tuż po południu drugiego lipca, osiemdziesiątego ósmego dnia w prywatnym kalendarzu Shannona, motorowiec Toskania rzucił kotwicę w odległości jednej trzeciej mili morskiej od brzegu w pobliżu Freetown, stolicy Sierra Leone.

Na wyraźne żądanie Shannona przez cały okres podróży z Hiszpanii ekwipunek pozostawał w szczelnie zamkniętej ładowni, a to na wypadek, gdyby we Freetown czekała ich jakaś kontrola, choć było to bardzo mało prawdopodobne. Tuż po wyruszeniu w morze ze skrzyń z amunicją starannie usunięto wszystkie napisy, umieszczono zaś nowe, informujące, że skrzynie zawierają sprzęt dla platform wydobywczych u wybrzeży Kamerunu.

Shannon zezwolił na jedno: toboły z ubraniami zostały posortowane, uzbrojeni zaś w grube igły i mocne nici Cipriani, Vlaminck oraz Dupree przerobili część wojskowych plecaków tak, by w każdym znalazło się kilka podłużnych przegródek, w sam raz dla pocisków do bazooki. Inne plecaki po prostu wyrzucili, pozostawiając jedynie pasy. Przymocowali do nich specjalnie ukształtowane stelaże, na których można było przenosić prawie dwadzieścia granatów moździerzowych naraz.

Toskania zawiadomiła o swoim przybyciu kapitanat portu we Freetown, kiedy byli sześć mil od brzegu. Natychmiast dostała zgodę na zakotwiczenie w zatoce; nie dokonuje załadunku ani rozładunku, nie będzie więc zajmować cennego miejsca przy Nabrzeżu Królowej Elżbiety II. Przyplłynęła tu tylko po to, żeby wziąć na pokład miejscowych marynarzy.

Freetown jest jednym z tych zachodnioafrykańskich portów, gdzie kapitanowie niewielkich statków, zajmujących się transportem drewna, często zaglądają w poszukiwaniu krzepkich robotników. Ludzie ci, jako tako obeznani z podstawowymi obowiązkami marynarzy, wchodzą na pokład na początku rejsu, a schodzą, odbierając zapłatę, po jego zakończeniu. W maleńkich przystaniach ukrytych przy ujściach niezliczonych rzeczulek i strumieni wpadających do oceanu, gdzie nikt nigdy nie słyszał o żadnych dźwigach ani żurawiach, jedyną maszyną ułatwiającą pracę jest bom załadunkowy statku. Trzeba więc ciężko harować w gorących promieniach tropikalnego słońca. Biali marynarze są przecież marynarzami, nie wołami roboczymi, a na miejscu trudno znaleźć ludzi, mających choćby jakie takie pojęcie o tej pracy. Zatrudnia się więc obywatele Sierra Leone. Zwerbowani przez cały czas podróży śpią pod gołym niebem na pokładzie statku, sami sobie gotują, a potrzeby fizjologiczne załatwiają na rufie. Toteż nikt we Freetown nie wyraził zdziwienia, kiedy Toskania podała, że powodem jej przybycia jest werbunek siły roboczej.

Jak tylko łańcuch kotwiczny zaklekotał w kluzie, Shannon stanął przy burcie i zaczął uważnie przypatrywać się brzegom zatoki i nędznym domostwom przedmieść stolicy.

Co prawda nie padało, ale niebo było szare, a pod nisko wiszącą warstwą chmur panował upał jak w cieplarni. Shannon czuł, że koszula przykleja mu się do ciała. Tak będzie już przez cały czas. Skierował wzrok ku centralnej części wybrzeża zatoki, gdzie tuż nad wodą stał duży hotel. Langarotti musiał tam właśnie się zatrzymać i oczekiwać na przybycie statku. Czyżby go jeszcze nie było? Niestety, nie będą mogli czekać w nieskończoność. Jeśli Korsykanin nie zjawi się do zachodu słońca, trzeba będzie wymyślić jakiś pretekst, aby usprawiedliwić dłuższy postój w zatoce — na przykład awarię chłodni. W tym klimacie rejs bez sprawnej chłodni jest nie do pomyślenia. Shannon oderwał wzrok od hotelu i przeniósł go na załadowany tarcicą statek stojący przy nabrzeżu.

W rzeczywistości Langarotti dostrzegł statek, jeszcze zanim kapitan Waldenberg polecił rzucić kotwicę. Cekał w mieście już od tygodnia wraz z ludźmi, których kazał mu zebrać Shannon. Co prawda nie należeli do tego samego plemienia co większość obywateli Sierra Leone, ale dla władz miasta nie miało to żadnego znaczenia, tak wiele było tu ras i plemion.

Tuż po drugiej od nabrzeża w pobliżu siedziby urzędu celnego odbiła mała szalupa. Na rufie stał umundurowany urzędnik w białych skarpetkach, wyprasowanych spodenkach w kolorze khaki, takiej

samej koszuli z błyszczącymi naramiennikami i w czapce tkwiącej sztywno na głowie. W morzu tej elegancji tylko z największym trudem można było dojrzeć parę czarnych kolan i taką samą, lśniąca twarz.

Shannon powitał celnika na pokładzie, uścisnął mu serdecznie dłoń, przedstawił się jako reprezentant właściciela, po czym zaprosił go do kabiny kapitana, gdzie czekały już trzy butelki whisky i dwa kartony papierosów. Wachlujący się bez przerwy oficer odetchnął pełną piersią w klimatyzowanym wnętrzu, z zadowoleniem pociągnął łyk chłodzonego piwa, po czym zerknął bez specjalnego zainteresowania na nowe listy przewozowe, stwierdzające, iż Toskania odebrała w Brindisi wyposażenie dla platform wiertniczych kameruńskiej filii koncernu Agip. W listach nie było żadnej wzmianki o Jugosławii i Hiszpanii, wyszczególniono natomiast pozostały ładunek, także przeznaczony dla załóg platform: pneumatyczne łodzie gumowe, przyczepne silniki oraz odzież. W drodze powrotnej kapitan zamierzał zabrać kawę i kakao z San Pedro na Wybrzeżu Kości Słoniowej, po czym udać się prosto do Europy. Celnik chuchnął na swoją urzędową pieczęć, przystawił ją z rozmachem u dołu strony i zszedł do szalupy, zabierając ze sobą prezenty.

Kilka minut po szóstej, kiedy nadszedł wieczór i zrobiło się nieco chłodniej, Shannon dostrzegł dużą łódź zmierzającą w stronę statku. Oprócz dwóch wioślarzy było w niej siedmiu Murzynów z tobołkami na kolanach. Na dziobie siedział biały człowiek. Kiedy łódź zgrabnie przybiła do burty, po sznurowej drabince wspiął się Jean-Baptiste Langarotti. Zaraz po nim na pokładzie Toskanii znalazły się bagaże, potem zaś siedmiu ciemnoskórych mężczyzn. Choć można było uznać to za sporą nieostrożność, gdyż statek był doskonale widoczny z łądu, Vlaminc, Dupree i Semmler witali się serdecznie z nowo przybyłymi, ściskając im dłonie i poklepując po plecach. Szeroko uśmiechnięci Afrykańczycy wydawali się tak samo zadowoleni jak najemnicy. Waldenberg przyglądał się ze zdziwieniem tej scenie. Wreszcie Shannon dał mu znak, żeby wyprowadził Toskanię w morze.

Gdy zapadł zmrok i wszyscy zasiedli w małych grupkach na pokładzie, rozkoszując się chłodnymi powiewami wiatru, Cat przedstawił rekrutów kapitanowi. Najemnicy dobrze ich znali, podobnie jak oni najemników. Sześciu z nich to byli jeszcze bardzo młodzi ludzie, a nazywali się Johnny, Patrick, Jinja (częściej mówiono na niego Ginger), Sunday, Bartholomew i Timothy.

Wszyscy brali już udział w walkach, wszyscy zostali wyszkoleni przez doświadczonych europejskich żołnierzy, wszyscy też wielokrotnie sprawdzili się w boju i byli gotowi nawet na największe niebezpieczeństwo. Co najważniejsze, wszyscy byli oddani sercem i duszą swojemu wodzowi.

Siódmy mężczyzna był znacznie starszy, uśmiechał się rzadziej i zachowywał się bardziej dostojnie. Shannon zwracał się do niego „doktorze”. On także był lojalny wobec wodza i swoich ludzi.

— Co słyhać w domu? — zapytał Cat. Dr Okoye potrząsnął ze smutkiem głową.

— Nic dobrego — odparł.

— Jutro bierzemy się do pracy — powiedział Shannon. — Z samego rana zaczynamy przygotowania.

Część trzecia

MASAKRA

1

Przez resztę podróży Cat Shannon bez chwili przerwy ćwiczył swoich ludzi. Tylko człowiek, którego nazywał „doktorem”, nie brał w tym udziału. Reszta została podzielona na grupy, a każda miała do wykonania inne zadanie.

Marc Vlaminc i Kurt Semmler otworzyli pięć wielkich beczek, wydobyli z nich starannie

zapakowane schmeissery i magazynki, olej zaś, który doskonale nadawał się do użytku, przelali do mniejszych pojemników.

Następnie z pomocą sześciu afrykańskich żołnierzy rozpakowali broń i starannie oczyścili zamek oraz mechanizm spustowy każdego schmeissera. Zadanie to zostało wykonane równie sprawnie jak na najlepszym kursie obchodzenia się z bronią, a nawet sprawniej.

Potem mężczyźni otworzyli dziesięć skrzynek z amunicją, rozsiedli się na pokładzie i zabrali się do ładowania pocisków do magazynków, po trzydzieści do każdego. Kiedy pierwsze piętnaście tysięcy sztuk amunicji znalazło się w pięciuset magazynkach, odłożono na bok osiemdziesiąt pistoletów maszynowych, a Jean-Baptiste Langarotti zaczął kompletować umundurowanie. Każdy komplet składający się z dwóch bawełnianych koszulek, dwóch par szortów, dwóch par skarpet, pary butów, spodni, beretu i kurtki został włożony do śpiwora razem z jednym schmeisserem i pięcioma magazynkami, zawiniętymi w plastikową torbę. W ten sposób każdy z osiemdziesięciu śpiworów, zawiązany u góry niczym marynarski worek, zawierał pełne wyposażenie dla jednego żołnierza.

Dwadzieścia mundurów oraz dwadzieścia pistoletów maszynowych z magazynkami przeznaczono dla oddziału szturmowego; co prawda składał się on zaledwie z jedenastu ludzi, ale przewidziano zapas, na wypadek gdyby ktoś z członków załogi chciał się przyłączyć do grupy.

Langarotti, który podczas pobytu w wojsku i w więzieniu nabrał znacznej sprawności w posługiwaniu się igłą i nitką, dopasował mniej więcej każdy mundur do sylwetki użytkownika.

Dupree i Cipriani, który okazał się dobrym cieślą, rozmontowali puste skrzynie po amunicji, a następnie skoncentrowali się na przyczepnych silnikach do łodzi. Były to silniki Johnsona o mocy 60 koni mechanicznych każdy. Dwaj mężczyźni zbili z odzyskanych desek trzy skrzynki dopasowane rozmiarami do górnej części silników, po czym wyłożyli ich wewnątrz gąbką z zakupionych wcześniej materaców. Ponieważ rury wydechowe miały być ukryte pod wodą, to dodatkowe mechaniczne wyciszenie powinno zredukować hałas do prawie niesłyszalnego szmeru.

Kiedy Vlaminc i Dupree uporali się ze swoją robotą, zajęli się bronią, której mieli używać podczas ataku. Dupree poświęcił sporo uwagi obu moździerzom, zapoznając się z ich mechanizmami celowniczymi. Nigdy do tej pory nie korzystał z jugosłowiańskich; na szczęście z ulgą stwierdził, że obsługa nie będzie nastęczała żadnych trudności. Starannie przygotował siedemdziesiąt granatów moździerzowych i uzbroił ich zapalniki, po czym zapakował je do skrzynek. Dwie z nich przytroczył do specjalnego stelaża od plecaka, zakupionego w Londynie przed dwoma miesiącami.

Vlaminc skoncentrował się na bazookach. Tylko jedna miała zostać wykorzystana podczas szturmów. Niestety, ciężar sprzętu, który mieli zabrać ze sobą na brzeg, musiał być ograniczony ze względu na ich możliwości. Belg stanął na dziobie statku, obrał sobie za cel szczyt drzewca z banderą na rufie, po czym tak długo dostrajał mechanizm celowniczy, aż nabrał całkowitej pewności, że najwyżej dwoma strzałami zdoła trafić we wszystko, co znajdzie się bliżej niż dwieście metrów od niego. Postanowił, że jego pomocnikiem będzie Patrick, którego zdążył dobrze poznać, gdyż brali już razem udział w walkach. Ciemnoskóry żołnierz oprócz schmeissera miał dźwigać dziesięć pocisków do bazooki, Vlaminc zaś dodał do własnego ekwipunku jeszcze dwa pociski, na które Cipriani uszył mu od ręki dodatkowe ładownice.

Shannon najwięcej uwagi poświęcił wyposażeniu dodatkowemu. Najpierw sprawdził rakiety z magnezowymi flarami, wyjaśnił Janniemu zasadę ich działania, polem zaś wręczył każdemu najemnikowi kompas, skontrolował działanie syreny mgłowej i przetestował wszystkie krótkofalówki.

Ponieważ mieli czas, Shannon polecił kapitanowi, aby przez dwa dni utrzymywał Toskanię z dala od brzegu, w odległości co najmniej dwudziestu mil od innych jednostek. Statek kołysał się

niemrawo na falach, a uczestnicy operacji wprawiali się w obsłudze schmeisserow. Biali nie mieli z nimi żadnych problemów, gdyż przez ich ręce przeszło co najmniej dziesięć typów pistoletów maszynowych, a różnice między nimi nie były zbyt duże. Afrykańcykowi szło gorzej, gdyż do tej pory mieli do czynienia głównie ze standardowymi samopowtarzalnymi mauserami kalibru 7,62 mm, stanowiącymi wyposażenie wojsk NATO. Jeden ze schmeisserow ciągle się zacinał, więc Shannon wyrzucił go za burtę i wręczył żołnierzowi inny egzemplarz. Każdy Afrykańczyk wystrzelił pięćset pocisków, aby poznać zachowanie broni, wszystkim też udało się odzwyczaić od zamykania oczu w chwili oddawania strzału, czym grzeszą na ogół czarni żołnierze. Testowanie moździerzy nie miało większego sensu, gdyż ta broń nie zawiera żadnych ruchomych części, a celność strzałów oddawanych z ruchomego pokładu statku i tak pozostawiała wiele do życzenia.

Pięć pustych beczek po oleju wyrzucono za rufę, aby służyły jako cel do ćwiczeń z bazookami. I biali, i czarni mogli spróbować sił w strzelaniu na odległość stu metrów. Wkrótce cztery beczki poszły na dno, piątą zaś zajął się Marc Vlaminc. Pozwolił jej odpłynąć na dwieście metrów, po czym stanął w szerokim rozkroku na rufie, położył bazookę na ramieniu i wziął beczkę na cel. Nie śpieszył się, starając się wyczuć chwilę, kiedy pokład będzie mniej więcej nieruchomy. Kiedy wreszcie nacisnął spust, pocisk poszybował nad beczką i wpadł do morza, wzbijając w powietrze wysoką fontannę wody. Drugi pocisk trafił w sam środek celu. Rozległ się donośny huk, a poszarpane fragmenty metalowej powłoki rozprysnęły się w promieniu wielu metrów. Widzowie nagrodzili strzelca gromką owacją. Szeroko uśmiechnięty Vlaminc odwrócił się do Shannona, zdjął przeciwsłoneczne okulary i otarł przybrudzone sadzą czoło.

— Cat, wspominałeś coś o jakichś drzwiach?

— Tak, Mały. Musisz trafić w cholernie grube drewniane drzwi.

— Rozwalę je na zapalki — odparł Belg. — Masz na to moje słowo.

Ponieważ narobili okropnego hałasu, Shannon polecił, aby Toskania ponownie ruszyła w drogę, dwa dni później zaś zarządził kolejną przerwę w podróży. W ciągu tych dwóch dni z ładowni wydobyto wszystkie trzy pneumatyczne łodzie, napełniono je powietrzem i ułożono przy burcie na głównym pokładzie. Każda, choć ciemnoszara, miała jaskrawopomarańczowy dziób oraz nazwę producenta wypisaną na burcie także jaskrawymi literami. Zarówno dzioby, jak i napisy zostały zamalowane czarną farbą z zapasów statku.

Podczas kolejnej przerwy sprawdzili wszystkie trzy łodzie. Bez wyciszających skrzynek silniki były słyszalne nawet z odległości czterystu metrów, ale po ich założeniu i po zredukowaniu obrotów do jednej czwartej pracowały prawie bezszmerowo. Co prawda po dwudziestu minutach zaczynały się nieco przegrzewać, lecz wystarczyło trochę zmniejszyć moc, aby przedłużyć ten czas do pół godziny. Shannon spędził na jednej z łodzi ponad dwie godziny, starając się ustalić takie położenie przepustnicy, które dawało wystarczającą szybkość, nie czyniąc jednocześnie nadmiernego hałasu. Wystarczyło do tego wykorzystanie jednej trzeciej mocy silników; Shannon poradził swoim ludziom, aby w odległości stu metrów od brzegu zredukowali ją jeszcze bardziej, do jednej czwartej.

Okazało się także, że krótkofalówki mają zasięg ponad sześciu kilometrów, i choć przy tak dużej odległości pojawiały się spore zakłócenia, to wiadomość można było zrozumieć. Aby oswoić ciemnoskórych żołnierzy z warunkami, w jakich miała się odbyć akcja, najemnicy odbywali z nimi krótkie wypadki na pneumatycznych łodziach, i w dzień, i w nocy, po ciemku. Najważniejsze były te ostatnie.

Na jeden taki rejs Shannon zabrał czterech kolegów oraz sześciu Afrykańczyków. Odpłynęli na trzy mile od Toskanii, która wygasiała wszystkie światła, z wyjątkiem jednego, na szczycie masztu. Wszystkim pasażerom łodzi zawiązano wcześniej oczy. Na sygnał zdjęli opaski. Shannon dał im

dziesięć minut na przyzwyczajenie się do ciemności i wskazanie drogi do statku.

Kiedy łódź ruszyła z powrotem w kierunku ledwo widocznego światła na maszcie Toskanii, Shannon, który tkwił na rufie z ręką opartą na rumplu, wyraźnie wyczuwał napięcie siedzących przed nim mężczyzn. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że tak właśnie będą wyglądały ostatnie chwile przed atakiem, i że wtedy nie będzie już czasu na powtórki.

Na pokładzie czekał na nich Waldenberg.

— Żadnego hałasu — poinformował Shannona. — Pierwszy szmer usłyszałem, gdy byliście już dość blisko, ale musiałem dobrze nadstawić ucha. Jeśli na brzegu nie będzie straży postawionych w stan pogotowia, powinniście bez problemu dotrzeć tam, dokąd chcecie dotrzeć. A tak przy okazji: dokąd właściwie chcecie? Muszę mieć nowe mapy, jeśli mamy płynąć jeszcze dalej.

— Myślę, że powinniście się już dowiedzieć — odparł Shannon. — Zaraz zapoznam wszystkich ze szczegółami.

Cała załoga (z wyjątkiem mechanika, który wolał pozostać w maszynowni), siedmiu Afrykańczyków oraz czterech białych najemników zebrał się w głównej mesie, gdzie Shannon aż do świtu zaznajamiał ich z planem ataku. Bardzo pomocne okazały się slajdy, dzięki którym mógł zademonstrować zdjęcia wykonane w Zangaro, oraz mapy i plany, które stamtąd przywiózł albo wykonał osobiście.

Kiedy skończył, w dusznej kabinie zapadła cisza. Papierosowy dym wydobywał się przez otwarte bulaje, rozpluwając się w porannej szarówce.

— Gott im Himmel! — wykrzyknął wreszcie Waldenberg, przerywając milczenie. Teraz wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Przez godzinę padały pytania i odpowiedzi. Waldenbergowi najbardziej zależało na zapewnieniu, że w razie jakichś kłopotów ci, którzy przeżyją, wrócą natychmiast na pokład, aby jeszcze przed wschodem słońca Toskania mogła zniknąć za horyzontem. Uzyskał takie zapewnienie od Shannona.

— Mamy tylko pańskie słowo na to, że oni nie mają kanonierek albo czegoś w tym rodzaju — zauważył kapitan.

— Wobec tego moje słowo musi panu wystarczyć.

— Tylko dlatego, że nie widział pan żadnego okrętu...

— Nic nie mają! — przerwał mu Shannon. — Rozmawiałem z ludźmi, którzy mieszkają tam od wielu lat. Żadnych kanonierek, żadnej marynarki.

Sześciu czarnoskórych żołnierzy nie miało pytań. Wiedzieli, że muszą trzymać się blisko białych najemników i wierzyć w ich umiejętności. Siódmy, doktor, zapytał tylko, gdzie będzie podczas ataku; nie protestował, kiedy dowiedział się, że na pokładzie Toskanii. Czterech najemników pytali Shannona o niektóre szczegóły techniczne, a on wyjaśnił im, co chcieli.

Wkrótce wszyscy wrócili na pokład, gdzie Afrykańczycy wsunęli się do śpiworów i natychmiast zasnęli. Shannon często zazdrościł im tej umiejętności; mogli spać w każdym miejscu, bez względu na okoliczności. Doktor skrył się w swojej kabinie, to samo zrobił Norbiatto, który miał objąć następną wachtę. Waldenberg udał się do sterówki i niebawem Toskania znów ruszyła w kierunku celu odległego już tylko o trzy dni drogi.

Biali najemnicy zebrał się na rufie i pograżyli w rozmowie, która trwała do chwili, kiedy słońce znalazło się wysoko na niebie. Wszyscy pochwalili plan ataku oraz wyrazili zgodną opinię, że rekonesans przeprowadzony przez Shannona był dokładny i precyzyjny. Jednak doskonale zdawali sobie sprawę, że jeśli od tego czasu ochrona pałacu została wzmocniona albo jeśli wprowadzono jakieś zmiany w systemie obronnym miasta, wszystkim grozi śmierć. Było ich mało, stanowczo za mało, jak na tak poważną robotę, nie mogli więc sobie pozwolić na żaden błąd. Albo zwyciężą w

ciągu dwudziestu minut, albo będą musieli wycofać się do łodzi i uciec na statek — przynajmniej ci, którzy będą zdolni do ucieczki. Rannym nikt nie pomoże. Nawet jeśli któryś znajdzie rannego, lecz nie zdolnego iść o własnych siłach kolegę, odda mu tylko ostatnią przysługę, jaką najemnik może wyświadczyć najemnikowi; szybka, czysta śmierć jest znacznie lepsza od niewoli i długich, okropnych męczarni. Takie były reguły gry i każdy z nich już od dawna był z nimi za pan brat.

Tuż przed południem zakończyli dyskusję i poszli spać.

Rankiem dziewięćdziesiątego dziewiątego dnia wszyscy obudzili się bardzo wcześnie. Shannon przez pół nocy nie zmrugał oka. Obserwowali z kapitanem Waldenbergiem zarys linii brzegowej pojawiający się i znikający na małym ekranie radaru.

— Musimy podejść do brzegu na południe od stolicy i mając go cały czas w zasięgu wzroku popłynąć na północ, żeby około południa znaleźć się mniej więcej tutaj — powiedział Shannon do kapitana, wskazując palcem punkt na morzu w pobliżu wybrzeża Manandi. Po dwudziestu dniach morskiej podróży zaczął ufać Niemcowi. Waldenberg, otrzymawszy w Ploce należne wynagrodzenie, zaangażował się w przedsięwzięcie całą duszą i starał się ze wszystkich sił, żeby zakończyło się powodzeniem. Shannon był pewien, że kapitan nie ruszy się nawet na metr z umówionego miejsca, cztery mile od brzegu, a jeśli odbierze sygnał o niepowodzeniu akcji, na pewno zaczeka, aż niedobitki oddziału wrócą na Toskanię, a dopiero potem ruszy pełną parą w morze. Shannon nie miał zresztą wyboru: nie mógł zostawić na pokładzie nikogo, kto by tego dopilnował. Musiał zawierzyć Waldenbergowi.

Z samego rana ustawił nadajnik statku na częstotliwość, na której przekaże Endeanowi umówiony sygnał. Miał to zrobić w południe.

Godziny mijały powoli. Shannon obserwował przez lornetkę ujście rzeki Zangaro, które właśnie mijali. Gołym okiem dostrzegłby jedynie wąski pas drzew namorzynowych na horyzoncie. Po pewnym czasie w zwartym lesie pojawił się prześwit. Tam właśnie leżało miasto Clarence. Cat podał lornetkę Vlamincowskiemu. Najemnicy kolejno przyglądali się miejscu, w którym już wkrótce mieli wylądować. Wszyscy byli milczący, wszyscy też palili znacznie więcej niż zwykle; myśleli tylko o tym, żeby jak najprędzej skończył się nudny okres oczekiwania i by wreszcie przystąpić do akcji.

W południe Shannon zaczął nadawać wiadomość. Było to słowo „Banan”. Przez pięć minut powtarzał je głośno i wyraźnie co dziesięć sekund, przerwał na pięć minut, a potem ponowił transmisję. W ciągu pół godziny nadał sygnał trzy razy, mając nadzieję, że dotrze on do Endeana. W ten sposób dawał znać, że wraz ze swoimi ludźmi dotarł w wyznaczonym czasie na pozycje i że są gotowi następnego dnia przed świtem ruszyć do szturm na pałac Kimby.

W odległości dwudziestu dwóch mil morskich od statku Simon Endean odebrał na swoim przenośnym radiu umówione hasło, złożył długą teleskopową antenę, opuścił hotelowy balkon i wszedł do sypialni. Powoli i szczegółowo zaczął wyjaśniać byłemu pułkownikowi zangaryjskiej armii, że za dwadzieścia cztery godziny on, Antoine Bobi, zostanie prezydentem Zangaro. O czwartej po południu Endean i pułkownik, promieniejący zadowoleniem na myśl o rewanzu, jaki weźmie na tych, którzy skazali go na wygnanie, dogadali się ostatecznie i pułkownik niezwłocznie podpisał dokument. Na mocy tego dokumentu Bormac Trading Company otrzymała na dziesięć lat prawo wyłączności do eksploatacji zasobów Kryształowej Góry w zamian za symboliczną opłatę w wysokości ułamka procenta zysków, która będzie przekazywana na konto zangaryjskiego rządu. Endean wręczył Bobiemu potwierdzony czek na pół miliona dolarów, wystawiony na jego nazwisko i przeznaczony do realizacji w jednym ze szwajcarskich banków.

Tymczasem w Clarence trwały ostatnie przygotowania do jutrzejszych obchodów Święta Niepodległości. Sześciu skatowanych więźniów, przetrzymywanych w podziemiach dawnej siedziby

kolonialnej policji, słuchało okrzyków członków organizacji młodzieżowej, maszerujących główną ulicą miasta, zdając sobie sprawę, że jednym z kulminacyjnych momentów uroczystości będzie ich publiczna egzekucja na największym placu stolicy. Na wszystkich budynkach wisiały wielkie zdjęcia prezydenta Kimby, a żony dyplomatów przygotowywały się do ataku migreny, który pozwoli im uniknąć konieczności uczestniczenia w obchodach.

Prezydent Kimba siedział przy biurku w dobrze strzeżonym pałacu, otoczonym zewsząd strażnikami, i rozmyślał o zbliżającej się wielkimi krokami szóstej rocznicy objęcia urzędu.

Po południu Toskania ze śmiertcionośnym ładunkiem na pokładzie wykonała skręt o sto osiemdziesiąt stopni, po czym ruszyła powoli z powrotem na południe. Shannon siedział w sterówce popijając kawę i wyjaśniając Waldenbergowi, gdzie powinien skierować statek.

— Aż do zachodu słońca proszę trzymać się na północ od granicy. Około dziewiątej wieczorem ruszy pan wprost w kierunku wybrzeża, W tym czasie wszystkie trzy łodzie będą już spuszczone na wodę i przywiązane jedna za drugą do rufy statku. Proszę płynąć bardzo powoli, tak, żeby w tym miejscu, czyli mniej więcej cztery mile od brzegu i milę na północ od półwyspu, znalazł się pan o drugiej w nocy. Nikt nie zdoła dostrzec statku płynącego z wygaszonymi światłami, a z tego, co wiem, w porcie nie ma ani jednego radaru — chyba że akurat zawinął jakiś statek...

— Podczas postoju zawsze wyłącza się radar — burknął pochylony nad mapą Waldenberg. Za pomocą ekierki i kompasu wyznaczał kurs według wskazówek Shannona. — O której godzinie pierwsza łódź popłynie w stronę brzegu?

— O drugiej. Będzie w niej Dupree i mózdzierze. Dwie pozostałe łodzie wyruszą godzinę później. Czy wszystko jasne?

— Tak — odparł Waldenberg. — Odstawię was gdzie trzeba.

— Chodzi o precyzję — naciskał Shannon. — Nie zobaczymy światła Clarence — zakładając, że tam w ogóle są jakieś światła — aż do chwili, kiedy wypłyniemy z za cypla. Musimy polegać wyłącznie na wskazaniach kompasu, dopóki nie ujrzymy brzegu, a kto wie, czy wtedy nie będziemy już tylko sto metrów od niego. Noc może być pochmurna.

Waldenberg skinął głową. Resztę znał już na pamięć: w chwili kiedy usłyszy pierwsze strzały, skieruje Toskanię cztery mile w kierunku pełnego morza, potem dwie mile na południe od Clarence, a cztery od krańca półwyspu, po czym będzie czuwał przy radiostacji. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie w tym miejscu aż do wschodu słońca. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty, włączy światła na maszcie, dziobie i rufie, aby wskazać drogę powracającym uczestnikom operacji.

Tego wieczoru ciemność zapadła bardzo szybko, gdyż niebo było zasłane chmurami, a księżyc miał wejść dopiero przed samym świtem. Zaczęła się już pora deszczowa i w ciągu minionych trzech dni najemnicy przeżyli dwie tropikalne ulewy, ale według prognozy pogody z Monrowii, której wszyscy wysłuchali z zapartym tchem, tej nocy należało się spodziewać tylko niewielkiego przelotnego deszczu. Nie pozostało nic innego, jak modlić się, aby prognoza okazała się prawdziwa.

Jeszcze przed zachodem słońca ściągnięto plandeki, którymi był przykryty sprzęt na głównym pokładzie, po czym Shannon i Norbiatto zajęli się przygotowaniem pneumatycznych łodzi do drogi. Korzystanie z bomu załadunkowego miało się z celem, gdyż pokład znajdował się zaledwie dwa i pół metra nad powierzchnią wody, więc łódź została po prostu zepchnięta za burtę, a Semmler i Dupree zeszli do niej po sznurowej drabince. Umocowali silnik, uruchomili go, poczekali około dwóch minut, a następnie założyli tłumik wykonany z drewnianej skrzynki i grubej warstwy gąbki. Serbski mechanik sprawdził wcześniej wszystkie trzy silniki, toteż działały jak szwajcarskie zegarki. Po założeniu tłumika zduszony warkot ścichł do niskiego pomruku.

Semmler wrócił na statek. Zaczęto spuszczać do łodzi Dupree'ego resztę sprzętu. Najpierw

załadowano podstawy i urządzenia celownicze, a potem same moździerze. Dupree przewidywał, że odda czterdzieści strzałów w kierunku pałacu i dwanaście w kierunku baraków, ale na wszelki wypadek zabierał sześćdziesiąt pocisków. Wszystkie były uzbrojone w zapalniki uderzeniowe. Wziął także do łodzi obie wyrzutnie do wystrzeliwania flar, dziesięć ładunków, syrenę mgłową na sprężone powietrze, krótkofalówkę oraz noktowizor. Jego osobiste uzbrojenie stanowił schmeisser oraz pięć pełnych magazynków wetkniętych za pas. Timothy i Sunday, którzy uzupełniali skład zespołu, zeszli do łodzi dopiero wtedy, kiedy cały ekwipunek znalazł się na jej pokładzie.

Shannon skierował w dół strumień światła z latarki i spojrzął na trzy zwrócone w jego stronę twarze.

— Powodzenia — powiedział cicho.

W odpowiedzi Dupree podniósł kciuk i skinął głową. Semmler chwycił koniec linki przymocowanej do dziobu łodzi i ruszył powoli w kierunku rufy statku, gdzie przywiązał linkę do pachołka. Pneumatyczna łódź z trzema mężczyznami kołysała się na falach w odległości kilkunastu metrów od Toskanii.

Z drugą łodzią poszło znacznie szybciej. Wszyscy zdążyli już nabrać pewnej wprawy. Umocowaniem silnika zajęli się Vlaminck i Semmler, gdyż była to ich łódź. Vlaminck zabrał jedną bazookę i dwanaście pocisków; dwa miał przytroczone do pasa, dziesięć pozostałych niósł Patrick. Semmler, poza schmeisserem z pięcioma magazynkami, miał noktowizor oraz krótkofalówkę w specjalnej kieszeni na udzie. Ponieważ tylko on z całej grupy znał niemiecki, francuski oraz trochę angielski, przypadła mu w udziale funkcja głównego radiooperatora. Kiedy dwaj biali zajęli już miejsca, po sznurowej drabince zeszli do łodzi Patrick i Jinja, ich pomocnicy.

Następnie łódź została przesunięta bliżej rufy statku, gdzie Semmlerowi rzucono koniec linki łodzi Dupree'ego. Niemiec przywiązał ją do swojej łodzi, a sam rzucił na statek linkę przymocowaną do dziobu swojego pontonu. Cała operacja przebiegała w absolutnej ciszy.

Langarotti i Shannon wsiedli do trzeciej, ostatniej łodzi. Towarzyszili im Bartholomew i Johnny — potężnie zbudowany, zawsze uśmiechnięty zabijaka, niegdyś awansowany na wyraźne żądanie Shannona. Nie objął jednak wtedy dowództwa nad własnym oddziałem, choć miał do tego całkowite prawo; postanowił pozostać u boku Shannona i troszczyć się o jego bezpieczeństwo.

Cat już szykował się do zejścia do łodzi, kiedy nagle ze sterówki wyłonił się Waldenberg, podszedł szybko do niego, odciągnął go na bok i powiedział cicho:

— Zdaje się, że mamy kłopoty.

Shannon przez chwilę stał nieruchomo, sparaliżowany myślą, że wszystko może lec w gruzach.

— Co się stało? — zapytał wreszcie.

— W pobliżu jest jakiś statek.

— Kiedy pan go zauważył?

— Dość dawno, ale myślałem, że płynie na południe wzdłuż wybrzeża, tak jak my, albo na północ. Teraz jednak nie ma wątpliwości, że stoi w miejscu.

— Jest pan pewien?

— Całkowicie. Płynęliśmy tak powoli, że powinien albo nas wyprzedzić, albo minąć, ale on przez cały czas nie zmienił położenia.

— Wiadomo, co to za typ i do kogo należy? Niemiec pokręcił głową.

— Jest wielkości frachtowca, ale coś więcej będę mógł powiedzieć dopiero wtedy, kiedy nawiążemy z nim łączność.

Shannon zamyślił się głęboko.

— Czy to może być płynący z ładunkiem do Zangaro frachtowiec, który rzucił kotwicę, żeby

wejść do portu za dnia? — zapytał po pewnym czasie.

Waldenberg skinął głową.

— Całkiem możliwe. Do wielu portów na tym wybrzeżu nie wolno wpływać nocą. Prawdopodobnie zaczekają do rana i dopiero wtedy podniosą kotwicę.

— Skoro my ich zobaczyliśmy, oni pewnie zobaczyli nas?

— Na pewno. Mają nas teraz na radarze.

— A łodzie?

— Mało prawdopodobne — odparł kapitan. — Są zbyt płaskie, żeby dać odbicie na ekranie.

— W takim razie nadal działamy według planu — zdecydował Shannon. — Za późno na zmiany.

Musimy przyjąć, że to zwykły statek handlowy czekający na nadejście dnia.

— Na pewno usłyszą odgłosy walki — zauważył Niemiec.

— I co wtedy mogą zrobić?

— Niewiele — powiedział kapitan z uśmiechem. — Co najwyżej zobaczą Toskanię przez lornetki, jeśli wam się nie uda i będziemy tu jeszcze po wschodzie słońca.

— W takim razie musi się udać. Trzymamy się planu.

Waldenberg wrócił do sterówki, a do Shannona podszedł ciemnoskóry mężczyzna zwany doktorem, do tej pory obserwujący w milczeniu przygotowania.

— Powodzenia, majorze — powiedział po angielsku z nienagannym akcentem. — Niech Bóg ma was w swojej opiece.

Shannon otwierał już usta, aby powiedzieć, że on osobiście zamiast boskiej opieki wolałby przynajmniej jedno bezodrzutowe działko średniego kalibru, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

— Dzięki — mruknął, po czym zszedł po drabince do łodzi.

W ciemności do jego uszu docierało tylko pluskanie fal uderzających w gumową powłokę łodzi i szmer wody opływającej czarny kadłub statku. Od strony lądu nie dobiegały żadne dźwięki. Byli za daleko, a kiedy już dobrze po północy przyplłyną bliżej, miasto będzie pogrążone we śnie. Shannon wiedział, że woda znakomicie przenosi dźwięki; każdy, nawet najmniejszy hałas mógł trafić do niepowołanych uszu. Dlatego zarówno tu, na łodziach, jak i na Toskanii, obowiązywała teraz kompletna cisza. Nie wolno było również palić.

Zerknął na zegarek: za kwadrans dziewiąta. Nie pozostało nic innego jak tylko czekać.

Punktualnie o dziewiątej przez kadłub Toskanii przebiegło lekkie drzenie, a woda za rufą spieniła się i zaczęła z większą siłą uderzać w gumowy dziób łodzi Shannona. Wystawił rękę za burtę i poczuł przepływ między palcami. Ruszyli w drogę. Na pokonanie dwudziestu pięciu mil morskich mieli dokładnie pięć godzin.

Było gorąco i wilgotno jak w cieplarni, ale w prześwicie w pokrywie chmur migotały gwiazdy. Z tyłu, na końcu sześciometrowej liny, płynęła łódź Vlaminka i Semmlera, a jeszcze dalej ta, którą dowodził Janni Dupree.

Te pięć godzin przypominało nie kończący się koszmar. Można było tylko patrzeć i nasłuchiwać w ciemności. Jedynym odgłosem, jaki docierał do uszu uzbrojonych mężczyzn, było basowe dudnienie wiekowego silnika Toskanii we wnętrzu jej przerdzewiałego kadłuba. Lekkie łodzie kołysały się w usypiającym rytmie, ale nerwy napięte jak postronki przed zbliżającą się nieuchronnie walką nie pozwalały nikomu zasnąć.

Mimo to czas jednak mijał. Zegarek Shannona wskazywał pięć po drugiej, gdy silnik Toskanii umilkł i statek wyraźnie zwolnił, by wkrótce zatrzymać się, kołysząc na falach. Rozległo się ciche gwizdnięcie — to Waldenberg dawał znak, że dotarli do wyznaczonego miejsca. Shannon miał

zamiar przekazać sygnał dalej, ale Dupree chyba usłyszał gwizdnięcie, gdyż silnik jego łodzi ożył, by po chwili ścisnąć, a zaraz potem umilknąć w oddali.

Janni siedział na rufie łodzi z prawą ręką zaciśniętą na manetce gazu, w lewej zaś, podniesionej do oczu, trzymając kompas. Miał do pokonania cztery i pół mili. Planowanym miejscem lądowania była północna mierzeja odgradzająca port w Clarence od pełnego morza. Płynąc tym kursem i z tą prędkością powinien dotrzeć tam za pół godziny. Po dwudziestu pięciu minutach zredukuje obroty do minimum i zacznie wyteżać wzrok w poszukiwaniu lądu. Zgodnie z ustaleniami będzie miał godzinę na przygotowanie moździerzy i raketnic, i przez tę godzinę on i dwaj towarzyszący mu Afrykańczycy będą jedynymi obcymi żołnierzami na zangaryjskim brzegu. Tym bardziej należało oczyścić wszystko, aby pozostać nie zauważonym.

Dwadzieścia dwie minuty po oddaleniu się od Toskanii Dupree usłyszał ciche syknięcie z dziobu łodzi. Timothy chyba coś zauważył. Dupree zerknął na kompas i błyskawicznie zredukował obroty. Znajdowali się już mniej więcej trzysta metrów od brzegu, a rozproszone światło gwiazd mrugających w prześwitach gęstych chmur wydobyło z mroku przed dziobem łodzi pas nieprzeniknionej czerni. Dupree zmrużył z wysiłkiem oczy i ostrożnie poprowadził łódź naprzód. Tajemnicza przeszkoda okazała się gęstwiną drzew namorzynowych; woda pluskała cicho między korzeniami. Daleko po prawej stronie las kończył się, a linia między oceanem i niebem biegła hen, daleko, aż ku niewidocznemu horyzontowi.

Dupree wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, wypłynął nieco w morze, a następnie popłynął równoległe do brzegu. Po mniej więcej pół mili dotarł do końca cypla, na którym rozłożyło się miasto Clarence. A więc to tu. Nie zwlekając skierował łódź z powrotem w stronę lądu. Po pokonaniu dwustu metrów dostrzegł długą zwirową ostrogę. Trzydzieści osiem minut od chwili, gdy silnik Toskanii umilkł, a łódź ruszyła samotnie w kierunku brzegu, dno zaszorowało o piasek.

Dupree przeszedł na przód łodzi, lawirując między stosami sprzętu i wyskoczył lekko na brzeg, przytrzymując łódź jedną ręką, aby nie dryfowała. Przez pięć minut trzech mężczyźni trwali w niemal całkowitym bezruchu, nasłuchując, czy od strony miasta, którego pierwsze zabudowania zaczynały się za niewielkim wzniesieniem w odległości zaledwie czterystu metrów stąd, nie dobiegnie jakiś podejrzany odgłos. Nic takiego nie nastąpiło. Przybyli przez nikogo nie zauważeni.

Dupree wydobył zza pasa długi metalowy pręt, wbił go głęboko w piasek, przywiązał do niego linkę cumowniczą łodzi, po czym, zgięty wpół, wbiegł na pagórek, który wznosił się zaledwie na pięć metrów nad powierzchnię morza i był porośnięty sięgającą do kolan trawą. Trawa szeleściła pod stopami Janniego, ale na szczęście szum fal głaszczących zwirowy brzeg był znacznie głośniejszy. Dupree przyklęknął i rozejrzał się uważnie dokoła; po lewej stronie widział niknący w ciemności pas lądu, przed sobą zaś niemal idealnie gładką powierzchnię portowego basenu. Zwirowa ostroga kończyła się dziesięć metrów na prawo.

Wciąż nisko pochylony wrócił do łodzi i szeptem polecił dwóm Afrykańczykom, aby przystąpili do wyładunku. Najciszej jak mógł odbierał od nich kolejne elementy ekwipunku i zanosił je na szczyt wzniesienia. Wszystkie metalowe części były starannie owinięte szmatami, aby w razie przypadkowego uderzenia nie rozległ się najmniejszy hałas.

Kiedy wszystkie części broni znalazły się na brzegu, Dupree przystąpił do ich montażu. Pracował szybko i bezszelestnie. Na końcu ostrogi — od Shannona wiedział, że znajduje się tu kawałek płaskiego gruntu — ustawił moździerz. Jeżeli przeprowadzone przez Shannona pomiary były dokładne — a Janni nie miał powodu podejrzewać, że jest inaczej — to odległość od tego miejsca do środka pałacowego dziedzińca wynosiła dokładnie 781 metrów. Posługując się kompasem, najemnik wycelował moździerz w kierunku podanym przez Shannona, a następnie ustawił go pod

takim kątem, aby już pierwszym pociskiem trafić prosto w cel.

Uporawszy się z pierwszym moździerzem, natychmiast zajął się drugim. Ten, wycelowany w koszary, ustawił w odległości dziesięciu metrów od pierwszego. Tu precyzja ostrzału nie miała tak dużego znaczenia, gdyż zadanie drugiego moździerza miało polegać głównie na tym, aby wywołać panikę wśród zangaryjskich żołnierzy. Timothy, który w czasie ich poprzedniej wspólnej operacji kierował już samodzielnie ogniem moździerzy, powinien i tym razem doskonale dać sobie radę.

Dupree ułożył na piasku zapasowe pociski, kazał Timothy'emu zająć stanowisko, po czym przekazał mu szeptem ostatnie instrukcje.

Między dwoma moździerzami znalazło się miejsce dla dwóch wyrzutni rakiet z flarami; Janni przyszykował do odpalenia po jednej rakiecie, resztę zaś ułożył na piasku, aby były pod ręką. Każda flara powinna świecić około dwudziestu sekund, wiedział więc, że obsługując jednocześnie pierwszy moździerz i obie wyrzutnie będzie musiał działać szybko i dokładnie. Zadanie Sundaya miało polegać na podawaniu kolejnych pocisków z ułożonego zawczasu stosu.

Kiedy Janni zakończył przygotowania, zerknął na zegarek: dwadzieścia dwie po trzeciej. Pozostałe dwie łodzie powinny już zbliżać się do portu. Wyjął krótkofalówkę, wyciągnął antenę na pełną długość, włączył urządzenie i odczekawszy trzydzieści sekund niezbędne do rozgrzania obwodów nacisnął trzy razy guzik.

Milę od brzegu Shannon siedział na rufie łodzi, wpatrując się z natężeniem w biegnącą mu na spotkanie ciemność. Sygnał usłyszał Semmler w drugiej łodzi, który trzymał nadajnik na kolanach. Nie zwlekając, zbliżył ponton do łodzi dowódcy, syknął cicho i natychmiast wrócił na poprzednie miejsce. Shannon poczuł ogromną ulgę. A więc Dupree wylądował bez żadnych przeszkód, zmontował sprzęt i teraz czeka na ich przybycie. Dwie minuty później, mniej więcej tysiąc metrów od brzegu, Shannon dostrzegł słabe błyski latarki Afrykanera. W mrok wybiegał jedynie bardzo wąski strumień światła. Błyski pojawiły się nieco z lewej strony, co świadczyło o tym, że łodzie zboczyły zanadto na północ. Błąd został natychmiast naprawiony, gdyż Shannon chciał dokonać desantu w odległości około stu metrów w prawo od Dupree. Tam właśnie znajdowało się wejście do portu. Błyski powtórzyły się, jak tylko Janni usłyszał ledwo uchwytny pomruk dwóch silników; łodzie dzieliło wtedy od brzegu jeszcze trzysta metrów.

Dwie minuty później pontony z silnikami pracującymi mniej niż jedną czwartą mocy przepłynęły w odległości pięćdziesięciu metrów od przycupniętego na brzegu Dupree'ego. Afrykaner dostrzegł w ciemności jedynie białe bryzgi fal rozcinanych dziobami łodzi, a w chwilę potem obie jednostki prześlizgły się do portowego basenu i popłynęły po idealnie gładkiej wodzie w kierunku nabrzeża po przeciwnej stronie.

Shannon wreszcie dostrzegł na tle odrobinę jaśniejszego nieba zarys magazynu. Na brzegu wciąż panowała całkowita cisza. Skręcił ostro w prawo i po kilku sekundach dno łodzi zaszurało na żwirze tuż obok czołen tubylców i rozwieszonych na palach sieci.

Łódź Semmlera wykonała ten sam manewr; oba silniki umilkły niemal jednocześnie. Podobnie jak wcześniej Dupree, tak teraz jego koledzy przez kilka długich minut trwali w całkowitym bezruchu, zastanawiając się, czy nieruchome kadłuby drewnianych czołen nie kryją w sobie zasadzki.

Nie było żadnej zasadzki. Shannon i Semmler zeszli jako pierwsi na brzeg, wbili w piasek metalowe pręty i uwiązali do nich łodzie. W ślad za nimi wysiedli pozostali.

— Idziemy — szepnął Cat i poprowadził oddział w kierunku stromizny za plażą; dalej rozciągał się dwustumetrowej szerokości płaski obszar, oddzielający port od pogrążonego w ciszy pałacu prezydenta Jeana Kimby.

Ośmiu nisko pochylonych mężczyzn bieгло po porośniętym trawą zboczcu. Minęła wpół do trzeciej w nocy i pałac pogrążony był w całkowitej ciemności. Shannon wiedział, że mniej więcej w połowie odkrytego obszaru o szerokości około dwustu metrów znajduje się rozwidlenie dróg, strzeżone przez co najmniej dwóch żołnierzy. Przypuszczał, że jego oddział będzie miał problemy ze zlikwidowaniem ich bez żadnego hałasu, a jeśli dojdzie do strzelaniny, pozostałe sto metrów trzeba będzie pokonać, czołgając się w trawie. Nie mylił się.

Po drugiej stronie basenu portowego Janni Dupree czekał na strzał. Będzie to dla niego sygnał, aby włączyć się do akcji. Przyczał się w pobliżu wyrzutni flar, ściskając w rękach moździerzowy granat.

Shannon i Langarotti dotarli pierwsi do rozwidlenia dróg w pobliżu pałacu. Po ich przyczernionych sępią twarzach ściekały strużki potu. W powłoce chmur pojawiało się coraz więcej prześwitów, toteż mimo że księżyc jeszcze nie wzeszedł, w słabym blasku gwiazd Shannon mógł wyraźnie dostrzec linię dachu odległych o sto metrów zabudowań pałacu. Nie dostrzegł natomiast drzemiącego w trawie strażnika. Potknął się o niego i runął jak długi na ziemię.

Trzymał co prawda w ręku nóż o długim ostrzu, ale nie zdążył zrobić z niego użytku. Natychmiast zerwał się na równe nogi, lecz jednocześnie uczynił to czarnoskóry żołnierz, który w dodatku wydał donośny, zdumiony okrzyk. Hałas zaalarmował jego kolegę ukrytego kilka metrów dalej w wysokiej trawie, który wyprostował się, wycharczał coś niezrozumiałego i powoli osunął się na ziemię z nożem Korsykanina w gardle. Pierwszy żołnierz, zraniony przez Shannona w ramię, ponownie wrzasnął, tym razem znacznie głośniej, i rzucił się do ucieczki.

W pobliżu pałacowej bramy rozległy się zdumione okrzyki, a potem do uszu najemników dobiegł znajomy odgłos repetowanego karabinu. Nie wiadomo, kto pierwszy nacisnął spust. Samotny strzał od strony pałacu i krótka seria, jaką Shannon wypuścił z pistoletu maszynowego, zlały się w jedno. Uciekający żołnierz runął na ziemię, prawie przecięty na pół pociskami ze schmeissera. Niemal w tej samej chwili nad ich głowami rozległo się przeraźliwe wycie, a dwie sekundy później na niebie rozjarzyła się oślepiająco biała kula. Shannon ujrzał pałac prezydencki, dwie zdezorientowane postaci przed bramą, kątem oka dostrzegł swoich ludzi z lewej i prawej strony. Padli na brzuchy i zaczęli czołgać się naprzód.

Szarpnąwszy za linkę służącą do odpalania rakiet Janni Dupree natychmiast wsunął granat do lufy moździerza. Donośny huk odpalonego pocisku rozległ się niemal dokładnie w tej samej chwili, kiedy na niebie rozkwitła magnezjowa flara. Dupree wziął ze stosu drugi granat i zamarł w bezruchu, czekając, aż pierwszy dosięgnie celu. Cztery pierwsze strzały w piętnastosekundowych odstępach pozwolą mu dokładnie ustawić moździerz. Potem — Sunday będzie podawał pociski — powinno mu się udać utrzymać stały, dwusekundowy rytm.

Granat uderzył w narożnik dachu prawego skrzydła pałacu. Nie przebił poszycia, ale siła eksplozji zmiotła na ziemię mnóstwo dachówek. Dupree przykucnął, przekręcił o kilka milimetrów jedno z pokręteł celowniczych i w chwili, kiedy flara zgasła, wsunął do lufy drugi pocisk. Ułamek sekundy później posłał w górę kolejną flarę, po czym załadował do wyrzutni dwie nowe rakiety. Podniósł głowę: druga flara rozkwitła wysoko na niebie, a cztery sekundy później eksplodował moździerzowy granat. Tym razem kierunek był dobry, natomiast odległość nieco za mała, gdyż pocisk wylądował na dachu tuż nad głównym wejściem do pałacu.

Dupree ociekał potem. Palce ślizgały mu się na pokrętle, ale mimo to udało mu się wykonać nim ćwierć obrotu i zmniejszyć kąt nachylenia lufy moździerza. Odwrotnie niż w przypadku dział artyleryjskich, moździerze mają większy zasięg przy mniejszym kącie nachylenia lufy. Trzeci granat poszybował w górę, jeszcze zanim zgasła flara; Janni miał całe piętnaście sekund na odpalenie

trzeciej rakiety, przejście kilku kroków dzielących go od syreny mgłowej, uruchomienie jej, powrót na pozycję. Granat spadł dokładnie tam, gdzie miał spaść, czyli na pałacowy dziedziniec. Dupree dostrzegł tylko krwistoczerwony poblask nad dachem budynku, ale miał już pewność, że strzelił w cel i że pociski na pewno nie spadną na jego kolegów zbliżających się do bramy pałacu.

Kiedy wybuchł pierwszy granat, Shannon i jego ludzie znieruchomieli w wysokiej trawie, przyciskając twarze do ziemi. Musieli czekać, aż Dupree włada wszystkie pociski w pałacowy dziedziniec.

Po drugim wybuchu Shannon odważył się nieco unieść głowę, wiedząc, że kolejny nastąpi dopiero za piętnaście sekund. W magnezjowym blasku flary widział pałac jak na dłoni. W dwóch oknach na piętrze zapaliło się światło. Kiedy ucichło echo eksplozji, do uszu Shannona dotarły pomieszane okrzyki strażników. Zaraz potem rozpętało się prawdziwe piekło.

Afrykańską noc wypełniło przeciągłe wycie syreny niby skowyt tysiąca oszalałych demonów, zagłuszając krzyki, które dobiegały od strony pałacu. Shannon ponownie uniósł głowę. Nie zobaczył żadnych nowych zniszczeń. A więc Janniemu udało się trafić w dziedziniec. Przed akcją najemnicy ustalili, że po pierwszym celnym strzale Dupree rozpocznie ciągły ostrzał i będzie strzelał w krótkich, dwusekundowych odstępach. Chwilę później od strony morza dobiegł basowy, niemal jednostajny huk odpalanych pocisków, który zlewał się z mrożącym krew w żyłach zawodzeniem syreny.

Wystrzelenie czterdziestu granatów powinno zająć Janniemu osiemdziesiąt sekund. Gdyby po połowie tego czasu z jakichś powodów musiał przerwać ostrzał na więcej niż dziesięć sekund, miał go już nie wznowiać, aby nie narażać oddziału szturmowego na niebezpieczeństwo dostania się pod własny ogień. Shannon był prawie pewien, że Dupree doskonale da sobie radę i nic takiego się nie stanie.

Kiedy na pałac spadła ulewa zmasowanego ognia, ośmiu ukrytych w trawie mężczyzn mogło podziwiać wspaniały widok. Flary nie były już potrzebne, gdyż granaty wybuchające co dwie sekundy na brukowanym dziedzińcu rzucały jednostajny, krwawy poblask. Jedynie Marc Vlaminck nie oglądał groźnego spektaklu, gdyż miał co innego do roboty.

Zajmował pozycję na lewym skrzydle, niemal dokładnie naprzeciwko bramy. Położył sobie bazookę na ramieniu, wycelował starannie i odpalił pierwszy pocisk. Z tyłu lufy wystrzelił długi na pięć metrów płomień, a w kierunku bramy pomknął pocisk wielkości ananasa i trafił w prawy górny narożnik potężnych wrót. Kiedy dym się rozwiął, w drewnianej bramie ukazała się dziura co najmniej metrowej średnicy, odpadł też spory kawał muru.

Patrick podał Vlaminckowi następny pocisk. Drugi strzał trafił w kamienne zwieńczenie bramy. Trzeci uderzył w sam środek. Ciężkie drewniane wrota uniosły się, wyskoczyły z zawiasów, po czym runęły na pałacowy dziedziniec.

Janni Dupree wyekspediował już połowę pocisków. Krwistoczerwony poblask wydobywający się zza dachu pałacu już wcześniej wyraźnie przybrał na sile. Najwidoczniej na dziedzińcu wybuchł pożar — Shannon przypuszczał, że płonęły sklecone byle jak baraki. Kiedy brama stanęła otworem, napastnicy ujrzeli szalejące w głębi dziedzińca płomienie. Na tle pożogi pojawiły się na mgnienie oka dwie sylwetki, zachwiały się i runęły na ziemię.

Marc posłał jeszcze cztery pociski przez otwartą bramę. Shannon krzyknął do niego, żeby wstrzymał ogień, gdyż bał się — wbrew twierdzeniom Gomeza — że stacjonujące w mieście wojsko może dysponować przynajmniej jednym wozem opancerzonym. Belg jednak nie miał zamiaru rezygnować ze znakomitej zabawy. Wystrzelił jeszcze cztery pociski, celując w parter i pierwsze piętro pałacu, poczym zerwał się na nogi, wymachując bazooką oraz ostatnim pociskiem, jaki mu

pozostał.

W tej samej chwili syrena umilkła; wyczerpał się zapas sprężonego powietrza. Shannon wydał rozkaz do ataku i ruszył naprzód jako pierwszy, zgięty w pół, z palcem na spuście gotowego do strzału schmeissera. Semmler i Langarotti biegli koło niego, za nimi zaś Johnny, Jinja, Bartholomew, wreszcie Patrick, który, pozbywszy się swoich pocisków do bazooki, chwycił pistolet maszynowy i dołączył do kolegów.

W odległości dwudziestu metrów od bramy ponownie przypadli do ziemi, czekając na zakończenie moździerzowego ostrzału. Cisza miała zwiastować koniec tej części operacji. Ale ta cisza, która zapadła po ostatnim wybuchu, po prostu ich ogłuszyła. Po nieustannym huku eksplodujących granatów wydawała się wręcz nierealna. Trudno było uwierzyć, że atak zaczął się zaledwie przed pięcioma minutami.

Shannon przez mgnienie zastanawiał się, czy aby Timothy na pewno posłał dziesięć pocisków w kierunku koszar i czy żołnierze rozproszyli się w panice. I jak mieszkańcy miasta zareagowali na piekielny, ogłuszający hałas, który wybuchł tak niespodzianie...? Ocknął się, kiedy w górze rozbłyśły dwie kolejne flary, zerwał się na nogi, krzyknął: Za mną! i kilkoma susami pokonał dwadzieścia metrów dzielące go od dymiących resztek bramy.

Biegł strzelając na oślep przed siebie, czując raczej niż widząc pędzących obok niego Langarottiego i Semmlera. Wysoka brama prowadziła pod centralną częścią pałacu na dziedziniec. To, co tam ujrzeli, wstrząsnęło nimi. Wszyscy trzej stanęli jak wryci. Opadające powoli flary oświetlały scenę przeniesioną chyba żywcem z najgłębszego kręgu piekieł.

Wybuch pierwszego moździerzowego granatu wyrwał ze snu żołnierzy i strażników, którzy wybiegli beładnie z rozsypujących się baraków na pałacowy dziedziniec. Kilkanaście sekund później spadła na nich ulewa ognia. Przy jednej ścianie stała drabina, a na szczeblach wisały cztery poszarpane ciała; tych ludzi dosięgły odłamki w chwili, gdy usiłowali dostać się na szczyt muru okalającego dziedziniec. Pozostałych, zanim zdążyli pomyśleć o ucieczce, poszatkowały odłamki granatów eksplodujących na pokrytym kamienną kostką dziedzińcu.

Wszędzie, gdziekolwiek się spojrzeło, leżały stopy ciał. Tu i ówdzie widać było jeszcze słabe oznaki życia, ale w większości były to trupy. Pod przeciwległą ścianą stały dwie zdewastowane wojskowe ciężarówki i trzy cywilne samochody osobowe, w tym także reprezentacyjny mercedes prezydenta. Służba pałacowa chciała chyba uciec przez główną bramę, ale dosięgły ją tam pociski z bazooki Vlaminka. Rozrzucone podmuchem eksplozji ciała leżały w beładzie pod łukowato sklepionym przejściem.

Po prawej i lewej stronie ciągnęły się podcienia, z których wchodziło się schodami na piętro. Nie czekając na rozkaz, Semmler ruszył w prawo, Langarotti zaś w lewo. Zaraz potem z wnętrza budynku dobiegły odgłosy strzałów, którymi najemnicy torowali sobie drogę na wyższe kondygnacje.

Przekrzykując wrzaski rannych i terkot pistoletu Semmlera, Shannon polecił swoim czterem czarnoskórym żołnierzom, aby przeszukali parter pałacu. Nie musiał im mówić, że mają strzelać do wszystkiego, co się poruszy; wszyscy, choć zdyszani po biegu, rwali się do walki, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

Shannon ostrożnie wysunął się spod sklepienia przejścia na dziedziniec. Jeżeli najemnicy mieli gdzieś spotkać się z oporem, to właśnie tutaj. Nagle z lewej strony pojawił się człowiek z karabinem, który krzycząc przeraźliwie rzucił się w jego kierunku. Mógł to być oszalały ze strachu Vindu szukający drogi ucieczki, ale nie było czasu na wyjaśnienie sytuacji. Cat odwrócił się błyskawicznie i strzelił z półobrotu; krzyk umilkł, a z szeroko otwartych ust Murzyna buchnął strumień krwi. Zapach krwi unosił się zresztą wszędzie; krwi, a także strachu, potu i śmierci. Ale nad wszystkim

dominowała inna woń, doskonale znana wszystkim najemnikom na świecie: woń kordytu.

W chwilę potem Shannon raczej wyczuł niż usłyszał czyjeś niepewne kroki w podcieniu za swoimi plecami i odwrócił się gwałtownie. Z drzwi, którymi niedawno wbiegł do budynku Johnny, aby rozprawić się z niedobitkami Vindu ukrywającymi się we wnętrzu pałacu, wyszedł jakiś człowiek. Wydarzenia, które nastąpiły ułamek sekundy później, Cat mógł sobie potem przypomnieć jedynie jako serię niezbyt wyraźnych, nieruchomych, choć zmieniających się szybko obrazów. Mężczyzna dostrzegł Shannona w tej samej chwili, co Shannon jego, i strzelił z biodra do najemnika. Cat poczuł na policzku muśnięcie pocisku. On także nacisnął spust, ale przeciwnik okazał się nadspodziewanie zwinny: oddawszy strzał, padł na ziemię, przetoczył się kilka metrów w bok i wyciągnął przed siebie broń. Schmeisser Irlandczyka wypluł pięć pocisków, które przeleciały nad celem, po czym umilkł; skończyła się amunicja w magazynku. Zanim tamten zdążył strzelić, Cat ukrył się za filarem, przeładował broń, wyskoczył z drugiej strony i posłał serię w kierunku przeciwnika. Ten jednak tymczasem zniknął.

Shannon dopiero teraz uświadomił sobie, że ów człowiek, bosy i bez koszuli, miał jasną skórę, a włosy ciemne i proste. Zaklął pod nosem i popędził w kierunku roztrzaskanej bramy. Za późno.

Marc Vlaminc zbliżał się do bramy przyciskając oburącz do piersi bazookę z ostatnim pociskiem. Półnagi mężczyzna strzelił w biegu dwa razy, po czym pomknął przez wysoką trawę w kierunku portu. Później znaleźli jego pistolet: był to makarow kalibru 9 mm z pustym magazynkiem.

Oba strzały trafiły małego Belga w pierś. Shannon widział wszystko jak na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie: Vlaminc odwraca się, podnosi bazookę, po czym, prawie nie celując, posyła pocisk w ślad za uciekającym.

Broń tego typu nie jest skonstruowana z myślą o zwalczaniu celów ruchomych, szczególnie z tak małej odległości, ale choć najemnicy później przeszukali bardzo uważnie cały teren, udało im się znaleźć zaledwie kilka strzępków spodni.

Cat rzucił się na ziemię, aby uniknąć oparzenia przez ogień, który wystrzelił z drugiego końca broni Vlaminka. Kiedy uniósł głowę, zobaczył, jak Belg wypuszcza bazookę, rozkłada szeroko ręce i pada twarzą w dół w trawę rosnącą przed bramą pałacu. W chwilę potem zgasła ostatnia flara.

Odpaliwszy ostatnią, dziesiątą flarę, Janni Dupree wyprostował się i krzyknął:

— Sunday!

Dopiero za trzecim razem stojący o dziesięć metrów dalej Murzyn usłyszał jego głos. Cała trójka była częściowo głucha z powodu ogromnego hałasu, jakiego narobił moździerz, wyrzutnie raket i syrena. Janni polecił Sundayowi, żeby został w miejscu desantu i miał oko na sprzęt, dał znak Timothy'emu, by szedł za nim, i nie zwlekając ruszył truchtem w kierunku stałego lądu. Wprawdzie sam jeden dokonał większych zniszczeń niż pozostali czterej najemnicy razem wzięci, nie chciał jednak odmówić sobie przyjemności bezpośredniego udziału w akcji.

Poza tym jego zadanie polegało na całkowitym zneutralizowaniu wojskowych koszar, a oglądając na Toskanii plan miasta, dobrze zapamiętał, gdzie znajdują się zabudowania. Po dziesięciu minutach dotarli do miejsca, w którym droga przecinała w poprzek podstawę półwyspu, ale zamiast skręcić w prawo, w kierunku pałacu, Dupree poprowadził w lewo, w stronę koszar. Nie biegli już, tylko szli, każdy po swojej stronie drogi, z wysuniętymi do przodu schmeisserami, gotowi otworzyć ogień w razie choćby najmniejszego niebezpieczeństwa.

Niebezpieczeństwo pojawiło się za pierwszym zakrętem. Przerażeni ulewą ognia i metalu, która dwadzieścia minut wcześniej spadła na ich nędzne baraczki pełniące funkcję koszar, żołnierze Kimby uciekli na oślep w noc. Kilkunastu otrząsnęło się jednak z paniki. Zbici w ciasną gromadkę żołnierze stanęli na poboczu drogi, rozmawiając przyciszonymi głosami. Gdyby Dupree i Timothy nie byli

chwilowo głusi, z pewnością by ich usłyszeli wcześniej; tak się jednak nie stało. Dostrzegli żołnierzy dopiero, kiedy niemal na nich wpadli. Dziesięciu nawet nie miało ubrań, gdyż atak zaskoczył ich we śnie, ale dwaj byli w pełni umundurowani.

Padający minionej nocy rześisty deszcz rozmoczył i rozmiękczył ziemię, toteż niektóre pociski wystrzelone przez Timothy'ego wbiły się w nią zbyt głęboko, aby eksplodując poczynić rzeczywiście poważne zniszczenia. Vindu, na których trafili Dupree i Timothy, nie stracili więc jeszcze do końca odwagi, a jeden miał nawet ręczny granat.

Janni dostrzegł ich dopiero wtedy, kiedy cofnęli się gwałtownie na widok jego bladej, błyszczącej w świetle gwiazd twarzy, z której już dawno spłynęły resztki barwnika.

— Ognia! — ryknął Janni i posłał długą serię w kierunku majaczących pod palmami cieni. Czterej Murzyni padli na miejscu, skoszeni pociskami ze schmeissera, pozostała ósemka rzuciła się do ucieczki. Po kilku metrach upadło jeszcze dwóch, a jeden z ocalałych odwrócił się i rzucił w kierunku napastników jakiś przedmiot, który do tej pory ścisnął kurczowo w dłoni. Nigdy nie widział, jak się tym rzuca, nikt go tego nie nauczył, ale był bardzo dumny z samego faktu posiadania tak groźnej broni i głęboko wierzył, że kiedyś będzie miał okazję zrobić z niej użytek.

Granat poszybował wysoko w górę, po czym spadł, trafiając Timothy'ego prosto w pierś. Pod wpływem uderzenia afrykański weteran usiadł z rozmachem na ziemi i odruchowo złapał coś, co przyleciało do niego z ciemności. Dopiero po chwili zorientował się, co to jest, ale jednocześnie zauważył, że idiota, który tym w niego rzucił, zapomniał wyrwać zawleczkę. Timothy był kiedyś przy tym, jak jeden z najemników odrzucił granat nieprzyjacielowi. Niewiele myśląc, zerwał się na nogi, wyszarpnął zawleczkę i cisnął granat w ślad za uciekającymi żołnierzami.

Metalowy przedmiot ponownie poleciał wysoko w powietrze, ale tym razem trafił w pień drzewa. Rozległo się głuche stuknięcie i granat upadł na ziemię znacznie bliżej niż powinien. W tej samej chwili Janni Dupree uporał się z wymianą magazynka w pistolecie i rzucił w pogoń za uciekającymi. Timothy krzyknął ostrzegawczo, ale Janni uznał to jedynie za zachętę do walki; strzelając z biodra pokonał kilkoma susami odległość dzielącą go od drzew, a kiedy od granatu dzieliły go zaledwie dwa metry, nastąpiła eksplozja.

Dupree zapamiętał tylko błysk i huk, a potem jakaś siła uniosła go w górę i rzuciła do tyłu, jakby był szmacianą lalką. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na drodze, a ktoś klęczał obok niego i trzymał jego głowę na kolanach. Czuł dziwne ciepło w gardle — trochę podobne do uczucia, jakie towarzyszyło mu w dzieciństwie, kiedy leżał w łóżku zmorzony gorączką. Nie wiedział, czy to jawa, czy sen, ale było mu dobrze i wygodnie. Słyszał jakiś głos, powtarzający w kółko te same słowa, lecz nie mógł ich zrozumieć.

— Przepraszam, Janni, przepraszam... Przepraszam... Zrozumiał tylko swoje imię, nic więcej. To był jakiś dziwny język,

na pewno nie jego ojczysty... Z trudem skierował spojrzenie na twarz klęczącego przy nim człowieka i dostrzegł ciemną skórę, błyszczącą w blasku gwiazd między palmowymi liśćmi. Dupree uśmiechnął się.

— Hallo, Pięter — powiedział głośno i wyraźnie.

Potem znowu wpatrywał się w niebo nad głową. Nagle chmury rozsunęły się i nad szczytami palm zaświecił księżyc w pełni. Był ogromny, jak zawsze w Afryce, biały i lśniący. Ten widok, a także zapach wilgotnych roślin, przypomniały Janniemu, jak wygląda i pachnie po deszczu Paarl Rock.

Dobrze jest wrócić do domu, pomyślał z zadowoleniem Janni Dupree, po czym zamknął oczy i umarł.

Dopiero w pół do szóstej niebo na wschodzie rozjaśniło się i zdobywcy pałacu mogli wyłączyć latarki. W dziennym świetle dziedziniec wcale nie wyglądał lepiej niż w nocy, ale zadanie zostało wykonane.

Ciało Vlaminka położono w jednym z pokoi na parterze. Obok niego leżał Janni Dupree, przyniesiony z nadbrzeżnej drogi przez trzech Arykańczyków. Zginął także Johnny, najprawdopodobniej zabity przez tego samego białego, którego umierający Vlamink rozniósł na strzępy ostatnim strzałem z bazooki.

Semmler zaprowadził Shannona do głównej sypialni na piętrze i w świetle latarki pokazał mu człowieka, którego zastrzelił, kiedy ten usiłował wydostać się na zewnątrz przez okno.

— To on — stwierdził Shannon.

Spośród służby pałacowej ocalało sześciu ludzi. Odnaleziono ich w jednej z piwnic, gdzie instynktownie szukali schronienia przed kataklizmem, jaki spadł na pałac z ciemnego nieba. Ludzi tych wykorzystano do porządkowania poboju. Wszystkie pomieszczenia w pałacu zostały dokładnie sprawdzone, a ciała martwych przyjaciół Kimby i służących zniesiono na dół i złożono w tylnej części dziedzińca. Okazało się, że nawet prowizoryczna naprawa rozbitej bramy jest niemożliwa, więc wejście do pałacu zasłonięto wielkim dywanem, aby nikt niepowołany nie mógł zobaczyć, co dzieje się we wnętrzu.

O piątej Semmler nadał na Toskanię umówione hasło, sygnalizując, że operacja zakończyła się powodzeniem, po czym popłynął do statku w jednej z pneumatycznych łodzi, holując za sobą pozostałe dwie. Wrócił w ten sam sposób o w pół do siódmej, wioząc ze sobą czarnoskórego doktora, a także osiemdziesiąt schmeisserów, zapas pocisków do moździerzy i prawie tonę amunicji kalibru 9 mm.

O szóstej, zgodnie z instrukcją Shannona, kapitan Waldenberg zaczął nadawać na uzgodnionej z Endeanem częstotliwości wiadomość składającą się z powtarzanych w kółko trzech słów: papaja, kasawa, mango. Oznaczały one kolejno: operacja przebiegła zgodnie z planem, zakończyła się całkowitym sukcesem, Kimba nie żyje.

Na widok pałacowego dziedzińca czarnoskóry doktor westchnął ciężko i powiedział:

— Mam nadzieję, że to było konieczne...

— Było — zapewnił go Shannon, po czym poprosił, aby starszy pan przystąpił do pełnienia swoich obowiązków.

O dziewiątej w mieście nadal panował całkowity spokój, a porządki w pałacu prawie dobiegły końca. Jedynie z pochówkiem martwych Vindu trzeba było poczekać do chwili, kiedy zjawi się więcej ludzi, którzy mogliby wykonać tę robotę. Dwie łodzie wróciły do ładowni Toskании, trzecia została ukryta w ujściu strumienia niedaleko od portu. Ze zwirowej ostrogi usunięto wszystkie ślady desantu, a bezużyteczne pozostałości utopiono w morzu. Wszystko, łącznie z ludźmi, znalazło się w pałacu, który, choć potężnie zrujnowany od wewnątrz, postronnemu obserwatorowi mógł się wydać prawie nie uszkodzony. Widać było jedynie dwa fragmenty nadwerężonego dachu, trzy wybite szyby oraz rozwaloną bramę.

O dziesiątej Semmler i Langarotti dołączyli do Shannona, który siedział w jadalni, opychając się chlebem z dżemem, znalezionym w prezydenckiej kuchni, i złożyli mu raport. Rozgłośnia radiowa była nietknięta, jeśli nie liczyć kilku dziur w ścianach, a nadajnik w każdej chwili mógł zacząć pracę. Do drzwi prywatnej piwniczki Kimby, ukrytej w najgłębszym zakamarku podziemi przemówił argument w postaci kilku serii ze schmeissera. We wmurowanym w ścianę sejfie znajdował się najprawdopodobniej skarbiec, samo pomieszczenie natomiast pełniło funkcję arsenału. Było tam dość broni i amunicji, aby dwustu lub trzystu ludzi mogło prowadzić walkę przez kilka miesięcy.

— Co teraz? — zapytał Semmler, kiedy zakończył relację.

— Teraz czekamy — odparł Shannon.

— Na co?

Irlandczyk zaczął dłubać w zębach wypaloną zapałką. Pomyślał o Jannim Dupree i Marcu Vlamincku, leżących w pokoju piętro niżej, i o Johnnym, który już nigdy nie ukradnie żadnej kozy na wieczorny posiłek dla oddziału. Spojrzał na Langarottiego, który ostrzył pomału nóż o skórzany pas owinięty dokoła lewej dłoni.

— Na nowy rząd — powiedział wreszcie.

Amerykańska jednotonowa ciężarówka, która wiozła Simona Endeana, dotarła do Clarence tuż przed pierwszą po południu. Samochód prowadził jakiś nieznajomy biały człowiek, a Endean siedział obok niego, trzymając na kolanach wielkokalibrowy myśliwski sztucer. Shannon usłyszał warkot silnika, kiedy ciężarówka skręciła w stronę pałacu z nadbrzeżnej drogi i podjechała ostrożnie do bramy przesłoniętej wzorzystym dywanem, wiszącym nieruchomo w przesyconym wilgocią powietrzu.

Z okna na piętrze Shannon widział, jak Endean wysiadł z szoferki, obrzucił podejrzliwym spojrzeniem dywan, przyjrzał się świeżym odpryskom po kulach, po czym skoncentrował uwagę na ośmiu czarnoskórych strażnikach wyprężonych w pozycji zasadniczej przed wejściem do pałacu.

Podróż przebiegała z pewnymi kłopotami. Odebrawszy sygnał z Toskanii Endean potrzebował aż dwóch godzin, aby namówić pułkownika Bobiego do powrotu do kraju bezpośrednio po zamachu stanu. Wszystko wskazywało na to, że pułkownik nie awansował tak wysoko dzięki osobistej odwadze.

Z odległej o sto sześćdziesiąt kilometrów stolicy sąsiedniego państwa wyruszyli dopiero o wpół do dziesiątej. W Europie na pokonanie takiej odległości wystarczyłyby dwie godziny, w Afryce trzeba na to więcej czasu. Na granicy rozpoczęli negocjacje z żołnierzami Vindu, do których nie dotarły jeszcze żadne informacje na temat wydarzeń w Clarence. Pułkownik Bobi w wielkich ciemnych okularach na nosie i białym powłóczystym stroju przypominającym nieco nocną koszulę udawał służącego, gdyż przy przekraczaniu granic w Afryce od służących nigdy nie wymaga się żadnych dokumentów. Dokumenty Endeana były w całkowitym porządku, tak samo jak mężczyzny, którego przywiózł ze sobą z londyńskiego East Endu. Polecono mu tego potężnie zbudowanego oprycha, Locke'a, byłego płatnego mordercę z gangu Kraya, jako jednego z najlepszych goryli w mieście. Ernie Locke został zatrudniony za duże pieniądze tylko po to, aby zapewnić ochronę Endeanowi. W kaburze pod koszulą nosił gotowy do strzału pistolet, który otrzymał już po przylocie do Afryki w miejscowym biurze Manson Consolidated. Skuszony perspektywą wysokich zarobków, popełnił ten sam błąd co Endean, to znaczy przyjął za pewnik, że rzeźmieszek z Londynu okaże się równie dobry na nieznanym, afrykańskim terenie.

Przekroczywszy granicę popędzili zwawo na południe, ale piętnaście kilometrów przed miastem ciężarówka złapała gumę. Endean stanął na straży z gotowym do strzału sztucerem, Locke zmienił koło, a Bobi zagrzebał się w okrytej brezentem skrzyni ładunkowej. Właśnie wtedy zaczęły się kłopoty. Uciekający z Clarence oddział żołnierzy dostrzegł ich i ostrzelał ze sporej odległości. Wszystkie pociski przeszły górą, z wyjątkiem jednego, który przebił oponę w dopiero co zamontowanym kole. Reszta podróży odbyła się na pierwszym biegu i na obręczy.

Shannon wychylił się z okna i zawołał Endeana. Anglik spojrzał w górę.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Jasne — odparł Cat. — Wchodźcie szybko do środka. Nikt się jeszcze nie pojawił, ale lada chwila ktoś zacznie węszyć.

Endean, pułkownik Bobi i Locke weszli na dziedziniec, a stamtąd na piętro, gdzie czekał na nich Shannon. Kiedy wszyscy usiedli w prezydenckiej jadalni, Endean zażądał szczegółowego raportu z wydarzeń minionej nocy.

— Co ze strażnikami? — zapytał, kiedy najemnik zakończył relację. W odpowiedzi Shannon zaprowadził go do okna wychodzącego na

dziedziniec, otworzył jedno skrzydło i wskazał w dół, gdzie kłębiły się już roje much.

Endean cofnął się o krok.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

— A żołnierze?

— Dwudziestu zginęło, reszta uciekła. Broń została na miejscu, z wyjątkiem kilku zabytkowych mauserów. To żaden problem.

— Gdzie jest arsenał?

— W piwnicy, pod naszą kontrolą.

— A nadajnik?

— Na parterze, nietknięty. Nie sprawdzaliśmy, czy jest elektryczność, ale radiostacja ma własny agregat prądotwórczy.

Endean skinął głową z zadowoleniem.

— W takim razie nie pozostało nam nic innego, jak tylko poprosić nowego prezydenta, aby poinformował naród o zakończonym sukcesem zamachu stanu, utworzeniu nowego rządu i przejęciu władzy w państwie.

— Czy nie za wcześnie na to? — zapytał Shannon. — Na razie armia praktycznie nie istnieje, a kiedy żołnierze zaczną powracać, nie wiadomo, czy zechcą poprzeć nowego władcę.

Endean uśmiechnął się lekceważąco.

— Na pewno zechcą, jak tylko przekonają się, że ma wszystko w garści, i będą mu służyć tak długo, jak długo będą widzieli, że ma władzę. Czyli długo. Tymczasem wystarczy nam ta grupa, którą przywiózł pan ze sobą. Bądź co bądź też są czarni, a żaden europejski dyplomata nie odróżni jednego Murzyna od drugiego.

— A pan odróżni? Anglik wzruszył ramionami.

— Ja też nie, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Proszę pozwolić, że przedstawię panu nowego prezydenta Republiki Zangaro. — Wskazał ubranego w białą szatę mężczyznę, który z szerokim uśmiechem rozglądał się po doskonale sobie znanym wnętrzu. — Oto były dowódca zangaryjskiej armii, błyskotliwy organizator i głównodowodzący zamachu stanu, prezydent Zangaro, pułkownik Antoine Bobi.

Shannon wstał i ukłonił się pułkownikowi. Bobi uśmiechnął się jeszcze szerzej. Najemnik podszedł do drzwi w przeciwległej ścianie jadalni.

— Może pan prezydent chciałby obejrzeć swój nowy gabinet? — zaproponował.

Endean przetłumaczył, Bobi zaś skinął głową, podniósł się z miejsca i wraz z Shannonem zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Drzwi zamknęły się za nimi.

Pięć sekund później dobiegł zza nich odgłos pojedynczego wystrzału.

Kiedy Shannon wrócił do sypialni, Endean przez chwilę wpatrywał się w niego w milczeniu.

— Co to było? — zapytał wreszcie, zresztą całkiem niepotrzebnie.

— Strzał — odparł najemnik.

Anglik zerwał się na nogi, podbiegł do otwartych drzwi i stanął jak wryty, ze wzrokiem utkwionym w leżącym nieruchomo ciele. Kiedy odwrócił się do Shannona, twarz miał śmiertelnie

bladą i przez dłuższy czas nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Zabiłeś go! — wykrztusił z najwyższym trudem. — Tyle cholernego zachodu, a ty go zabiłeś... Jesteś wariat, Shannon! Przeklęty szaleniec! — W miarę jak mówił, jego głos przybierał na sile. — Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co narobiłeś, ty cholerny, skretyniały debil!

Shannon usiadł w fotelu za stołem, przyglądając się z umiarkowanym zainteresowaniem rozwścieczonemu mężczyźnie. Kątem oka zauważył, że goryl Endeana dyskretnie wsunął rękę pod koszulę.

Drugi strzał niemal ogłuszył Endeana, gdyż padł znacznie bliżej. Ernie Locke runął wraz z krzesłem do tyłu i rozciągnął się jak długi na podłodze. Spod jego potężnego ciała wyciekła strużka krwi, zakłócając geometryczny wzór posadzki. Ernie zginął na miejscu, gdyż miękkopłaszczowy pocisk strzaskał mu kręgosłup.

Shannon wyjął rękę spod stołu i położył na blacie automatyczny pistolet Makarow 9 mm. Z lufy wydobywała się smuzka błękitnego dymu.

Endean zgarbił się nagle. Jakby jednocześnie uświadomił sobie dwie rzeczy: że obiecana mu przez sir Jamesa Mansona fortuna oddaliła się w strefę trudnych do spełnienia marzeń oraz że Shannon jest najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu. Niestety, ta druga prawda dotarła do niego ze zbyt dużym opóźnieniem.

W otwartych drzwiach gabinetu pojawił się Semmler, Langarotti zaś wślizgnął się do jadalni od strony korytarza. Obaj trzymali gotowe do strzału schmeissery wycelowane w głowę Simona Endeana.

Shannon podniósł się z miejsca.

— Chodźmy — powiedział. — Odwiozę pana do granicy. Stamtąd pójdzie pan na piechotę.

Cieżarówka, którą Anglik przyjechał do Clarence, była już w pełni sprawna, gdyż uszkodzone koło zastąpiono jedynym nadającym się do użytku, jakie pozostało w dwóch zangaryjskich ciężarówkach. Zdjęto też brezentową plandekę ze skrzyni ładunkowej. Przycupnęli w niej trzej czarnoskórzy żołnierze z pistoletami maszynowymi, a dwudziestu innych stało w szeregu przed pałacem.

W korytarzu, w pobliżu wyjścia na dziedziniec, spotkali niemłodego już Murzyna w cywilnym ubraniu. Shannon zatrzymał się, by zamienić z nim kilka słów.

— Wszystko w porządku, doktorze?

— Jak do tej pory, owszem. Uzgodniłem z moimi ludźmi, że przyślą tu stu ochotników, żeby jak najszybciej doprowadzić to miejsce do porządku. Dodatkowych pięćdziesięciu zjawi się jeszcze dziś wieczorem. Będziemy mogli od razu ich umundurować i wyposażyć. Skontaktowałem się z kilkoma miejscowymi notablami, którzy do tej pory współpracowali z Kimbą. Zgodzili się nas poprzeć. Szczegółowe uzgodnienia zapadną dzisiejszej nocy.

— To dobrze. Chyba powinien pan mieć teraz trochę spokoju, żeby przygotować pierwszy komunikat nowego rządu. Byłoby dobrze, gdyby został nadany jak najszybciej. Proszę powiedzieć panu Semmlerowi, żeby spróbował uruchomić nadajnik. Gdyby miał jakieś kłopoty, skorzystamy z radiostacji statku.

— Przed chwilą rozmawiałem z panem Semmlerem — odparł Murzyn. — Przez cały czas ma kontakt z Toskanią. Kapitan Waldenberg donosi, że jakiś statek usiłuje skontaktować się z kapitanatem portu, żeby uzyskać zgodę na wejście. Nikt im nie odpowiada, ale Waldenberg ma ich na nasłuchu.

— Wiadomo już, co to za jedni? — zapytał Shannon.

— Rosyjski frachtowiec Komarów.

— W takim razie proszę przekazać panu Semmlerowi, żeby najpierw obsadził radiostację w porcie i nadał na Komarowa: „Odmawiamy zezwolenia. Bez odbioru”. Dziękuję panu.

Shannon zaprowadził Endeana do ciężarówki, usiadł za kierownicą, zczekał, aż Anglik zajmie miejsce przy nim, po czym uruchomił silnik i wykonał szeroki skręt ku drodze prowadzącej w stronę granicy.

— Kto to był? — zapytał kwaśno Endean, kiedy ciężarówka nabierając prędkości minęła slumsy zamieszkałe przez zagranicznych robotników. W nędznych osiedlach panował ruch, a na każdym skrzyżowaniu stał żołnierz z przewieszonym przez pierś pistoletem maszynowym.

— Ten człowiek w korytarzu?

— Właśnie.

— Doktor Okoye.

— Raczej szaman, jak mi się wydaje.

— Myli się pan. Doktoryzował się w Oksfordzie.

— To pański znajomy?

— Owszem.

W kabinie zapadło milczenie. Endean przerwał je, kiedy znaleźli się na drodze prowadzącej ku północnej granicy.

— W porządku — powiedział. — Wiem już, co zrobiłeś. Rozłożyłeś jedno z największych i najlepiej zaplanowanych przedsięwzięć w historii. Rzecz jasna, nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo jesteś za mało subtelny. Nie wiem tylko jednego: dlaczego? Na litość boską, dlaczego?

Shannon zastanawiał się przez chwilę, uważnie prowadząc ciężarówkę po wyboistej drodze, która na tym odcinku zamieniła się już w ledwo widoczny trakt.

— Popełniłeś dwa błędy, Endean — odparł wreszcie. Anglik aż podskoczył na dźwięk swego prawdziwego nazwiska. — Z góry założyłeś, że jako najemnik na pewno jestem głupi. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że obaj jesteśmy najemnikami, podobnie jak sir James Manson i większość ludzi, którzy mają w rękach jakąkolwiek władzę. Twój drugi błąd polegał na tym, że przyjąłeś za pewnik, iż wszyscy czarni są tacy sami, ponieważ ty nie jesteś w stanie ich odróżnić.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz...

— Zebrałeś mnóstwo informacji o Zangaro. Dowiedziałeś się nawet o dziesiątkach tysięcy zagranicznych robotników, dzięki którym w tym kraju w ogóle coś się dzieje, ale nie przyszło ci do głowy, że ci ludzie tworzą tu odrębną społeczność. Są czymś w rodzaju trzeciego plemienia, obdarzonego największą inteligencją i najciężej pracującego. Gdyby dano im szansę, już dawno odgrywaliby wiodącą rolę w życiu politycznym kraju. Nie wpadłeś na prosty przecież pomysł, że nowa armia Zangaro mogłaby zostać utworzona z członków tej społeczności. My tak właśnie postąpiliśmy. Żołnierze, których widziałeś, nie należą ani do plemienia Caja, ani Vindu. W chwili, kiedy przyjechałeś do pałacu, mieliśmy ich już pięćdziesięciu, w pełni umundurowanych i uzbrojonych. Dziś wieczorem przybędzie drugie tyle, a za pięć dni w Clarence będziemy dysponowali pięciuset ludźmi — oczywiście jeszcze nie wyszkolonymi, ale prezentującymi się wystarczająco groźnie, żeby zaprowadzić ład i porządek. Od tej pory to oni będą mieli prawdziwą władzę. Dziś w nocy został przeprowadzony zamach stanu, ale na jego czele bynajmniej nie stał pułkownik Bobi.

— A kto?

— Generał.

— Jaki generał?

Shannon powiedział mu jaki. Endean wybałuszył z przerażeniem oczy.

— Niemożliwe! Przecież został pokonany, wygnany...

— Owszem, ale nie na zawsze. Ci cudzoziemscy robotnicy to jego ludzie. Nazywają ich Żydami Afryki. Na całym kontynencie jest ich ponad półtora miliona. W wielu krajach stanowią główną siłę roboczą i mają najlepiej poukładane w głowach. Tutaj, w Zangaro, mieszkają w slumsach nie opodal Clarence.

— Ten głupi idealistyczny sukinsyn...

— Ostrożnie — ostrzegł go Shannon.

— Dlaczego?

Najemnik wskazał ruchem głowy za siebie.

— To też jego ludzie.

Endean odwrócił się i spojrzał na trzy pozbawione wyrazu czarne twarze.

— Chyba nie znają na tyle angielskiego?

— Ten pośrodku był kiedyś chemikiem, a potem, kiedy wyprodukowany w Wielkiej Brytanii wóz pancerny zabił jego żonę i dzieci, został żołnierzem. Nie przepada za ludźmi, którzy mają z tym cokolwiek wspólnego.

Kilka następnych kilometrów przejechali w milczeniu.

— Co teraz? — zapytał wreszcie Endean.

— Władzę przejmie Komitet Pojednania Narodowego — odparł Shannon. — Czterech Vindu, czterech Caja, dwóch imigrantów. Armia zostanie utworzona wyłącznie z takich ludzi jak ci, którzy jadą z nami, a ten kraj będzie pełnił funkcję obozu szkoleniowego. Być może kiedyś wrócą do ojczyzny, żeby pomścić własne krzywdy. Być może generał przeniesie tu swoją główną kwaterę.

— Naprawdę przypuszczasz, że to się wam uda?

— Ty przypuszczałeś, że uda wam się postawić na czele państwa tego obślinionego małpoluda Bobiego. Nowy rząd będzie przynajmniej umiarkowanie uczciwy. To złoże, o które wam naprawdę chodziło... Nie wiem, co to jest, ale przypuszczam, że sir Jamesowi Mansonowi bardzo zależało, żeby się do tego dobrać. Nowy rząd na pewno je odkryje i przystąpi do jego eksploatacji. Gdybyście chcieli się przyłączyć, będziecie musieli zapłacić uczciwą rynkową cenę. Powiedz to sir Jamesowi, kiedy wrócisz do domu.

Zza zakrętu drogi wyłonił się posterunek graniczny. Mimo braku telefonów w Afryce wiadomości roznoszą się lotem błyskawicy; po żołnierzach Vindu nie pozostało nawet wspomnienie.

Shannon zatrzymał ciężarówkę i wskazał przed siebie.

— Dalej pójdziesz pieszo — powiedział.

Endean wygramolił się z kabiny i obrzucił najemnika nienawistnym spojrzeniem.

— Nie wyjaśniłeś mi dlaczego — przypomniał mu. — Powiedziałaś, co i jak, ale nie dlaczego.

Irlandczyk utkwiał spojrzenie w jakimś bardzo odległym punkcie.

— W ciągu ostatnich dwóch lat widziałem na własne oczy, jak przez ludzi takich jak ty i Manson umierało z głodu co najmniej milion małych'dzieci — powiedział cicho. — Umierały po to, żeby ludzie tacy jak wy mogli się coraz bardziej bogacić dzięki mściwym, skorumpowanym do szpiku kości dyktatorom, a wszystko odbywało się w imię prawa, porządku i ku pożytkowi ogółu. Być może jestem zabijaką, być może jestem zabójcą, ale na pewno nie jestem jakimś cholernym sadystą. Pomału domyśliłem się, na czym to wszystko polega i kim są ludzie pociągający za sznurki. Najłatwiej zauważyć gromadę polityków i urzędasów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale to tylko mało inteligentne, wyfraczone małpy, zainteresowane wyłącznie nie kończącymi się sporami kompetencyjnymi i zapewnieniem sobie zwycięstwa w następnych wyborach. Za ich plecami, niewidoczni dla zwykłych śmiertelników, kryją się ludzie tacy jak twój szacowny sir James Manson.

Właśnie dlatego to zrobiłem. Powiedz o tym Mansonowi, kiedy wrócisz do domu. Chcę, żeby wiedział. Przekaż mu to jako osobistą wiadomość ode mnie. A teraz ruszaj.

Po przejściu dziesięciu metrów Endean zatrzymał się i odwrócił.

— Nie waż się pojawić w Londynie, Shannon! — zawołał. — Mamy tam sposoby na takich jak ty.

— Na pewno tego nie zrobię! — odkrzyknął Cat. — Nie będę musiał... — dodał znacznie ciszej, po czym zakręcił i ruszył z powrotem do Clarence.

EPILOG

Nowy rząd został powołany stosunkowo szybko, a mieszkańcy Zangaro nie mieli powodów, żeby się zanadto na niego uskarżać. Prawie wszystkie europejskie gazety zignorowały wiadomość o przewrocie; jedynie Le Monde zamieścił krótką notatkę, w której informował, że w przeddzień Święta Niepodległości zbuntowane oddziały zangaryjskiej armii obaliły prezydenta i że władzę w kraju przejęła rada cywilna, która postawiła sobie za cel szybkie doprowadzenie do powszechnych wyborów. W notatce jednak zabrakło wiadomości o tym, że jednym z pierwszych działań Rady Pojednania Narodowego było poinformowanie ambasadora Dobrowolskiego, iż radziecka ekspedycja nie otrzyma zgody na prowadzenie poszukiwań oraz że wszelkie decyzje w tej sprawie zostaną podjęte w późniejszym terminie.

Janni Dupree i Marc Vlamincz zostali pochowani tam, gdzie zginęli, pod palmowymi drzewami. Znad zatoki wieje tu zawsze chłodny, ożywczy wiatr. Na żądanie Shannona groby pozostały bezimienne i nie oznaczone. Ciało Johnny'ego zabrali jego ziomkowie, aby oddać mu ostatnią posługę zgodnie ze swoimi wierzeniami.

Simon Endean i sir James Manson nabrali wody w usta. Nikt nie mógł się dowiedzieć o ich udziale w niedawnych wydarzeniach.

Shannon dał Langarottiemu 5000 funtów, które pozostały mu z budżetu operacji. Korsykanin wrócił do Europy, a potem podobno wyjechał do Burundi, by szkolić partyzantów z plemienia Hutu, występujących zbrojnie przeciwko dyktaturze Micombera, popieranego przez plemię Tutsi.

— Nie chodzi o pieniądze — powiedział Shannonowi podczas pożegnania na plaży. — Tak naprawdę to nigdy nie chodziło o pieniądze.

Shannon — naturalnie jako Keith Brown — wysłał list do signor Pontiego w Genui, polecając mu, aby rozdzielił kontrolny pakiet akcji spółki między kapitana Waldenberga i Kurta Semmlera. Rok później Semmler sprzedał swoje akcje Waldenbergowi, który musiał zaciągnąć kredyt, aby za nie zapłacić, sam zaś wyruszył na kolejną wojnę. Zginął w południowym Sudanie, kiedy wspólnie z Ronem Gregorym i Ripem Kirbym zaminowywał drogę, którą miał jechać wóz pancerny sił rządowych. Jedna mina wybuchła przedwcześnie, zabijając na miejscu Kirby'ego i ciężko raniąc Semmlera i Gregory'ego. Gregory wylizał się z ran, po czym wrócił do kraju dzięki pomocy brytyjskiej ambasady w Etiopii, Semmler natomiast zmarł w buszu.

Za pośrednictwem Langarottiego Cat przesłał także list do swojego szwajcarskiego banku, z poleceniem przekazania 5000 funtów rodzicom Janniego Dupree w Paarl, w Kraju Przylądkowym, oraz takiej samej sumy kobiecie o imieniu Anna, która prowadziła samotnie bar przy Kleinstraat w cieszącej się nie najlepszą sławą dzielnicy Ostendy.

Umarł miesiąc po przewrocie tak, jak chciał umrzeć: z bronią w ręku, krwią w ustach i kulą w piersi. Była to jednak jego broń i jego kula. Zniszczył go nie strach przed niebezpieczeństwem, lecz małe czarne znamię na karku. Jeśli będzie się oszczędzał, czeka go jeszcze rok życia, jeśli nie, najwyżej pół roku, przy czym ostatni miesiąc będzie naprawdę paskudny — tego dowiedział się od doktora Dunois z paryskiej kliniki. Kiedy więc uznał, że nadeszła pora, zagłębił się samotnie w

dżunglę z pistoletem i grubą kopertą zawierającą obszerny maszynopis, który kilka tygodni później został przesłany do jego przyjaciela w Londynie.

Tubylcy, którzy widzieli go w dżungli, a potem przynieśli do miasta jego ciało, opowiadali, że pogwizdywał jakąś melodię. Jako prości wieśniacy, zajmujący się uprawianiem ignamów i kasawy, nie wiedzieli, co to za melodia. Był to „Hiszpański Harlem”.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

KRYSTAŁOWA GÓRA

Część druga

STO DNI

Część trzecia

MASAKRA

EPILOG

1 Gustaw Dore (1832-1883) — francuski ilustrator książek i malarz (przyp. tłum.).

2 1 uncja = 31,1035 g (przyp. tłum.).

3 Wyspa Wight — wyspa na kanale La Manche, w pobliżu Portsmouth, położona bardzo blisko brzegów Anglii (przyp. tłum.).

4 Książka napisana została jeszcze w czasach rządów gen Franco, ze zrozumiałym powodów ultrakatolickiego i antykomunistycznego.

5 Freetown — dosł.: wolne miasto (przyp. tłum.).
